

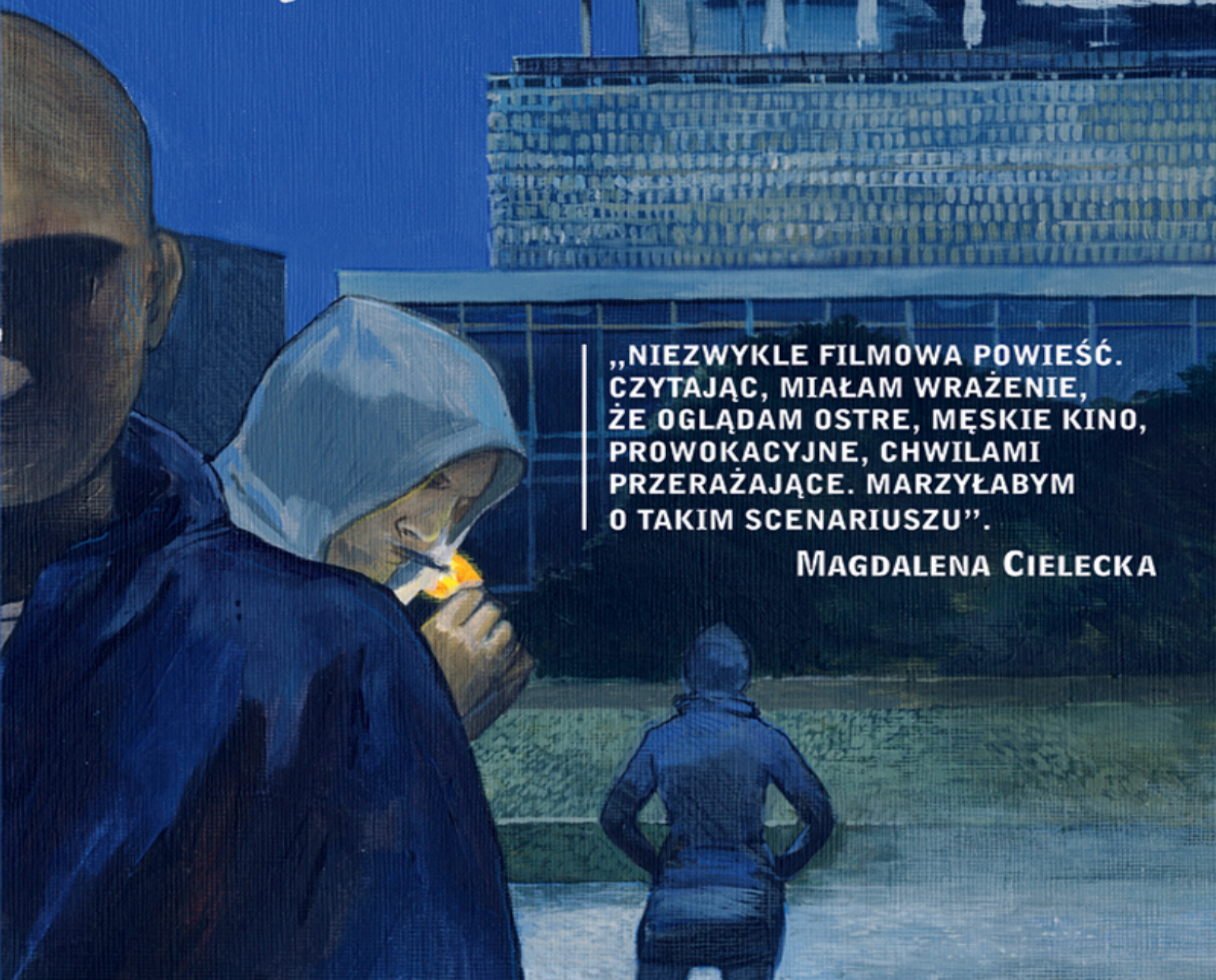
GAJA  
GRZEGORZEWSKA



# BETONOWY PAŁAC

„NIEZWYKLE FILMOWA POWIEŚĆ.  
CZYTAJĄC, MIAŁAM WRAŻENIE,  
ŻE OGLĄDAM OSTRE, MĘSKIE KINO,  
PROWOKACYJNE, CHWILAMI  
PRZERAŻAJĄCE. MARZYŁABYM  
O TAKIM SCENARIUSZU”.

MAGDALENA CIELECKA



GAJA  
GRZEGORZEWSKA

**BETONOWY  
PAŁAC**

WYDAWNICTWO  
LITERACKIE



Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK  
Redakcja: TOMASZ KUNZ  
Korekta: WERONIKA KOSIŃSKA, ANNA PAWLIKOWSKA, ANETA TKACZYK  
Projekt okładki: JOANNA KARPOWICZ  
Opracowanie okładki, stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI  
Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT  
Skład i łamanie: Infomarket

© Copyright by Gaja Grzegorzewska  
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05665-3

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.  
ul. Długa 1, 31-147 Kraków  
tel. (+48 12) 619 27 70  
fax. (+48 12) 430 00 96  
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40  
e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)  
Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku **JamaNiamy**

„I hurt myself today  
to see if I still feel  
I focus on the pain  
the only thing that's real  
the needle tears a hole  
the old familiar sting  
try to kill it all away  
but I remember everything

what have I become?  
my sweetest friend  
everyone I know  
goes away in the end  
and you could have it all  
my empire of dirt

I will let you down  
I will make you hurt”.

*Hurt*

TRENT REZNOR

# PROLOG — PACYFIK

O świcie obudził mnie szum oceanu. To było dziwne. Przecież już dawno przestałem go słyszeć. Stał się tłem bez znaczenia. Jak kiedyś szum przejeżdżających ulicą samochodów. Szmer deszczu na asfalcie, liściach, ludziach. Pierwsze poranne tramwaje dudniące po szynach. Hałaśliwe śmieciary pożerające to, czego nie zjadł człowiek. Wzdychające ciężko ospałe autobusy zarzucające wielkimi zadami przy skręcie. Młoty pneumatyczne, roboty drogowe, remont u sąsiada, miłosne kurwy wyrzaskiwane na klatce schodowej, echo pijackich śmiechów za ścianą, dalekie dzwony kościołów.

W tej kakofonii dźwięków spałem, ukołyszany oparami trunków i spalonej trawy, twardo, zachłannie, nieporuszony jak tygodniowe niemowlę. A tu tylko szum wodnej pustyni i wiatr. Taka bieda, takie kraje. Zbudził mnie ocean. Nie mogłem ponownie zasnąć, usiadłem. Przez okno wpadała lekka bryza, niosąc krople słonej wody, które zaczęły osiadać na mojej rozpalonej twarzy. Studziły jak wilgotne pocałunki zimnych ust lubieżnej syreny. Już nadchodzili kolejni goście. Na chropowatą, wytartą drewnianą podłogę chaty padły pierwsze promienie słońca. Obserwowałem przesuającą się szybko plamę światła. Dotarła do skotłowanego na ziemi prześcieradła i legowiska, na którym siedziałem, a potem pożądliwie wpełzła na nagie, drobne ciało leżące obok mnie na brzegu materaca. Teraz wyglądało jak odlane ze złota.

Leżała bardzo daleko, prawie gdzie indziej, nieruchoma. Nie dosięgnąłbym jej, nawet gdybym wyciągał rękę jak najdalej i dalej. Długie,

jasne włosy iskrzyły się rozsypane wokół głowy, zakrywały poduszkę, splątane spływały na podłogę. Lewą ręką przytrzymała się desek, jakby chciała wyczołgać się stąd, by skonać gdzie indziej. Gładką skórę w kilku miejscach szpeciły blizny po okrutnych razach. Ich widok jak zwykle mnie zasmucił.

Coraz wyraźniej słyszałem ocean. Blżej, coraz blżej. Wiatr targał dzikimi palmami. Nadchodził sztorm. A ona spała słodko. Wstawaj, no wstawaj. Poczulem, jak od środka zaczyna rozlewać się po moim ciele lodowata, gęsta i lepka maź. Ropa i smar. Nie będę jej budził. Niech śpi, taka zupełnie zimna i obojętna w słońcu, które już nawet nie stara się jej ogrzać. Szkoda zachodu, to na nic. Już po wszystkim. Zgasić panu to słońce, gdy będę wychodził? Proszę też ściszyć ocean, boli mnie głowa, muszę pomyśleć. Żona panu zamarzła. Najmocniej przepraszam, zmarła. Ach, skoro tak, to musiał to być sen. Mogłem się obudzić, kiedy chciałem. W końcu cisza. Położyłem się i zamknąłem oczy. Cały czas były zamknięte, tylko gałki poruszały się pod powiekami jak żuki nie mogące wydostać się spod skóry. Zapadałem się coraz głębiej i głębiej w miękki materac. Kolejne ściany chaty zaczęły opadać, niszczyć, osuwać się, zmieniać w pył, a ich miejsce zajęła biała willa. Zupełnie gdzie indziej, na innej ziemi, z innych belek i nowego kamienia. Mimo to gdzieś w oddali słyszałem fale Pacyfiku. Drzwi były uchylone. Wszedłem.





CZEŚĆ  
PIERWSZA  

---

Początek



# 1

„Que sera sera  
Whatever will be will be  
The future's not ours to see”.

*Que sera sera*  
RAY EVANS

W moim początku jest mój kres. Tym początkiem była przesyłka, którą przyniósł mi listonosz, tego dnia równie gorącego jak kilkaset minionych. To była gruba szara koperta. Szara, bo z Polski. Brak nadawcy. Poczujęm niepokój. Tylko jedna osoba знаła miejsce mojego pobytu, lecz ona nie przysłałaby mi ani pękatej koperty, ani żadnej innej. Ale czy na pewno tylko ona wiedziała o drewnianej chacie i Pacyfiku? Rozdarłem kopertę. W środku był jedynie magazyn plotkarski. Obejrzałem go dokładnie, aż dotarłem do zdjęcia i krótkiej informacji o zaręczynach. Skrzywiłem się. Co mnie to obchodzi? I w jakim celu ktoś mi to wysłał? Pewnie olałbym całą sprawę, gdyby nie to, że tydzień później otrzymałem anonimowego mejla o treści: „Nie wracaj w te strony”. Jeszcze tego samego wieczoru postanowiłem, że czas wracać. Po dwóch latach ciszy i braku niepokojących i w ogóle jakichkolwiek wiadomości coś zaczynało się dziać w moim mieście. Tego byłem pewien. Nie miałem jednak pojęcia, czy osoba, która do mnie napisała, ostrzegła mnie, czy prowokowała do powrotu. Jakakolwiek byłaby odpowiedź, wiedziałem, że nie zaznam już spokoju na tej wyspie. Mejl na dobre zasiał we mnie wątpliwość: po co udaję tubylca wśród obcych? Z dnia na dzień otrząsnąłem się z tego snu na jawie. Żadnych sentymentów, przecież zawsze w głębi duszy czułem, że Pacyfik to etap przejściowy, izolatka, w której będę zbierał siły do dalszej walki. Zupełnie jakbym się najadł czerstwych magdalenek, powracały

wytłumione wspomnienia, obrazy, zarysy twarzy, widma znajomych okolic. Coś na kształt tęsknoty za jedynym miejscem, które mógłbym nazwać domem.

Więc to właśnie mejl i przesyłka wyznaczają umowny początek tej historii. Zastanawia mnie, w którym momencie mogłem się jeszcze cofnąć. Kiedy minąłem ten ostatni zjazd i już nie było odwrotu? Gdy pierwszy raz użyłem przemocy. Gdy ujrzałem dzieło Rzeźnika. Gdy zobaczyłem ją. Jednego jestem pewien: w chwili gdy przekroczyłem próg Betonowego Pałacu, było już za późno.

To było trzy miesiące temu.

Wróciłem do Krakowa w maju, po prawie dwóch latach dziczenia na Morzach Południowych. Może jako syn marnotrawny powinienem był przybyć do rodzinnego miasta cichaczem. Ale niby czemu? Znaczna część moich wrogów odbywała długie i w pełni zasłużone wakacje na koszt państwa albo gryzła ziemię. Znajdą się nowi, to miasto było wylęgarnią wrogów. Rodzili się w czarnych pieczarach jak orki z maczetami w dłoniach, gotowi do walki.

Po raz kolejny planowałem zacząć wszystko od nowa, chociaż moja karta nie była czysta. Była brudna i gęsto zapisana, i nic tych zapisków nie zatrze, tak jak nie znikną moje szpetne tatuaże i równie brzydkie blizny. Wiedziałem, że to, co mnie tu spotka, będzie po części konsekwencją moich starych decyzji i złych wyborów, które wymuszały następne, jeszcze gorsze. Jednego byłem pewien – do tamtego życia, przed którym uciekłem dwa lata temu, już nie wrócę. Ani do tego świata funkcjonującego poza prawem panującym w tym kraju, za to według zasad obowiązujących na Osiedlu – tym małym zdegenerowanym królestwie w środku miasta.

Z Balic wziąłem taksówkę. Nadal miałem kasę na kilka miesięcy byle jakiego życia w moim mieście. Trzydzieści z tych siedemdziesięciu tysięcy otrzymanych od tej, której imienia nie miałem ochoty wymawiać. Przelewając na moje konto ten bardzo brudny hajs, wyświadczyła mi sporą i niespodziewaną przysługę. Jak każda przysługa, ta również miała swoją cenę. Każdy wydany grosz przypominał o jej istnieniu. Życie Williama Somerseta, przedwcześnie zgorzkniałego skurwysyna, które wiodłem na Morzach Południowych, nie było kosztowne. To zabawne, jak skromne

stają się potrzeby człowieka, gdy rezygnuje ze wszystkiego, bez czego wcześniej nie potrafił egzystować. Życie bez używek, ziomków, melanży i kobiet było proste.

Wyglądałem przez okno, obserwując rozmyty w deszczu krajobraz. Nierzeczywiste Miasto. Pod mgłą brunatną. Co ja tu, kurwa, robię? Czy to miasto jest jeszcze moje? Czy kiedykolwiek było moje? Czy już powinienem nóż swój ostrzyć?

Wysiadłem przy Stolarskiej. Zarzuciłem plecak na ramię i ruszyłem w kierunku Ambasady Śledzia, naprzeciw swojemu przeznaczeniu, którego forpoczty mogły oczekiwać w lokalu. To było miejsce równie dobre jak każde inne, by od niego rozpocząć moją pielgrzymkę.

W knajpianym ogródku było pusto. Pora była wczesna i ledwo kilkanaście stopni powyżej zera. To był wyjątkowo zimny maj. Rzuciłem toból na krzesło i wszedłem do środka. Wewnątrz rozbrzmiewał stłumiony gwar. Gości było niewielu. Nikogo znajomego. Chociaż za kontuarem urzędował ten sam co dwa lata temu barman. Nie powitał mnie jednak żadnym: „Siema, brachu! Kopę lat! Dobrze wyglądasz! Co porabiałeś?”. A przecież niejedną banię z nim wypilem. Może mnie nie poznał z tą ogorzałą od słońca gębą i długimi jak u hipisa spłowiałymi piórami. Poza tym nie byłem jego brachem. Ani nie wyglądałem dobrze.

Jedną żołądkową gorzką strzeliłem sobie przy barze, z drugą banią i browarem usiadłem na zewnątrz. Wychyliłem. Zapaliłem. Wciągnąłem w płuca zapach zimnego, splukanego deszczem bruku i przemoczonych ludzi. Sączyłem piwo i obserwowałem kota przemykającego wzdłuż muru po drugiej stronie ulicy. Truchtał z jednej bramy do drugiej. Kot też był chyba ten sam. Nic do niego nie miałem.

Pierdolić to, pomyślałem, pstrykając niedopałkiem na ulicę. Wyjąć laptopa, zabukować bilet do Honolulu, kimnąć się w jakimś podłym hoteliku, wsiąść do samolotu i nara. Za kilka dni mogę sobie siedzieć jak panisko w swojej chatce nad brzegiem morza i mieć wszystko w dupie. Uznam cały ten przyjazd do Krakowa za kaprys sentymentalnego głupca. I będę wspominać jako nieudane wakacje w arktycznym klimacie. I mogę zacząć życie człowieka, który nie ma sobie nic do zarzucenia. Mogę wziąć jeden z tych ślubów nad brzegiem morza z którąś z tych kobiet, które cię

szanują pod warunkiem, że raz na jakiś czas dasz im po gębie. Płodzić dzieci. Łowić ryby. Wypływać w morze. Pić z miejscowymi w knajpie. Nie starać się specjalnie. Aż przyjdzie śmierć i zabierze to pożyczone życie, sklezione z cudzych marzeń i książek czytanych w liceum.

Nic jednak nie zrobiłem. No, prawie nic. Sięgnąłem bowiem po kolejnego papierosa, którego zapaliłem, czując, że to wszystko, na co mnie w tym momencie stać. Wiedziałem, że nigdzie nie polecę. Ocean Spokojny był już tylko coraz mniej wyraźnym wspomnieniem, krótką przerwą na złapanie oddechu. Jak jedno mgnienie, jak przyjemny sen pozbawiony fabuły, o którym zapominasz zaraz po przebudzeniu. A jednak pozostawia po sobie słodko-smutne wrażenie chwili, której nie udało się w porę uchwycić.

Zamelinowałem się w dosyć podłym hotelu niedaleko dworca, w samym środku kurewskiego szlaku. Załatwiałem właśnie formalności, gdy drzwi otwały się z żalnym skrzypnięciem i ujrzałem swojski obrazek: podstarzała prostytutka, dzielna weteranka z ulicy Długiej, prowadziła smutnego klienta.

– Poranna zmiana, pani Ewuniu? – zagadnął nadgryzioną zębem czasu ladacznicę recepcjonista o ospowatej twarzy. Widok pani Ewuni wyraźnie go ożywił i uradował.

Wysłuzona kokota z sennym uśmiechem przysunęła się do kontuaru i oparła o niego wątłym ciałem. Miała zamglone spojrzenie i ciężkie perłowe powieki. Tusz kruszył się i opadał z rzęs na zapadnięte policzki. Zapomniała o kliencie, który chciał się stać bardzo malutki, najlepiej niewidzialny i udawać, że wcale nie planował kupić godzinki cielesnej miłości. Pani Ewunia i recepcjonista zapraszali się na kawki, herbatki, likierki, eklerki, kukułki oraz rurki z kremem. Świergotali radośnie jak dwie ptaszyny w karmniku. Klient na przemian pąsował i bladł. Zacierał nerwowo miękkie, spotniałe dłonie. Recepcjonista oddał mi paszport, nawet na mnie nie patrząc, i dalej zalecał się do łasej na komplementy damy. Zapomniany facet nie wiedział, co zrobić z rękami. Nie miał papierosa ani komórki, którą mógłby wyjąć i udawać, że pisze esemesa, by jakoś usprawiedliwić swoją beczynność i oczekiwanie. I nagle poczułem, że ogarnia mnie niepokój. Szybko zlokalizowałem jego źródło. To właśnie ten

żałosny człowieczek pod ścianą nie dawał mi spokoju. Niski, łysiejący, niepozorny frajerzyna zaciskał nerwowo pięści. Na jego czole perliły się krople potu.

Minąłem go i podszedłem do windy. Wezwałem ją, ale nadal obserwowałem faceta. Nie miał odwagi zawołać kobiety. Wstydził się. Wstydził się jak jasny gwint! Przyjechała winda. Otworzyłem drzwi i zwróciłem się do towarzystwa:

– Jadą państwo?

Prostytutka dopiero teraz mnie zauważyła. I nareszcie przypomniała sobie o swoim kliencie i o tym, po co tu właściwie przysła.

– A tak, czymaj, chłopcze, windę.

Taki ze mnie chłopiec jak z niej dziewczica, ale była starą, spracowaną kurwą, więc wybaczyłem jej tego chłopca. Wsiedliśmy. Ruszyliśmy. Dziwka zamyślona, nagle tajemnicza, pogrążona w swoim świecie, do którego wstępu nie dało się kupić. Frajer sfrustrowany i upokorzony tak bardzo, że pewnie z każdym piętrem miękła mu faja. I ja coraz bardziej niespokojny i rozstrojony. Widać, tak odwykłem od ludzkiego syfu na Morzach Południowych, że mnie to wszystko jakoś ruszało. Patrzyłem na tego niepozornego gostka i nie miałem żadnych wątpliwości. Byłem pewien, że on jej przypierdoli. Przypierdoli jej jak nic. I wcale mi nie było z tą myślą dobrze.

Wysiedliśmy wszyscy na tym samym pięttrze. Oni poszli w lewo, ja w prawo. Otworzyłem drzwi i stałem tak chwilę, oceniając pokój, chociaż niespecjalnie było na co patrzeć. Łóżko z obłupanej sklejki z wygniecionym pośrodku materacem. Nocna szafka z lampką o brudnym abażurze. Szafa dla odmiany antyczna chyba i wcale niebrzydka. Stół zupełnie zwyczajny, krzesła dwa, każde z innego kompletu. Wyjrzałem przez okno. Widok taki sam pewnie od stu lat, na zaniedbane, brudne podwórko i zaniedbane, brudne dzieci-śmieci.

Wszedłem do małej, ubogiej i przeciętnie brzydkiej łazienki. Umyłem ręce i opłukałem twarz. Spojrzałem w zaśniedziałe lustro, konstatując z rozbawieniem, że zaczynam zachowywać się jak bohater jakiegoś filmu noir! Przechadzam się, rozglądam, zaglądam. Przeglądam w lustrze. Mam różne refleksje.

Moja twarz była jak ten hotelowy pokój – nie było na co patrzeć. Typ gęby, którą w literaturze opisuje się zwykle jako interesującą lub przykuwającą uwagę. I która nigdy nie należy do głównego bohatera, tylko albo do jego głupawego przyjaciela żartownisia, albo do rzezimieszka o ksywie Johnny Krzywus. W każdym razie do kogoś, kto ginie po trzech czwartych książki, żegnany słabym tekstem swojego zabójcy. Ogorzała morda z jasną brodą rozbitka, złamany nos, niebieskie oczy, porządnie wypłukane przez ocean. I spłowiełe prawie do białości, od dwóch lat nieścianane włosy. Sięgały teraz ramion, upodabniając mnie do Kurta Cobaina albo kogoś w tym guście. Będę musiał je obciąć, jeśli nie chcę przykrej przygody już na początku tej wycieczki po najciekawszych zakątkach magicznego Krakowa. Miasta żuli i żuląt polskich.

Odląłem się, paląc szluga i nucąc przez zaciśnięte zęby *Que sera, sera*, chociaż nigdy nie przepadałem za przasną urodą Doris Day. Wyszedłem z łazienki, tym razem olewając mycie rąk. Bo bez przesady. Nie jestem jakimś pedałem, żeby tak ciągle myć ręce. Walnąłem się na wyro. Palilem, strzepując popiół na podłogę. Prawie zapomniałem o prostytutce Ewie i jej kliencie. To nie była moja sprawa. I przecież obiecałem sobie, opuszczając Kraków dwa lata temu, że koniec z przemocą. Poza tym mogłem źle osądzić sytuację.

Wiedziałem jednak, że się nie mylę. Pierdolnie jej! Pierdolnie jej mocno! Wybije jej zęby, złamie nos. Jej ciało przestanie być tak rentowne. Klienci odejdą, ceny polecą w dół. Zacznie brakować na to, co pozwalało zachować resztki człowieczeństwa. Zostaną alkohol, kompot i ulica, która w końcu pożre Makową Panienkę i wypluje któregoś dnia w jakimś zapuszczonym zaułku. Pewnie znajdą ją dopiero po dłuższym czasie. I patrząc na jej ciało, trudno będzie uwierzyć, że była kiedyś człowiekiem.

Wstałem i zgasilem niedopałek o parapet okna. Wyszedłem na korytarz. Nie wiedziałem, który pokój wynajęła. Zaufałem instynktowi. Przystanąłem, wsłuchując się w odgłosy hotelu. Dotarł do mnie stłumiony dźwięk, coś jak szloch zranionej sarenki.

Nacisnąłem kłamkę. Drzwi były otwarte. Wszedłem. Kobieta leżała skulona i naga w rogu łóżka. Było za późno, by uratować jej nos, który groteskowo przekrzywiony, jakby namalował go Picasso, stykał się z jej zakrwawionym policzkiem. Nadal mogłem jednak uratować jej zęby. Klient



stał nad nią wśród rozgrzebanej pościeli w jednej skarpetce, z własnym paskiem w dłoni. Brak paska powodował, że spodnie co rusz mu opadały z zadka, a on je podciągał, co może w innej sytuacji byłoby i zabawne, jeśli ktoś lubi ten rodzaj humoru. Ale ja jakoś nie poczułem się rozbawiony. Gość odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie. Po czerwonej, zgrzanej twarzy spływały mu grube krople potu. Szkoda mi było marnować słów na tę żalostną kreaturę. Odebrałem mu pasek jak zabawkę dziecku. Popatrzył zdziwiony na swoje puste dłonie i wtedy chyba w końcu dotarło do jego zakutego łba, że już za chwilę będzie miał poważne kłopoty. Zdzieliłem go pasem w ryj. Sprzączka przeorała mu czoło, nos i policzek, zdzierając skórę i gruchocząc kość nosa. Otworzył usta, by wrzasnąć, ale wpakowałem mu w rozwartą gębę jego własną, dziurawą skarpetę frotté. Potem złapałem go za wszarz i pociągnąłem w kąt pokoju. Kulił się tak samo jak przed chwilą Ewa, która teraz siedziała na łóżku, trzymając się za nos i obserwując z zainteresowaniem mój mały show; nie przejmowała się, że jest zupełnie naga. Widok jej mocno przejrzałych, wyschniętych piersi nie był tym, czym miałem ochotę się napawać. Tłukłem więc piździelca, aby na nią nie patrzeć. W końcu go puściłem. Zwalił się na ziemię jak worek ziemniaków.

– Przyjemna odmiana, co? – spytałem kobietę, która gniewnymi ruchami zakładała na siebie kolejne części lichej garderoby. Śliskie cieliste rajstopy, czerwoną lateksową spódnicę, która wyglądała jak cerata na stole, czerwony stanik i czarną koronkową bluzkę. Najpewniej jej przyodziewek miał być seksowny i kuszący, ale był tylko smutny.

– Moja torebka – zażądała.

Podąłem jej popękana, lakierowaną, czerwoną torbę, a ona podeszła do swojego oprawcy i zdrowo przywaliła mu nią w głowę. Nawet bez specjalnej złości. Jakby wykonywała rutynową czynność.

– Kopnij go, kobieto, poczujesz się lepiej – poddałem pomysł.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się niespodziewanie. Pomyślałem, że kiedyś musiała być całkiem ładna. Wymierzyła gnojowi kopa szpicem swojego kozaka ze skaju. Z lakierowanego skaju, ma się rozumieć.

– No, dzięki – mruknęła. Stała pośrodku pokoju, a jej dłoń znowu powędrowała do przekrzywionego nosa. Nigdy nie lubiłem Picassa.

– Pani należy się chyba małe zadośćuczynienie, kłapouszku – powiedziałem do nieuczciwego klienta, nachylając się do jego naderwanego ucha. Ten jęknął jedynie w odpowiedzi, a ja pogmerałem w kieszeni jego sfatygowanej, wyświeconej marynarki. Wysupłałem cienki, obleśny portfelik. Trzeba było załatwić wszystko jak należy. Najpierw obejrzałem sobie dowód.

– Janusz Sułek, ulica Śliczna – odczytałem na głos. Obróciłem dowód w palcach, po czym wsunąłem go do kieszeni. – Zabieram to, świński ryju, niech ci brak dokumentu dotkliwie przypomina, że wiem, gdzie mieszkasz, i chociaż nie jestem ostatnio w nastroju wizytowym, to zrobię ten wyjątek dla ciebie, jeśli dowiem się, że się szwendasz po okolicy. Znamy się już trochę, więc chyba nie muszę ci dodatkowo przypominać, że wizyta na psiarni byłaby najgłupszym pomysłem, jaki mógłby wykiełkować w tym twoim pustym łbie. Zauważ, że nie wezwałem pyt, gdy tłułeś tę panią. Zastanawiasz się pewnie, czemu. Otóż powiem ci. Policję bowiem darzę jeszcze mniejszą estymą niż takich jak ty damskich bokserów, kmiocie.

Nie wiem, po co się tak rozgadałem. Chyba dawno nie miałem do kogo paszczy otworzyć. Nie wiem nawet, czy mnie słuchał, wyglądał, jakby już całkiem zgłupiał. Popłakiwał z cicha i chyba zmoczył się w gacie. Ewa potwierdziła moje podejrzenia, nachylając się nad nim i wybuchając skrzekliwym, ochrypłym od miliona papierosów śmiechem.

– Co za ciul, złał się jak bobasek w majty.

Ja tymczasem opróżniłem portfel bobaska. Siedem stów. Sporo jak na takiego gołodupca. Może jakaś wypłata albo premia. Dałem wszystko Ewie, która nacieszywszy oczy widokiem zaszczanego Janusza Sułka, usiadła na łóżku. Zapaliła taniego, śmierdzącego papierosa. Palila z hardą miną zubożalej arystokratki, jak jakaś Scarlett O’Hara, która przysiada na resztkach swojej ojcowizny. Tyle że zamiast garści ziemi Ewa trzymała w ręku swój krwawiący nos.

– Masz jakąś kartkę, kobito? Zobaczysz, jeszcze pokażesz na dzielnicy ładną buźkę.

Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale pogrzebała w torebce i wyjęła z niej notesik, calutki w baraszkuje kotki. Otworzyłem na czystej stronie, zapisałem namiary i oddałem jej notes. Przeczytała, poruszając

wargami. Potem zerknęła na mnie, nadal nieufnie, jakbym jej podał adres, pod którym ma odebrać Sokoła Maltańskiego.

– Niech się pani nie martwi, panno O’Shaughnessy! – zażartowałem, ale po jej minie wywnioskowałem, że mogę sobie ten żart w dupę wsadzić. – Idź pod ten adres – wyjaśniłem, już nie siląc się na głupie dowcipy. – Uprzedzam, że to nie jest gabinet, który można znaleźć w „Panoramie Firm”, więc nie spodziewaj się nie wiadomo czego. Ale będzie coś w rodzaju recepcji i ktoś w rodzaju recepcjonistki, polerującej paznokcie. Powiedz, że jesteś umówiona z doktorem Judymem. Jak panna zobaczy twoją facjatę, nie będzie zadawała zbędnych pytań, tylko pójdzie po doktora. Gdy zjawi się doktor, nie zdziw się i na boga nie zaśmiej, bo jest nieco przewrażliwiony na punkcie swojej aparycji. Szczeniak wygląda na piętnaście lat, ale niech cię jego wygląd nie zmyli. Ma spore doświadczenie na polu walki. I jak mówię na polu walki, to właśnie to mam na myśli. I nie jest to żadna metafora. Kiedy Judym poprosi cię do gabinetu, przypomnisz mu, że wisi Profesorowi przysługę i właśnie ma okazję się zrewanżować.

## 2

„Jeśli nagłówek będzie wystarczająco duży, to i news stanie się ważny”.

*Obywatel Kane*

REŻ. ORSON WELLES

I tak właśnie pierwszy raz od dwóch lat złamałem swoje postanowienie o nieużywaniu przemocy. Szybko do mnie dotarło, że ten pierwszy raz jest tylko początkiem i wprawką przed tym, co nieuchronnie nastąpi. Walenie się po mordach było w moim dawnym środowisku uważane za dosyć miły sposób spędzania wolnego czasu. Judym już wiedział o moim powrocie, zaraz dowiedzą się inni. Zaczną mi składać wizyty. Takie bez kwiatów i bombonierek. Potem ja wpadnę z rewizytą i zardzewiały mechanizm starych układów pójdzie w ruch. Dlatego przede wszystkim należało sobie skombinować jakąś metę. Nie mogłem przecież zostać w hotelu na zawsze.

Pierwszej nocy spałem czujnie, wsłuchując się w każdy podejrzanym szmer. Sen przychodził na moment i zaraz odchodził, zostawiając mnie totalnie rozbudzonego, w pełnej gotowości. Próbowałem przywołać kojący szum fal, rozbijających się o piaszczystą plażę dwa kroki od mojej chaty. Nocne powietrze przesycone zapachem kwiatów, rozgrzanego piasku i wodorostów.

Zamiast morskiej bryzy od otwartego okna docierał do mnie doskonale znajomy, niedający się z niczym pomylić brutalny zapach miasta. Woń spalin, asfaltu, deszczu, ziemi. Bogaty bukiet, przywołujący obrazy z przeszłości i poruszający resztę zmysłów. Ból, faza, zmęczenie, smak kurzu i krwi w ustach. I dawne, znacznie przyjemniejsze wspomnienie jointa jarzącego się w ciemności, ciepłego podmuchu wiatru znad Wisły i widoku rozświetlonego miasta w dole. Muśnięcie jedwabistych włosów, gdy jej zmęczona, otumaniona oparami dymu głowa opadała na moje

ramię, a rozpalone udo kleiło się do mojego. Te wieczory i noce zwały się w jeden obraz. Znowu poczułem w ustach tamtą suchość wywołaną jointem, pokonaną browarem, a potem wilgoć pocałunków.

O ósmej obudził mnie uliczny gwar. Bliskość Kleparza gwarantowała takie pobudki, o czym wcześniej nie pomyślałem. Musiałem jak najszybciej znaleźć jakieś mieszkanie. Maj to nie był dobry moment na poszukiwania. Studenci jeszcze nie opuścili wynajętych za absurdalną kasę zaszczurzonych lokali.

Całe szczęście, że Kraków jest miastem, gdzie zawsze ktoś szuka mety i gdzie apartamenty krążą z rąk do rąk jak zapracowana dziwka. Pomyślałem o Ewie, mając nadzieję, że dogadała się z Judymem i ten bananowy palant poskładał do kupy jej facjatę. Jeśli nie, to będę bardzo rozczarowany, o czym medyk prędko się przekona.

Odląłem się i wziąłem szybki prysznic. Gdy spod niego wylazłem, zachciało mi się kawy. Różnica czasowa dawała o sobie znać i byłem przymulony jak po zjaraniu jakiegoś ciężkiego mózgojeba podkręconego tanią chemią. Założyłem dzinsy, koszulkę, buty i tak dalej. Wziąłem plecak z laptopem i wyszedłem z pokoju, zamykając go na klucz.

Na recepcji urzędował inny facet niż poprzedniego wieczoru, jednak też nie był kompletnie zainteresowany tym, kto się kręci po budynku. Widocznie umiejętność niezauważania otoczenia była jedną z kwalifikacji wymaganych na tym stanowisku. Recepcjonista jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran przenośnego telewizora, obserwując, jak doktor Lubicz i jego stara piją koniaczek.

Znalazłem jakąś knajpę, którą przewodnik po Krakowie opisałby pewnie jako uroczą – pastele, duperele, vintage, kontrolowany eklektyzm. Zamówiłem podwójną czarną kawę i rozsiadłem się z laptopem przy otwartym oknie, jak jakiś ostatni pedał. Co by zrobił Kojak, jakby mnie teraz zobaczył? Może nic, bo był kolegą pocziwym. Podawał nawet niekiedy rękę różnym szmaciarzom, na których widok inni tylko spluwali i nad którymi znęcali się do momentu, aż udawało im się ostatecznie złamać kruchą psychikę tych frajerów. Nigdy nie widziałem, by Kojak się

nad kimś znęcał, a przecież to była jedna z naszych podstawowych rozrywek.

Popijając gorącą, gęstą, smolistą kawę, zerknąłem do pozostawionej na stoliku „Wyborczej”. Olałem wieści z kraju i ze świata, by nie przypominać sobie o tym, że dążymy do samozagłady, pchani jakąś wewnętrzną siłą. Jak te opętane świnie rzucające się w amoku z urwiska do jeziora. Zabrałem się do krakowskiego dodatku. Na pierwszej stronie wielki lead informował: „Znaleziono trzecią ofiarę Rzeźnika z Salwatora”. Zawsze mnie zastanawiało, kto wymyśla te pseudonimy.

Rzeźnik działał na terenie Krakowa od kilku miesięcy. Nic dziwnego, że sobie tak pozwalał, skoro przeciętny funkcjonariusz posiadał inteligencję muła. Mój wzrok padł na niewyraźne zdjęcie ilustrujące artykuł. Pochyliłem się nad otwartą stroną. Tak, był jeden gliniarz, który zadawał kłam mojej teorii. Gdy go widziałem ostatnio, mierzył do mnie z glocka, tuż po tym jak przestrzelił mi żebra. Chwilę później uratowałem mu dupę. Pies zawdzięczał mi życie i kobietę.

Przeczytałem podpis pod zdjęciem: „Inspektor Aaron Goldenthal z Wojewódzkiej Komendy Głównej twierdzi, że policja jest na tropie mordercy, który od pół roku terroryzuje mieszkańców naszego miasta”.

– Awansował skurwysyn – prychnąłem.

Otworzyłem kompa i przejrzałem internetowe portale informacyjne. Znalazłem jeszcze kilka zamazanych zdjęć znad Wisły prezentujących Goldenthala i jego przydupasów.

– Masz jakieś inne dzienniki? – spytałem chłopacznę za barem. – Takie, w których jest coś o tym Rzeźniku.

Chłopak westchnął, umęczony, i poszedł na zaplecze, roztrzając koralikową zasłonę. Przymknąłem oczy i przez moment poczułem się tak, jakbym znowu był na wyspie. Słońce padało przez uchylone okno na moją twarz. Po chwili skóra zaczęła mnie parzyć. Barman wylazł z nory, ponownie roztrzając szklane koraliki. Podeszedł do mojego stolika i położył na nim plik wymemłanych gazet.

W „Dzienniku” i „Krakowskiej” też pisali o trzeciej ofierze, ale nie dowiedziałem się niczego nowego. Natomiast „Szperacz Codzienny” okazał się miłym zaskoczeniem. Na okładce szmatławca widniała morda

Goldenthala. „Czas grozy! Trzecia rzeź nieuchwytnego seryjnego mordercy” – głosił ociekający krwią tytuł. I drobniejszym drukiem: „Mieszkańcy Krakowa znowu żyją sparaliżowani strachem. Po trzymiesięcznej przerwie Rzeźnik uderzył ponownie! Ile osób zostanie jeszcze bestialsko zaszlachtowanych, zanim policja schwyta zwyrodnialca? Czy kontrowersyjny inspektor policji Aaron Goldenthal – homoseksualista, milioner i potomek krakowskiej arystokracji – sprosta zadaniu i udowodni, że jest kimś więcej niż tylko lokalnym krezusem, dla którego służba w policji jest zwykłym kaprysem?”. Porządna gazeta, pomyślałem z zadowoleniem. W środku autor artykułu dalej jechał po Goldenthalu jak po burej suce. Czytałem z prawdziwą przyjemnością. Pismak wyciągał różne brudy w rodzaju romansu inspektora z gogusiowatym dziennikarzyną Bergenem. Artykuł ilustrowało zdjęcie sprzed kilku lat, przedstawiające ich razem na Krakowskim Przedmieściu. Na moment przed oczami stanął mi widok tych dwóch w akcji. Czym prędzej odwróciłem stronę.

A tam była ona. Tyle że jak nie ona. Wiedziałem doskonale, że nie jest tą samą osobą, którą znałem piętnaście lat temu. Tamta dziewczyna nigdy nie włożyłaby takiej różowej sukienki Barbie ani takich butów na obcasie, w których można było chyba tylko leżeć na policyjnym biurku z rozłożonymi nogami. Długie blond włosy spływały po prawej stronie twarzy, oczy przysłaniały ciemne okulary. Cały ten perfekcyjny wizerunek burzyły umięśnione ramiona wystające z cukierkowej kreacji. I biegnąca przez policzek szpetna blizna, wyraźnie odcinająca się od opalonej skóry. Jej też nie oszczędził pozbawiony skrupułów szperacz: „Ślicznotka grozy! Czy ta była gwiazda telewizji, o której wiadomo, że zabiła z zimną krwią kilka osób, to rzeczywiście najlepsza prywatna detektyw w Polsce, czy może tylko pazerna na pieniądze i sławę, pozbawiona skrupułów celebrytka? Niegdyś partnerka i kochanka Wiktora Bergena. Teraz narzeczona inspektora Goldenthala...”.

– Kolo zalicza dzielnicami – głos barmana wyrwał mnie z zamyślenia.

– Słucham?

– No ten psychol, o którym czytasz – wyjaśnił barman. – Zabił już trzy laski, każdą w innej dzielnicy. Nie skończy, póki nie zaliczy każdej dzielni Krakowa. Czaisz?

Dopiero teraz dotarło do mnie, o czym on gada. W dupie miałem Rzeźnika i jego objazdową krwawą łaźnię. Chciałem tylko sprawdzić Goldenthala. Bo ten pies nie był jedynie wychuchanym metroseksualnym amatorem siłowni Spartakus. Podobnie jak ona, był również mordercą. Gdy wyjeżdżałem, miał na koncie co najmniej sześciu zabitych w majestacie prawa. Swojej pierwszej ofierze skręcił kark gołymi rękoma. Rzeźnik nie był jedynym pojebem w Grodzie Króla Cracka.

– Totalny świr – nawijał koleś, przeczesując łapami swoje idiotyczne loczki. – Każdą zabija inaczej. Powoli, jakby mu się nie spieszyło. Policja uważa, że on musi mieć wyciszone, odosobnione pomieszczenie, w którym to robi. Przysposobił jakąś piwnicę, bunkier, strych. Pierwszą ofiarę porwał w grudniu z Salwatora. To wtedy nadano mu ten przydomek. Dopiero potem okazało się, że psychol nie ogranicza się tylko do tej części miasta. Trzymał pierwszą kobietę w niewoli dwa tygodnie. Obcinał jej kończyny, jedną po drugiej. Opatrywał kikuty, podtrzymywał ją przy życiu. W końcu odciął głowę piłą. Chory klimat.

Napiłem się kawy. Dzień był gorący, ale kawa zdążyła wystygnąć.

– Drugą trzymał tydzień – kontynuował barman. – Znaleziono ją tuż po Nowym Roku. Najpierw wyłupił jej oczy, potem obciął język. W takim stanie żyła jeszcze kilka dni. Następnie odrąbał jej głowę siekierą. Podobno trafił dopiero za trzecim razem... Rzygać się chce, jak człowiek o tym pomyśli. Całe miasto żyło w strachu. A potem nagle wszystko ustało. Przez ponad trzy miesiące był spokój. Aż znaleźli tę trzecią nad Wisłą. A trzecia to sam wiesz, jak z nią było, bo czytałeś...

– Co było z trzecią? – zachęciłem barmana, bo w sumie nie doczytałem, a trochę mnie to nawet zaciekało.

– Podpalał ją kawałek po kawałku. Podpalał i gasił, i znowu podpalał. A potem...

– Dokonał dekapitacji?

– Uciął jej głowę! Strach wyłazić po zmroku. Człowiek się cieszy, że nie jest laską!

– A coś je łączyło?

– Nic! Poza płcią. Były w różnym wieku, inne typy urody. Ta pierwsza była menedżerką i mieszkała samotnie w wielkim apartamencie na



Salwatorze. Druga, nauczycielka z Kurdwanowa, miała męża i dzieci. Trzecia to jakaś studentka psychologii z UJ-otu. Wynajmowała mieszkanie na Ruczaju. Dziwna sprawa...

Właśnie, trzeba poszukać mieszkania. Nie zamierzałem poświęcać temu zagadnieniu więcej czasu niż minimum niezbędne do rozpoznania, czy chata jest zaszczurzona, czy też nie. Kluczowy był jednak wybór dzielnicy. Mój rodzinny rejon odpadał – za dużo wspomnień, za dużo powiązań i w związku z tym za dużo osób, które szybko zaczęłyby traktować moje mieszkanie jak metę, gdzie można się napić, ściągnąć kreskę i zdeponować trochę jakiegoś gówna na bliżej nieokreślony czas. Na własne oczy widziałem, jak całkiem przyjemne mieszkanie obracały się za sprawą lokalsów w perzynę.

– „Kolejno domy wznoszą się i upadają, niszczeją, są usuwane... rozbierane...” Jak to leciało dalej? – spytałem sam siebie. – „Ich miejsce zajmuje pole, fabryka lub objazd...” Nie, nie, żadna fabryka ani żaden objazd, podjazd, pojazd ani zajazd. Najwyżej dojazd. Ze strony ziomków.

Barman spojrzał pytająco znad swojego maca.

– He? Pytasz o dojazd od strony Zielonek?

– Nie.

– A od jakiej strony?

– Od dupy strony.

– A, czyli o kluby pytasz? Dla eee... gejów.

– O nic nie pytam.

– To dobrze, bo nie jestem stąd.

Zatęskniłem za starym typem barmana, takim jak z naszej lokalnej spelunki. Rudy był zacynym koleżką. Łysy, ale z brodą, małomówny, mrukliwy, ponury. Zawsze zapatrzony w śnieżący ekran telewizora, monotonnie, bez końca wycierał brudną ścierą jeden i ten sam kufel. Ślepy i głuchy na rozgrywającą się pod jego nosem rzeź. Ten tu zaś był barmanem nowego typu – ani to modny, ani to nudny, stare przemieszane z nowym, drogie z tanim, pedalskie z gejowskim, chujowe z jeszcze gorszym. Zapewne przyjechał na nauki do naszego miasta z jakiegoś Radomia i rynek nieruchomości miał w małym palcu. Zaliczył do tej pory niejedno lokum,

które w opisie występowało jako przytulne, a okazywało się ciasną, niedoświetloną suteroną.

I wtedy to zobaczyłem. Ulica Tyniecka, stara kamienica, cztery pokoje. Umeblowane. Widok na Bulwary Wiślane. Cena jak za garsonierę na Ruczaju. Wystawione miesiąc temu. Gdzie tkwił haczyk? Literatura kryminalna znała takie przypadki. Perypetie z tanim mieszkaniem. Szybko wybrałem numer pośrednika.

– Właściciel ma pewne wymagania. – Agent usiłował mnie zniechęcić, gdy tylko usłyszał, o które mieszkanie mi chodzi. Widocznie mój akcent sugerował, że tych wymagań na pewno nie spełnię.

– Proszę więc sprawdzić, czy się nadaje – powiedziałem z uśmiechem, mając nadzieję, że on ten uśmiech wyczuwa po drugiej stronie, że się tak wyrażę, druta.

– Jest pan studentem?

– A skąd.

– Ma pan jakieś zwierzęta?

– Zamierzam jak najszybciej przygarnąć jakiegoś małego kotka.

– Ma pan coś przeciwko pedałom?

Powiedział pedałom, nie gejom. Pedałom.

– Absolutnie nie!

– A jakby taki pedał pana zaczepił? – drążył facet.

– Proszę pana, gdy się poznamy, szybko pan zrozumie, że żaden pedał mnie nie zaczepi...

– Jak mam to rozumieć? – spytał podejrzliwie.

– Tak sobie tylko żartuję. Mogę obejrzeć mieszkanie czy zamierza pan wcześniej pobrać ode mnie próbkę jakiejś wydzieliny?

– Może pan być na miejscu za godzinę? – spytał sztywno. Moje żarty go nie bawiły. Zauważyłem, że w ogóle mało kogo w tym mieście bawiły. Na mojej wyspie wystarczyło, że najebany spadałem ze stołka przy barze, aby gawieź szalala z uciechy. Tu było trudniej. Trzeba się było naprawdę postarać, żeby rozbawić rozpuszczonych jak dziadowski bicz mieszkańców tej stolicy kultury.

Potwierdziłem, że mogę być za godzinę, i się rozłączyłem. Spakowałem laptopa do torby, skinąłem barmanowi głową i wyszedłem z knajpy. Włożyłem ciemne okulary, bo słońce stało już wysoko. Dzień był ciepły, prawdziwie wiosenny, niemalże radosny. Ja także byłem niemalże radosny.

Postanowiłem dostać się na Dębniki piechotą. Przynajmniej pooglądam sobie moje miasto. Powspominam, pomyślę. Przeszedłem obok Kleparza, minąłem Lot. Przeciąłem Planty i Sławkowską i dotarłem na zatłoczony, gwarny Rynek. Turyści rozkoszowali się turystyką, siedząc w kawiarnianych ogródkach. Tam gdzie żaden krakus by nie usiadł. „Znamy lepsze miejsca, ale zachowamy je dla siebie”, mówiły pogardliwe spojrzenia autochtonów. Żebyś nam nie zawłaszczył kolejnego kawałka miasta, szwabski najeźdźco, brytyjski moczymordo, francuski piesku, amerykański ignorancie.

Było trochę inaczej, niż zapamiętałem. Brakowało starej preclary, która robiła się agresywna, gdy się ją prosiło o obwarzanka z cukrem. Król Zygmunt Stary nie przyjmował hołdu pruskiego, złote nuty nie spadały na Rynek, na Brackiej też nie padało. Jakbym trafił do miasta ze snu. Znajomego, a równocześnie obcego. Niby wesołego na pierwszy rzut oka, a smutnego przy bliższym poznaniu. Pełno tu było ludzi, ale wszystkie twarze obce. To miasto tak bardzo chciało być kulturalne i światowe, jednak napisy na ścianach zdradzały, że mieszkają tu same chamidła.

Jakby na potwierdzenie, przed moją twarzą przeleciał tłusty, brudny gołąb i nasrał mi pod nogi. Uskoczyłem. Gołąb opadł ciężko w dół, bo oto przed nim rozpościerała się prawdziwa uczta z resztek upuszczonego kebabu. Zaraz zleciały się następne. Zaczęły wydzierać sobie mięsne ochłapy, a ja byłem ciekaw, czy ten kebab nie jest aby z gołębi i czy one nie oddają się właśnie aktom kanibalizmu. Kebab znikł raz-dwa. Część ptaków odleciała w poszukiwaniu następnego popasu, a dwa zaczęły kopulować ku uciesze jakichś gimnazjalistów. Wysrać się. Nażreć. Podupczyć, pomyślałem i poszedłem dalej, żeby nie wzięli mnie za jakiego zoofila, co to lubi patrzeć na ruchające się gołębie. Pod parasolami Zwisu krakowska bohema raczyła się dżekusiem. Jak stado czarnych kruków, tym razem nie w swetrach, bo za ciepło, tylko w czarnych jak bezgwiezdna noc podkoszulkach. Pomiedzy artystami jakaś blond lalunia w różu popijała colę. Szedłem dalej, w stronę Jubilatatu.

„Wszystko w ogromnym hotelu opustoszało kolejny raz. Puste salony, korytarze, salony, drzwi, drzwi, salony... puste krzesła, głębokie fotele... schody, schody, kroki jeden po drugim... obiekty szklane, puste kieliszki...”

*Zeszłego roku w Marienbadzie*

REŻ. ALAIN RESNAIS

Dzielnica Dębniki może wydawać się bardzo ładna, jeśli ktoś lubi klimat małych miasteczek, zabytkowych kamieniczek i przedwojennych dworców.

Miałem jeszcze jakieś dziesięć minut do nadejścia agenta. Usiadłem więc na ławce na wałach, tyłem do Wisły, aby z dystansu pooglądać otynkowany na biało dziewiętnastowieczny dworek po drugiej stronie ulicy. Obserwowałem wejście. Słońce stało w zenicie. Poczułem ogarniającą mnie senność. Mój wzrok zaszedł mgłą. Usłyszałem dalekie śmiechy i głosy. Dobiegające jakby z wnętrza klatki schodowej, studni albo grobowca. Skrzypnięcie ciężkich, drewnianych drzwi wejściowych, które rozwarły się na całą szerokość – i z ciemnej pieczary wyszła para. Nie mogłem ich dobrze zobaczyć, widok był zamazany, a budynki, drzewa i ludzie pozbawieni konturów. I jeszcze to boleśnie oślepiające słońce, odbijające się w szybach samochodów i w oknach mieszkań. Promienie grały w jasnych włosach tych dwojga. Nie widziałem ich twarzy, ale mogłem przysiąc, że oczy mieli niebieskie jak Pacyfik, tak samo przejrzyste i głębokie.

Drzwi do grobowca zatrzęsnęły się z hukiem, wyrrywając mnie z letargu. Mój wzrok odzyskał ostrość. Pary nie było.

Przed bramą wejściową stał za to facet, wyglądający bez wątpienia na agenta nieruchomości, i spoglądał na zegarek. W końcu niepewnie przeniósł wzrok na mnie. Był zafrasowany i zmieszany, jak zmieszani

i zafrasowani bywają ludzie, którzy umówili się na spotkanie, ale nie wiedzą, jak wygląda ten, z którym się umówili. Spoglądają zagubieni w każdą twarz, szukając podobnego zagubienia, które pozwoli im się rozpoznać. Pomachałem mu. Uniósł również dłoń, jakby chciał odmachać, ale się rozmyślił. Pewnie gest wydał mu się zbyt zniewieściały. Może bał się, że po tych wszystkich pytaniach krążących wokół homoseksualizmu mogło to wyglądać jak zachęta do robienia sobie nawzajem lodów.

Zszedłem z wałów i przywitałem się z agentem mocnym heteroseksualnym uściskiem dłoni. Przedstawił się jako Romek Przędza. Podałem jedno z moich zapasowych nazwisk. Przędza puścił mnie przodem do mrocznej sieni. Gdy mijaliśmy pierwsze piętro, koleś zerknął na pomalowane na niebiesko drzwi. Powędrowałem za jego spojrzeniem. Do framugi przybita była mezuzza. Ludzie to mają jednak odwagę! Zza drzwi dolatywały zapach porządnego polskiego obiadu oraz dźwięki pianina i wyśpiewywanej w języku germańskim frywolnej przedwojennej piosenki o ponętnej Loli, gwiazdce sezonu, co dupy chętnie dawała.

– Jak tu... kosmopolitycznie – pochwaliłem, wskazując drzwi, aby facet wiedział, że bardzo mi się to wszystko podoba. Kusiło mnie równocześnie, aby mu opowiedzieć jedyny, jaki znałem, nawet dość niezły kawał o Niemcu, Rusku i Polaku.

– Sąsiedztwo jest tu zdecydowanie kolorowe – odparł agent i zaraz sprostował. – To nie znaczy, że mieszka tu Murzyn. Murzyn nie.

– Rozumiem, kolorowy w sensie tęczy, czyli jednym słowem: pedał!

– Zgadł pan, tu mieszka pedał. – Facet był chyba ze mnie bardzo zadowolony. Domyślałem się, że sąsiad odgrywał kluczową rolę w procedurze wynajmu. Jednak koleś z biura nieruchomości nie bardzo go lubił. Jeśli chciałem to mieszkanie, musiałem zdobyć serca obu.

– Jego sprawa, żyd, buddysta, z zamiłowania faszysta, niech będzie i Murzyn, wszystko mi jedno. Nawet mu drzwi przytrzymam, jak będzie szedł na paradę obładowany transparentami. Ale będę się starał niczego przy nim nie upuszczać. – Mrugnąłem porozumiewawczo. Kawał był tak sucharowaty, że można było sobie zęby połamać. Mojemu przewodnikowi chyba mimo wszystko przypadł do gustu, bo na chwilę jego twarz opromienił radosny uśmiech. Zaraz jednak zgasł i gęba na powrót stała się

profesjonalną gębą specjalisty od wciskania ludziom mieszkań powyżej ceny rynkowej.

– On musi pana polubić – powiedział, jakby mówił o domowym zwierzęciu. – I nie wolno go nękać.

Uśmiechnąłem się dobrotliwie. Chciałem wydać się niewinny i poczciwy jak Matka Teresa, zanim jej zaczęli wyciągać brudy na temat domniemanych defraudacji. Facet nie musiał wiedzieć, że nękanie było niegdyś moim hobby, przy którym tak się rozkręciłem, że przeszedłem na zawodowstwo.

Stanęliśmy przed podwójnymi drzwiami na drugim piętrze. Chłop wygrzebał pęk kluczy i zaczął otwierać kolejno trzy zamki. Muzyka piętro niżej ucichła. Usłyszałem szcęk zamka i skrzypnięcie otwieranych drzwi poniżej, a następnie szuranie. Oho, na klatkę schodową wczłapał pedał. W tym momencie agent uporał się z ostatnim zamkiem i szybkim ruchem zagnał mnie do mrocznego wnętrza. Tymczasem na schodach zadudniły ciężkie kroki.

– Zaraz tu będzie, a niech go! – zafrasował się Roman. – Nawet panu nie zdążyłem pokazać lokalu.

– Nic nie szkodzi, widzę, że ładny. Biorę.

– Nie chce pan nawet zobaczyć sypialni? – zdziwił się.

Oglądanie sypialni w towarzystwie tego wypłosza było ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę.

– Tu jest kuchnia. – Ruszył w kierunku okna, by odsłonić żaluzje, gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł krągły jegomość z łysą głową. Jak mogłem w półmroku ocenić, ogoloną dosyć dokładnie.

– Dzieńdoberek – przywitał się sąsiad. – Nowy kandydat, panie Romku? Czemuś pan od razu do mnie nie zajrzał, nie musiałbym się tu wspinać jak jakiś alpinista. Ciemno tu jak w dupie.

Łysy pstrykał włącznikiem światła tam i z powrotem, jakby w nadziei, że w końcu zaskoczy.

– Trzeba na nowo prąd podłączyć – wyjaśnił Roman. – Od pół roku mieszkanie stoi puste.

– Pół roku – westchnął gruby. – Ale ten czas leci.

– Coś się tu wydarzyło? – spytałem, kładąc łapę na ramieniu sąsiada.

– Dużo nieszczęścia, smutku, złych emocji – wyjęczał zapytany, a jego wzrok powędrował w kierunku mojej dłoni. Chyba mu się spodobała. Moja morda, o dziwo, również. – Oj, działo się tu, działo! Przemoc była nawet.

– Co za bzdury! – wkurzył się Roman. – Nic podobnego!

– Nieważne, jestem zdecydowany – powiedziałem rażno i odwróciłem się do sąsiada. – Usiądziemy przy browarze któregoś wieczoru, to mi pan wszystko opowiesz.

Perspektywa wspólnego żłopania piwa wyraźnie ucieszyła grubego.

– A pewnie, trzeba żyć po sąsiedzku. Edward jestem. – Uścisnęliśmy sobie ręce, a sąsiad zwrócił się do agenta: – Panie Romku, jestem na tak. Ten chłopak mi pasuje.

– No dobrze – zgodził się agent. – Jak pasuje, to pasuje.

Wprowadziłem się trzy dni później.

Rzuciłem plecak na podłogę i w końcu przeszedłem się po pokojach. Odśloniłem wszystkie żaluzje i zasłony. Panował lekki zaduch, więc otworzyłem też okna. Przykryte prześcieradłami meble wyglądały jak duchy. Regały zapełniały książki, których poprzedni lokator widocznie już nie potrzebował. Na środku salonu stał stół. Bez wahania zsunąłem z niego prześcieradło. Blat miał wzór szachownicy wykonanej z dwóch różnych rodzajów drewna. Przejechałem dłonią po gładkiej zimnej powierzchni, aż do długiego na dwa centymetry wyżłobienia. Blizna odrobinę go szpeciła. Jak to blizna.

Sypialnia od podwórka mnie nie interesowała. Była jakaś taka różowa i babska, chociaż o tym różu przypominał tylko fragment ściany wylazący spod starej tapety. Druga sypialnia miała okna wychodzące na Wisłę. Od razu zdecydowałem, że będzie moja. Potem szybko podszedłem do okien, aby je pootwierać i wpuścić światło. Dopiero wtedy odwróciłem się w kierunku drzwi. Różniły się od pozostałych. Tamte były jeszcze przedwojenne, miały drewniane ramy z filunkami wypełnionymi matowym szkłem. Te były nowsze, całe z drewna. Popatrzyłem na parkiet. Cyklinowany, zapewne wtedy, kiedy wstawiono te nowe drzwi. Czasami nie ma wyboru. Są plamy, których nie da się zmyć.

Łóżko wyglądało na nowe. To mnie ucieszyło. Nie żebym miał jakieś uprzedzenia, ale nie chciałem myśleć o tym, ile osób spało tu przede mną i co robiło. Nie byłem już turystą. Ogarnąłem sypialnię wzrokiem. Tu również wszystko było przykryte białymi płachtami materiału. Zacząłem zrywać prześcieradła z mebli, obnażając je aż do ostatniego nocnego stoliczka i secesyjnej lampki. Nie chciałem, żeby dom coś przede mną ukrywał. Słyszałem trzask rozdzieranego materiału. Jakbym zrywał ubranie z wynajętej dziwki.



# 4

„To bardzo ładne. Słyszałem to kiedyś. Prawdę mówiąc, słyszałem wiele razy takie historyjki. Opowiadano je przy cichych dźwiękach pianina dobiegających z salonu. Zawsze zaczynały się tak: «Proszę pana, gdy byłem mała, poznałam faceta». Żadna z naszych historii nie jest zabawna”.

*Casablanca*

REŻ. MICHAEL CURTIZ

TCM nadawało *Casablancę*; oglądałem, chociaż znałem ten film na pamięć. Zastanawiałem się, kim teraz jestem. Drugoplanowym pajacem, jak Ugarte? A może nadal Rickiem? Tak jak on zapijałem swoje smutki i kontemplowałem poczucie straty. W decydującym momencie zaaprobowałem wybór Elsy. Wybór, który wykluczał mnie z gry. Zostawiłem jej naprawianie świata.

To była pierwsza noc w nowym mieszkaniu. *Casablanca* stanowiła doskonale powitanie i komentarz do mojej sytuacji. Celebrowałem wieczór pizzą, browarem i szlugiem, leżąc w wyrze. To pewnie były ostatnie spokojne chwile. Osiedle upomniało się w końcu o mnie. Kojak nie tłumił w mejlu targających nim emocji: „Czy mi się wydaje, czy ty, kurwa, zapomniałeś, skąd jesteś? Mamy nowego admina (chłop nazywa się Gabriel Lezuj, ale mówimy na niego Opiekun). On bardzo chce się z tobą spotkać i pogadać, a ja jako twój ziomek dobrze ci radzę, spotkaj się z nim. My też chcemy pogadać, ja chcę pogadać. Podobno zdupcyłeś przed psami. Inni mówią, że przed pomiotem Hrabiego. Że dostałeś wyrok. Że zmieniłeś nazwisko. Stałeś się legendą – korsarzem, mnichem tybetańskim, terrorystą, wstąpiłeś do Legii Cudzoziemskiej. A znając życie, pewnie siedziałeś w jakiejś Bydgoszczy i dupcyłeś małolaty”.

Kojak to był prawidłowy chłopaczyna i należał mu się pakiet informacji. Nadal planowałem trzymać się od dawnego życia z daleka, ale wizyty na

Osiedlu nie dało się uniknąć. Zawsze to jednak elegancko stosować się do obowiązującej etykiety. Nie miałem zamiaru składać przysięgi wierności nowemu adminowi, ale byłem ciekaw, co za typ kieruje teraz moją starą dzielnią. Poza tym robić sobie z niego wroga byłoby nierozsądnie.

Przed wizytą na Osiedlu musiałem zrobić jeszcze kilka rzeczy. Przede wszystkim odzyskać samochód. Zgasilem niedopałek w popielniczce i sięgnąłem po telefon. Wybrałem numer, zakładając, że się nie zmienił przez te dwa lata.

– Słucham – burknęła.

– To ja – oznajmiłem.

Nastąpiła pauza, a ja przypomniałem sobie, jak bardzo nie lubi niespodzianek.

– Aha – stwierdziła w końcu. – Wróciłeś?

– Ano wróciłem.

– Po co? – spytała bezceremonialnie.

– Nadszedł czas.

– OK. Nadszedł czas. Twoja sprawa. Nic mnie to nie obchodzi – wyrzuciła z siebie na wydechu, a ja poczułem idiotyczną satysfakcję, że udało mi się ją wkurwić, że pewnie zaciska pięści i tupie w parkiet obcasem swoich zdirowatych butów. – Czego ode mnie chcesz?

– Mojego samochodu. Niczego więcej.

– Dobra – mruknęła w odpowiedzi i usłyszałem, jak przekłada kartki. – Bądź jutro o dziewiętnastej pod garażami na Bronksie. Dostaniesz swojego rzęcha.

– Znakomicie.

Odłożyła słuchawkę bez pożegnania. Bardzo to było niegrzeczne i równocześnie bardzo dla niej typowe. Patrzyłem niewidzącym wzrokiem w ekran. *Casablanca* już się skończyła. Teraz dawali *Arszenik i stare koronki*. Dobrze, że nikt mnie nie widział, jak oglądam tę ramotę, bo niby moja ksywa usprawiedliwiała ekscentryczne wybory, ale istniały pewne granice. Film, którego bohaterkami były dwie stare baby, wykraczał poza te granice. Tym razem jednak nie rozczuliła mnie nawet scena z prezentacją paskudnej mordy Jonathana, jak to bywało kiedyś. Moje myśli pochłaniała

zakończona właśnie rozmowa. Nie spodziewałem się, że mój powrót ją ucieszy, ale trochę zdziwiła mnie ta jawna wrogość.

Śnił mi się ocean. Nie widziałem go, ale słyszałem. Byłem pewien, że jest gdzieś w oddali. Szedłem przez jasne, nowoczesne wnętrza. Zakrętem za zakrętem, kolejne korytarze, znowu zakrętem, szerokie schody bez poręczy. Duża, rozświetlona słońcem kuchnia, sterylna jak laboratorium. Po środku stół, uginający się pod ciężarem egzotycznych owoców ułożonych w wykwintne, barokowe aranżacje. Idę dalej. Jest coraz jaśniej. Wchodzę do salonu. Spoglądam na niskie białe kanapy, siedziska i fotele, które wydają się wyjątkowo wygodne. Czuję, że powinni tu przebywać jacyś ludzie, ale nikogo nie ma. Ocean jest coraz głośniejszy, a przez jego szum przebija się kwilenie. Wiem, że to nie morski ptak. To coś zupełnie innego. Salon od tarasu oddziela szklana ściana. Gdy podchodzę, ściana znika. Rozsuwane drzwi stoją otworem. Pośrodku tarasu znajduje się basen wypełniony fosforyzującą, błękitną wodą. Jednak w oddali widzę ocean i to on interesuje mnie najbardziej. Wtedy zauważam ją. Stoi na końcu tarasu. Ma na sobie białą sukienkę, która wzdyma się lekko pod wpływem bryzy znad oceanu. Długie, jasne jak piasek włosy powiewają, poruszone ciepłym wiatrem. Jestem już na tarasie i wiem, że ona wie o mojej obecności, a jednak się nie odwraca. Chce, abym to ja do niej podszedł. Widzę, że trzyma coś w rękach. W taki sposób, że nie mogę zobaczyć, co to jest. Chcę zrobić krok do przodu, ale nagle zauważam, że woda w basenie już nie jest niebieska, tylko czerwona od krwi, a po jej powierzchni dryfują wzdęte, białe zwłoki...

Budzę się gwałtownie.

Przezesuję dłonią włosy. Są mokre. Krew pulsuje mi w skroniach. Gdy tętno zaczyna zwalniać, słyszę jednostajny szum przejeżdżającej pod oknem ulicznej polewaczki. A na drzewie siedzi ptak i wyje. Nie śpiewa. Wyje! Zastanawiam się, jak pokonać basen pełen krwi i trupów. Chcę zasnąć i śnić dalej mój sen. Ale im bardziej próbuję, tym bardziej mi się nie udaje.

Dotarłem na wzniesienie w momencie, gdy słońce zaczęło zachodzić nad Bronowicami. Znikało powoli za garażami położonymi na wzgórzu,

wyznaczającym granicę Bronksu. To była ziemia niczyja, teren neutralny, którego nie chcieliśmy ani ja, ani ona. Doskonałe miejsce na spotkanie.

Oparłem się o trzepak i zapaliłem papierosa, ciekaw, ile będę zmuszony na nią czekać. Okazało się, że zaledwie dziesięć minut. Na drodze zobaczyłem zbliżający się tuman kurzu, wznoszony przez samochód – tak ekscentryczny i rzucający się w oczy, że mógłby należeć do celebryty. Ale na pewno nie do prywatnego detektywa. Przynajmniej nie takiego, który chce zachować anonimowość. Czarny de tomaso deauville z lat siedemdziesiątych. Wyjątkowo rzadki okaz. Znałem tylko jedną osobę, która jeździła takim autem. Tę osobę ona unieszkodliwiła dwa lata temu. Widocznie potem kupiła samochód swojego wroga. Jakie to do niej podobne. Pierwotne jak zdzieranie skalpu albo zjedanie serca. Wsadzić wroga za kratki to dla niej za mało, ona musiała go jeszcze upokorzyć. Poprzednia właścicielka dbała o pojazd, jakby był jej ukochanym dzieckiem. Obecna rozbijała się nim chyba po nielegalnych rajdach. Był brudny, miał obtłuczoną maskę, lakier porysowany w wielu miejscach i wgnieciony lewy bok.

Samochód zatrzymał się kilka metrów ode mnie. Czekałem, aż opadnie pył. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Patrzyłem, jak wysiada. Bardzo elegancko, jak jakaś Lady Di czy inna wielka dama, którą uczono, w jaki sposób wysiadać z auta, aby nie pokazać przy tym majątek całemu światu. Zatrzasnęła za sobą drzwi i stanęła w tych ostatnich promieniach słońca niczym w blasku reflektorów. Miała na sobie ładne kilka tysięcy. Skrawek białego materiału udający sukienkę. Wysokie szpilki, chyba kremowe, ale chuj je tam wie. Pewnie źle nazwałem kolor i jest to beżowy albo écru. W dłoni trzymała fioletową torebkę Chanel, przynajmniej tyle byłem w stanie rozpoznać. Obwieszona była też sporą ilością złota, które zdobiło, co tylko dało się ozdobić.

Podeszła do mnie, nie zdejmując ciemnych okularów zasłaniających pół twarzy. Nie zdołały jednak zakryć blizny szpecącej jej policzek. Biegła po przekątnej od ust do skroni. Znamię wyraźnie odcinało się jasnoróżowym kolorem na tle jej opalanej skóry. Wyciągnęła rękę na powitanie. Uścisnąłem ją. Uśmiechnęła się półgębkiem, zniekształcając linię blizny.

– Nie ruszałam go od twojego wyjazdu – powiedziała bez wstępu. – Bak powinien być pełny.

Ruszyła w kierunku garażu, a ja za nią. Jasne włosy sięgały jej prawie do pasa. Materiał sukienki opinał ciasno pośladki, na które mimowolnie ześlizgnął się mój wzrok. Nogi miała szczupłe i umięśnione.

Otworzyła garaż. Stał tam mój ford – brudny i zwykły. Podała mi kluczyki, a ja wsiadłem do samochodu, który był na tyle uprzejmy, że nie zrobił mi wstydu i zapalił od razu. Wyjechałem nim i wysiadłem. Ona tymczasem zamykała garaż.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – spytała niecierpliwie, odwracając się i podchodząc do mnie. Była gotowa wyjąć z portfela plik banknotów i mi go wręczyć. Byle tylko się mnie pozbyć. Brzydziła się mną. Poczujęm, że zaczyna mnie to irytować. Nie była w niczym ode mnie lepsza, ale zdawało jej się, że jest. To całe złoto, te szmaty od kreatorów, absurdalnie droga torebka i ekstrawagancka bryka to były jej barwy ochronne. Miały mnie przestraszyć i pokazać, jak wysoko się wspięła po drabinie społecznej. Jak bardzo odcięła się od przeszłości i jak całą sobą reprezentuje wszystko, czego nienawidzę.

– Niczego. Wyluzuj, nic od ciebie nie chcę. Wróciłem, bo...

Przerwała mi gwałtownie, wyciągając przed siebie rękę niczym Gandalf w otchłaniach Morii. Prawie usłyszałem, jak gromkim głosem wypowiada: *You shall not pass!!!*

– Nie interesuje mnie, po co tu przyjechałeś – prychnęła, wydymając uszminkowane na różowo usta. – Popełniłeś błąd, ale to twoja sprawa. Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka.

– Taki mam zamiar. Dalej mieszkasz na Dębnikach? Pytam, żeby wiedzieć, do której dzielnicy nie zaglądać.

– Wyprowadziłam się.

– Do tego typu z policji?

– Nie twoja sprawa.

– Spoko gość. Ale trochę pedał, nie?

– Nie.

– W każdym razie miły gość.

– Wcale nie – odburknęła. Nawet nie zauważyła, kiedy dała się wciągnąć w rozmowę.

- Sprzedałaś swoje mieszkanie?
- Wynajęłam.
- Bardzo rozsądnie. Komuś zaufanemu?
- Zostawiłam wybór sąsiadowi.
- To znaczy?
- Żeby mu pasował – odparła zirytowana, oszczędzając słowa, jakby było jej szkoda tracić je na pogaduszki ze mną. – Arden mu spasował. Niech ma.
- Enoch Arden? – spytałem z zaciekawionym.
- Alfred Arden – odparła obojętnie.
- Pomyślałem o tym poemacie Tennysona *Enoch Arden*.
- Jakim znowu poemacie? – spytała zniecierpliwiona.
- *Enoch Arden* – powtórzyłem wyraźnie po raz trzeci. – O tym chłopie, co po latach wraca w rodzinne strony i dowiaduje się, że jego narzeczona... a zresztą nie będę ci spojlerował, powinnaś to przeczytać.

Wiedziałem, że mało co nudzi ją tak bardzo jak poezja, której znajomość ograniczyła do *Kota w pustym mieszkaniu*. Podobał jej się, bo według niej był o kocie. Koniec. Tę ignorancję nosiła przed sobą jak tarczę. Zawsze taka była. Ale wcześniej bardziej mnie to rozczulało, niż irytowało.

Tak jak wtedy, czternaście lat temu. To też był maj, ale gorący jak lipiec. Tuż przed katastrofą. Siedzieliśmy na łóżku w jej pokoju, w pustym mieszkaniu. Jak te koty. Musiała poprawić ocenę z polaka na koniec trzeciej klasy, bo tego żądali jej starzy, ale na razie ograniczała się do pyskowania babie.

– To nie jest wiersz o kocie – usiłowałem jej wytłumaczyć – tylko o śmierci i o tym, jaką pozostawia pustkę u tych, którzy nadal żyją. Szymborska napisała to po śmierci swojego gacha, Kornela Filipowicza. To taki antropomorficzny kot.

Wyjęła mi z rąk podręcznik i postukała palcem w otwartą stronę.

– Wierz mi, gdyby było tak, jak mówisz, i chodziło o jakąś pustkę, to ten wiersz nazywałby się „Pies w pustym mieszkaniu”. A to jest wiersz o kocie, którego właściciel wyjechał i zostawił mu za mało żarcia i brudną kuwetę.

Ten kot jest wkurwiony, co jest wyraźnie, dosłownie w tym wierszu wspomniane, o tu: „na bardzo obrażonych łapach. I żadnych skoków pisków na początek”. A jedyne, co jest niedopowiedziane, mój drogi przyjacielu, to właśnie to, że właściciel kota po powrocie do chaty zostanie w swoich butach tak zwane niespodzianki...

Przez moment myślałem, że żartuje, ale potem zobaczyłem, że wręcz przeciwnie i że dla niej temat jest już zamknięty. Przewróciła kilka stron. Czytała teraz wiersz Grochowiaka o Szymonie Słupniku i po radosnym uśmiechu, który zagościł na jej twarzy, wywnioskowałem, że dotarła do momentu, gdy dziewczynę wśród przekleństw gwałcili.

– A więc uważasz, że wiersz Szymborskiej jest o kocie, który najprawdopodobniej nasrał właścicielowi do butów, aby się na nim odegrać? – wołałem się upewnić.

– Dokładnie – odparła, nie podnosząc wzroku znad książki. Potem zachichotała, zapewne po przeczytaniu słowa „gnój”. W końcu popatrzyła na mnie. – Chcesz wiedzieć, o czym jest ten wiersz?

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Była taka zabawna. Zamknęła książkę i rzuciła ją na podłogę. Zbliżyła się do mnie z tym cwaniackim uśmiechem. Popchnęła mnie lekko. Opadłem na poduszki, a ona usiadła na mnie. Ściągnąłem jej podkoszulek przez głowę. Pod spodem miała różową górę od kostiumu. Przesunąłem dłoń po jej plecach i pociągnąłem za sznurek, kostium opadł, zerwała go z siebie jednym ruchem. Rozpiąłem spinkę trzymającą jej włosy w beładnym węźle, a one rozsypały się wokół jej twarzy i spłynęły z ramion na moją klatkę piersiową. Była lekka jak piórko. Złapałem ją jedną ręką i przekręciłem tak, że teraz ona była na dole. Zamknąłem jej drobne piersi w dłoniach. Po chwili moja prawa ręka powędrowała w dół po jej gładkim brzuchu. Wsunąłem dłoń w krótkie spodnie, a ona rozchyliła uda. Przesunąłem dłoń głębiej i poczułem, jaka jest podniecona. Ona tymczasem gorączkowo majstrowała przy guzikach moich spodni, czułem napierający wzwód. Szarpnęła moje spodnie w dół. Zerwałem z niej szorty i majtki i wszedłem w nią brutalniej, niż zamierałem. Przez jej twarz przemknął grymas bólu.

– Przepraszam – mruknąłem, wycofując się trochę. Ale ona tylko się uśmiechnęła i przyłgnęła do mnie mocniej, ciasno oplatając mnie nogami. Patrzyła mi przy tym w oczy z wyrazem uległości i oddania... Nic ani

wcześniej, ani później nie jarało mnie równie mocno jak ona wtedy, taka bezbronna, a równocześnie bezwstydną i nastawioną na maksymalną przyjemność. Nie użyliśmy gumki, więc chciałem skończyć na zewnątrz, ale tkwiłem w kleszczowym uchwycie jej zadziwiająco silnych ud.

– Skończ we mnie – powiedziała, patrząc mi w oczy, i już wiedziałem, że jest za późno. Doszedłem w kilka sekund. Po paru ostatnich konwulsyjnych ruchach wyszedłem z niej i opadłem na chłodną pościel.

– O, kurwa – zdobyłem się na refleksję.

Przysunęła się do mnie, chyba czegoś jeszcze chciała, ale poczułem, jak ogarnia mnie obezwładniająca senność. Zamknąłem oczy.

– Nie śpij! – huknęła mi do ucha.

– Ja pierdolę, spać mi się chce.

– Ale z ciebie cham. – Trąciła mnie w bok. – Zinterpretuj mi teraz *W malinowym chruśniaku*, skoro jesteś taki mądry!

Czasami potrafiła być upierdliwa jak typowa laska. Wiedziałem, że jeśli teraz zasnę, to się obrazi, więc z trudem otworzyłem oczy i wymamrotałem:

– Niech ci będzie, wszystkie wiersze są o dupczeniu, a te, które nie są o dupczeniu, są o gównie.

Chyba jej to wystarczyło, bo wstała z łóżka.

– Idę się umyć.

– Musisz wziąć pigułkę – przypomniałem jej, ziewając. – Mam ziomka, co załatwia lewe recepty, jeśli chcesz.

– Chcę – odparła i wyszła z pokoju.

Po chwili usłyszałem szum wody. Zamknąłem oczy, ale senność odeszła zupełnie. Wstałem i założyłem gacie. Popatrzyłem na porzuconą na ziemi książkę i pomyślałem o tym całym bólu, który przekazywali twórcy i który nam kazano wkuwać, poddawać ocenie i interpretacji. Oni wywlekali swoje bebechy, a my się w nich grzebaliśmy jak jakieś hieny czy sępy. I po co? Czy którykolwiek z tych tekstów przygotował mnie do tego, co miało nadejść? Albo nauczył nazywać uczucia, których istnienia nawet u siebie nie podejrzewałem? Oczywiście wtedy nie miałem pojęcia, co się wydarzy. Poczułem, jak niespodziewanie ogarniają mnie smutek i poczucie osamotnienia. Szum prysznicza ustał.



Gdy weszła do pokoju, owinięta ręcznikiem i ociekająca wodą, siedziałem przy biurku i kręciłem jointa. Uśmiechnąłem się do niej:

– Koniec nauki na dzisiaj.

Nie chciałem, by wiedziała, jakie myśli lęgną się w mojej głowie. Ona nie miała takich dylematów. I moje nie były jej do niczego potrzebne.

Ostry głos oderwał mnie od wspomnień. Był zupełnie inny maj i my byliśmy inni. Tu i teraz. Słońce prawie całkiem zaszło. Od wschodu nad Bronks nadciągała noc.

– Rozmyślasz sobie nad tym poematem? – spytała, wyraźnie starając się, aby ironia sączyła się z każdego słowa. – Analizujesz co ciekawsze wersy?

– Prawdę mówiąc, myślałem o Szymborskiej.

Zmarszczyła pogardliwie nos, wyjęła z torebki paczkę bajeranckich szlucgów, a z niej czarnego papierosa. Włożyła go do ust i zapaliła.

– Raczej nie dziel się takimi refleksjami na Osiedlu. Mogą zostać opacznie zrozumiane – mruknęła, wydmuchując ciekłą smużkę dymu. – Wiesz, jak blisko jest od słowa „poeta” do słowa „pedał”, a od „pedał” do „rozkwaszony ryj”.

Wygrzebałem swoje zupełnie zwykłe marlboro i również zapaliłem. Mogła się wymądrzać, ile chciała, ale to ja miałem asa w rękawie.

– Gdyby twoja wiedza sięgała trochę dalej niż literatura faktu, okazałoby się to dla ciebie pożyteczne – stwierdziłem.

– Bo co?

– Gówno. Enoch Arden. Tennyson. Lord, kurwa. Mam ci to gdzieś zapisać?

– Nie ma potrzeby przynudzać jeszcze bardziej – skwitowała. – Naprawdę się cieszę, że wszystko z tobą OK, że nie ćpasz, nie roznosisz chorób wenerycznych, nie bijesz ludzi i nie piłujesz gałęzi, na której siedzisz. Jesteś teraz tylko dziwakiem. Nieszkodliwym dziwakiem. Jak kot, któremu usunięto pazury do pierwszego stawu.

– Grunt, że niewykastrowany.

– Nie moja sprawa. – Wzruszyła obojętnie ramionami. Miała dosyć. Otworzyła drzwi swojego samochodu i wsiadła. Już nie siliła się na

wytworność Lady Di. Jej sukienka była tak krótka, że przez ułamek sekundy widziałem różowe majtki. Zamknęła drzwi i oparła łokieć o otwarte okno. – Udanych zakupów w Tesco czy do czego tam masz zamiar używać tego gruchota. Jak będziesz znowu gdzieś wyjeżdżał, mogę ci go ponownie przechować. A do tego czasu nie kontaktuj się ze mną z łaski swojej. Jeśli spróbujesz, to gwarantuję, że nie znajdę dla ciebie czasu. I na co ci taka przykrość?

Poprawiła ciemne okulary i przekręciła kluczyk w stacyjce. Lewa dłoń z żarzącym się papierosem spoczęła luźno na kierownicy. Nadgarstek miała ozdobiony kilkoma złotymi bransoletami. Ciekaw byłem, ile takie gadżety mogą kosztować. Zsuwały się po kolei w kierunku łokcia. Ostatnia opadła ta najgrubsza i najcięższa. Odsłoniła jasne sznyty na jej rękach. Stare pamiątki, widoczne tylko wtedy, gdy jej skóra była opalona. Ruszyła z piskiem opon, ponownie podnosząc na drodze tumany kurzu. Jej dłoń na moment wysunęła się z okna, by pstryknąć niedopałkiem w dal. Patrzyłem w ślad za nią. Uśmiechałem się. I pomyślałem z zadowoleniem, że mogę już zacząć odliczać czas do chwili, gdy sama do mnie przyjdzie.

Nie czekałem długo. Kończyłem pierwszą butelkę kasztelana, gdy rozległo się gwałtowne łomotanie. Z browarem w ręku ruszyłem do drzwi. Otwierałem je powoli i z pietyzmem. Klucz, zasuwą, łańcuch. Bezceremonialnie wdarła się do środka. Bardzo, bardzo wkurzona.

– Ktoś zajrzał do Internetu, jak widzę – zauważyłem.

Zdjęła okulary i spojrzała na mnie z pogardą.

– Ale z ciebie żałosny dupek! Wiesz, jakie to słabe?

– Trochę wiem. Jednak bardziej zabawne niż słabe.

Miotła się po pomieszczeniach jak rozjuszony szerszeń. Gdy zawitała do sypialni i zobaczyła pudełko z resztkami pizzy leżące na łóżku, wkurwiła się bardziej, niż gdyby zobaczyła tu gołą babę. Przeszła do salonu, a ja za nią. Bawiła mnie ta sytuacja i nawet nie starałem się tego ukryć. Przesuwała wzrokiem po obnażonych meblach.

– Tyle tu wspomnień. Nie wszystkie były złe – powiedziałem i przejechałem dłonią po szachownicy zdobiącej stół. Zatrzymałem ją w miejscu wgłębienia. Jak zahipnotyzowana podążyła za tym ruchem. Widziałem, jak zaciska pięści. Jej twarz wykrzywiała wściekłość. Nie był to

specjalnie atrakcyjny widok, ale do niej pasował. Teraz gdy nie miała okularów, zobaczyłem kilka drobnych zmarszczek, co mi uświadomiło, że oboje mamy już po trzydzieści dwa lata. Była piękna, nawet z wykrzywioną twarzą. Wiedziałem, że najbardziej na świecie chce mnie teraz uderzyć. Ale zamiast tego wycedziła:

– On na końcu zdechł, ten twój zasrany Enoch Arden. Może idź za jego przykładem.

Po tych słowach zapadła cisza, w której mierzyliśmy się wzrokiem. Nagle wypuściła powietrze ze świstem i nałożyła z powrotem okulary. Odwróciła się i wyszła z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi.

Dobry nastrój nagle mnie opuścił. Już nie czułem satysfakcji. Zastanawiałem się, dlaczego w ogóle chciałem ją ukarać i czy rzeczywiście na to zasługiwała. Cisza panująca w mieszkaniu dzwoniła mi w uszach. Nagle przerwały ją mocne uderzenia w klawisze pianina w mieszkaniu Edwarda. Grał coś ruskiego. Prokofiewa, zdaje się. Poczulem, że muszę stąd wyjść. Najwyższy czas iść na miasto.

„Nauczyłam się kilku naprawdę dobrych gier na obozie. Jedna jest szczególnie zabawna”.

*Lolita*

REŻ. STANLEY KUBRICK

Jak zabawa, to tylko w Krakowie. Naszych melanży zazdrości nam cały kraj. Cały świat. Nasze dziwki są najpiękniejsze i obciągają do końca bez oszukiwania i pomagania sobie spracowanymi rączkami.

– Ciąg, ciąg, ciąg, nie używaj rąk – podśpiewywałem cicho, gdy prostytutka robiła swoje. Przerwała na chwilę, by zarechotać.

– Nie przerywamy, moja panno – napomniałem ją łagodnie i stanowczo nakierowałem jej głowę z powrotem tam, gdzie jej miejsce. Nawet nie pobrudziła mi tapicerki. Profesjonalizm godny zarekomendowania w internetowych rankingach jagodzian, na które czasem zaglądałem. To tam użytkownik Pytag40 polecał usługi panny Łucji z Kleparza. Łucja uniosła głowę i otarła usta wierzchem dłoni. Była ode mnie jakieś dziesięć lat starsza, ale co to komu szkodzi, przecież nie miałem zamiaru przedstawiać jej swojej matce.

– Wielkie dzięki – powiedziałem, zapinając spodnie.

– To wszystko? – spytała zalotnie, a jej dłoń znowu wylądowała na moim kroczu. Rany boskie, nie minęły nawet dwie minuty! Czy wyglądam na gimnazjalistę?

– Mogę ci dać rabat, kochany. Pomogłeś Ewie.

– No, pomogłem.

– Miły z ciebie facet.

– Nie wiesz, co mówisz, skarbie. – Wyjąłem banknot stużłotowy. Uniosłem jej rękę, bo ponownie usiłowała rozpiąć mi spodnie, i wsunąłem

w dłoń pieniądze.

– To za dużo – zaprotestowała niemrawo.

– To był naprawdę lodzik pierwsza klasa – pochwaliłem ją.

Chciałem, żeby już wysiadła i sobie poszła. Czułem się przyjemnie odprężony i nie chciałem dłużej tu siedzieć z podstarzałą prostytutką. Z każdą chwilą coraz wyraźniej widziałem nieudolnie maskowane niedostatki jej urody. No, ale nie zawsze w życiu jest tak dobrze, by obciągała ci pierwszoliczowa dupa o słodkich, niewprawnych usteczkach. Zaskoczona i lekko zawstydzona tym, co robi.

Dłoń dziwki znowu masowała moje krocze, a ja byłem tylko człowiekiem. Chłop z dobrego serca pomaga jednej ulicznicy, a potem wszystkie do niego lgną, gotowe oddać mu serce, albo chociaż którąś ze swoich dziur.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Naprawdę jesteśmy kwita. Na mnie czas, dziecińco.

Westchnęła i zabrała w końcu rękę.

– Przyjeżdż jeszcze kiedyś, dostaniesz cały pakiet w atrakcyjnej cenie.

– Będę pamiętał.

Wysiadła i powędrowała z powrotem do swojej bramy, gdzie ustawiła się w wystudiowanej pozie obok jakiejś koleżanki. Gdy odjeżdżałem, obie machały do mnie i słały całusy. Przynajmniej kurwy mnie lubiły.

Dym, Śledź, Pauza, Bomba, znowu Dym – nie wiem, po co znowu. Może po to, aby popatrzeć na dziodków, których widok działał na mnie kojąco. Potem nowy Kitsch. Jezus Maria, jaki straszny. Następnie Prozak i Diva, bo taką miałem fantazję. Ochroniarze szybko mi uświadomili, że pomyliłem lokale, za co byłem im wdzięczny, chociaż trochę bolało. Już nawet nie pamiętałem, gdzie zostawiłem samochód. Miałem nadzieję, że pod domem. Tylko gdzie ja mam teraz dom? Szedłem Mikołajską. Rozrywki trzy. Nie, to na pewno nie jest mój dom. Czy ja to powiedziałem na głos? Ktoś się śmiał. Ale co w tym dziwnego? Przecież trwa zabawa. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że nie jestem anonimowy. Że mnie obserwują.

Poszedłem ochłonać na Planty, pozbyć się paranoicznych flashbacków, które odbijały się czkawką po latach ćpania. Zawędrowałem do części dla

narkomanów, ciekaw, czy coś się zmieniło. Nic. Ktoś mnie poznał. Oferował skuna, kwasy, spida, mefedron, jakieś cienkie piguły, a nawet gieta szemranego koksiku za stówkę. Cóż to za koks za stówkę? Posezonowa wyprzedaż. Tani, bo ruski. Jak ruski, to pewnie z krokodylem. Serdeczne dzięki za niedźwiedzią przysługę i zgniłą nogę. Nie, nie, czyściutki, włos ci po nim z głowy nie spadnie, drogi przyjacielu, ani skóra z twarzy. Podziękowałem. Ten etap już chyba miałem za sobą. A poza tym, jeśli łamać zasady, to za pomocą czegoś porządnego, a nie tym przestrelonym lewym stuffem dla pijanych turystów i samobójców. Niczego nie chciałem kupować, więc zaoferowali mi zwierzera za darmo. Bo nagle okazało się, że jest ich dwóch. Wstałem znudzony, ziewający. Chciałem tylko do browara, przetrzeźwieć i iść dalej. Szukać przygód. Nie słuchać o upadku kolejnego frajera. Oddaliłem się od ławkowego konfesjonau. Chyba tego mojego odejścia nawet nie zauważyli, mówili teraz do siebie. I częstowali się krokodylem. To nie były groźne typki i nie mieli nic wspólnego z Osiedlem, a jednak czułem się nieswojo. Nie mogłem odpędzić od siebie uczucia, że ktoś mnie śledzi. Pytanie tylko, czy mnie pilnuje, czy na mnie poluje?

Przechodząc koło Poczty Głównej, uznałem, że chyba jednak mam paranoję. Nie było tu nikogo, kto miałby wobec mnie jakiegokolwiek zamiary. Złe czy dobre. Z Plant o tej porze nocy korzystali ci, co zwykle – obściskujące się na ławkach parki, rozwrzeszczane małolaty, studenci popijający wodę ze zbyszkiem 3 cytryny, jakiś szczający menel.

Przeniosłem się do części pedofilskiej i usiadłem na najbliższej ławce. Tu było spokojniej. Koło mnie wolno przespacerował facet w kapeluszu. Dla zachowania pozorów prowadził ze sobą małego pieska. A może naprawdę go wyprowadzał? Psy pedofilów też muszą przecież sikać i srać. Facet rozglądał się ostrożnie i wyglądał przy tym równie dyskretnie jak wilk wśród stada owiec. Kawalek dalej stał jakiś gówniarz w dresie. Schylił się, by zawiązać but. Mężczyzna przy nim zwolnił. Dresik podniósł wzrok, a gdy facet go minął, chłopak ruszył za nim, bujając się na boki. To było niefajne, ale nie zamierzałem się mieszać. Gdyby istniała jakakolwiek szansa, że to coś zmieni, może bym się i wmieszał, może bym zgniótł raz, a porządnie orzeszki tego zboka. Ale wiedziałem, że to nie ma sensu. Smarkacz by się tylko wkurwił, że go ominął dobry zarobek. Z prostytutką

Ewą to co innego. Tam była konkretna rzecz do zrobienia. Chłopak, pedofil i pies skręcili w kierunku ulicy Sarego. Szczeniak miał tam na pewno obczajone otwarte bramy.

Było cicho i pusto. Jakby nikt w całym mieście nie chciał zakłócać symbiozy panującej pomiędzy nastoletnimi uciekinierami z domu a ich klientelą. Sączyłem piwo, rozkoszując się ciepłym wieczorem. Już nie byłem pijany, pomyślałem nawet, że może przejdę się na Kazimierz skontrolować tamtejsze speluny. Zobaczyć na przykład, kto umarł. I pogadać z żywymi trupami. Zapaliłem. Piwo, papieros, zapach wiosny. Niby nic, a cieszy.

Nagle ciszę przerwał krzyk i tupot. Alejką pruła jakaś smarkula. Biegła tak szybko, na ile pozwalały jej na to buty na koturnach. Za nią pędził starszawy facio, wymachując laską. W pewnym momencie rzucił tą laską w dziewczynę, ale nie trafił.

– Oddawaj mój portfel, mała złodziejko! – darł się chłopek. – Zatrzymaj pan tę dziwkę! Ukradła mi portfel! Trzymaj pan!

Panna zerknęła na mnie i w tym momencie potknęła się i zaryła o ziemię jak długa, nakrywając się spódniczką i ukazując białe majtasy. Pomimo upadku nadal dzielnie ścisnęła w dłoni wypchany portfel. Pojękując, zaczęła niezdarnie się podnosić. Stała na swoich koturnach i poprawiała spódnicę. Oba kolana miała stłuczone. Twarz brudną. Oczy podbite. A nie, to tylko wyjątkowo nietwarzowy makijaż.

– To pieprzony pedofil – powiedziała do mnie, wskazując nadbiegającego faceta.

– Nieładnie jest okradać ludzi, nawet jeśli to pedofile – zauważyłem, dosyć ubawiony tą scenką.

Było jednak jasne, że dziewczę nie odda swego łupu. Z rezygnacją zastąpiłem okradzionemu zбочkowi drogę. Sięgnął mi do klatki piersiowej.

– Chyba musisz się pan pogodzić ze stratą. – Wzruszyłem ramionami. – Taka dodatkowa cena zakazanych uciech.

– Ta mała dziwka...

– No już, już. Spadaj, bo mnie kusi, żeby ci coś uszkodzić. Na przykład przetrącić te paluchy, które wpychasz tam, gdzie nie wolno. Albo upierdolić ptaka, tak żeby już nie zaśpiewał.

– Dobra, daj pan spokój – spuścił z tonu, cofając się. – Nie szukam zwady. Jest dobrze...

Nagle zrobił krok do przodu.

– A może mógłbym dostać chociaż moje dokumenty... – Uśmiechał się przymilnie. Tak przymilnie, że od razu zacząłem się zastanawiać, czy tak właśnie uśmiecha się do dzieci.

– Spierdalaj!

Zbok zaczął się wycofywać, aż obrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem. Dziewczyna niespodziewanie ujęła mnie pod ramię. Boże, jakie te baby wszystkie głupie. Uwolniłem rękę i wróciłem na ławeczkę. Panienska nieproszona usiadła obok, tak blisko, że jej udo dotykało mojego. Zupełnie nieskrępowana zaczęła oglądać zawartość skradzionego portfela.

– Pięć stów – ucieszyła się.

– Idźże już do domu.

– A może ja nie mam domu – rzekła wyzywająco. – A może tam, skąd przyszłam, jest jeszcze gorzej.

Nie wyglądała na brudną (z wyjątkiem brudu, którym się uwalala, upadając) ani zaniedbaną. Ubranie też miała bardziej kiczowate niż kurewskie. Więc albo była głupią małolatą, która szuka guza, kiedy rodzice myślą, że ogląda telewizję u koleżanki, albo uciekła z domu niedawno i to dopiero początek obiecującej kariery.

– Ja w każdym razie idę do domu. Uważaj na siebie.

Wstałem z ławki, a ona momentalnie uczyniła to samo.

– E tam, na pewno nie idziesz do domu. Idziesz na miasto.

– OK, idę na miasto. Słuchaj, dziecko, zaczynasz mnie męczyć i irytować.

W ogóle się nie przejęła. Powiedziałbym wręcz, że patrzyła teraz na mnie z jeszcze większym podziwem. Jak ten kot u Poego, któremu właściciel wydlubał oko, a ten i tak do niego wrócił.

– Nie jestem dzieckiem – zaprotestowała, stając przede mną na palcach i wdzierając się idiotycznie. – Jak myślisz, ile mam lat?

– Dziesięć – odparłem umęczonym głosem.

Zaśmiała się radośnie. Wreszcie ktoś docenił mój żart.



– Nie zgadłeś! Mam osiemnaście lat. Dlatego tamten nie chciał mi zapłacić, powiedział, że jestem za stara. No to mu buchnął portfel.

– Znakomicie – odparłem.

Jednym ruchem zerwałem jej z ramienia różową torbę z lakierowanego skaju i wyjąłem z niej różowy puchaty portfelik. Patrzyła na mnie zaskoczona. Oddałem jej torbę, a z portfela wyjąłem dowód osobisty.

– Falszywy – oznajmiłem i rzuciłem go w bok. Za dowodem ukryta była legitymacja szkolna.

– Ej, to nie fair! – popiskiwała dziewczucha, usiłując doskoczyć i mi ją odebrać.

– Masz trzynaście lat, Lilianno Mejer – rzuciłem legitkę i portfel w krzaki i odszedłem, nie oglądając się za siebie. Zdecydowałem, że pójdę jednak na Kazimierz. Przez tę całą akcję zupełnie wytrzeźwiałem. Nie mogło tak być.

Na Sebastiana usłyszałem znajomy stukot koturnów. Dogoniła mnie. Postanowiłem ją ignorować. Truchtała obok, aby nie zostać w tyle.

– Miałam rację, idziesz na Kazik. Dokąd idziesz? Do Psa? Do Miejsca? Do Alchemii? Do Literek? Byłam tam parę razy. Wszędzie byłam. Maluję się, zakładam ledżiny i obcasy i zawsze mnie wpuszczają. – Pękała z dumy. – Kolesie stawiają mi driny, chcą za to iść do klopa, wiesz po co. Ja wtedy udaję, że kogoś widzę, macham. Mówię, że zaraz wrócę, i się zmywam. Ale mam ubaw z tych frajerów. Oczywiście, raz na jakiś czas się nie obejdzie bez jakiejś akcji, ale nie tak często, jak byś myślał.

W ogóle nic nie myślałem. Rozważałem, czyby się nie zapisać do dębnickiej biblioteki. Może mają *Morfinę*. Nie czytałem jeszcze. Pewnie nie mają. Ale na pewno znajdą się *Lolita*, *Biesy* oraz *Skrzydzeni i ponizeni* – klasyka pedofilskiej literatury pięknej...

Zatrzymałem się i ona również stanęła.

– Durna dziewczucho, a może jestem takim starym capem, co cię zaraz zrucha w bramie?

– To mało prawdopodobne – stwierdziła, przyglądając mi się sceptycznie.

Złapałem ją wpół i zawlokłem do najbliższej bramy. Nie opierała się specjalnie. Chyba mi nie dowierzała. Nawet trochę chichotała. Popchnąłem

ją. Przewróciła się, a ja wyrwałem klamkę i wyszedłem na zewnątrz. Drzwi się zatrzasnęły. Załatwiłem ją. Minie parę chwil, zanim sobie z tym poradzi. Oddalając się, słyszałem, jak kopie w drzwi i wrzeszczy.

Poszedłem do Psa. Nie było ani jednego dziodka. Była trzecia w nocy, a o tej porze dziodki śpią. W ogóle było raczej pusto, jak to bywa w środku tygodnia. I nudno jak w burdelu. Nikt nie wydawał się znajomy. Jakby podczas mojej nieobecności wymieniono całą klientelę. Poczuję się oszukany. Nie tak powinna wyglądać moja pierwsza wizyta w Psie po dwuletniej tułaczce. Nie miałem nastroju na przesiadywanie wśród duchów. Opuściłem lokal i wybrałem inny, zupełnie obcy, który z niczym mi się nie kojarzył. Tu również było prawie zupełnie pusto. Przy oknie spała ubrana na czarno kobieta, złożywszy głowę na stole. Przed nią stał niedopity likier w kieliszku. W kącie dwóch facetów wyglądających na cinkciarzy dyskutowało o czymś półgłosem. Przy barze siedział zgarbiony chłopaczek w koszuli w kratę i rozmawiał ze znudzonym barmanem. Zająłem miejsce obok przy kontuarze, kilka stołków od kraciastego. Zamówiłem banię, którą walnąłem od razu. Potem wziąłem zestaw: bania plus browar plus espresso. Wychyliłem kawę, zapilem jej gorycz goryczą browara i uzupełniłem wodą. A potem już spokojnie sączyłem piwo, przypatrując się swojemu obliczu w lustrze za rzędami butelek.

– To nie było miłe – usłyszałem.

Odwróciłem się. Lilianna Mejer stała za moim stołkiem. Jak potwór z horroru, zabijasz go ile bądź razy, a on zawsze wstaje.

– Idź sobie – poprosiłem ją. – Chcę być sam. Przeszkadzasz mi, kapujesz?

– Dlaczego chcesz być sam? – spytała, wskakując na stołek. – Rzuciła cię laska?

Milczałem, chociaż już wiedziałem, że to na nią nie działa.

– Poproszę wódkę z sokiem bananowym – zaszcebiotała do barmana, posyłając mu uśmiech starej kokoty. Barman spojrzał na mnie pytająco, skinąłem głową. Może jak się upije, łatwiej będzie się jej pozbyć. Tymczasem rozbolała mnie głowa.

Pół godziny później ból nabrał prawdziwej mocy. Lilianna wcale nie wyglądała na ululaną. Wprost przeciwnie, tryskała energią. Paszcza jej się

nie zamykała. Barman i kraciasty kolo wyglądający na informatyka wpatrywali się w nią zaskuchani i zachwyceni. Dla zabicia czasu też zacząłem się jej przyglądać. Była drobna, miała lekko kręcone, długie jasne włosy, małe piersi. Twarz chyba też miała całkiem wyjściową, o ile byłem w stanie to ocenić przez warstwę tapety, której sobie nie żałowała. Oczy umalowała tak mocno, że wyglądały jak dwie czarne dziury w czaszce. Usta miała małe, ale pomalowane tak, że szminka wyjeżdżała poza ich kontur. Sporo było też jej na zębach. Policzki mocno uróżowiła. Wyglądała trochę jak klaun, a trochę jak ruska baba.

Zauważyła, że się jej przyglądam, więc spłoszona zaczęła grzebać w torebce. Wyjęła lusterko i inne przybory. Wszystko rozłożyła na barze.

– Rozmazałam się? – zapytała niby swoich absztyfikantów, ale bardziej mnie. Zaczęła się pudrować długo i obficie, a potem powiodła po ustach czerwoną szminką, nakładając kolejną warstwę. – Teraz dobrze?

– Doskonale. Jesteś najzabawniejszym klaunem, jakiego widziałem. Może tylko jeszcze tego różowego na policzki powinnaś więcej dać. Znasz zasadę: im więcej, tym śmieszniej. Dopijaj drina, bo karzeł i kobieta z brodą na pewno już się niepokoją.

– Nabijasz się ze mnie. – Popatrzyła na mnie niepewnie.

– Nabijam.

– Ale dlaczego?

– Bo tylko dzięki temu jeszcze nie wbiłem sobie czegoś w oko.

– Po co?

– Z nudów – westchnąłem.

– Trzeba tak było mówić od razu. Chodźmy stąd. – Zeskoczyła ze stołka.

– Nigdzie się nie wybieram. – Odwróciłem się do niej plecami.

Hop i była z powrotem na krześle ku uciesze barmana i tego drugiego fagasa.

– O co tu chodzi? – zainteresował się barman.

– O gówno. – Naraz poczułem, że przez tę gówniarę mogę mieć kłopoty.

– To twoja dziewczyna? – Barman był teraz zdecydowanie podejrzliwy. Coraz mniej mi się to podobało.

– To moja młodsza, upierdliwa siostra. Starzy kazali mi się nią zająć. Nie ogarniam, człowieku – pożałowałem się.

Siostra, ale wymyśliłem. Moje pomysły to niezła pożywka dla freudystów. Lilianna wydawała się zachwycona moją ściemą.

– I przyprowadzasz ją do baru? Tak ubraną? – Barman nagle zdecydował, że będzie świętoszkiem.

– Nie przeszkadzał ci jej skąpy strój, kiedy lałeś jej podwójną wodę do soczku „na koszt zakładu”.

Barman patrzył na mnie zaskoczony. Informatyk nagle zainteresował się baterią butelek naprzeciwko.

– To się tyczy również ciebie, onanisto – wysyczałem mu nad uchem. Podskoczył, a młoda zapiszczała z uciechy. – Co, głąbie, miałeś nadzieję, że jeszcze dwa drinki i umoczysz? Pewnieś myślał, że ci się trafiło jak ślepej musze gówno. Wiecie, co bym chętnie zrobił?

Barman chyba nie chciał wiedzieć. Informatyk natomiast wydawał się, o dziwo, zainteresowany. A gówniara aż przebierała nożynami. Wstałem i wycelowałem palcem w największą butelkę spośród stojących na półce liskaczy.

– Wziąłbym tego chivasa, upierdolił mu denko i tym tulipanem zruchałbym ci dupę tak, żeby ci się raz na zawsze odechciało pierdolenia małolat.

– Ej, stary... – wymamrotał barman. – Nie wiedziałem, że to twoja siora. Serio, nic od niej nie chciałem.

– Sztama, ziomek – zaryzykował bajerkę kraciasty.

– Kurwa, ćwoku, nie jestem twoim ziomkiem, a ta sztama brzmi w twojej korporacyjnej gębie po prostu śmiesznie. Nie umisz, nie używaj. Ciach bajera.

– Spoko, spoko – uspokajał barman. – Nie chcemy kłopotów.

– A mnie jednak korci, żeby rozprawiczyć ci kakaowe oko, karczmarzu. – Uśmiechnąłem się.

Uśmiech zniknął z mojej twarzy równie nagle, jak się pojawił.

– ...ale tego nie zrobię. Nara.

Ruszyłem w kierunku drzwi. Odwróciłem się jeszcze na chwilę i wskazałem na niedopity browar i kolejny, ledwo napoczęty drink smarkuli.

– Nie zapłacę za to.

Lilianna wypła duszkiem swój alkohol i wybiegła za mną. Szedłem ulicą Bożego Ciała w kierunku Miodowej, a ona podskakiwała obok jak psiak zabrany na spacer.

– LOL, ale to było śmieszne – cieszyła się. – Wiesz co? Moglibyśmy chodzić po mieście i straszyć frajerów. Potem byśmy ich okradali. Co ty na to?

Trzy lata temu pewnie uznałbym ten pomysł za doskonały sposób na podreperowanie domowego budżetu. Ale teraz byłem porządnym obywatelem, który nie kradł, jeśli to nie było absolutnie konieczne.

– Nic. Mam już robotę.

– Jaką?

– Sraką.

– Ale mądra odpowiedź – prychnęła. – Idziemy do ciebie?

– Ja idę do siebie. A ciebie odstawię na komisariat – zmyśliłem.

– Nie! – wrzasnęła nagle piskliwie i zaczęła się cofać. Spojrzałem na nią zaskoczony. – Nie możesz. Nie chcę. Nie wrócę. Wolę umrzeć.

– No, no, tylko bez melodramatu. Albo na komisariat, albo się zmywaj.

– No to pa – powiedziała smutno.

– Pa – odpowiedziałem.

Zostawiłem ją na końcu Miodowej i szybko przebiegłem na czerwonym świetle przez pasy. W końcu spokój. Cisza. Czekałem, aż poczuję ulgę, ale na próżno. Zatrzymałem się, by zapalić papierosa. Kątem oka zobaczyłem, że mała lezie za mną w bezpiecznej odległości.

Odkąd przyjechałem, popełniałem jedną głupotę za drugą. Ratowałem kurwy, rozganiałem pedofilów, przygarniałem sieroty. Tylko wszystko jakoś nie tak. Dziwka spod Kleparza mnie brzydziła, a jej nieestetyczna gęba ze złamanym nosem działała mi na nerwy, więc jej zafundowałem wizytę u Judyma. Pedofil stanął mi na drodze. A sieroty nie umiałem się pozbyć, tak jak nie umiałem się pozbyć rozważań na temat tego, czego mógłbym od

niej zażądać za ciepły kąpiel i miskę stawy. I taki właśnie był ze mnie filantrop. Żaden.

I zaraz w mojej głowie pojawiły się dwie interesujące myśli. Pierwsza, że dobrymi uczynkami piekło jest wybrukowane. I druga, że ja jestem częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro. Cały ja – djobeł wannabe, a dobry jak Jezusek.

Dotarłem do kamienicy. Gdy przekręcałem klucz w zamku, usłyszałem tupot jej chodaków na schodach. Wszedłem do mieszkania, zostawiając otwarte drzwi. Po chwili niepewnie wślizgnęła się do środka.

– Możesz się tu zworować na jedną noc.

– Dobra. Jedna noc – zgodziła się potulnie i zaczęła się rozglądać. – Fajna chawira. Sam tu mieszkasz?

– Sam.

– To twoje mieszkanie?

– Mojej siostry. – Byłem zaskoczony, że te słowa przeszły mi przez gardło.

– I gdzie ona jest?

– Mieszka ze swoim gachem. – Nagle poczułem swoją szansę i szybko dodałem – Facet jest inspektorem.

– O kurwa! Ale nie przyjdzie tu?

Było to mało prawdopodobne. Oczywiście, gdyby mu powiedziała, że wróciłem i wynajmuję jej mieszkanie, to zaraz by się tu zjawił, żeby mi spuścić łomot. Ale raczej nie podzieliła się z nim nowiną. Bardzo nie lubiła, kiedy ktoś ją wyręczał w robocie, którą tak kochała. Będzie chciała załatwić to sama.

Wskazałem dziewczynie sypialnię od podwórka i poszedłem się odlać. Gdy skończyłem, poczułem się pusty. Stwierdziłem, że mam ochotę na jeszcze jednego browara, tak na dobry sen. Wyjąłem puszkę kasztelana z lodówki i siadłem na krześle, wywalając nogi w butach na stół, świadom tego, jak bardzo nie podobałoby się to właścicielce mieszkania. Lilianna weszła do kuchni, ściskając w dłoniach ramkę ze zdjęciem. Usiadła po drugiej stronie stołu.

– Dasz mi też piwko?

– Jeszcze czego. Mleko mógłbym ci dać, gdybym miał, ale nie mam.

– Jestem głodna.

– W lodówce jest wczorajsza pizza, *be my guest*.

Położyła na stole ramkę i podbiegła do lodówki. Popatrzyłem na fotografię przedstawiającą śliczną jasnowłosą licealistkę z aparatem na zębach, bez makijażu, o gładkich dziewczęcych policzkach i radosnych, jasnych oczach. Półtora roku później ten blask zgasł bezpowrotnie. A pocięta gęba straszy do dziś.

– Skąd to masz? – spytałem wolno.

– Leżało w szufladzie przy łóżku – powiedziała niewyraźnie z ustami pełnymi pizzy. – To twoja siostra?

– Tak.

– Ładna. – Przeżuwając, patrzyła to na mnie, to na zdjęcie. – Podobna do ciebie. Ale ładniejsza. Dalej nosi ten aparat?

– Nie. To zdjęcie było zrobione dawno temu.

– Jest starsza czy młodsza?

– Młodsza. – Głowa znowu zaczęła mnie boleć.

– O ile?

– O cztery miesiące – bezmyślnie powiedziałem prawdę.

– Jak to możliwe? – spytała zaskoczona. – A, czaję, to twoja przyrodnia siostra. Lubisz ją?

– Koniec przesłuchania. Nażarłaś się? To idź spać.

Dopiero gdy usłyszałem, jak dziewczynka zamyka za sobą drzwi sypialni, spojrzałem na zdjęcie. Nosila ten aparat miesiąc, potem go zdjęła za pomocą kombinerek i wywaliła do śmieci. Ale wcześniej zostawiła mi kilka śladów. Brakowało mi dziewczyny, która umarła tamtej wiosny. To, co narodziło się na zgliszczach i powstało jak feniks z popiołów, to była zupełnie inna osoba. Nic się nie zgadzało. Zupełnie nic. To, co było urocze, stało się irytujące. To, co niewinne, zmieniło się w cyniczne. Jakby każda cecha jej charakteru uległa wynaturzeniu. Jakby nie potrafiła sobie poradzić z tym wszystkim inaczej, niż za pomocą grubego muru z pogardy, zgorzknienia, bezwzględności, przemocy i zbrodni. To nasz stary był

Frankensteinem, który na nowo poskładał trupa, bo myślał, że odzyska córeczkę. A stworzył potwora.

A jednak znalazł się amator na to monstrum. Inspektor Goldenthal był równie odrażającym osobnikiem jak jego narzeczona. Tamta niewinna dziewczyna sprzed czternastu lat nie wzbudziłaby jego zainteresowania. Dlatego jego zazdrość była pozbawiona sensu. Interesowały nas dwie zupełnie różne kobiety.

Wziąłem zdjęcie ze sobą do sypialni i postawiłem na nocnym stoliku. Zrzuciłem ubranie i nago położyłem się do łóżka. Gapiłem się na nią. Była taka śliczna. Uważała, że jest brzydka, i wstydziła się swojego ciała. Przypomniałem sobie, jak mnie jarało to jej zakłopotanie, gdy ją rozbierałem po raz pierwszy. Patrzyłem długo, aż zaczęły powracać kolejne wspomnienia. Obrzydliwe, rozkoszne, odrażające, piękne, podniecające, brudne, wyuzdane i perwersyjne. Poczułem rosnący wzwód. Szybko odłożyłem zdjęcie.

Znowu stałem przed basenem pełnym trupów i patrzyłem na moją siostrę stojącą do mnie tyłem po drugiej stronie. Biała sukienka powiewała na wietrze. A ja byłem pewien, że to jest właśnie moja siostra. Po prostu siostra. Patrzyłem na jej odkryte plecy. I poczułem szczupłe ręce oplatające mnie od tyłu i zwinną dłoń wsuwającą się w moje spodnie. Delikatne z początku ruchy po chwili stały się mocniejsze i szybsze. Mój członek tkwił w silnym uścisku. Jej dłonie były ciepłe i miłe, i czułem się przyjemne. Ale równocześnie miałem wrażenie, że coś jest nie tak. Coś nie gra. Coś jest niesmaczne i żenujące. Poczułem napływającą falę wstydu. A ona nie przestawała, szepcząc za moimi plecami najbardziej wyuzdane rzeczy. Popatrzyłem na swoją siostrę stojącą po drugiej stronie basenu. Pływające w nim trupy już mnie nie obchodziły. A ona nagle wydała mi się nieprzyzwoicie naga. Sukienka już jej nie okrywała, tylko spływała, ukazując kolejne fragmenty ciała. Plecy już były nagie, a materiał powoli odsłaniał pośladki. Wiedziałem, że nie powinienem na to patrzeć, ale nie mogłem przestać. Czekałem, aż sukienka opadnie jej do kostek. Zauważyłem, że nadal trzyma coś w rękach przed sobą. Zaczęła wolno odwracać się w moim kierunku. Moja wyuzdana kochanka nadal sprawnie



poruszała dłonią w moich spodniach. Wiedziałem, że to, co się stanie za chwilę, będzie brudne i obrzydliwe.

Obudziłem się gwałtownie. Serce znowu mi waliło. Krew tętniła w skroniach. Kutas stał jak na apelu i nie zamierzał opaść. Nie pozwalał zapomnieć o śnie. I znowu poczułem dotyk ciepłych dłoni.

Nagle okazało się, że przykry sen to mój najmniejszy problem. Obok mnie leżała Lilianna w samej bieliźnie, a jej dłoń spoczywała na moim członku.

– Tak dobrze? – spytała z niewinną minką.

Wyskoczyłem z łóżka jak oparzony i zasłoniłem się poduszką.

– Nie. Źle. Bardzo niedobrze.

– Źle? – zmartwiła się. – Jesteś pierwszym, któremu się nie podoba. Wolisz, żebym wzięła do buzi?

– Nie, kurwa. Do żadnej buzi. Ja pierdolę. Co z tobą jest nie tak?

– Chciałam ci się tylko odwdzięczyć. – Posmutniała. – Jak umiem najlepiej.

– Masz trzynaście lat, głupia. Chcesz mnie posłać za kraty?

– Nie podobam ci się?

– Nie. Jesteś dzieckiem, a ja lubię kobiety. Jazda stąd!

Zaczęła pociągać nosem i pochlipywać, ale było mi wszystko jedno. W takie gówno to ja się dawno nie wpakowałem. Wyszła z mojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Ostrożnie położyłem się z powrotem. Byłem pewien, że długo nie zasnę.

„Nie bardzo go lubię, ale nie pamiętam, żebym lubił jakiegoś bandziora. Wszyscy mają nierówno pod sufitem”.

*Asfaltowa dżungla*

REŻ. JOHN HUSTON

Gdy rano wszedłem do kuchni, dziewczynka siedziała przy stole ubrana w swoje zabrudzone ciuchy i w skupieniu liczyła pieniądze. Zobaczyłem, jak wyciąga z torebki duży, nowy, męski portfel. Na stole leżały już dwa rozbebeszone. Te również wyglądały na nowe i porządne. Powodzi się tym zboczeńcom.

– Ile tego masz? – spytałem.

– Mam cztery portfele, no i jeden swój. W sumie dwa patole prawie. Styknie na jakiś czas, a jak zabraknie, to uzupełnię.

Braku zaradności na pewno nie można jej było zarzucić. Ale gdy wyobraziłem sobie, jak ta idiotka idzie się kurwić na jakąś ławkę, a potem podprowadza portfel nieodpowiedniej osobie, to zrobiło mi się nieprzyjemnie. Była za młoda i jednak za mało cwana, żeby prowadzić takie życie. A ja nie miałem ochoty jej tego tłumaczyć, bo coś mi mówiło, że kazanie niewiele tu pomoże. Ale przecież nadal była dzieckiem, zdegenerowanym, jednak dzieckiem. Mogłem jej po prostu zakazać pewnych rzeczy.

– Tej kasy starczy na jakiś czas – powiedziałem. – Możesz tu jeszcze dziś zostać. Potem coś wymyślę. Ale zabraniam ci dawać dupy i kraść. Rozumiesz? Zabraniam. Jeśli mnie nie posłuchasz, oddam cię psom.

– Nie! – wrzasnęła histerycznie.

– Cicho. Dopóki tu mieszkasz, stosujesz się do zasad, które ja wyznaczam.

Nie myślałem, że kiedykolwiek wypowiem takie zdanie. Gdy jednak już padło, uznałem, że brzmi całkiem nieźle. Na młodej też chyba zrobiło wrażenie, bo popatrzyła na mnie spode łba, tak jak bachory zwykły patrzeć na dorosłych próbujących narzucić im swoją wolę.

– Zgoda – burknęła niechętnie, patrząc ze smutkiem na kupkę banknotów, które starannie poskładała na stole. – Ale co mam robić w takim razie?

– Nie wiem. Poczytaj. – Po jej minie wywnioskowałem, że czytanie nie należy do jej ulubionych rozrywek. – Pooglądaj telewizję. Idź na spacer. Ja jestem dziś zajęty i nie mam zamiaru cię niańczyć. Ani dziś, ani kiedykolwiek.

Bez słowa, wielce urażona powędrowała do salonu, gdzie rozwalila się na kanapie przed telewizorem. Wkrótce doleciały do mnie sztuczne sitcomowe salwy śmiechu i wtórujący im rechot Lilianny. Serial był polski, więc zapewne taki, że boki zrywać.

Poszedłem do łazienki wziąć prysznic. Na wszelki wypadek zamknąłem się na klucz. Czułem się nieswojo we własnym domu, co mnie zaczęło wkurwiać. Człowiek powinien mieć możliwość zwalania sobie w spokoju konia pod prysznicem. Znowu poczułem się jak wtedy, gdy jako dwunastoletni smarkacz wychodziłem z łazienki i napotykałem wzrok matki. Czułem, że ona wie, co tam zawsze tak długo robię.

– Nosz kurwa, co jest? – powiedziałem do swojego chuja, który momentalnie skurczył się jeszcze bardziej. Wspominanie matki było po prostu wyśmienitym pomysłem. Dałem więc sobie spokój, jeszcze bardziej zły, że ta przybłęda rozwalila mi mój poranny rytuał. Umyłem się szybko i wyszedłem spod prysznicza ze smutną refleksją, że odtąd widocznie ta kabina będzie mi służyć jedynie do celów higienicznych. Zakląłem, orientując się, że nie zabrałem nic do ubrania. Owinąłem się ręcznikiem i wyszedłem ostrożnie z łazienki w nadziei, że dziewczuszko nadal ogląda telewizję.

Oczywiście stała tuż za drzwiami.

– Co się tak czaisz? – warknąłem.

– Siku mi się chciało – wyjaśniła. – Strasznie długo tam siedziałeś. Nawet moja siostra tyle nie siedzi, chociaż to przejebana damulka.

Gapiła się z zainteresowaniem na tatuaże i blizny pokrywające moje ciało.

– Fajne dziary. Z katalogu?

– Sama jesteś z katalogu.

– Masz ich więcej? – Zerknęła na ręcznik, którym byłem owinięty.

– Słuchaj, nie twój zasrany interes. Za piętnaście minut wychodzimy.

– Dokąd?

– Ja w swoich sprawach, a ty nie wiem.

– Nie mogę tu na ciebie poczekać?

– Nie. Podobno chciałaś sikać.

– A tak – przypomniała sobie i weszła do łazienki, a ja poszedłem do sypialni, w której zamknąłem się na klucz. Czy teraz tak będzie wyglądało moje życie?

Gdy wychodziliśmy z mieszkania, Lilianna czmychnęła pod moją ręką, a ja poczułem się, jakbym wypuszczał kota na pole. Zbiegała w podskokach. Drzwi piętro niżej otworzyły się i z mieszkania Edwarda wyszedł jakiś efeb. Gdy nas zobaczył, zmieształ się odrobinę i chyba chciał się wycofać, ale nadział się na Edwarda, który skutecznie blokował drogę ewakuacji.

– Tadziu, poznaj mojego nowego sąsiada – powiedział Edward radośnie.

Tadziu? Serio?

– Dzień dobry – wymamrotał Tadziu.

– Dzień dobry – odparłem i szturchnąłem Liliannę.

– Cześć – bąknęła, zerkając na Tadzia z zainteresowaniem. Potem zaczęła się gapić na Edwarda. W jej małej chorej główce na pewno już kiełkowały obleśne myśli.

– No, zmykaj! I pogadaj z rodzicami. – Roześmiał się wujaszek Ed, a młody czmychnął czym prędzej na dół.

– Totalne beztalencie – wyjaśnił mój sąsiad konspiracyjnym szeptem. – Ale jego stary ma kasy jak lodu, a matce się marzy, że synek zostanie kiedyś gwiazdą sceny. Jakbyśmy mało mieli tych spedałonych aktorów!

Edward zaśmiał się na cały głos i klepnął mnie w ramię.

– O! – wyraził uznanie, wskazując mój biceps. – Ćwiczysz?

– Tak, brandzlowanie pod prysznicem – wtrąciła dziewczynka, chichocząc, a ja odsunąłem się odrobinę, bo lubieżny sąsiad już wyciągał chwytne łapy, żeby kontynuować macanki.

– A to kto? – zainteresował się Ed.

– To moja siostrzenica – wymyśliłem na poczekaniu bzdurę na użytek sąsiada, a po sekundzie dodałem z satysfakcją: – ze wsi. Pierwszy raz w Krakowie.

Edward zatarł dłonie z uciechy i oznajmił kategorycznym tonem:

– O, to musicie koniecznie przyjść do mnie do teatru, na moich *Trzech nagich panów w łódce*.

– Wspaniale. Brzmi jak coś w sam raz dla młodej damy. – Poklepałem gówniarę po głowie, tak jak się klepie psa.

– Najpierw książki, a teraz teatr! – jęknęła w odpowiedzi. – Człowieku, ja pierdołę! W sensie, wuju, kurwa!

– Dam wam wejściówki. – Edward uśmiechnął się dobrotliwie. Przebywał już chyba we własnym świecie.

Po co ja przed nim udawałem dobrego wujka? Facet był tak zapatrzony w siebie, że gdybym mu oznajmił, że goszczę u siebie obecnie trzynastoletnią prostytutkę, uznałby zapewne, że to bardzo miło, i wręczył nam podwójne zaproszenie na „Czyż nie wali się koni?”

– Doskonale. To jeszcze się zgadamy. Na nas już czas, obiecałem pokazać młodej smoka wawelskiego i przelecieć balonem. W sensie przelecieć się balonem. To siemka.

Popchnąłem Liliannę w stronę schodów.

– Sram na smoka – wyznała, gdy schodziliśmy.

– To znakomicie, bo żadnego nie miałem zamiaru ci pokazywać.

– To były pedały, nie?

– No, były i co?

– A nic. Myślisz, że się ruchają w dupę?

– Myślę, że tak.

– Ruchałeś się kiedyś w dupę?

Naraz zrozumiałem, jak czują się rodzice, którym dzieci zadają trudne pytania.

– Nie powinnaś być teraz w szkole? – spytałem, otwierając bramę wejściową. Wyszliśmy na zalany słońcem chodnik. Jeszcze kilka kroków i będę bezpieczny we własnym samochodzie.

– Bynajmniej. To ruchałeś kiedyś w dupę? Pewnie tak, jesteś taki stary. Nie uważasz, że ludzie są obleśni? Po co robią takie rzeczy?

– Nie tylko ludzie. – Już byłem przy samochodzie.

– A kto jeszcze? Zwierzęta? Znasz kogoś, kto rucha zwierzęta?

– Mam nadzieję, że nie. To nara. Będę z powrotem za kilka godzin.

Odpaliłem rżęcha i odjechałem tak szybko, jakby mnie sam diabeł gonił. W lusterku widziałem, jak młoda stoi na chodniku i macha mi na pożegnanie.

Gdy jechałem na Osiedle, nie mogłem przestać myśleć o tej dziewczynce, która wtargnęła w moje życie i najzwyczajniej w świecie mnie terroryzowała.

Policja nie wchodziła w grę. Ale przecież gówniara nie mogła u mnie zostać na zawsze. To, że zareagowała histerycznie na pomysł powrotu do domu, niekoniecznie musiało oznaczać pijanego konkubenta matki dobierającego się do niej w nocy. Równie dobrze mogła się na starych obrazić, bo kazali jej posprzątać pokój. Była wulgarna, używała mocnego języka, ale nie mówiła z prymitywnym akcentem.

Dopiero gdy wjechałem w znajome rejony, widmo upiornej nastolatki w mojej głowie zaczęło blednąć. Oglądałem chciwie stare kąty, wypatrując, co się zmieniło. Szczerze mówiąc, niewiele. Ten sam syf i malaria co dwa lata temu. A nawet gorzej, bo jak człowiek zobaczy kawałek innego świata, a potem wróci do swojego, to ten musi się wydać skarłały, szary i nudny. Patrzyłem na Osiedle z mieszaniną sentymentu i pobłażliwej sympatii, ale nie czułem się tu już jak w domu. Już nie chciałem takiego domu.

W średniowieczu Osiedle było Osadą, niezależną miejsciną. Po tamtych czasach właściwie nie było już śladu. W latach pięćdziesiątych włączono ten teren w obręb Krakowa. Wtedy jakiś szalony spec od urbanistyki tak rozplanował zabudowę, że wystarczyło zrobić barykady w pięciu miejscach i ten rewir stawał się fortecą trudną do zdobycia. Za czasów Mnicha, który był adminem w latach osiemdziesiątych, chłopcy zadbali o to, żeby zabarykadowanie całego obszaru trwało mniej niż piętnaście minut. Dotąd nie było jednak potrzeby, by sprawdzić skuteczność tych zapór w praktyce. Nikt nas tu nie niepokoił, nikt nie był na tyle głupi. Żaden przedstawiciel prawa nawet nie próbował zrobić tu porządku. Jeśli raz na kilka lat jakiś uczciwy gliniarz z ambicjami wykazywał zainteresowanie tym, co się tu dzieje, prędko się zniechęcał. W pierwszej kolejności przyczyniali się do tego koledzy z psiarni, którzy pilnowali interesów Osiedla na zewnątrz. Były to starannie wyselekcjonowane, dobrze opłacane psy na różnych szczeblach, bo miały różne zadania i obowiązki. I nic się w tym względzie raczej nie zmieni, dopóki wszyscy po jednej i drugiej stronie będą znali swoje miejsce.

Jeśli nowemu adminowi nie zamarzy się nadmierna ekspansja, ten układ będzie dalej działał bez zarzutu. Osiedle będzie latami funkcjonować jako samowystarczalne miasto w środku historycznej metropolii. Manufaktura produkująca wszystko, czym możesz sobie zniszczyć życie. Zaopatrywał się tu cały Kraków – od meneli z Plant i kiboli z Kurdwanowa, poprzez studentów, imprezowiczów, licealistów, karierowiczów, gimbazę, lemingów, artystów, aż po najwyższy szczebel. Większość z tych fajansiarzy nie wiedziała nawet, skąd pochodzi gówno, które zarzucają. Siatka działała prężnie. Każdy kolejny admin miał swoich ludzi w strategicznych punktach miasta. Tylko za Króla interes nieco kulał. Król był psychopata, nie biznesmenem. Za jego rządów pogłębiały się bezhołowie, degrengolada, entropia i rozbestwienie. Pod koniec właściwie nie obowiązywały już żadne zasady poza jedną – nie zadzierać z Królem. To się musiało skończyć całkowitym upadkiem. Byłem jednym z nielicznych, którym udało się podnieść. A teraz przyjechałem na pielgrzymkę do tej karykatury Watykanu, z Opiekunem zamiast papieża.

Zaparkowałem przy skwerku i wysiadłem. Przesunąłem ręką po twarzy. Nie zgoliłem za długiej już brody i nie obciąłem włosów. Będą musieli to

jakoś przeżyć. Wiedziałem, że jeśli zachowam styl diametralnie różny od obowiązującego tutaj, łatwiej mi będzie się odciąć od wszystkiego. Dla ziomków będzie to jasny sygnał, że dokonała się zmiana i nie ma powrotu.

Wszedłem do parku i ruszyłem jedną z alejek w kierunku naszej ławeczki na górcie, która kiedyś była centrum wszechświata. Na której siadywała też ona. I z nami piła, jarała, śmiała się i gadała głupoty.

Niektóre rzeczy są niezmiennie. Siedzieli tam, jakby dla nich czas stanął w miejscu. Mimo że dwa ostatnie lata nie były dla nich łaskawe. Burmistrz dorobił się piwnego brzuszka, który nadawał mu wygląd typowego osiedlowego tatuśka. Patyczak był jeszcze chudszy, miał ziemistą cerę pełną krost i jeszcze mniej zębów, za co odpowiedzialne były lata czesania fety i brak zamiłowania do higieny. Podrygiwał i wyginał się, a szczeka chodziła mu jak po kilkudniowym ciągu. Tylko Kojak właściwie wcale się nie zmienił. Łysy i poczciwy jak zawsze. To znaczy poczciwy dla ziomali, bo dla wrogów potrafił być okrutny. Raz gdy na Osiedle wjechały Azory, na własne oczy widziałem, leżąc na ziemi i przyjmując kolejne kopniaki na ryj, jak osamotniony Kojak wyrwał ławkę i ruszył bez wsparcia na dziesięciu chłopa.

– Kurwa mać, nie wierzę! – wrzasnął Kojak. – Pierdolony Magellan!

– Nie poznałem cię, stary – dorzucił Burmistrz, oglądając mnie od stóp do głów.

Patyczak wyszczerzył poczerniałe zęby.

– Jaja pańskie, pańskie jaja, ale jaja – powtarzał. – Kurde, normalnie faza jak chuj, czeku! Jest kolorowo, zupełnie nieszczupło!

– Widzę, że ławeczka była pilnowana – pochwalilem.

– No ba! Ławeczka to podstawa! – zawołał Kojak. – Ławeczka to nie tylko podkładka pod dupę, stary.

– Ławeczka to styl życia – dokończyłem.

– Dokładnie.

– Faza jak chuj – potwierdził Patyczak.

Usiadłem na oparciu i wyjąłem z kieszeni browara, otworzyłem i łyknąłem z przyjemnością. Zapaliłem też szluga. Było całkiem fajnie. Kojak wskazał moje sięgające ramion włosy.



– Kurwa, blondasku, a luster tam Murzyni nie mieli? Widziałeś w ogóle, chłopie, jak wyglądasz? Jak ostatni pedał. Albo jakiś brudny hipis.

– Lalunia z tyłu – zaśmiał się Burmistrz. – Zarośnięty dziad z przodu.

– Grubo, grubo, oj, nie jest lajtowo, nie jest kolorowo – dodał Patyczak.

– Taka moda na Zachodzie, buraki – uciąłem, chociaż widziałem, że mają wielką ochotę podyskutować jeszcze trochę o obowiązujących trendach.

Potem gadka popłynęła już gładko. Powspominaliśmy. Ja opowiedziałem kilka anegdot, chociaż ich jak zawsze o wiele bardziej interesowało to, co się działo w mikroświecie Osiedla, niż to, co na drugiej półkuli.

W pewnym momencie podeszły do nas dwie dorodne kukuryny. Jedna kruczoczarna z kucykiem ulizanym na żelu, o oczach tak wyłupiastych, że miałem ochotę poluzować jej gumkę. Druga miała platynowe, zniszczone kłaki, przypominające siano. Obie w krótkich spodenkach, sportowych butach i obcisłych różowych podkoszulkach. Nazywaliśmy je bliźniaczkami, bo od podstawówki ubierały się tak samo. Tę blondynę puknąłem ze trzy razy za młodu. Była odrobinę ładniejsza niż ta czarna. Chociaż teraz obie wydały mi się niezbyt atrakcyjne i jakieś takie zniszczone.

– Proszę, kto wrócił! – zawołała radośnie czarna ochrypłym głosem.

– Fajna fryzura, Profesorze! – rzuciła blondyna zalotnie.

– Tak się teraz nosi na Morzach Południowych – wyjaśniłem.

Zaśmiały się i stały się jeszcze bardziej przymilne.

– Idźciez stąd – stęknął Burmistrz. – Chcemy pogadać.

– Idźcie w pizdu – jęknął Patyczak, wijąc się na wszystkie strony i bez ustanku mieląc japą.

– My też chcemy pogadać – odparowała blondyna i usiadła obok mnie. Czarna też od razu wepchała się z drugiej strony, spychając Kojaka.

– Gdzie, gdzie z tą dupą! – zawołał Kojak.

– Opowiedz coś – poprosiła czarna i wpakowała sobie kosmyk włosów do ust. Przypomniałem sobie, że i z nią obcowałem. Totalnie nawalona zrobiła mi kiedyś bardzo słabego loda na jakiejś domówce, w pokoju pełnym ludzi.

– Co wam opowiedzieć?

– O romansach!

– Już opowiadałem chłopakom. Nie chce mi się drugi raz.

– Ale nam nie opowiadałeś! – zawołały chórem.

Zasunąłem im więc dla świętego spokoju historyjkę o tym, jak zamiast laski, z którą się umówiłem na randkę, puknąłem jej siostrę, bo na początku wszyscy wyspiarze wydawali mi się bardzo podobni. I jak potem uciekałem przez okno, a mąż tej kobiety gonił mnie ze strzelbą. Tę strzelbę to już zmyśliłem, w rzeczywistości była to miotła podwórzowa. Strasznie się obie śmiały. Patyczak też ryknął śmiechem, podrygując jak epileptyk i rozlewając browara na wszystkie strony.

– Nas byś nie pomylił, co? – mruknęła blondyna z zalotnym uśmiechem.

– O, na pewno nie.

– Chcesz pójść do mnie? – spytała.

– Ty, kurwa – zdenerwował się Burmistrz – a Wojtek co? Będzie w pokoju obok telewizję oglądał?

– A nie mów mi nawet o tym frajerze!

– Teraz frajer, a wczoraj ciumciu rumciu – parsknęła czarna z pogardą, wietrząc swoją szansę. Położyła mi dłoń na udzie. – Ja zerwałam z Maćkiem.

– Przykro mi to słyszeć – skomentowałem. Nie miałem ochoty iść z żadną z nich, ale nie tak łatwo pozbyć się kukuryn, które się uparły. Poczuję się molestowany.

Kojak i Burmistrz śmiali się ubawieni.

– Ja nie mogę, co za cyrk – ryknął Burmistrz. – Pobijcie się najlepiej o niego.

– Wiesz co? – Czarna spojrzała na Burmistrza z pogardą. – Nie bądź śmieszny.

Czym prędzej skończyłem drugiego browara, zgmiotłem puszkę i wycelowałem do kosza. Wpadła z brzdękiem.

– Słuchajcie – powiedziałem do dziewczyn stanowczo – dzisiaj nic z tego. Mam sprawy do załatwienia, po to przyjechałem.

– A kiedy? – chciała wiedzieć blondyna.

– Następnym razem – odparłem enigmatycznie. Niełatwo będzie ich unikać.

– OK! – odparły znowu chórem i zeskoczyły z ławki. Kiwnęły nam i w końcu sobie poszły.

– One z roku na rok są coraz głupsze – stwierdził Kojak.

– Jak wszystkie baby – podsumował Burmistrz filozoficznie. Coś sobie nagle przypomniał, bo wycelował we mnie łapą, w której trzymał piwo. – Ty, widziałem tę twoją panią detektyw w gazecie. Zawsze to była dobra dupa, nawet z tymi sznytami na gębie, ale czy ty wiesz, że ona hajta się z psem?

– A z kim ma się hycel hajtać, jak nie z psem? – spytałem.

Parsknęliśmy śmiechem. Kojak dopił ostatni łyk, zgniótł puszkę i nagle spoważniał.

– Pójdiesz teraz do Opiekuna?

– To pytanie czy rozkaz? – chciałem wiedzieć.

– Sugestia – odparł. Jego spojrzenie mówiło jednak co innego.

– Teraz?

– Nie ma co odwlekać.

I wtedy nagle nie wiadomo skąd na ścieżce pojawił się Pan Dobra Nutka ze swoim szczurzym, wrednym, zapadniętym pyszczkiem. Pan Dobra Nutka był jednym z największych psycholi, jakich wydało na świat Osiedle. Nigdy się nie uśmiechał. Legenda mówiła, że to z powodu porażenia mięśni twarzy, ale moim zdaniem Pan Dobra Nutka nie znalazł dotąd w życiu wystarczającego powodu, aby się uśmiechnąć. Wszyscy znali jego niezawodne sposoby odzyskiwania długów i wyciągania informacji. Nikt z porządnych chłopaczyn nie trzymał się blisko niego, bo poziom reprezentowanego przez niego hardkoru wykraczał poza to, co w naszym kodeksie mieściło się w granicach normy. Pan Dobra Nutka miał tylko jednego przyjaciela, koleżkę o ksywie Jogi, poczciwego, miśkowatego typu, który chętnie snuł rozważania na swój temat, używając formy trzecioosobowej. Jogi nigdy nikogo nie skrzywdził, chyba że prosił go o to jego najlepszy kumpel. Relacja tych dwóch należała do bardzo dziwaczných. Chodzili po Osiedlu niczym Flip i Flap – drobny i chudy Pan Dobra Nutka oraz wielki, pokraczny, ociężały Jogi. Pamiętam, że ostatni,

który zawołał za nimi Flip i Flap, wylądował przyciśnięty do płyt chodnikowych potężnym dupskiem Jogiego, podczas gdy Nutka z dwóch dziurek w nosie robił delikwentowi swoim legendarnym kozikiem jedną. Ludzie przechodzili obok. Ofiara darła się wniebogłosy. Nikt jednak Flipowi i Flapowi nie przeszkadzał.

– Pan Gabriel czeka – powiedział do mnie Nutka.

Czeka. Czyli ktoś mu już doniósł, że pojawiłem się w okolicy. Wieści na Osiedlu roznosiły się wyjątkowo szybko, nawet jak na krakowskie standardy.

– Właśnie do niego szliśmy – wyjaśnił Kojak niechętnie.

– Oczywiście. – Szczurzy ryj pozostał bez wyrazu, a mimo to zrobiło się nieprzyjemnie.

– Gdzie masz Jogiego? – spytałem.

– W dupie na rakach.

Taka była właśnie bajerka z Nutką. Zupełnie bezsensowna. Podniosłem się z ławki. Kojak zrobił to samo. Kiwnęliśmy na pożegnanie Burmistrzowi i Patyczakowi, którzy wybierali się do sklepu po kolejne browary i pewnie planowali do wieczora miło spędzać czas na ławeczce.

Ruszyliśmy w kierunku najwyższego bloku na Osiedlu. Pan Dobra Nutka nie zamierzał nas opuszczać. Szedł krok przed nami. Czuję się prowadzony niczym jagnię na rzeź.

– Jak ten nowy admin? – zagałem Kojaka.

– W porządku koleżka. Posprzątał po Królu. Jest na Osiedlu porządek. Chłopaki trzymają sztamę jak nigdy. Żadna kurwa nam nie podskoczy.

Recytował przygotowany tekst, ale bez przekonania i zaangażowania. Popatrywał przy tym na wątle plecy Nutki. Coraz mniej mi się to wszystko podobało. Nutka działał zawsze gdzieś na obrzeżach struktury Osiedla. Nikt nie chciał mieć z nim nic wspólnego. I tak powinno pozostać. Ale stało się inaczej. Pan Dobra Nutka najwyraźniej stał się teraz jakąś personą. Kim był w takim razie koleś, który awansował tego pojeba do rangi swojego przybocznego, posłańca, żołnierza i chuj wie kogo jeszcze? I jak to możliwe, że nigdy nie słyszałem o człowieku, który miał teraz władzę na Osiedlu? Kim był ten cały Gabriel Lezuj? Cóż to za cudaczne imię i głupie nazwisko, swoją drogą?

Zblizaliśmy się do wieżowca. Przed nami wyrosła wielka, ponura, toporna, pozbawiona jakiegokolwiek stylu, szara bryła Betonowego Pałacu. Tak masywna, że zdawała się przysłaniać większość błękitnego nieba. Blok rzucał cień na Osiedle. Królował nad nim niczym baszta obronna. W równym stopniu strzegł, co zagrażał. Miał piętnaście pięter i powoli popadał w ruinę. Większość mieszkań była pusta. Zauważyłem jednak, że poczyniono pewne prace remontowe. Schodów prowadzących do jedynej klatki pilnowały na przykład dwa zupełnie absurdalne kamienne lwy, które chłopaki musieli podprowadzić jakiemuś weneckiemu doży przed pałacem. Przy posągach siedziało dwóch typów i gawędziło. Znałem ich z widzenia i kojarzyłem z kibolskich akcji. Rumiany Dżordasz – tępy i agresywny zbir. I nieco mniejszy, ciemny jak Cygan, Abdul, który miał chyba trochę więcej rozumu. Straż Opiekuna. Bez słowa pozwolili nam przejść. Nagle Nutka przystanął i wlepił wzrok w dwie donice z chwastami stojące przed wejściem.

– Sucho mają – rzucił.

– Podlejemy, nie bój, Nutka – zapewnił go Abdul.

– Naszczamy, to będą miały mokro – dodał Dżordasz.

Nutka zmierzył go przeciągłym, ponurym spojrzeniem spode łba i Dżordasz więcej się nie odezwał.

Teraz zrozumiałem, jak bardzo się myliłem, sądząc, że nic się tu nie zmieniło. Zmieniło się wszystko. Weszliśmy do wiekowej windy. Nutka leniwie oparł się o ścianę i bezczelnie mi się przyglądał. Kojak, skupiony, z rękami w kieszeniach, patrzył w podłogę.

– Co? – rzuciłem do Nutki. – Jakiś problem, kurdupłu?

Nawet okiem nie mrugnął. Lampił się nadal beznamiętnie. Sięgał mi zaledwie do ramienia, a do tego był mizernej postury. Siłownię odwiedził podobno raz w życiu: właściciel wyśmiał strój do tenisa, w którym zjawiał się psychol. W nocy siłownia spłonęła. Z właścicielem w środku.

– Zastanawiam się, co ludzie w tobie widzą, Profesorze – wycedził Nutka, robiąc krok w moim kierunku. – Bo dla mnie jesteś zwykłym frajerzyną z paskudną gębą i dziarami, które zrobiły dzieci na ZPT.

Jak na Nutkę był to zadziwiająco wyrafinowany pocisk.

– *Suo quisque metu pericula metitur*<sup>[1]</sup> – rzuciłem, żeby go wkurwić.

W ciągu sekundy znalazł się przy mnie, a w jego dłoni błysnął nóż sprężynowy. Zapomniałem, jaki skurwysyn jest szybki.

– Hej, hej, hej, Nutka! – zawołał Kojak. – Opiekun chce go w całości. Profesor nie chciał cię obrazić tym Homerem.

– Tacytem. To był cytat z Tacyta. – Nie mogłem się powstrzymać.

Nagle Nutka odsunął nóż od mojej twarzy, złożył i schował do kieszeni.

– Cytat z Tacyta. Dobrze – powiedział ponuro.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze. Wyszliśmy i ruszyliśmy długim, pustym korytarzem.

– Kto tu mieszka? – spytałem.

– Na tym piętrze tylko Opiekun – wyjaśnił Kojak.

Doszliśmy do szerokich dwuskrzydłowych drzwi, przed którymi stał kolejny rosły chłop. Kojarzyłem go z widzenia, ale wydawało mi się, że dwa lata temu nie był aż tak wielki. Nowy admin musiał dobrze karmić swoich ludzi. Może innymi ludźmi? Ochroniarz bez słowa otworzył nam drzwi. To, co znajdowało się za nimi, było jedną z najdziwniejszych rzeczy, jakie widziałem w życiu. A widziałem całkiem sporo.

---

[1] (łac.) Każdy mierzy niebezpieczeństwo miarą własnego strachu.

# 7

„W grodzie Kraka co dzień nowa draka  
znowu kurwę zrobić chcą z dobrego chłopaka  
(...)  
Tu nikt nie usłyszy twego płaczu  
Więc unieś głowę i pierdol paranoje  
Kraków miasto, groźne miasto, tutaj życia i priorytety gasną  
Więc jeśli marzysz pośród martwych, obyś nigdy nie zasnął  
Kraków miasto, miasto zdrady, judasze po tej samej stronie barykady  
Nie ufaj nikomu, bo jedynym przyjacielem to, jakie masz układy”.

*Króla Kraka Gród*  
FIRMA

Opiekun na ostatnim piętrze wieżowca urządził sobie loft na pełnej kurwie! Przez przeszkloną ścianę widać było całą dzielnicę i rozciągające się za nią miasto. Dzień był słoneczny i bezchmurny, więc na horyzoncie można było zobaczyć Tatry. Podłogę wyłożono białym marmurem. Ściany również były białe. A ja przypomniałem sobie, że w niektórych kulturach biały jest kolorem śmierci.

Oślepiające, odbijające się od jasnych powierzchni światło sprawiło, że oczy zaszczyły mi łzami. Może dlatego w pierwszym momencie go nie zauważyłem.

– Zadziwiające, prawda? Każdy tak reaguje – usłyszałem ciepły, rozbawiony głos dobiegający z głębi pomieszczenia.

Więc byłem jak każdy.

– Wszyscy mamy ograniczony zasób reakcji. W pewnych sytuacjach zawsze będą się powtarzać – odparłem. Poczułem, jak po policzku spływa mi łza. Oczy piekły mnie nieprzyjemnie.

- Godna pochwały skromność.
- Z dala od domu człowiek uczy się pokory.

W końcu mój wzrok przywykł do światła. Wnętrze loftu zdawało się zupełnie puste. Ale kilkanaście metrów dalej stały trzy białe skórzane sofy; na jednej z nich siedział facet, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Gabriel Lezuj. Opiekun. Jego zupełnie niepasujące do Osiedla ubranie, składające się z luźnych białych spodni i cienkiego białego swetra, było tak jasne, że zlewało się z sofą, ścianami i podłogą.

– Podejź – powiedział zachęcająco. – Ty również, Kojak. Zapraszam. Napijemy się czegoś. Porozmawiamy.

Szliśmy do tego kącika wypoczynkowego tak długo, że pożałowałem, że nie wziąłem kanapek na drogę. Opiekun wstał i wyciągnął dłoń na powitanie. Podałem mu swoją. Ucisnął ją dwiema rękami. Długo, ciepło i przyjaźnie. Potem wskazał nam jedną z kanap. Usiadłem, Kojak też spoczął, ale widać było, że nie czuje się komfortowo. Kanapa zatrzeszczała pod nami, co ktoś skwitował chichotem na wysokich tonach, który doleciał od strony tarasu. Wieloskrzydłowe przeszklone drzwi były rozsunięte. Dopiero teraz zauważyłem, że na wielkim, białym leżaku wyleguje się jakiś typ. Koleś uniósł się na łokciu i odwrócił głowę w naszą stronę. Wysportowane ciało pokrywała jakaś tłusta maź. Egzaltowanym gestem odgarnął farbowane na blond włosy. Uśmiechnął się i pomachał do mnie dłonią o pomalowanych na różowo paznokciach. W palcach trzymał cienkiego jointa.

– Powrócisz tu, gdzie nadwiślański brzeg. Powrócisz tu zza siedmiu gór i rzek – zaśpiewał niespodziewanie głosem kastrata. A potem znowu się zaśmiał i dalej śpiewał już głosem grubym i ordynarnym, jakby naśladował chamów z Osiedla: – Powrócisz tu, gdzie płonie podpalona bryka. Gdzie cipy, chuje, dupy i można trupem paść!

Przeróbka piosenki musiała być popularna wśród zebranych, a jej śpiewanie chyba należało do codziennego rytuału, gdyż ochroniarz przy drzwiach zaśmiał się i również odśpiewał ostatni wers.

- Cześć, Profesorze – zapiszczał typek z leżaka.
- Siema, Kakałko.
- Nikt mnie już tak nie nazywa – zaprotestował niezadowolony Kakałko.



– Nie pierdol – wtrącił Kojak. – Wszyscy tak na ciebie mówią.

Kakałko uniósł się zwinnie z leżaka i ruszył ku nam leniwym krokiem przegiętej cioty. Na dupie miał obcisłe majtki z wielkim logo Dolce & Gabbana, a na stopach japonki, które donośnie klapały o marmurową posadzkę.

– Nudny, smutny, brzydki i dodajmy jeszcze: łysy chłopak z osiedlowej ławeczki – wymieniał Kakałko, podchodząc do nas. Stał przed Kojakiem i ostentacyjnie podrapał się po jajach. – Taki sfrustrowany, taki przerażony, gdy się zbliżam. Zaciskasz dupkę ze strachu?

– Won, pedale! – warknął Kojak.

– Głuptasek. Głupi ratlerek niepotrzebnie ujada. – Kakałko zacmokał i nagle odwrócił się do mnie, wskazując na swój biceps i całując go kilka razy. – Nie próżnowałem. Chcesz pomacać?

– Nieszczególnie – odparłem.

Niezniechęcony brakiem zainteresowania, nachylił się i wymruczał scenicznym szeptem, niemalże dotykając mojego ucha naoliwionymi mięsistymi wargami:

– Moje usta na twoim chuju. Kiedy tylko chcesz.

Wokół rozniósł się zapach marihuany. Poczułem suchość w gardle, jakbym sam jarał.

– Spierdalaj – warknąłem do koleśka, odsuwając go od siebie. Na dłoni pozostał mi tłusty ślad po mazidle, którym wysmarowany był ten kretyń. Pedał ponownie zaniósł się swoim irytującym, wysokim śmiechem.

– Koniec tych wygłupów. Kakałko, wracaj na miejsce – odezwał się niespodziewanie Opiekun. Zupełnie jakby zaganiał psa do legowiska. Nachylił się i podał mi pudełko z chusteczkami. Wytarłem dłoń, ale miałem ochotę ją umyć. Nie chodziło o to, że miałem coś przeciwko pedalom. Bo nie miałem. Miałem za to sporo przeciwko temu gnojkwowi.

Kakałko dmuchnął mi w twarz dymem.

– Kiedy tylko chcesz – powtórzył z uśmiechem, pochylając się i spuszcżając wzrok w okolice mojego rozporoka. Potem wyprostował się i wolnym krokiem wrócił na taras.

Obecność Pana Dobrej Nutki była już wystarczająco dziwna, a teraz jeszcze Kakałko? Opiekun zaczynał coraz bardziej mnie zastanawiać. I niepokoić. Ten niepokój miał jeszcze inne źródło – uświadomiłem sobie, że Nutka gdzieś znikł. Bardzo niedobrze jest nie wiedzieć, gdzie czai się ten psychopata. Rozejrzałem się dyskretnie, ale poza nami znajdowali się tu jedynie Gabriel, Kakałko i ochroniarz. Z pomieszczenia prowadziło jednak pięć par masywnych drzwi. Zapewne za którymiś przebywał Nutka i knuł coś paskudnego.

Opiekun tymczasem nalał whisky do stojących przed nami szklanek z grubego szkła.

– Za spotkanie – wznosił toast.

Bez słowa podniosłem swoją szklankę, odpowiadając na jego gest, i pociągnąłem spory łyk. To była bardzo dobra whisky.

– Przejdę od razu do rzeczy – zaczął Gabriel Lezuj.

Znakomicie. Już czułem, że ta „rzecz” raczej nie przypadnie mi do gustu.

– Mam problem i słyszałem, że tylko ty jesteś w stanie mi pomóc. – Zawiesił wymownie głos, budując niepotrzebne napięcie.

Kojak obok mnie nerwowo ruszał nogą. Cała kanapa się od tego trzęsła. Czekałem, co dalej.

– Nie jesteś ciekaw, jaki to problem? – zagadnął Opiekun z uśmiechem.

– To, czy jestem ciekaw, czy nie, nie ma żadnego znaczenia, bo i tak przecież mi pan powie.

– Nie inaczej. Nie inaczej. – Nagle się zamyślił, a potem klepnął się w kolana. – Ale, ale, jest tu ktoś, kogo na pewno ucieszy twój widok.

Skinął na osiłka przy drzwiach. Ten opuścił loft. Naraz sytuacja wydała mi się strasznie głupia, sztuczna i teatralna. Banda pajaców, którzy myślą, że grają w gangsterskim filmie. Opiekun był pozerem, który mógł tylko hodować i pielęgnować swoją wyuczoną ekstrawagancję, by sprostać legendzie Króla. I żeby nikt nie zauważył, że jest totalnie pozbawionym osobowości, chujowo ubranym bubkiem o bogatym repertuarze pretensjonalnych gestów. Otoczył się tymi dziwakami i pozwolił im kreować z góry nakreślone role, by budować oryginalny wizerunek. Kakałko nie pochodził stąd. Był bogatym, zepsutym i rozpuszczonym dzieciakiem, który wypiął się na swoją rodzinę i postanowił zostać złym

chłopcem. Dwa lata temu handlował fetą pod darkroomami w gejowskich klubach, a od czasu do czasu parał się również szantażem. Wtedy działał na własną rękę. Widocznie jednak Opiekun docenił jego marketingowy talent i dał mu coś w rodzaju posady.

Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wszedł zgarbiony chłopina, zbliżający się do siedemdziesiątki. Zobaczył mnie i przystanął. Poprawił okulary na nosie.

– Łukasz! – powiedział radośnie, a jego głos odbił się echem w pustym wnętrzu. Uśmiechnął się, ale jego oczy wydawały się smutne, a twarz zmęczona. Poza matką po imieniu zwracał się do mnie tylko on. Władysław Kazan, czyli nasz osiedlowy Mentor. Jedyne człowiek, do którego mówiliśmy per „pan” bez ironii i z jakim takim szacunkiem. Tylko on próbował nas choć odrobinę wychować. Namówił mnie, żebym poszedł do liceum, a potem na studia. Podsuwał mi książki. Chyba mu się wydawało, że kiedyś mogę zająć jego miejsce. Jednak gdy nastąpiły czasy Króla, zupełnie stracił odrobinę wpływu, jaki miał na mnie i na innych.

Wstałem na powitanie. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego były już lekko powykręcane artretyzmem. Poklepał mnie po ramieniu ojcowskim gestem, przyglądając mi się uważnie. Bystre, szare oczy zdawały się skanować każdy milimetr mojej twarzy.

– Dobrze wyglądasz. Zdrowo.

– To właśnie nasz drogi Mentor mi o tobie powiedział – wtrącił Gabriel Lezuj z uśmiechem, unosząc ponownie szklanekę z bursztynowym płynem. – Znam tylko jednego człowieka do tej roboty, tak mi powiedział. – Ma na imię Łukasz, ale mówią na niego Profesor. Taki zmyślny chłopak. Pytaj pan, kogo chcesz. Niestety, wyjechał na drugi koniec świata. Uciekł przed policją i ludźmi Hrabiego. Podobno przyczynił się do upadku Króla...

– To akurat nieprawda – sprostowałem.

– Synu – rzekł przyjaźnie Opiekun – każdy, kto przyczynił się do upadku rządów tej szumowiny, jest moim przyjacielem.

– Mimo wszystko – odparłem z naciskiem – to nie było tak.

– Dawne dzieje. – Opiekun lekceważąco machnął ręką. – Tylko Łukasz. Nikt inny. Tak mówiłeś, co, stary druhu?

– Tak – przyznał Mentor niechętnie.

– No dobra, to co to za sprawa? – spytałem, by jak najszybciej zakończyć to idiotyczne cytowanie i tę scenę, która zaczynała strasznie działać mi na nerwy.

– Ach tak, bo ja jeszcze nic nie powiedziałem. – Gabriel Lezuj klepnął się w czoło niczym zły aktor w słabej farsie. – Moja żona Sophie zaginęła.

Aha. Szkoda, że nie pies. Czy ten palant serio myślał, że będę szukać jego starej, która pewnie nawiała z kochankiem?

– To nie moja działka – powiedziałem od razu. Chciałem jak najszybciej wyjść. – Nie wiem, jak się szuka zaginionych ludzi. Nie mam pojęcia, dlaczego uznał pan, że to robota dla mnie. Radzę wynająć profesjonalnego detektywa.

– Wykluczone. – Pokręcił głową. – Nie będzie mi tu jakiś prywaciarz spoza Osiedla węszył i niepokoił moich ludzi. Nie ma mowy. Sprawą musi zająć się ktoś stąd.

– Ma pan od tego ludzi...

– Moi ludzie się nie spisali. Chcę ciebie, chłopcze – przerwał mi, a w jego oczach po raz pierwszy zobaczyłem jakąś zimną nieugiętość. Czyżbym się pomylił co do niego? Może jednak był kimś więcej niż tylko śmiesznie ubranym pajacem? Zaczęło do mnie docierać, że to wszystko: ci kolesie na dole, eskorta Pana Dobrej Nutki, ten wylegujący się niczym nadworny spaniel pedał, wystudiowana uprzejmość Opiekuna, drogi alkohol, dworskie ceremoniały, ta irytująca rozmowa z Mentorem, to było tylko odegrane dla mnie przedstawienie. A teraz zaczniesz się coś dziać naprawdę.

– Dobrze zapłacę – zapewnił mnie Opiekun.

– Nie chodzi o pieniądze. Mam teraz inne życie. Więc dziękuję za propozycję, ale nie wezmę tej roboty – powiedziałem, zdecydowany obstawać przy swoim.

Gabriel Lezuj westchnął i rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Wierz mi, gdybym tylko mógł, nie nalegałbym tak. Ale nie mam wyboru. Kogo innego miałbym wynająć? Twoją siostrę?

Nie byłem na to przygotowany. Kto? Kto mnie, kurwa, sprzedał? Nikt poza Kojakiem nie wiedział, że ona jest moją siostrą. Popatrzyłem na

starego kumpla, ale pokręcił głową. Był tak samo zaskoczony jak ja. Natomiast Mentor nie wyglądał na zdziwionego.

– To nie Kojak – odezwał się Opiekun, trafnie odgadując moje podejrzenia. – Jest lojalny jak pies, chociaż oczywiście nie wiadomo, komu nieodpowiedniemu zwierzał się po kilku głębszych.

– Nie jestem rozjebusem! – Kojak zerwał się z kanapy.

– Spokojnie! Siadaj – powiedział cicho Gabriel, a Kojak jak zahipnotyzowany usiadł z powrotem. – Czy to teraz takie ważne, Profesorze, kto sypnął cię i twoją przeuroczą siostrę? Bo jest urocza, czyż nie?

– Nie – odparłem zgodnie z prawdą. – Wcale nie jest urocza. To wredna suka.

– No, no, no – uspokajał Opiekun protekcyjnie. – Nie trzeba się unosić. Tu są sami przyjaciele. A pomiędzy przyjaciółmi nie ma tajemnic. Nawet jeśli są trochę, hmm... niesmaczne.

Zacisnąłem usta, starając się opanować narastającą we mnie wściekłość. Miałem ochotę mu po prostu przypierdolić. A on to widział i bawiło go to. Kontynuował leniwie swój monolog:

– Wychodzi na to, że ty i twój Król mieliście ze sobą więcej wspólnego, niż ludzie na Osiedlu mogliby podejrzewać, prawda? Tylko że co wolno Królowi, nie uchodzi pacholce. Czyli tobie, kochany chłopcze.

Poczułem, jak jeżą mi się włosy na karku. Jakby nagle od strony tarasu powiał zimny wiatr. Ale dzień był tak samo upalny jak wcześniej. Niebo błękitne. A naoliwiony pedał świecił się i lśnił jak drugie słońce.

– A jej rodzina? Wie? – rozmyślał głośno Opiekun, przyglądając mi się z zainteresowaniem. Był jak naukowiec badający poddawane różnym bodźcom zwierzę w klatce. – Nie. Nie. Oni nic nie wiedzą, prawda?

Miał rację. Nikt nie wiedział poza naszym parszywym ojcem, Goldenthalem i Kojakiem.

– Twoja siostra jest piękną kobietą. Tak piękną, że to aż boli. – Opiekun położył sobie dłoń na sercu. Jego wzrok powędrował w bok. Popatrzyłem w tym samym kierunku.

Na kanapie stał otwarty mac, biały jak to całe cholerne miejsce. Gabriel musnął go od niechcienia palcami. Ekran rozbłysnął. Patrzyłem na

przewijający się przed moimi oczami *slide show*. Na wszystkich zdjęciach ona. Robiąca zakupy, idąca ulicą, stojąca w kolejce do odprawy na lotnisku, jedząca kolację ze swoim narzeczonym w eleganckiej knajpie, popijająca drinka na bankiecie, w towarzystwie tego dziennikarza Bergena, prowadząca samochód, jadąca na rowerze... Dziesiątki zdjęć. Każde w innym miejscu. Żaden paparazzo nie zrobiłby ich lepiej. Nagle poczułem ucisk w żołądku. Ona za biurkiem w swoim biurze, pogrążona w pracy, niczego nieświadoma. Na kolejnym zdjęciu w samych majtkach od kostiumu opala się przy basenie. W tle nowoczesna, biała willa. Zapewne jej nowy dom. Na następnym, również topless, stoi nad tym samym basenem, paląc szluga i patrząc w dół na czarnego kota, który mąci łapą wodę. Długie blond włosy opadają jej na plecy, a drobne piersi są tak samo opalone jak reszta ciała. To nie koniec. Na następnym w tym samym ogrodzie siedzi nago okrakiem na tym swoim inspektorze. Głowę ma odchylną do tyłu, a jebany pies zaciska wielkie łapska na jej cyckach.

– Oj, to ostatnie mogło być trochę przykre – stwierdził Opiekun zatroskanym głosem.

– Co, doszedł do foci z ujeżdżankiem? Doszedł? Doszedł? – zawołał Kakałko z tarasu.

– Cicho tam! – zgromił go dobrotliwie szef.

*Slide show* zaczął się od nowa. Opiekun powoli zamknął laptopa i popatrzył na mnie.

– Posłałem do niej kogoś. Z niezobowiązującą wizytą. Ale nie miała ochoty o tobie rozmawiać. Jak się już pewnie domyślasz, moi ludzie potrafią być bardzo przekonujący. Jednak twoja siostra powiedziała po prostu, że nie wie, gdzie można cię znaleźć, i kazała mojemu posłańcowi opuścić biuro.

Raczej kazała mu wypierdalać, pomyślałem. Byłem pewien, że zachowała swój stary, nieskomplikowany styl rozmowy z pacjentami pokroju bandytów Opiekuna.

– Tylko wiesz co, Profesorze? Tak się składa, że ja wiem, że twoja seksowna siostrzyczka kłamała. Wiem, że cię odwiedziła gdzieś tam na krańcu świata, pół roku po twojej ucieczce. Niestety po tej eskapadzie nie pozostał żaden ślad. W końcu jest zawodowcem.

– Jakie to ma znaczenie, co ona powiedziała lub czego nie powiedziała? Przecież ostatecznie jestem tu i rozmawiam z panem – odezwałem się. Chciałem, żeby się w końcu zamknął i przestał o niej mówić.

– Widzę, że ty jeszcze nic nie pojmujesz – zmartwił się Opiekun.

– Nic nie pojmuję – zawtórował niczym echo Kakałko z oddali.

– To nic, w końcu zrozumiesz – dodał raźno Gabriel.

– Co rozumiem?

Naturalnie zignorował moje pytanie. Ogarnęła mnie irytacja. Co, kurwa, miałem zrozumieć? Czy to był szantaż? Co to było? Coś powiedziała? Albo nie powiedziała? Przecież to jakieś bzdury. Może po prostu stąd wyjdę? Niech się bawią dalej beze mnie.

Oczywiście nie wyszedłem, tylko nadal siedziałem na tej białej kanapie, czując, jak dupa zaczyna mi się kleić do skórzanego obicia.

– Wspaniała dziewczyna. – Gabriel wałkował dalej temat, wyraźnie rozkoszując się wypowiedzianymi przez siebie słowami. Zupełnie jakby się nimi brandzlował. – Tylko ta paskudna blizna na policzku... To twoje dzieło, czyż nie, Profesorze? Chodziliście razem do klasy. Przyjaźń przerodziła się w miłość. I w końcu przyprowadziła cię do domu i pokazała rodzicom. To musiał być szok dla waszego tatusia. Przeraził się, że zostanie dziadkiem mutantów z ogonami. Co, jak zdajesz sobie zapewne sprawę, zdarza się stosunkowo rzadko. Nie miał wyboru. Musiał wyznać córeczce swój największy sekret. Opowiedział jej, jak to przed laty w tym samym czasie zapłodnił dwie kobiety. Były z różnych warstw społecznych, należały do innych światów. Dlatego nie spodziewał się, że kiedykolwiek się poznacie. Nie przewidział jednak, że dla zakochanej dziewczyny pierwszy stopień pokrewieństwa nie będzie wystarczającym powodem, by się rozstać z chłopakiem. O dziwo, okazało się, że ty masz znacznie surowsze zasady moralne, o czym biedna dziewczyna przekonała się, gdy tylko wyznała ci prawdę. Powiedz, czemu musiałeś ją aż tak skatować? Złamana ręka, połamane żebra, liczne blizny na ciele, a w tym ta najważniejsza... Z której zrobiła swój znak firmowy.

Wiedział o wszystkim. Nie obchodziło mnie już skąd. Chciałem tylko usłyszeć, dlaczego mi o tym mówi i jakie będą tego konsekwencje.

– On miał siedemnaście lat – powiedział nagle Kojak zupełnie od czapy. Tak, tego mi teraz było potrzeba: łzawego argumentu usprawiedliwiającego pobicie dziewczyny. Dzięki za wsparcie, stary. Poczuję zażenowanie.

Zanim zdążyłem go poprosić, by się łaskawie zamknął, z balkonu rozległo się piskliwe wołanie Kakałka:

– Ale powiedz, złociutki, czy w głębi swojego siedemnastoletniego serduszka nie podejrzewałeś zawsze, że posuwasz własną siostrę?

I wtedy, zupełnie nie wiadomo skąd, pojawił się nagle Pan Dobra Nutka. Stanął tuż obok. Nie śmiał się, bo nie potrafił, ale ewidentnie cała ta sytuacja bardzo mu odpowiadała.

– Wylało się gówno z szamba, co, siostrójebco?

Tym razem Nutka nie był wystarczająco szybki. Zanim zdążyłem pomyśleć, już stałem. I czułem, jak moja pięść gruchocze mu nos, a ostre zęby gryzonia zdzierają mi skórę z knykci. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Z nosa buchnęła jucha. Złapał się za ryj i padł na kolana. Spomiędzy palców ciekła mu krew, zabrudziła lśniący marmur.

– Ty ludzka kurwo – wymamrotał niewyraźnie, patrząc na mnie załzawionymi oczami. Byłem pewien, że właśnie w tym momencie postanowił mnie zabić.

– To nie było mądre – odezwał się Opiekun, patrząc na mnie z politowaniem. Klasnął w dłonie. – Hej, Kakałko, rusz tu swoje cztery litery.

– Rany, rany. – Poderwał się pedał. Narzucił na siebie jasnoróżowy satynowy szlafrok. Podbiegł do Nutki, wymachując rękami, i z zaciekawieniem zajrzał mu w rozkwaszony ryj. – Co się dzieje? Ojoj, jak nieładnie! Nie chcesz iść do Judyma, kochany Nutko?

Pan Dobra Nutka w odpowiedzi pokręcił tylko głową. Patrzył przy tym na mnie spode łba, nadal zalewając podłogę krwią. Kakałko wzruszył ramionami.

– No dobrze, jak tam sobie chcesz. Tylko nie upapraj mnie, kochaneńki – poprosił i zdecydowanym ruchem złapał Nutkę za cienki nos. – Raz, dwa, trzy.

Chrupnęło nieprzyjemnie, a Nutka głośno zawył. Myślałem, że twardszy z niego zawodnik. Mazał się jak dzieciak. Spojrzałem na niego z pogardą.



Tymczasem tamten drugi kretyn skakał wokół niego, powiewając różowym szlafrokiem. Sięgnął do kieszeni, wyjął srebrną papierośnicę, a z niej jointa. Włożył Nutce do zakrwawionych ust i podпалиł. Psychol zaciągnął się mocno, a potem złapał połę jedwabnego szlafroka, który okrywał pedała, i wytarł sobie twarz.

– Mój szlafrok Victoria's Secret! – rozdarł japę Kakałko.

– Ten szlafrok jest damski, głupia cioto – warknął Nutka.

– I co z tego? – Kakałko odwrócił się i odszedł urażony, z troską oglądając zachlapaną materiał i gderając jak stara baba. – Będiesz mi to prać, nie myśl sobie! Niedobry Nutka! Człowiek chce pomóc, nos nastawia, chociaż to obrzydliwe, a ten tak się odpłaca! I jeszcze z mordą do mnie! Jak zwykły cham! Patrzcie go! A zasmarkany, zarzeczany, zabeczany, aż wstyd! Mój biedny szlafroczek, taki był różowiusi, taki śliczniusi, z Ameryki od ciotuchny. A teraz jaki jest? Brudny, kurwa!!!

Nutka nalał sobie whisky i opróżnił szklanekę jednym haustem.

– Zapłacisz mi za to, siostrójebco – warknął, nalewając sobie jeszcze jednego drinka. Odstawił go i nagle niczym u magika w jego dłoni znowu pojawił się nóż sprężynowy. Wymierzył go we mnie, oblizując się. – Wypatroszę cię jak wieprzka w rzeźni. Bardzo powoli. Ale najpierw tylko utnę ci fiuta, żebyś mógł sobie popatrzeć, jak nim pierdołę tę szmatę, twoją siostrę. A jak twój kutas przestanie ją zadowalać, znajdę coś innego, specjalnie dla niej... – Podszedł do mnie szybko i wrzasnął mi prosto w twarz, opluwając kropelkami śliny zmieszanej z krwią: – A na koniec ją, kurwa, rozplątam od cipy aż po pociętą mordę!

Jeśli ktoś na świecie mógłby wykonać taki plan, to właśnie on. Nagle przyszło mi do głowy, że może ten świr jest impotentem. Nie zdążyłem go o to spytać, bo wtrącił się Opiekun:

– Panowie! Spokojnie. Siadaj, Nutka, i wyluzuj. A ty, Profesorze, skończ z tymi popisami, bo tu naprawdę nikomu to nie imponuje.

Wytarłem sobie twarz i czekałem.

– Przejdźmy w końcu do interesów. Bo bierzesz tę sprawę, prawda? Na pewno nie chcesz, aby spotkała ją jakaś przykrość. Swoje już wycierpiała z twojej strony, nie uważasz?

Skinąłem w milczeniu głową. A on usiadł z powrotem i znowu sięgnął po maca. Po raz drugi mignęło mi przed oczami zdjęcie przy basenie i jej gołe cycki. Zamknął folder, a z kieszeni wyjął pendrive i mi podał.

– Skopiowałem dla ciebie zdjęcia siostry, tak na wszelki wypadek. Jakby w którymś momencie zabrakło ci motywacji.

– Albo jakbyś chciał se konia zwalić – zawołał Kakałko i wybuchnął śmiechem.

– A teraz – powiedział Opiekun, obracając ekran w moją stronę – pokażę ci moją żonę. To jest Sophie.

Laska wyglądała na jakieś dwadzieścia lat. Miała długie, lśniące, brązowe włosy i szczupłą twarz o ostrych, kocich rysach. Oczy ciemne, nieco skośne, prosty mały nosek, usta idealne, figura modelki. Była piękna. Są dziewczyny ładne, bardzo ładne, atrakcyjne, spoko, przystojne, niezłe, seksowne – ale wszystkie te określenia znaczą mniej więcej tyle, że sporo tym dupom brakuje do ideału. Natomiast żonie Opiekuna nie brakowało nic.

– Robi wrażenie, prawda? Wszystkich porusza jej uroda. Faceci przy niej dosłownie głupieją! – stwierdził z zadowoleniem Opiekun, popatrując na zdjęcie.

– Kiedy zniknęła? – spytałem zmęczonym głosem. Rozboliła mnie głowa. Dałbym wszystko za tabletkę ketonalu. Albo tramalu. Albo od razu morfiny. To był jakiś koszmar. Przed chwilą mnie szantażowali i grozili mi kastracją, a teraz ja zadawałem im grzeczne pytania, jak jakiś pierdolony Hercules Poirot!

– Miesiąc temu.

– W jakich okolicznościach?

– Pojechała z ochroniarzem do centrum na zakupy. Ostatni raz widziano ją na jednej z tych barek przy Wiśle, na Kazimierzu. Na tej ostatniej, z figurą drewnianej syreny na dziobie. Sophie jadła tam brunch. I po prostu zniknęła.

– A co z ochroniarzem?

– Też zapadł się pod ziemię.

– Mogli uciec razem?

– Wątpię. Sophie ma na to za dobry gust. Ale jeśli Rychu ją zgubił albo pozwolił, żeby coś jej się stało, to widocznie miał na tyle rozumu, by nie wracać do mnie z tą informacją.

– A może tylko pomógł jej w ucieczce?

Opiekun spojrział na mnie tak, jakbym o życiu wiedział mniej niż nic. I skwitował:

– Najbystrzejszy nie był, ale nie aż tak głupi. Nie odważyłby się.

– Hajs to dobre remedium na strach.

– Sophie nie miała własnych pieniędzy – przerwał mi. – Dostawała ode mnie określone sumy na zakupy.

– Jak duże?

– Pięćset, tysiąc złotych. Zależy, co chciała kupić. Pokazywała mi potem zakupy i rachunki.

Dziewczyna żyła w klatce. I to nawet nie złotej, tylko betonowej.

– Czy w takim razie ktoś mógł ją porwać? – spytałem, wciąż nie do końca ogarniając, że naprawdę tu siedzę i zadaję idiotyczne pytania.

– Jeśliby tak było, prośba o okup już dawno by nadeszła.

– Nie musiało chodzić o okup, tylko na przykład o zemstę – odparłem. – Na pewno ma pan wrogów.

– Lista jest długa. Tylko kto miałby na tyle odwagi? – Uśmiechnął się mój klient. Zastanawiał się chwilę, chociaż byłem pewien, że nie musiał. Czekałem. W końcu powiedział poważnym tonem. – Jest chyba tylko jedna osoba, którą byłoby na to stać. Nazwała się sama Małą Carycą. To córka świętej pamięci nieodżałowanego Hrabiego. Znasz ją, prawda?

– Niestety. A więc opuściła już dom dziecka?

– Dopiero zaczyna rozkręcać na nowo interes, ale jest chciwa i pazerna i pewnie nie może się pogodzić z tym, że Osiedle jest poza jej wpływami – wyjaśnił Opiekun. – Mentor doradzał mi nawet, żebym się z nią ożenił i żebyśmy wspólnie rządzili w mieście. Nie miałem jednak ochoty czekać, aż ta mała cholera zamorduje mnie którejś nocy we śnie. Jest na tyle zuchwała, że mogłaby porwać Sophie dla samej zabawy lub z czystej złośliwości. W każdym razie minął miesiąc, więc jeśli to było porwanie

i stoi za nim Caryca, to być może Sophie już nie żyje. A wtedy ktoś musi za to zapłacić.

Powiedział to rzeczowo, jakby rozważał jedną z opcji. Jakoś nie byłem do końca przekonany do głębi jego uczuć. Chyba przede wszystkim nie podobało mu się, że ktoś z nim pogrywa. Gdy się ponownie odezwał, jego głos był twardy i zdecydowany:

– Muszę się dowiedzieć, co się z nią stało. Daję ci wolną rękę. Pytaj moich ludzi, o co chcesz. Jak trzeba, to przyciśnij mocniej.

– Psiarnia węszyła? – spytałem.

– Jeden znajomy, ale nic nie znalazł.

– Bo jedyne, co inspektor potrafi wywęszyć, to pieprzone pączki – podsumował rozbawiony Kakałko, który cały czas przysłuchiwał się rozmowie ze swojego legowiska.

– Kakałko, stul dziób – poprosił Opiekun łagodnie.

Pomyślałem o tych zdjęciach z posiadłości Goldenthala. Ludzie Gabriela wdarli się na teren należący do inspektora policji. Łazili wszędzie za laską, która o śledzeniu wie wszystko. Napstrykali jej fotek, za które brukowce zapłaciłyby grube tysiączki. Dlaczego nie potrafili więc znaleźć Sophie? Może dlatego, że już nie żyje i postarano się, by nie pozostał po niej ślad? Jeśli tak było, to nie miałem ochoty być tym, który powiadomi o wszystkim Gabriela.

– Jaka ona była? – spytałem i zaraz się poprawiłem. – To znaczy, jaka ona jest?

– O, Sophie to bardzo specyficzna dziewczyna. Czasami trzeba ją chronić przed nią samą.

– Dlaczego?

– Jest chora na schizofrenię. Gdy nie bierze leków... No cóż... nie jest sobą. A może właśnie jest. To przeurocza dziewczyna, ale bywa nieobliczalna.

Jeszcze raz spojrzałem na zdjęcie żony Opiekuna. Teraz to zobaczyłem. Niespokojne błyszczące oczy, szeroko otwarte, podejrzliwe, czujne. Jak zwierzę w pułapce.

– Jak się poznaliście? – spytałem.

- Na jakimś przyjęciu czy bankiecie, to było w grudniu – odparł. Czekalem, aż powie coś jeszcze, ale milczał. Przyglądaliśmy się sobie.
- Chciałbym teraz zobaczyć jej pokój – odezwałem się w końcu.
- Oczywiście, oczywiście – zgodził się Opiekun. – Kakałko pokaże ci pokój Sophie. Pewnie każdy detektyw właśnie od tego by zaczął.

Możliwe. Miałem w głowie jakieś przebłyski filmów i kryminalnych powieści. Detektyw zawsze oglądał pokój ofiary. I nawet jeśli był którymś z kolei śledczym gmerającym w jej dobytku, to właśnie jemu zawsze udawało się znaleźć coś istotnego. Jakiś drobiazg, który w najważniejszym momencie śledztwa okazywał się brakującym elementem łamigłówki.

Poszedłem za Kakałkiem do pokoju, do którego wchodziło się prosto z loftu. Było to, jak się okazało, jedyne wejście. Jeśli Sophie chciała opuścić swoją kwaterę, mogła to zrobić tylko przez to wielkie białe pomieszczenie, którego pilnowano w dzień i w nocy i przez które nie dało się przemknąć niepostrzeżenie.

Jej sypialnia była bardzo przestronna. Urządzona z przepychem jak komnata królowej. Centralnym punktem było wielkie łóżce, starannie pościelone, z górą wymyślnie udrapowanych poduszek różnych rozmiarów.

- Czego szukasz? – zainteresował się Kakałko.

Nie odpowiedziałem mu, bo sam nie wiedziałem, czego właściwie szukam. Mimo to niezrażony chodził za mną krok w krok, obserwując uważnie moje ruchy.

- Szukasz pamiętnika? – zachichotał.

To, że ta dziewczyna mogła pisać pamiętnik i ukryć go tutaj, było równie mało prawdopodobne jak to, że miała jakiegokolwiek prywatne życie.

W ogromnej szafie było mnóstwo ubrań świadczących o tym, że żona Opiekuna miała zupełnie inny gust niż mieszkanki Osiedla i że mąż nie żałował pieniędzy, aby dobrze się prezentowała. Na toaletce stały drogie kosmetyki, a w szufladach błyszczała kosztowna biżuteria. Mały regał na książki był prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku popularnych romansideł. Przejrzałem każde z nich dla porządku. Z żadnej książki nie wypadła jednak tajemnicza kartka, ani jeden róg nie był zagięty, nic nie napisano na

marginesie, niczego nie podkreślono. Powiedziałbym, że tych powieści nikt ani razu nie otworzył.

– Sama sobie kupiła te książki? – spytałem.

– Nie. Ja je kupiłem na polecenie Opiekuna. Kazał mi wybrać coś w sam raz dla młodej kobiety. No to kupiłem całą trylogię o Greyu. Czytałeś? Nie? Świetna rzecz – wyznał Kakałko podekscytowany. – Ja uwielbiam romanse! Uwielbiam, jak się w książkach dupcą. Nawet jeśli baby z chłopami. Po kilka razy sobie czytam takie sceny. Ale jej nie zainteresowały te książki...

– To co ona robiła całymi dniami?

– Chodziła na spacer z obstawą, oglądała programy, leżała, siedziała, jadła.

– Co oglądała?

– Lubiała dokumenty. Takie nudne, poważne. Na przykład o wojnie czy o tym, no, o Stasi...

Powiedział to tak, jakby był to dokument o jakiejś kobiecie o imieniu Stasia.

– O zwierzętach w Afryce też lubiła. O głodującym Murzynach...

– Jej życie było chyba nudne?

– Bo ja wiem? Nie narzekała.

Spróbowałyby.

– Czy to był tylko jej pokój?

– Tak, Opiekun ma własny, ale często ją odwiedzał. Jest bardzo troskliwym mężem – powiedział Kakałko z uśmiechem.

Bardziej troskliwy mógłby być chyba tylko Sinobrody. Rozejrzałem się jeszcze raz. Ten pokój wyglądał jak ekspozycja w sklepie meblowym. W tej komnacie księżniczka Sophie oglądała Discovery Channel, czekając, aż władca Osiedla złoży jej wizytę, aby wypełnić małżeński obowiązek.

– Z kim powinienem pogadać w pierwszej kolejności? – spytałem, gdy wróciliśmy i znowu usiadłem na kanapie obok milczącego Kojaka. Kakałko zajął z powrotem swoje miejsce na tarasie.

– Z pozostałymi ochroniarzami Sophie. – Opiekun ponownie podsunął mi maca. – To oni. A ten obok nich to właśnie Rychu.

Wskazał palcem typa na zdjęciu – stał obok dwóch bardzo do niego podobnych pacjentów. Wszyscy trzej wyglądali jak głupawe gnomy z *Hobbita*. Kiedy człowiek na nich patrzył, to się zastanawiał, czy potrafią mówić, czy może porozumiewają się jedynie jakimiś głuchymi pomrukami. Przy okazji stało się jasne, dlaczego Opiekun był pewny, że żona nie puszczała się ze swoim ochroniarzem.

– Chłopaki mają dziś wolne, kazałem im na ciebie czekać w mieszkaniu – wyjaśnił Opiekun. – Na piątym piętrze. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Czy Sophie miała jakiegokolwiek przyjaciółki?

– Nie, nie miała przyjaciółek. Jedyne kobiety w naszej dzielnicy to dziwki, dresiary, alkoholiczki i ćpunkki. Nie pozwoliłbym, żeby moja żona spędzała czas z takim elementem. Jeśli chcesz porozmawiać z kimś, kto ją nieco lepiej znał, pogadaj z Judymem. Załatwił jej leki. Zna jej przypadek.

Opiekun wstał. Widocznie audyencja dobiegła końca, więc również wstałem. Kojak także ociężale uniósł się z kanapy. Mentor natomiast nadal siedział bez ruchu, ze spuszczoną głową, wciśnięty głęboko w fotel. Może czuł się winny. W końcu to on wystawił mnie Gabrielowi. Nie mogłem go winić. Zakładałem, że nie miał wyboru. Na Osiedlu chyba od jakiegoś czasu nikt nie miał wyboru.

Opiekun wyciągnął rękę w moją stronę. Po chwili wahania uścisnąłem ją. To nie był dobry moment na unoszenie się honorem i filmowe zagrywki. Właściwie pozostało mi jedynie grać rolę faceta, który dostał zadanie do wykonania i planuje wykonać je jak najlepiej. Tak jak kiedyś, znowu byłem najemnikiem. Tyle że tym razem decyzję podjął za mnie ktoś inny. Powoli docierało do mnie, jak bardzo ograniczona jest teraz moja swoboda ruchów. Byłem jak pies na regulowanej smyczy. Osiedle należało do Opiekuna. Mieszkańcy również. A więc i ja. Bo tego miejsca nie można było tak po prostu opuścić. Trzeba było dostać pozwolenie.

– No to do zobaczenia. Kakałko da ci broń i telefon – powiedział z uśmiechem Opiekun. Potem troskliwym gestem położył dłoń na ramieniu

Mentora, który drgnął jak kopnięty prądem. – Władziu, chodź ze mną, bo mam do ciebie jeszcze kilka spraw.

Mentor wstał posłusznie i podreptał za odchodzącym Opiekunem. Powłóczył nogami, jakby od dawna niedomagał. Jeszcze kilka lat i stanie się zupełnie bezużyteczny. Widział popadających w niełaskę mentorów i wiedział, co go czeka, gdy admin nie będzie już potrzebował jego rady. Poprzedni mentor umarł samotnie w małym mieszkanku walącej się kamienicy na obrzeżach Osiedla. Znalaziono go dopiero po trzech tygodniach, bo w tamtym miejscu smród nikogo nie dziwił. Umarł z głodu i pragnienia. Na koniec podobno pił własny mocz. Tą opowieścią straszono nas od dziecka, zaszczepiając w głowach smutną osiedlową prawdę, że lepiej nie być za mądrym i zbyt wykształconym. Dawniej, w czasach Osady, mentorem można było zostać po zabiciu poprzedniego. Ten obyczaj został jednak zarzucony, bo między innymi z jego powodu było coraz mniej chętnych na tę funkcję. Obecnie to aktualny admin wybierał sobie mentora. Władysława Kazana wybrał Mnich. W latach dziewięćdziesiątych Mnich zniknął. Nie pozostawił spadkobiercy. I pojawił się Król. Za Króla Mentor nie miał właściwie nic do roboty, bo Król nie słuchał rad. Opiekunowi natomiast chyba podobały się te dawne osiedlowe obyczaje i funkcje. Lubił przydzielać ludziom role i wskazywać im ich miejsce.

Gdy admin i Mentor wyszli, podszedł do mnie Kakałko i wyjął z kieszeni ufajdaną krwią szlafroka niewielką nokię.

– Telefon dla naszego detektywa. Trochu oldskul, kochany. Ale przecież nie ma służyć do lansu i gmerania po Internecie. Trzyma baterię kilka dni. Masz tam zapisany tylko jeden numer. To numer pana Gabriela. Będziesz go informował o postępach tylko i wyłącznie za pomocą tego telefonu. I będziesz go odbierał za każdym razem. Kapujesz, złociutki?

Bez słowa schowałem komórkę.

– To nie wszystko – powiedział irytujący gnojek i podał mi pistolet. – Twoje ubezpieczenie na życie.

Obejrzałem lekko przechodzoną berettę 84 FS. Niech będzie. Wprawdzie model 92 FS byłby o wiele lepszy, ale ten przynajmniej mogłem ukryć w gaciach. Zresztą nie planowałem udziału w strzelaninie.



– U nas lepiej niż w korporze, godziny pracy nieregulowane i lewe L4 na własne życzenie.

Mówiąc to, z drugiej kieszeni swojego babskiego szlafroka, który najwidoczniej mieścił cały podręczny arsenał, wyjął maleńki rewolwer smith & wesson, taki, jaki można najczęściej znaleźć w damskiej torebce. A następnie wycelował go w moją głowę. Rozmiary pukawki może w innych okolicznościach by mnie rozbawiły. Ale od jakiegoś czasu nie było mi do śmiechu i nawet najlepiej opowiedziany żart o kaszance teraz by tego nie zmienił. Nie miałem do tej pory okazji przekonać się, jakim strzelcem jest ten bywalec pedalskich potańcówek. Jednak po tym, jak zakręcił miniaturowym gnatem na palcu, wywnioskowałem, że jego zdolności manualne znacznie wykraczają poza cosobotnie obrabianie kutasów w Coconie.

– Pif-paf, skarbie, i wylatujesz dyscyplinarnie z wilczym biletem na działalność na tym łez padole. *Capito?* – Kakałko zaśmiał się, po czym szybkim ruchem schował swoją zabaweczkę do kieszeni i podszedł krok bliżej. Dotknął palcem swoich ust.

– Buzi na do widzenia?

Milczałem obojętnie. Nie miałem ochoty brać udziału w kolejnej błazenadzie.

– Nie? No to trudno. – Kakałko uśmiechnął się wyrozumiale i cmoknął ustami w moim kierunku. Potem przeniósł spojrzenie na Kojaka.

– A tobie to bym buziaczka nie dał nawet na bezludnej wyspie, brzydalu!

Kojak zignorował uwagę. Tak jak większość ziomków z Osiedla najbardziej na świecie bał się posądzenia o homoseksualizm. I podobnie jak ja należał do tej najbardziej zagrożonej insynuacjami grupy – był jedynakiem wychowywanym przez samotną matkę. Stale musiał udowadniać swoją chuligańską wartość i bez końca nawijał o dupach. To była jedna z tych rzeczy, na które nic się nie da poradzić. Gdy najlepszy kumpel opowiada ci o tym, jak mu blachara opierdalała pęto w kiblu, to po prostu to propujesz. Nawet jeśli wiesz, że w całej historii prawdą jest tylko to, że był w kiblu.

Wyszliśmy na korytarz. Przed drzwiami stał nadal ten sam kafar, którego kojarzyłem, ale nie bardzo wiedziałem skąd. Uśmiechnął się przyjaźnie

i zagadał:

– Idziesz pogadać z obstawą Zośki? Wiesz, gdzie to? Piąte piętro, potem w prawo, drzwi z napisem: „jebać Wisłę i policję”.

– Dzięki – odparłem. Proszę, jaki miły koks. Odprowadził nas do windy i nawet guzik wcisnął.

– Nie pamiętasz mnie, co, Profesorze? – odezwał się, gdy czekaliśmy.

No, nie wiedziałem, skąd kojarzę tę gębę, była jak każda inna gęba tutaj. Wyciosana maczetą z jednego kawałka drewna. Chłopisko podeszło do nas, mrużąc i tak już malutkie oczka krótkowidza. Coś mi zaczynało świtać. Wtedy zauważyłem jego zniekształcone, kalafiorowate ucho.

– Kalafior – powiedziałem z uśmiechem, w porę przypominając sobie ksywę. – Mistrzostwo dzielni w wadze ciężkiej w dwa tysiące ósmym.

– Pamiętasz! – ucieszył się Kalafior. – Zwycięstwo, ale nie darmo.

Wskazał swoje oczy, a następnie zniekształcone ucho. Dopiero teraz zauważyłem, że nosił aparat słuchowy.

– Sukces okupiony cierpieniem liczy się podwójnie – palnąłem bon mot.

– He, he, dobre. Podwójnie. Dobre – zachwycił się Kalafior. – Ale przyznaj, żeś mnie z początku nie poznał.

– Z początku nie.

– He, he, he. A powiedz, na chuj ty w ogóle wróciłeś?

Doskonałe pytanie.

– Na chuj... – zamyślił się Kalafior.

Winda przyjechała. Wsiadliśmy. W ostatnim momencie Kalafior przytrzymał drzwi i wsunął do kabiny swoją niekształtną głowę.

– Byłeś legendą. Teraz jesteś nikim. Ze swoimi, tego, fa-kul-te-ta-mi, kurcza, jesteś nikim. Znaczysz tu mniej niż ostatni menel z działek. Każdy smarkacz na Osiedlu wie, że jeśli nie znajdziesz Zochy, staniesz się zwierzyną łowną – dokończył z zadowoleniem, bo chyba spodobało mu się to wyszukane porównanie.

– Co ty dupcysz, Kalafior? – burknął Kojak.

– A ty będziesz następny – powiedział smutno kafar.

– Znajdę Zośkę, odstawię Opiekunowi i zniknę na zawsze – powiedziałem, aby uspokoić zasmuconego Kalafiora.

– Gównu rozumiesz. – Ochroniarz pokręcił głową. – Opiekun to jedno. A inna sprawa, że niektórzy chłopcy obwiniają cię o upadek Króla.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

– To tylko twoje słowa. – Kalafior posmutniał jeszcze bardziej, po czym rozejrzał się, mrużąc oczy, i szepnął: – Lubię cię, kurna, nie wiem czemu, ale jakoś cię lubię. Dlatego radzę ci, zniknij stąd i nigdy nie wracaj!

Cofnął się, puszczając drzwi windy, które zamknęły się powoli i delikatnie. Wcisnąłem piąte piętro. Poczułem szarpnięcie i zaczęliśmy sunąć w dół.

– On ma rację, wyjedź, póki możesz – skomentował Kojak z rezygnacją. – Nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

– Nie mogę wyjechać.

Winda dotarła do piątego piętra. Wyszliśmy i skręciliśmy w korytarz po prawej stronie. Śmierdziało petami i uryną. Widocznie renowacje Opiekuna nie objęły tego poziomu.

– Nie bądź frajerem. Nie jesteś jej nic winien. Zostawiła cię na pastwę ludzi Hrabiego.

– Ale potem mi pomogła – powiedziałem. Nie wiem, dlaczego jej broniłem. Może uznałem, że tylko ja mam prawo źle o niej myśleć i jeszcze gorzej mówić.

– Kupiła sobie odrobinę czystego sumienia. To jest zła kobieta.

– Nie wiem. Może. Nieistotne. Zła czy nie zła, mimo wszystko nie chcę, żeby Nutka rozplatał ją na pół z mojego powodu.

– Sorry, stary, ale ona już ma swojego przydupasa, który będzie jej bronił.

– A przestańże głądzić. Po co ty ze mną w ogóle idziesz, człowieku?

– Idę, bo tak trzeba.

– To idź, ale tego pierdolenia to mi oszczędź.

Kłóciliśmy się jak para pedałów.

– Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? Masz pojęcie, jak namierzyć żonę Opiekuna? – kontynuował Kojak. – Wiesz, jak to się skończy? Spierdolisz sprawę i Nutka ją zajebie.

– To chyba po twojej myśli? Przecież jej nie znosisz. – Popatrzyłem na niego.

– Nieprawda – zaczął się wycofywać.

– Ale to, że ona zniknie, nie poprawi twojej sytuacji, przyjacielu.

– Wyluzuj, stary. – Kojak chyba bał się tego, co mogę za chwilę powiedzieć. – Zabierz ją ze sobą po prostu.

– A może to ciebie mam zabrać ze sobą?

No i przyjechał mi w ryj. A ja mu oddałem. Kojak nie markował ciosów. I w przeciwieństwie do mnie miał w ciągu tych dwóch lat sporo okazji, by doskonalić swoją sztukę walki. Ale był niższy o głowę, więc udało mi się go w końcu powalić na ziemię. Gdy tarzaliśmy się po zakurzonym betonie, kawałek dalej otworzyły się drzwi i na korytarz wyjrzała jakaś baba w podomce.

– Mietek? Mietek, to ty? – spytała i poprawiła okulary na nosie. – A nie, to nie Mietek. To przepraszam.

– Ależ proszę – odparłem.

– Cholerny burdel – mruknęła i weszła z powrotem do mieszkania.

Parsknąłem śmiechem, a Kojak zarechotał. Popatrzyliśmy na swoje zakrwawione gęby, które rozbawiły nas jeszcze bardziej. Puściłem go i usiadłem, opierając się o brudną, wysmarowaną napisami ścianę. Kojak usiadł obok. Wyjąłem fajki i go poczęstowałem. Zapaliliśmy.

– Poszła dzwonić na milicję, stara prukwa – podsumowałem.

Nie ma to jak dać sobie po razie. Teraz mogliśmy się znowu przyjaźnić.

– Wiesz co? – olśniło mnie nagle. – Ty wiesz, stary, że chyba pierwszy raz pobiliśmy się o dupę?

– Bo to dobra dupa. Jak wyjedziesz, to się nią troskliwie zajmę.

– Uhm, tak, troskliwie se konia zwalisz.

No i wróciliśmy do status quo.

– Czy nie jesteśmy na to za starzy? – spytał.

– I za mądrzy?

– Ty na pewno. Prawie skończyłeś studia.

– A ty prawie liceum.

– Ale z trudem, więc mnie nie obrażaj – pogroził mi. – Poza tym bijesz się jak ostatnia ciota.

– No już, już. Nie umiesz przegrywać.

Żarty się wyczerpały. Odłożona na bok rzeczywistość przypomniała o sobie. Podnieśliśmy się z ziemi i ruszyliśmy w głąb korytarza. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami z napisem: „jebać Wisłę i policję”. Poniżej widniał kolejny napis, głoszący, że znajduje się tu „strefa dupczenia”. Zapukałem.

– Otwarte, włącz! – usłyszeliśmy zasapany głos dobiegający z wnętrza tej nory.

W przedpokoju też nie pachniało najpiękniej. Mieszały się zapachy szlucgów, brudnej odzieży, starego jedzenia, alkoholu i skuna. Dominującą nutą był jednak odór potu. Zza uchylonych drzwi pokoju dobiegało sapanie i stękanie. Widocznie ta „strefa dupczenia” to nie był tylko pusty slogan. Pchnąłem drzwi i weszliśmy. Potężnie zbudowany typ o wielkiej, czerwonej jak burak gębie leżał na ławeczce i podnosił solidnie załadowaną sztangę, zalewając się potem. To tu znajdowało się epicentrum smrodu, nadające główną nutę kompozycji zapachowej spowijającej mieszkanie. Atletą był ubrany jedynie w szare bawełniane slipy i za małe klapki Kubota, z których wystawały hobbicie stopy, mocno zrogowaciałe, o pozółkłych krogulczych paznokciach. Nad ćwiczącym stał jego kolega, chyba jeszcze większy. Również rumiany i w samych gatkach, ale na bosaka. Jego stopy także domagały się pumeksu.

– Siadajcie – burknął większy.

Usiedliśmy na zapadniętej kanapie, brzydkiej i śmierdzącej jak wszystko inne w tej norze, łącznie z lokatorami.

– No dajesz, kurwa, dajesz – zachęcał tymczasem ten stojący. – Jeszcze raz, Szymek.

Szymek wydał z siebie przerażający ryk i uniósł sztangę. Ten drugi chwycił ją i umocował na podpórkach. Szymek usiadł, ciężko dysząc. Na skroni pulsowała mu żyła, białka oczu miał tak popękane, że aż różowe. Ziomek rzucił mu poszarzały ręcznik, którym ten otarł spocony ryj, po czym od razu sięgnął po szluki leżące na ziemi. Zapalił i zwrócił się do kumpla:

– Kurwa, muszę se łyknąć piany, się zmachałem. Kurwa, jadę sto dwadzieścia na klatę, czeku. W zeszłym tygodniu zeszłem na sto dziesięć, bo mi coś chrupło. Ale od wczoraj znowu sto dwadzieścia i nie ma chuja, czeku, żebym zszedł w tym tygodniu niżej niż sto piętnaście. Te, dajże mi browara z lodówki, bo kurwa, nie wstanę teraz.

– Sam se podaj.

– Ja pierdołę, ja ci nosiłem wczoraj, i to do Mietka. Mam prośbę na piśmie wysłać? I gościom daj. Powinno być na tyle.

– Wynajmij se lokaja, kurde, złamasie – mruknął wielkolud i zniknął za drzwiami, przez które musiał przechodzić bokiem, bo się w nich nie mieścił, skubany. Usłyszeliśmy, jak otwiera lodówkę, po czym doleciał nas taki smród, jakby tam trzymali tygodniowego trupa.

– Ale capi – stwierdził Szymek i zawołał: – Wyjebze te kotlety, bo jedzie jak z murzyńskiej chaty.

– Kaśka przyjdzie, to wyjebie – oznajmił gospodarz, wracając do salonu. Podał nam po puszcze tatry mocnej i usiadł obok przyjaciela na ławeczce. Wszyscy czterej otworzyliśmy równocześnie browary. Piana pociekła na wytarty dywan.

– Zdrowie – mruknął Szymek.

– Zdrowie – dodał ten drugi.

– Zdrowie – powiedziałem ja.

– Zdrowie – przyłączył się Kojak.

Ile to czasu schodzi na te wszystkie rytuały. Napiliśmy się. Szymek opróżnił piwo na raz, wytarł otwór gębowy wielką łapą i westchnął z ulgą. Potem zmiażdżył puszkę dwoma palcami, jakby była z papieru. Przyglądałem się im na zmianę, usiłując sobie przypomnieć, skąd ich znam.

– Co się tak lampisz? Tak ci się podobamy, Profesorze? – zarechotał Szymek szyderczo. – Ledwom cię poznał z tymi długimi, tymi, tymi. Na co ci taka cwelowska plereza? Omyłkowo łomot możesz zebrać od ekipy. Mnie normalnie kusi, żeby wziąć maszynkę i ci zgolić porządnie ten łeb.

– Nie wkurwiają cię te włosy? – spytał drugi i wskazał niepewnie moją głowę, jakby to było gniazdo żmij albo jakbym był dotknięty jakąś nieprzyjemną zakaźną chorobą skóry.

– Jak chodziliśmy razem na siłkę, miałeś trochę lepszy styl – zauważył Szymek.

No tak, wszystko jasne, kojarzyłem ich z siłowni. W czasach Króla nie byli jednak żadnymi ochroniarzami, tylko dosyć spokojnymi kolesiami, którzy najbardziej na świecie kochali siłkę. Potrafili prowadzić długie rozmowy o dostępnych na rynku białkach, odżywkach, suplementach, kaloriach, odpowiedniej diecie i o tym, ile wyciskali kiedyś, ile wyciskają teraz, a ile zamierzają wycisnąć w przyszłości. Nie mieli wysokich wymagań wobec życia. Pracowali jako bramkarze w niezbyt szykownych klubach i posuwali niezbyt atrakcyjne kobitki. Na śniadanie jedli anaboliki i popijali je browarami, a przy sobocie lubili sobie czasami wczesać kreskę.

A teraz byli na służbie u Opiekuna.

– No i co tam? Bo nie ma co – zaczął ten większy, a ja nareszcie przypomniałem sobie, że ma na imię Krystian.

Szymek wciąż nie mógł dojść do siebie po treningu. Dyszał i kaszłał, a mimo to wciągał łapczywie dym do płuc.

– Wiecie, po co tu jestem – powiedziałem.

– Ta, Opiekun mówił. Kazał nam z tobą pogadać o Zośce – odparł Krystian, a Szymek pokiwał łysym łbem.

– No i co mi powiecie?

– A, kurwa, nic – odezwał się Szymek. – Już to mówiliśmy szefowi. Nie wiem, po chuj cię tu przysłał.

– Dajże spokój – burknął Krystian. – Chłop robi swoje. Też byś, kurwa, chodził i pytał, jakby ci stary kazał. Co chcesz wiedzieć, Profesorze?

– Byliście jej ochroniarzami?

– Tak. Na zmianę. Ale najbardziej to lubiła Rycha.

– Z wzajemnością, kurwa – zaśmiał się Szymek. – Zakochał się w niej, romantyk.

– Skąd wiecie? – zainteresowałem się.

– Nie dał o niej złego słowa powiedzieć – wyjaśnił Szymek. – Nie żeby ktoś coś bardzo złego na Zośkę gadał... i nie szło tylko o to, że Opiekun mógłby się wkurwić... Ona była spoko.

– Tak. Piersza klasa maniura – potwierdził Krystian.

– No właśnie – kontynuował Szymek – ale czasem komuś się tam coś wymyskło... Kojak pewno słyszał, nie?

Kojak skinął głową, ale nie zabrał głosu.

– Widziałeś jej foto, stary, to była pierwszorzędna dupcia, nie? – wyjaśnił Szymek. – To se czasem któryś palnął coś na temat, co by jej gdzie wsadził, takie tam. Nic strasznego. Ale Rychu się wtedy wkurwiał i od razu klepać chciał.

– I czasami klepał – wtrącił Krystian.

– Kogo? – zainteresowałem się.

– Takiego Jędrusia. Chodził z nami na siłkę.

Pamiętałem Jędrusia. Krępy kafar o długich łapach, zdecydowanie przypominający orangutana.

– Jędrus twierdził, że jak Zośka jeszcze nie była żoną Opiekuna, to jej kiedyś cipę wylizał. To oczywiście bzdura z dupy wyjęta. Jedyne, co Jędrus lizał, to jakieś brudne kutasy w miejskim szalecie. Ale Rychu się zagotował, no i Jędrusia przekopał.

– Gabriel wiedział, że Rychu się buja w Zośce?

– Nie wiem. Pewnie tak. On wszystko wie. I nie mów na niego Gabriel. Nie lubi. To jest pan Gabriel.

Pan. Sram. No, na pewno.

– Więc to Rychu mógł jej pomóc w ucieczce? – podrzuciłem.

– O, co to, to nie – zaprotestował zdecydowanie Krystian. – W życiu w to nie uwierzę. Niedobrze jest zadzierać z Opiekunem. Całkiem, kurwa, niedobrze, czeku. Trzeba by być skończonym debilem.

– Ziomek, Rychu był debilem – odezwał się Szymek.

– Nie aż takim.

– Więc co się z nią stało?

– Moim zdaniem miała gacha – powiedział Krystian. – I on jej pomógł się zawiąć. Bo i co to za życie dla takiej foczki? Siedziała zamknięta całymi dniami jak jakaś księżniczka na wieży. Na Osiedlu jest ogólnie kmina, że Zośka już dawno w Stanach, a ja to myślę, że ona pewnie siedzi w Przegorzałach.

– Dlaczego tam?



– Nie wiem – odparł Krystian, marszcząc brwi. – Tak mi przyszło do głowy. Ale może coś mi się pojebało.

Zastanowiło mnie to. Pomyślałem, że ci dwaj mogą rzeczywiście mieć różne informacje, ale są tak głupi, że nie kojarzą, skąd co wiedzą.

– Jak ona mogła mieć gacha? – spytałem. – Przecież podobno była cały czas pilnowana.

– Stary – zaśmiał się Szymek i wyjaśnił mi jak idiotcie: – jak świnka chce się pruć na boku, to zawsze znajdzie sposób. A ona była niegłupia, ta Zośka, powiem ci.

– A co się stało z Rychem?

– Szczerze? Zdupcył sprawę, zgubił Zośkę, więc się gdzieś zamelinował i sra po gaciach ze strachu. I na mój rozum lepiej, żeby siedział tam, gdzie siedzi. Teraz to nie ma już po co tutaj wracać.

Nic więcej nie udało mi się już z nich wyciągnąć.

– Dzięki – powiedziałem, wstając. Podałem jednemu i drugiemu rękę. Uścisnęli ją bez wahania, a więc moja pozycja na Osiedlu nie była jeszcze tak całkiem beznadziejna, jak to sugerował Kalafior.

– Nie marnuj czasu Opiekuna – poradził Krystian na koniec. – Dla niego liczą się efekty. Jak na siłce. Nie robota, a efekty. Chuj, że dużo ćwiczysz, jeśli nie ma efektów, bo to tak, jakbyś nic nie robił. – Spojrzał z zadowoleniem na swój pękaty biceps.

– Masz przesrane, Profesorze – dodał Szymek i za przykładem Krystiana obejrzał z zachwytem swoje rozrośnięte ramię.

– Obyśmy nie byli zmuszeni cię uszkodzić, jesteś wporzo, nic do ciebie nie mam. Te włosy zgól tylko, bo to niepoważnie wygląda – powiedział Krystian.

– Ja też nic do ciebie nie mam, dobrych chopów nie lubię krzywdzić – dodał Szymek i na potwierdzenie tej sympatycznej deklaracji klepnął mnie łąpskiem w kark.

– Też bym tego nie chciał – odparłem. – Miejmy więc nadzieję, że do tego nie dojdzie.

„I’m about to lose my mind  
You’ve been gone for so long, I’m runnin’ outta time  
I need a doctor, call me a doctor  
I need a doctor, doctor to bring me back to life”.

*I need a doctor*

DR. DRE, EMINEM AND SKYLAR GREY

(SŁOWA: ANDRE YOUNG, MARSHALL MATHERS, ALEXANDER GRANT, HOLLY HAFERMANN)

Judym nie zmienił swojego lokum od kilku ładnych lat. Nadal urzędował w pomieszczeniach na parterze wieżowca.

– Co on tu teraz robi? – spytałem, gdy podeszliśmy do drzwi, za którymi mieścił się gabinet.

– A jak myślisz? Robi dla Opiekuna. Pichci i skrobie. Pół Krakowa wyskrobał.

– Pójdzie do piekła.

– Jak my wszyscy.

Weszliśmy. Za drzwiami znajdowało się coś w rodzaju poczekalni. Było tam nawet biurko, za którym siedziała brzydka dziewczyna – pamiętałem ją z czasów, gdy była brzydkim dzieckiem. Teraz mogła mieć jakieś szesnaście lat. Amelka, córka menelicy Zadbanej. Żuła z zapalem kosmyk przetłuszczonych włosów i wyglądało na to, że bardzo jej smakował. Rozejrzałem się. Na ławce pod oknem siedziała pannica, która zupełnie nie pasowała ani do tej parodii gabinetu lekarskiego, ani do Osiedla w ogóle. Miała na sobie szkolny mundurek. Towarzyszył jej chłopak przebrany za skejta. Mogłem się jednak założyć, że swój mundurek zdjął tuż przed przyjazdem w te rejony. Trzymali się za ręce i wyglądali na przerażonych.

– W czym mogę pomusz? – spytała córka Zadbanej niewyraźnie, gdyż jamę gębową nadal miała zapchaną włosami.

– Przyszliśmy do Judyma – powiedziałem.

– W jakiej sprawie? – zapytała, otwierając gruby zeszyt. Wypluła kosmyk, który wraz z nitką śliny wylądował na zeszycie. Przetarła kartkę dłonią. – Doktor jest obecnie zajęty. Ale zaraz będzie wolny, tak myślę. Umówić wizytę?

Spojrzała na zegar wiszący na ścianie. Nagle ciszę przerwał przeszywający kobiecy krzyk. Dobiegał z gabinetu. Spojrzałem na Amelkę.

– Doktor operuje bez znieczulenia?

– Do skrobania pan doktor nie używa znieczulenia – wyjaśniła recepcjonistka beznamietnie. Popatrzyła przy tym na dziewczynę siedzącą na ławce. Ta spuściła wzrok. – Chyba że za dodatkową opłatą. Ale na to stać tylko babska z Krakowa. Szluga za to można palić. Pan doktor zezwala.

Pan doktor. Judym miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, ale stracił możliwość praktykowania zawodu jeszcze na studiach. Zapowiadał się znakomicie. W wieku dwudziestu trzech lat skończył chemię z wyróżnieniem. W połowie studiów dostał się na medycynę. Wyleciał na piątym roku, gdy wyszło na jaw, że regularnie podkrada leki, by produkować niedozwolone substancje, którymi potem handlował na uczelni. I tak oto w wieku dwudziestu pięciu lat jako lekarz był skończony. Miał do wyboru – zostać nauczycielem chemii albo zacząć świadczyć usługi medyczne w podziemiu. Król się na nim nie poznał, nie potrafił wykorzystać jego potencjału, ale pozwolił mu działać i podsyłał mu pacjentów – kołesi z na wpół odrąbanymi kończynami, ziomków, którzy przedawkowali, kobiety, które nie mogły sobie pozwolić na kolejną gębę do wykarmienia, dziwki, którym dziwne rzeczy wyskakiwały na ich narzędziach pracy. Judyma bardziej jednak jarało pichcenie narkotyków. Jego największym marzeniem było stworzenie zupełnie nowego produktu. Oczywiście Król miał w dupie te ambicje, nie dał mu ludzi do ogarniania składników, w kuchnię i sprzęt szkoda mu było inwestować. I tak zdechły marzenia Judyma o narkotyku doskonałym.

Byłem jednak pewien, że wraz z nastaniem rządów Opiekuna odżyły na nowo. Sądząc po stylu życia na ostatnim piętrze wieżowca, Gabriel musiał

uczynić z umiejętności swojego nadwornego lekarza bardzo dochodowy biznes. Judym pewnie dostał w końcu swoje wymarzone laboratorium i zestaw małego chemika.

Drzwi gabinetu otworzyły się i do poczekalni weszła młoda dziewczyna, blada i zapłakana. Szła z trudem, podtrzymywana przez matkę. Za nimi pojawił się Judym. Tak samo jak za każdym razem zaskoczyła mnie jego młoda, niewinna, chłopięca twarz, zupełnie pozbawiona zarostu. Wyglądał jak główny, pozytywny bohater serialu dla młodzieży.

– Idź, posprzątaj – rozkazał recepcjonistce, która rozanielona poszła spełnić żądanie „pana doktora”.

– Panie doktorze, przecież ją dalej boli – wyszeptała matka.

– Boli, boli, no jasne, że boli i jeszcze trochę poboli – odparł Judym zniecierpliwiony, ale wsunął starej w dłoń plastikowy woreczek. – Ma tu pani, to lepsze niż ketonal. Jak nie będzie już mogła wytrzymać, dać jej jedną tabletkę. Tylko uważać, bo to mocne.

A więc jednak coś w nim jeszcze z człowieka zostało. Babina, dziękując, wyprowadziła słaniającą się córkę z gabinetu. Judym spojrzał na czekającą parę. Dziewczyna trzęsła się z przerażenia. Jej chłopak próbował zachowywać się dzielnie, ale zupełnie mu to nie szło.

– Musicie poczekać – powiedział lekarz i zwrócił się do nas. – Panu Gabrielowi się zdaje, że mój czas jest z gumy. Co on znowu wymyślił?

– Panie doktorze – powiedziała nieśmiało dziewczyna. – Ja muszę być za dwie godziny w domu, moja mama...

– Spokojnie. To nie potrwa długo. Sam zabieg również.

– To może ja innym razem...

– Nie będzie innego razu – rzucił opryskliwie. – To dwudziesty czwarty tydzień. Potem szukaj sobie kogoś innego. W Hucie jest lekarka, która za kasę zrobi wszystko. Możesz czekać, ile chcesz, choćby i do porodu.

No proszę, w dodatku miał zasady! Dziewczyna popatrzyła na swojego chłopaka niepewnie.

– Chodźmy stąd – powiedział cicho, a ona zgodziła się skwapliwie. Chłopak wstał i zwrócił się do Judyma: – Chcemy z powrotem nasze pieniądze.

– Nic z tego, zabieg jest z góry zaksięgowany – oznajmił Judym i ponownie zwrócił się do nas: – Wejdźcie.

– Musimy mieć te pieniądze – powiedział histerycznym głosem chłopaczek. – Tylko tyle mamy.

– Słuchaj, smarkaczu – warknął Judym i nagle zupełnie już nie przypominał tego pozytywnego bohatera serialu. – Mam wezwać ochronę?

Nie wyglądało to dobrze. Ci dwoje nie mieli pojęcia, w co się pakują.

– Słuchaj, kolego – odezwał się niespodziewanie Kojak. – Zabierz swoją łaskę i idźcie stąd, bo chyba pomyliliście adresy. Wyjdźcie i nie wracajcie.

W drzwiach gabinetu pojawiła się kobieta, której nie znałem. Mogła być po trzydziestce, albo nawet zbliżać się do czterdziestki. Miała chudą, wymizerowaną twarz i podkrążone, nieco wyłupiaste oczy. Duży, cienki orli nos sprawiał, że przypominała jakiegoś drapieżnego ptaka. Bardziej sępa niż sokoła. Tak jak Judym nosiła biały kitel. Jego był jednak nieskazitelnie biały, jej natomiast uwalany krwią jak rzeźniczy fartuch. Dziewczyna popatrzyła na lekarkę z przerażeniem.

– Jeśli mnie nie potrzebujesz, pójdę już – powiedziała kobieta do Judyma, a on spojrzał na nią z niechęcią.

Raczej za sobą nie przepadali. Chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu Judym machnął ręką i lekarka weszła z powrotem do gabinetu.

– Wynocha – powiedział doktor, odwracając się do pary.

– A nasze pieniądze? – zapytał znowu chłopak.

Judym wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować.

– Ale z ciebie krakowski centuś! – parsknąłem. – Gorszy niż przekupa z Kleparza. Dajże mu tego tysiąka czy ile tam sobie teraz za skrobanie wieszujesz i niech już idą. Ja nie mam całego dnia, stary.

Obserwowałem z zainteresowaniem wewnętrzną walkę Judyma. W końcu pokonał w sobie pazernego bubka, podszedł do biurka recepcjonistki i otworzył zamykaną na klucz szufladę. Wyjął z niej plik banknotów, przeliczył i oddał dziewczynie.

– I nie pokazujcie się tu – warknął. – Głupi smarkacze. Już wolę kurwy z syfem, słowo daję. Zawracanie gitary i nic więcej.

Z gabinetu ponownie wyszła lekarka. Miała teraz na sobie dzinsy i męską koszulę w paski. Przez ramię przewiesiła zniszczoną torebkę, a w dłoni trzymała reklamówkę.

– Biorę kitle do prania – oznajmiła. – Do jutra.

Przechodząc obok pary, spojrzała na nich przeciągle.

– No chodźcie. Na co czekacie?

– Magda! – zawołał Judym. – Przeginasz pizdę.

– Daj mi spokój – odparła, nawet na niego nie patrząc, i wyszła, przepuszczając przed sobą nastolatków.

– Przepraszam was za to wszystko – powiedział Judym i wskazał nam drzwi swojego gabinetu.

W środku było skromnie, ale czysto. Żadnych bebechów. Rozejrzałem się z zaciekawieniem, a Judym uśmiechnął się ironicznie.

– Nic interesującego tu nie zobaczysz, Profesorze, to tylko mój gabinet. Sala zabiegowa jest za następnymi drzwiami. Siadajcie.

Usiedliśmy na twardych krzesłach przeznaczonych dla tych wszystkich smutnych pacjentów medyka. Judym wyjął drewnianą fajkę i zaczął ją nabijać wiśniowym tytoniem. Włożył do ust i zapalił. Pomyślałem, że też muszę sobie taką sprawić, skoro mam być Sherlockiem Holmesem. Bo wiernego Watsona już miałem.

– Jak mnie denerwują te bachory, same nie wiedzą, czego chcą – skarżył się tymczasem Judym, pykając z rozkoszą fajeczkę. – To już drugi raz w tym miesiącu!

– Kto to był? – spytałem, ruchem głowy wskazując na drzwi. – Pierwszy raz ją widzę.

– Chodzi ci o Magdę? – Judym wydmuchał dym w stronę sufitu. – Tak, jest tu nowa.

– Skąd się wzięła? Nie wygląda na tutejszą.

– Bo nie jest. Słyszałeś o akcji z Prochackim? – spytał Judym.

– Niby jak? Nie mam pojęcia, co tu się działo – odparłem. Pomyślałem też, że przez te dwa lata odosobnienia obraz Osiedla i mętów w rodzaju Prochackiego zaczął się zacierać w mojej głowie. – Ale oczywiście

pamiętam Prochackiego. Bardzo dobrze go pamiętam. I co mu się przytrafiło?

– Nieprzyjemna sprawa – zaczął Judym. – To był kompletny świr, ale Opiekun go lubił. Może właśnie dlatego.

– Tak, zauważyłem, kim się lubi otaczać wasz Opiekun.

Judym uśmiechnął się złośliwie.

– Tak samo nasz jak i twój. Takich ma ludzi, bo taki ma styl.

– Zajebisty. Nawet Król nie chciał mieć nic wspólnego z Panem Dobrą Nutką.

– No, taki już jest ekscentryczny, co nie, Kojak?

Kojak nie podjął tematu. Był jednym z wielu. Był absolutnie do zastąpienia. Judyma natomiast trudno by było zastąpić, dlatego pozwalał sobie na tak lekkie komentowanie posunięć Gabriela. Popisywał się przede mną swoją nonszalancją.

– Nieźle się urządziłeś – stwierdziłem.

– Nie narzekam. – Wzruszył ramionami. Teraz biło od niego zadowolenie. – Medycyna to moje powołanie i moja pasja, a tylko tu mogę ją praktykować i za to jestem wdzięczny Opiekunowi.

Uśmiechnąłem się, ciesząc się w duchu, że to nie moim powołaniem i pasją było wykrobywanie bękartów i wydłubywanie nabojów z włochatych zadków.

– Więc jak było z tym Prochackim? – spytałem.

– Trochę przegiął pałę. Zgwałcił jedną kurewkę. Zebrało się potem kilku odważnych i spuściło mu łomot. Żebra poprzebijały mu płuca. Nawet ja nie mogłem nic zrobić, musiał jechać do szpitala. Tyle że karetka przyjechała dopiero po czterdziestu minutach. To właśnie Magda miała wtedy dyżur w tej karetce. Stwierdziła zgon. I wtedy to się dopiero zaczęło. – Judym uśmiechnął się do mnie i zrobił efektowną przerwę na opróżnienie fajki z popiołu i ponowne jej nabicie.

– Do rzeczy, doktoru, bo dokończę za ciebie – burknął Kojak i ziewnął znudzony.

– Matka Prochackiego poszła do Opiekuna – Judym podjął przerwana opowieść. – Przysięgała, że jej synek jeszcze żył, gdy lekarka go badała.

Potem pojawiły się plotki, że ktoś postarał się, aby pogotowie nie dojechało na czas. Za radą Opiekuna stara Prochacka poszła do prasy. Sprawa była na tyle niejasna, że media to chwyciły. Prochacka zrobiła ze swojego synalka prawdziwe niebożątko.

– Dobrze sobie niebożątko! – prychnął Kojak. – Poryty kryminalista, który kręcił dziesiony po całym Krakowie pod patronatem Opiekuna.

– Stara Prochacka występowała nawet w telewizji, udzielała wywiadów do prasy – dodał Judym, niezadowolony, że mu Kojak przerywa. – Nikt już nie wnikał w czyny Adriana, wszyscy widzieli w nim tylko ofiarę systemu, który udupia szaraczków z mniej uprzywilejowanych części miasta. Porządni obywatele Krakowa zażądali czyjeś głowy. Padło na Magdę. Straciła pracę i prawo do wykonywania zawodu.

– A jak było naprawdę?

– Prochacki był trupem na piętnaście minut przed zjawieniem się karetki. Byłem przy tym, jak umierał. A czy ktoś opóźnił przyjazd pogotowia, tego nie wiem. Magda milczy. Gdy została bez środków do życia i możliwości zatrudnienia, Gabriel zaproponował jej robotę. Ona ma dwójkę dzieci, które wychowuje sama. Nie miała wyboru. Pracuje ze mną od pół roku. Zarabia mniej, chociaż ma takie same kwalifikacje. To kara, jaką nałożył na nią Opiekun za tamtą akcję z pogotowiem.

– Biedna dziewczyna – wyrwało się Kojakowi. – Lubię ją.

– Ja też ją lubię. – Judym rozłożył ręce. – Ale niech ci jej smutny los nie mydli oczu. Myślisz, że co teraz robi? Zabrała tych młodych do siebie i przerywa ciężą tej dziewczynie. I to o połowę taniej niż tu. Póki nie wychyla się za bardzo, przymykam oko na to, co robi w wolnym czasie.

– A wiadomo, kto załatwił Procha?

– Nikt się nie przyznał, ale wszyscy wiedzieli, kto za tym stał. – Judym uśmiechnął się. Chyba znowu chciał zrobić efektowną przerwę, ale popatrzył na nas i zrezygnował. – Dobrze go znasz, Profesorze. To był Franc. A ta zgwałcona dziewczyna to Angie.

Franc, czyli Franciszek Król, był kuzynem odsiadującego wieloletnią karę Króla i jego siostry Angie. Ojciec Franca i matka Króla byli rodzeństwem. Bardzo dziwna rodzina. Babka była kompletną wariatką i dziwaczką. Po śmierci swojej córki wychowywała Króla i Angie.



Wiedziała, że Król gwałci młodszą siostrę, ale zachowywała się tak, jakby patologia, która rozgrywała się w jej domu, nie była niczym dziwnym. Ojciec Franca był natomiast zupełnie zwykłym człowiekiem i pracował, zdaje się, jako motorniczy. Zmarł dosyć wcześnie, podobnie jak jego siostra, i prawie go nie pamiętałem. Ale matkę Franca, Janinę, znałem dobrze, bo pracowała pół życia jako księgowa w tym samym biurze co moja stara. Gdy byłem dzieckiem, matka, jak nie miała co ze mną zrobić, zabierała mnie ze sobą do roboty. Janina była jakieś dwadzieścia lat starsza od mojej starej i gdy przeszła na emeryturę, przestałem ją widywać. Wiem, że mieszkała z Francem, który się nią zajmował, gdy zachorowała. Potem chyba musiał ją oddać do domu starców. Albo do hospicjum. W każdym razie to byli całkiem porządni ludzie. Taki trochę fenomen na skalę Osiedla.

Angie kochała się we mnie swego czasu, ale nie byłem nią zainteresowany. Poza tym nie tyka się własności Króla. Gdy uciekałem z Krakowa, Angie była w szóstym miesiącu ciąży. Ojcem był nie kto inny jak właśnie Król. Trafił za kratki, a Angie do bidula. A tam podobno zaprzyjaźniła się z Małą Carycą, która być może ma coś wspólnego ze zniknięciem Sophie. Wszystko to robiło się coraz ciekawsze.

– Co się stało z Francem? – spytałem.

– Zniknął.

– W sensie: pojechał na wakacje czy spoczywa na dnie Wisły?

– Nikt tego nie wie. Gabriel rozegrał to tak, żeby nikt więcej nie odważył się na coś takiego. Franc dostał wyrok. Jego brat Janusz zresztą też. Jest nawet nagroda. Pięć tysięcy za Franca i dwa za Janusza. Ale obaj po prostu zniknęli. Teraz na Osiedlu nie został już nikt, kto kwestionowałby metody nowego admira i zachowanie jego ludzi.

– To Franc powinien przejąć władzę po Królu – odezwałem się po chwili. – Dlaczego tak się nie stało?

Judym spojrział na mnie z politowaniem.

– Co ty myślisz, że tu się odbyły jakieś wybory? Że ludzie do urn poszli, czy jak? Stary, ty nawet nie wiesz, jakie tu panowały burdel i bezhołowie! Nikt nie chciał schedy po Królu, bo to oznaczało jedynie kłopoty. Dragi znikły. Dużo dragów. Kto by chciał za to odpowiadać przed centralą? Franc? Zawsze był zachowawczy i ostrożny. Nie jest typem przywódcy. Już

Angie byłaby lepsza. Ta to przeszła szkołę życia. Dwa razy jej bachora usuwałem. Trzeci raz za późno przyszła. Ludzie by ją poparli, pomimo że baba. Tyle że wylądowała w domu dziecka. Tymczasem gliny węszyły. Nikogo jakoś nie kusiło, żeby brać się do porządków. To gówny za bardzo śmierdziało, żeby je ruszać. Pan Gabriel pojawił się pół roku później, kiedy wszystko przyschło. Miał charyzmę. Budził respekt.

– Skąd on się wziął? Jest obcy. To niezgodne z zasadami.

– Nie wiem i nie interesuje mnie to. Byłem na wakacjach. Dostałem esemesa z propozycją pracy w zawodzie.

– Podobno to Mentor go poparł – odezwał się niespodziewanie Kojak.

– Nic o tym nie wiem. Nie interesują mnie te wszystkie zasady i osiedlowe dynastie – odparł znudzony Judym. Ten temat ewidentnie mu się nie spodobał. – Ale chyba mieliśmy rozmawiać o Sophie, a nie wymieniać osiedlowe ploty.

Zrobił się niespokojny. Może bał się, że chlapnął za dużo. Przyglądałem mu się przez chwilę. Usiłował zapalić fajkę, która wygasła. Ręce trochę mu drżały.

– Podobno leczyłeś Sophie na schizofrenię.

– Cały ja: ginekolog, chirurg i psychiatra, prawdziwy człowiek renesansu. – Zaśmiał się, zadowolony ze zmiany tematu. – Głównie załatwiałem jej leki.

– Jakże konkretnie?

– Niech sprawdzę. – Judym odłożył fajkę i sięgnął po leżącą na biurku cienką teczkę. Otworzył ją i wyjął pojedynczą kartkę. Po chwili zaczął odczytywać z niej wolno i wyraźnie, jakby zwracał się do debila: – Elenium, Lexotan, Fluanxol, Zomiren.

– Kiedy dostarczyłeś jej ostatni raz te leki?

– Na dwa dni przed zniknięciem – odparł po chwili zastanowienia. – Potem pomyślałem, że przynajmniej tam gdzie jest, ma ze sobą swoje lekarstwa. Zawsze nosiła je w torebce.

– A co się działo, gdy ich nie zażywała?

– Różnie. W najlepszym przypadku siedziała w fotelu, gapiąc się w przestrzeń. Ale bywało, że była tak przerażona, że biegła po prostu przed

siebie. Raz znikła na dwa dni. Potem okazało się, że cały czas siedziała na dachu. Wszyscy jej szukali. W końcu Mentor ją znalazł. I w ostatnim momencie złapał, gdy próbowała zeskoczyć z dachu. Potem nie pamiętała, czemu w ogóle chciała to zrobić.

– A więc mogła po prostu popełnić samobójstwo?

– Nie można tego wykluczyć. – Judym pochylił się, opierając łokcie o biurko. Złączył dłonie. Chyba mu się wydawało, że jest jakimś Freudem.

– Jaką metodę stosowałeś?

– Zacząłem od jungowskiej – powiedział protekcjonalnym tonem. – Polega na...

– Wiem, co to jest metoda jungowska – przerwałem mu. – Zakładam więc, że wypróbowałaś na niej piaskownicę.

– A tak. – Wyraźnie się podjarał.

– I pewnie masz dokumentację – zachęcałem go, pewien, że bubek nie odmówi sobie przyjemności pochwalenia się, jaki to z niego wybitny specjalista w każdej dziedzinie.

Tak jak podejrzewałem, dał się wciągnąć w opowiadanie o stosowanej przez siebie terapii. Sophie musiała być dla niego wyzwaniem. Pracował nad jej przypadkiem i na pewno irytowało go, że nie miał się przed kim pochwalić rezultatami swojej pracy. Wyjął z szuflady drugą teczkę, niepodpisaną i niepozorną. W środku było tylko kilka zdjęć w formacie A4. Rozłożył je przede mną.

– Nikt o tym nie wie. Nawet Opiekun. To był eksperyment. – Uśmiechnął się do mnie, a potem przeniósł surowy wzrok na Kojaka. – Więc mordą w kubek.

– Żebyś ja ci przypadkiem mordą w kubek nie wpakował – warknął Kojak.

Parsknąłem śmiechem i popatrzyłem na zdjęcia. Było ich w sumie pięć. Każde przedstawiało mały zielony stoliczek, taki jak z Ikei, na którym stały różne figurki: laleczki, ludziki Lego, samochodziki, klocki, plastikowe zwierzątka. Zdjęcia na pierwszy rzut oka wyglądały podobnie. Zauważyłem, że układ klocków przypominał układ Osiedla. Otoczone było ono murem z większych klocków. Poza murem porozrzucone były byle jak inne, mniejsze klocki.

– To Osiedle, a tam dalej reszta miasta. Widzisz, jaka mała i nieistotna. – Judym postukał palcem w jedną z fotografii.

W środku ogrodzonego terenu porozstawiane były figurki. Wyglądały trochę jak więźniowie na spacerunku. W centralnym punkcie królowało postawione pionowo drewniane pudełko po koniaku.

– To nasz wieżowiec – objaśniał dalej Judym.

Przed wieżowcem stała lalka nieco większa niż inne. Ubrana na biało. Wokół niej skupiały się inne, znacznie mniejsze postaci.

– To naturalnie pan Gabriel. Niczym Bóg, co nie? A to jego owieczki. A to Sophie. – Doktor wskazał ciemnowłosą Barbie spoczywającą w dziwacznie krzywej pozie w rogu, tuż przy ogrodzeniu. Głowę miała wykręconą w stronę miasta. Przypominała tę postać z obrazu Wyetha *Świat Christiny*. Naprzeciwko niej siedział sporych rozmiarów misiek i patrzył na nią. Misiek nie wyglądał groźnie, w dłoniach trzymał wielkie czerwone serce. Sophie na pewno nie bała się swojego ochroniarza. Dwa inne bardzo podobne miśki stały nieco dalej i wydawały się pogrążone w rozmowie. Krystian i Szymek dyskutujący o zajebistości siłki. Nieistotni. Moją uwagę przykuła natomiast mała postać stojąca za drzewem. Uniosłem zdjęcie do oczu. Okazało się, że to niezbyt udana figurka Yody z *Gwiezdnych wojen*.

– Czy to Mentor? – spytałem, wskazując ludzika.

– Zgadłeś. Miał mieć na nią oko. Nie spisał się.

– I nie ukarano go?

– Bezpośrednio nie zawinił on, tylko Rychu. Poza tym Mentor cieszy się tu szacunkiem. Pan Gabriel nie mógł go potraktować jak Franca czy Janusza i ukarać dla przykładu. Ale jest na czarnej liście.

Teraz tym bardziej rozumiałem, dlaczego Mentor podsunął Gabrielowi moją kandydaturę na detektywa. Widać desperacko próbował ratować własną dupę. Może chciał się okazać pomocny, a może miał nadzieję, że Opiekun zajmie się dręczeniem nowej ofiary i jemu da spokój.

Powróciłem do zdjęć. Na każdym była data. Poukładałem je więc chronologicznie. Różniły się od siebie zaledwie kilkoma szczegółami. Świat Sophie. Smutny i bardzo znajomy. Wziąłem do ręki ostatnie zdjęcie – widniał na nim zupełnie nowy element, który zauważyłem dopiero teraz. Za

murem, wśród mniejszych klocków, pojawił się czarny samochódzik. Laleczka Sophie spoglądała na niego zza muru.

– Co to za samochód?

– Czarna wołga? – podsunął Kojak.

– Nie mam pojęcia. – Judym zmarszczył brwi. – Pytałem ją naturalnie, bo to było coś nowego. Powiedziała, że to diabeł.

– Diabeł? – spytałem sceptycznie.

– Tak. Nic więcej nie chciała powiedzieć – odparł Judym, sięgnął ponownie do teczki, z której wcześniej wyjął zdjęcia, i podał mi jeszcze jedno. – To ułożyła na naszym ostatnim spotkaniu. Dlatego właśnie nie można wykluczyć wersji z samobójstwem.

Obok pudełka-wieżowca leżała ciemnowłosa Barbie z rozrzuconymi rękami i nogami, przykryta kawałkiem czerwonego materiału. Wokół niej stały figurki, których używała przy poprzednich instalacjach.

– Nikt nie znalazł ciała. Więc jeśli się zabiła, to nie na Osiedlu – odezwał się Judym.

– Długo trwała ta terapia?

– Właściwie prawie od samego początku, od kiedy została żoną Gabriela. Czyli od końca stycznia do kwietnia. Przychodziła do mnie raz w tygodniu.

– Wiesz, w jaki sposób Opiekun ją poznał? To przecież nie jest laska z Osiedla.

– Spotkał ją na jakimś przyjęciu, zdaje się. Nie wiem w sumie.

– Nie rozmawialiście o tym?

– Nie.

– A o czym rozmawialiście?

– O niej, o tym, co czuje, czego się boi.

– I czego się bała?

– Sama dobrze nie umiała tego nazwać. To był strach dziecka, które się boi, że pod łóżkiem czyha potwór.

– Albo diabeł – podrzuciłem.

Ponownie zerknąłem na zdjęcie przedstawiające czarny samochód. Czarną wołgę. Coś nie dawało mi spokoju. Jakaś myśl czy wspomnienie,

którego nie mogłem wyłowić z odmętów pamięci.

Gdy wyszliśmy przed blok, było już późne popołudnie. Wejścia nadal pilnowało dwóch ochroniarzy. Przyglądali się nam uważnie, a ich spojrzenia były ciężkie i ponure, bez cienia sympatii. Pomyślałem, że przecież znam tych ludzi od lat, a oni znają mnie. Mimo to traktują jak obcego. Albo nawet wroga.

– Mentor wychodził? – spytałem Abdula, wiedząc, że odpowie mi prędzej niż ten kretyn Dżordasz.

– Wszedł – odburknął ochroniarz. – I gdzieś se poszedł.

Odwrócił się do nas plecami na znak, że nie ma zamiaru dłużej z nami gadać. Kojak prychnął i splunął, po czym trącił mnie w ramię i wskazał zgarbioną, a mimo to potężną postać siedzącą na ostatnim stopniu schodów. Był to Jogi, najlepszy przyjaciel Pana Dobrej Nutki.

– Cześć, Jogi – powiedział Kojak. – Patrz, kto wrócił.

Jogi odwrócił do nas swoją nalaną, ciastowatą, tłustą twarz. Powoli pojawił się na niej nikły błysk rozpoznania.

– Profesor – stwierdził ponurym basem. – Wrócił. Jogi nie ma pojęcia, dlaczego to zrobił. Mówili, że taki mądry, a okazał się głupi. Będzie szukał tej pomylonej. Wszyscy myślą, że z niej taki kwiatusek. Jogi wie swoje.

– Czyli co? – spytałem, jednak bez większej nadziei na sensowną odpowiedź.

– Że roszciska, która zjada ludzi i owady, to też kwiatek. Ludzi i owady. Wiesz, o czym mówię?

– Nie bardzo. Co ty tu robisz?

– Czekam na przyjaciela – wyjaśnił, po czym podrapał się po głowie. – Długo czekam, ale czas nie ma znaczenia dla tych, co nic nie znaczą.

– Poczekaj w barze u Rudego.

– W barze nie. Tam Nutka nie przyjdzie. Przybił Rudemu dłoń do baru. Jogi uważa, że to było niepotrzebne. Ale przecież trzymał rękę barmana, gdy Nutka wbijał – mruknął, zaskoczony własnymi słowami.

– Jogi chyba musi sobie znaleźć innego przyjaciela – skwitował Kojak.

– Co?

– Jogi chyba musi sobie znaleźć innego przyjaciela – powtórzył Kojak.

– Kto?

– Jogi! – huknąłem mu do ucha.

– Nie wiem, o co wam chodzi. – Popatrzył na nas podejrzliwie. – Kojak powinien znaleźć sobie nowego przyjaciela. Biedny łysy smutas. Gadające trupy z ławeczki wiedzą, co to przyjaźń. Przyjaźń nie zazdrości.

– A ty nie pracujesz dla Opiekuna?

– Nie, Jogi lubi być obok, tak jest dobrze. Lepsze to niż słuchanie głupich poleceń tego zwariowanego Opiekuna. Jego czas kiedyś się skończy. Więc co on mnie obchodzi. Nudzicie mnie. Idźcie już sobie.

Jogi odwrócił się do nas bokiem i wlepił wzrok w przestrzeń.

– To nara, ziomek – pożegnałem go.

– Nara, ziomki. Wreszcie spokój. Ciągle ktoś czegoś chce. Obserwuję to od jakiegoś czasu. Zaczyna się z samego rana i ciągnie aż do wieczora, a czasami i w nocy. Ostatnio częściej... już kiedyś tak było... nie za Króla, a jeszcze dawniej...

Oddalając się, słyszeliśmy, że dalej gada do siebie. Rechotaliśmy jak za dawnych czasów. Rozmowa z Jogim to była zawsze gruba faza.

– To jest jednak wariat – stwierdził Kojak. – Osiedlowy głupek. Każde osiedle ma takiego. Ale nasz jest wyjątkowy.

– A może on ogarnia wszystko, co się wokół niego dzieje? Ale udaje stukniętego, bo dzięki temu ma spokój, skoro nikt nie traktuje go poważnie?

Poszliśmy skrótem między blokami, a potem dróżką przez opustoszałe ogródki działkowe, o które nikt już nie dbał. Gdyby to była inna część miasta, już dawno postawiono by w tym miejscu kilka nowych bloków. Ale tutaj nie miało to sensu. Tu nikt nie chciał inwestować. Mijaliśmy kolejne zniszczone, chylące się ku ziemi altanki, ledwo widoczne zza chaszczy i krzaków. Dzicz pożerała tę namiastkę sielskości, którą próbowali tu wprowadzić jacyś marzyciele. Jako dzieci często bawiliśmy się na działkach. Te zabawy polegały głównie na niszczeniu, włamywaniu się do domków i plądrowaniu ich z byle czego. Czasami wybijaliśmy szyby albo rzucaliśmy w baby jabłkami i uciekaliśmy przed dziadem, który mierzył do nas z wiatrówki. W końcu działkowcy stracili resztkę nadziei oraz chęci i pozwolili, by efekt ich trudów niszczał. Teren przejęli dzicy lokatorzy:

degeneracji, wariaci, menele, ćpuny. Teraz nikt się już tu nie bawił, było to zbyt niebezpieczne.

– Jest Jabolowa Chatka. – Wskazałem jeden z okazalszych domków. Obłaziły z niego resztki białej farby, a okna miały powybijane szyby.

– Jabol, jabol, jabolowi ludzie – zaczął śpiewać Kojak, ale nagle umilkł, chociaż miałem ochotę pośpiewać razem z nim.

– Dawno nie byłem w Jabolowej Chatce. Zajrzałbym.

– Nie pora na to, stary, innym razem.

Jeszcze raz odwróciłem się, by spojrzeć na Jabolową Chatkę. Ukryta w chaszczach, cicha i opuszczona przypominała mauzoleum, którego nikt nie odwiedza. Przystanąłem. Cień niejasnych wspomnień na moment pojawił się w zamulonych odmętach mojej pamięci. Patrząc w puste oczodoły altanki, przez moment miałem wrażenie, że ona również przygląda mi się uważnie.

– No chodźże – przywołał mnie Kojak z końca ścieżki. Nie zauważyłem, że poszedł dalej beze mnie.

Osobliwe złudzenie przysło. Dogoniłem Kojaka.

Tam gdzie kończyły się tereny działkowe, zaczynała się niespotykana na Osiedlu zabudowa, składająca się z małych domków jednorodzinnych. Musiały one pamiętać czasy, gdy te tereny nie należały jeszcze do miasta. W jednym z nich mieszkał Mentor.

Weszliśmy przez skrzypiącą furtkę do w miarę zadbanego ogródka, w którym stał ceglany, parterowy dom. Podeszliśmy do pomalowanych na zielono drzwi. Zapukałem, ale nikt nam nie otworzył. Pukałem jeszcze kilka razy, a Kojak załomotał pięścią, wzywając Mentora. Bez skutku. Obeszliśmy dom, próbując zaglądać przez okna do środka, ale wszystkie zasłony były pozaciągane.

Kojak odprowadził mnie do samochodu. Mój ford stał tam, gdzie go zostawiłem, nietknięty, co było miłą niespodzianką. Byłem do niego przywiązany. To zaskakujące, jak czasami ludzie pozbawieni sentymentów potrafią przywiązać się do maszyny. Ten gruchot towarzyszył mi w niejednej akcji. Pomyślałem, że gdy w końcu padnie, sprawię sobie identyczny.



Ona też kiedyś miała forda. Zabytkowego taurusa. A teraz jeździ jeszcze bardziej zabytkowym de tomaso deauville! Nagle przystanąłem. Szybko wyjąłem komórkę i wybrałem numer. Odrzuciła połączenie. Postanowiłem dzwonić do skutku. Odebrała dopiero mój czwarty telefon.

– Powiedz, że dzwonisz, aby się pożegnać – warknęła na wstępie.

– Kiedy kupiłaś tego de tomaso? – spytałem szybko.

– A co cię to obchodzi?

– Odpowiedz raz normalnie. Nie mam czasu wyklócać się o każde zdanie. Mam tu niezły burdel.

– Widzę, że powrót do tego, co robisz najlepiej, czyli pierdolenia sobie życia, nie zajął ci wiele czasu. Ale tym razem nie chcę o tym słyszeć...

– Czekażże! Nie rozłączaj się, do chuja pana! – huknąłem.

– Masz piętnaście sekund i jadę na Zakrzówek popływać.

Co za kretynka. Ciekawe, czy spodoba jej się kąpiel w Zakrzówku z betonowym obciążeniem.

– Kiedy kupiłaś samochód Jadwigi Boyer? Wiem, że należał do niej.

– Nie kupiłam go. Dostałam od Aarona, gdy się zaręczyliśmy. Jakiś miesiąc temu.

– A dokładnie?

– Dwudziestego kwietnia. Po co ci to?

– Dlaczego ci go dał?

– Bo go stać – odparła zirytowana. – Cały ruchomy majątek Boyer jako nielegalnie zdobyte dobra policja wystawiła na aukcję.

– A gdzie ten samochód stał przez dwa lata?

– W policyjnym garażu zapewne – wycedziła. – Ale z ciebie nudziarz. Jeszcze coś? Chcesz wiedzieć, gdzie kupiłam rower albo ekspres do kawy?

– Na razie nie mam więcej pytań.

– Na razie? – zainteresowała się nagle. – W co ty grasz? A zresztą co mnie to obchodzi. Nie kontaktuj się ze mną więcej. Jeśli to zrobisz, naślę na ciebie Aarona.

– Dobra, dobra. Strasznie się boję. Idź sobie popływać.

Rozłączyłem się pierwszy. Punkt dla mnie.

– O co chodzi? – spytał Kojak, który cały czas stał obok i przysłuchiwał się rozmowie.

– O ten samochód ze zdjęcia, z terapii Sophie. Myślę, że ona mówiła o konkretnym modelu, de tomaso deauville, którego Judym nie znał, więc dokonał nadinterpretacji. Deauville. Devil. Diabeł. To bardzo rzadki model. Już go nie produkują. Na świecie istnieje może jakieś dwieście egzemplarzy. Jeden należał kiedyś do Jadwigi Boyer. Prawej ręki Małej Carycy. A teraz jeździ nim ona. – Ruchem głowy wskazałem północno-zachodnią część miasta. – Przejęła samochód wroga.

– Co to ma wspólnego z Sophie?

– Nic. Zdjęcie piaskownicy powstało, zanim ten policyjny dupek sprezentował samochód narzeczonej. Wcześniej wózek stał w policyjnym garażu...

– Czyli to Goldenthal?

– Też nie. Myślę, że było jeszcze inaczej. Pamiętaj, że znałem dosyć dobrze i Carycę, i Boyer. Stara naprawdę kochała swój samochód. Ale straciła go, gdy trafiła za kraty. Co byś zrobił na jej miejscu po wyjściu z mamra?

– Kupiłbym taki sam. Jeśli miałbym hajs.

– Mała Caryca ma pewnie hajsu od zajebania, a dla swoich wiernych poddanych potrafi być hojna. Założę się o wszystko, że Boyer kupiła sobie taki sam model.

– No to kolejny trop prowadzi do córki Hrabiego.

– Znakomicie, drogi Watsonie. Chociaż wcale mi się to nie podoba.

Znaleźliśmy się w samym środku rozgrywki pomiędzy dwoma zaciętymi wrogami walczącymi o wpływy w mieście. Którekolwiek z nich wygra, dla takich pionków jak my nie wyniknie z tego nic dobrego.

Opuszczałem Osiedle z ulgą. Przejechałem pod wiaduktem i znalazłem się w innym świecie. Nadłożyłem nieco drogi, by zahaczyć o Bronks. Żyło tu jeszcze kilku porządnych ziomeczków. Jak wszędzie, chłopaki bawiły się trochę w dilerkę, trochę we włamy. Czasami spuścili komuś wpierdol za siedzenie na przystanku albo za pedalskie spodnie, ale to wszystko były zabawy, żarty i figle. Tu nie było scentralizowanej władzy ani dyktatora.

Był, co prawda, Księżę Bronksu, który posiadał legendarną dziewiętnastowieczną brazylijską maczetę. Podobno była to pierwsza maczeta, która pojawiła się na terenie Krakowa. Przedmiot kultu i zazdrości. Księżcia szanowały nawet chłopcy z Osiedla. On jednak nie był rzeczywistym zarządcą tego terenu, a raczej typem wiecznie zjaranego hipisa, który chętnie udzielał życiowych porad. Nie szukał konfliktów, był nastawiony pokojowo, a tej maczety podobno od lat nie ostrzył. Dotąd Bronks był taką małą Szwajcarią. Ale w końcu ktoś położył łapę na tej wodą płynącej i skunem pachnącej krainie.

Nad miasteczkiem studenckim widniała luna i unosił się gryzący szary dym z setek porozstawianych grilli. Śmierdziało spalonym mięsem. Ten zapach wdarł się przez otwarte okno i nie opuścił mnie aż do końca drogi.

„Two drifters, off to see the world  
There’s such a lot of world to see”.

*Moon river*

HENRY MANCINI

(SŁOWA: JOHNNY MERCER)

Na Dębnikach byłem po dziewiętnastej. Dopiero gdy parkowałem pod domem, przypomniałem sobie o dodatkowym balaście w postaci tej małej dziwki z Plant. Miałem cichą nadzieję, że gówniara nie wróci. No, ale niestety. Siedziała na ławce naprzeciwko wejścia do kamienicy jak ten wyrzut sumienia i złopała coś łapczywie z puszki. Oj, i nie była to coca-cola! Dziewuszysko wlewało w siebie warkę strong, jak się okazało, gdy przybiegło do mnie w podskokach.

– Ale cię długo nie było! Zdążyłam zrobić zakupy. Zostawiłam u tego twojego pedała. Chcesz zobaczyć, co kupiłam?

– Nie – odpowiedziałem.

– Kupiłam sobie trzy topy! Wiesz w ogóle, co to są topy? – nawijała, gdy szliśmy po schodach. – I sukienkę. Sukienkę, nie spódnice. Wiesz, czym się różni sukienka od spódnicy? Pewnie nie!

To akurat wiedziałem – sukienka to była taka spódnica połączona z bluzką. Ale nie odezwałem się. A nuż nie miałem racji. Młoda zresztą wcale nie spodziewała się, że odpowiem. Bez tchu wymieniała dalej:

– Kurtkę ze skóry, sztucznej, no, ale przynajmniej ze skóry, tenisówki, buty na obcasie, kilka par majtek i staników. Kupiłam jeszcze skarpetki. Ale to niezbyt ciekawe. I oczywiście trochę biżuterii.

Weszliśmy do mieszkania. Gęba nie zamykała jej się ani na chwilę. Usiadłem w kuchni przy stole i otworzyłem laptopa. Stała tuż obok, nie

przystając trąkotać.

– Twój pedał zaprosił mnie na płucka z ziemniakami. Myślałam, że to będzie do porzygania, ale było spoko. Potem wymyślił, że mi zagra swój nowy utwór. Spoczi, nie, lubię muzę. Ale okazało się, że to nie żadna muza, tylko zwykły jazgot. Więc mówię, że pójdę po browce, tylko żeby dał mi hajsik. Dał mi dyszkę, stary kutwa, i poszłam do żabki. Starczyło na trzy warki. Wracając, pomyślałam, że pewnie będzie chciał dwie, a mnie da jedną, albo nawet wszystkie sobie weźmie, bo coś tam wcześniej pierdolił, żebym se loda kupiła, a loda to ja, wiesz... He, he. LOL. No więc siadłam na wałach i wypiałam jedną warkę.

– Oddaj mu resztę.

– Wolę dać tobie – odparła przymilnie, po czym wróciła do poprzedniego tematu. – Pokazać ci, co kupiłam?

– Nie – powiedziałem stanowczo raz jeszcze. A potem wpadłem na pomysł. – Albo tak. Weź od Eda te twoje zakupy, a potem przebierz się i mi pokaż.

– Dobra! – krzyknęła i wybiegła uszczęśliwiona.

A ja cichutko wymknąłem się z domu. Wziąłem ze sobą te dwie warki należące do Edwarda. Nie chciało mi się iść do sklepu, więc postanowiłem mu jednak ich nie oddawać. Zszedłem nad Wisłę. Usiadłem na pomoście, przy którym cumowały tramwaje wodne. Przyjemnie było tak odpoczywać w ciszy, popijać browarka, palić szluga i patrzeć, jak słońce zachodzi nad klasztorem na Salwatorze. Lub podziwiać królującą na drugim brzegu rzeki za mostem, toporną, ale pełną godności bryłę domu handlowego Jubilat. W samym centrum Krakowa, oferta wyjątkowa. Jubilat. Jubilat. Wtedy usłyszałem lekkie kroki-podskoki wśród traw.

– Ja pierdolę – jęknąłem. – Nie.

Lilianna usiadła na samym brzegu, zakładając ostentacyjnie nogę na nogę, chyba po to, bym mógł podziwiać jej legginsy w kwiaty. Bez pytania sięgnęła po leżącą w trawie paczkę szlugów i wyjęła jednego. Postanowiłem udawać, że tego nie widzę. Liczba pouczających wykładów, które wygłosiłem tego dnia, była już i tak wystarczająco duża, by ułożyć z nich podręcznik dla rodziców i postarać się o dofinansowanie z ministerstwa. W myślach zabawiałem się wymyślaniem tytułów dla

moich podręczników: „Ogarnianie bachora od A do Zet”, „Praktyczne rady, jak manipulować smarkaczami”, „Spokojnie, to tylko piwo” i druga część: „Spokojnie, to tylko trawka”, „Interesujące kary na każdy dzień”, „Każdy głupi może być rodzicem, także ty!”, „Ratunku, moje dziecko jest złodziejem! Lepiej złodziejem niż frajerem”.

Bachor obok mnie zaciągał się szlugiem, pykając głośno i irytująco. Tymczasem zachodzące nad Wisłą słońce zabarwiło niebo na różowo, pomarańczowo i żółtawo, na wschodzie przechodząc w granat. Woda mieniła się jak płynne złoto. Na wyspie widziałem niejednego zachód słońca piękny jak z turystycznego folderu. Tonący w oceanie, idealnie złocisty z wielką czerwoną kulą pośrodku. Tak doskonały i pozbawiony skaz, że aż nudny. Tu zachód słońca był zupełnie inny każdego wieczoru. Dziś przypominał oślepiającą lunę, rozpościerającą się nad płonącym miastem. Jak zapowiedź przyszłych wydarzeń.

– Upadek Kartaginy – powiedziałem, zapalając papierosa.

– Turner dla ubogich – burknęła, rzucając peta do wody.

– Znasz obrazy Turnera? – zdziwiłem się.

– A co? Myślisz, że jestem głupia? Pewnie, że znam! – pochwaliła się. – Szukałam kiedyś zdjęć Williama Turnera, wiesz, tego z *Piratów z Karaibów*, którego grał Orlando Bloom. No i zamiast Blooma wyskoczyły mi jakieś obrazki badziewne jak spod Bramy Floriańskiej. Tak mówi nasza baba od plastyki. Ha, ha! LOL! Wszystko zamazane, zasyfione, niewyraźne. Sama bym lepiej namalowała. Mogę łyka piwa?

– Nie.

– Czemu?

Nie reagowałem, więc powtórzyła to pytanie jeszcze trzy razy. W końcu zamilkła, ale tylko po to, by wymyślić kilka nowych pytań, którymi planowała mnie zanudzać.

– Ile kosztowały twoje dziary? – zagadnęła, przypatrując się sceptycznie mojemu ramieniu. – Nie wyglądają na drogie.

– Nie były.

– Robiłeś je w więzieniu?

– Niektóre.

– Znaczą coś?

– Gówno znaczą – mruknąłem na odczepnego, chociaż to nie była prawda. Moje tatuaże były jak pamiętnik. Każdy mi o czymś przypominał. No, chyba że robiłem je w stanie chwilowej niepoczytalności. Wtedy pozostawały interesującą zagadką na długie zimowe wieczory. Liczyłem, że może na starość, kiedy nie będę pamiętał wczorajszego dnia, moja pamięć odległej przeszłości wróci i nareszcie dowiem się kilku rzeczy. Zapełnię wtedy białe plamy w życiorysie. Jeśli w ogóle dożyję starości. Bo na razie nie zapowiadało się, żebym miał świętować nadejście najbliższego weekendu. Czas odstawić młodą i zabrać się do roboty.

Już mieliśmy wejść do kamienicy, gdy poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Popatrzyłem na wały. W cieniu rozłożystego drzewa siedziała Magda, lekarka z Osiedla. Zauważyła mnie, ale nie zareagowała. Zastanawiałem się, co teraz powinienem zrobić. Ona tymczasem wsiadła na rower i powoli odjechała w stronę komisariatu policji wodnej. Wręczyłem Liliannie klucze.

– Idź do domu i nie ruszaj się stamtąd. Muszę coś załatwić.

Chyba wyczuła, że tym razem nic nie ugra, bo bez słowa zaczęła wspinać się na górę. Pod schodami stał nieprzypięty rower. Pożyczyłem go sobie. Pojechałem bulwarami w tym samym kierunku co Magda. Zapadał zmierzch, ale od razu ją zauważyłem. Stała przy posterunku, trzymając swój rower, i pisała esemesa. Minąłem ją i pojechałem dalej w stronę Tyńca. Czułem, że jedzie za mną, ale nie odwracałem się. Przejechałem pod mostem Zwierzynieckim. W pobliżu miejsca, gdzie znaleziono trzecią ofiarę Rzeźnika, zjechałem z asfaltu na ścieżkę prowadzącą nad samą wodę. Rzeźnik nieźle się nam zresztą przysłużył. Nikt się tu nie zapędział na wieczorny spacer. Położyłem rower w wysokiej trawie i usiadłem nad brzegiem Wisły. Miejsce było idealne. Nikt nie mógł się tu zbliżyć niezauważony. Otworzyłem ostatnie piwo Edwarda i czekałem. Usłyszałem trzask łamanych gałązek i szum suchej trawy, tratowanej rowerem. Odwróciłem się. W półmroku zobaczyłem bladą twarz Magdy i jej błyszczące, lekko wylupiaste oczy. Usiadła obok mnie.

– Mogę się napić?

Podaliśmy jej puszkę. Wypiła duszkiem jedną czwartą, po czym oddała mi piwo. W ciszy niemalże słyszałem, jak wali jej serce.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

– Pytasz poważnie? – Uśmiechnęła się z politowaniem. – Każdy, kto pracuje dla Gabriela, wie, gdzie mieszkasz.

– Po co przyjechałaś?

– Chciałam porozmawiać o Sophie.

– Znałaś ją? Byłaś jej przyjaciółką?

– A skąd. Tak samo jak wszystkim nie wolno mi było nawiązywać z nią bliższej relacji. Opiekun chyba nie chciał, aby Sophie miała kogokolwiek, kogo mogłaby nawet na wyrost nazwać swoim przyjacielem. Widywałam ją, gdy Gabriel przysyłał ją do Judyma. Judym ekscytował się jej przypadkiem jak mały naukowiec.

– Człowiek z pasją.

– O tak. A przy tym bardziej fałszywy niż ta cała reszta. Udaje, że jest ponad to, że rozgryzł Gabriela, a prawda jest taka, że boi się go tak samo jak inni. Może nie jest całkiem zły, ale dobry też nie jest.

– Nie mówisz mi niczego nowego.

– A co powiesz na to, że nasz dobry doktor kochał się w Sophie?

Teraz zainteresowałam się nieco bardziej.

– Sophie stała się jego obsesją – wyjaśniła Magda. – I trochę za bardzo zaangażował się w pracę. Trochę za głęboko zaczął drążyć. Pokazał ci zdjęcia z piaskownicy?

– Tak.

– Zdawało mu się, że będzie tym, który ją wyleczy.

– Była aż tak chora?

– Tak. Tak mi się zdaje. Nie jestem psychiatrą i nie udaję psychoterapeuty, w przeciwieństwie do niektórych. Ale jedno wiem na pewno: Sophie była bardzo nieszczęśliwa.

– Dlaczego wyszła za Opiekuna? Chyba nie powiesz mi, że z miłości...  
A może tak?

– A skąd mam to wiedzieć? To ty jesteś detektywem.



Detektywem, jakiego świat nie widział.

– Powiem ci, co wiem – ściszyła głos, zupełnie niepotrzebnie, bo nie było tu nikogo poza nami. – To było w styczniu. Dopiero zaczynałam pracę dla Gabriela. Któregoś dnia Judym przyniósł nowinę, że Opiekun się ożenił i właśnie przywiózł żonę na Osiedle. Wyszłam przed blok popatrzeć. Zeszło się sporo ludzi, żeby sobie obejrzeć Opiekuna, jak wysiada z samochodu z elegancką żoną. Ludzie bili brawo, a on ich pozdrawiał jak papież. Nawet wyglądał po papiesku w tym swoim białym garniturze. Ona robiła wrażenie zmieszanej, rozglądała się niepewnie. Była naprawdę piękna, a ci szaroburzy, brzydki, prymitywni ludzie nie mogli oderwać od niej wzroku. Nigdy kogoś takiego nie widzieli. Jaśniała niczym delikatna, eteryczna wróżka. Pewnie uznasz, że przesadzam, ale chcę ci przekazać moje odczucia. Chcę, żebyś zobaczył, jak bardzo ta dziewczyna nie pasowała do Osiedla.

– W porządku. To był ślub cywilny, jak rozumiem?

– Tak. Świadkami byli Kakałko i Prochacka. Oprócz nich do urzędu pojechali Nutka i kilku bandziorów Opiekuna.

– To musiała być wspaniała uroczystość.

– Na pewno była cudowna. Oczywiście interesowało mnie to wszystko, ale nie zgłębiałam tematu. Wolałam nie zadawać zbędnych pytań. Nie wychylałam się, robię swoje.

– Tak, słyszałem, że za znacznie niższą cenę.

– Tylko nie próbuj mnie oceniać – zdenerwowała się. – Nic nie wiesz o mnie ani o moim życiu.

– Nie oceniam. Jestem tylko najemnikiem. Robię to, za co mi płacą. Nie powinnaś w ogóle ze mną gadać ani mi ufać. Chyba zbyt krótko pobierałaś osiedlowe nauki...

– Wiem o twojej siostrze. – Popatrzyła na mnie, a w gęstniejącej ciemności znowu błysnęły jej wielkie oczy. Resztę twarzy spowijał mrok. Prawie nic nie było już widać. Ani ona nie widziała mnie, ani ja jej.

Za nami zaszumiała trawa. Magda odwróciła się gwałtownie.

– Nikogo tam nie ma – uspokoiłem ją. – No i niby co z tą moją siostrą? To chyba przestała już być tajemnica.

– Nie wiesz wszystkiego. Posłuchaj, jakieś dwa tygodnie przed twoim powrotem przysłało mi do gabinetu koleś o ksywie Człowiek Szmata. Kojarzysz go?

– Owszem. To przygłup.

– Opiekun wysłał go do biura twojej siostry.

– Coś wspominał, że pogoniła jego człowieka.

– Wybór posłańca okazał się wyjątkowo nietrafiony – wyjaśniła Magda.

Nie powiedziała nic zaskakującego. Cud, że ten czop w ogóle znalazł drogę do jej biura, bo jak dotąd udawało mu się trafić jedynie spidem do nosa. Człowiek Szmata, jak sama ksywa wskazywała, zasysał białe ściervo jak odkurzacz. A jego mieszkanie, zwane przez miejscowych szmateksem, było dla wielu ostatnim przystankiem przed ostatecznym upadkiem. Ci, którzy zaczęli spędzać czas w szmateksie, byli traktowani jak wyrzutki. I to na Osiedlu, gdzie wszelki upadek był chlebem powszednim. Najbardziej w tej historii zdziwiło mnie to, że Człowiek Szmata nadal przebywał wśród żywych i że Opiekun akurat z tego półgłówka zrobił swojego posłańca.

– Twoja siostra odesłała go z kwitkiem, zapłakanego – kontynuowała Magda. – Miał złamany nos, który musiałam mu nastawić. Nałożyłam opatrunek, ale prawie od razu go zerwał, bo nie miał jak wciągnąć kreski. Po amfetaminie stał się za to gadatliwy. Powiedział mi, że Gabriel chce cię znaleźć i że dziewczyna wie, gdzie jesteś. Miał to z niej wyciągnąć. Tyle że w momencie, gdy usłyszała pytanie, od razu kazała mu się wynosić. Nie chciał, więc złamała mu nos. Jaśniej nie mogła pokazać, co myśli o pytaniach Opiekuna. Pewnie uznała, że nowy admin to zwykły osiedlowy bandzior. Żeby jej udowodnić, jak bardzo się myli, Gabriel za drugim razem posłał do niej Pana Dobrą Nutkę.

– Ojoj! Niedobrze. – Pokręciłem głową. Gdybym dopiero co nie widział jej całej i zdrowej, byłbym teraz przekonany, że co najmniej nie żyje.

– Twoja siostra nie jest głupia, potraktowała Nutkę poważniej. Powiedziała mu, że nie ma pojęcia, gdzie jesteś, i że ma to gdzieś, bo jeśli o nią chodzi, jesteś martwy. Dodała, że jeśli Opiekun ma chęć, to ona go zaprasza i może mu to powtórzyć osobiście.

– Uwierzył jej?

– Nutka tak. Jest przyzwyczajony, że ludzie mówią mu prawdę. Ale Gabriel nie dał się nabrać. Skądś musiał wiedzieć, że ona jednak ma interesujące go informacje. Twoja siostra popełniła bardzo poważny błąd, nie traktując Opiekuna dość serio i na dodatek upokarzając jego ludzi. O tym, jak laska przetrąciła nochal Człowiekowi Szmacie, krążą już po Osiedlu żarty. Nazywają go teraz Człowiek Pobiła Mnie Szmata. Z Nutki nikt głośno się nie śmieje, ale za plecami nabijają się z niego. Specjalista od wyciągania zeznań zrobił z siebie idiotę. Dlatego jest na nią taki cięty. Prosił Opiekuna o zgodę na wypatroszenie jej, ale Gabriel odmówił. Na razie. Opiekun nie daje nikomu ze sobą pogrywać. Jego ludzie mają budzić lęk, a nie śmiech. On jej tego nie daruje. Twoja siostra musi ponieść karę. Dla przykładu.

Nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzał wywód lekarki. Jej następne słowa potwierdziły wszystkie moje obawy.

– Dostała wyrok. I to niezależnie od tego, czy wykonasz zadanie. Będzie żyła tak długo, jak długo będziesz szukał Sophie.

Czyli nie mogę odnaleźć Sophie. Ale nie mogę też szukać jej w nieskończoność, bo jeśli nie będzie efektów, Opiekun straci cierpliwość i obydwójce dostaniemy czapę, aby nasz przypadek służył innym za przestrożę.

– Po co mi to wszystko mówisz? – spytałem.

– Chcę ci uświadomić, że dla ciebie nie ma znaczenia, czy znajdziesz Sophie, ale dla niej ma. Ona nie może wrócić na Osiedle, do tego betonowego więzienia. Ta dziewczyna była przerażona. Nigdy nie widziała czegoś takiego. Takich ludzi jak te wielkie typy, które przyglądały jej się z obleśnymi uśmieszkami.

– Czy był ktoś, komu ufała?

– Mentora się nie bała. Ale jego nikt się nie boi. – Zastanawiała się chwilę, lecz widocznie nikt inny nie przyszedł jej do głowy. Nagle wyznała: – Chyba nigdy nie widziałam tak przygnębionej, samotnej i nieszczęśliwej osoby jak ta biedaczka! Jakby ktoś przerwał jej życie, które przecież dopiero się zaczęło. Gdziekolwiek się teraz znajduje, na pewno

jest jej lepiej niż na Osiedlu. Szukaj jej, ale tak, żeby nie znaleźć, a gdy tylko nadarzy się okazja, bierz siostrę i uciekajcie z kraju.

– A jeśli wtedy zabiją nam na przykład tatusia?... – mruknąłem. To nie byłoby nawet takie złe. Ten dupek dał mi życie tylko po to, by osiemnaście lat później je zniszczyć. Jeśli o mnie chodziło, mógł zdychać. – Poza tym mam drugą przyrodną siostrę. Jest absurdalnie durną cipą, ale to nie znaczy, że zasłużyła na śmierć. A one mają jeszcze matkę i kuzyna. Mam ich wszystkich wpakować do busa i wywieźć do kibucu? Nikt z nich nie ma pojęcia, kim jestem. A ona ich nie zostawi. Musi być inne wyjście.

– Gabriel cię wybrał, bo uwierzył, że jesteś najlepszy, więc udowodnij to, wykorzystaj swoje umiejętności do ratowania bliskich.

– To nie są moi bliscy, OK? I nie mam żadnych umiejętności! – Wkurwiłem się. Jak to się w ogóle stało, że nagle ode mnie zaczęło zależeć życie tylu osób? Chyba właśnie dlatego detektyw powinien być samotny. Na dodatek przypomniałem sobie o Liliannie. Muszę się jej pozbyć, zanim Opiekun dopisze ją do listy osób, za pomocą których może mną manipulować.

– Jej narzeczony jest policjantem, prawda? I milionerem... – powiedziała Magda. – Może on ci pomoże...

No tak, Goldenthal ze swoimi pieniędzmi i koneksjami mógłby ich wszystkich uratować. Nie byłem jednak zachwycony przysposabianiem tego psa do roli bohatera. Poza tym ja i ta policyjna parowa po jednej stronie barykady? Nazwijmy to na razie planem B.

Rozstaliśmy się z Magdą nad brzegiem Wisły i każde ruszyło w swoją stronę. Jak para kochanków, którzy nie powinni być widziani razem. Wróciłem tą samą drogą, którą przyjechałem. Wstąpiłem jeszcze do żabki i kupiłem jakieś żarcie dla młodej, kilka browarów dla Edwarda i jeszcze parę do domu, aby mieć czym poczęstować ewentualnych gości.

Już widzę tych gości! Dzisiejszy przykład Magdy i zastosowane przez nią środki ostrożności nie pozostawiały żadnych złudzeń, że raczej nie mam co liczyć, że któryś z kumpli wpadnie do mnie z wizytą. Tak więc mogłem się spodziewać jedynie nieproszonych gości, w rodzaju pałającego żądzą zemsty Nutki. Mogła też wpaść ona, ale raczej nie po to, by opróżnić ze

mną kilka puszek kasztelana. Jeśliby przyszła, to tylko z powodu znalezienia w umowie najmu kruczków, dzięki którym będzie mogła mnie wyrzucić ze swojego mieszkania. Zapowiadało się więc, że jedyną osobą, która może wpaść na ploty, jest mój sąsiad z dołu. To nawet zabawne, że w nadchodzących dniach, które mogły być moimi ostatnimi, jedynym towarzyszem, jaki być może mi pozostanie, będzie właśnie pedał. A kilku ich przecież w życiu pobiłem! Wcale nie z nienawiści, tylko po to, żeby im skroić portfel czy komórkę. Tak samo postępowałem z heterykami. Może i byłem złodziejem i bandytą, może i zdarzało mi się pobić słabszego od siebie, ale przynajmniej nikt nie może mi zarzucić nierównego traktowania heteryków i gejów!

Bardzo liczyłem na koniec przemocy po powrocie do rodzinnego miasta. Postanowiłem skończyć z dawnym życiem i łudziłem się, że to wystarczy, by dostać rozgrzeszenie. Chyba nic z tego. Nie wierzyłem w karmę, mimo to czułem, że teraz przyjdzie mi zapłacić za wszystkie stare grzechy. Za wszystkich biedaków, których okradłem, pobiłem lub skrzywdziłem w jakiś inny sposób. A więc również za nią, chociaż dziś trudno ją było nazwać biedakiem. I pewnie znaleźliby się tacy, którzy by uznali, że należałoby ją prac znacznie częściej. Tyle że wtedy, czternaście lat temu, była zupełnie inną dziewczyną, która na pewno nie zasłużyła na to, co ją spotkało.

Tak naprawdę gównu mnie obchodzili Opiekun i cała ta sprawa. Miałem gdzieś, czy Sophie nadal żyje, czy może od miesiąca gnije zakopana w Lasku Wolskim. Jedynym uczuciem, które budziła we mnie żona Gabriela, była irytacja, że stanęła na mojej dobrze zapowiadającej się drodze do nawrócenia. Magda – jak większość ludzi – chciała wierzyć w jakąś dobroć we mnie. Naiwnie się łudziła, że smutny los Sophie poruszy mnie na tyle, że jej pomogę, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Nie chciałem rozczarować lekarki, skoro pomimo strachu o własną skórę odważyła się do mnie przyjść. Miała jaja i szanowałem to. Dlatego pozwoliłem, by przez chwilę czuła się bohaterką. Myślę, że tego potrzebowała. Postanowiłem, że znajdę Sophie, a potem zadecyduję, czy bardziej opłaca mi się oddać ją mężowi, czy zostawić tam, gdzie jest.

Lilianna wyczuła, że to nie najlepszy czas na pogaduszki. Chyba nawet dotarło do jej maleńkiego mózdzku, że wcale nie jestem taki miłusi, jak jej

się zdawało. Patrzyła w milczeniu, jak odgrzewam mrożoną pizzę, groźnie trzaskając drzwiczkami piekarnika. Odważyła się jedynie bąknąć, że co to niby jest za kolacja.

– Nie podoba się? Tam są drzwi – powiedziałem ostro. Następna baba, która była potencjalnym źródłem kłopotów!

– Dlaczego jesteś taki niemiły?

Rzuciłem na stół pizzę i powiedziałem znudzonym tonem:

– Ty chyba jednak musisz być wyjątkowo tępą, skoro nadal do ciebie nie dociera, że ja cię tutaj nie chcę! Nie będziemy się kumplować, nie lubię cię. Gdyby była taka opcja, oddałbym cię tamtemu pedofilowi z powrotem. Z ostrzeżeniem, jaki z ciebie głupi i irytujący bachor.

Patrzyła na mnie z przerażeniem. Wcale nie było mi jej żal. Sama była sobie winna, że zamiast zaakceptować to, kim byłem, wołała wierzyć w to, co sobie naiwnie uroiła. Miałem ją przeproszać za to, że nie spełniam jej wygórowanych oczekiwań i że nie jestem taki, jak myślała? No, jeszcze czego. Ze strachem przełykała pizzę, która stawała jej chyba w gardle. Nie jestem sadystą, więc pozwoliłem jej popić ten niewyszukany posiłek piwem. Wypiła duszkiem, jakby w nadziei, że jak się upije, to świat stanie się piękniejszy. Poszedłem spać, zostawiając ją w kuchni z tymi nadpitymi browarami, kawałkami niedopieczonej pizzy i oczami pełnymi łez.

Tej nocy znowu śniłem o białej willi, ale tym razem jedynie krążyłem po jej wnętrzu przypominającym labirynt, nie mogąc znaleźć wyjścia na taras. Słyszałem szum oceanu, który na zmianę przybliżał się i oddalał, i byłem pewien, że powinienem się spieszyć. Ale tylko kręciłem się w kółko, i to coraz wolniej i wolniej, bo powietrze gęstniało z każdą chwilą. To było chyba nawet gorsze niż towarzysząca mi świadomość, że gdy znajdę w końcu wyjście na taras, czekają mnie tam jedynie makabra, groza, śmierć i perwersyjna przemoc, równie odstręczająca, co kusząca.

Wybudzałem się, ale nadal śniłem. Siadałem. Oszukiwałem się, że już wstałem. Patrzyłem na siebie z kąta pokoju. I widziałem, jak zastygam w powietrzu, które stawało się coraz bardziej mięsiste. Gdy struktura snu zbryli się całkowicie, unieruchamiając mnie na dobre, na granicy jawy i snu, będzie trudno się wydostać. Trzeba skupić myśli: wcale nie stoję

w kącie, tylko półśnie. Ale jest na to sposób. Paraliż senny można pokonać krzykiem albo bólem. Więc znowu krzyczałem bez głosu i słów.

Obudziłem się nagłym zrywem. Byłem wolny, ale paraliż senny zawsze zostawia po sobie uczucie paniki, wrażenie mroku i wspomnienie totalnego braku kontroli. Byłem nadal wściekły i rozdrażniony, a do tego niespokojny. Sięgnąłem po komórkę, aby sprawdzić godzinę. Było tuż po trzeciej. Godzina wilka. Godzina zła. Znowu nawiedzały mnie duchy i demony. Wiedziałem, że długo nie pozwolą mi zasnąć. Wsiowe zabobony w ciemności tego grobowca, który wybrałem na swoją sypialnię, nabierały realnych kształtów. Ale do świtu było blisko. A zaraz po nim nastanie nowy, chujowy dzień. Pierwszy z wielu, zapewne jeszcze bardziej przykrych.

Musiałem czymś zająć myśli, żeby na dobre odgonić koszmar. Może najwyższy czas stworzyć jakiś plan A, skoro plan B już miałem. Ale ja przecież nie nadawałem się nawet na detektywa sklepowego. Co ja wiedziałem o prowadzeniu śledztwa? To była robota dla psiarni albo hycła takiego jak ona. Dla ludzi, którzy unieszkodliwiali typów mojego pokroju.

Wielkie dzieła literatury, w których nieraz szukałem odpowiedzi na nękające mnie pytania, tym razem chyba na nic się nie zdadzą. Na kryminałach i reszcie tych głupot, służących jedynie bezrefleksyjnej rozrywce, słabo się znałem. Jedyjni książkowi detektywi, których kojarzyłem, to Sherlock Holmes, Hercule Poirot i Philip Marlowe, który chyba był mi najbliższy. Dla bohaterów Christie raczej w tym świecie nie było miejsca. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, że zapędzam Opiekuna w kozi róg, demaskując jego machinacje i liczne morderstwa, a on z eleganckim ukłonem gratuluje mi sukcesu. Z Sherlockiem Holmesem łączyło mnie najwyżej zamiłowanie do narkotyków. Z tym że on pomimo siupania koksu umysł miał ostry jak brzytwa. Mój mózg natomiast był dziurawy jak czekolada bąbolada. Jak miałem łączyć fakty, skoro przynajmniej połowa z nich mogła się ulotnić w chwili, kiedy będę się rozglądał za kartką i długopisem?

Może jednak nie będzie tak źle. W końcu z tym de tomaso wykminiłem całkiem nieźle. Ale co teraz zrobiłby któryś z moich literackich wzorców? Chyba zaczęłby tam, gdzie się urywa trop – czyli na barce. No dobra, a co potem, jeśli łajba okaże się ślepym zaułkiem? Co by zrobił taki mądrała jak

Poirot, gdyby się znalazł w impasie i brakowało mu wiedzy niezbędnej do rozwiązania zagadki? Pewnie udałby się do specjalisty po poradę. A zatem do niej. Z niechęcią przyjąłem myśl, że najlepsze, co wymyśliłem, to zwrócenie się o radę do laski, którą niby miałem ochraniać. I która niekoniecznie zechce ze mną gadać. Z drugiej strony da to jej znakomitą okazję, by pokazać swoją wyższość i popisać się talentem śledczym. Jedynym zresztą talentem, jaki posiada. Ona robi, co trzeba, nie ruszając dupy z fotela, a ja zajmę się obijaniem ryjów, jeśli zajdzie taka konieczność. Podbudowany takim oto planem wyluzowałem w końcu i odetchnąłem, jakbym wykonał właśnie kawał dobrej roboty.

Do pokoju powoli wpłynął z zewnątrz szarawy świt. Sypialnia nabierała kształtów i coraz mniej przypominała grobowiec. Gdy zamknąłem oczy, pod powiekami nie czaiło się już nic. Odeszły na razie, nie na długo i niedaleko. Wrócą którejś kolejnej nocy, albo nawet teraz, nad ranem. Ale na to już nic nie mogłem poradzić. Zasnąłem i tym razem nie miałem żadnych snów.



# 10

„Tu mi fai girar  
tu mi fai girar  
come fossi una bambola  
poi mi butti gi?  
poi mi butti gi?  
come fossi una bambola”.

*La bambola*  
PATTY PRAVO

Znacie to uczucie: budzicie się wyspani, za oknem zaczyna się piękny dzień, śpiewają ptaki, szumią drzewa, szemrze strumyk. Gratulujecie sobie, że udało wam się poprzedniego wieczoru zrezygnować z kilku ostatnich browarów, więc łeb wam nie pęka. A na dodatek macie wolne. Ale coś wam przeszkadza. W poranną, na wpół jeszcze senną idyllę wkrada się niepokój. Lokalizujecie go gdzieś w okolicach mostka. A potem ten lodowaty niepokój rozpełza się po ciele. Jest jak buzująca w żyłach trucizna, atakująca po kolei wszystkie komórki ciała. Serce zaczyna łomotać. Słońce razi, duchota doskwiera, ptaki się drą, a zasyfiona rzeka bez ostrzeżenia zalewa miasto cuchnącą falą brudniejszą od ścieku.

Właśnie tak się poczułem.

Przez chwilę miałem ochotę zostać w łóżku i przespać to wszystko. Udawać chorego. Wtedy jednak przypomniało mi się L4 na życzenie, o którym wspominał Kakałko. Czyli kulka w łeb, przy odrobinie szczęścia niepoprzedzona żadnymi torturami. W przyszłości ta kulka może okazać się dobrą alternatywą. Wrzuciłem ją do worka o nazwie „Plan B”, gdzie już straszyla opcja zwrócenia się o pomoc do inspektora Goldenthala.

Wstałem powoli, jak dziadyga przygnieciony ciężarem lat i wspomnień. I poczłapałem przez pokój. Przekręciłem klucz w drzwiach sypialni. Wyjrzałem ostrożnie. W mieszkaniu panowała cisza. Może młoda jednak się ulotniła. Ja bym tak zrobił na jej miejscu. Niestety, z doświadczenia wiedziałem, że często im gorzej babę traktujesz, tym bardziej cię szanuje. Widocznie smarkula była ulepiona z takiej właśnie gliny, bo okazało się, że śpi w swoim pokoju ululana warkami, które wyżłopała na smutno.

Chciałem, by ta cisza trwała jak najdłużej. I nagle wpadł mi do głowy znakomity pomysł. To znaczy znakomity, ale zarazem totalnie chory. Poszedłem do kuchni. W szafce nad lodówką znalazłem koszyczek z lekami. Chwilę w nim grzebałem, starając się nie robić hałasu. Udało się. W ręku trzymałem prawie pełne opakowanie nieprzeterminowanych tabletek nasennych. Znalazłem też syrop malinowy. Zmieszałem go w szklance z kranową i trzema tabletkami. Po namyśle dodałem jeszcze jedną. Nic jej nie będzie. Pośpi sobie. Dzieci powinny dużo spać.

Z gotową miksturą wszedłem do jej sypialni. Zbliżając się do łóżka Lilianny, pogrążonej w twardym, pijackim śnie, czułem się jak Cary Grant niosący szklankę mleka w *Podejrzeniu*. Okna były zasłonięte. Gówniara spała na brzegu łóżka zwinięta w kłębek. Na twarzy miała rozmazany makijaż; pewnie zasnęła, becząc. Zawahałem się. Ale wtedy niespodziewanie poruszyła się i otworzyła oczy. A zaraz potem, niestety, również paszczę. Od rana miała sporo do powiedzenia.

– Co ty tu robisz? Dalej się na mnie gniewasz? Będę już grzeczna, obiecuję – wymamrotała. – Ale mnie łeb boli. To przez te warki. Normalnie nie mam kaca nawet po sześciu. Boli mnie. I suszy. Jezusie, jak mi się chce pić. O kurde, co mi się w ogóle śniło...

Zapomniałem o wątpliwościach. Podałem jej szklankę.

– Masz. Pij, moczymordo.

– Dzienny! Czyli jest spoczko! – Uśmiechnęła się do mnie naprawdę miło, a ja poczułem się jak zdrajca. Gdy się nie odzywała, była całkiem do zniesienia. I może wcale nie irytowała bardziej niż przeciętne dziecko w jej wieku. Może wszystkie tak się zachowywały. Skąd mogłem wiedzieć? No, ale stało się. Wypiła miksturę duszkiem.

– Poleż jeszcze, to przestanie cię boleć – poradziłem jej.

– Spoko, że nie muszę teraz iść do głupiej budy. Już nigdy tam nie pójde. Założę się, że ty też nie chodziłeś do szkoły...

– Chodziłem.

– Ale pewnie miałeś same pały.

– Miałem same piątki.

– LOL! – parsknęła ubawiona. – Serio? Nie wyglądasz na takiego specjalnie uczonego.

– A jednak.

– I co ci dała ta nauka?

Naprawdę była ciekawa odpowiedzi. To był czas, aby udzielić mądrej rady. Zamiast tego powiedziałem:

– Pomaga mi wyrywać dupy. Zrobię śniadanie – skłamałem, wycofując się z pokoju.

Wziąłem szybki prysznic i zjadłem przedostatni kawałek niedobrej, zeschniętej pizzy. Popiłem podwójną czarną kawą. Potem zajrzałem do smarkuli. Spała jak zabita, pochrapując jak mały warchlak. Zamknąłem ostrożnie drzwi jej sypialni i cichaczem opuściłem mieszkanie. Na schodach wpadłem na kolejny znakomity pomysł. Zapukałem do Edwarda. Otworzył po dłuższej chwili. Zaspany, nieogolony, ziewający, w piżamie, z posklejnymi powiekami.

– A, to ty – mruknął. – Co tak wcześniej?

– Jest dziesiąta – odparłem jak jakiś nudziarz, co to kładzie się spać z kurami, a nie z kurwami, aby wcześniej rano wstać i robić pożyteczne rzeczy.

– No właśnie. – Sąsiad ponownie ziewnął. – Kawki? Ostrzegam jednak, że mam gościa.

Z mieszkania dobiegały jakieś głosy. Edward zamyślił się i naraz jego oblicze rozjaśnił uśmiech.

– Przepraszam. – Uniósł w górę dwa palce. – Mam dwóch gości. Wejdiesz?

– Innym razem – obiecałem, usiłując odgonić rodzące się właśnie w mojej głowie obrazy nocnych zabaw sąsiada i jego przydupasów. Pechowo za plecami gospodarza przeszedł właśnie jeden z owych gości.

Chuderlawy, śniady jak Cygan chłopaczyna, obdarzony wyjątkowo małym i cienkim kutasikiem, który wyglądał jak kawałek odłamanej parówki z Ikei. Gdybym miał takie coś, tobym się chyba zabił. Serio. Zabiłbym się. Anemiczny gostek wydawał się jednak, po pierwsze, całkiem zadowolony z życia, bo chichotał, jakby się nawąchał poppersa (zresztą może się i nawąchał), a po drugie, zupełnie nieskrępowany tym, że jest goły.

– Cześć. – Pomachał do mnie. Po czym nagle zakrył dłonią ten śmieszny kawałek paróweczki, który służył mu za chuja, i zarechotał. – Ups!

– Do pokoju won! Rolę ćwicz! – ryknął Ed. Parówkowy koleżka wycofał się, nie przestając rechotać, a sąsiad, już całkiem wybudzony, zwrócił się do mnie: – Żałosne, co nie?

– Ten chuj? No, rzeczywiście niewielki.

– Chuj? A, tak. Chuj z chujem, mój złoty. To popisywanie się jest straszne. Cholerne aktory. Ale dobry jest. Ten jest naprawdę dobry. Ciągnie jak złoto...

– Z takim członkiem chyba nie ma wyboru...

– ...ciągnie tę rolę jak złoto! Cały ten spektakl ciągnie...

Zauważyłem, że sąsiad zaczyna popadać w typowy dla siebie stan katatonii. Już go tu nie było. Już był na scenie. Dyrygował, musztrował, pouczał... Pstryknąłem mu palcami przed twarzą. Ocknął się i spojrzał na mnie z uprzejmym znużeniem.

– Coś jeszcze?

– Jeszcze to ja nawet nie zacząłem. Słuchaj, jestem na ciebie zły. Nie, nie zły. Jestem wkurwiony – powiedziałem i zrobiłem krok do przodu.

Edward zaczął się cofać. Potknął się na progu, ale chwyciłem go za ramię, dzięki czemu nie zaliczył gleby. Trzymałem go i na razie postanowiłem nie puszczać. Wrócił na ziemię, a na dodatek niespokojnie mierzył mnie wzrokiem. Dobrze znałem to spojrzenie. Chyba dotarło do niego w końcu, że jego sąsiad to kawał skurwysyna.

– Ale o co chodzi?

– Dałeś, człowieku, mojej siostrzenicy wczoraj browary.

– Nic jej nie dawałem! Na lody jej dałem...

– To ciekawe, bo jak przyszedłem, zataczała się z wielką puchą warki strong w ręku. Bełkotała. Zarzygała mi kanapę.

– Tę amarantową? – Edward z niepokojem zasłonił sobie usta dłonią.

– Tak – odparłem bez namysłu, chociaż nie miałem pojęcia, co to za kolor. – Śpi teraz pijana jak bela. Nawalona jak żulica ze skwerku pod Jubilatem. A ja muszę wyjść...

Ścisnąłem nieco mocniej ramię biedaka.

– Zjrzyj do niej – uspokajał. – Dam kiszonki na kaca. Jogurt dam.

Znakomity pomysł. Sraczka zatrzyma młodą w chacie na dłużej.

– Daj jej koniecznie i jogurt, i to kiszzone. Masz klucz?

– Mam. Nic się nie martw, kochany. Wujek Edek wszystkim się zajmie.

– Pewnie będzie marudziła – powiedziałem z namysłem, nadal zgniatając ramię sąsiada. – Niech ci dwaj zagrają dla niej jakąś scenkę z tej twojej sztuki, tylko może niech się wcześniej ubiorą...

– Jest to pomysł! – Oblicze Edwarda się rozjaśniło.

Załatwiłem gówniarę na cacy.

– To nara – powiedziałem. Rozluźniłem w końcu uścisk i poklepałem sąsiada przyjacielsko, co chyba tylko pogłębiło ból, sądząc po jego grymasie. – Nie wiem, kiedy wrócę.

– Nie ma problemu. Będziemy się świetnie bawić.

Ty na pewno, pomyślałem, zbiegając na dół. Na zewnątrz było już bardzo gorąco, a na niebie ani jednej chmury. Wsiadłem do samochodu rozgrzanego jak piekarnik. Lub raczej szabaśnik, przecież byliśmy w Krakowie. Otworzyłem okna z przodu i ruszyłem w kierunku ronda Grunwaldzkiego. Robota czeka. A młodej nie zaszkodzi odrobina kultury. Gorzej będzie, jak ten wypłosz pokaże jej jednak swojego siuraka. W końcu nie zapytałem, co to za sztuka. A trochę zdążyłem już mojego sąsiada poznać, dlatego wcale bym się nie zdziwił, gdyby to była sztuka pełna małych, smutnych i brzydkich kutasów. Pocieszałem się, że ta mała prostytutka z Plant pewnie nie takie dziwne natury widziała.

Zaparkowałem na Wietora, w cieniu. Gdy wysiadłem, z pobliskiej szkoły wybiegła spora grupa dzieci z zespołem Downa. Coś sobie nawzajem

pokazywały palcami i strasznie się śmiały. Popatrzyłem w tym samym kierunku co one i zobaczyłem w otwartym oknie zupełnie gołego typoszczaka, bladego, jakby całymi dniami nie odchodził od komputera. Kręcił się nerwowo po pokoju, w poszukiwaniu czegoś. Pewnie gaci. Dzieci darły się z uciechy, wytykając gołasa palcami. W końcu zwabiony wrzaskami facet obrócił się do okna. Na chwilę zamarł, po czym rzucił się na podłogę. Śmiałem się razem z dziećmi.

Przeszedłem pomiędzy tłustymi, leniwymi gołębiami, które nic sobie z tego nie robiły, tylko dalej dziobały asfalt. Zszedłem nad Wisłę. Stało tu kilka zacumowanych barek restauracyjnych. Skierowałem się do ostatniej. Była nieco mniejsza od pozostałych, za to bogato zdobiona. Do jej dziobu, tak jak to opisywał Opiekun, przytwierdzona była figura syreny. Dostyc szpetna zresztą, ale zapewne działająca na wyobraźnię marynarzy skazanych na wielotygodniową żeglugę, kiedy to wspomnienie ostatniej zaliczonej portowej dziwki zaczynało blaknąć. Mogli na pełnym morzu nacieszyć oczy widokiem syreny, która epatowała prostacką seksualnością. Miała wielkie cyncory, czerwone, wypukłe wary jak u dmuchanej lali i wyłupiaste, niebieskie oczy wyrażające bezmyślny zachwyty. Przypominała nieco moją drugą siostrę, Lolę, która nie miała pojęcia, kim jestem. Za to ja wiedziałem o niej sporo. Między innymi to, że była straszną zdzirą, którą miało pół Krakowa i obracali wszyscy przyjezdni. Szlak turystyczny wiódł od Barbakanu przez jej picz aż na Wawel.

Wszedłem na barkę po trapie. Wspiąłem się na schodki. Omiotłem wzrokiem cały pokład z jednej i drugiej strony. Nikogo. Ale była dopiero dziesiąta trzydzieści pięć, więc nic dziwnego. Zajrzałem do środka. Z czeluści dobiegały jakieś chichoty i jakby dziecięce, radosne popiskiwanie. Przeszedłem przez kolejne pomieszczenia. Stoły były świeżo nakryte. Tu również nie było jeszcze żadnych gości. Nie spotkałem nikogo z obsługi, a śmiechy nagle ucichły. Wyszedłem więc z powrotem na pokład i usiadłem przy najbliższym stoliku, tak by równocześnie widzieć wejście do środka i zejście na ląd. Szurałem krzesłami i stolikiem, a nawet zawołałem „halo”, ale nie doczekałem się żadnej reakcji.

– Jeszcze zamknięte – usłyszałem nagle znajomy głos, od którego ciarki przeszły mi po plecach.

Wstałem. Głos dobiegał z rufy. A byłem pewien, że jeszcze przed chwilą nikogo tam nie było. Wspiąłem się po metalowych schodkach na górny pokład. Przeszedłem pomiędzy stolikami. Dotarłem do identycznych schodków po drugiej stronie i spojrzałem na pokład znajdujący się poniżej i na wielką kanapę z ciemnozielonego pluszu, ciągnącą się wzdłuż całej burty.

Zmieniła się, ale tylko odrobinę. Jej lalkowata twarz sprawiała wrażenie dojrzszej, rysy się wyostrzyły. Ale spojrzenie ciemnych oczu nadal niepokoiło swoją przygnębiającą pustką, dokładnie tak jak to zapamiętałem. Z tym że wtedy brałem to za nabzdyczenie i arogancję rozpuszczonej gówniary.

Mała Caryca siedziała wygodnie, rozparta na licznych poduszkach. Długie, czarne, gęste włosy opadały jej na ramiona. Pomimo upału miała na sobie czarną sukienkę, uszytą z licznych koronkowych falbanek. Nosiła białe podkolanówki i czarne lakierki. Z bufiastych rękawów wylaniały się blade, anorektyczne ramiona. Cała była niezdrowo blada. Jej skóra kolorem przypominała rybi brzuch albo zwłoki wyjęte z lodówki w prosektorium. Była wątła, krucha i delikatna jak wiktoriańska heroina zdychająca na suchoty. Wciąż preferowała mocny makijaż. Sztuczne rzęsy wydawały się zbyt ciężkie dla powiek w kolorze smoły. Małe usta, obwiedzione ciemnoczerwoną, prawie czarną szminką, jeszcze bardziej upodabniały ją do gnijącego trupa.

– Hej, co z tą muzyką? – zawołała nagle, klaszcząc w dłonie. – Potrzebujemy muzyki!

W odpowiedzi popłynęły pierwsze dźwięki *Bamboli*, a po rzece rozniósł się donośny głos Patty Pravo. Zszedłem po schodach i usiadłem na kanapie po przeciwnej stronie niż Mała Caryca.

– Cześć, Greta – powiedziałem.

– Nie używam już tego idiotycznego imienia, które nadali mi biedni, głupawi rodzice – wyjaśniła, prychnąwszy pogardliwie. Od razu postanowiłem posługiwać się nim nadal. Tak często, jak się będzie dało.

– Możesz sobie być Małą Carycą dla reszty tego miasta. Dla mnie pozostaniesz Gretą, dziecino. I w sumie, dlaczego Mała? Czemu tak skromnie?

– Bo jestem mała – zachichotała piskliwie. Brzmiało to, jakby ktoś kamieniem pocierał o rynnę. – Nie usiądziesz bliżej, Profesorze?

Przywołała na usta uśmiech i poklepała zachęcająco miejsce na kanapie obok siebie.

– Tu mi dobrze – odparłem.

– Boisz się mnie?

– Nie, czemu?

– A ja myślę, że się boisz. – Wycelowwała we mnie mały kościsty palec. – Zawsze się bałeś. Zdawało ci się pewnie, że się boisz mojego starego. Ale to mnie się bałeś.

– Mylisz się. Było mi ciebie żal, Greto.

Patrzyła na mnie, uśmiechając się szyderczo.

– A znasz inne sposoby okazywania współczucia smutnym i samotnym nastolatkom oprócz ładowania im kutasa w różne otwory? – spytała, przekrzywiając głowę.

Na to czekałem. Teraz będzie próbowała wyprowadzić mnie z równowagi. To prawda, puknąłem ją kilka razy, gdy pracowałem dla jej ojca. Była najbardziej drętwą kochanką, jaką miałem w życiu. Leżała nieruchomo jak kłoda. Można ją było obracać niczym naleśnik na patelni. Rozkładała nogi, otwierała usta i na tym kończyło się ars amandi w jej wykonaniu. Jako dżentelmen, postanowiłem zachować te wspomnienia dla siebie. Zaraz przypomniałem sobie jednak, że żaden ze mnie dżentelmen, tylko zwykły cham. Powiedziałem więc:

– Chcesz się licytować, Greto, dla kogo tamto doświadczenie było bardziej bolesne?

Greta tylko wzruszyła ramionami. Mógłbym jej wyliczać wszystkie nieprzyjemności, które mnie spotkały z winy jej suchej jak wiór pizdy, a ona nadal siedziałaby niewzruszona.

– Myślisz, że mnie w ogóle obchodzi to, co do mnie mówisz? – spytała, zapalając papierosa i wydmuchując mały obłoczek dymu. – Ani nie obchodzi, ani nie interesuje. Byłeś jednym z kilkunastu, z którymi wtedy uprawiałam seks. I nie byłeś pierwszy. Tak ci tylko powiedziałam, żebyś się cieszył. Dziewczyny często opowiadają chłopakom takie kłamstewka. „Tylko bądź delikatny. Nigdy tego nie robiłam. To tak boli. Twój członek



jest za duży”. Pamiętasz? Nie miej takiej rozczarowanej miny. Tak wygląda dzisiaj świat. Dziewic jak na lekarstwo. A na tym twoim Osiedlu to już chyba tylko w przedszkolu można je znaleźć. Założę się, że jedyną panną, którą udało ci się rozdziewiczyć, była twoja francowata siostra.

Jej ciosy były precyzyjnie wymierzone. W tle Patty Pravo w kółko śpiewała swoją najślynniejszą piosenkę. Greta nasłuchiwała z uśmiechem:

– *Non ti accorgi quando piango, quando sono triste e stanca tu pensi solo per te* – zaśpiewała razem z Patty zadziwiająco czystym głosem. – Było tak jak w piosence? Nie zauważyłeś, samolubie, że płakała, gdy ją biłeś?

Od dawna nie uderzyłem żadnej kobiety, ale tej laleczce Chucky miałem ochotę przypierdolić. Albo ukręcić jej tę małą, chorą główkę i cisnąć ją daleko do śmierdzącej Wisły.

– Uwierzysz, kurwa, że ja się w nim bujałam? – usłyszałem niespodziewanie niski i schrypnięty głos, jaki zwykle mają stare alkoholiczki. Na pokład bocznymi drzwiczkami, które zauważyłem dopiero teraz, weszła moja kolejna stara znajoma, Angie. – Ale on mnie nie chciał. Beczałam w poduszkę całymi nocami, bo ten ćpun nie chciał mnie ani razu wydupczyć! Stroiłam się, malowałam paznokietki lakierem za trzy złote. Posypywałam se cycki brokatem! A ten nic. Kreseczki zasuwiał tym swoim złamanym nosem, chmury z wiadra ściągał, pianę z gęby zlizywał, w plejstejszyn ciupał z resztą tych skurwysynów...

– Bał się ruszyć własność Króla, kochana. On Króla zawsze wysoko cenił, nie zapominaj – powiedziała Greta do Angie, tak jakby mnie na tym pokładzie nie było. Bawiły się chyba równie dobrze, jak poprzedniego dnia Gabriel i jego kompania. Czym ja sobie na to wszystko zasłużyłem? Jedna mi wypomina, że ją rznąłem, druga wyrzuca, że jej nie rznąłem.

Angie rozsiadła się na kanapie obok Grety. Jej styl był całkowicie odmienny od stylu Małej Carycy. Miała na sobie błyszczący, różowy dres Adidasa i oczojebne zielone buty do biegania. Kiedyś była całkiem ładna. Teraz miała osiemnaście lat i już zniszczoną cerę. Zapewne przez solarium, wnioskując po pomarańczowym, sztucznym odcieniu skóry, drogi Watsonie, podzieliłem się w myślach obserwacją z nieobecny towarzyszem. Rejestrowałem kolejne elementy jej nowego wizerunku: Toporne rysy twarzy. Włosy zafarbowane na buraczkowo, ulizane na żelu

i spięte w ciasny kucyk. Postura kafara, nad którą musiała pracować w domu dziecka. Gdy zdjęła bluzę, zobaczyłem mocno rozbudowane ramiona i wielkie jak u chłopaka łapy. Pokryte tatuażami mięśnie dosłownie rozpięły krótkie rękawy różowego podkoszulka.

– Zawsze to bezpieczniej dupczyć własną siostrę w domowym zaciszu – dodała Angie, tym razem patrząc prosto na mnie.

Może nienawidziła mnie tak bardzo, bo moja historia za bardzo przypominała jej własną, chociaż różniła się niemal każdym szczegółem. Do tamtego cholernego dnia nie miałem przecież pojęcia, kim jest moja dziewczyna. Król natomiast gwałcił Angie regularnie całymi latami. Wszystko zaczęło się pewnej nocy, gdy bardziej niż zwykle najebany i naczesany koksem pomylił pokoje i zamiast normalnie zwalić się na którąś z kręcących się przy nim blachar, wpakował się do łóżka swojej dwunastoletniej siostrze i zniszczył jej życie. Potem widocznie uznał, że to miła odmiana, a i wygoda, bo mała jest zawsze pod ręką i go słucha.

Nie mogłem sobie jednak pozwolić na współczucie dla Angie. Nie była już maltretowanym dzieckiem, tylko dorosłą kobietą, równie niebezpieczną jak jej towarzyszka. Siedziała blisko Grety wyluzowana i pewna siebie, promieniejąc zadowoleniem. Dotarło do mnie, że nie zachowuje się jak podwładna Carycy, tylko jej równorzędna partnerka. Wymieniały spojrzenia, których nie umiałem rozszyfrować, ale byłem pewien, że one rozumieją się doskonale. W ich gestach były poufałość i swoboda, charakterystyczne dla osób, które naprawdę dobrze się znają.

A może te dwie były kochankami? Wizja trupioblado manekina tkwiącego sztywno w miłosnym uścisku tych strasznych łap, przypominających dwie dorodne szynki, wydała mi się wyjątkowo przykra i odrażająca. A przecież, jak większość kolesi, „z lesbijkami tobym chętnie popatrzeć”! One jednak wyglądały koszmarnie, każda na swój sposób. Postanowiłem im o tym powiedzieć:

– Angie, wyglądasz strasznie. Ty zresztą też, Greto. Co się z wami stało, dziewczyny? Będę z wami szczerzy: prezentujecie się po prostu cudacznie. Zostałyście lesbiami tak w ogóle? A co na to Król, Angie?

Angie w przeciwieństwie do emocjonalnie upośledzonej Grety była wybuchowa i miała krewki, osiedlowy charakter. Zerwała się z kanapy. Twarz jej zpurpurowiała.

– Stul ryj! – wrzasnęła, dysząc. – Bo ci go rozkwaszę i rozsmaruję po pokładzie.

Greta obserwowała tę scenę niewzruszona. Dopiero gdy Angie opadła z powrotem na pluszową kanapę, wznosząc swoim ołowianym zadem tuman kurzu, jej towarzyszka przemówiła ponownie, wygładzając falbany sukni rachitycznymi rączkami:

– Ale z ciebie prymityw. Powinnam cię stąd wywalić na zbity pysk – powiedziała obojętnie. Następnie wyjęła czarny wachlarz z piór i zaczęła się wachlować. – Jeśli tak cię interesuje, co słyhać u twojego Króla, to może odwiedzisz go w Wadowicach i sprawdzisz, za czym tęskni i czemu nocami rozpacza w swojej celi.

Słowa Greta i paskudny uśmieszek na szerokiej twarzy Angeliny sprawiły, że odechciało mi się dowiadywać, co słyhać u Króla. Z pewnością zasłużył na wszystko, co go spotkało za kratkami i na co te dwie nie żałowały miedzi. W pustych oczach Greta pojawił się głód doznań, których nie była w stanie zaspokoić. Już kiedyś widziałem u niej ten głód. Nie zwiastował niczego dobrego. Odłożyła wachlarz i sięgnęła po leżącą na stoliku cygarniczkę. Zamocowała w niej cienkiego papierosa. Zapaliła go, zaciągając się delikatnie, i wydmuchała w niebo smużkę dymu. Angelina kopciła czerwone marlboro setki. Poszedłem za ich przykładem i również zapaliłem, ciesząc się z chwilowej ciszy. Może to już koniec obrzucania się błotem.

Boczne drzwiczki otworzyły się i na pokład z trudem przecisnęła się wielki chłop. Na rękę trzymał dziecko.

– Marudziła, że chce do mamy – wyjaśnił, patrząc niepewnie na Angelinę.

Angie rzuciła córce niecierpliwe spojrzenie.

– Marlenko, mama teraz pali i rozmawia z tym brzydkim panem. Idź się pobawić z Krzysiem.

– Co, kluseczko, pobawimy się? – spytał typ nazwany Krzysiem. Imię zupełnie nie pasowało do jego paskudnej gęby. Krzyś wydał mi się jednak zdecydowanie najsympatyczniejszą osobą w tym towarzystwie.

– Ksyś nudny – powiedziała dziewczynka stanowczo, czym chyba zmartwiła brzydala, i zaraz dodała: – Chcę do cioci.

– No, chodź, chodź – powiedziała Greta obojętnie. – Siadaj.

– To ja już pójdę – odezwał się Krzyś. Nikt nie raczył mu odpowiedzieć, więc sobie poszedł. Zazdrościłem mu. Fajnie by było móc tak po prostu sobie iść w cholerę. Ale przecież nie zadałem jeszcze ani jednego pytania o Sophie. A słońce stało już prawie w zenicie. Było gorąco jak w piekle.

– Co tu robicie? – spytałem.

– Nie widać? Wypoczywamy i korzystamy z pięknej pogody – zarechotała Angie. Marlena spojrzała na nią i zapiszczała z radości, powtarzając:

– Pocywamy! Mama wy-po-cywa. I ciocia.

– A ty? – spytałem dziewczynkę.

– Ja tes! – pisnęła radośnie, po czym dodała zrezygnowanym tonem, na wypadek gdyby ktoś zapomniał: – Ksyś nudny. Ksyś nudny, wiesz? Mamo, wiesz?

Angie nadal ignorowała córkę, która teraz garnęła się do niej, próbując zwrócić jej uwagę.

– Marlenko, siedź spokojnie – powiedziała Greta, a coś w jej głosie sprawiło, że dziecko zamilkło i teraz tylko gapiło się na mnie z otwartą, obślinioną buzią. A ja szukałem w jej niewinnej twarzy topornych rysów Króla.

– Ta barka należy do mnie. Spotykam się tu z ludźmi. W interesach – wyjaśniła Greta. Bezwiednie głaskała ciemne włoski dziewczynki, której powieki zaczęły powoli ciążyć. Przez jakiś czas walczyła z ogarniającą ją sennością, ale na próżno. Po chwili głowa opadła jej bezwładnie na ramię. Spała.

– Wiemy, po co przyszłeś – powiedziała agresywnie Angie. – Ale jej tu nie ma.

– Znacie Sophie?

– Kojarzemy – odparła Greta. – Każdy kojarzy żonę Gabriela. To znaczy każdy, kto powinien. Poślubił ją niedługo po tym, gdy ja mu odmówiłam.

A więc Opiekun jednak oświadczył się Grecie. A to ciekawe.

– Dlaczego mu odmówiłaś? Miałabyś Osiedle.

– Tak, tępaku. Ale po co mi najbrzydszy kawałek ziemi w mieście? Chociaż pewnie dla ciebie całe to Osiedle to szczyt wypasu.

– Kiedy ci się oświadczył?

– W grudniu – odparła obojętnie. – Tuż po tym, jak opuściłam dom dziecka.

– Ja tobym Gabrielowi pocisnęła za te żalosalne umizgi – dorzuciła Angie. – Wysłał do nas tego rozklekotanego dziada.

– Mentora?

– Tak, jego. Nigdy nie lubiłam tego świętoszka. Jezu, jak ją długo namawiał, jak się płaszczył. W końcu błagał. Jakby to jego żoną miała zostać. A gdy stąd odchodził, to normalnie płakał, dziadyga, jakby stracił coś cennego. Potem jeszcze raz próbował. Miał pecha, bo byłam akurat sama. Gdy tylko zaczął głądzić, wypchnęłam go za burtę. Tak pierdzielną, że aż łód pod nim pierdyknął! Krzyś go wyciągnął. Mentor mi coś tam przewijał, że mam jakieś, kurna, obowiązki wobec tego zawszonego Osiedla. A ja sram na Osiedle i sram na jego mieszkańców. Niech się Opiekun o każdy zagrzybiony blok pozagryza z moim zasmarkanym kuzynem, jeśli ten kretyn nadal żyje.

– Franc stanął w twojej obronie, gdy cię zgwałcił Prochacki.

– Wielka mi tam obrona, musztarda po obiedzie – prychnęła Angie. – Mógł mi pomusz wtedy, kiedy naprawdę tego potrzebowałam. Ale Franc był zawsze trzęsidupa wołowa, wołał się nie mieszać, nie jątrzyć, cicho siedzieć. Dyploszmata jeden. A ja go tak prosiłam: „Kuzynie kochany, zabierz mnie do siebie. Chcę z tobą mieszkać”. A on tylko się migał, coś tam podkreślał, że ma za mały lokal, a w nim chorą starą... Barbie mi kupił na pociechę. Masz tu swojego Franca, Profesorze. Niech zdycha.

Na pokład weszła kelnerka w idiotycznym przebraniu syreny z dziobu, na które składały się obcisła błyszcząca sukienka imitująca rybi ogon, wielka blond peruka i mocny, wulgarny, groteskowy makijaż. Kelnerka postawiła przed tymi dwiema tacę ze śniadaniem. Spojrzała na mnie. Zachichotała, zasłaniając usta, po czym odwróciła się i wyszła, drobiąc z trudem w niewygodnej sukience.

– Dobra, gdzie jest Sophie? – spytałem bez ostrzeżenia, jakby to zrobił Hercules Poirot. A może i nie, bo wprawdzie popatrzyły na mnie

zaskoczone, ale nie wydawały się zmieszane pytaniem.

– A niby skąd my mamy to wiedzieć, co? – spytała Angie.

– Zniknęła z tej barki.

– Z mojej barki? – Greta popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. – Ktoś cię wprowadził w błąd, Profesorze. Zniknęła z tej następnej. Tu jej nigdy nie było. Naturalnie Opiekun przeszukał też moją łódź. Próbował mnie straszyć. Ale tym razem nie mam nic na sumieniu.

Co ja tu robię w takim razie? To Opiekun podsunął mi ten trop. Ale jeśli wierzył, że Greta stoi za zniknięciem Sophie, to miał swoje sposoby, by z niej to wyciągnąć. Nawet zuchwała i nieludzka córka Hrabiego ugięłaby się w końcu, gdyby Nutka trochę nad nią popracował. Może więc Greta mówiła prawdę, a Gabriel przysłał mnie tu w zupełnie innym celu. Tylko w jakim? Obie wydawały się zupełnie niezainteresowane przejęciem władzy na Osiedlu i wchodzeniem w konflikt z Gabrielem.

– Czy Boyer kupiła sobie nowego de tomaso? – spytałem Gretę.

– Owszem, kupiła. A co?

– Czy Sophie nim kiedyś jechała?

– A niby z jakiej paki? – burknęła Angie i odwróciła się do Grety. – Pacz, kurna, jaki on głupi!

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek widziała ten samochód – powiedziała spokojnie Greta. – Coś chyba nie bardzo ci idzie ta detektywistyczna robota, co? Widać, to twoja siostra jest w waszej rodzinie tą zdolną. I tą ładną. I bogatą. Jej się dostał cały pakiet, a tobie gówno z makiem. Może zamiast się dalej wygłupiać, przekaż jej sprawę. Nie ma się co wstydzić, nie twoja wina, że z ciebie taki tępy troll. Chociaż pewnie cię nie stać na jej usługi. Dobrze wiesz, ile zapłacił jej na przykład mój ojciec, bo całą sumę oddała tobie.

Była równie dobrze poinformowana jak Opiekun. W jakiś sposób moja rodzinna tajemnica z mrocznego sekretu zmieniała się w plotę sezonu.

– Pewnie się jeszcze spotkamy, dziewczyny. – Wstałem, zbierając się do wyjścia.

– Do zobaczenia. Powodzenia w śledztwie, Profesorze – powiedziała Greta prawie przyjaźnie. – My ci naprawdę źle nie życzymy. To znaczy ja ci źle nie życzę, bo Angie to cię chyba jednak nie lubi.

– Nie lubię chuja i już! – potwierdziła Angie obrażonym tonem.

– No cóż. – Greta wzruszyła ramionami. – Angie jest nawet bardziej pamiętliwa ode mnie. A ja mam bardzo dobrą pamięć. Możesz to powtórzyć siostrze, jak ją zobaczysz, bo ona to chyba całkiem o mnie zapomniała. A to błąd. Powiedz jej, że mi z tego powodu przykro. Zwłaszcza że ja o niej myślę często.

– Za dużo do spamiętania. Może zadzwoń i sama jej powtórz te brednie, na pewno bardzo się przejmie.

– I tak wiem, że jej powtórzysz. – Greta znowu wzruszyła ramionami. – Jesteś taki przewidywalny. W każdym razie przyjemnie było cię spotkać.

Z ulgą zszedłem na ląd, odprowadzany wulgarnym spojrzeniem drewnianej syreny. Usiadłem na ławce, bo chciałem sobie wszystko przemyśleć. Wyjąłem szlugi i zapaliłem, patrząc w wielkie oczy malowanej figury. Przez chwilę zdawało mi się, że ona odwzajemnia moje zainteresowanie. Zachęca i kusi, wodna zdzira. Chyba dawno baby nie miałem. Będzie już ze dwa dni, jak nic.

Przeniosłem spojrzenie na rufę łodzi, ale pokład był zupełnie pusty. Dziewczyny, podobnie jak poprzedniego dnia Opiekun, wypowiedziały swoje kwestie i zeszły ze sceny. Grałem w przedstawieniu, nie znając własnej roli. Czy na pewno była to rola detektywa? I kto był reżyserem tej szmiry? Pod ławką nie czaił się niestety sufler z gotowymi wypowiedziami. Zostałem na scenie sam. Więc chyba nadszedł czas na zajmujący monolog.

W tej sprawie nikt nie miał czystych rąk, ale trzeba było wskazać tego, kto miał najbrudniejsze. Opiekun czy Greta? Ona była zdecydowanie bardziej walnięta, miała więcej fantazji i całe mnóstwo chorych pomysłów. Gabriel mimo wszystko wydawał się irytująco normalny i zrównoważony. Z drugiej jednak strony do realizacji swych celów wykorzystywał Pana Dobrą Nutkę i Kakałko. A oni równo pod sufitem na pewno nie mieli. Z kolei Angie była agresywna i prymitywna, ale poza tym raczej zwyczajna. Jej zachowanie było po prostu strategią na przetrwanie. Możliwe, że gdyby w domu dziecka zajął się nią ktoś porządny, miałaby teraz w miarę normalne życie. Ale poznała Gretę. Była stracona. Bardziej

niż Angie bałbym się tej całej Boyer. Chociaż tu na dwoje babka wróżyła: starucha mogła być jedynie chciwą suką i sprytną kryminalistką, ale równie dobrze mogła być porąbana jak jej młoda szefowa.

A jakie postawili sobie cele? Oficjalnie Opiekun chciał odnaleźć żonę. Ale chyba też pragnął ukarać laskę, która go upokorzyła i zagrażała jego reputacji. Miał poza tym jakieś zamiary, nadal dla mnie niejasne, wobec Carycy. Kim zaś była Greta w tej historii? Ofiarą? Postronnym obserwatorem? Czy może prowadziła jakąś grę? Na pewno nie należało jej lekceważyć. Jeśli jest tak pamiętliwa, jak deklarowała, to będzie chciała się zemścić na tej, która popsua jej szyki i przez którą zmarnowała dwa lata w domu dziecka. I na Goldenthalu, który jej pomagał.

Angie, jako siostra Króla i zarazem matka jego dziecka, miała większe prawo do betonowego tronu niż Franc. I na pewno miała większe jaja niż on. Być może Osiedle leżało jednak w obrębie zainteresowań Grety i Angie. Wszystko to były tylko moje domysły i podejrzenia. Wiele bym dał za chociaż jeden konkret, na którym mógłbym zbudować jakąś teorię. Nie było jednak kogo zapytać o uczestników rozgrywki. Jedni srali ze strachu, drudzy nic nie wiedzieli, a pozostali ściemniiali na rozkaz albo dlatego że moje węszenie im przeszkadzało. Pozostał jednak ktoś, komu już raczej było wszystko jedno. Zdetronizowany Król. Postanowiłem odwiedzić poprzedniego admina Osiedla. Może będzie to strzał ślepakiem i nie do celu, a może dowiem się czegoś nowego.

Najpierw musiałem jeszcze sprawdzić ostatnie miejsce, w którym widziano Sophie. Coś mi mówiło, że zmarnuję jedynie czas, ale chyba dla porządku należało zadać kilka pytań obsłudze sąsiedniej barki. Na tym, zdaje się, polega praca detektywa: na weryfikowaniu każdej pierdoły i wynajdywaniu kluczowych wskazówek pośród pozornie nieistotnych faktów. Czyli taka robota dla Kopciucha. W każdym razie na pewno nie dla kogoś takiego jak ja, komu nie zawsze wszystko stykało w głowie i kto szybko tracił cierpliwość. Ci, którym się wydaje, że prowadzenie śledztwa to turbociekawe i obfitujące w przygody zajęcie, powinni zrewidować swoje romantyczne wyobrażenia. Bardziej przypominało to pracę akwizytora chodzącego od drzwi do drzwi.

– Nienawidzę tej roboty! – powiedziałem na głos, kończąc wewnętrzny monolog.



Ile jeszcze do przerwy? Zaciągnąłem się po raz ostatni, rzuciłem niedopałek na ziemię i wdeptałem w gorący asfalt. Nie doczekałem się aplauzu, jeśli nie liczyć zainteresowanej petem kaczki, która przydreptała w okolice ławki, kłapiąc dziobem.

„Nie przyszło ci do głowy, że w tym pokoju jest zbyt wiele poszlak?”

*Morderstwo w Orient Expressie*

REŻ. SIDNEY LUMET

Wszedłem na barkę sąsiadującą z łajbą Grety. Ta była znacznie większa. Na tyle duża, że miała nawet własne łodzie ratunkowe podczipione do zewnętrznej strony burty. Barka nazywała się Beautiful Rotterdam. Byłem raz w Rotterdamie, piękny to on nie był. Brzydszy od Warszawy. I cały osrany przez mewy i albatrosy. Barka natomiast była starannie wypucowana i elegancka. Co prawda nie tak ozdobna jak ta należąca do Grety, za to o wiele bardziej luksusowa. Może z powodu tych luksusów kelner o wyglądzie studenta AGH zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. To przypomniało mi, że nadal wyglądam, jakbym się tu teleportował z Seattle roku 1993.

– Słucham? – spytał student wyniośle. Podejrzewałem, że zaraz zasugeruje mi zmianę lokalu.

– To słuchaj, pajacu – odparłem agresywnie, a on rzeczywiście zaczął słuchać. Nie miał zresztą wyboru, bo podszedłem do niego na odległość trzydziestu centymetrów, zmuszając go do gwałtownego cofnięcia się. – Przyszyła mnie Gabriel Lezuj.

Nazwisko mówiło chłopakowi chyba całkiem sporo, bo mina mu zrzędła i zrobił kolejny krok w tył. Był już pod ścianą i nie miał dokąd uciekać. O to właśnie mi chodziło. Cała ta sztuczka była prosta jak konstrukcja cepa, ale w przypadku takich mięczaków bardzo skuteczna. Od razu zaczął się tłumaczyć:

– Ale my już powiedzieliśmy wszystko, co wiemy. I temu panu, i komisarzowi z policji.

– Chuj z policją. Co mnie obchodzi policja – przerwałem mu. – Może i powiedzieliście wszystko mojemu zleceniodawcy, ale mnie nic nie mówiliście.

– A kim pan jest?

– Prywatnym detektywem – wypaliłem.

Chyba mi nie uwierzył, bo nagle stał się czujny.

– A ma pan jakąś legitymację?

– Słuchaj, kolego, już ty lepiej nie bądź taki sprytny Roman Boryczko.

– Filip jestem... pan mnie z kimś myli...

– Morda, Romuś. Powinieneś zrozumieć, że tylko ja stoję pomiędzy tobą a Gabrielem Lezujem i jego watahą orków. Widziałeś ich, prawda? I co, nadal w nocy moczysz leżankę? Bardzo słusznie. Mądry chłopak. Z tymi skurwysynami nie ma żartów. Lepiej więc, żeby mój szef był zadowolony z informacji, które mu przekażę.

– Ja nic więcej...

– Słuchaj, kurwa, jeszcze raz powiedz, że nic nie wiesz, a wyrzucę cię za burtę, prosto do tego ścieku. Zawołaj mi tu wszystkich. I przynieś piwo. Tylko nie jakieś lane szczochoy. Ma być w butelce. Zimne. Już.

– Dobra. Niech się pan tak nie wścieka – uspokajał kelner. Wszedł za niewielki bar znajdujący się na pokładzie i schylił się do lodówki.

Muszę przyznać, że spoko było dla odmiany przez chwilę być „panem”. Nieczęsto ktoś się tak do mnie zwracał. Rozsiadłem się przy stoliku w cieniu i zapaliłem.

Kelner postawił przede mną jakieś czeskie piwo. Potem zszedł pod pokład. Dwie minuty później prowadził do mnie pracowników restauracji. Przyglądałem się im, kiepując na podłogę. Całkiem ładna kelnereczka z kręconymi, jasnymi włosami podała mi popielniczkę. Popatrzyłem na kiepownicę i ponownie strząsnąłem popiół na pokład.

– Dzięki, skarbie – powiedziałem, postanowiwszy przez chwilę poudawać Marlowe’a.

Zmierzyłem ją uważnym wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na obfitych, krągłych cyckach na tyle długo, by ugruntować swoją pozycję osiedlowego chama. Na widok takich piersi Burmistrz zwykł wykrzykiwać: „Kurna, ale bufet!”. Marlowe na pewno by się tak nie zachował. Ale w końcu i tak by ją puknął. Laska wydawała się zresztą całkiem zadowolona z tego, że tak ją lustruję. Wbrew deklaracjom właśnie takie neandertalskie zachowanie, a nie jakieś tam kwiatki i całowanie rączek, działało na dziewczuchy jak magnes. W życiu bym dupie kwiatków nie dał! Bukiet to mogę matce ewentualnie sprezentować.

– No dobra – powiedziałem. – Kto jest szefem tej jadłodajni?

Okazało się, że kimś w rodzaju menadżera jest kolega Romek, który mnie tu tak sympatycznie powitał.

– A kto miał zmianę, gdy zniknęła Sophie Lezuj?

– Ja i Filip – powiedziała moja blondyneczka.

– Doskonale – ucieszyłem się szczerze. – Siądź tu sobie, skarbie, obok mnie. Nie bój się, nie jestem takim bandytą jak pozostali ludzie Lezuja.

– Nie boję się – wymruczała, siadając.

Zauważyłem, że tyłek miała trochę za wielki, ale co tam, i tak bym puknął. W sumie taka dupcia idealnie nadawała się do tego, by wlepić jej kilka solidnych klapsów. Lalunia była słodziutka jak landrynka. Te słodziutki i przymilne były przeważnie łatwe, bezpruderyjne i miały wiele innych zalet. Niestety równocześnie posiadały kilka poważnych wad, na które byłem wyjątkowo wyczulony. W każdym jednorazowym kochanku widziały potencjalnego chłopaka. I koniecznie chciały trzymać się za ręce w miejscach publicznych. Pewnie po tygodniu z nią bym oszalał. Ale przecież nie planowałem spędzić z nią tygodnia.

– Jak masz na imię, złotko? – spytałem.

– Kasia.

– Kasia. Bardzo ładnie. – Uśmiechnąłem się do niej łakomie. Chyba całkiem nieźle mi ten Marlowe wychodził. Te „złotka” i „skarby” wrzucałem, zdaje się, z sensem i tam gdzie trzeba. – Opowiedz, Kasiu, o tamtym dniu.

– To było tak, że przyszła tu ta pani, której szukacie. Była całkiem ładna. – Kasia spojrzała na mnie, badając moją reakcję. Wykrzywiłem się,

że niby taka se ta pani, nic specjalnego. Kasia wyraźnie się ucieszyła, a jej zachowanie stało się bardziej zalotne. Jej ręka co rusz wędrowała w okolice guzików służbowej koszuli, jakby wahała się, czy nie rozpiąć kilku. – Przyszła z takim wielkim facetem. To był, zdaje się, jej goryl.

– Gdzie usiedli?

– Przy tamtym stoliku. – Wskazała miejsce przy samej burcie. – Ona przodem do wałów, a on po drugiej stronie.

– Jak się zachowywali?

– Normalnie. Ona chciała siedzieć na zewnątrz, chociaż nie było zbyt ciepło. On się na wszystko zgadzał. Jak mu powiedziała, żeby uważał, bo go zawieje, to zaraz i czapkę nałożył, i kapuzę. Ona zamówiła ślimaki i sałatę, a on kurczaka z ryżem. Jadł ten ryż łyżką – zachichotała Kasia. – Ta pani zachęcała go do użycia noża i widelca, a on na to, że na łyżkę więcej się nabiera, więc woli łyżkę. Strasznie się z tego później śmialiśmy z Filipem. Zostawiłam ich i poszłam na obiad. Gdy do nich wróciłam, dalej jedli, a ona namawiała goryla, żeby spróbował ślimaka. On nie chciał. Śmiali się. W końcu zjadł tego ślimaka, bo mu swoim widelcem podała jak małemu dziecku i chyba mu się to spodobało. Wszystko by od niej zjadł. Ale zaraz wstał od stolika, bo go znudził ten ślimak i go strasznie naciągało na rzyganie. Dosłownie wbiegł pod pokład, zasłaniając sobie łapami usta. Ledwo wydusił do mnie pytanie, gdzie jest „sracz”. Dokładnie tego słowa użył. Więc weszłam z nim do środka i mu pokazałam. Potem Filip – tu zerknęła na menadżera – mnie zawołał, bo ktoś wylał na najniższym pokładzie butelkę oliwy. Filip myślał, że to ja. Chwilę dyskutowaliśmy, kto powinien to posprzątać. W końcu zrobiliśmy to razem. Potem wróciłam na pokład. Tej pani już nie było. Ani ochroniarza. Zostawili kasę na stoliku i poszli.

– W sraczu też go nie było?

Dupcia parsknęła śmiechem.

– Nie. Nie było go w sraczu.

– Jak długo zmywaliście tę oliwę?

– Dziesięć minut? – powiedziała niepewnie Kasia.

– Coś koło tego – przytaknął Filip.

– Kto ją rozlał?

– Nie wiadomo. Na zmianie byliśmy tylko ja, Kasia i kucharz Zeflik.

Trochę to było zbyt dziwne jak na przypadek. Ślimak, oliwa, sracz. Ciekawe, czy to jedna z tych spraw, gdzie na końcu okazuje się, że któraś z tych rzeczy była kluczowa. Zbiorę wszystkich w lofcie Opiekuna. Wyłożę karty na stół, lecz asa schowam w rękawie. I gdy już wszyscy odetchną z ulgą, rzucę: „Pozostaje jeszcze kwestia sracza...”. Opiekun wykrzyknie: „Cóż to za bzdury, Profesorze!?”. A ja na to: „O, czyżby? *Mesdames et messieurs*, sracz był od początku kluczem do całej sprawy. Byłem głupi! *Permettez!*”.

Ślimak, oliwa, sracz. Warto zapamiętać.

– Zawołaj mi tu tego kucharza – rzuciłem do Filipa, który niechętnie ruszył spełnić moją prośbę.

Spojrzałem na pozostałych pracowników: dwie nieciekawe dziewczyny i kolesia.

– A wy coś widzieliście?

– Nas tu wtedy nie było – odparł chłopak.

– To po co tu sterczycie? Chyba nie za to wam płacą.

Poszli sobie, dzięki czemu mogłem zostać sam na sam z Kasią.

– Kiedy kończysz? – spytałem.

– O dziewiętnastej – odparła od razu. Była chętna. Nawet bardzo, co z kolei mnie nieco ostudziło. Bo co to za zabawa? Taką to ja miałem na Osiedlu.

– I co potem robisz? – zapytałem jednak na wszelki wypadek.

– Chyba pójdę do Forum...

Aha, do tej nowej hipsterni mieszczącej się na parterze nieczynnego hotelu Forum. Tam mnie jeszcze nie było. Trzeba będzie to sprawdzić.

– Z kim tam idziesz?

– Z koleżankami – powiedziała i szybko spytała: – Chcesz przyjść?

– Zobaczę. Może i przyjdę.

Albo i nie przyjdę. Chociaż opcja randki była całkiem kusząca. Tylko co ja zrobię z pomieszkującym u mnie wścibskim bachorem? A może Kaśka zaprosi mnie do siebie. To by było nawet spoko, bo mógłbym się szybko zmyć. A jak nie będzie opcji, żeby iść do niej, to najwyżej wcisnę Lilianę

Edkowi i po sprawie. Nawet ze swoimi wyuzdanymi sztukami teatralnymi i biegającymi nago aktorami był lepszym opiekunem dla dziecka niż ja.

Wrócił menadżer Filip, prowadząc typka, który ze swoją pociągłą fizjonomią, ziemistą cerą i ponurym wejrzeniem wyglądał mi bardziej na grabarza niż na kucharza.

– To jest Zeflik Gajda, nasz szef kuchni.

– Warze łobiod terozki, szpyrka mi się sfajcy w tygliku skuli tego. I piecynek mom w piekaroku – powiedział kucharz niegrzecznym tonem. – Co zaś? Przeca już posprowiałem tym inszym gorolom i policajom. Sztyjc to samo na moja szychta!

– To zajmie tylko chwilę – odparłem, odrobinę zbity z tropu śląską gadką. – Wiesz może, kto rozlał oliwę przed kuchnią tamtego dnia, gdy zniknęła stąd kobieta?

– Chwila, chwila – zaprotestował odważnie Filip. – Wcale nie wiadomo, czy stąd.

– Cichutko. – Machnąłem na niego ręką.

Grabarz namyślał się, mamrocząc coś pod nosem sinymi wargami. Patrzył przy tym w dal, hen, aż za barkę Grety, w stronę rodzinnego Mordoru.

– A bo jo wim, kiery lomp dylówke łobdrzystał? – odparł w końcu.

– I nad tym tak długo myślałeś?

– O czym inszym spomniołem. – Teraz spojrział mi w oczy. – Kiero tyś taki nogły synek, to jo ci padom, co ja tam łobaczyłem. Tego chachara od gryfnej frelki, o kóro te glacate gizdy haje nazdały.

Wszyscy spojrzeliśmy na kucharza. Rychu zszedł do kuchni? Ale po co?

– Nie mówiłeś o tym – odezwał się Filip.

– Ale spomniałem się i tera pedziołem – burknął.

– Czemu akurat teraz?

– Ożarty byłem.

– W pracy pijanyś był, Zeflik? – rozzłościł się Filip.

– Na! Nie stynkoj, bo się pojscasz. Tyś był przeca nabity fest we pyndziałek!

Filip już miał zaprotestować, ale gestem nakazałem mu zawrzcć japę.

– Kogo widziałeś? – zapytałem Ślązaka.

– No mówia, że tego synka, co z frelko siedzioł. Tego, co sroniał się do sroca sfrocać. Ale najprzod, nim się wyrzigał, to łon śłoz po słodkach pod spodek posznupać. Smykał się pod kuchnia jak lulok po galotach.

– Czego szukał?

– Portmanj? Ale po próżnicy. Naroz pitnął!

– Skąd wiesz, że to był ten ochroniarz? Przecież nie wychodziłeś na zewnątrz i nie widziałeś go.

– A kto inszy by sznupał? Utopek? Bebok? – zaśmiał się.

– No to opisz go – poprosiłem.

Kasia popatrzyła na mnie z zachwytem, że tak go sprytnie podszedłem.

– Srogi chop. Srogi strzymyp. Rojber, ale gupielok na pysku. Oszkliwy i łoblyczony w owerol z kapucą i w harbotach. Gymba jak ten gusiok. Muskłe mioł, taki kulok hruby, masny łysoń. Ale nie miglanc, ino mamlaty synek!

– Jaki?

– Łoszkubek! – wytłumaczył kucharz.

– Czyli?

– On mioł fest ipi! – rozzłościł się Ślązak.

– On twierdzi – wtrącił się w końcu kelner – że ten ochroniarz był łajzowaty i głupi. W wielkich butach, dresie, łysy, gruby, z twarzą jak wieprz.

– No ja. – Kucharz kiwnął głową. – Nie inkszy, ino istny ipta w gryfnych holzach!

– Jednym słowem, wielki, niezbyt urodziwy kretyn – podsumowałem, a Kasia parsknęła śmiechem. Opis pasował do każdego z ludzi Gabriela. A także do wszystkich innych typków tego pokroju. Zwróciłem się do Kasi i Filipa: – A wy nie widzieliście tego ochroniarza na dole?

Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, wtrącił się kucharz:

– To było najprzód, kaj łoni jeszcze na wiyrchu byli. Dopiro niskorzyj tyn tusty flek z dylówki do kupy pucowali. Było trzi sztwierci na trzecio na cyferblocie.

– Przecież ja byłem w kuchni – zaprotestował Filip.



– Kaj tam! Tyś wylazował do kamerliku po ratki, owiynzyne, harynki, oplerki i rolady na wieczera. Niskorzyj tyś przyloz nazod i kozła fiknął no ten flek.

– A, tak – przyznał kelner niechętnie. – Przewróciłem się. Mięso mi wypadło.

– Dobra. – Chciałem to wszystko podsumować, bo cała historia nie trzymała się kupy. – Po kolei. O której przyszła ta para?

– O trzynastej czterdzieści pięć – odparła od razu Kasia. – Dobrze to pamiętam, bo o tej godzinie mamy obiad pracowniczy, żeby zdążyć przed największym ruchem. Więc byłam zła, że akurat przyleźli. Dopiero zaczęłam jeść, gdy zadzwonili na mnie tym dzwonkiem na barze.

– Zeflik twierdzi, że ten chachar kręcił się koło kuchni o czternastej piętnaście – zauważyłem.

– Ja – potwierdził Zeflik.

– O której goście dostali żarcie?

– Muszę się zastanowić – odparła Kasia. – No, z pięć minut myśleli, a jak już zamówili, to Zeflik raz-dwa mi zrobił, bo wiedział, że jestem głodna i mi stygnie. W piętnaście minut przygotował chyba. Jak robił, to im zaniósłam napoje.

– Czyli koło czternastej zero pięć dostali szamę. Co ty wtedy zrobiłaś?

– Poszłam szybko zjeść do biura menadżera. To jest taka mała klitka na dole.

– Zawsze tam jesz?

– A skąd. Nie wolno nam. Tylko menadżer może jeść w biurze. My musimy na kuchni albo w socjalu. Tak samo kucharze, zmywak i barman. Ale Zeflik zjadł o trzynastej...

– Łu nos doma łobiod momy o trzynastej i ani minuta później! Ta jak każe oma! – wtrącił kucharz z dumą.

– ...szefowej nie było, bo pojechała na urlop, samemu w socjalnym smutno, a poza tym chciałam pogadać z Filipem o moich zmianach, dlatego poszłam do biura, ale Fila nie było.

– Byłem w kamerliku i wybierałem mięso – uzupełnił Filip.

– Co robiłaś potem?

– Skończyłam jeść, ale nie doczekałam się Filipa, więc wróciłam do gości na pokład. Byli w trakcie posiłku. Żartowali, jak już mówiłam. Potem on poszedł rzygać, a mnie wezwał Filip do tej plamy.

– Która mogła być wtedy godzina?

– Czternasta trzydzieści – odparł Filip. – Dzwoniły dzwony w klasztorze.

– Na sto procent – potwierdziła Kasia. – Bo to nasz znak, że się zaraz zacznie haja w budzie. To był poniedziałek, więc niby słaby ruch, ale w poniedziałki zawsze pojawiają się kajakarze. O wpół do trzeciej kończą trening i przypływają do nas na piwo. Strasznie zawracają głowę!

– Ale chwila – przerwałem im. – Zeflik widział tego kafara na dole wcześniej, kiedy ty jadłaś, a Filip wybierał mięcho.

– No ja – potwierdził kucharz pewnym głosem.

– W takim razie ochroniarz schodził pod pokład dwukrotnie. Drugi raz, żeby rzygać. A pierwszy raz po co? Żeby rozlać ten olej?

– Tak musiało być! – wykrzyknęła Kasia podekscytowana.

– Tylko po co to wszystko? – zadałem sobie pytanie. Jeszcze nie znałem odpowiedzi, a oni ewidentnie czekali na jakieś moje nowe rozporządzenia, więc odezwałem się do kucharza: – Dziękuję, to wszystko, możesz wracać do swoich zajęć.

– Tera to ja bede kurzył cigarety, bo je fajrant. Ida za winkel. – Prychnął i poszedł na drugą stronę łodzi, roześlony.

– Muszę zobaczyć układ pomieszczeń – zażądałem. – Pokażesz mi, Kasiu?

– Oczywiście.

Weszliśmy pod pokład.

– To jest pokład pierwszy wewnętrzny – wyjaśniła.

Rozejrzałem się po sali, która mieściła osiem boksów w stylu amerykańskim, ze stolikami i pluszowymi kanapami. Pomieszczenie od zewnętrznej burty rozświetlały wyjątkowo duże jak na łódź okna. Za nimi rozciągał się widok na Wisłę i Podgórze. Otworzyłem jedno z okien i wyjrzałem. Pół metra niżej płynęła brudna woda.

– Tam dalej jest sracz, w którym rzygał ten goryl. – Kasia zachichotała, wskazując ciemny korytarz.

Poszliśmy do wychodka. Zjrzałem do męskiego. Był niewielki i pozbawiony okien. W środku były dwie kabiny. Gdy z powagą i w skupieniu oglądałem kible, ona zerkała na mnie, znowu szarpiąc namiętnie guzik bluzki. Aż go w końcu urwała.

– Ups – parsknęła śmiechem.

– Tak jest lepiej – powiedziałem, omiatając jej dekolt spojrzeniem jak ostatni prostak.

Znowu zachichotała.

– Co chcesz teraz zobaczyć? – spytała, i zabrzmiało to bardzo dwuznacznie.

– Jestem w pracy, Kasiu, więc nie oglądam tego, co chcę, tylko to, co muszę – powiedziałem trochę chyba zbyt surowo, bo się stropiła. No, ale nie miałem w tym momencie czasu na flirtowanie. Jeśli zdecyduje się przyjść do tego Forum, to tam będzie mi mogła pokazywać, co tylko zapragnie. – Chodźmy teraz na dół.

Zaprowadziła mnie na dolny pokład. Boksy i stoliki przypominały te na górze. Było tu jednak bardziej ponuro, gdyż brakowało okien. I ciasniej, ponieważ drugą połowę pokładu zajmowało zaplecze restauracyjne, do którego wchodziło się przez drzwi wahadłowe na końcu sali. Za nimi znajdował się wąski, słabo oświetlony korytarz. Całe zaplecze składało się z czterech pomieszczeń, które Kasia pokazała mi po kolei. Za pierwszymi drzwiami mieściło się biuro menadżera. Za drugimi – kuchnia, zmywak i wydawka. Następny był pokój socjalny, a na samym końcu korytarza znajdowało się zejście do kamerlika.

– Gdzie była rozlana ta oliwa? – spytałem.

– Tu. Prawie cała butelka poszła! – Kasia wskazała podłogę na środku korytarza, dokładnie przed wejściem do kuchni. – Opakowanie leżało pod ścianą.

Kafelki plus oliwa. To się musiało skończyć slapstickiem.

– Oni byli stałymi gośćmi? – spytałem.

– Ta parka? Nigdy ich tu wcześniej nie widziałam. Pozostali z załogi również.

To komplikowało sprawę. Cała akcja przygotowana była bardzo precyzyjnie i stał za tym ktoś, kto znał panujące w restauracji zwyczaje –

godzinę pracowniczego obiadu, rozkład pomieszczeń. Ktoś wiedział, że kelnerzy mieli obowiązek jeść w pokoju socjalnym albo w kuchni. Przypadek sprawił, że tym razem odbyło się to inaczej. Kasia jadła w biurze, a gdy skończyła, poszła od razu na pokład. Gdyby jadła w socjalnym, najprawdopodobniej zaliczyłaby glebę, przechodząc koło kuchni. To samo dotyczyło Filipa, który ostatecznie jednak się poślizgnął, ale przez to, że poszedł do spiżarni. Jeśli Sophie i Rychu brali w tym udział, to ktoś musiał im pomagać. Ale raczej nikt z restauracji. Zastanawiało mnie też, dlaczego przy tak perfekcyjnie dopracowanym planie Rychu, schodząc na dół, dał się zauważyć kucharzowi.

– Kasiu, jak by te czterdzieści pięć minut wyglądało w przeciętny poniedziałek?

– Ja, Filip i Wojtek zaczęlibyśmy obiad o trzynastej czterdzieści pięć – powiedziała, już nieco zniecierpliwiona.

Chyba przestawałem być interesujący, ale miałem to gdzieś. Z trudem hamując irytację, wycedziłem:

– Kasiu, kurwa, kto to jest Wojtek?

– A, Wojtek! Ups! – Zrobiła głupią minę. – No, zapomnieliśmy ci powiedzieć...

My! Nie ma to jak odpowiedzialność zbiorowa. Co za głupia gęś!

– W sumie to Filip się zajmuje grafikami.

– Kto to jest Wojtek?

– Wojtek to drugi szef kuchni. Zmiennik Zeflika. Zawsze on jest w poniedziałki, ale wtedy akurat poprzedniego dnia zapił i Zeflik przyszedł za niego.

– Zjedlibyście obiad i co? – drążyłem.

– Pewnie do wpół do trzeciej byłby spokój. A potem przysliby kajakarze.

W feralny poniedziałek nikt nie był na swoim miejscu, a mimo to plan się powiódł. Jedyłą wtopą było to, że Zeflik zobaczył Rycha, bo zamiast jeść obiad, kręcił się po kuchni. Ale Sophie i tak zniknęła, Rychu również.

Do kuchni wchodziło się przez drzwi wahadłowe. Oba skrzydła miały okrągłe okienka, przez które kucharz mógł obserwować, kto przechodzi

korytarzem. Rzeczywiście mógł zauważyć Rycha, który się tam kręcił, ale mało prawdopodobne, aby widział wszystko aż tak dokładnie, jak to opisał. Te szczegóły musiał poznać od kolegów z pracy. Utkwiły mu w głowie i teraz wierzył, że zobaczył to wszystko na własne oczy: od wielkich buciorów po mordę knura.

Gdy wróciliśmy na wyższy pokład, znowu rozejrzałem się po sali, a potem zwróciłem do Kaśki:

– A teraz skup się, skarbie, jeszcze raz. Co robiłaś, po kolei, po wytarciu tego oleju?

– Poszłam od razu na pokład i zobaczyłam, że ich nie ma. Zapłacili i poszli.

– W sraczu też nie było Rycha?

Nagle sracz przestał ją bawić. Znowu się zmieszała.

– Kasiu, pytałem o to na początku. Mówiłaś, że nie było go w sraczu!

– No, bo potem jak sprawdziłam, to go nie było. Więc pewnie kiedy wróciłam, też go nie było, przecież nie wyparował. Nie miałam do tego głowy, bo zbliżali się kajakarze.

– Ci kajakarze bardzo mi się nie podobają.

– Oni tu są w każdy poniedziałek. I nie mogli nic widzieć. Gdy przyплыnęli, tamtych już dawno nie było.

– Przyплыnęli?

– Przecież to kajakarze! Wiadomo, że przyплыnęli! Wleźli na pokład i zaraz chcieli dwa tuziny browarów! A barmana nie było! Dobrze, że mamy ten zewnętrzny bar, nie musiałam łązić pod pokład!

– I nie zginął im żaden kajak?

– Nie.

– A wam żadna łódź ratunkowa się nie zapodziała?

– To atrapy i wszystkie są na miejscu.

– Czyli sprawdziłaś klop dopiero, gdy kajakarze odpłynęli?

– Kajakarze nie odpływają ot, tak, grupą – powiedziała, rozkładając ręce. – Nie tak, jak przyплыnęli. Są po treningu i każdy wraca, kiedy chce.

– Ale należą do jakiegoś klubu?

– Tak. Ale nie mają siedziby. Trochę się nasłuchałam, polewając im browary. To amatorzy. I jest ich mnóstwo. Ciągłe dochodzą nowi. Zmieniają się. Część przechodzi na zawodowstwo i ci już nie są mile widziani. Inni rezygnują z kajaków na rzecz rowerków wodnych i to podobno jest już całkowite dno. W tym klubie są starzy, młodzi, laski, kolesie. No, ludzie, których łączy zamiłowanie do kajakarstwa.

Zacisnąłem zęby. Słowo „kajak” zaczynało budzić we mnie agresję.

– Jak się nazywa ten klub?

– KARK „Kajak”.

– Co? Kark kajak?

– Nie. Ka a er ka „Kajak”. Klub Amatorów Rzecznego Kajakarstwa „Kajak”.

Wyobraziłem sobie dwanaście kajaków, z których wyskakuje dwudziestu czterech krzepkich i wątych, małych i dużych, starych i młodych kajakarzy różnej płci i przystępuje do abordażu, a potem przy piwie omawia sprawy związane z amatorskim kajakarstwem, szydząc z przepływających rowerzystów wodnych. Pewnie połowa z nich nie pamięta już, czy tamtego dnia była na Rotterdamie. Czy ja mam z nimi wszystkimi porozmawiać? Może uda się tego uniknąć.

– Daj mi namiary na ich trenera, bo zakładam, że mają jakiegoś. Czy to banda totalnych hipisów, z których każdy robi, co chce?

– Zaraz ci dam ten numer, ich trener to znajomy naszej szefowej, dlatego pozwala im tu taki burdel robić. Poczekaj.

Kasia zeszła na dół do biura. Wróciła dosyć szybko z imieniem i nazwiskiem oraz numerem telefonu. Xawery Bunc. No dobra. Zerknąłem jeszcze raz w kierunku kibla i spytałem:

– Jesteś pewna, że ochroniarz rzygał?

– Tak. Strasznie śmierdziało wymiocinami. – Nagle zmarszczyła brwi. – Wiesz co, to dziwne, ale tam śmierdziało tak już wcześniej. Jak wracałam z obiadu. Pamiętam, bo aż mnie cofnęło.

– Może Rychu za pierwszym razem również zrzucił ciężar z duszy. No dobra. Na mnie czas – powiedziałem.

– Przyjdiesz do Forum? – spytała z nadzieją, znowu majstrując przy dekolcie.

– Zobaczymy. Nie obiecuję, bo się już poumawiałem – zaasekurowałem się na wypadek, gdyby mi się trafiła ciekawsza alternatywa.

– Fajnie by było.

– No, fajnie – przyznałem dosyć szczerze. – To na razie.

Gdy zszedłem na ląd, czułem się tak umęczony, jakbym walczył z białym kaszalotem. Nie, nie chodziło mi o to, że Kacha była gruba, tylko że to maglowanie ludzi na łajbie, wyciąganie z nich informacji i pogoń za sensem całej afery to była rzecz na miarę przygód Izmaela na „Pequodzie”. Ta robota to jakiś koszmar!

„Chciałabym go ostrzec, ale nie zrozumiałby. Nie potrafię odczuwać tego, co mogłoby go interesować. Ponieważ jestem otoczona murem. Niewidzialnym murem, zbudowanym ze wspomnień, których nie mogę utracić”.

*Witaj smutku*

REŻ. OTTO PREMINGER

Prosto z Kazimierza pojechałem na Zwierzyniecką, gdzie mieściło się to jej całe wielkie mi biuro detektywistyczne. Na szczęście domofon był zepsuty, bo gdybym się zaanonsował, mogłaby mnie nie wpuścić. Wszedłem do poczekalni. Za biurkiem siedział jej kuzyn Tomek. Sympatyczny chłopak, który poza tym, że pełnił funkcję jej sekretarki, musiał być zawsze pod ręką, aby miała kim pomiatać.

To właśnie dzięki niemu dowiedziałem się o szantażach, w które bawił się Kakałko, zanim został maskotką Opiekuna. Dwa lata temu Tomek dał się namówić na wspólną noc typkowi spod darkroomu, a ten po wszystkim zagroził, że wyśle nagranie jego rodzicom i kolegom ze studiów. Biedulka nie chciał powiedzieć kuzynce, w jakie gówno się wpakował, bo zaraz zaczęłyby go pouczać i krytykować. Dlatego zadzwonił do mnie. Wiedział o mnie tyle, że kiedyś spotykałem się z jego kuzynką i że znam różnych ludzi, których lepiej nie znać. Poszedłem pogawędzić z Kakałkiem osobiście. Tomek chciał mi zapłacić ze swojego kieszonkowego, ale nie wziąłem od niego kasy, bo dojebanie komuś takiemu jak tamten śmieć jest nagrodą samą w sobie. Dla pewności zniszczyłem cały sprzęt, jaki szantażysta zgromadził w swoim gniazdku, i zabrałem na użytek własny zapasy fety, którą trzymał na handel.

Tomek poznał mnie od razu, pomimo że zmieniłem stylówę. Nawet się chyba ucieszył na mój widok.



– Hej, wróciłeś! Jak tam zagraniczne przygody?

– Nieciekawe w porównaniu z tym, co się dzieje w Krakówku. A ty nie pakujesz się już w kłopoty? Dostałeś licencję?

Tomek zmarkotniał.

– Po tej całej akcji sprzed dwóch lat odechciało mi się być detektywem.

– I bardzo dobrze. Kretyńska robota.

– To nie dla mnie. – Ściszył głos. – Postrzeliłem tam wtedy jednego faceta. Długo nie mogłem dojść do siebie, ciągle mi się to śniło, te wszystkie trupy, eksplodujące głowy, krew, flaki. Nie jestem taki jak ona. – Spojrzał na drzwi do jej gabinetu i pokręcił głową ze smutkiem. – Nie chcę doczekać dnia, w którym będę sobie robił jaja nad zastrzelonym przez siebie człowiekiem. I zrezygnowałem. Ależ ona była zaskoczona! Taka była ze mnie dumna. Ale ja się czułem podle.

A nie mówiłem, że ten chłopak to chodząca poczciwość?

– Ale nie oszedłeś?

– Dała mi podwyżkę – powiedział, wyraźnie przybity. – A poza tym ona mnie potrzebuje. Wiesz, kogoś, kto da jej sygnał, żeby się opamiętała, jak zacznie przeginać pałę.

Niespodziewanie drzwi otworzyły się i stanęła w nich szefowa. Ubrana w żółtą, bardzo krótką, obcisłą sukienkę i budzące grozę buty na obcasach, które mogły służyć również do samoobrony. Znowu była obwieszona złotem jak jakiś raper. Oparła dłoń o framugę, a drugą niedbale odgarnęła włosy, podzwaniając biżuterią. Powiało luksusem.

– Coś mi się tak zdawało, że słyszę jakieś smętne biadolenie – wycedziła do Tomka, a potem popatrzyła w moim kierunku, ale tak jakbym był przezroczysty, i dodała: i osiedlowy zaśpiew. Ale pomyślałam sobie, że to przecież niemożliwe, to nie może być Profesor, bo on powinien już chyba dawno siedzieć w niewygodnym fotelu jakichś tanich linii lotniczych... Czyżbym nie wyraziła się dosyć jasno, że masz spierdalać z naszej polskiej ziemi?

– Powiedz coś jeszcze tym protekcyjnym tonem, a gwarantuję, że nie ruszę się stąd nawet na weekend.

– Tobie chyba serio te dragi całkowicie przezarły mózg!

– Ej, chyba trochę przesadzasz – wtrącił się Tomek.

– A ty się nie odzywaj – zgasiła kuzyna, ledwie na niego zerknąwszy, jakby był jakimś jej lokajem, a nie członkiem rodziny. – Jesteście teraz kolegami? Co ty mu w ogóle tutaj opowiadałeś, co? Chyba zresztą umiem sobie to wyobrazić, sądząc po płaczącym tonie, który usłyszałam.

– Musimy porozmawiać – przerwałam jej.

– Nic nie musimy. Czy ty nie rozumiesz po polsku? Nie chcę cię tutaj. Ani w moim domu. Ani w dzielnicy. Ani w mieście. Ani w kraju.

Nagle Tomek zaczął walić pięściami w biurko.

– Nie wytrzymam tego dłużej. Wpuść go do tego cholernego biura! I tak nic nie robisz, buty sobie kupujesz na eBayu i koty oglądasz!

Uśmiezek znikł z jej twarzy.

– Tomek, idź do domu. Masz dziś wolne.

– Z przyjemnością! – Zebrał ze złością swoje rzeczy. Kiwnął mi głową, a ją obrzucił morderczym spojrzeniem, mamrocząc pod nosem jakieś kłątwy. Opuścił biuro, demonstracyjnie trzaskając drzwiami.

Ona tymczasem przypatrywała mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Gdy kroki kuzyna umilkły, odwróciła się i weszła do swojego pokoju. Wszedłem za nią, traktując to jako zaproszenie. Nie usiadła za biurkiem, tylko stanęła na środku pokoju.

– Trzymaj się z dala od mojej rodziny – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Mój kuzyn cię lubi, Bóg raczy wiedzieć dlaczego! Ale chyba nie sądzisz, że będzie chciał nadal wymieniać się z tobą ploteczkami, gdy się dowie, kim naprawdę jesteś.

– I to właśnie może nastąpić szybciej, niż ci się wydaje.

– O czym ty mówisz? – Chyba się odrobinę przestraszyła. Przycisnęła rękę do piersi w obronnym geście. A ja pomyślałem o Faye Dunaway w *Chinatown*, gdy Nicholson pierwszy raz wspomniał jej ojca.

– Możemy usiąść? – spytałem.

– Proszę, siadaj, rozgość się – warknęła wkurzona i sama też w końcu usiadła za swoim biurkiem. No, teraz była z niej prawdziwa szych!

Opowiedziałem jej w skrócie wszystko, co się do tej pory wydarzyło w moim śledztwie. Nie wspomniałem tylko o tym, co jej groziło. Tę

rewelację postanowiłem zachować sobie na koniec. Słuchała nawet z zainteresowaniem, w końcu była to zagadka kryminalna, czyli jedyna rzecz, która ją interesowała poza szmatami, butami i dawaniem dupy inspektorowi policji.

– Ale po co ty się w ogóle zgodziłeś szukać tej Sophie? – spytała, gdy skończyłem. – Ona naprawdę ma tak na imię?

– Nie wiem.

– Nie wiesz. – Popatrzyła na mnie z politowaniem. – Wróżę ci spory sukces w zawodzie. Nie wiesz, jak się nazywa baba, której szukasz, ale za to odwiedziłeś i przepytałeś każdego kafara na Osiedlu. Ciekawe po co. Myślisz, że powiedzieli ci prawdę, czy to, co im kazał Opiekun?

Słuszna uwaga.

– Rozumiem, że chciałeś się pobawić w detektywa, bo pewnie ci się nudzi, odkąd nie zapychasz sobie nosa białym ścierwem. A teraz dotarło do ciebie, że wdepnąłeś w straszny syf, bo Opiekun okazał się gorszy od Króla. Nie rozumiem jednak, dlaczego po prostu nie zrezygnujesz?

– Nie mogę. O to właśnie chodzi.

Zmarszczyła brwi i podrapała się po bliźnie, która pewnie swędzi podczas podobnych upałów jak dzisiejszy.

– Nastraszyli cię? Przecież dla ciebie życie nie ma wartości. Chyba nie powiesz mi, że szukasz puszczańskiej żoneczki Opiekuna, bo ci pogroził...

Nie odezwałem się, a ona przyglądała mi się uważnie. Na jej twarz powoli zaczął wypełzać bardzo paskudny uśmiezek.

– Ooo... – Zrobiła zbolałą minę. Miałem ochotę odwrócić się i wyjść, i więcej jej nie oglądać. – Czyż to nie słodkie? Przyjąłeś zlecenie, bo Opiekun zagroził, że zrobi mi krzywdę? I nawet się do tego nie przyznałeś... Prawdziwy z ciebie cichy bohater.

– Stul pysk, dobrze?

Parsknęła i nagle przestała się uśmiechać. Wstała gwałtownie, okrążyła biurko i stanęła przede mną. Nawet gdy ja siedziałem, a ona stała na tych swoich kurewskich obcasach, była mała i drobna jak jebany karzełek. Takie szczegóły nigdy jednak nie miały dla niej znaczenia, gdy dochodziło do konfrontacji. Dźgnęła mnie palcem w pierś. To nie był pusty, teatralny gest.

Wiedziała, gdzie trafić, by zaboląło. Poczulem ból promieniujący spomiędzy żeber w głąb klatki piersiowej.

– Sram na twoje szlachetne pobudki, rozumiesz? Jeśli o mnie chodzi, raczej wracaj do skrobania ryb w porcie i posuwania zamorskich dziwek. Nie potrzebuję twojej pomocy. Umiem się obronić. Jakbyś tego nie zauważył, od dziesięciu lat zajmuję się wyciąganiem innych z kłopotów i jak dotąd jedyny uszczerbek na zdrowiu, jaki odniosłam, zawdzięczam tobie. – Wyjęła palec spomiędzy moich żeber i wskazała bliźnę na swoim policzku. Ból w piersi nie ustawał. – A twój Opiekun i jego pachyły jedynie mnie śmiesz. Odzyskałeś już oddech? Chcesz coś dodać?

– Przewidziałem twoją reakcję, głupia babo – powiedziałem, z trudem tłumiąc wściekłość. Miałem wrażenie, że przebiła mi płuco na wylot. Sięgnąłem do kieszeni po przenośną pamięć. – Mam tu coś dla ciebie. Zobacz sobie. A potem porozmawiamy.

Przynajmniej tyle, że zawsze była ciekawska jak kot. Wzięła ode mnie pena i z powrotem usiadła za biurkiem. Podłączyła pamięć do laptopa i otworzyła folder. Obserwowałem jej coraz bardziej wkurzoną minę, gdy oglądała fotki zrobione przez ludzi Opiekuna. Gdy doszła do tych, na których złapano ją prawie nago, nie była w stanie ukryć lekkiego zażenowania. Na jej policzkach pojawił się nawet delikatny rumieniec. Wspaniała chwila. Zapamiętam ją sobie.

Nagle zerwała się. Sięgnęła po torebkę i ruszyła do wyjścia.

– Idziemy! – syknęła.

Wyszedłem za nią nieco zaskoczony. Na schodach nie odezwała się ani słowem. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, nie zważając na to, że pełno tam było przechodniów, pchnęła mnie z całej siły w klatkę piersiową.

– Ty przecpany idioto!

– Ludzie patrzą.

Ludzie nie tylko patrzyli, ale i odskakiwali od nas ze strachem, jakby zobaczyli bójkę dwóch meneli.

– A co mnie ludzie obchodzą – warknęła. – Czy ty w ogóle widziałeś te zdjęcia?

– No, widziałem.

– To chyba zauważyłeś, że były tam też ujęcia z mojego biura...

Wtedy do mnie dotarło. Były zdjęcia, równie dobrze mógł być podsłuch. No dobra, spierdoliłem to.

– Przerażasz mnie – powiedziała. I naprawdę wyglądała na przerażoną. – Zarobisz kulkę w ten pusty łeb, zanim na dobre zaczniesz swoje śmieszne śledztwo.

– Czyli jednak się przejęłaś.

– Nie pochlebiaj sobie – burknęła niechętnie, odrobinę zmieszana. – Stary mi kazał.

– Co?

– Chodź, pójdziemy do Massolitu. Tam powinno być bezpiecznie.

– Sprytnie. Wśród książek raczej nikt nie będzie cię szukał.

– Strasznie śmieszne – prychnęła.

Zauważyłem, że zanim weszliśmy do Massolitu, rozejrzała się dyskretnie. Zrobiłem to samo. Nikt za nami nie szedł, nikt się nigdzie nie czał. Usiedliśmy w ostatniej sali. Zamówiła butelkę wina. Chyba planowała obalić tę flaszkę sama, ale kelnerka przyniosła dwa kieliszki.

– Chcesz? – spytała, gdy zostaliśmy sami. Napełniła pierwszy kieliszek po sam brzeg. – Ja się muszę napić.

– Lej.

Nalała do drugiego kieliszka. Opróżniła swój kilkoma haustami. I znowu sobie dołała do pełna.

– Co to znaczy, że stary ci kazał? – spytałem.

– Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć? – Popatrzyła na mnie spođe łba.

– No, mów.

Westchnęła i zaczęła mówić cicho, zrezygnowanym, ponurym tonem, który o wiele bardziej mi odpowiadał niż te jej ironiczne grymasy i szydercze uwagi. Gapiła się przy tym w stół, za co w gruncie rzeczy byłem jej wdzięczny i sam też zacząłem wpatrywać się w rysy, zadrapania i zacieki, którymi upstrzony był blat.

– Pamiętasz, jak cię odnalazłam na tej twojej wyspie?

– Pamiętam.

– To nie był mój pomysł. Zrobiłam to na prośbę starego. Byłam pewna, że żyjesz, ale on potrzebował dowodu.

– Ale po co?

– To nie do wiary, ale chyba na starość uświadomił sobie, że więcej potomstwa już nie spłodzi i że jesteś jego jedynym męskim dziedzicem, nawet jeśli bękartem...

– Kim jestem? – Popatrzyłem na czubek jej pochylonej głowy.

– Jedynym męskim dziedzicem – powtórzyła i nagle zaczęła chichotać. Gdy w końcu uniosła głowę, nadal chichocząc, też parsknąłem śmiechem. – Słyszałeś kiedyś coś równie głupiego?

– No dobra. I z czym się to wiąże? Dostanę jakąś ziemię czy posiadłość? A może mnie usynowi i da swoje nazwisko, żeby przedłużył linię rodu?

– Tak dobrze to nie jest. – Skrzywiła się. Chyba zeszło z niej całe napięcie, bo rozluźniona niedbale rozparła się na krześle. – On dalej sra ze strachu na myśl o tym, że moja matka mogłaby się o tobie dowiedzieć. Chociaż nie wykluczam, że jak mu się kiedyś kojfnie, to dostaniesz jakąś kasę albo zaprzyjaźną kawalerkę na Kurdwanowie.

– Dobry dil. – Pokiwałem głową z uznaniem. – Pierwszy raz w życiu ten fagas może mi się do czegoś przydać. Ale chyba nie liczy na to, że się z nim spotkam?

– Nie, ojciec w równym stopniu boi się ciebie co o ciebie.

– Znakomicie. Same profity, bez konieczności oglądania tego buca.

– Tak naprawdę o co innego tu chodzi – powiedziała już bez cienia uśmiechu. – Martwi go to, kim się stałeś. Jakie życie prowadzisz. Ma poczucie winy.

– Całkiem słusznie.

– Gdy dwa lata temu wszystko się tak strasznie zagmatwało i zniknąłeś, ogarnął go lęk, że jeśli nawet w tym przypadku uniknąłeś śmierci, to następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia. I on sobie tego nie wybaczy. Tak więc na początek odszukałam cię, żeby dowiedzieć się, czy wszystko gra i czy ktoś nie zwąchał, gdzie się ukrywasz. Potem sprawdziłam, czy masz jeszcze kasę.

– Jak?

– Niech cię to nie interesuje. Miałeś jeszcze całkiem sporo, więc uznałam, że nie ma sensu dawać ci tych dziesięciu tysięcy od niego.

– Przywłaszczyłaś sobie moją flotę?

– Na to wygląda. Ale na co ci była kasa na plaży pod palmą? Chciałeś sobie kupić sześćset par sandałów z plecionki czy może czterysta hamaków? Jeśli tak bardzo chcesz, mogę ci ją oddać, krakowski centusiu. Ja jej nie potrzebuję.

– Dziękuję, nie chcę.

– Bierz, jak stary daje, bo ci się może przydać na obczyźnie – zmieniła nagle front.

– Skończ już z tą obczyzną, przecież wiesz, że nigdzie się stąd nie ruszę.

– Dobra, możesz zostać, teraz mnie to już wali, skoro i tak wiesz o starym. Gdy się dowiedział, że wróciłeś, znowu go te lęki dopadły. Prosił, abym dopilnowała, żebyś ponownie wyjechał i w nic się nie mieszał. No, ale ty oczywiście musiałeś się wmieszać, więc już po ptokach.

– Czyli te wszystkie wyzwiska, którymi mnie obrzucałaś, to była tylko gra.

– Może i gra, ale wierz mi, sprawiła mi ogromną przyjemność.

– Wierzę.

– Tyle w temacie starego, oby mu rozum wrócił. Teraz trzeba rozkminić, jak bez szwanku wy dostać się z tego szamba. Co oni właściwie mi zarzucają, bo nie rozumiałam?

– Okłamałaś Nutkę, twierdząc, że nie wiesz, gdzie przebywam. Tym samym wystawiłaś na pośmiewisko jego autorytet, a to oznacza, że zrobiłaś frajera z samego Opiekuna. Złamałaś też nos Człowiekowi Szmacie.

– Komu? – Popatrzyła na mnie zaskoczona. – Człowiekowi Szmacie? To był ten pierwszy, tak? Nie chciał wyjść, był nachalny i naćpany, więc nie miałam wyboru. W pyte, że człowiek nie może z własnego biura wywalić kogo mu się podoba, bo kilkanaście kilometrów dalej obrazi się jakiś samozwańczy przywódca meneli.

– Niestety, to nie takie proste. Opiekun to nie jest drobny przestępca ani gangster starej daty jak Hrabia czy prymitywny ćwok w rodzaju Króla. On jest naprawdę groźny. Jego ludzie są groźni...

– OK, rozumiem, rozumiem. Ale trzeba czegoś więcej niż pogroźek ze strony osiedlowego lumpa, żebyśmy zaczęła sypać.

Oho, znowu zaczęły się popisy z kreskówki.

– Pan Dobra Nutka to również nie jest zwykły osiedlowy chuligan – tłumaczyłem cierpliwie. – To psychopata, i musiałaś to zobaczyć, kiedy tylko wszedł. Ale ty nie chciałaś, żeby ktoś taki mnie znalazł, prawda? Martwiłaś się o mnie i to nie tylko dlatego, że stary kazał ci mieć mnie na oku. – Wycelowałem w nią palec wskazujący.

– Złamać ci go? A może całe łapsko od razu? To ci zepsuje wieczorną randkę z twoją dziewczyną: „panią prawą rąsą”.

– Nie dziś. Dziś mam prawdziwą randkę z Krysią... albo z Kasią. Więc rękę to raczej będę wpychał...

– Dobra, dobra, dobra. – Zatkaną sobie uszy.

– ...do portfela, żeby jej postawić drinka – dokończyłem z udawanym niesmakiem.

Parsknęła śmiechem. Ale zaraz spoważniała.

– Dobrze, powiedz mi coś o tym Panu Dobrej Nutce, bo nigdy wcześniej się z nim nie zetknęłam.

– Nic dziwnego, jest za młody, żebyś go kojarzyła z czasów, gdy bujaliśmy się razem po Osiedlu. Ma jakieś dwadzieścia cztery lata.

– Skąd ta ksywa?

– A, to jest dobra historia.

– Jak taka dobra, to opowiadaj. Lubię dobre historie.

– Legenda mówi, że Pan Dobra Nutka tylko raz w życiu ujawnił jakieś ludzkie cechy. Wybrali się z Jogim, takim ociężałym umysłowo kumplem Nutki, na bansy do miasta. Chyba usłyszeli, jak ktoś mówi, że w Pauzie hip-hopy lecą, wjazd za free, że dobra bibka się kroi, a dziwki pierwsza klasa. Wyobraź ich sobie, jak idą zabawić się z fasonem w eleganckim lokalu! Jogi z tym przyklejonym uśmiechem dobrotliwego kretyna i Dobra Nutka z gębą psychopaty. Ochroniarz tylko na nich spojrzął i wiedział, że będą kłopoty, ale udawał, że nie widzi, z kim ma do czynienia, i ich wpuścił. Schodzą na dół. Jogi zachwycony, rozgląda się dookoła, pierwszy raz widzi takie luksusy, taki wielki świat, takie dziewczęta pachnące i eleganckie, niby roznegliżowane, a jednak z klasą. Nutka początkowo się krzywi, nie tego się spodziewał, jak słyszał że hip-hop będzie grany. To nie hip-hop – ocenia Nutka – a zwykłe pedalstwo. Czuje, że powinien komuś



przypierdolić, komuś, kto jest odpowiedzialny za to rozczarowanie. Rozgląda się za ofiarą, ale nagle odechciewa mu się bitki. Postanawia dopiero po powrocie na Osiedle sklepać ziomka, który mu dupę truł, że jest dobra impreza. Już nie szuka okazji do przemocy, bo coś przykuło jego uwagę. Na kanapie w głębi sali siedzi dziewczyna, kobieta właściwie. Starsza od Nutki o dobre dziesięć lat. Ubrana elegancko, na czarno, i jakaś taka zagubiona. Może Nutka pomyślał, że ona tak samo tu nie pasuje jak on, chociaż z zupełnie innych powodów. Nutka przypatruje się chwilę nieznanym, po czym idzie do baru. Zamawia browara i po raz pierwszy w życiu kieliszek czerwonego wina. Na dodatek za wszystko płaci! Jogi toruje mu drogę swoim potężnym cielskiem, traktuje tych wymuskanych skejtów jak buldożer, a Pan Dobra Nutka spokojnie podąża za nim. Kobieta nadal siedzi tam, gdzie siedziała. Nutka sadowi się obok i stawia przed nią wino. Kobieta jest zaskoczona, ale, o dziwo, pije wino bez obaw. Oboje milczą, za to Jogi, który zaczyna się nudzić, gada jak najęty i nic, co gada, nie ma sensu ani nie jest ciekawe. Nikt go nie słucha, ale do tego Jogi jest przyzwyczajony. Nagle Nutka zaczyna się gibać w rytm muzyki, która chyba mu się w końcu spodobała. Już nawet nie myśli o tym, by spuścić wpierdol temu, kto polecał mu tę imprezę. Widać, że chce jakoś zabajerować tę wielkowiejską pannę. Zareklamować się jakimś tekstem, który pokaże, że jest spoko fajnym kolesiem, równym i miłym. Słowem, kimś, kim nie jest. Patrzy na kobietę, ta na niego. Ona nawet uśmiecha się z sympatią, no bo przecież nie ma pojęcia, że siedzi tu z kompletnym degeneratem. Matka nigdy nie ostrzegła jej przed takimi typami, bo nie miała pojęcia, że tacy istnieją. Jogi w końcu zamyka japę, bo widzi, że Nutka będzie coś mówił. I tak się dzieje. „Dobra nutka – mówi Pan Dobra Nutka, wstając. – Chodź”. Dziewczyna kiwa głową, też wstaje i idzie za nim na densflor. A potem już tylko tańczą, tańczą, tańczą. Jogi nic nie kuma, ale ma jeszcze pół browara i kasę na dwa kolejne, laski są seksowne jak cholera, więc jest zadowolony, a wieczór uznaje za udany. Koniec.

Uniosła ze zdziwienia brwi.

– Koniec? A gdzie puenta?

– Nie ma.

– To ma być legenda o krwiożerczym psychopacie z Osiedla? Przecież to nie jest nawet... to w ogóle nic nie jest! I skoro jedynym świadkiem był ten

półgłówkę, to skąd wiadomo, że tak było?

– Gdy następnego dnia na Osiedlu zapytali Nutkę o wrażenia z miasta, skwitował to lapidarnie, że była „dobra nutka”. A Jogi opowiedział o dziewczynie. Resztę dobudowano. Ksywa jest dobra wtedy, kiedy stoi za nią jakaś dobra historia.

– To nie jest dobra historia. – Prychnęła z pogardą. – To nie jest żadna historia.

– Mylisz się, moja droga, ta przypowieść ukazuje psychopatę w bardziej ludzkim świetle. – Uśmiechnąłem się do niej. Nigdy nie kapowała takich niuansów albo udawała, że nie kapuje.

– Jest wartościowym człowiekiem, bo raz w życiu zagadał na imprezie do laski, która nie była kurwą? – spytała sceptycznie. – Jest spoko, bo potem jej nie zajebał? Proszę cię! Spotkali się jeszcze kiedyś?

– Nigdy. Ale ona mogła okazać się dla niego szansą na jakieś normalne życie. Gdyby z niej skorzystał, historia byłaby naprawdę dobra. Tylko że świat taki nie jest, a pachnące, eleganckie mieszczki nie wiążą się z elementem. Dobrze pani o tym wie, pani Goldenthal.

– Masz rację, nie jesteśmy już razem, bo ty jesteś z Osiedla, a ja z centrum. A to, że jesteśmy rodzeństwem, nie ma z tym nic wspólnego! – Prychnęła i uniosła kieliszek do ust.

Za każdym razem, gdy ona lub ktoś inny przypominał mi o tym, czułem się tak, jakbym dostawał bejsbolem w łeb.

– Wolałbym, żebyś nie gadała o tym naszym...

– Pokrewieństwie? Nie sądzisz, że najwyższy czas zacząć nazywać rzeczy po imieniu? – spytała ostro. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, potem ona znowu napiła się wina i odsunęła się nieco w tył na krześle. – Dobra, nieważne. Czyli jednak była to tragiczna opowieść, ta o Panu Dobrej Nutce?

– Żebyś wiedziała – odpowiedziałem szybko. – Burmistrz przysięgał, że Pan Dobra Nutka nadal przechowuje plakat z tamtej imprezy.

– Wzruszające. – Ziewnęła jak kot, chyba po to abym zyskał pewność, jak bardzo w dupie ma całą opowieść.

– Ta historia pokazuje tylko, że człowiek zawsze będzie chciał oswoić zło, nadając mu ludzkie cechy. – Nie dawałem za wygraną, udając, że nie

widzę jej znudzenia. – Spotykając Pana Dobrą Nutkę w ciemnej alejce, ludzie wolą pamiętać o tym, że kiedyś tam zauroczyła go tajemnicza dziewczyna, a nie że pobił swój własny rekord w łamaniu ludziom kończyn. Jako romantyczny bohater nie jest taki straszny, jest tragiczny i można mu nawet współczuć. W każdym razie przyjął nową ksywę z zadowoleniem. Nikt, kto go tak kiedykolwiek nazwał, nie ucierpiał w żaden sposób.

– Niech będzie.

– Jeśli chcesz mieć jeszcze lepszy obraz ludzi pracujących dla Opiekuna, zapytaj swojego kuzyna o Kakałko.

– Zapytam. Bardziej jednak interesuje mnie teraz, jaki masz plan?

– Plan był taki, że przyjdę do ciebie, a ty wymyślisz plan. Będziesz takim moim podwykonawcą – powiedziałem, ale spiorunowała mnie wzrokiem. – Wspólnikiem?

– Mogę być najwyżej twoim doradcą, ekspertem i wzorem do naśladowania.

– Możesz być również moim osobistym błaznem.

– Nic za darmo, kolego.

– Tata wie, że próbujesz mnie oskubać z kasy na każdym kroku? Jedyne dziedzica? – Żartowanie ze starego przychodziło mi łatwo. Może dlatego, że jakoś nie potrafiłem do końca uwierzyć, że ten frajer naprawdę mnie spłodził. I oddzielałem w głowie grubym murem dwie kwestie: starego i nas.

– Będziesz teraz używał tego argumentu przy każdej okazji? – spytała.

– Dałaś mi do ręki potężną broń. Dobra, co robimy?

– Spotkamy się z Francem i Januszem. Chyba wiem, jak ich namierzyć, jeśli nadal żyją. Mam takiego jednego gostka, który się tym zajmie. Musimy też pogadać z Królem. Szkoda, że trzeba jechać aż do Wadowic, ale bardzo jestem ciekawa, co mu one zrobiły. Pewnie wykastrowały. Jak myślisz?

– Nie wiem, nie chcę o tym myśleć.

– Chyba ci go nie żal?

– Nie, nie żal mi go. Chodzi mi o coś innego. Angie była kiedyś dobrą dziewczyną. Nawet po tym, jak dobrał się do niej Król. I jak zaszła w ciążę.

I kiedy dzień po dniu patrzyła na osiedlową patologię. Żadna z tych rzeczy nie zamieniła jej w potwora. Zrobiła to dopiero znajomość z Gretą. Zupełnie jakby jej chciała dorównać.

– Co zrobisz? Jest po przeciwnej stronie barykady. – Westchnęła. – To podobnie jak z zombiakami. Pomyśl, jakbym się teraz takim stała, to musiałbyś mnie bez skrupułów zabić, bo już nie byłabym sobą...

Analogia niestety przypomniła mi, że coś takiego już się zdarzyło. Ona przestała być sobą czternaście lat temu. Teraz była takim właśnie zombie. Całkiem przyjemnie się z nią gadało, dopóki sobie człowiek nie uświadomił, kto się ukrywa za tymi żartami, ciuszkami i pozorami zasad. Przypomniało mi się to, co powiedział o niej Tomek.

– Pamiętasz, ilu ludzi w życiu zabiłaś?

Zmarszczyła brwi.

– Pięciu albo sześciu... Zdarzały się grube akcje. Myślisz, że miałam czas rachować albo zaznaczać kolejnych na kolbie pistoletu? – Spojrzała na mnie uważnie. – Już ja wiem, co ci musiał ten płaczliwy smutas Tomek na mój temat nagadać... Nie jestem żadnym potworem. Po prostu przestałam gmerać we własnych bebechach, co i tobie radzę. No, sam powiedz, przyszło ci kiedyś coś dobrego z tego uzalania się nad sobą i swoim losem?

– Skoro taka jesteś cwana i hop do przodu, to dlaczego nie usuniesz blizny?

Na sekundę zamarła.

– A widzisz! – Ucieszyłem się.

– Szczerze mówiąc, ostatnio zastanawiałam się nad tym – powiedziała niepewnie. – W końcu siedzimy tu razem i w miarę normalnie ze sobą gadamy. Ty przestałeś się staczać, ja przestałam pieprzyć się z byle kim. Może już nie ma sensu nosić tego piętna. Nie odczuwam już satysfakcji na myśl o tym, że widząc moją bliznę, masz wyrzuty sumienia. Patrząc w lustro, coraz częściej myślę: Co ja mam na gębie! To nie jest jakiś kaprys, tylko przemyślana decyzja.

– Czyli jednak zastanawiasz się nad tym.

– Ale nie za wiele. – Popatrzyła na zegarek. – Muszę już iść. Jak tylko namierzę Franca, dam ci znać. A ty załatw widzenie z Królem. Może uda się odhaczyć całą rodzinę Królów jednego dnia.

Dopiła swoje wino i wstała.

– To na razie.

Poszła, a ja siedziałem jeszcze chwilę, zastanawiając się nad wszystkim, co powiedziała. O starym, o przeszłości, o winie i karze, i nadchodzących zmianach. Może rzeczywiście w końcu dorosła i dojrzała. Może i mnie to czeka. Jak teraz będą wyglądały nasze relacje? Kim dla siebie będziemy?

Pasowało mi, że odwali za mnie kawał roboty, ale jej kpiny z moich śledczych działań trochę mnie jednak ubodły. Niestety, miała w wielu sprawach rację. Chociażby w najprostszej – powinienem na samym początku dowiedzieć się, jak dokładnie nazywała się Sophie. Wyjąłem telefon i wybrałem numer Kojaka.

– Siemano, stary, radzisz sobie? – powitał mnie.

– Taaa, prawdziwy Sherlock Holmes ze mnie! Powinieneś to zobaczyć.

– Nie muszę, nieraz widziałem, jak ciągniesz koks.

Pośmialiśmy się chwilę.

– Z czym dzwonisz? – spytał w końcu Kojak.

– Czy Sophie to prawdziwe imię? Tak ma w dowodzie? Jak się nazywała wcześniej?

– W dowodzie? Myślisz, że oglądałem jej dowód? Wszyscy ją znają jako Sophie Lezuj. Nie mam pojęcia, jak nazywała się wcześniej.

– A kto może wiedzieć?

– Z tych, którzy zgodziliby się odpowiedzieć ci na pytania? Może Mentor albo Judym.

– Słuchaj, Opiekun wspominał, że jakiś pies węszył w poszukiwaniu jego żony. Ale czy odbyło się oficjalne śledztwo?

– No co ty. Opiekun rozmawiał z takim swoim ziomkiem, który jest jego kontaktem w policji, taki gostek z gębą okrągłą jak księżyc. Dwa razy tu był. Przyjechał swoją wypasioną furą, ale jak widać, nic nie znalazł. Nie było żadnego oficjalnego śledztwa. Wiesz, jak to u nas jest. Osiedle to taki Trójkąt Bermudzki. Ludzie tu czasami po prostu znikają. Reszta miasta nie musi wiedzieć, kto tu mieszka i kto tu umiera.

– Nie miała żadnej rodziny, nikt się nie interesował jej zniknięciem?

– Nic o tym nie wiem. Może była sierotą?

– Dobra, dzięki, stary.

W następnej kolejności wybrałem numer Judyma, ale on też w żaden sposób mi nie pomógł. Nazywała się Sophie Lezuj i tyle o niej wiedział.

– Przecież miałeś z nią sesję, nie pytałeś o jej rodzinę, przeszłość?

– Nie chciała o tym mówić. Miałem nadzieję, że z czasem dojdziemy do tego.

– Wiesz, kto prowadził śledztwo w sprawie Sophie?

– Jakie śledztwo? Chodzi ci o Nutkę straszącego kelnerów z tej barki na Wiśle?

– Nie, chodzi mi o grubego policjanta, dobrego znajomego twojego szefa.

– Przykro mi, Profesorze, ale nie wiem, o kim mówisz.

– Naturalnie, że nie wiesz – zakpiłem.

– Słuchaj, stary, chyba grzebiesz w tym nie tak, jak trzeba...

– Serio? A jak mam grzebać?

– Inaczej. Muszę kończyć. Mam pacjenta. Do usłyszenia. – Rozłączył się.

Judym na pewno wiedział więcej, niż zdradził. Magda miała jednak rację – bał się Opiekuna tak samo jak inni. Albo nawet bardziej. Zwłaszcza jeśli miał coś na sumieniu. Ostatni telefon wykonałem do zakładu karnego w Wadowicach. Załatwiłem widzenie z Królem na dwunastą.

Romans z kelnereczką zaczął nabierać realnych kształtów, skoro mój roboczy dzień dobiegł końca. Swoją część zadań wykonałem. Byłe jak, ale wykonałem. Teraz niech ona się wykaże.

W końcu napisałem za nią w życiu kilka wypracowań. Zawsze prosiła o takie maksymalnie na czwórę, żeby baba od polaka nie nabrała podejrzeń. Stosowałem dosyć swobodną interpunkcję, a na koniec dorzucałem kilka ortografów, aby dopełnić całości, i w dzienniku lądowała mocna trójka z plusem. Doskonale się przy tym bawiłem. Ale raz zaryzykowaliśmy czwórkę plus, bo jej stara zażądała czwórki na koniec. Tej jej nadętej matki jeszcze nie poznałem i jakoś wcale nie miałem na to ochoty. Ojciec też nie zapowiadał się interesująco. Przedstawiała go jako frajera i pantoflarza. Jeśli to miał być męski wzorzec, to cieszyłem się, że mnie wychowywała

tylko stara, która już w podstawówce straciła nade mną jakąkolwiek kontrolę.

– No więc, żeby mieć tę cholerną czwórę na koniec, potrzebuję czwórę z plusem z eseju. – Pokazała mi swoje wyliczenia.

Napisałem tak, jak mnie prosiła. To było moje opus magnum lewych wypracowań. Baba, oddając pracę, trochę kręciła nosem i popatrywała to na mnie, to na nią, wężąc oszustwo. Poprosiła ją, aby podeszła do biurka. Wiedziałem, że będą kłopoty.

– Widzę, że podobał ci się *Obcy* – zwróciła się do niej surowym tonem.

*Obcy* dla niej był tylko jeden: *Obcy – ósmy pasażer Nostromo*, film, który widziała z pięć razy. Poczujęm niepokój.

– Bardzo. Mocna rzecz – odparła z przekonaniem.

– Która część podobała ci się bardziej?

– Oczywiście pierwsza. Zwłaszcza drugoplanowe postaci.

– Tak, to prawda, zapadają w pamięć. Postać Salamano ma spore znaczenie...

– I ten barczysty, tak śmiesznie ubrany, też był spoko, jak mu było?

– Chodzi ci o Rajmunda Sintésa?

– Może – odparła, a ja byłem pewien, że chodziło jej o mechanika Parkera. – Wyleciało mi z głowy nazwisko. Jako jedyny wydawał się bardziej przyjacielski.

– Zrozumiałaś treść?

– A co tam jest takiego do rozumienia?

– To o czym jest *Obcy*?

– Myślę, że tak naprawdę o samotności. Czasami pozostaje ci tylko kot...

– Pies...

– Albo pies. Ale i on czasami ucieka. Okropna była ta scena!

– Twoje spostrzeżenia są bardzo trafne. Naprawdę się przyłożyłaś. Czwórka z plusem, no i na koniec czwórka. Pracuj tak dalej, a może będzie piątka na maturze.

– Postaram się. Dziękuję. – Dygnęła wdzięcznie i wróciła na swoje miejsce. Klapnęła na krzesło obok mnie, wydając westchnienie ulgi.

– I po sprawie – szepnęła. – Słyszałeś to? Piątka na maturze! Tej babie jest chyba gorzej. Czy ona myśli, że ty będziesz miał na to czas?

Zaczęliśmy się śmiać jak zwariowani. Nauczycielka zgromiła nas wzrokiem.

– Miałaś farta z tym *Obcym* – powiedziałem, ścisząc głos. – Jeszcze jedno pytanie i zaczęłabyś opowiadać o niedoskonałości cyborgów.

Popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Ty mnie chyba naprawdę uważasz za jakąś tępą strzałę. Przecież wiem, że nie pytała mnie o film Ridleya Scotta, tylko o tę nudną książkę egzystencjalną... ale szkoda, że nie widziałeś swojej miny, jak mnie wypytywała!

– To dlaczego...

– Tak odpowiadałam? Bo strasznie znowu zadzieraleś nosa. Postanowiłam się trochę zabawić twoim kosztem.

– Jesteś chora. – Poczulem się urażony. – Przeczytałaś *Obcego*, żeby mi zrobić na złość?

– Zwariowałeś? Oczywiście, że nie przeczytałam, ale przejrzałam wypracowanie, które za mnie napisałeś. Jak widać, wystarczyło.

– Gratuluję.

Otworzyłem książkę i wlepiłem wzrok w tekst. Nachyliła się do mojego ucha.

– No, nie obrażaj się... – szepnęła, a jej dłoń wylądowała na moim udzie. Powoli przesunęła ją w górę. – O, chyba już się nie gniewasz... Żeby tylko baba nie wezwwała cię teraz do odpowiedzi...

Parsknąłem śmiechem. W tamtych czasach nie potrafiłem się na nią długo złościć, nawet gdy robiła ze mnie idiotę.

Ona by pewnie uznała, że takie wspominki i fantazje, rodem z zapieczętowanej na głucho austriackiej piwnicy, to nic dobrego. Może i miała rację. To dziwne, ale na wyspie prawie nigdy nie myślałem o tamtych czasach. A wydawałoby się, że cisza, spokój i proste życie sprzyjają wspomnieniom, sentymentom, refleksjom. Że to dobre miejsce i czas, aby przekuć cierpienie na wiersze, zgodnie z kataraktyczną funkcją sztuki, w którą wierzyłem, jako człowiek wrażliwy, a zarazem pełen agresji.



Z tymi ucieczkami na drugi koniec świata w poszukiwaniu samego siebie jest zupełnie inaczej, niż się ludziom wydaje. W rzeczywistości ładnie nazwany cel to tylko przykrywka dla wielomiesięcznego chłania. W pierwszym miesiącu byłem nawalony non stop. Zapomniałem, że bawię się w Williama Somerseta Maughama, a nie w Ernesta Hemingwaya. Potem było lepiej. Udawało mi się raz na jakiś czas doprowadzić się do pionu, aż zacząłem zauważać, gdzie jestem. Potem nastąpił długi czas spokoju. W końcu dotarłem do punktu, w którym to miejsce pod palmami nie mogło mi dać już nic więcej.

W Forum było mnóstwo ludzi. Bywalcy wylegiwali się na leżakach i siedzieli na sflaczałych pufkach. Miałem niejaki trudności ze znalezieniem kelnereczki, zwłaszcza że zdążyłem już trochę zapomnieć, jak wygląda. Na szczęście ona mnie rozpoznała. Podeszła, uśmiechając się zalotnie. Wyglądała całkiem spoko w dopasowanej niebieskiej sukience. Nawet jeśli ten zadek miała rzeczywiście odrobinę za duży. Przypomniało mi się, że o takich pośladkach Burmistrz zwykł mawiać: „Ale pierdziocha, ja cię kręcę!”. Myślę, że Kaśka bardzo by mu się spodobała. Był amatorem obfitych kształtów, a ona miała i „bufet”, i „pierdziochę”.

Kaśka pocałowała mnie w policzek na powitanie. Zapowiadało się dobrze. Usiedliśmy na murku, bo tam był akurat kawałek wolnego miejsca.

- Jak śledztwo? – spytała.
- W toku. To niełatwa robota.
- Niebezpieczna?
- Owszem.
- Ale chyba ciekawa.
- Raczej nudna.

Była jedną z tych lasek, które uważają, że będą najbardziej pociągające, gdy wykażą zainteresowanie tym, co facet ma do powiedzenia.

- Działasz zawsze sam czy masz jakiegoś swojego doktora Watsona?
- Mam kogoś takiego – odparłem, uśmiechając się na myśl, jakby ona zareagowała na wiadomość, że zrobiłem z niej Watsona. – To kobieta. Też jest detektywem.

Kasia spojrzała na mnie przeciągle. Oj, nie była zachwycona.

– Laska detektyw? Ładna?

– Co kto lubi – odparłem wymijająco, a potem coś mnie podkusiło i spytałem: – Chcesz zobaczyć zdjęcie?

Wyglądała na zaskoczoną i nieco zdezorientowaną. A ja już wpisałem w Google imię i nazwisko. Pojawiły się fotki. Kasia zaczęła oglądać. Jej niezadowolenie rosło z każdą chwilą. Chyba zachowywałem się jak ostatni buc.

– Niespecjalna ładna – skrytykowała, jak to baba babę. – I co ona ma na twarzy? Bliznę? Aaa, to już wiem, kto to jest. Taka z telewizji. No, słyszałam o niej niejedno. I wiem, jaką ma opinię na mieście!

– Jaką? – zainteresowałem się.

– Podobno szmaci się z kim popadnie. Moja koleżanka widziała ją, jak wychodziła z kibla z jakimś nastolatkiem. A jeszcze inna koleżanka mi opowiadała, że ta twoja współpracowniczka zawsze chodzi na imprezy bez majtek.

Chciałem, aby się zamknęła. Już miałem zaproponować wycieczkę do kibla, a tam niezawodny sposób na zatkanie jazgotliwej babie otworu gębowego, ale w tym momencie Kaśka zawołała swoją koleżankę, która przechodziła obok. Koleżanka burknęła do mnie jakieś niewyraźne, rozlazłe: „cześć”. To była jedna z tych obrażonych, znudzonych, chudych lasek w modnych szmatach.

– Patrz, Nina – powiedziała do obrażonej, pokazując zdjęcia. – On ją zna. Kojarzysz ją, nie? To ta, co bez majtek chodzi i w kiblach obciąga.

– Nie, kretyńko. Nie ona, tylko jej siostra. Taka biuściasta blondyna z biodrami. Trochę do ciebie podobna zresztą. A ta to jest jakimś prywatnym detektywem i ma kasy jak lodu, czytałam na Pudlu. Więc po kiblach raczej nie musi dupy dawać, bo ją pewnie stać na hotel. Poza tym ona ma faceta, dzianego i bardzo przystojnego...

Kasię informacja o dzianym facecie wyraźnie ucieszyła. Obrażona odeszła od nas z jeszcze bardziej grobowym wyrazem twarzy, a Kasia zagadnęła:

– Twoja ukochana ma faceta!

– To nie jest żadna moja ukochana.

– Nie ściemniaj. Bujasz się w niej – powiedziała z mściwą satysfakcją.

– Puknąłem ją kilka razy sto lat temu. Ledwo to pamiętam.

Ta uwaga zamiast poprawić moją sytuację, jeszcze bardziej mnie pograżyła. Jak to się stało, że tak dobrze zapowiadający się wieczór przemienił się w dramat prosto z liceum? Chyba sam o to zadbałem, niestety.

– Nie gadajmy o niej, co? – zaproponowałem, usiłując uratować resztki nieudanej randki.

– Przecież nic nie mówię – burknęła z wyraźnym fochem w głosie.

– Chcesz się czegoś napić?

– Tak – zgodziła się łaskawie.

– To chodźmy do baru.

To nie była randka, którą będę wspominał latami, ale była całkiem w porządku. Gdzieś koło czwartego drina zaczęliśmy się całować i obściskować. Po piątym zaproponowałem, abyśmy przenieśli się do mnie. Dziewucha była pijana, więc gdy szliśmy na Dębniki, lekko się słaniała, uwieszona na moim ramieniu. Gadała trochę od czapy. Przestałem jej słuchać po paru krokach.

Wszedłem ostrożnie do mieszkania, bo nie miałem pewności, czy z któregoś kąta nie wylezie zaraz ta trzynastoletnia zmara, żeby mi wszystko popsuć. Całe szczęście dom był pusty, widocznie nadal była u Edwarda. Nie proponowałem Kaśce niczego do picia, bo było oczywiste, że jeszcze jeden łyk alko – i uśnie albo rzygnie. Zabrałem ją od razu do sypialni. Nie trzeba jej było nawet namawiać, sama zaraz zabrała się do robienia loda. Moje zadowolenie nie trwało długo. Dziewczyna chwiała się nawet na kolanach. Wycofałem się prawie natychmiast, nie chcąc stracić klejnotów przy kolejnym niekontrolowanym pijackim ruchu jej głowy. Zupełnie nieprzejęta tym afrontem, natychmiast zaczęła się rozbierać, intensywnie się przy tym zataczając. Lepiej wyglądała w ubraniu, ale i tak była całkiem spoko z tymi dużymi cyckami i tyłkiem, który wyglądał wcale nieźle, kiedy ją posuwałem. No i w sumie tyle. Nie ma co grymasić; lepszy taki seks niż żaden. Gorzej, że od razu zasnęła, zamiast sobie pójść, trochę się więc martwiłem, że trzeba się będzie jeszcze wysilić rano na kurtuazyjną gadkę.

„Must be the reason why I’m king of my castle  
Must be a reason why I’m making examples of you”.

*King of my castle*

WAMDUE PROJECT  
(SŁOWA: CHRIS BRANN)

Obudziłem się o dziewiątej po nocy bez snów. Kaśka spała, więc się wymknąłem, bo nie chciało mi się z nią leżeć. W kuchni hałasowałem ile wlezie, szurałem krzesłami, trzaskałem garami, włączyłem radio i kompa. No i w końcu się obudziła. Weszła do kuchni ubrana, wymięta i zapuchnięta od alkoholu, trzymając się za głowę. Opadła na krzesło z jękiem. Podsunąłem jej kawę i ketonal.

– O, jak miło – ucieszyła się, a jej zachowanie od razu stało się ostentacyjnie zalotne. Zaniepokoiłem się, że zwykły ludzki odruch mogła odczytać jako chęć zacieśnienia znajomości. W takich chwilach zastanawiałem się, na co mi to było i czy stosunek z przypadkowo poznaną pijaną dupą rzeczywiście wart jest tej porannej mordęgi.

Jak na złość drzwi wejściowe otworzyły się i do kuchni w podskokach wbiegła Lilianna. Śpiew zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła mojego nocnego gościa. Kasia też gapiała się na nią zaskoczona.

– To moja siostrzenica – powiedziałem szybko.

Młoda klapnęła na kuchenny stołek i patrzyła na skacowaną dziewczynę spode łba.

– A ty kto? – spytała bez ogródek.

– Jestem znajomą twojego wujka.

– Znajomą! – Lilianna parsknęła pogardliwie. – Raczej dupą na jedną noc.

Kasia popatrzyła z niedowierzaniem na małą, a potem na mnie.

– Uspokój się – powiedziałem do dziecka. Sytuacja ewidentnie wymagała zastosowania wobec gówniary jakiejś reprimendy. – Przepróż Kasię.

– No dobra... wuju – wycedziła, patrząc na mnie wzrokiem, który nie wróżył niczego dobrego. Przeniosła spojrzenie na Kaśkę i powiedziała głosem słodkim jak lukier: – Pseplasam, że powiedziałam, że jest pani dupą na jedną noc. Ocywiście, że będą kolejne noce. To nie w stylu wuja wykozystać i zostawić. Kochany wuj od dawna suka dziewczycyny na stałe i to może być właśnie pani!

Lilianna rozłożyła ręce z radosnym uśmiechem, następnie zerwała się i wybiegła, rechocząc. Trzasnęły drzwi wejściowe. Tak jak się tego obawiałem, Kasia wyglądała na zachwyconą.

– Spotkamy się jeszcze? – padło w końcu z jej ust to wiszące w powietrzu pytanie.

– Nooo – próbowałem zyskać na czasie. – Pewnie tak, ale po zakończeniu sprawy.

– A ile to potrwa?

– Ze dwa tygodnie – wymyśliłem.

– Długo.

– Niestety – uciąłem. Ostentacyjnie spojrziałem na kuchenny zegar. Mogło to wyglądać na ściemę, ale naprawdę sprawdzałem godzinę. Była dziewiąta trzydzieści. – Słuchaj, muszę zaraz jechać do więzienia i przesłuchać jednego bandytę...

– Tak, tak, rozumiem. – Uśmiechnęła się ironicznie. A przecież mówiłem prawdę! Inna sprawa, że gdybym nie miał prawdziwej wymówki, to pewnie właśnie taką bym wymyślił.

Zadzwoiła moja komórka. To była ona. Kasia nawet nie kryła się z tym, że wyciąga głowę z zainteresowaniem, aby zobaczyć, kto dzwoni.

– No, halo. Udało ci się? – spytałem.

– Ba! Ale nie podam ci szczegółów przez telefon, bo różnie może być. Siedzę w Massolicie, a w biurze mam właśnie ekipę sprzątającą. Załatwiłeś odwiedziny u Króla?

– Tak. Na dwunastą. Jeśli ci się nie chce jechać, mogę to zrobić sam.

– Żartujesz? Miałabym sobie odmówić przyjemności obejrzenia tego ścierwa tam, gdzie jego miejsce? Już się jaram.

– No dobra, skoro ma to być dla ciebie aż taka przyjemność, to naturalnie zapraszam. Tylko raczej ubierz się jak do więzienia, a nie jak na pokaz mody. Pomyśl, że biedny Król pewnie już w życiu kobity nie zaliczy.

– No, mam nadzieję! Postaram się mu przypomnieć, co go omija.

– A rób, co chcesz, ale uważam, że to zbędne okrucieństwo.

Zamilkła na chwilę, po czym powiedziała z niechęcią:

– Wiesz, co zauważyłam? Pomimo twoich deklaracji, że jesteś tylko najemnikiem, tak naprawdę nadal jesteś lojalny wobec Króla...

– To są właśnie rzeczy, których nigdy nie zrozumiesz.

– Coś tam jednak kumam. To co, jedziemy moim?

– Może być – odparłem, ociągając się i zastanawiając, ile zajmie droga do Wadowic. I czy zniosę takie towarzystwo.

– Spotkajmy się o dziesiątej trzydziści na parkingu pod Tesco.

– Niech będzie – odparłem. – Dozo.

Rzuciłem telefon na stół i spojrzałem na dziewczynę, która siedziała nachmurzona, jakbym jej jakąś straszną krzywdę wyrządził. Co znowu takiego powiedziałem?

– I ty się w niej niby nie bujasz? Jasne! – wyrzuciła z siebie zajadle. – Prawie się śliniłeś do tego telefonu.

– Oszalałaś – odparłem znudzony.

– No to wyobraź sobie – powiedziała agresywnie, pochylając się gwałtownie nad stołem i omiatając mnie wściekłym spojrzeniem – że na przykład będziecie musieli nocować w jakimś motelu...

– Na trasie Kraków–Wadowice?

– ...w którym będzie tylko jeden wolny, nieogrzewany pokój z jednym małym, wąskim łóżkiem. Ona pójdzie pod prysznic i wróci, ociekając

wodą. A potem rozpęta się burza i ona, przestraszona, zacznie się do ciebie kleić...

Byłem w piekle. Doszedłem do wniosku, że gra zdecydowanie nie była warta świeczki i lepiej bym na tym wyszedł, gdybym jednak wybrał randkę z własną ręką.

– Nie sądzę, żeby burza mogła ją przestraszyć – wtrąciłem.

– No jasne! Jest przecież taka odważna i wspaniała! Wiesz co, sam siebie oszukujesz. Wyznaj jej lepiej swoje uczucie, może zostawi tego milionera i wybierze ciebie. Nigdy, przenigdy nie uwierzę, że gdy będziecie sami w jednym łóżku, to ci nie stanie i nie zaczniesz jej od razu macać...

Jakim prawem ta dziewczucha robi mi awanturę? Zupełnie jakbyśmy chodzili ze sobą co najmniej od miesiąca. Nakręcała się coraz bardziej i mówiła coraz głośniej, coraz bardziej wściekła i podniecona:

– ...i nie zaczniecie się potem zwyczajnie rznąć!!!

– To moja siostra – wypaliłem.

– Co?

– Słyszałaś.

– Twoja siostra?

– Przyrodnia.

– Ale wczoraj powiedziałeś...

No powiedziałem. Bo nie przewidziałem tego ataku hysterii. Mam nauczkę. Nie ma tak dobrze, by w zależności od sytuacji można było sobie wybierać, kto jest dla nas kim. Nic dziwnego, że ta dziewczyna patrzyła teraz na mnie z mieszaniną przerażenia i niesmaku, który widziałem już nieraz na niejednej twarzy. Również na własnej. Wstała i poszła po swoją torebkę. Wróciła i spojrzała na mnie z wyższością i dezaprobatą.

– Wiesz, że powinienes iść do psychiatry? Niedobrze mi.

– Trzeba było tyle nie pić.

– Co z ciebie za człowiek! – wykrzyknęła dramatycznie. – To jest przecież chore! Chore! To kazirodztwo!

– I chuj! – huknąłem głośno, uderzając pięścią w stół, bo miałem już tego naprawdę dosyć. Nie tylko jej. Tych wszystkich bab, które wrzeszczały na mnie w moim mieszkaniu.

Wybiegła bez pożegnania, trzaskając drzwiami. Plus był taki, że raczej już jej nigdy nie zobaczę, a jeśli gdzieś ją spotkam, to pewnie będzie udawała, że mnie nie zna. Drzwi wejściowe ponownie trzasnęły. Wróciła Lilianna jedząca wielkiego, wielokolorowego loda, którego pewnie wynudziła od Edwarda.

– Co się tak drzesz? Słysząc cię na całej klatce. – Mlaskała i siorbała dosyć oblesnie. – Wychowanie prosto z zoo! Coś ty zrobił tej krowie, że taka zaryczana uciekła?

– Nie twoja sprawa. I przestań tak mlaskać.

– Nie da się. Inaczej będzie kapać. Pewnie w końcu załapała, że jednak była dupą na jedną noc.

Po tych nieprzyjemnych porannych scenach z ulgą opuściłem dom. Pomyślałem, że chyba wrócę do korzystania z usług prostytutek, bo to o wiele mniej skomplikowane. I można zaoszczędzić sporo czasu. Tylko następnym razem wezmę sobie jakąś naprawdę ładną i luksusową kurewkę. Te z okolic Kleparza może i były pocziwe, a jak człowiek był dla nich ludzki, to jeszcze oferowały, że obiad ugotują i przepierkę zrobią. Czuję się z nimi swobodnie, zwłaszcza gdy półmrok ukrywał smutne niedostatki ich urody i stopień zużycia. Wolałbym jednak posuwać dziwki wiekiem zbliżone do mnie, a nie do mojej matki.

Pod Tesco byłem o dziesiątej czterdzieści. Objechałem parking i w końcu ją zauważyłem. Zaparkowała w ostatniej alejce. Stała oparta o swój ekstrawagancki samochód i kończyła palić papierosa. Wcale nie żartowała z tym strojem. Mniej się chyba nie dało na siebie założyć. Gdyby sukienka była centymetr krótsza, byłoby widać majtki. O ile je miała. Przypomniały mi się słowa Kasi. Wprawdzie niby dotyczyły Loli, ale kto wie, może i ona uznała, że w bieliźnie efekt będzie za słaby.

Właśnie taką ją zapamiętałem z ostatniej klasy liceum, gdy na przełomie lutego i marca po wielomiesięcznej przerwie wróciła do szkoły. Staliśmy się największymi wrogami. Widziałem w niej luksusową dziwkę, która zaliczyła w naszej szkole chyba wszystkich chłopaków, których warto było zaliczyć. Wszystkich tych sportowców, bananowców i sezonowych gwiazdorów, z których wcześniej razem się nabijaliśmy. Obserwowałem ją,



jak się lansuje na szkolnym korytarzu, otoczona swoimi pacholkami. Zadowolona, jakby cała szkoła należała do niej. Na tamto wspomnienie ogarnęła mnie taka sama wściekłość jak wtedy. Bo nadal biło od niej to zadowolenie, gdy się tak wdzięczyła na masce samochodu przed klientami Tesco.

Odkleiła się od auta, pstryknęła petem w dal i podeszła do mojego forda. Schyliła się do otwartego okna.

– Za ile w paszczu? – Nie mogłem się powstrzymać.

Zaśmiała się, bo takie właśnie prostackie żarty były bardzo w jej stylu.

– Czemu tu tak siedzisz? – spytała, zaglądając z zainteresowaniem do wnętrza samochodu.

– Rozmyślam – odparłem, wbijając wzrok w przednią szybę.

– Stanowczo za dużo rozmyślasz. Jedziemy?

– Moment. Możesz się odsunąć? – powiedziałem niecierpliwym tonem, nadal gapiąc się na brudne zacieki na szybie. – Wsiądź już do tego swojego auta, a ja zaraz przyjdę. Muszę o czymś pomyśleć.

Na przykład o tych biednych pieskach, którym trzeba amputować tylne nóżki i potem doczepia się im kółeczka, żeby mogły się poruszać. Strasznie mnie zawsze smucił ich widok.

Chyba zakapowała w końcu, o co chodzi. Zmieszana cofnęła się tak gwałtownie, że uderzyła potylicą o górną krawędź drzwi. Trzymając się za głowę i przeklinając, pobiegła do swojego samochodu. To było dosyć śmieszne. Poprawiłem gacie i wysiadłem.

Droga do Wadowic dłużyła się w nieskończoność. Ona milczała zażenowana, paląc jednego papierosa za drugim i masując sobie od czasu do czasu tył głowy. Kilka razy skłęła pod nosem jakiegoś uczestnika ruchu drogowego. Ja natomiast jak człowiek dotknięty nerwicą natręctw zmieniałem w tę i z powrotem trzeszczące stacje radiowe, starając się przy tym nie gapić na jej rozchylone nagie uda.

– Szczęść Boże! – dobiegło z głośników. – Dzień dobry księdzu prowadzącemu. Szczęść Boże. W jakiej intencji będziemy się modlić, pani Lucyno?

Może w mojej? Znowu zmieniłem stację.

– Odnajdę cię na samym dnie – zaśpiewało w kolejnej radiostacji – pokochasz mnie, jak ja ciebie. Będę cię trzymał w ramionach, nasza miłość nieprzezwyciężona. Jesteś mi pisana, moja ukochana. Złapany w sidła twoje, oddałem ci serce moje.

Że też ludzie potrafią wyrzygać z siebie coś takiego i potem spojrzeć w lustro...

– Płyty. W schowku – burknęła. Widocznie umiała ignorować mnie, ale nie radiową ofertę.

W schowku najwięcej było śmieci, ale pod nimi znalazłem kilka zniszczonych płyt. Wybrałem Body Count z 1992 roku i nastawiłem kawałek *Cop killer*. Podkreśliłem głośność i podśpiewywałem sobie z Ice-T:

– *Cop killer, better you than me. Cop killer, fuck police brutality!*

Na miejscu zacząłem jednak żałować, że ze mną przyjechała. Na pewno będzie się wtrącać, a jej Król nic nie powie. Zwłaszcza jeśli zobaczy ten strój spod latarni.

– Może jednak zaczekasz na mnie, co? – zaproponowałem, gdy wysiedliśmy.

– Nie po to tu przyjechałam, żeby teraz czekać. Nie bój się, będę siedzieć cicho. Zrób to po swojemu. O ile w ogóle istnieje coś takiego jak „po twojemu”.

– Dobra. Zobaczymy, ile wytrzymasz w milczeniu.

– Znajdę sobie zajęcie.

– Jakie, kurwa, zajęcie? – spytałem ostro, bo miałem silne podejrzenie, że to zajęcie ma coś wspólnego z brakiem bielizny.

– Obserwowanie parszywej gęby tego śmiecia.

– Aha. No dobra. Obserwuj sobie.

Pierwszy zgrzyt nastąpił przy dyżurce. Nim jeszcze zdążyłem cokolwiek powiedzieć, poinformowała dyżurnego, że od kierownika (którego nazywała Adasiem) mamy pozwolenie na spotkanie z Królem w odosobnionym pomieszczeniu. Już miałem jakoś to skomentować, ale dostałem kopniaka w goleń, więc odłożyłem komentarz na później.

– Tak, zostałem uprzedzony, że pani przyjedzie – potwierdził strażnik ochoczo, podsuwając jej listę do podpisania. – Rzadko u nas bywają takie gwiazdy. Interesuje się pani tym biedakiem?

Słowo „biedak” stanowiło chyba dobrą zapowiedź tego, w jakim stanie znajduje się obecnie Król.

– Król pojawił się na marginesie śledztwa, które prowadzę. Muszę mu zadać kilka pytań – wyjaśniła. A więc teraz to było jej śledztwo.

– No tak. – Dyżurny kiwnął głową, a potem popatrzył na mnie z wyraźną niechęcią. Wskazał listę i burknął: – Podpisać się. Czytelnie. Dowód zostawić. I wszystkie metalowe przedmioty, bo będzie dzwoniło na bramce.

Zrobiłem, co trzeba. Przeszliśmy przez wykrywacz metalu. Klawisz otworzył pierwszą bramę. W korytarzu czekał na nas strażnik. Czerwony na twarzy blondyn o małych chytrych oczkach.

– Starszy sierżant Łyczko. Pułkownik Stefanik jest niestety zajęty, ale rozkazał mi panią eskortować – wyjaśnił słodkim tonem. – Tędy proszę. Ma tu pani grono wielbicieli. Chłopaki liczyły, że zrobią rewizję osobistą, ale widzę, że pani toby nawet pilnika nie miała gdzie ukryć!

Zdobyła się na wąty uśmiezek. Klawisz zaś wyprodukował jeszcze trzy czerstwe żarty o podłożu seksualnym, zanim dotarliśmy do sali przesłuchań.

Usiedliśmy po jednej stronie przylutowanego do podłogi metalowego stołu. Gdy klawisz wyszedł, miałem wreszcie okazję powiedzieć jej, co myślę:

– Kazesz mi ogarnąć wizytę, a potem sama kontaktujesz się z dyrektorem tego mamra, z którym najwyraźniej jesteś w wielkiej przyjaźni... Od kiedy śledztwo jest twoje? I kopnij mnie jeszcze raz!

– Nie ciskaj się tak. Adaś to znajomy Aarona. Pomyślałam, że spoko będzie pogadać z Królem bez świadków – wyjaśniła spokojnie. – Będzie komfortowo i bez nasłuchu. Uważasz, że źle zrobiłam?

– Następnym razem informuj mnie o układach z Adasiem czy innym Piotrusiem.

– Jasne, przepraszam, zapomniałam. Też bym była wściekła, gdyby mi się ktoś tak wpierdalał z dobrymi radami. To twoje śledztwo i będę

milczała, tak jak powiedziałam. Ale nie mogę obiecać, że jeszcze cię kiedyś nie kopnę.

Nie wierzyłem, że nie złamię ślubów milczenia. Zaczęło się jednak całkiem dobrze. Z pokerową twarzą obserwowała, jak wprowadzają Króla. A przecież i do niej, tak samo jak do mnie, musiało dotrzeć, na co patrzy.

Ten wielki niegdyś chłop jakby zmałał o połowę. Idąc, powłóczył zeszywniałą nogą. Usiadł z wyraźnym wysiłkiem. Grymas bólu wykrzywił prawą część jego twarzy. Lewa, potwornie zniekształcona, pozostała nieruchoma, jakby była sparalizowana. Pokrywały ją błyszczące blizny, które wyglądały jak zaschnięte zacieki różowej lawy. Spływały po szyi i wpełzały za więzienny kaftan. Lewe oko miał kaprawe, zapadnięte w oczodół i osunięte w dół. Trudno powiedzieć, czy na nie w ogóle widział. Ktoś najwidoczniej musiał oblać go kwasem. Ale chyba najbardziej przerażające było to, że prawy rękaw jego koszuli zwisał luźno, pusty w środku. Nie miał ręki. I to chyba od łokcia.

Ale ona wyglądała tak, jakby jej zupełnie nie obeszło, w jakim stanie znajduje się człowiek, z którym przyszłiśmy porozmawiać. Potem pomyślałem, że o stan Króla musiała wcześniej wypytać tego Adasia, i była przygotowana na przykry widok. Oczywiście, nie uznała za konieczne, aby dać mi cynk. Byłem jednak ciekaw, czy nadal ma ochotę się nad nim znęcać. Chyba jednak nie, bo w jej pozie nie było nic prowokacyjnego. On tymczasem lustrował ją zdrowym okiem, aż w końcu rozpoznał.

– Znam cię – powiedział. – Jesteś tym szpiclem. Byłaś raz u mnie na mieszkaniu. Przyprowadził cię ten tu mój dobry ziomal, Profesor.

Milczała nadal. Tak jakby nic do niej nie powiedział.

– Co ona, głucha?

– Nie – odparłem. – Chyba po prostu nie ma ci nic do powiedzenia. Wziąłem ją dla towarzystwa.

– Widzę, kurwa. Sam bym nie pogardził takim towarzystwem. Chociaż gębę ma nadal pociętą. No co, Profesorze? Nie podoba ci się, że suni wytykam, a sam mam kufę, jaką mam? No, taką teraz mam. I wiem, komu to zawdzięczam. I to. – Uniósł swoją okaleczoną rękę. – I inne rzeczy, o których nie musisz wiedzieć. Nawet bym ci powiedział, ale dupa na nasłuchu.

– No i kto cię tak urządził?

– Nie dasz wiary, jak ci poem, czeku! Początkowo myślałem, że może któryś z tych frajerów, co im kurwiska grzmociłem. Ale nie. Żaden z tych mineciarzy by na to nie poszedł. Potem kombinowałem, że może to ten mój następca, co każe się nazywać Opiekunem. Bo słyszałem, że kozak. No, ale też nie. W końcu sami mi powiedzieli. Moi nocni goście, zasrani najemnicy, pedały jebane. Okazało się, że to moja siostrzyczka ich przysłała. Angie, w dupę jebana. Wyobrażasz, kurwa, se? Pamiętasz w ogóle tę małą cipcię?

– Pamiętam.

– A tak. Przecież ona się w tobie bujała, tępą sraka. Ale jej chyba nie dupcyłeś, co?

– Nie.

– No cóż. Nie miałbym nic przeciwko. Może nie wyglądała na taką, ale był z niej niezły numer. Mała puszczałska. Uwielbiała to. Tak, trzeba było mi powiedzieć, że chcesz ją dymać. Lubilem cię, cenilem, to cobym się nie podzielił? Podzieliłbym się. – Przeniósł wzrok na nią, wyraźnie szukając czegoś, do czego mógłby się przyczepić. – Patrz, ty, kurwa, jak ona słucha cały czas. Gęba zaciśnięta, ale pewnie miałyby niejedno do powiedzenia. Chcesz mi coś podkreślić? Dawno cię chyba nikt nie jebał. Co się tak lampisz, suko? Może cipę chociaż pokaż? Nie pokażesz. Ale jak pod całą zapytają, to powiem, żeś pokazała. No, jebałbym cię chętnie, ale to już nie dla mnie. Ale znam inne zabawy. Opowiadał ci Profesor, jak łapaliśmy pary?

– Nie brałem w tym udziału – sprostowałem.

– Ano tak. Faja ci od razu zmiękła, jak tylko kazałem tej zabezpieczonej szmacie jebać się z jej własnym frajerem. A ona nie chciała. Ciekawe czemu? Jak myślisz, laluniu? – znowu zwrócił się do niej. – Może był taki chujowy w temacie? Nie dowiedzielimy się, bo Profesor zepsuł nam wtedy imprezę. Więcejśmy go nie zabrali. – Przeniósł zaciekawione spojrzenie na mnie. – Angie też dupcycić nie chciałeś, chociaż sikała po majtkach, jak cię widziała. Może ty, kurwa, pedał jesteś? – Wskazał mnie swoim kikutem, zachichotał i popatrzył na nią z uciechą. – Co powiesz, mała? Wiesz coś o tym? Lubi ssać wielkie kutasy ten mój kamrat czy woli tobie cipę lizać?

Cisza. Ona mnie chyba jednak nie lubi, Profesorze. Gardzi prostymi chłopakami. Dama się znalazła, wyżej sra, niż głowę ma.

Naraz humor mu się zwarzył. Opadła błazeńska maska. Miałem nadzieję, że zeszła z niego para na tyle, że będzie można w miarę normalnie porozmawiać. Jednak gdy popatrzył na mnie przenikliwie swoim prawym okiem, nie byłem już tego taki pewien. Obserwował mnie, jakby badał, czy ma jeszcze nade mną jakąkolwiek władzę. Na moment znowu stał się tym, kim był w latach swojej świetności: budzącym lęk, nieobliczalnym, sadystycznym psycholem, któremu pod żadnym pozorem nie należy ufać ani wchodzić z nim w układy. Chyba jednak wołałem go w roli obmierzłego satyra z gębą pełną plugawych inwektyw.

– Czego wy właściwie chcecie? – spytał w końcu.

Pytanie, czego on mógł chcieć w zamian. Wyciąganie informacji z Króla przypominało grę, której zasady zmieniały się ciągle i w nieprzewidywalny sposób.

– Potrzebuję informacji o naszym wspólnym wrogu – zaryzykowałem braterski front. – Opiekun nie nadaje się na admina. Nie jest jednym z nas i nigdy nie będzie. Ludzie go nie chcą i trzeba się go pozbyć. Skąd on się w ogóle wziął?

– Sam chciałbym, kurwa, wiedzieć – burknął.

Zasugerowanie wspólnego celu było dobrym strzałem. Pewnie nie chciało mu się dłużej udawać kogoś, kim już nigdy nie będzie. Nikt się go już nie bał. Nie miał ani swojego królestwa, ani nawet pięści, którą mógłby wbić między oczy. A ten gwałt słowny, którego na nas dokonywał, był wyjątkowo żaloszny w ustach eunucha.

– Próbowałem obadać, ale jak pewnie już skumałeś, nie bardzo miałem jak i gdzie – wyjaśnił Król i zaraz się pożalił. – Wszyscy mnie opuścili, Profesorze. Moja ferajna po całej Polsce kibluje. Głosu żaden nie da, bo pewnie motają, jak się odklepać moim kosztem. A ja tu zara będę odwalać trzeci kalendarz. Nasza babka, ona jedyna mnie rozumiała. Była se sztuka. Zawinęli ją z nami. Angie jakieś smuty sprzedała na plebanii, prorok pochytał, piłat kupił. A że babka nawet papugi nie chciała i słowem się tym kurwom nie przypucowała ani na dołku, ani na wadze, to jej wbili dwójka. A mogła skończyć tylko z zawieszka. No i wykitowała w gułagu na Hucie.

Dostałem cynk, że kojfnęła, bo nie chciała szamać tych pomyj, co serwowali! Szkoda babki.

– A Franc był u ciebie? – udałem troskę.

– Ta faja? Nie, stary, mój kuzyn też nie miał czasu na patrzonko. Nawet go nie winię, słyszałem, że mają z Januszem po czapie u Opiekuna. Pono posłali do piachu Prochackiego. Tu mnie Franc zadziwił, zawsze trzymał się z dala od zadymy.

– Podobno Prochacki zgwałcił Angie.

– Akurat! Kupujesz te bełty? Sama mu dała, szmata jedna. Nieraz mu dawała! Sam widziałem. Patrzyłem, jak mu dogadza. Porno na żywo, czeku. Czemu teraz miałoby być inaczej? – Król znowu zaczynał się podniecać. Należało go zgasić, zanim na nowo wejdzie w którąś z ról.

– Może jeszcze o tym nie słyszałeś, ale Angie ma zupełnie inne upodobania – powiedziałem z uśmiechem. – Twoja siostra jest teraz lesbą. Wielką, zadowoloną, przytyraną pancerlesbą!

– Coś tam słyszałem – mruknął Król niechętnie. – Sprzedała mnie psom. Jest papier, będzie kosa. Czarcicy patelnię poleruje. To się też doczeka. Na nowo zasmakuje w kutasach...

– Niby jak? NFZ ci ufunduje drewnianego fleta? – spytałem.

– Bujaj się, pedale – odgryzł się, ale zupełnie bez przekonania. – Bo i tobie załaduję. Będzie ci ta niemota drzazgi z dupy wyjmować.

– W każdym razie teraz Angie żadnemu chłopu nie dałaby z własnej woli – podjąłem wątek. – A już na pewno nie takiemu bucowi jak Prochacki.

– Może. Ale ten gwałt to jakaś gruba ściema...

Król posługiwał się własną logiką, ale sam nabrałem wątpliwości co do tej historii z gwałtem. Po pierwsze, co Angie robiła w ogóle na Osiedlu, którego tak nienawidzi? Po drugie, miała teraz posturę koksa z siłowni, a Prochacki był przecpanym kretynem. Nie wspominając o tym, że Franc był naprawdę strasznym cykorem. Lincz był zupełnie nie w jego stylu.

– Myślisz, że Angie i Franc zwarli szyki i szykują rewoltę? A zaczynają od usuwania ludzi Opiekuna? – spytałem.

– Nie ma bata! Angie gardzi Francem i nienawidzi go jak wiślackiego psa za jakieś stare historie. Prędzej by najgorszego grzejnika na wspólśa wzięła niż tego mięczaka. Franc nigdy na ustawce nie był, wpierdolu nie obskoczył, nie kiblował, z chuligaństwem nie trzymał, wałów nie kręcił. Nawet za drobne zakupy nigdy nie usiadł. Nasza babka zawsze mówiła: „Franc to baba, nie chłop!”. Więc zakumaj se, Profesorze: ten lewus nie ożenił kosi Prochowi. Ktoś go wrobił w szambo. Może Angie? Kumata zawsze była. Zawodówkę pono skończyła i do liceum teraz chodzi! – zakończył z niespodziewaną dumą w głosie.

Poruszył się nerwowo na krześle, jakby coś nie dawało mu spokoju. Wreszcie nachylił się w moim kierunku, opierając kikut o blat. Mógłbym przysiąc, że wyraz zdeformowanej gęby mu złagodniał, gdy w końcu zadał mi pytanie:

– A jak widziałeś Angie, to ten mój, tego... no, ten mały... Angie tam był?

Ludzie, nawet takie ścierwa jak Król, bywają zaskakujący.

– Masz córkę, nie syna. Jest bardzo ładna, wcale do ciebie niepodobna.

– Myślałem, że to chłopak będzie – zmartwił się. – No, szkoda. Ładna, mówisz? Chętnie bym ją zobaczył.

– Ale raczej nie zobaczysz. Myślisz, że Angelina pozwoliłaby, żebyś zrobił małej to samo, co robiłeś jej?...

– Przecież ja bym nigdy...! – Król wyglądał na szczerze oburzonego. – Co ty, kurwa, własnemu dziecku? Co ty, chory? Za kogo ty mnie masz, czeku?

Za kompletnego pojeba. Król zdecydowanie kierował się własną, zupełnie niezrozumiałą logiką i etyką.

– Ciągle zapominam, że już nie masz czym dzieci gwałcić – powiedziałem spokojnie.

– Ty, kurwa, nie bądź taki kozak, Profesorku! – warknął. – Uważaj, żeby tobie kto nie upierdolił twojego małego, śmiesznego kutasa!

Zaczynał mnie nudzić. Te zmiany nastrojów były męczące. Byłem prawie pewien, że on naprawdę nic więcej nie wie. Poczulem ulgę na myśl, że najprawdopodobniej już nie będę oglądał tego degenerata. Wstałem i spojrzałem na niego z góry.



– Grozisz mi? A co ty mi możesz zrobić? Gówno. Jesteś teraz nikim. Będziesz tu garował, aż się udławisz brudnym kutasem któregoś najemcy. Nara, Królu. Raczej cię już nie odwiedzę, bo mi smutno patrzeć, takiś teraz paskudny.

Król nie zareagował agresją; przypatrywał mi się uważnie przez chwilę, a potem przeniósł spojrzenie na nią. Ona też wstała. Przypominała urzędniczkę, która właśnie zakończyła wizytację. Ciekawe, jak wypadłem. Odwróciła się w kierunku lustra weneckiego i dała znak klawiszowi, żeby nas wypuścił. Wyszła, a ja jeszcze patrzyłem, jak drugimi drzwiami wyprowadzają poruszającego się z trudem Króla. Na zdeformowanej gębie malowały się gorycz i poczucie niesprawiedliwości. I smutek. Jakby żałował, że ta wizyta dobiegła końca.

– To była strata czasu – skwitowała, gdy szliśmy korytarzem do wyjścia.

– Może i tak. Ale między jednym potokiem inwektyw a drugim podrzucił kilka interesujących wątków. Jestem całkiem zadowolony, że tu przyjechałem.

– Serio? Co cię tak zachwyciło? Poczuleś nostalgię za dawnymi czasami?

– Nie, wprost przeciwnie. Chyba zapomniałem, co to był za typ. Albo może wtedy mnie to nie ruszało. Sam pewnie byłem niewiele lepszy.

– No, teraz to przesadzasz. Wiesz, że nie jestem fanką twojego dawnego trybu życia, ale do poziomu Króla trochę ci zawsze brakowało – powiedziała.

Uśmiechnęła się do dyżurnego i skinęła mu głową, gdy opuszczaliśmy więzienie. Na zakurzonej parkingu panował upał, jakby był środek lata, a nie wiosna. De tomaso deauville stał w pełnym słońcu, cały pokryty szarym pyłem. Gdy otworzyłem drzwi po stronie pasażera, uderzyła mnie w twarz fala gorąca. Ostrożnie usiadłem na rozpalonym fotelu. Ona syknęła, gdy jej nagie uda zetknęły się z czerwoną, skórzaną tapicerką, podgrzaną do stu stopni. Od razu puściła klimę na ful. Po pięciu minutach jazdy dało się już oddychać.

– Jest trzynasta – oznajmiła, zerkając na złoty zegarek. – Za półtorej godziny mamy spotkanie z Francem.

– Gdzie się z nim ustawiałaś?

– Na Księcia Józefa, kawałek za miastem. Tam jest taka przydrożna knajpa, w której kiedyś byliśmy. Nie wiem, czy pamiętasz.

– Wiem która – odpowiedziałem.

Dobrze pamiętałem tamten wrześniowy dzień. Urwaliśmy się ze szkoły i pojechaliśmy jej rozpadającym się fiatem 125 zjarać lolka na Kopiec, a potem na gastro do tej budy przy Księcia Józefa, na pizzę. Był z nami Kojak. Ona nie była jeszcze moją dziewczyną, ale już się w niej bujałem. Zrobiło się chłodno i zagapiłem się na jej sterczące pod koszulką sutki. Kojak to obczaił i zaczął się brechtać. Więc ja też. Ona, kiedy się zorientowała, z czego tak rechoczemy, stwierdziła, że jesteśmy pojebani, zboczeni i powinniśmy sobie dziewczyn poszukać albo częściej trzepać kapucyna. Dałem jej więc swoją bluzę, żeby się już nie gniewała, ale też po to, żeby sobie te cycki zakryła, bo nawet moje szerokie gacie nie były w stanie ukryć wzvodu, a była moja kolej, żeby iść po browary.

Ciekaw byłem, czy ona też to pamięta. Nic jednak nie wskazywało na to, aby oddawała się jakimś sentymentalnym wspominkom, bo powiedziała tylko:

– Odstawię cię pod Tesco. Jedź od razu do tego baru i czekaj. Ja muszę się przebrać, bo mi niewygodnie, poza tym lepiej nie zwracać na siebie uwagi w takim miejscu. Jakby Franc przyszedł przede mną, to zacznij z nim gadać. Tylko go nie przestrasz, bo jak się zmyje, to drugi raz mogę już go nie namierzyć.

– A nie masz jakichś innych zleceń, którymi powinnaś się zająć?

– A co cię to interesuje? – spytała opryskliwie. Wcisnęła do odtwarzacza płytę Body Count i podkręciła głośność, przerywając w ten sposób dyskusję.

Przyszło mi do głowy, że może naprawdę nie ma żadnych zleceń. Może od kiedy została narzeczoną policjanta, ludzie nie chcieli jej zaufać. Pewnie nudziła się całymi dniami, czekając na klientów, którzy nie przychodzili. Gdy zadzwoniłem wtedy po południu, szła właśnie popływać na Zakrzówek. A Tomek mówił, że nic nie robi poza grzebaniem w necie. Chyba miała za dużo wolnego czasu. A jeśli tak, to na pewno nie odda tak łatwo nowej zabawki.

„Złożę mu propozycję nie do odrzucenia”.

*Ojciec Chrzestny*

REŻ. FRANCIS FORD COPPOLA

Lokal był dokładnie taki, jak go zapamiętałem. Może tylko nieco bardziej nadgryziony zębem czasu. Jakby go nikt przez te wszystkie lata nie remontował. Słabo widoczny z drogi, wciśnięty między drzewa, do połowy ukryty we wzgórzu, które wyrastało za nim, idealnie nadawał się do pokątnych schadzek. Na zewnątrz stały dwa stoły, przy nich ławy. Wszystko to zniszczone przez deszcz i słońce, popisane, zabazgrane, wysuszone, spróchniałe, z obłazującym lakierem. Wszedłem do środka przez zmatowiałe, brudne szklane drzwi. Wewnątrz było zupełnie pusto. Lodówka buczała głośno. Trzasnęła jarzeniówka pod sufitem. W tle cicho grała muzyczka z radia. Po chwili z zaplecza wyszedł barman i aż przystanął, widząc klienta przy barze; zaskoczony, jakby nieczęsto się to zdarzało.

– Coś podać? – zapytał sceptycznie.

– Tak. Piwo. W butelce. Może być okocim, co pan tam ma. Szklanki nie trzeba.

Barman obrócił się w stronę zapyziałej, hałasującej lodówki.

– Jest okocim – odpowiedział z niejakim zdziwieniem. Wyjął piwo, otworzył i podał.

– Dalej tu sprzedajecie pizzę?

– Pizzę? Nie. Ale kiedyś tak. Ale to było dawno temu i jakoś nie było na nią chętnych. Chyba nie była zbyt dobra...

– Była w porządku.

– Przychodził pan tutaj? – ucieszył się.

– Tak. Pierdylion lat temu.

– No tak, to musiało być wtedy. Teraz sam tu sobie szefuję, odkąd bufetowa odeszła. Szkoda, wielka szkoda, no tak, jak pan sam widzi. Raczej pusto.

Powiedziałbym, że było zupełnie pusto, ale po co sprawiać mu przykrość.

– Mogę panu dziś zagwarantować jeszcze trzech klientów.

– Umówił się pan z kimś? Ale dlaczego tu?

– Z sentymentu, proszę pana.

– Ano, skoro tak. Czyli miło pan nas wspomina?

– Bardzo miło. – Przez moment jakiś diabeł kusił mnie, aby mu zdradzić dlaczego. Opowiedzieć mu o tych cyckach we wrześniu. Myślę, że spodobałaby mu się ta historia. Ale to nie był dobry pomysł. Chyba raczej powinienem opracowywać strategię rozmowy z Francem.

Przeszklone drzwi otworzyły się, a potem zamknęły. W słonecznej plamie zawirowały odrobiny kurzu. Nie był to Franc, tylko ona. Ubrana w krótkie spodenki, tenisówki i biały podkoszulek. To było déjà vu. Wyglądała prawie tak samo jak tamtego jesiennego dnia. Zrobiła to specjalnie? Jediną różnicę stanowiły te jej złote bransoletki, na które wtedy nie byłoby jej stać. Podeszła do baru i usiadła na wysokim stołku.

– Nie ma go jeszcze? – spytała, rozglądając się.

– Jest, schował się za barem razem ze swoim bratem. Chcieliśmy ci zrobić kawał. Mieli wyskoczyć, gdy wejdiesz, ale zapomniałem dać im znak.

– Zajebisty żarcik – skwitowała.

Barman ukradkiem zerknął pod swój bar, jakby naprawdę się spodziewał, że ktoś się tam ukrył.

– Nie, nie ma go i nie było – powiedziałem. – Może wcale nie przyjdzie.

–Widzę, że komuś zdążył się zepsuć humor – odparła i rzuciła do barmana rozkazującym tonem: – Dla mnie też piwo.

– Oczywiście. Pani też za młodu odwiedzała mój lokal?

Zmierzyła mnie piorunującym spojrzeniem.

– Nie pamiętam – odparła, a do mnie warknęła: – Czy ty każdemu, kogo spotkasz, opowiadasz o sobie wszystko? Chyba powinienes w takim razie przestać szukać osoby, która wyśpiewała nasz sekrecik. Pewnie sam opowiedziałeś go każdemu, kto chciał słuchać twojego labidzenia.

– Nie rób sceny. Przestraszyłaś pana.

– Ach, nie. – Barman się zaśmiał. – Nie chciałem być wścibski.

Prawie wyrwała mu butelkę z rąk i wypila parę łyków duszkiem, a ja popatrzyłem na faceta i westchnąłem:

– Baby!

– Ale jak tu ich nie kochać! – podjął barman. – Ta bufetowa to była babka!

Prychnęła, opluwając podłogę i oblewając się piwem.

– No tak, ciężko z nimi, ale bez nich jeszcze gorzej! – kontynuowałem tym samym umordowanym tonem.

– Wszystkie takie same! – Barman też przyjął znękaną pozę. – Ciągle z czegoś niezadowolone.

– Na babę to wie pan, jaki jest najlepszy sposób, wie pan, nie? – Mrugnąłem do niego, a on zarechotał. – No i twardo trzeba, bo inaczej szanować nie będzie.

– No tak. No tak. Nie inaczej. Pani wybaczy. Chyba nie wypada, żeby dama słuchała takich rzeczy.

– To nie jest żadna dama, drogi panie, tylko kawał wrednej baby. Pacz pan, co ona się tam tak kuli tyłem do nas. Ejże, babo! Wie pan, jak mówią: jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije...

Wybiegła z lokalu, zalewając podłogę piwem.

– Oj, dostanie mi się teraz – poskarżyłem się barmanowi, gdy drzwi za nią trzasnęły, ponownie podnosząc tumany kurzu.

– To pańska kobita?

– A gdzie tam, panie, uchowaj! Nie moja. Kolegi.

– No to przynajmniej tyle. A nic jej nie jest? Tak nagle wystrzeżiła.

– A nie wiem. Pójdę sprawdzić, bo z babami to nigdy nie wiadomo.

Wyszedłem na zewnątrz na skwar. Siedziała na ławie i chichotała z załzawionymi oczami, które bezskutecznie wycierała grzbietem dłoni.

Koszulkę z przodu miała zalaną piwem, jakby się szykowała na wybory miss mokrego podkoszulka. Pomyślałem, że może lepiej będzie wrócić do środka i jeszcze sobie chwilę pogawędzić z barmanem.

– Wytrzymaj sobie zasmarkany nos. – Sięgnąłem po leżące na stoliku poźółkłe serwetki i podałem jej. Wytarła twarz, a potem wyjęła lusterko i zaczęła poprawiać rozmazany makijaż.

– Nie wracajmy do środka – poprosiła – coś czuję, że jak tylko spojrzę na tego barmana, to się zacznie od nowa.

– Porządne chłopsko. Pogadaliśmy sobie o babach. Tak od serducha. On się w tej bufetowej skrycie buja, powiem ci.

– Przestań. – Usta znowu zaczęły jej drgać.

– Bufetowa.

– Dosyć.

– Bufetowa opierdala seromak. – Byłem bezlitosny.

Dobiłem ją tymi słowami. I siebie przy okazji. Taka cena. Ale poczucie humoru to się jej od czternastu lat nie zmieniło: bufetowa, serducho, seromak – i już się pokładała ze śmiechu.

– Dobra, koniec tych wygłupów – powiedziała, gdy udało jej się opanować. – Trzeba rozkminić, jak to rozegramy z Francem. To ty go znasz. Ty wiesz, co to za człowiek.

– Król go dobrze podsumował. Głupi frajer, tchórz i mięczak. A do tego dosyć pazerny.

– To daje spore pole manewru. Znakomite cechy.

Rozważyliśmy kilka opcji. Strategia, którą ostatecznie postanowiliśmy obrać, była, łagodnie mówiąc, szalona. Wszystko zależało od tego, czy wiarygodnie zagramy nasze role i czy kuzyn Angie nadal jest taki głupawy. Czas na wątpliwości skończył się jednak, zanim zdążyłem na dobre przejąć się niedorzecznością naszego pomysłu. Od strony drogi zbliżał się Franc. Musiał zaparkować w jakimś przyczajonym, oddalonym od knajpy miejscu. Janusz szedł kilka kroków za nim. Starszy brat był wysoki, szczupły i wąsaty. Młodszy był o wiele niższy, ale też wąsaty. Żaden nie wyglądał na typowego mieszkańca Osiedla. Sprawiali wrażenie zupełnie zwyczajnych. Franc rozejrzał się ostrożnie, Janusz zrobił to samo i dopiero wtedy do nas podeszli.

– Czyli to prawda, że wróciłeś, Profesorze.

– Jak widać. Cześć, Franc. Cześć, Janusz.

Janusz skinął głową, ale milczał, nie przestając się rozglądać. Bał się chyba jeszcze bardziej niż jego brat.

– O co chodzi? – spytał nerwowo Franc. – Przyszedłem tylko dlatego, że ta szpicłowa powiedziała, że masz dla mnie interesującą propozycję.

– Tak, Franc – odezwała się. – Mogę się tak do ciebie zwracać?

– Niech będzie. Co mi tam.

– A więc, Franc, nadal interesuje cię Osiedle? – spytała poważnie.

– W sensie? – Momentalnie stał się bardzo podejrzliwy.

– Chcesz odzyskać to, co ci się należy? – powiedziała dobitnie.

– Należy się Angie – stwierdził Franc wspaniałomyślnie.

– O niej porozmawiamy później – wtrąciłem. – Ona nie chce Osiedla, tyle ci powiem.

– Wszystko jedno. – Wzruszył ramionami i popatrzył sceptycznie w jej stronę. – To jest przegrana sprawa. Opiekun wyznaczył nagrody za nasze głowy. To kompletny szajbus. Nie będę szedł z nim na wojnę.

– Czyli tobie nie zależy – podsumowała, zerkając na niego dosyć obojętnie. – No to szkoda. Mogłam spytać przez telefon, to byśmy wszyscy zaoszczędzili sobie czasu.

Zapaliła szluga i odwróciła wzrok, jakby rozmowa była skończona. Franc patrzył na nią niepewnie. Potem spojrział na mnie.

– O co jej chodzi? Co to za plan?

– Przecież cię nie interesuje – odparłem. – Mówiłem jej od początku, że ty się nie mieszasz. Nigdy się nie mieszałeś. Już prędzej Angie się nadaje.

Franc drgnął i spuścił wzrok na swoje niezbyt czyste paznokcie. Potem podniósł głowę i zapytał, wskazując na nią palcem.

– Można jej ufać? Ufasz jej?

– Tak.

– Mimo że się buja z psiarnią? I pieprzy z inspektorem policji?

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i zwróciła się do mnie:

– Mówiłeś, że Franc jest tchórzliwy, ale ma klasę, a ja widzę, że maniery ma tylko odrobinę lepsze niż jego wykastrowany kuzyn.

– Nie porównuj mnie, kobieto, do tego psychopaty.

Ale ona tylko wydmuchała dym, nadal siedząc bokiem do Franca.

– Dobra, załóżmy, że mnie interesuje Osiedle – powiedział w końcu znacznie grzeczniejszym tonem.

– Słuchaj, Franc, nie jestem konsultantką Avonu – powiedziała opryskliwie. – Nie przyszedłam tu prezentować ci ofertę, na którą ty się zgodzisz albo nie. Albo zaczniesz grymasić...

– Ale skąd mam wiedzieć, na co się godzę...? Kobieto, bądźże rozsądna.

– No, nie wiem. Co ty o tym myślisz, Profesorze? – spytała mnie.

– Dawno mnie nie było – odparłem niechętnie – ale chyba nie mamy innych kandydatów. No, chyba że Angie...

Wzmianka o Angie znowu go wyraźnie zaniepokoiła.

– No więc dobrze, Franc – powiedziała w końcu i odwróciła się do niego. – Sprawa jest taka. Tylko jak piśniesz komuś słowo, to cię znajdę i urządzę lepiej niż Króla zrobili pod celą. Mam wymenić, co mu teraz dolega albo czego mu najbardziej brakuje? Bo pewnie najmniej to tego łąpska, które wpychał nie tam, gdzie trzeba – powiedziała to tak, jakby Król został zmasakrowany na jej polecenie.

– Dobra, już dobra. – Franc bardzo nie miał ochoty słuchać o więziennych przygodach Króla.

– Rozumiemy się? Doskonale. No więc akcja jest taka. Jak wiesz, Franc, bo już zresztą popisałeś się tą wiedzą, mój narzeczony jest inspektorem. Dostał pewne ściśle tajne zadanie. Dotyczy całkowitej likwidacji Osiedla w tej formie, w jakiej je znamy. Mój narzeczony ma teraz dwie opcje. Albo w ciągu kilku miesięcy wstawi w miejsce Opiekuna kogoś normalnego, kto nie będzie zagrożeniem dla całego miasta, albo cała dzielnica zostanie wysadzona w powietrze.

Dobrze, że Franc nie widział swojej miny.

– Ale... to niemożliwe – wydukał. – Cała dzielnica? Z ludźmi?

– Oczywiście, że nie z ludźmi! – Popatrzyła na niego jak na kretyna. – Za kogo ty uważasz naszego prezydenta? Za Pol Pota? To nie będą czystki ani



działania terrorystyczne, tylko urbanistyczne.

– Jakie działania?

– Urbanistyczne – powiedziała głośno i dobitnie. – Całkowita metamorfoza Osiedla. Od zera. Nowe eleganckie bloczki, place zabaw, małe gaje, szkoły i przedszkola, ogródki jordanowskie i inne cuda na kiju. Nowy wspaniały świat, Franc!

– A co z ludźmi?

– Wyprowadzą ich wojsko i policja. Dostaną lokale zastępcze. Tylko widzisz, to jest ta kosztowniejsza opcja. No i jest obawa, że Opiekun nie da się tak po prostu ewakuować. Zabunkruje się w wieżowcu. Zaczną się zamieszki. Mogą zginąć tak zwani niewinni ludzie. W Dzienniku pokażą rzeź niewiniątek. Zrobi się z tego siara i syf na cały kraj! Cały naród będzie patrzył, jak urzędasz z Krakowa nie radzą sobie z jednym osiedlowym bandziorem. Polecą głowy z najwyższego szczebla. Dlatego mój narzeczony, którego kariera przez to wasze zasrane Osiedle wisi teraz na włosku, chciałby to zrobić inaczej. Uporać się najpierw po cichutku z Opiekunem i jego najniebezpieczniejszymi ludźmi. Równocześnie pojawiłbyś się ty i zebrał hołdy za całą akcję wśród waszych ludzi. Zacząłbyś swoje łagodne rządy. I dopiero jakiś czas później, gdy ludzie się już uspokoją, dokonalibyśmy eksmisji całego Osiedla z twoją pomocą. Kogo jak kogo, ale swojego wybawiciela chyba posłuchają. Nic się nie bój, na wszystkich czekają bardzo przyzwoite lokale. No a dla ciebie naturalnie coś ekstra. Mamy dla ciebie, Franc, piękną szeregóweczkę, z której będziesz sobie mógł nadal zarządzać Osiedlem, tyle że przeniesionym w bardziej dogodne miejsce, w którym nie można budować fortecy i się barykadować. No i jak ci się podoba ten plan?

– Ryzykowny.

– Taka jest cena największych zaszczytów, Franc. Odrobina ryzyka.

– Chcecie zrobić ze mnie konfidenta? – spytał nieufnie.

– A skąd. Będziesz tam sobie robił, co będziesz chciał. Nikt ci nie będzie patrzył na ręce. To jest tak zwane mniejsze zło. Ty jesteś tym mniejszym złem. Wydajesz się rozsądny, Franc. Będziesz wiedział, ile ci wolno. A Opiekun to psychol, jego ludzie to też banda psycholi, trzeba ich usunąć, bo policja i urzędasz i tak mają słabe notowania wśród ludu. Po mieście

hula Rzeźnik, na Osiedlu Opiekun zabija każdego, kto mu się nie spodoba. A na Wiśle kwaterę główną urządził sobie ten pomiot Hrabiego. Do niej zresztą bierzemy się w następnej kolejności. Nie bój nic, Angie nie damy skrzywdzić. Profesor ją lubi. I ja ją lubię.

– No dobra. – Ten biedny idiota podjarał się jak dziecko. – Wchodzę w to!

– Franc – po raz pierwszy odezwał się Janusz. Ona popatrzyła na Janusza tak, jakby dopiero go zauważyła. – Przemyśl to jeszcze.

– A ty co? – spytała. – Inspicjent?

– Janusz, miej chociaż raz jaja! – rzuciłem z pogardą. – Tobie też co nieco wpadnie. Tylko się wcześniej nie zesraj ze strachu.

Janusz zerwał się wściekły, ale Franc usadził go z powrotem.

– Nie wtrącaj się, młody.

– Będziesz tego żałował – zawołał histerycznie młodszy brat. – Profesor kręci. A o niej nic nie wiesz, poza tym że trzyma z psiarnią.

– Coś tam wiem. Profesor za nią poręczył. Przecież by nie poręczył, gdyby coś tu cuchnęło, bo zna zasady.

No cóż, robiłem dokładnie to, czego obawiał się Janusz. Poręczałem za jakąś wyssaną z palca historyjkę, która śmierdziała na kilometr. Może byłby to błąd, gdyby Franc miał jeszcze jakiegokolwiek wpływu. Ale dziś jego pozycja była żadna.

– Tak, ręczę za nią – powiedziałem i stanąłem obok niej, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Tak samo jak wam zależy mi na usunięciu Opiekuna, bo inaczej też dostanę czapę.

– Kiedy planujecie rozpocząć akcję? – spytał Franc.

– Damy ci znać. Ale nie wcześniej niż za miesiąc – powiedziała z uśmiechem, jakby dobiła świetnego targu. – Na razie to wszystko, co mogłam zdradzić. Miło mi było cię poznać. Cofam to, co powiedziałam o podobieństwie do Króla. Zupełnie go nie przypominasz.

– Trzymajcie się, chłopaki – pożegnałem ich.

Już odchodzili, kiedy zawołała za nimi:

– Jeszcze jedna rzecz. Zapomniałabym.

Odwrócili się. Franc zniecierpliwiony, a Janusz przestraszony. Obaj bardzo chcieli już odejść.

– Domyślasz się, że osaczenie Opiekuna nie będzie prostą rzeczą. Pracuje nad tym sztab ludzi. Potrzebujemy znaleźć jakiś jego słaby punkt.

– Tu nie pomogę. Nic o nim nie wiem.

– Tak, już to słyszałam. Jest nie do wyśledzenia. A ta jego żona, jak jej tam, Sophie? Równie tajemnicza jak on...

– Sophie? Tajemnicza? Wcale nie – zaprotestował Franc. – No, ale w sumie tak, może się tak wydawać, że jest znikąd, tak samo jak Opiekun. Ale ona jest osiedlowa, tyle że nie mieszkała u nas nigdy, tylko z matką gdzieś na peryferiach. Ta jej matka sporo czasu spędziła u czubków. Potem umarła. A po jej śmierci Sophie nie zamieszkała z ojcem na Osiedlu, tylko trafiła do jakiegoś domu opieki. Pojawiła się u nas już jako żona Gabriela, więc nikt nawet nie wiedział, jak się wcześniej nazywała.

– A jak się nazywała? – spytałem, mając nadzieję, że nie widać, jak bardzo mnie to interesuje. Ona patrzyła na Franca z umiarkowaną uwagą, paląc spokojnie papierosa.

– No, Kazan. Sophie Kazan.

Jej chyba nic to nazwisko nie powiedziało, ale ja nie byłem w stanie ukryć zaskoczenia.

– To córka Mentora?

– Tak. Swoją drogą, to trochę dziwne, że ją oddał komuś takiemu jak Opiekun.

Ta informacja rzuciła nieco światła na całą tę historię. Oczywiście już było, na przykład, dlaczego Mentorowi tak zależało, by Greta wyszła za Opiekuna. Chciał ustrzec swoją córkę przed tym losem. Ciekawe, czy to on pomógł jej w ucieczce.

– Sophie dała nogę, Franc. Rozpłynęła się w powietrzu – powiedziałem. – Gdybyśmy ją mieli, to by nam bardzo ułatwiło sprawę.

Franc patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Mam się jaśniej wyrazić? – spytałem. – Jeśli wiesz, gdzie jest Sophie, powiedz nam to teraz. Cokolwiek planowałeś, i tak jest już nieaktualne. Mamy przecież nowy plan.

– Nie mam z tym nic wspólnego! Jak miałbym ją niby wykraść Opiekunowi sprzed nosa? Była pilnowana dzień i noc, a ja, jak widzicie, zostałem sam z bratem.

– Musimy ją odnaleźć i namówić do współpracy – westchnęła – bo inaczej to wszystko o kant dupy rozbić.

– Nie umiem wam pomóc. Ale jedno wam powiem. Nie zrobiła tego sama. Osiedle to teraz twierdza z czujkami na każdym rogu. Znamy dobrze dzielnicę, a ledwo udało nam się nawiać. Ona jest kobietą i nie orientuje się w tym terenie. Ktoś musiał jej pomóc. Może nawet kilka osób.

– Sophie nie zniknęła z Osiedla, tylko z barki na Wiśle.

– Wszystko jedno. Pierwszy lepszy nie wykradłby Opiekunowi żony. A sama nie uciekłaby daleko.

W dodatku bez pieniędzy i bez przydatnych znajomości, nie licząc jej wiernego ochroniarza, pomyślałem. Nagle Franc się odezwał:

– Chyba musisz szukać bohatera, który pomógł jej z jakichś romantycznych powodów. Widziałeś ją. Jest naprawdę piękna. Oszalamiająca...

– Tak. Prawie nierealna.

– Właśnie. Dobrze to ująłeś – ochoczo zgodził się Franc. – Zbyt piękna. Taka kobieta to zawsze tylko kłopoty. Już jako dziecko taka była. Raz ją widziałem. Śliczna dziewczynka. Naprawdę czarująca.

Helena Trojańska. Taka chyba była Sophie. Katalizator złych zdarzeń.

Obserwowaliśmy, jak odchodzą, i czekaliśmy, aż będą wystarczająco daleko. Gdy zniknęli za drzewami, w końcu spytała:

– Mentor to ten dziad, co doradza adminowi?

– Tak.

– Myślisz, że on jej pomógł? Co to za typ człowieka?

– Inteligentny, ale teraz już prawie zupełnie pozbawiony przywilejów. On nie ma żadnego wpływu na to, co robi Gabriel. Jeśli jej pomógł, to też nie sam. Jest stary i ma artretyzm albo parkinsona. Ta akcja na łodzi była naprawdę dobrze zaplanowana. Sophie rozpląnęła się w biały dzień. Mentor mógł być autorem planu, ale na pewno nie jego wykonawcą. Sam nie

ochroniłby Sophie na dalszych etapach ucieczki. Poza tym kilka rzeczy się nie zgadza. Kojak uważa, że Mentor od początku popierał Opiekuna i między innymi dlatego ludzie zaakceptowali admina znikąd. Z drugiej strony Mentor wydawał się przerażony tym, że Opiekun chce poślubić jego córkę. Jeśli pomógł jej w ucieczce, to dlaczego potem namówił go, aby zaangażował mnie do szukania Sophie?

– Może uznał, że i tak jej nie znajdziesz. Przecież ty zupełnie się nie nadajesz do tej roboty. – Parsknęła śmiechem, czym ostatecznie przypieczętowała swój los. Czekał ty, pomyślałem, jeszcze cię ta pycha zgubi. – Ale ty okazałeś się rozsądnym chłopcem i zwróciłeś się do eksperta.

Ogromnie ją to bawiło. Nie znałem drugiej osoby, która miałaby na swój temat tak wysokie mniemanie, a na dodatek mówiła o tym otwarcie i bez odrobiny zażenowania. Urocza cecha. W końcu się zreflektowała.

– Sorówa, stary. Zapomniałam, jak cię to przeraża. Możemy się siłować na rękę. Na pewno wygrasz. Powróci równowaga i będziemy się mogli zabrać do tego Mentora. Pojedziemy na Osiedle i przyciśniemy go. Ty będziesz go bił, a ja będę zadawała pytania. Chętnie przy okazji poznam też tego całego Opiekuna.

Tylko tego brakowało. Znudzona i pozbawiona swojej ulubionej rozrywki, czyli gmerania w brudach i patologii, była tak zła i wściekła, że stawała się zagrożeniem dla siebie i dla mnie.

– Nie pojedziesz na żadne Osiedle. Możesz dedukować z za swojego biurka.

– Spróbuj mi zabronić. Chciałabym to zobaczyć – prychnęła.

Znałem ten jej tępy upór, o który rozbijał się każdy racjonalny argument.

Usiadłem blisko niej na ławie. Odsunęła się odrobinę.

– Zastanów się, czy ty naprawdę tego chcesz? – poprosiłem łagodnym tonem.

– Jechać na Osiedle? Chyba jasno się wyraziłam.

– Wiesz, że nie o tym mówię. I nie mam czasu na twoje gierki.

– O czym ty mówisz?

– No proszę cię, już nie udawaj! – Uśmiechnąłem się do niej tym uśmiechem dla bab i dźgnąłem ją palcem w ramię. – Flirtujesz ze mną. Ale czekasz, żebym to ja zaczął? I zdjął z ciebie odpowiedzialność za ten grzeszek? Dlatego mnie prowokujesz.

– Pojebało cię? Wiesz, co ty do mnie mówisz? – spytała ze złością, odpychając mnie. Zaśmiałem się, jakby to była część gry. To jeszcze bardziej ją wkurzyło. – Czemu wszystko psujesz? Teraz, kiedy w końcu może być między nami normalnie.

– Dla mnie też to napięcie jest nie do zniesienia – bredziłem. – Nigdy nie przestanie między nami iskrzyć. To jest chemia, moja droga, i nic się na to nie poradzi...

– Odsuń się, bo dam ci w ryj – warknęła.

– Wiesz, co mnie jara. – Przysunąłem się tak blisko, że teraz już dotykałem jej ciała. Czułem bijący od jej skóry żar. I owocowy, słodki zapach perfum. Od lat nie byliśmy tak blisko. Zaczerwieniła się jak nastolatka. Po plecach spłynęła mi strużka potu. – Nadal mi nie ufasz, boisz się mnie i nic dziwnego. Dobrze, wezmę to na siebie.

Położyłem dłoń na wewnętrznej stronie jej gorącego nagiego uda i przesunąłem w górę, równocześnie pochylając się, aby ją pocałować. Odsunęła się i odskoczyła.

– Ty skurwysynu! – wysyczała i uderzyła mnie mocno w twarz.

Zabrała swoje rzeczy i odeszła bez słowa, obrzucając mnie pełnym niedowierzania spojrzeniem. Po chwili usłyszałem, jak odjeżdża z piskiem opon. Patrzyłem w ślad za oddalającym się w tumanach kurzu czarnym samochodem. No, to na razie miałem ją z głowy. Chociaż pewnie niedługo zacznę się zastanawiać, czy nie odstawiłem tej scenki właśnie po to, aby się jej pozbyć. Czasu było więc niewiele.

„Whenever I’m down  
I call on you my friend  
A helping hand you lend  
In my time of need”.

*My friend*

GROOVE ARMADA

(SŁOWA: KEITH EDWARD CROUCH)

Nie wróciłem do domu, tylko pojechałem na Osiedle, zdeterminowany, by tym razem odszukać Mentora i wycisnąć z niego wszystko, co wie, bo być może była to najprostsza droga do znalezienia jego córki. Zadzwoiłem wcześniej po Kojaka. Czekał na mnie przy wejściu na działki. Była godzina szesnasta trzydzieści.

– Coś mi się zdaje, że przyjechałeś na darmo – powiedział, gdy podaliśmy sobie ręce na powitanie i ruszyliśmy ścieżką przez ogródki. – Nikt go nie widział. Popytałem dyskretnie wśród chłopaków. I nic. Wiesz, co to najprawdopodobniej oznacza?

– Wiem. Ale nie odjadę dziś stąd bez chociażby strzępka informacji.

– Chcesz zrobić włam? – zainteresował się Kojak.

– A jak!

– A tak! – ucieszył się. – Jak za dawnych lat. Jak ja cię, kurna, znam, złodzieju!

To mówiąc, wyjął łom z nogawki szerokich gaci. Prawdziwy przyjaciel.

– Proste! Od bandyckiego żywota nie ma ucieczki, najwyżej krótkie wakacje – podzieliłem się refleksją. – A one się skończyły. Może nawet je zmyśliłem. Nie było żadnej wyspy. Nie było oceanu. Leżałem naćpany tuż

za granicą Osiedla, na jałowej ziemi, czekając na koniec urlopu. Umierając raz po raz. Aż mi przeszło. Poczułem się lepiej. Wstałem. Poszłem.

Gdy okazało się, że i tym razem nikt nam nie otworzy, otwarliśmy sobie sami. Byłem przygotowany na wszystko. Na smród rozkładającego się ciała Mentora. Na czającego się w środku żołnierza Opiekuna. Na ukrywającą się Sophie. Na kucharzy gotujących według tajnej receptury Judyma. Jednak w środku nie było nikogo. Dom składający się z salonu, dwóch sypialni, kuchni i łazienki wyglądał na opuszczony. Tak jakby Mentor nie zniknął dwa dni temu, tylko od wielu lat nikt tu nie mieszkał. Meble pokryte były grubym futrem kurzu. W sypialni na biurku stał rozbity monitor, komputera nigdzie nie było. Obok monitora leżała przewrócona zakurzona ramka na zdjęcie. Kojak odwrócił ją, ale ramka była pusta. W szafach wisiało niewiele ubrań. W biblioteczce ziały dziury po wyjętych książkach. Jedyne pojedyncze sztuki leżały porzucone byle jak na półkach. Czasem ludzie, wyprowadzając się, zostawiają za sobą niespecjalnie lubiane powieści, do których nie mają zamiaru już więcej wracać. Kojak wziął kilka z nich do ręki, obejrzał i odłożył na miejsce.

– Pożyczał nam książki – przypomniałem sobie.

– Ale chyba tylko ty je czytałeś – zaśmiał się Kojak. – A nie, jedną przeczytałem, bo tam było dużo dupczenia. Laska bez nóg nawet była. Pozaznaczałem te fragmenty zdjęciami gołych bab i Mentor się wkurzył.

Kojak przesunął wzrokiem po półce na książki, jakby szukał tamtej powieści.

– Może zamieszkał w bloku Opiekuna? – zasugerowałem.

– Nie wiem, stary. Może. Nikt tak naprawdę nie wie, co tam się dzieje.

– Tu w każdym razie dawno nikogo nie było.

Wyszliśmy, zamykając za sobą drzwi. I znowu skierowaliśmy się na działki. Gdy mijaliśmy Jabolową Chatkę, Kojak nagle zatrzymał się i powiedział:

– Chodź, pokażę ci coś.

Pchnął furtkę, która wyleciała z zawiasów i upadła w wysoką trawę. Przedzieraliśmy się przez chaszczę w kierunku Chatki. Podeszliśmy pod ganek. Tu siadaliśmy w ciepłe letnie wieczory, jaraliśmy pety, piliśmy



nalewki smakujące jak stara skarpeta żula i bawiliśmy się w ranczo. Dostyc szybko przestaliśmy się bawić, bo na Osiedlu jest się dzieckiem krócej niż gdzie indziej. Dalej tu jednak przyłaziliśmy. Dochodziły coraz to nowe używki: browary, wóda, klej, skun, feta, piguły, grzyby, kwasy, koks. No i dołączyły laski, które się zabierało na pięterko. A któregoś dnia i to ustało. Przestaliśmy tu przesiadywać. Teraz cały teren działek przejęli przez zasiedzenie bezdomni i kompociarze. Mieszkali tu latem, zamarzali zimą. Teraz też czuliśmy ich obecność w krzakach. Byli nieszkodliwi. Słabi, pijani albo naćpani.

– Zombie nie tykają Jabolowej Chatki – odezwał się Kojak.

Czekałem na jakieś dalsze wyjaśnienia, ale nie rozwinął kwestii. Kojak i jego tajemnice. Chyba nie miałem ochoty ich poznawać. Nigdy się nie dopytywałem. Mówił mi tyle, ile uznał za stosowne, i git.

Drzwi Jabolowej Chatki były otwarte, więc weszliśmy. Pełno tu było zniszczonych, połamanych gratów. Stół z dwiema nogami, krzesło z jedną, łóżko bez materaca.

– Skurczyło się tu – stwierdziłem.

– To ty urosłeś, stary.

– Ty to, kurwa, Kojak, jednak mądry chłop jesteś.

Usiadłem na krawędzi metalowego łóżka. Sprężyny skrzypnęły znajomo. Nie byłem na to przygotowany. Tyle rzeczy wyparłem. Nie dość skutecznie, a teraz było już za późno. Wtedy to łóżko miało materac w paski. W oknach wisiały firanki. Stół miał cztery nogi. Krzesło również. I było drugie do kompletu. Na stole stało białe wino. Nie najtańsze, za to ciepłe. I słodkie. Popielniczka z niedopaloną jointem. W pokoiku zapach skuna, za oknem zapach lata. Upał. Lepkość. Zlepione usta. Wilgotna, gorąca skóra. Nie chciałem jej tu pieprzyć, tak jak robiłem to wcześniej z innymi laskami. Ale ona chciała. Że taki hardkor. Zamiast siedzieć w szkole, chlejemy wino na działkach, jaramy skuna i pieprzymy się w miejscu, które udaje dom, a jest jakimś kurnikiem. Ale ona mówi na to dom, bo uważa, że dom jest tam, gdzie ona. Zupełnie inaczej niż ja. Dom jest tam, gdzie mnie nie ma.

– Ej, o czym myślisz? – Pytanie Kojaka wyrwało mnie ze stuporu, w którym zastygłem. Dziwnie mi się przyglądał. Zapadła cisza. Kątem oka zobaczyłam, jak któryś zombie przemyka między drzewami.

– Wiesz, stary, że nie byłem tu od czternastu lat...

– Byłeś tu z nią? Niepotrzebnie cię tu zabrałem.

– Ty też tu byłeś – przypomniałem sobie. – Ona była pijana i zjarana i udawała, że to nasz dom i że urządzamy przyjęcie. Miała komórkę, taki lans w dziewięćdziesiątym siódmym, i zadzwoniła do ciebie. Zaraz przyszedłeś na to przyjęcie.

Popatrzył na mnie z niepokojem:

– Chłopie, o czym ty mówisz, niczego takiego nie było...

I wtedy przypominam sobie. Ona wyjmuję komórkę i chce dzwonić po Kojaka. Ale ja zabieram jej telefon i mówię, że to zły pomysł. Chce wiedzieć dlaczego, ale akurat tego nie mogę jej powiedzieć. Czuję wstyd i strach. Bo nagle powraca do mnie inny wieczór, który zdarzył się rok przed tym, zanim ją poznałem. Co to wtedy było? Pewnie wódka i piguły. I dużo ludzi, którzy nagle zniknęli. I zostaliśmy tylko my.

– O czym myślisz? – znowu zapytał mnie z niepokojem.

– Kiedy oni poszli?

– Jacy oni? To my chodźmy stąd. To nie był dobry pomysł.

– Chciałeś mi coś pokazać.

– A, tak, ale w sumie to nie jest takie ciekawe.

– Skoro już tu jesteśmy, to mi to pokaż – powiedziałem, a raczej wycedziłem. Poczułem, jak ogarnia mnie wściekłość. Skąd ta wściekłość?

– To nic takiego – mruknął niewyraźnie. – Teraz wydaje mi się głupie. Człowiek się robi sentymentalny z wiekiem...

– Sentymentalna podróż – stwierdziłem. – Szkoda, że nie mamy skuna albo wódki, albo pigułek, tych, wiesz, naszych Proustowskich magdalenek!

Patrzył na mnie niepewnie.

– No, chyba że coś masz – zasugerowałem.

– Przecież tego nie robisz.

– A tam, nie robię! Zresztą czego nie robię? Czego dokładnie według ciebie nie robię?

– Bredzisz.

– No i co tam masz?

Nie spuszczać ze mnie wzroku, Kojak powoli kucnął. A ja zrobiłem krok w jego kierunku i patrzyłem teraz na niego z góry. Wyrwał jedną z obłuzowanych desek. Pochylił się i zaczął grzebać w dziurze pod podłogą. W końcu wyjął zardzewiałą puszkę nie wiadomo po czym. Usiadł na ziemi, a ja usiadłem naprzeciwko niego. Odkręcił wieczko. Wsunął rękę do środka i wydobył zawiniątko. Odwijał materiał z namaszczeniem, jakby odprawiał rytuał. Gdy skończył, pomiędzy nami leżało pudełko. Otworzył je i spojrzał na mnie. W środku znajdowały się dwa dilpaki. W jednym jaranie, w drugim piguły.

– No i miałem rację – powiedziałem z satysfakcją. – I co teraz?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Taki *blast from the past*.

– Aha, nic. Po prostu mi to pokazujesz. Jak stare są te gadżety?

– Nie są stare. Po prostu sobie je tu przechowuję.

– Taki z ciebie po prostu sentymentalny gość.

– Odpierdala ci, przyjacielu.

– Dobra, dawaj pigułę – warknąłem. – Wyciągaj bletki. Skręcimy sobie lolka, zarzucimy kulkę i wtedy zobaczymy.

– Niby co zobaczymy?

– Odbędziemy sobie sentymentalną podróż. Przecież to właśnie robimy, odkąd wróciłem. I teraz chyba nadszedł czas na punkt kulminacyjny. Bohaterowie biorą narkotyki i jeb, jeb, przeszłość przypierdala im zniecka. A potem to różnie może być.

– Ty się chyba już naćpałeś.

– Miewam flashbacki. Ale przecież już tego nie robię. Tylko dziś. Ze starym przyjacielem. Nie liczy się. Z przyjacielem się nie liczy. Dawaj.

Wyciągnąłem otwartą dłoń w jego kierunku.

– Nie.

– Jak to: nie? Jak to, kurwa, nie? Przecież tego właśnie chcesz? Masz mnie za idiotę? – Chwyciłem go za rękę, w której trzymał dilpaka z pigułkami. Przez chwilę trwaliśmy w bezruchu, a potem wykręciłem mu dłoń. Dropsy wysypały się i potoczyły po podłodze. Część powpadała w szczeliny.

– Patrz, co, kurwa, narobiłeś! – rozzłościł się Kojak.

Nie słuchałem go. Zbierałem uciekające piguły.

– Ile wtedy wdupcyłem? Nie pamiętam. No, ile? Wcześniej waliliśmy banie. To znaczy, ja na pewno, bo ty to nie wiem. Może tylko przykładałeś ryj do butelki. Hm? Jak to z tobą było?

– Chodźmy stąd – poprosił. – Mam takie wrażenie, jakby ktoś tu kiedyś umarł.

– Nie pierdol mi tu, Kojak. Potem powiedziałeś: „Zarzućmy piksy”, a ja, że super, wiadomo. Ile ich wdupcyłem? Jedną? – spytałem i od razu wrzuciłem sobie jedną do ust. – Chyba więcej. W końcu to ja. Na bank co najmniej dwie. – Wrzuciłem następną. – W tamtych czasach dwie piguły to było w sam raz. No, góra trzy. – Wrzuciłem trzecią. – Ale ty, zdaje się, wolałeś mieć pewność. Powiedziałeś, że są słabe.

– Niczego takiego nie mówiłem – zaprotestował.

– A więc jednak coś pamiętasz! Czekaleś, aż sobie pójda. A potem, aż będę nakurwiony jak dziwka i nie odmówię kolejnej. Nigdy nie potrafiłem odmawiać. – Wsadziłem sobie do gęby jeszcze jedną.

– Wypluj to. To drosy Judyma. Nigdy ich nie brałem.

– I na tym polega cała *fun*. – Zwiesiłem głowę i siedziałem tak, gapiąc się w podłogę.

– Co robisz? – spytał zrezygnowany.

– Czekam, aż zaczną działać.

– Wyrzygaj je.

– Co, boisz się?

– Co ty chcesz osiągnąć?

– Gównu, przyjacielu. Chcę sobie przypomnieć. Czekam. A potem nie wiem. Może pójde przeruchać swoją matkę, bo hej! Czemu nie? Boisz się, przyjacielu?

– Będziesz tego żałował.

– Prawda nas wyzwoli. Chcę sobie przypomnieć.

– Co chcesz sobie przypomnieć?

Zerwałem się i złapałem go jedną ręką za szyję. Kolanem przycisnąłem mu dłoń do podłogi. Drugą rękę wykręciłem mu na plecy.

– Co? Co? Ty pieprzona cioto w osiedlowej skórce. Chcę, kurwa, wiedzieć, co tu się wydarzyło po tym, jak już wypiliśmy samą butelkę wódki i nakarmiłeś mnie pigułkami. Lubisz to? Tak jak teraz robię? Stoi ci? Co było potem, pedale? Co zrobiłeś?

Nagle udało mu się wyrwać jedną rękę. Kolanem kopnął mnie w krocze. A gdy na chwilę mnie zamroczyło i rozluźniłem chwyt wokół jego szyi, pchnął mnie z niespodziewaną siłą. Upadłem na łóżko pozbawione materaca. Sprężyny skrzypnęły.

– Nic nie było, debilu! – ryknął. Stał nade mną czerwony z wściekłości, zaciskając pięści. – Nic ci nie zrobiłem! Serio uważasz, że mógłbym cię naćpać i zgwałcić? Tak uważasz? Znamy się od podstawówki, szmaciarzu, a ty masz mnie za kogoś, kto upija swojego najlepszego kumpla, odurza narkotykami, a potem jebie nieprzytomnego w dupę? Tak? Tobie się chyba na mózg rzuciła ta patologia, w której brałeś udział. Ale wiesz, że nie wszyscy tak mają? A teraz proszę, czekaj na swoją fazę, człowieku. Poczekam z tobą. Lepiej nawet, pomogę ci. Prawda cię wyzwoli.

Podszedł do mnie. Wciąż leżałem na tym rozwalonym łóżku, na tych sprężynach, które teraz skrzypiały: zawróć. Usiadł obok i zaczął mówić:

– Była wiosna. Mieliśmy piętnaście lat. Byliśmy tu, w tym domku, piliśmy wódkę. Było trochę ludzi. Powiedziałeś mi, że Burmistrz ma drospsy i żebyśmy sobie zarzucili. Czemu nie? Oczywiście nie miałeś kasy. A ja miałem z akcji. Narzekałeś, że nie masz. Jak zwykle. No to co miałem robić? Wiadomo, że cię tak nie zostawię, bo na chuj mi faza bez kumpla. Doskonale o tym wiedziałeś, bo to była jedna z tysiąca takich akcji.

– Chyba, kurwa, trochę przesadzasz.

– Chyba, kurwa, jednak nie. Prawda cię wyzwoli, stary. Słuchaj dalej. Wzięliśmy najpierw po jednej. A ty potem zniknąłeś mi z pola widzenia. Burmistrz ogarniał wtedy tablety na jakieś grubsze melanże i miał ich cały wór. Wziąłem od niego dziesięć, żeby mieć na zapas. Burmistrz mnie spytał, czy teraz będziemy je czesać. Ja, że pewnie tak. On pyta, czy jestem pewien, że to dobry pomysł. I że ty jesteś nakurwiony jak działo i czy wiem, że taka jedna brzydka laska opierdala ci właśnie pęto za chatą. No i co z tego, pytam. On, że nic. Burmistrz nie jest debilem. Chociaż ty pewnie myślisz, że jest. Bo dla ciebie każdy, kto nie czytał Prousta, jest debilem. Tak było i tak jest, i nie kłam mi, że nie. Burmistrz mówi,

żebyśmy w takim razie poszli z nim na domówkę gdzieś tam. Uznałem, że ma rację. Ludzie zaczęli się już rozchodzić. Do domku weszła ta brzydka laska, co ci chwilę wcześniej loda robiła. Taka Basia Kutasia. Pamiętasz ją?

– Nie.

– Proste, że nie pamiętasz. Spytałem ją, czy wie, gdzie jesteś, a ona, czy ty masz dziewczynę. Burmistrz tylko parsknął i mówi do niej, żeby sobie dała spokój, bo z ciebie jest kawał chuja i tyle.

– Dobry kolega – skwitowałem, chociaż naturalnie miał rację.

– Dobry. Co prawda, nie dla ciebie. Ale dobry. Tymczasem pijana Kutasia zaczyna beczeć. Dociera do niej, że z tego loda nie będzie miłości. Wygląda teraz naprawdę fatalnie. Pyta nas, czy uważamy ją za szmatę. Burmistrz chce odpowiedzieć na to pytanie, ale udaje mi się go powstrzymać. Wtedy czuję, że piguła zaczyna wchodzić i że jest mocna. On, że idziemy. Ja, że chcę na ciebie poczekać. On, że mnie pojebało i że ty już pewnie dawno na Madagaskarze. Nie słucham go. Nie chcę tego słuchać. Burmistrz bierze Basię Kutasię pod ramię i wychodzą z domku. I wtedy zjawiasz się ty, przyjacielu. Chcesz słuchać dalej?

– Bardzo dokładnie to pamiętasz.

– Są rzeczy, które po prostu pamięta się z dokładnością co do gestu. Nie zagaduj mnie, bo przechodzę do punktu kulminacyjnego, którego tak chciałeś. Czy może mam poczekać, aż ci te piguły wejdą?

Otworzyłem dłoń, na której leżały wszystkie cztery dropy.

– Nie wziąłem ich.

– I co teraz?

– Nic. Mów dalej.

Nie potrzebowałem tablet, żeby kolejne drzwi w mojej pamięci otwierały się jedno po drugim.

– Spytałeś mnie, gdzie wszyscy poszli, a ja, że na domówkę, więc też tam chodźmy. A ty, że ci się nie chce i ile mam jeszcze tych tablet. Pokazałem ci, oczywiście chciałeś więcej. Nie podobało mi się to, ale nie mogłem ci nie dać, bo zacząłeś strasznie narzekać, że po jednej słaba faza i że to w ogóle bez sensu. Zjadłeś...

– Cztery – odparłem bez wahania.

– Tak. Ja też. Leżałeś tu, stary, tak jak teraz...

Kojak siedział obok, a ja przypominałem sobie już wszystko. Tak jak to powiedział – z dokładnością co do gestu. Zmuszanie go, by opowiadał dalej, byłoby niepotrzebną torturą. To on chciał wtedy pójść. Ale ja doskonale się bawiłem. Nie tylko wtedy. Zawsze wiedziałem. Wykorzystywałem go. Wiedziałem, że mi niczego nie odmówi. Browara, drina, jointa, narkotyków, pomocy. Czasami nie wytrzymał i się wkurwiał. Wtedy odpuszczałem. Byłem miły. Nawet browara kupiłem. Chciałem wierzyć, że to jest właśnie przyjaźń, ale gdzieś w głębi myślałem o nim pobłaźliwie. A on raczej się nie skarżył. Więc byłem pewien, że widocznie sama moja obecność jest dla niego wystarczającą nagrodą.

Ale wtedy posunąłem się za daleko. Powiedziałem, że nigdzie nie idę, ale jeśli chce, to może iść sam, bo wiedziałem, że nigdzie się beze mnie nie ruszy. No i nie poszedł. Zaproponowałem, żeby sobie siadł obok. Zrobił to. Ja leżałem. Powiedziałem mu, jak bardzo mi weszła faza, i spytałem, czy jemu też. Jemu też. Ten stan był obezwładniający. Najmocniejszy. Za mocny. Dodałem, że jebać tamtych, to nie są prawdziwi przyjaciele, i że teraz jest naprawdę fajnie. A poza tym trochę się boję i nie chcę patrzeć na ludzi. On, żebyśmy wyluzował, to wtedy *badtrip* minie, żebyśmy się nie wkręcał i o tym nie myślał. Ja, że mam nadzieję, że nikt tu nie przyjdzie. I ciekawe, co by sobie pomyśleli? On, że nic, żebyśmy się uspokoili. Ja, że mnie coś rozpierdala. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Usiadłem, a potem padłem z powrotem na materac. Czułem, że krew, która we mnie krąży, jest jak wrząca lava. I nie wiedziałem, czy mi się to podoba, czy nie. Nie wiedziałem, czy czuję się wspaniale, czy bardzo, bardzo źle. Byłem zagubiony. Działo się ze mną coś zupełnie nowego. Nagle stwierdziłem, że strasznie chce mi się dupcyć. Powiedziałem mu to, bo coś mi szeptało, że tak powinienem zrobić. Właśnie tak. Patrzył na mnie przestraszony. Już dokładnie wiedziałem, co mam teraz mówić. Dodałem, że mi chuj stoi jak chyba jeszcze nigdy i muszę sobie natychmiast zwalić. On, że to niemożliwe, bo jestem naćpany. Popatrzyłem na niego i spytałem, czy mam mu udowodnić, jak mi stoi. Pokazałem moje szerokie gacie. Sam zobacz. Chcesz zobaczyć? Chcesz, prawda? Wiem, stary, że chcesz! Teraz albo nigdy, jedyna okazja. I jeszcze dodałem, że ta Basia Kutasia robiła strasznie słabego loda. A ty robiłeś to kiedyś? Obciągałeś typowi? Nie. Kłamiesz, oj,

kłamiesz. Nikt się nie dowie, nie powiem nikomu. Myślałem, że to on powiedział. Ale to byłem ja. Chyba mi ufasz? W końcu nie zdradziłem cię do tej pory, a wiem od zawsze. Nic się nie zmieni. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Jeden raz. To nic nie znaczy. W końcu się odezwał: dla ciebie nic nie znaczy. Bo ty na wszystko masz wyjebane. Nieprawda, zaprotestowałem. Spytałem, czy wali sobie konia, myśląc o mnie. Zamknij się, było mu głupio. A więc tak. Chciałbym zobaczyć, jak to robisz. To przecież nic wielkiego. Dla ciebie, mruknął ponownie. Czułem, jak jego opór słabnie. Znowu zacząłem bredzić o tym, jaki jestem naćpany i że to moja najgrubsza faza. Tak zresztą było. Obserwowałem go. Widziałem, że się waha. Wiadomo, że tego chciał. Miał szesnaście lat i był pedałem mieszkającym w miejscu, gdzie za coś takiego mógłby stracić członka. Mnie nic nie groziło, bo wszyscy wiedzieli, że wyrywam laski jak pierdolone chwasty. Niektórzy widzieli nawet, jak je posuwam. Ale Kojak bał się etykiety.

Dziś mogę zrobić wszystko, powiedziałem, patrząc na niego. Mogę się z tobą pieprzyć, stary. Mogę ci zrobić loda. Ale ty pierwszy. Bo ty wiesz jak. Potem napiłem się wódki. Ciepłej, ohydnej. Lawa w moich żyłach ponownie zagotowała się i zaczęła krążyć szybciej. Zrobiło mi się gorąco, więc zdjąłem koszulkę. Podałem mu butelkę. Potrzebował tego. Pociągnął trzy solidne łyki. I desperackim ruchem też pozbył się koszulki. Kurwa, ale hardkor, powiedziałem. Dobra, chodź tu. Zrobmy to. Przysunął się i położył dłoń na mojej klacie. Była gorąca. Lawa gotowała się pod moją skórą w tym miejscu, gdzie mnie dotykał. Wziąłem jego dłoń i przesunąłem niżej. Wrząca krew podążyła za nią. Jarało mnie to, tak jak każda granica, którą wcześniej przekraczałem. Nie interesowało mnie, jak się będę czuł jutro, a tym bardziej jak on się będzie czuł. Wolałem założyć, że będzie się cieszył, że w ogóle do tego doszło. Wstałem, rozpiąłem spodnie i stanąłem przed nim. Popatrzył na mnie z jakimś takim wyrzutem. Co ci się dzieje, ja pierdołę, Kojak? Myślałem, że się będziemy najpierw całować, wyznał. A ja na to, że myślałem, że pedały od razu rzucają się do obciągania kutasów. Parsknąłem śmiechem. Obraził się. Ej, no, kurwa, żart! No, jak tak to ma wyglądać, że ty już się obrażasz, to ja nie wiem. Zerknąłem na niego. To był twój pomysł, przypomniał mi. Dobra, możemy się lizać, zgodziłem się. Czemu nie. Usiadłem z powrotem obok niego. Pocałował mnie w usta.



To było dosyć dziwne, ale nie jakieś straszne. Raczej interesujące, inne i trochę jednak przejebane. Wsunął mi język do ust, a ja całowałem się z nim tak jak z laskami i myślałem rzeczy w rodzaju: ja pierdołę, jest grubo, nie ma powrotu! Poczułem, jak jego dłoń zaciska się na moim kutasie i że pomimo pigułek znowu mi staje. Jakby ta wzburzona krew z całego ciała spłynęła właśnie tam. Rozpiąłem mu spodnie i włożyłem tam rękę. Też mu stał, a ja pomyślałem z zazdrością, że chyba ma większego. A potem, że jak to wszystko musi wyglądać. Ta cała akcja. Lizemy się jak jakieś ostatnie pedały, masując sobie nawzajem kutasy. Przestał mnie całować. Wyszeptał do ucha: teraz? Uhm. Poczułem jego kielkujący zarost na policzku i coraz szybsze ruchy ręki, świadczące o tym, że robił to nieraz. Ciekawe, co jeszcze robił? Wkręcił się w tę akcję ze mną na maksa. I w końcu to powiedział: Kocham cię. Mówię ci to tylko dlatego, że jestem naćpany. I ty też jesteś naćpany. I na pewno o tym zapomnisz. Bo taki z ciebie kawał chuja. Ale masz rację. To nie ma teraz znaczenia. Bo ja to zapamiętam. A ty możesz zapomnieć. Kocham cię, przyjacielu.

Coś było nie tak. Mój kutas wiotczał, krew stygła jak na mrozie, a to euforyczne uczucie coraz bardziej się oddalało, a na plan pierwszy wysuwało się zażenowanie. Niesmak. Wstyd. Ja pierdołę, a gdyby ktoś to zobaczył? Przecież oni wiedzieli, że jesteśmy tu sami. Burmistrz. On się domyśla. On wie. A jak komuś powie?

Spytał, co się stało. Chuj mi się skurczył z przerażenia. Odsunąłem się od niego i odwróciłem plecami. Zapiąłem gacie. Było mi głupio. Co za kretyńska sytuacja. To Kojak, mój przyjaciel, nie jakaś przypadkowa maskara, nie mogłem go zostawić i uciec. On tymczasem zapytał: Chodzi o to, co powiedziałem? Nie powinienem. Zapomnij. Pieprzone piguły. Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Całe szczęście zapiął już spodnie. Sięgnąłem po koszulkę i szybko ją nałożyłem, żeby przestał się na mnie gapić tak łakomie. W końcu bąknąłem pod nosem: zeszło mi, cała faza mi zeszła, nie czuję już tego. Sorry, ale nie mogę tak bez niczego, to nie dla mnie. Nic do ciebie nie mam, ale ja lubię cipki. Będzie jak dawniej. Nic się nie zmienia, stary. Możemy się dalej ze sobą bujać. Chyba nie był zbyt szczęśliwy w tym momencie, mimo to powiedział: Rozumiem. Nie przejmuj się. Przepraszam. Przepraszał mnie! Byłem złym człowiekiem.

Powiedziałem mu, czego się boję, jakie to ryzyko i co nas może spotkać. Na Osiedlu rządził już wtedy Król. A Król nie tolerował pedalstwa. Poupierdala nam berła wraz z klejnotami. Chodźmy stąd, powiedziałem. Chodźmy na tę pierdoloną domówkę i zaliczmy jakieś dupeczki. Ty też, Kojak. Musisz to zrobić dla własnego dobra. A naprawdę myślałem, że dla mojego. Słyszysz? Powiem ci, która jest łatwa i na bank ci da. Zruchaj ją w dupę, może będzie ci łatwiej, albo nie, bo jeszcze sobie coś pomyśli. Ej, wyluzuj, powiedział Kojak spokojnie, wybierz mi jakąś, a ja to zrobię. Poszliśmy na imprezę. Wrzuciliśmy jeszcze po tabletkę. Napięcie zeszło. Znalazła się laska. Zerznąłem ją dla pewności dwa razy. A Kojak przeżył swój pierwszy raz z taką jedną miłą idiotką, o której wiedziałem, że ma chłopaka, więc nie będzie potem Kojaka męczyć. Powiedział mi po wszystkim, że może to nie był seks stulecia, ale z pięć razy jej powtórzył, ile wypił i ile tabletek zarzucił, żeby to sobie zapamiętała i miała na co zwalić jego słaby performance. Nikt niczego nie podejrzewał. Może Burmistrz, ale się nie wtrącał. Potem wpadłem w tygodniowy ciąg, dzięki któremu udało mi się o tym wszystkim zapomnieć. Do teraz.

W moim życiu było wiele takich momentów, o których starałem się zapomnieć. To były przykre prawdy, które nikogo nie mogły wyzwolić. I chociaż lubiłem się babrać we własnych bebechach, to robiłem to na swoich zasadach i nie planowałem się bawić w jungowskiej piaskownicy pod czujnym okiem specjalisty. Miałem jednak niejasne cienie niechcianych wspomnień. Dlatego tamtego wiosennego dnia, gdy ona chciała zadzwonić po Kojaka, poprosiłem, aby tego nie robiła. Czułem, że to byłoby nie na miejscu. Nie chciałem, by się dowiedział, co tu z nią robiłem. Może więc nie byłem aż tak złym człowiekiem. A może wtedy, gdy byłem z nią, nie miałem potrzeby znęcania się nad innymi ludźmi.

– Byłem naćpany – powiedziałem w końcu do Kojaka. – Ty też.

Bardzo chciałem zakończyć już ten temat i nigdy więcej do tego nie wracać. Niestety, Kojak nie zamierzał odpuścić.

– Wiesz, że to nie był jedyny raz. Prowokowałeś mnie. Ciebie to po prostu jara. Jara cię, gdy masz nad kimś władzę, i taka jest prawda. Nieważne. Nie będę ci robił ciotodramy.

– Zwłaszcza że mówimy o jakiejś prehistorycznej akcji, która się wydarzyła na grubej fazie.

– Tak myślałem, że coś takiego powiesz. – Kojak uśmiechnął się ironicznie.

Zebrał swoje fanty z powrotem do pudełka i schował pod obluzowaną deską. Zaczął przesuwać stopą stertę śmieci, aby zasłonić skrytkę. Obserwowałem go i coś w jego postawie niezmiernie mnie wkurwiało. W końcu się odezwałem:

– Ale co mam teraz zrobić? Przeprosić cię za to, że siedemnaście lat temu totalnie napruty i naćpany zaproponowałem ci seks? Dobra, przepraszam. Nie mam pojęcia, czemu to zrobiłem, ale przepraszam!

– Zrobiłeś to, bo mogłeś – odparł nadal z tym irytującym uśmieszkiem. – Mogłeś doświadczyć hardkoru w warunkach zwalniających z jakiegokolwiek odpowiedzialności. Ile razy dziś już powiedziałaś: „byłem naćpany”?

– Bo byłem. I tak to wtedy wyglądało. Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

– Już niczego – powiedział, patrząc na mnie poważnie. Był inny. Zupełnie inny. Nie poznawałem tego człowieka, który teraz zdjął przede mną maskę noszoną przez ponad dwie dekady. I nie podobało mi się to, jak na mnie patrzył. Poblążliwie.

– Idziemy stąd? – spytałem.

– Ty idź. Ja mam jeszcze coś do zrobienia.

– Co?

– Jajco. A ty idź. Pobaw się w romantyczne przygody. I puknij ją na wielki finał, a potem zdupcaj przed konsekwencjami. Spierdalaj gdzieś na drugi koniec świata uzalać się nad swoim losem.

– Co ty, kurwa, bredzisz o normalnym życiu? Pedał od siedmiu boleści, ukrywający się w bezpiecznym przebraniu chuligana!

– Pierdolony tchórz, który wolał skatować swoją laskę, niż narazić się na szyderę.

– Czy ty porównujesz nasze sytuacje?

– A, tak. Ja cię po prostu dobrze znam. Wiem, jaka jest prawda. Najbardziej na świecie boisz się, że mógłbyś się stać pośmiewiskiem. I że ktoś w końcu odkryje, że w rzeczywistości jesteś zwykłym frajerem, który udaje lepszego od innych, żeby ukryć swoje kompleksy.

– Może zruchaj w końcu jakąś ciotę, bo bredzisz od tego celibatu – prychnąłem.

– Gównu o mnie wiesz, stary, i o tym, co robię. Ja natomiast bardzo dobrze wiem, co ty robisz. Nic. Dupcysz dziwki, walisz konia i udajesz, że nie chcesz jej puknąć.

– Ale pierdolisz. – Patrzyłem na niego z politowaniem. Musiał być bardzo sfrustrowany, żeby zupełnie serio pleść takie farmazony.

– Idź już, bo mnie wkurwiasz, przyjacielu.

– Nawzajem, przyjacielu.

Gdy szedłem do samochodu, czułem się tak, jakby mi ktoś przyjechał z całej pizdy w czaszkę. To było jak mocna, niekontrolowana faza. Totalnie chora, psychodeliczna, ryjąca beret jazda. Gdy opuściłem teren ogródków działkowych, cała akcja wydała mi się naraz absurdalna i niedorzeczna. Zacząłem się zastanawiać, czy ten motyw naprawdę się zdarzył, czy może jednak coś łyknąłem i to jest wytwór mojej chemicznej wyobraźni.

Bo jeśli to wszystko rzeczywiście się wydarzyło, to co teraz? Kojak już nie będzie moim ziomkiem? A może nigdy nie był? Zawsze mi przecież zazdrościł wszystkiego. Sam był przeciętnikiem. Szaraczkiem. Gdyby nie to, że kilka razy popisał się brawurą i malowniczo oklepał paru typów, nikt na Osiedlu by go nie kojarzył. Swoją drogą, ciekawe, czy mówił prawdę o tym, co niby wyczynia. Ogarnęła mnie niespodziewanie irytacja na myśl, że tak naprawdę nie mam pojęcia, jak wygląda życie Kojaka. Jeszcze większa złość nadeszła, gdy wyobraziłem sobie, że być może wcale nie ściemniał. Może naprawdę robi, co mu się podoba. Dupcy się z chłopami ile wlezie, a potem wraca na ławeczkę i jest respektowanym osiedlowym chuliganem. Może jest lepiej rozkminiony, niż mi się zawsze wydawało. A jeśli on rzeczywiście jest zadowolony ze swojego życia? A ja mu niepotrzebnie współczuję?

Dobra, dobra. Dałem mu się wkręcić jak dziecko. Chciał się odegrać, bo całe życie zżerała go zawiść. Nawet teraz. Ja rozpracowywałem gruby temat, a on znowu był tylko moim pomagierem. I z dwojga złego na Osiedlu łatwiej się żyło z etykietką siostrojebcy niż homoseksualisty. Teraz już nikt mnie na pewno nie wpakuje razem z Kojakiem do pedalskiego

wora. Zrobiło mi się go żal. I jako przyjaciel, postanowiłem go wspierać, gdy się już zdecyduje na *coming out*.



# CZEŚĆ DRUGA

---

**Początek  
końca**





„Who’s gonna cry over you?  
Cry over you?  
Tell me would they lie for you?  
Die for you?  
You’re hoping that it’s true for you do for you, fool.  
But who’s gonna cry?”

*No exit*  
BLONDIE

Nie pojechałem następnego dnia z wizytą do Grety. Nie zrobiłem nic z tego, co zaplanowałem. Bo z samego rana wszystko się zmieniło. Lawina dziwnych i strasznych wydarzeń następujących jedno po drugim zmusiła mnie do reorganizacji kolejnych punktów śledztwa.

Poranek zaczął się spokojnie. Lilianna spała, a ja siedziałem przed kompem, usiłując znaleźć jakiekolwiek informacje na temat Sophie. Szybko przekonałem się, że nikt nie poszukiwał zaginionej Zofii ani Sophie Lezuj, tak samo jak zaginionej Sophie Kazan. Czyli nikomu jej nie brakowało, odkąd zniknęła wchłonięta przez Osiedle. Pozostawało zbadać jej przeszłość. Może tam się kryła odpowiedź. Może gdzieś na swojej drodze spotkała kogoś, kto potem zdecydował się jej pomóc. Franc mówił, że przebywała w jakichś szpitalach czy zakładach, bo była chora. Opiekun, Magda i Judym obstawali przy tym, że była schizofreniczką. Jeśli to prawda i jej przypadek był poważny, to wcześniejsze lata mogła spędzić w psychiatryku. Wykonałem parę telefonów do różnych placówek, ale oczywiście nikt nie chciał ze mną gadać. Dane pacjentów były chronione. Bez odpowiednich znajomości wśród Adasiów i Piotrusiów tego świata, którzy zarządzali różnymi instytucjami, trudno było wykonać jakikolwiek krok. Może trochę za bardzo się pospieszyłem, przeganiając ją razem z jej

licencją i koneksjami. Teraz takie kontakty pasowałyby mi idealnie. W ostateczności zawsze mogłem zadzwonić i ją przeprosić. Postanowiłem, że jeśli w ciągu doby sam na nic nie wpadnę, to ją przeproszę. Powiem prawdę, że chciałem ją tylko nastraszyć, żeby się odczepiła, a w rzeczywistości nic się nie zmieniło – nadal myśl o stosunku z nią napawa mnie wstrętem i odrazą. To ją uspokoi i zaraz zacznie wydzwaniać, gdzie trzeba.

Z sypialni, przeciągając się, wyszła Lilianna w majtkach i podkoszulku na ramiączkach. Figurę miała już całkiem kobiecą. Tak, jeszcze mi tego brakowało.

– Ubierz się – warknąłem.

– Ale jest tak gorąco... – jęknęła.

– Tylko bez kwękania, bo się wkurwię.

– Ostatnio cały czas się wkurwiasz! Jesteś wredny, wiesz! Całymi dniami cię nie ma, a jak przychodzisz, to albo dziwki sobie sprowadzasz, albo wrzeszczysz.

Wyszła obrażona, a ja się zastanawiałem, kiedy z małoletniej prostytutki przemieniła się w zrzędliwą, jazgoczącą żonę. Wróciła po chwili ubrana w jakąś szmatę w kwiatki i stanęła za mną, podpierając się pod boki.

– Kogo szukasz w necie? Jeśli mnie, to marnujesz czas, moich starych nie obchodzi, że się wyniosłam. Pewnie się nawet cieszą.

– Nie ciebie szukam. Ale dzięki za odpowiedź, zaraz pogmeram, znajdę adres twojej mamuni i cię do niej zaprowadzę.

Gwałtownie zamknęła klapę laptopa.

– Moi starzy to zdrajcy! Oszukali mnie! Nienawidzę ich. Nigdy tam nie wrócę. Jeśli mnie sprzedasz, to wszystkim opowiem, jak za dach nad głową kazałeś sobie zrobić loda.

– To kłamstwo – powiedziałem głupio.

– Tak? To niby skąd bym wiedziała, że masz nad tym swoim kutasem tatuaż przedstawiający stworka?

– Jakiego, kurwa, stworka? – Spojrzałem na nią zaskoczony. Dopiero po chwili do mnie dotarło, o czym ona mówi. – To jest postać z obrazu Hieronima Boscha, tyle że do dupy wykonana.

– Aha! – Wycelowała we mnie palec. – To jest właśnie ten stworek! Przyjrzałam się w nocy. Poświeciłam komórką. Wszystkim opowiem, że jak ciągnęłam ci druta, cała zapłakana, to widziałam tę postać z obrazu kogoś tam.

– Postaraj się w takim razie o tym zapomnieć – powiedziałem zrezygnowany.

– Tego się nie da zapomnieć. Był taki malutki... – Zaczęła chichotać.

– Mam nadzieję, że mówisz o tatuażu.

– Może tak, może nie! Aleś się zmartwił! LOL! Musisz wiedzieć, że widziałam większe. Niektóre ogromne. – Zrobiła nad głową wymach rękoma, pokazując, jak ogromne.

– Gratuluje – odparłem i pomyślałem, że Liliannę czeka w przyszłości długa i kosztowna terapia. – Idź pooglądać telewizję.

– O tej porze nic nie ma.

– Wiadomości są.

– W życiu nie oglądałam Wiadomości! – oburzyła się. – To przecież straszne nudy. Jestem za mała na Wiadomości.

– Tak, teraz za mała, ale żeby dawać dupy w krzakach, to pierwsza.

– W bramach, nie w krzakach – sprostowała.

Przez chwilę milczała, a ja udawałem, że jej tu nie ma. W końcu trąciła mnie w ramię:

– A co mi dasz, jak obejrzę Wiadomości?

– Dlaczego miałbym ci coś dawać?

– W nagrodę.

– W nagrodę nie zaprowadzę cię jeszcze dziś do mamuni. Co ty na to? Dobra nagroda?

Patrzyła na mnie sceptycznie, ale z powrotem otworzyłem laptopa, więc zrozumiała, że już nic więcej nie uzyska, i poszła do salonu. Puściła telewizor na cały regulator.

– Ścisz to! – ryknąłem.

– Nic nie słyszę! – wrzasnęła.

Może jednak wcale nie ściemniała z tym, że rodzice chcieli się jej pozbyć. Mieszkanie wypełniła piosenka o Biedronce. Pewnie się główniara spodziewała, że tam przyjdę. Nie przyjdę. Usiłowałem skupić się na kompie, ale do kakofonii dźwięków (bo Lilianna też zaczęła śpiewać, tyle że piosenkę o Lidlu) dołączyło walenie w sufit. To Edward. Też bym tak łomotał na jego miejscu. Reklamy się skończyły i gruchnął sygnał dziennika. Edward nie przestawał walić. I wtedy to usłyszałem:

– ...tym razem to na Osiedlu znaleziono czwartą ofiarę Rzeźnika z Salwatora. Chyba trzeba zacząć go nazywać Rzeźnikiem z Krakowa. Dziś rano...

Zerwałem się i pobiegłem do salonu. Wyrwałem młodej pilota i ściszyłem.

– Au! – zawyła płaczliwie.

– Cicho!

– Bo co?

W tym momencie pokazali zapikselowanego trupa, więc umilkła z własnej woli i dalej oglądała już z zainteresowaniem. Ofiarą była starsza kobieta, mieszkanka Osiedla. Pomimo że media bez zastanowienia przypisały to morderstwo Rzeźnikowi, rzecznik policji był ostrożny. Ofiara nie do końca przypominała poprzednie. Jej męczarnia trwała krócej, a metoda, którą posłużył się zabójca, była o wiele mniej drastyczna niż w poprzednich wypadkach. Kobieta była widziana po raz ostatni poprzedniego dnia około osiemnastej, gdy szła w kierunku osiedlowych działek. Gdy ją znaleziono o szóstej rano, nie żyła już co najmniej od dziesięciu godzin. Była brutalnie pobita, między innymi za pomocą kija bejsbolowego. Zginęła od ciosu maczetą, który rozplątał jej głowę prawie na pół. Tyle zdradził przybyły na miejsce specjalista. Policja przeszukuje teren ogródków działkowych, które są obecnie zamieszkałe przez bezdomnych.

Gdy opuszczałem Osiedle, było po osiemnastej. Mniej więcej w tym czasie ta baba polazła na działki. Mogłem ją nawet minąć i nie zauważyć.

– Jeśli nie Rzeźnik, to kto? – zastanawiał się tymczasem dziennikarz. – Ofiara została podrzucona pod wejście najwyższego bloku na Osiedlu. Ale skatowano ją gdzie indziej, możliwe, że właśnie na terenie ogródków

działkowych. Nie jest tajemnicą, że ta okolica cieszy się złą sławą. Opuszczone ogródki stały się schronieniem dla różnych degeneratów, a blok, przed którym wczesnym rankiem dokonano makabrycznego odkrycia, przyciąga wszelkiego rodzaju kryminalistów i niebezpiecznych ludzi z półświatka.

Jakby na potwierdzenie tych słów kamera niespiesznie omiotła zebrany wokół miejsca zdarzenia tłumek składający się z osobników idealnie odpowiadających wyobrażeniom przeciętnego obywatela na temat tego, jak wygląda półświatek. Rozpoznałem zaciekawionego Kalafiora i tych dwóch koczodanów kochających siłkę. Był też zmęczony, poszarzały na twarzy Burmistrz. A za nim podrygiwał podniecony Patyczak. Obaj chyba zarwali nockę. Z boku czaił się też Człowiek Szmata, który wyglądał, jakby trafił tu przypadkiem i chciał już sobie pójść, ale nie pozwalał mu na to tłum napierający na niego z tyłu.

– Jaki element! Ale morda! Widziałeś? – zaśmiała się Lilianna, wskazując Człowieka Szmatę.

Wśród gapiów zauważyłem jeszcze żulicę Zadbaną i jej córkę Amelkę, recepcjonistkę Judyma. Same pionki. A Gabriel zaszył się pewnie w swoim lofcie razem z Nutką, Kakałkiem, Judymem i być może Mentorem. Z pewnością deliberowali, co teraz. Czuję, że jeszcze dziś zostanę wezwany.

– Miałeś rację – przyznała Lilianna, gdy news się skończył. – To było nawet ciekawe. Tylko mało tego trupa pokazali.

Wróciłem do kuchni i znowu usiadłem, gapiąc się w wygaszony monitor. Jeśli ktoś z półświatka groził w ten sposób Opiekunowi, to niedobrze. Jeśli to Rzeźnik zabił starą, to też niedobrze. W obu przypadkach rozpocznie się krucjata. Ktoś znowu sobie zakpił z Opiekuna. Ktoś sobie nic nie robił z jego złej sławy.

Lilianna weszła do kuchni, zaczęła grzebać w lodówce i wyciągać różne rzeczy do jedzenia. Byłem zaskoczony, że jest w domu jakieś jedzenie.

– Skąd to masz? – spytałem ostro.

– Od Edwarda, a skąd? Powiedziałam, że wracasz późno, a do tego z dziwkami, zapominasz kupić żarcie i całymi dniami chodzę głodna. Więc

się przejął i z jednym z tych jego lamerów pojechaliśmy samochodem do biedronki. Kupił mi, co chciałam.

Zrobiło mi się trochę głupio. Muszę się sąsiadowi w końcu odwdzięczyć. Kupić mu skrzynkę browarów albo jakiś ciotowski likierek. Tymczasem młoda śpiewała: „Biedronka, ach, biedronka”, robiąc tosty z serem z biedronki.

I wtedy zadzwonił telefon, który dostałem od Gabriela. No to się zaczęło. Uciszyłem bachora i odebrałem.

– Dzień dobry, Profesorze. Wiesz, z czym dzwonię? – Ton Opiekuna był niemalże wesoły.

– Wiem. Oglądałem Wiadomości.

– Ofiarą jest Stefania Proch. Kojarzysz?

– Tak, to matka Adriana, jednego z pana ludzi. Zamordowano go jakiś czas temu.

– To był mój ulubiony człowiek, jeśli chcesz wiedzieć – podkreślił Opiekun.

Ciekawe, jakimi dodatkowymi zaletami wyróżniał się Prochacki na tle Pana Dobrej Nutki i Kakałka.

– Rozumiem.

– Jak pewnie wiesz, Prochackiego zaszlachtowali do spółki Franc i Janusz.

– Może i tak. Ale przecież zdaje pan sobie sprawę, że Franc nie miały takich jaj, żeby wrócić na Osiedle i dokończyć rzeź na Prochackich.

W dodatku po wczorajszej rozmowie w pizzerii było raczej bardzo mało prawdopodobne, by Franc był zainteresowany mordowaniem jakiejś nieistotnej baby, skoro niebawem, z pomocą urzędasów z magistratu, wojska i policji miał w bezkrwawy sposób przejąć rządy na Osiedlu.

– Więc może to jednak Rzeźnik? – zasugerowałem.

– Zamiast zgadywać, dowiedz się tego – zaproponował Opiekun niemalże wesoło.

– Przecież szukam pańskiej żony.

– Tylko że efektów nie widać. Udało ci się już coś odkryć?

– Mam pewną teorię.

– Znakomicie. Pociągniesz obie sprawy. A jak nie będziesz już dawał rady, zawsze możesz jeszcze raz poprosić o pomoc swoją siostrę.

– Nie było powiedziane, że nie mogę.

– Nie interesuje mnie, jak to zrobisz, chcę tylko, żebyś znalazł moją żonę, chłopcze. Jeśli poszukiwania wiodą przez łóżko twojej siostry, to jest to twoja sprawa. Pewnie trudno ci się skupić między jej udami, ale nie zapominaj o swoich obowiązkach nawet wtedy, gdy jej robisz dobrze.

– O niczym nie zapominam – wycedziłem. Nie używał wulgaryzmów, ale jego słowa wydały mi się bardziej odrażające niż zniewagi Króla, Kakałka czy Grety. Poczuję niesmak. Dłoń, w której trzymałem telefon, była zupełnie mokra. – Robię, co do mnie należy. I nie pierdolę jej, więc może przestanie pan opowiadać ludziom kłamstwa na mój temat.

– No dobrze, już dobrze, nie ma potrzeby tak się unosić. Nie zachowuj się jak urażony smarkacz. Oczekuję cię dzisiaj o czternastej.

– Oczywiście.

– No to do zobaczenia.

Odłożyłem telefon na stół i odsunąłem go jak najdalej od siebie, bo mnie kusiło, by go rozwalić o ścianę. Może ten pomysł, aby wysadzić całe Osiedle razem z mieszkańcami, nie był taki zły. Potrzeba było tylko jakiegoś odważnego urzędnika z wizją.

Młoda podsunęła mi przypalonego tosta.

– Nie teraz – mruknąłem.

– Musisz jeść. Marnie wyglądasz.

– Jesteś teraz moją mamą?

– Raczej żoną... Mogę być twoją żoną? – zaszczębiotała słodko.

– Nie – odparłem i wróciłem do gapienia się w czarny monitor.

– A to czemu? – spytała ostro. Wietrzyłem awanturę. Ten ton słyszałem nieraz u niejednej baby.

– Zamknij jadaczkę, ja tu pracuję.

– Na razie to widzę, że tylko siedzisz na dupie przy stole – gderała jak moja matka. Chyba rzeczywiście była dobrym materiałem na żonę. Tylko patrzeć, jak zacznie mnie przeganiać ścierą z kuchni. – Zjedz chociaż tosta, póki ciepły...

Już miałem zjeść dla świętego spokoju, gdy ponownie zadzwonił telefon. Tym razem moja prywatna komórka, nie ten złom od Gabriela. Numer był nieznany.

– To ja – usłyszałem głos Kojaka. – Dzwonię z budy w centrum. Wyrwałem się na chwilę. Wiesz już, co się stało?

– Wiem. Prochacka nie żyje.

Ucieszyłem się, że zadzwonił pomimo wczorajszej akcji. Nie taki z niego pedał straszny, skoro nadal umiał się zachować jak dobry ziomek.

– Opiekun dostał szału. Nie dosłownie, on nigdy nawet nie podnosi głosu. Ale jest bardzo, bardzo zły. Ktoś się odważył zaatakować jego królestwo. I zabił Prochacką, która była jego człowiekiem wśród osiedlowych seniorów. Nie jest dobrze. Ludzie ze strachu rzucają na siebie oskarżenia. Najczęściej przewija się kmina, że to robota Franca, bo zawsze chciał się dobrać do starej. I że to dopiero początek, bo niby Franc planuje wendetę i tylko czeka na dogodny moment. Teraz się zacznie wojna!

– Kojak, znasz Franca, dupa nie przywódca i gówno nie wendeta. Myślisz, że ktokolwiek na Osiedlu by go teraz poparł?

– Nie ma opcji. Ci, którzy woleliby, aby rządził nimi ktoś tak łagodny jak Franc, to same dziady, ofiary, łajzy i frajerzy. Wszyscy najgorsi kryminaliści, sadyści i psychopaci skupili się wokół Gabriela, bo tam są siła i moc, i przyzwolenie na hardkor.

– A ty? A Burmistrz?

– My nie jesteśmy ani tacy, ani sracy, ale jesteśmy z Osiedla. Więc siłą rzeczy jesteśmy ludźmi Opiekuna. Tak samo jak ty. Dobrze wiesz, że Osiedla się nie opuszcza. Chyba że na zawsze i do piekła. Pomijając wszystko, dla kogoś takiego jak Franc nie nadstawiałbym karku, bo nie szanuję tego złamasa.

– Więc nie ma alternatywy dla Opiekuna.

– Żeby próbować przejąć władzę, trzeba by było naprawdę silnego, budzącego respekt kandydata z koneksjami, ludźmi i dobrym pochodzeniem. Najlepiej byłoby odnaleźć jakiegoś krewnego któregoś z poprzednich adminów. W każdym razie kogoś pełnej krwi – powiedział Kojak. Tak mówiło się u nas na osoby, których oboje rodzice pochodzili



z Osiedla. Mój stary był obcy, Kojak swojego nie znał. Obaj byliśmy tylko półkrwi.

– Jest Angie.

– Miała szacun, jako siostra admina, ale odcięła się od Osiedla. Rozpruła się na wadze na swojego brata, jego ludzi i babkę. Potem skumała się z Carycą, która doprowadziła przecież do aresztowania Króla. I w końcu razem zniszczyły go ostatecznie. Angie jest spalona. Nie idź tą drogą. Lepiej nawet o takich rzeczach nie myśl i nie mów głośno, bo to niebezpieczne. Teraz potrzebne są jakieś dobre wieści, i to na gwałt. Znajdźże Opiekunowi tę żonę.

– Ciekawe jak? Z dupy jej sobie przecież nie wyciągnę.

Lilianna, która cały czas się przysłuchiwała, zachichotała z uciechy. Pokazałem jej na migi, aby była cicho.

– Z kim tam jesteś? – zainteresował się nagle Kojak, jakby zapominając o Osiedlu, Opiekunie, Rzeźniku, Francu, Angie i Sophie, a koncentrując się na ciekawszym temacie.

– A dupeczkę se przygruchałem na noc – wyjaśniłem, doprowadzając tym siedzące naprzeciwko mnie dziecko do radosnej ekstazy. Wpakowała sobie do ust całą pięść, żeby się nie śmiać.

– No to, kurwa, wspaniale! – wrzasnął mi prosto do ucha Kojak. – Opiekun chce ci zajeść siostrę, a tobie tylko dupy w głowie! No, chyba że to właśnie ona jest tą dupeczką... – zakończył z udawanym niesmakiem.

– Pojebało cię, biedny człowieku – powiedziałem ze smutkiem.

– No, sorry, musiałem spytać – wyjaśnił i raptem postanowił poudawać heteryka, chyba z sentymentu. – Jakby moja siostra miała takie ciało jak twoja, to wiesz, co bym zrobił?

– Wiem: nic, buraku. Ale cieszę się, że nie masz siostry, ani ładnej, ani szpetnej. A moją możesz sobie puknąć, jeśli chcesz.

– Mówisz tak, bo prędzej na Osiedlu postawią nam almę, niż ta lala chociażby rozważy danie mi dupy.

– Ale może chociaż jakie całowanie z tego będzie.

Przez chwilę śmialiśmy się z tych żartów, aż Kojak powiedział:

– Dobra, bo dzwonię z automatu. Wyobraź sobie, stary, że takie automaty jeszcze istnieją. Spoko opcja, ale zaraz skończą mi się fundusze. Więc przegoń to szmacisko, coś se wypatrzył w bramie na Kleparzu, i zacznij się nareszcie przykładać do zadania.

– Potrafisz zmobilizować człowieka do pracy – westchnąłem, wiedząc, że ma rację, w kwestii Opiekuna przynajmniej. – Słuchaj, a tak serio to może nie wracaj na razie na Osiedle? Zabunkruj się gdzieś.

– Nie da rady. To by było nierozsądne. Jeśli zniknę, te ćwoki zaczną podejrzewać, że to ja jestem Rzeźnikiem. Ktoś mógł mnie wczoraj widzieć na działkach.

– Co ty właściwie tam potem robiłeś?

– Powiem ci, jak się spotkamy. Muszę to jeszcze dokładnie sprawdzić. Ale to pewnie nic istotnego.

– No to wracaj węszyć. Bądź moim Watsonem, Hastingsem i komisarzem Reksem.

– Teraz mnie chyba obrażasz. Odezwę się, jak znowu będę w bezpiecznym miejscu. Nara.

– Pa.

Rozmowa z Kojakiem, mimo że jej początek nie był przyjemny, jakoś mnie odprężyła. Przez chwilę było tak jak dawniej, a Kojak znowu był wesołym kolegą, z którym można sobie było pogadać o dupach i innych pierdołach.

– Z kim rozmawiałeś? – spytała Lilianna.

– Z kumplem. Słuchaj, mała, muszę wyjść. Zaprowadzę cię do Edwarda.

– Będzie mi znowu czytał swoją sztukę! Połowy nie rozumiem; on co zdanie się śmieje, nie kapuję z czego. Chcę ci pomóc w tym śledztwie!

– I pomożesz. Weź laptopa. Przygotuję ci listę nazwisk. Wyszukasz w necie, co się da, na temat tych ludzi i spróbujesz znaleźć wspólny mianownik. Wiesz, co to wspólny mianownik?

– No raczej. Wspólnym mianownikiem twoim i twojego kolegi jest chamskie gadanie o laskach.

– O widzisz. Bardzo ładnie.

Znalazłem jakąś kartkę i zacząłem pisać. Gdy skończyłem, lista przedstawiała się następująco:

Gabriel Lezuj (Opiekun)

Zofia Lezuj (Sophie) z domu Kazan, zniknęła. W jakim szpitalu się leczyła?

Tomasz Rajski (doktor Judym)

Jan Surowiec (Pan Dobra Nutka)

Sebastian Karpiński (Kakałko)

Władysław Kazan (Mentor), ojciec Sophie

Adrian Proch (Prochacki) – nie żyje. Pobity przez Franca i Janusza.

Ryszard Wątroba (Rychu) – zniknął

Magda Waligóra, lekarka

Rafał Szostak (Kojak)

Franciszek Król (Franc) – zniknął

Janusz Król – zniknął

Karol Król (Król), były admin, siedzi w więzieniu, kuzyn Franca i Janusza

Angelina Król (Angie), siostra Karola Króla, była w poprawczaku z Gretą. Ma dziecko z Karolem Królem.

Greta Linder (Mała Caryca)

Jadwiga Boyer, prawa ręka Greta

Po namyśle dopisałem też jej nazwisko oraz nazwisko inspektora – w końcu zajmował się sprawą Rzeźnika.

Dopisałem też dotychczasowe ofiary Rzeźnika, aby był porządek i ład:

Barbara Szyszka – menadżerka – Salwator

Karolina Rycht – nauczycielka, żona, matka – Kurdwanów

Sylwia Batory – studentka psychologii – Dębniaki

Stefania Proch – matka Adriana – Osiedle

Podałem listę Liliannie. Właściwie zrobiłem to tylko po to, by miała jakieś zajęcie i dała mi spokój. Młoda zaczęła z zainteresowaniem odczytywać kolejne pozycje, mamrocząc pod nosem. Jej spojrzenie zatrzymało się przy jednym z nazwisk.

– He? – drgnęła zdziwiona.

– Co jest?

– Nic – odparła, ale nadal marszczyła brwi. Dopiero po chwili spytała. – Ej, wytłumacz mi. Karol Król jest bratem Angeliny Król. I mają razem dziecko?

– Tak.

– To ohydne!

– Owszem – przyznałem i od razu pomyślałem, że chyba mnie pojebało, żeby kazać trzynastoletniej dziewczynce grzebać w takich brudach. Nawet jeśli widziała w życiu więcej niż przeciętne dziecko w jej wieku.

– Wiesz co, daj mi to lepiej.

Chciałem jej zabrać kartkę, ale odskoczyła.

– O nie, nie. Obiecałam, że pomogę!

– No dobrze. A teraz czas iść do Edwarda. – Postanowiłem w inny sposób odciągnąć ją od grzebania w osiedlowej patologii. – Może da ci jakąś rolę. Powiedział mi, że urodzona z ciebie aktorka.

– Serio? – Podskoczyła i klasnęła w dłonie. – Ale grubo! Kogo zagram?

– Zobaczysz – odparłem enigmatycznie. – Spakuj się. I weź jakieś ubrania, bo nie wiem, kiedy wrócę.

– I listę.

– Właśnie, koniecznie listę, a ja pójdę sprawdzić, czy wujek już wstał.

Okazało się, że mój absurdalny pomysł przypadł Edwardowi do gustu, co więcej, uznał, że moja pseudosiostrzenica, czy też bratanica (żaden z nas już w sumie nie pamiętał, co mówiłem na początku), ma zadatki na wielką aktorkę.

– Akurat myślałem o burlesce z wątkami z markiza de Sade...

– Ona ma trzynaście lat.

– O, rzeczywiście – zreflektował się sąsiad. – Masz rację, jej wiek można lepiej wykorzystać. A więc postanowione: *Lolita* w konwencji ślapstickowej!

– A może raczej coś w rodzaju *Dzieci z Bullerbyn*?

– A więc *Dzieci z Burdelbyn*. Doskonale.

– Nie chcę się wtrącać w twoją artystyczną wizję, ale sugerowałbym rolę pozbawioną seksualnych podtekstów. Nie chcesz chyba, żeby ci prokurator wjechał na teatr.

– Słusznie. Dam dziewczuszcze bardzo przyzwoitą rolę. Żeby twoja siostra ze wsi była z niej dumna, jak zjedzie do Krakowa.

– Mój brat.

– Brat też.

Wsunąłem mu stowę w pulchną łapę.

– To na jedzenie. Trzeba ją karmić trzy razy dziennie.

– A co je?

– Wszystko jedno co, byle bez cukru, bo się zrobi nazbyt żwawa. I, Ed, ja serio nie wiem, kiedy wrócę.

– Spokojnie, kochany, spokojnie. Poradzimy sobie. Może tu spać.

Zaparkowałem tam gdzie ostatnio, niedaleko naszej ławeczki, i poszedłem w kierunku stojących za parkiem pięciopiętrowych bloków, na które wszyscy mówili „bloczki”. Bloczki nie były tak zdewastowane jak inne domy na Osiedlu. Mówiono, że to najlepsze miejsce do życia w całej dzielnicy. Za bloczkami stał kościół, aktualnie nieczynny, bo żaden dobrodziej nie chciał się zaopiekować zagubioną trzódką. Przeszedłem obok przygnębiającego baraku mieszczącego przedszkole i przypominającej więzienie, okratowanej z góry na dół podstawówki, upstrzonej tagami i wrzutami. Widniały tam takie popularne hasła, jak: „Wisła kurwy” czy „Chwdp” albo „Jwip”. Ale były też teksty bardziej osobiste, w rodzaju: „Łysy robi pałę woźnemu”, „Uwaga! Burmistrz roznosi syfa mordą”, „Stara Kojaka sra do kuwety”. Oraz największy, wymalowany czerwoną farbą wrzut, przez który miałem nieliczne kłopoty: „To wszystko napisał ja, ale nigdy mnie nie złapiecie, cwele. Podpisano

Profesor”. Argument, że przecież gdybym to rzeczywiście ja był autorem, to raczej bym się nie podpisywał pod swoim dziełem, zupełnie nie trafił do nauczycieli. Prawdziwa tożsamość jajcarza do dziś pozostała jedną z nierozwiązanych tajemnic Osiedla.

W tej okolicy były też sklepy, nasz bar z bilardem, urząd pocztowy, no i park, a pośrodku parku górka i zardzewiały plac zabaw z zaszczaną piaskownicą. W porównaniu z betonowym wieżowcem, w którym mieszkali głównie kryminaliści, albo z domkami, które zajmowali starcy, działkami, gdzie jak robactwo rozplenili się bezdomni, czy ze stojącymi przy granicy Osiedla dziesięciopiętrowcami, których mieszkańcy byli stale narażeni na ataki z zewnątrz, boczki to był prawdziwy Manhattan. W pierwszym z nich był kiedyś mój dom rodzinny. W następnym od urodzenia mieszkał Kojak ze swoją starą.

Podszedłem do środkowej bramy i zadzwoniłem domofonem.

– Elo – odezwał się Kojak.

– Stoję pod twoim blokiem, w ręku trzymam bro – zacytowałem.

– Dzisiaj zło nie zwycięży, dzisiaj zwycięży dobro – odparł szybko. – Schodzę.

To był jeden jedyne wiersz, który znał Kojak. Pokazałem mu go kiedyś, żeby zobaczył na własne oczy, że poezja może być fajna. Że jest i bro, i blok. I nie ma tu żadnego ukrytego pedalstwa, o które podejrzewał wszystkie wiersze. Można bez obaw czytać na ławeczce. Strasznie się podjarał i od razu nauczył tych dwóch wersów na pamięć. Twierdził, że Świetlicki opisał cały jego świat w dwóch liniijkach, i nie mógł uwierzyć, że ktoś mieszkający w kamienicy i niepijący piwa potrafił tak doskonale przedstawić codzienną walkę o przetrwanie na Osiedlu.

Dziś mieliśmy się przekonać, że Świetlicki jednak się pomylił.

Kojak wyszedł z klatki i przybiliśmy sobie piąteczkę.

– I gdzie to bro? – spytał.

– Potem walniemy na ławeczce, jak Opiekun skończy swoją reprimendę. Odprowadzisz mnie? Pogadamy po drodze.

– Lepiej, stary, pójdę z tobą. Mnie też wezwał – powiedział lekceważąco, ale zauważyłem, że wyglądał bardzo niepewnie. Chyba nie miał pojęcia, czego może od niego chcieć Gabriel. Pomyślałem, że szykuje się coś

znacznie grubszego od zwykłej zjebki, grózb karalnych i obrzucania wyzwiskami.

Udzielił mi się niepokój Kojaka. Zauważyłem też, że wokoło było wyjątkowo pusto jak na środek dnia. Gorące powietrze stało w miejscu. Gdy szliśmy przez park, żaden liść się nie poruszył. Panowała cisza. Ptaki nie śpiewały tu od dawna. Zwykle jednak śpiewali menele. Ale tym razem i oni pochowali się do swoich dziupli. Na ławeczce również nikt nie siedział. A przecież była sobota. Normalnie o tej porze na ławeczce rozkręcał się pomału popołudniowy melanz. Przynajmniej Burmistrz powinien siedzieć tu co najmniej od godziny i leczyć pianą piątkowego kaca. Zwykle towarzyszył mu Patyczak, lamentujący nad swoim bolesnym zejściem i kołujący szczura na wieczór. Przecież widziałem ich obu w telewizji. Działo się tu coś niedobrego. Nagle po drugiej stronie ulicy zauważyłem bliźniaczki, które na nasz widok odwróciły wzrok i przyspieszyły kroku. Bardzo źle. Widocznie z chodzącym trupem nikt nie chciał się zadawać. Chodzący trup. Zdaje się, że ktoś mnie już tak kiedyś nazwał.

Pod schodami prowadzącymi do wnętrza wieżowca na wydeptanym, pożółkłym trawniku wałała się policyjna taśma. Nic więcej nie przypominało o porannym zdarzeniu i wizytacji psiarni. Wejścia do budynku pilnowało tych samych dwóch bandytów co poprzednio: Abdul i Dżordasz. Wyglądali na grubo pospinanych, niespokojnych i czujnych. Patrzyli spode łba, jakby spodziewali się, że zaraz będzie jakiś problem. Miałem nadzieję, że to nie my okazemy się tym problemem. Zastąpili nam drogę. Od kopa rzucało się w oczy, że byli uzbrojeni w maczety i giwery. Na razie jednak nie wyciągali przeciwko nam swojego arsenału.

– Co tak stoicie? Opiekun nas wezwał – odezwałem się, podchodząc do nich.

– Wiem, cwelu – warknął Dżordasz. Poczułem krople jego śliny na twarzy.

– Coś ty, złamasie, powiedział? – Zbliżyłem twarz do jego tłustej, różowej mordy. Śmierdział potem, browarem, petami, fetą. I strachem. Nie przede mną, tylko przed czymś naprawdę przerażającym. Nie odpowiedział. Mierzyliśmy się wzrokiem. Bardzo mi się nie podobał ten typ. Bardziej niż zwykle, ale nie wiedziałem dlaczego. W pewnym momencie nasze

spojrzenia się spotkały. W pełnym słońcu dokładnie widziałem jego przekrwione białka. A potem zrozumiałem, co mnie tak zaniepokoiło. Jego źrenice były zupełnie nieruchome i tak rozszerzone, że zupełnie zasłaniały tęczówki. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Wyglądał nieludzko.

Szybko oszacowałem swoje szanse. Był pół głowy ode mnie niższy, ale za to z tonę cięższy. I tak nie mogłem się teraz wycofać, więc syknąłem:

– Z drogi, kurwo.

Wtedy Dżordasz sięgnął do tyłu, za pas. Wyciągnął glocka i przyłożył mi do czoła.

– O, widzę, że małpy dostały zabawki – parsknąłem. – I jakie od razu odważne. A umiesz się tym posługiwać, małpo? Może najpierw odbezpiecz.

– Odpuść, stary – wtrącił się Kojak, chwytając mnie za ramię. – O co wam chodzi, chłopaki? Opiekun na nas czeka.

– Mamy was przeszukać i kłamoty pozabierać – powiedział Abdul.

– No to szukajcie – odparł Kojak. – Powiedzcie swojemu ziomalowi, żeby spuścił nieco pary, bo go chyba trochę zapowietrzyło. Wylewu zaraz dostanie.

Abdul niechętnie zbliżył się do kolegi.

– Dżordasz, znowu ci się zagotowało pod kapichą, schowajże pukawę, bo kogoś jeszcze pierdolnie przypadkiem. Albo sam se krzywdę zrobisz, baranie.

– Nie podoba mi się ta ciota – warczał Dżordasz, szczerząc do mnie popsute zęby. Na ustach miał pianę, jakby dostał ataku wścieklizny. – Psu rowa lizał. Za kim jesteś, wiślacki szpiclu?

– Co on pierdoli? – spytałem Abdula, robiąc krok w tył. Zrozumiałem, że Dżordasz nie ma nic do mnie, tylko ogólnie z całym światem ma jakiś problem. Ten knur się za dużo czegoś nawciągał.

– Za kim jesteś, rozjebusie? – kontynuował naćpany debil.

– Dżordasz, sklejże dupę! – huknął Abdul. – Bo cię znokautuję i pójdiesz do lochu! Już tam siedzi jedna drużyna. Jak cię poklepią, to się ogarniesz nareszcie, psia mać.

Do Dżordasza dotarło, że Abdul czegoś od niego chce, że mu grozi, więc skierował broń na kumpla.



– Judaszu, za kim jesteś? Potnę cię w paski, parówo. Tak cię przecwele, że ci dupa mordą wyjdzie.

Totalnie popłynął. Zacząłem się rozglądać za jakąś bronią. Ale w tym momencie Dżordasza zaszedł od tyłu Kojak, targając jedną z tych donic z badyłami, o które pruł się ostatnim razem Nutka. Uniósł donicę wysoko nad głową i załadował jełopowi na łeb. Dżordasz zwalił się na ziemię i tak został. Abdul podrapał się w ogoloną czaszkę i pochylił nad kumplem.

– Żyje, wariat. Niech se tak poleży i odpocznie. Ale go dziś pokręciło!

– Co on czesał? – zaciekawilem się.

– Nowe ścierwo Judyma – wyjaśnił Abdul. – Niby spid. Ale to nie spid, tylko turbospid ferrari! Widzieliście jego gały? Doktor podrasował szmatę jakimś psychogównem. Człowieku, pono wczeszesz setkę tego pudru i możesz sam iść na wojnę. Nie tykam się tego. Nawet chciałem, z ciekawości, ale gdy zobaczyłem, jak dobrych chłopaków powykręcało, to odpuściłem. A kwasy też porobił nasz mały chemik takie, że, kurna, jeden ziomek zarzucił ćwiare, no i był chop, nie ma chopa! Jest mała w kosmosie!

A więc Judym spełnił swoje marzenie i stworzył jakiś nowy produkt, który zamieniał agresywnych, głupich kafarów w turboagresywnych, totalnie ogłupionych pojebów. Miałem nadzieję, że to może tylko nieudana partia albo prototyp do dopracowania, a nie element jakiegoś większego planu Opiekuna.

– Wszyscy to siupią? – spytał Kojak. Trącił stopą Dżordasza, który niespodziewanie zaczął się wczołgiwać łbem głębiej w wypełnioną ziemią donicę, pochrzając jak świnia. – Co on wyprawia?

– Norę sobie kopie, będzie spał, nie ruszaj go lepiej – odparł Abdul i wrócił do pierwszej kwestii poruszonej przez Kojaka. – Wiecie, jaka jest akcja, większość cymbałów jest ciekawa nowych gadżetów i mają wyjebane, na jakiej chemii Judym pichci. A potem miśki chodzą na przyspieszeniu, ukirane nie do poznania. Nie pogadasz. Samiście widzieli, taki beton, że nie przebijesz. Normalnie operetka! Jak zaczynają za bardzo svirować, to Opiekun każe ich zamykać w lochach. Wszystkich razem. Tam się mogą tłuc do woli. Tylko rynsztunek im zabiera. No to się tłuką, gumbasy. Robią taki Afganistan, że potem tylko łopatom zbierać. Dziś też

mieli karnawał, chociaż teraz pewnie już stypa. Polegli pokotem, umordowani, i liżą rany.

– Grubo. Któryś już odpadł z gry? – spytał Kojak.

Kafar chyba nagle się zreflektował, że niepotrzebnie nam o tym wszystkim powiedział. Zmienił ton na bardziej oficjalny.

– Pan Gabriel czeka. Wyjmujta żelastwo. Wszystko, co tam kitracie, do ostatniego pilnika w podszewce.

– Nic nie mam – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Możesz mnie zmacać, jeśli lubisz.

– Ja też nic nie mam – odezwał się Kojak. – Nawet telefonu nie wziąłem.

Popatrzył na nas z takim zdziwieniem, jakby i nas pogięło od tego turbospida.

– Nie macie żadnej broni? Nawet zwykłej kosy? Nawet małego paranga?

– Nawet scyzoryka – odpowiedział Kojak. – Donicę miałem, ale teraz w niej ten misiek zamieszkał.

Parsknąłem śmiechem, jednak Abdul pozostał poważny.

– Duży błąd. Idą ciężkie czasy. Musicie se coś zorganizować. W necie można zamówić spoko maczety, tanio i z dowozem. Już za trzy dychy kupisz taką, co pisze, że na działkę. Głowy nie polecą, ale paluchy poupierdalasz. Na matkę zamówiłem.

– Zajebicie – ucieszył się Kojak. – Powycinam sobie te chaszczki wokół Jabolowej Chatki, bo mi się tam Cyganiska lęgną ostatnio, gniazda sobie wiją.

Kojak robił sobie dobre jaja, miał dziś fantazję. Ale równocześnie dotarł do mnie sens tego, o czym mówił Abdul.

– Co to znaczy, że idą ciężkie czasy? – spytałem.

– Nie czujesz w powietrzu? Ludzie się zbroją. Zróbcie to samo – poradził i rzucił szybko: – Idźcież już, bo jest po terminie, a i tak macie przesrane. Ściągniecie mi tu na łeb deszcz gówna z gradobiciem.

Było piętnaście po drugiej, więc rzeczywiście nagrabilismy sobie dodatkowych minusów u Opiekuna. Nie wiem, jak poważne było to, czym zawinił Kojak, ale ja byłem przygotowany, że obskoczę konkretny

wpierdol. No trudno. Nie pierwszy łomot i nie ostatni. Gorzej, jeśli planują mi coś na przykład odrąbać. Bardzo bym tego nie chciał.

– Jakby mieli ci coś upierdolić, to co byś wybrał? – spytałem Kojaka, gdy jechaliśmy windą.

– Wyluzuj. Dobro zwycięży. Jak codziennie.

Nie wiem, jakie dobro miał na myśli. Bo jakoś tego codziennego triumfu ideałów nie widziałem.

– Ja bym chyba wybrał mały palec u nogi – wyznałem. Gdy o tym gadałem na głos, wydawało mi się to mniej straszne. – I tak jest bez sensu. A jak człowiek o coś nim zahaczy, to ból, jakby końmi rozrywali.

– Ja też mały palec – zgodził się Kojak rażno. – Będzie dobrze, stary. Przecież zawsze udaje nam się wyjść z akcji bez utraty czegokolwiek.

Wysiedliśmy z windy na ostatnim piętrze. Instynkt podpowiadał, aby uciekać, ale nie udałooby nam się pokonać nawet kilku metrów. Teraz nasza droga prowadziła już tylko w jedną stronę. Miałem bardzo złe przeczucia. Przemknęła mi nawet przez głowę myśl, że powinienem coś Kojakowi powiedzieć, zanim wejdziemy do środka. Tylko co miałbym mu niby wyznać? Stanęliśmy pod drzwiami prowadzącymi do loftu. Nikt nie pilnował wejścia.

– Ej, Kojak, poczekaj – zawołałem w chwili, gdy sięgnął łapą do klamki. Odwrócił się. Podszedłem do niego i położyłem mu dłoń na ramieniu. – Nie wchodzić jeszcze.

– Co jest, ziomek? – spytał. – Znowu ci odbija?

– Nie.

– A, rozumiem, będziesz przemawiał. – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Albo chcesz mnie pocałować. Jeśli naprawdę mamy stamtąd nie wrócić, to wolałbym to drugie. Zapowiada się mniej żenująco niż te twoje pedalskie zwierzenia.

– Zepsułeś to, stary.

– Nic mi nie musisz mówić, przyjacielu – powiedział, tym razem poważnie.

– Bo ty wiesz, tak?

– Nie, kurwa – prychnął. – Bo się jeszcze nie żegnamy. Ale z ciebie ciota!

Nacisnął klawisk i weszliśmy. Z pozoru nic się tu nie zmieniło. Opiekuna przyodzianego w śnieżną biel zastaliśmy tak jak poprzednio rozpartego wygodnie na białej kanapie. Gdy się zbliżyliśmy, obserwował nas z tym swoim uśmiechem dobrotliwego wujaszka. Kakałko stał w rozkroku po lewej stronie Opiekuna, wystrojony w złote dresowe spodnie Adidasa, złote sportowe buty, obcisły, biały podkoszulek i gruby, złoty łańcuch na szyi. Pomachał do nas z uśmiechem. Na prawo od Opiekuna, tuż za kanapą, zamarł bez ruchu Kalafior, również w dresowych gaciach, tyle że czarnych. Miał odsłoniętą klatkę, pokrytą niezliczoną ilością blizn oraz starymi i nowymi tatuażami. Nie zareagował na nasze wejście. Pan Dobra Nutka czał się pod białą kolumną podtrzymującą strop. Wstrętny i pokurczony, wyglądał jak chory szczur. Jak frajer, który na imprezie bawi się najgorzej ze wszystkich. A im gorzej się bawi, tym bardziej wszystkich nienawidzi. Gdybym był w nastroju do żartów, tobym ich spytał, czy kręcą teledysk.

– Miałem cię za bystrzejszego, synu – powiedział Gabriel ze smutkiem. – Myślałem, że przyłożysz się do zadania.

– Potrzebuję czasu.

– Niestety, czas jest akurat tym, czego nie masz. Czas to luksus, który mógłbym ci ofiarować w ramach premii za dobrze wykonywaną pracę, ale na razie nie mam powodów, by cię nagradzać. Jestem rozczarowany twoją postawą. A nawet więcej niż rozczarowany... – Odwrócił się do swojego pedała, który przysiadł na oparciu kanapy i, Bóg mi świadkiem, zaczął w skupieniu piłować sobie paznokcie. – Kakałko, chłopcze, co ja dziś mówiłem, gdy rozmawialiśmy na temat Profesora?

– Mówiłeś, szefie... – powiedział szybko Kakałko i urwał, marszcząc brwi i udając, że usiłuje sobie przypomnieć. Nie przestawał równocześnie piłować pazurów. – Jak to szło? A! Już wiem. Powiedziałeś, szefuńciu kochany, że Profesor chyba robi sobie z ciebie jaja. A ja na to, że to niemożliwe. Nikt nie robi sobie z szefa jaj, bo każdy wie, że to zły pomysł. Ale zasugerowałem, że może ten mądrala chce ukreścić na boku jakieś własne lody albo nawiać, zabierając ze sobą swoją siostrunię, żeby jej Pan Dobra Nutka nie wydymał swoim kozikiem.

Pan Dobra Nutka stanął niespodziewanie za kanapą, na której siedziałem z Kojakiem. Poczulem nieprzyjemną woń z jego ust, jakby ktoś otworzył grób z gnijącym truchłem.

– Wcześniej oddałbym ją na trochę chłopakom – wyszeptał.

– Wystarczy – przerwał Opiekun. – Profesorze, chciałbym wiedzieć, czy dotarło do ciebie sedno?

– Tak – odparłem, bo co miałem mówić. – Zrozumiałem. Mogę już wrócić do roboty?

– Niestety. – Opiekun rozłożył ręce. – Muszę mieć pewność, że zrozumiałeś. I że w końcu twoja przemądrzała siostra też zrozumie.

Poczulem, jak lodowata dłoń zaciska się wokół moich wnętrzności.

– Jestem już bardzo blisko – skłamałem.

– Kłamczuszek. – Kakałko wymierzył we mnie palec.

– Znowu łże jak pies – dodał Pan Dobra Nutka.

– Jestem bardzo blisko – powtórzyłem, zwracając się do Opiekuna i olewając tamtych dwóch, chociaż cały czas czułem, jak Nutka dyszy mi w kark swoim trupim oddechem, podniecony w niepokojący sposób. Kakałko też wydawał się z chwili na chwilę coraz bardziej podekscytowany. Podrygiwał obok Gabriela na kanapie, jakby miał robaki w dupie. Może oni również naturalnie tego specyfiku Judyma. I teraz na coś czekali. Kalafior z kolei był zupełnie spokojny, nawet obojętny, ale i w jego zachowaniu było coś nienaturalnego. Nie umiałem jednak stwierdzić, co konkretnie. Skupiłem się na Opiekunie, bo tylko on mógł powstrzymać to, co planowali zrobić. – Za trzy dni, góra, dostarczę panu żonę. Żywą.

– Zobaczmy, zobaczmy – skomentował Opiekun, niezbyt przejęty tym, co usłyszał.

– Ale zachęta i tak się przyda, szefie – odezwał się Kakałko.

– Kakałko, Niestety, ma rację, Profesorze – powiedział Opiekun. – Musimy cię zmobilizować, ponieważ obawiam się, że wszystko, co teraz mówisz, to jedynie obietnice bez pokrycia, wymyślone na poczekaniu ze strachu.

Oczywiście było dokładnie tak, jak mówił. Mimo to wstałem i uśmiechnąłem się jak człowiek, który nie ma nic do ukrycia.

– Niech mi pan pozwoli udowodnić, że mówię prawdę.

Równocześnie w mojej głowie pojawiały się kolejne punkty do wykonania zaraz po wyjściu stąd. I żaden nie miał nic wspólnego z Sophie czy z Rzeźnikiem. Musiałem tylko opuścić Osiedle.

– Siadaj – warknął Nutka, przerywając chaotyczną kaskadę myśli w mojej głowie. Pociągnął mnie z powrotem na kanapę. – Wstań jeszcze raz bez pozwolenia, to ci przyśrubuję kolana do tej wersalki. A stopy do podłogi.

Odruchowo popatrzyłem na swoje stopy. I wtedy zauważyłem niebieskiego motyla przyklejonego do podłogi. Naklejka znajdowała się pół kroku od moich butów. To nie był przypadek. Nutce o to właśnie chodziło, żebym zobaczył niebieskiego motyla. Czułem, że tu nic nie było dziełem przypadku, każdy element miał ukryte znaczenie. A każda postać rolę do odegrania.

– Siedź spokojnie, synu, nie denerwuj Pana Dobrej Nutki, bo wziął o jeden niuch tabaki za dużo. Jak się wkurzy, to ja ci już nie pomogę – powiedział cicho Gabriel. Nie poruszyłem się więcej. Inni zresztą też zastygli w bezruchu. Tylko Kakałko cały czas miał niespokojnie szczęką, a w dłoni znowu ścisnął swój ostro zakończony pilnik. Popatrzyłem na Kalafiora, który gapił się na Opiekuna tak jak inni. Nawet mu powieka nie drgnęła. Właśnie. To było to, co nie dawało mi spokoju. Kalafior miał wadę wzroku, zwykle więc mrużył oczy. Ale nie teraz. Teraz patrzył nieruchomo małymi pustymi paciorkowatymi oczkami pluszowej zabawki. Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu, a przy tym całkiem rozluźniona. Zauważyłem, że Kojak również przypatruje się Kalafiorowi.

Opiekun odezwał się ponownie:

– Dobrze, widzę, że się uspokoiłeś. Naprawdę nie chciałem, by do tego doszło, ale nie dałeś mi wyboru. Nie, nie bój się, nic jej nie zrobię. Na razie. Ona jest w końcu jedyną gwarancją, że będziesz mi posłuszny. Tej małej ulicznicy, z którą mieszkasz, też na razie dam spokój. I twojej drugiej siostrze. I twojemu sąsiadowi. I twojemu staremu. I temu miłemu kuzynowi Tomkowi. No i twojej matce. Owszem, zabrałeś ją z Osiedla po walkach

dwa lata temu, ale niestety nie ukryłeś jej aż tak dobrze, jak ci się zdawało. Ale spokojnie, na razie nie spotkają ich te wszystkie okropne rzeczy, jakie im tu szykujemy od pewnego czasu. Jeśli będę z ciebie zadowolony, ci biedacy nigdy się nawet nie dowiedzą, co im groziło. Jeśli mnie jednak znowu rozczarujesz, oszukasz lub okłamiesz, to się tu wszyscy spotkamy. Moim ludziom potrzeba proszku i igrzysk. Proszek już mają, teraz czas na rozrywkę. To pomaga podtrzymać morale. Pozwolę ci wybierać, w jakiej kolejności i co spotka twoich bliskich. Nie mówię tu o banalnych zabiegach jak obcięcie palca. Nie bądź śmieszny. Naszą ambicją będzie zawstydzić Rzeźnika. Zawstydzić Króla. Nie łudź się też, że każę ci na przykład przy wszystkich uprawiać seks z siostrą, bo co to za kara! Zbliżenie fizyczne z Kojakiem również nie wchodzi w grę, bo nie mam zamiaru spełniać waszych tłumionych erotycznych fantazji. Ale jest wiele innych interesujących kombinacji. Pomyśl o nich, synu.

Pomyślałem, chociaż bardzo starałem się nie myśleć. Kakałko podczas przemowy Gabriela wpadł w prawdziwą ekstazę, oblizywał się, chichotał, łapał za krocze i cały czas podskakiwał na kanapie. Kalafior nadal gapił się bezmyślnie na Opiekuna.

– Tobie też na razie nic nie zrobię, bo potrzebujesz wszystkich członków, by kontynuować zlecenie – podjął wątek Gabriel. – Sądzę jednak, że na tym etapie pomocnik nie jest ci już do niczego potrzebny. Za dobrze się razem bawicie, chłopcy. Potraktuj to jako niewinne preludium do tego, co się może stać w przyszłości.

Zdążyłem jeszcze odwrócić się do Kojaka, który – podobnie jak ja – od razu zrozumiał, co się za chwilę wydarzy. Popatrzył na mnie wzrokiem zaszczutego zwierzęcia, zbuntowanego żołnierza, rozczarowanego przyjaciela. A może tylko tak mi się wydawało.

Zerwałem się o sekundę za późno. Nutka wskoczył na kanapę, warcząc jak dzikie zwierzę. Odchylił głowę Kojaka i przyłożył mu do szyi nóż.

– Stop – powiedział nagle Opiekun. Wszyscy zamarliśmy w bezruchu. Nutka nadal trzymał nóż przy szyi Kojaka. Kakałko przestał podrygiwać. – Kalafior, twoja kolej.

Kalafior obszedł kanapę i stanął przede mną w miejscu, gdzie był przyklejony niebieski motyl. Zobaczyłem na piersi tego mięśniaka nowy tatuaż, który głosił: *Better to reign in Hell, than serve in Heaven.*

– Chcę ci pokazać, Profesorze, w jaki sposób kształtujesz rzeczywistość, nic nie robiąc. To jest właśnie twój efekt motyla. Siadaj i obserwuj, co się będzie działo.

Usiadłem, mimo że nie miałem na to ochoty. Opiekun spojrział na Kakałko, który momentalnie wstał z kanapy, ściskając w dłoni swój pilnik. Podszedł do Kojaka, którego Nutka trzymał nadal w uścisku. Dlaczego Kojak nie próbował się wyswobodzić? Był przecież dwa razy silniejszy. Kakałko przyłożył pilnik do gardła Kojaka. Niespodziewanie jednak odwrócił się w kierunku Kalafiora. I już był przy nim. I dźgał raz za razem jego potężną klatkę, brzuch, szyję. Bokser stał, nie próbując się nawet osłaniać, jakby nie odczuwał bólu. W powietrzu roznosił się smród wymiocin i kału. Kakałko przebił żołądek i jelito grube.

– Raz. Dwa. Trzy. Koniec – powiedział Opiekun.

Kalafior ocknął się i zaczął rozglądać, zdezorientowany, mrużył oczy. Spojrział na swoją zakrwawioną klatkę piersiową i podziurawiony brzuch. Potem przeniósł wzrok na mnie.

– Dlaczego to zrobiłeś? Zawsze cię lubiłem, Profesorze. Teraz nie masz już w pałacu nikogo, kto by ci dobrze życzył. Będiesz tego żałował, szukając drogi ucieczki. Na próżno. Piekło jest w tobie. Gdziekolwiek nie pójdziesz, ono tam będzie.

Zrozumiałem, że Kalafior wcale się nie obudził, tylko recytował wyuczoną kwestię. Popatrzył na Kojaka.

– Na nas już czas, Kojak. Lepiej być panem w piekle niż sługą w niebiosach. Dzień dobry.

Na „dzień dobry” ocknął się naprawdę. Miałem déjà vu. Oglądał swoje zmasakrowane ciało, a potem spojrział na mnie z wyrzutem. Niespodziewanie powiedział:

– I do widzenia.

Wtedy Kakałko podszedł do niego i zakończył dzieło jednym zdecydowanym ruchem, przecinając mu gardło od ucha do ucha. Krew chlusnęła na mnie, obryzgując mi twarz. Kakałko odwrócił się tanecznym, płynnym ruchem i dźgnął Kojaka w bok, a potem w pierś i w szyję. Niewiele widziałem zza szkarłatnej zasłony. Potężne ciało Kalafiora runęło na ziemię. Poczulem uderzenie pięści Nutki. Wiedziałem, że to musiał być



on. Był lichej postury, dlatego dla pewności nakładał na pięści kastety, które teraz gruchotały mi twarz. Upadając, zobaczyłem, jak za czerwoną taflą Kojak wyswobodzony z uchwytu Nutki wolno osuwa się na kanapę, jakby zmęczony układał się do drzemki. Patrzył przy tym zaskoczony. Nigdy nie widziałem nikogo tak bardzo zaskoczonego. Jakby nie mógł w to wszystko uwierzyć. Byłem na niego zły, że nie dał mi powiedzieć przed wejściem tego, co miałem mu do powiedzenia. A Nutka walił mnie po ryju. Jak przez mgłę zobaczyłem, że Kakałko podchodzi i wymierza mi kopniaka w brzuch, potem w żebra, potem w nerki, a na koniec w krocze. To, co nastąpiło później, mogło już równie dobrze być gorączkową, senną maligną, która spłynęła na mnie litościwie. Tuż obok Kakałka pojawił się z kamienną twarzą Pan Dobra Nutka. Nawet teraz się nie uśmiechał. Kakałko za to śmiał się za dwóch. Z trudem odwróciłem głowę, by spojrzeć na Opiekuna, który przyglądał mi się z nieodgadnionym wyrazem głębokiego zamyślenia na twarzy. Pochylił się do przodu, żebym na pewno go usłyszał.

– Nikt poza tobą i mną nie widział, co się tu stało. Nikt nie widział, jak wchodzić do pałacu. Nikt nie zdradził ci więcej, niż powinien. Czy możesz na sto procent powiedzieć, że wiesz, co widziałeś? Albo czy przypadkiem nie okłamuję cię teraz? Więc zamiast się nad tym głowić, zabierz się w końcu do roboty. Niedługo spotkamy się znowu, Profesorze.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, był zbliżający się do mojej twarzy but Nutki.

„Pewnie nie zrozumiesz, ale spróbuję ci to wyjaśnić. Kiedy ginie twój partner, nie można puścić tego płazem. Wszystko jedno, co o nim myślałeś. Był twoim partnerem i to wystarcza. Pracuję w branży detektywistycznej. Kiedy ginie jeden z naszych, nie można pozwolić, by uszło to mordercy na sucho. Trzeba go schwytac dla dobra wszystkich detektywów”.

*Sokół maltański*

REŻ. JOHN HUSTON

Co się stało, że Pan Dobra Nutka nachyla się nade mną i czule ociera moją twarz z krwi? Pozbierał zęby ostrożnie, jakby były bardzo cenne, i włożył je do ozdobnego pudełeczka. A potem grzechotał nimi, usiłując mnie rozbawić. Uniosłem się na łokciach, a on pomógł mi wstać. Znajdowałem się na tarasie rozświetlonym ostrym, popołudniowym słońcem. Ale coś było nie tak. Po chwili zrozumiałem, że nie słyszę oceanu. A więc nie udało mi się kupić biletów? Nigdzie nie wyjechaliśmy. Gdzie w takim razie jestem? Chciałem zapytać o to Nutkę, ale czułem, że mi nie powie. Albo jeszcze gorzej – usłyszę coś, co mi się nie spodoba. Co prawda, ten nowy Pan Dobra Nutka był miły i mówił do mnie wysokim głosem kastrata, wyznając, że niestety, za młodu utracił swoje męskie klejnoty. Śmiał się przy tym, wyjaśniając, że żadna to strata, bo wcześniej był impotentem. Głaskał mnie po ramieniu w jakiś natarczywy sposób. Spojrzałem w jego płonące oczy, a on szeptał, że chciałby chociaż raz spółkować z kobietą, choć raz... Nie chciałem tego słuchać. Odwróciłem wzrok, bo z jego ust dochodził do mnie odór śmierci, rozkładu i fekaliów. Rozejrzałem się za kimś innym, kto mógłby udzielić mi wyjaśnień. Nieopodal opalał się uśmiechnięty Kojak, odziany w czerwony, wyjątkowo wytworny atlasowy szlafrok. Zupełnie nie zwracał na nas uwagi. Chciałem do niego podejść, ale naraz zobaczyłem, że to nie szlafrok, tylko krew, i nie uśmiech, lecz krwawa jama ziejąca pośrodku szyi. Odskoczyłem.

– Nie zasłużyłem na to – z wnętrza rozciętej gardzieli wydobył się pełen wyrzutu bulgoczący głos. – To twoja wina.

– Nie chciałem tego, wiesz, że na swój sposób...

– Na swój sposób – przedrzeźniał mnie Kojak. Jego głowa opadała w tył. Rana była coraz większa. Widziałem kości, mięśnie i ścięgna. – Nawet raz mnie nie pocałujesz? Tak bardzo jestem ci wstrętny? Kim jesteś, żeby mnie oceniać? Jak zwykle oddałem życie, żebyś mógł pieprzyć swoją siostrę.

– Ona tu jest – wyszeptał Nutka przerażony. Znowu zaleciało grobowym wyziewem.

Miał rację. Stała, opierając się o balustradę, i patrzyła na Tatry w oddali. Długie, jasne jak piasek włosy falowały na wietrze.

– Chciałbym z nią, chociaż raz – szeptał Nutka. Jego smrodliwy oddech stawał się nie do wytrzymania. – Chciałbym pożyczyć tego twojego i z nią współżyć jak mąż z żoną. Przecież ty i tak nie skorzystasz...

Złapał mnie mocno za krocze.

– Jak możesz wciąż mi to robić? – Kojak płakał. Czułem obrzydzenie i pogardę. – Jesteś złym człowiekiem.

Wielka gradowa chmura przysłoniła słońce. Jej włosy pociemniały. Wtedy się odwróciła. Na jej obcej twarzy malowały się smutek i rezygnacja. Zachwiała się, usiłując chwycić barierkę, której już nie było. Runęła w dół. W górską przepaść.

– Coś ty znowu narobił!

Zalała mnie zimna i kojąca fala oceanu.

Ocknąłem się.

– Coś ty znowu narobił?

Z trudem otworzyłem zapuchnięte oczy. Leżałem na brzegu oceanu. Cały byłem mokry. Czyli się udało. I jej, i mnie. Uciekliśmy.

– Co tu robisz? – wybełkotałem. Mówienie sprawiało mi trudność.

– Co ja tu robię? – zdziwiła się.

Pochyliła się nade mną, trzymając w ręku szlauch z wodą. Skierowała strumień ponownie na moją twarz.

– Przestań – zaprotestowałem słabo, odsuwając jej rękę. – Co robisz!

– Cuce cię, idioto – warknęła z wyrzutem.

Uniosłem się ostrożnie na łokciach. Patrzyła na mnie w napięciu. Ubrana była jedynie w różowy, dwuczęściowy strój kąpielowy, który wydał mi się wyjątkowo dziwnym ubiorem jak na wielkie wyjście. Jakie wielkie wyjście? W głowie miałem skłębioną i lepłą watę cukrową. Odrzuciła szlauch i wtedy zobaczyłem, że ma zakrwawione dłonie.

– Potrafisz wstać? – spytała głosem, w którym nareszcie nie było pretensji ani irytacji, tylko jakieś dalekie echo troski. – Nie możesz tu leżeć. Jak cię sąsiedzi zobaczą, mogą wezwać pyty, a tego chyba nie chcesz.

Nareszcie dotarło do mnie, że leżę na trawniku przed jej domem.

– Co ja tu robię?

– Koledzy cię podrzucili. Twoim samochodem – znowu mówiła z przekąsem. – Coś mi się zdaje, że już zupełnie przestali cię lubić. Co ty, kurwa, znowu nawywijałeś?

– Nic. I o to chodzi. Chyba.

– Proszę cię, wstań w końcu.

Zacząłem się podnosić nieporadnie, jak nowo narodzony żrebak. To w sumie było głupie porównanie, bo nie czułem się jak nowo narodzony. Raczej jak konający. Pomogła mi wstać. Była zadziwiająco silna. Pachniała owocami, słońcem i oceanem. Dawno nic tak ładnie nie pachniało w pobliżu mnie. Gdy w końcu udało mi się stanąć w miarę prosto, zaczęła mnie holować do wielkiej białej willi, w której mieszkała ze swoim narzeczoną. Milczała, a ja czułem, że tym razem jest naprawdę wściekła. Może nie dąsałaby się tak bardzo, gdyby wiedziała, że cudem uniknęła mojego losu. I wtedy sobie przypomniałem wszystko, co się wydarzyło na Osiedlu. To znaczy chyba się wydarzyło. Opiekun mieszał mi w głowie niczym w wielkim kotle z zupą, co chwila dorzucając nowe składniki. Tak że już zupełnie nie było wiadomo, co to za zupa.

– Kojak nie żyje – powiedziałem. – I Kalafior. Chyba.

Nie odezwała się. Weszliśmy do przyjemnie chłodnego hallu, wielkiego jak sala gimnastyczna. Stamtąd poprowadziła mnie do eleganckiego salonu. Chciałem usiąść na kanapie obitej czerwoną skórą, ale powstrzymała mnie.

– Czekał. – Sięgnęła po spoczywającą na oparciu kolorową narzutę i rozłożyła ją na siedzisku. – Teraz siadaj. Nie zakrwawisz nam kanapy.

– Przecież jest czerwona. Czerwona jak krew. Chyba.

Spojrzała na mnie dziwnie. Usiadłem, a ona wyszła. Nie wiem, jak długo jej nie było; w głowie nadal miałem irytującą pustkę. A przecież trzeba działać, rozdupcyć coś, ale jakoś mi się nie chciało. Wróciła, niosąc w jednej ręce kryształową misę wypełnioną wodą i lodem, a w drugiej apteczkę. Zdążyła też narzucić na siebie jedwabny szlafrok w jakieś kwiaty. Wraz z nią do pokoju wkroczył czarny kot. Zatrzymał się na mój widok, a potem podszedł bliżej, zaciekawiony. Usiadła obok mnie. Niechlujnie zawiązany szlafrok rozchylił się, ukazując jej drobne, opalone piersi w skąpym bikini. Kot tymczasem wskoczył na niski szklany stolik stojący przed kanapą i rozpoczął myjkę. Ona ścierała mi krew z oka, a kot lizał łapę i przecierał sobie ślepią. Zamoczyła ręcznik w misie, aby go przepłukać. Kot przerwał mycie pyszczką, bo zainteresowały go czerwone smugi wirujące w wodzie wśród kostek lodu. Zaczął je trącać łapą, chlapiąc dookoła.

– Andrzej, przestań. – Trzepnęła go po łapie, a on odsunął się trochę, ale nie odrywał wzroku od wody zmieniającej kolor na szkarłatny.

– To twój kot? – spytałem, bo czułem potrzebę weryfikowania każdej rzeczy. – Znam go?

– Tak.

– Ma na imię Andrzej? Idiotycznie. To znaczy chyba. Bo może właśnie Andrzej to spoko imię.

Chciałem pogłaskać kota. Wyciągnąłem brudną, zakrwawioną łapę w jego kierunku.

– Nie ruszaj się – rozkazała. – Potem go sobie pogłaszczesz.

– Mogę zobaczyć swoją twarz?

– Jesteś pewien, że chcesz? – spytała sceptycznie.

– Niczego nie jestem pewien. Dużo gorzej być chyba nie może. – Zaśmiałem się, aż zaboląły mnie żebra. Ona się nie śmiała, co mnie zaskoczyło. – No dalej, śmieć się, przecież lubisz się nabijać z mojej niewyjściowej gęby. Ale czekaj, bo może właśnie jest to gęba jak najbardziej atrakcyjna.

– Uspokój się – powiedziała ostro.

Wstała i podeszła do antycznej komody, na której stało lustro w bogatej złotoczonej oprawie. Podała mi je.

– Masz, naciesz oczy. A raczej oko.

Nie, to chyba jednak nie była ładna twarz. Dobrze, że wiedziałem, że patrzę na swoją mordę, bo inaczej bym siebie nie poznał. Nos, który już wcześniej był złamany (przez nią zresztą) i zawadiacko wykrzywił się na prawo, teraz dla odmiany wychylał się w lewą stronę. Wyjaśniła się też tajemnica, dlaczego tak źle widziałem. Otóż lewe oko miałem tak zapuchnięte, że mogłem tylko mieć nadzieję, że nadal tam jest, za tymi powiekami wyglądającymi jak bułka poznańska. Prawe oko było w nieco lepszym stanie. Z rozciętej wargi sączyła się krew, która powoli zasychała mi na brodzie. Czoło zdołało okazać guz. Włosy miałem pozlepiane zakrzepłą krwią. Językiem wyczułem ruszającą się czwórkę. Dziwnie to wszystko wyglądało w tej bogatej, barokowej oprawie zwierciadła. Wrażenie ogólnego absurdu wzrosło jeszcze bardziej. Bez słowa odłożyłem lustro. A ona niecierpliwie złapała mnie za brodę i odwróciła mój niepiękny ryj ku sobie.

– A teraz nie ruszaj się już, OK?

Ponownie zamoczyła ręczniczek, na którym zauważyłem monogram Goldenthala, i przetarła mi twarz. Ale wcale nie tak czule, jak czynią to niewiasty na filmach, ocierając pokancerowany, spocony i zakrwawiony pysk Bruce’a Willisa czy Harrisona Forda. Raczej tak, jakby wycierała stół.

– Czy twój przyszły mąż wszystko ozdabia monogramem? – spytałem. – Mam na myśli majtki, skarpetki, piżamy...? Wyszywasz mu te inicjały na markowych gaciach?

– Powiedziałam: nie ruszaj się – wysyczała – co oznacza, że masz też nie kłapać jadaczką.

Chyba niepotrzebnie ją wkurwiłem, bo bez ostrzeżenia i mało delikatnie przyłożyła mi do nosa nasączony spirytusem wacik. A potem niespodziewanie chwyciła mój nos i wyprostowała, czemu towarzyszyło nieprzyjemne chrupnięcie, młaśnięcie i chluśnięcie nowego strumienia krwi. Oraz ból, od którego oczy zaszyły mi łzami i na moment mnie zamroczyło. Pomyślałem, że to musiało jej sprawić nie lada przyjemność. Ale mogłem się mylić.

– To miłe, że tak się mną zajmujesz – wykrztusiłem z trudem. – Wzrusza mnie twoja troska. Tata ci kazał?

– Jeśli się zaraz nie zamkniesz, to wpakuję cię do taryfy i odeślę na Dębniki, i sam będziesz się sobą zajmował.

– Zajmowanie się sobą to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę po tym, jak Kakałko przetestował wytrzymałość swojego złotego obuwia na moich jajach – zaserwowałem znakomitego dowcipasa, a potem zaryzykowałem bajerkę: – Może sprawdzisz, czy nic im nie jest? Czy poniżej pasa twoja troska nie sięga? Tego tatko chyba nie pochwała, co? A co by powiedział na to, że świecisz mi tu cyckami?

Mówiąc to, wyciągnąłem rękę i odsunąłem brzeg jej szlafroka. Momentalnie zerwała się z kanapy. Rzuciła mi zakrwawioną szmatę w twarz.

– Jesteś chujem, wiesz? – powiedziała z wściekłością.

– Oj, dobrze już, zamykam się. Wracaj tu i kontynuuj – powiedziałem i chciałem mrugnąć, ale nie udało mi się z tym zapuchniętym okiem. Może i dobrze, bo mój uśmieszek wkurwił ją dostatecznie.

Siadła na fotelu z daleka ode mnie. Wyjęła z kieszeni szlafroka swoje zwykowne, czarne papierosy i zapaliła ze złością, a potem powiedziała już spokojnie, patrząc na mnie:

– Jest mi ciebie żal. Żal mi ciebie, bo jesteś takim smutnym złamasem. Tak bezsilnym, że nie pozostaje ci nic innego, jak wyładowywać swoją wściekłość, ból i frustrację na jedynej osobie, która chce i może ci pomóc. Czyli na mnie, buraku. Mogę nawet tu siedzieć i słuchać twoich chamskich uwag, jeśli od tego masz się poczuć lepiej. Bo mnie to nie rusza. No więc słucham. Masz na pewno sporo do powiedzenia na temat Aarona, naszego domu i paru innych rzeczy.

Sięgnęła po stojącą na stole karafkę i nalała sobie potrójną porcję whisky. Pociągnęła ogromny łyk, krzywiąc się. Nigdy nie lubiła whisky, nawet tak dobrej, jak zapewne ta należąca do barona Goldenthala. Piła jednak, nie przestając się krzywić.

Zepsuła całą zabawę. Ale miała rację. Byłem wkurwiony, sfrustrowany, obolały, skołowany. Niby jaki miałem być, skoro posłali do piachu mojego najlepszego przyjaciela? Ona była pod ręką. A ja miałem dosyć jej gier.

I obwinałem ją za część tego, co się stało. Za to, że zadarła z Opiekunem. Że przez nią tkwiłem tu jak skończony frajer. I w końcu doprowadziłem do tego, że ostatni na Osiedlu, a właściwie jedyny przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem, rozpuszcza się właśnie w kwaśnej kąpieli naszykowanej przez Pana Dobrą Nutkę.

Nalała whisky do drugiej szklanki i pchnęła ją po szklanym blacie stolika w moim kierunku. Andrzej drgnął niespokojnie. Z apteczki wyjęła ketonal i rzuciła mi. Złapałem słoiczek i wyjąłem z niego dwie tabletki. Zarzuciłem i popiłem whisky, od której zapiekło mnie w gardle. Nie byłem pewien, czy alkohol mi smakuje. Ale nie o smak tu przecież szło, tylko o znieczulenie.

– Przykro mi – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Jest mi naprawdę strasznie przykro. Lubiłam Kojaka. Zawsze był dla mnie dobry i miły. I sprawiedliwy.

– Nie mów tak, jakbyś cokolwiek o nim wiedziała. W ogóle o nim nie mów.

Zapaliła kolejnego papierosa i dołała nam obojgu whisky.

– Posłuchaj mnie – powiedziała ostrożnie, gdy się znowu napiliśmy. Alkohol smakował teraz łagodniej i chyba zaczął w końcu działać. – Musimy wymyślić, co zrobić, żeby nas nie spotkał ten sam los. Wiesz, że mam rację.

– Masz rację. I wiem, co należy zrobić. Musimy wyjechać. Chyba.

– Co się z tobą dzieje? Co ta za chyba, chyba?

Opowiedziałem jej dokładnie, co się najprawdopodobniej wydarzyło od chwili, gdy przyjechałem dziś na Osiedle. I powtórzyłem ostatnie zdanie Opiekuna.

– Chciał ci jeszcze bardziej namieszać w głowie – stwierdziła. – Dziwny typ.

– To jest zło w czystej postaci. Zawsze kilka kroków przed nami. Otacza się psychopatami. Faszkuje swoje mały jakimś zupełnie nowym gównem. Nie wiadomo, do czego są zdolni. Zamyka ich w piwnicy, by się nawzajem rozszarpywali w amoku. Opiekun robi to wszystko w jakimś celu. Nie mam ochoty czekać, aż wybije godzina zero. On nas zabije. Wszystkich. Po kawałku. Nie da się go pokonać. Należy przed nim spierdalać albo do niego



dołączyć. Ale nawet to nigdy nie będzie gwarancją przeżycia. Musimy spierdalać. Natychmiast.

– No to spierdalaj. Nie zostawię Aarona, Tomka, Loli i mojej mamy. Nawet ojca nie zostawię. A Edward, a twoja matka? – pytała.

Powiedziałem jej o wszystkich potencjalnych przyszłych ofiarach Opiekuna, poza Lilianną, bo nie miałem siły jeszcze z tego się tłumaczyć.

– Zabierzemy ich.

– Człowieku, ty bredzisz. To się nie uda. Nie próbuj mnie do tego namawiać, bo ja nigdzie się nie wybieram. Tu jest moje miejsce. Nie mam zamiaru uciekać.

Wiedziałem, że nie da się jej przekonać, i nie było teraz sensu tracić energii na jałowe gadanie.

– Więc co proponujesz? Słucham.

– Jeszcze nie wiem. Potrzebujemy czasu. Zanim nie wymyślimy czegoś lepszego, musisz spróbować zrobić to, czego żąda Opiekun. Odnaleźć Sophie. A jeśli uda ci się do tego dopaść Rzeźnika, może Gabriel da się udobruchać.

– Ach, więc mam tylko znaleźć babę, która zapadła się pod ziemię, i rozpracować psychopatę od pół roku wyrzynającego mieszkańców Krakowa. Nic prostszego!

– Nie powiedziałam, że to proste. Ale musisz chociaż spróbować.

Milczałem, patrząc na nią niechętnie.

– Możemy teraz normalnie porozmawiać? – spytała.

– Proszę bardzo.

– Co cię najbardziej uderzyło w tej sprawie?

– Najbardziej? – Zamyśliłem się. – Cały czas mam nieodparte wrażenie, że w tym wszystkim chodzi o coś zupełnie innego, niż nam się zdaje. Że coś dzieje się pod naszym nosem, a my nie wiemy, na co patrzymy.

– Kuglarska sztuczka, zasłona dymna, najciemniej pod latarnią – wymieniała. – Skupienie na szczególe nie pozwala zobaczyć ogółu?

– Tak.

– No dobra, co tutaj jest tym ogółem? Wokół czego kręci się cała akcja? Co wpływa na wszystko inne?

– Kraków? Osiedle? Wpływy? Władza? Wojna? Rzeźnik?

– To może być każda z tych rzeczy – zgodziła się. – Ostatecznie stawiałabym na walkę o wpływy. Co jeszcze cię zastanawia?

– Może to głupie, ale cały czas nie wiem, kim jestem w tej rozgrywce. Jestem Detektywem? Pionkiem? Narzędziem? Ofiarą?

– Też się nad tym zastanawiałam. Opiekun zadał sobie sporo trudu, by cię odnaleźć, zmusić do posłuszeństwa i w końcu doprowadzić do stanu, w którym się znajdujesz. Jesteś mu do czegoś potrzebny. Ale niekoniecznie do odszukania żony. Wybacz, ale prowadzenie śledztw nie należy do twoich mocnych stron. Nie jesteś detektywem. Ten jego upór, by cię zatrudnić w tej roli, od początku wydawał mi się dziwny. Nie czaję jego motywacji. Dlaczego właściwie zabił Kojaka? Żeby cię ukarać?

– Tak powiedział. Ale dlaczego w takim razie zabił Kalafiora? To było bez sensu. Dla samego pokazu siły? Musiałabyś zobaczyć tę inscenizację.

– Może chciał odwrócić twoją uwagę? Może chciał ci pokazać, jak bez wahania zabija ludzi, żebyś przestał się zastanawiać, dlaczego zginął Kojak? Może Kojak coś wiedział?

Owszem, Kojak o czymś wiedział. Dokonał jakiegoś odkrycia. Nie chciał mi powiedzieć jakiego. Mówił, że to nieważne. Ale może się mylił? Podzieliłem się z nią tym przypuszczeniem, a ona prychnęła z irytacją:

– Nie wiesz, że jak ktoś twierdzi, że być może coś odkrył, to się to z niego wyciąga natychmiast! Inaczej taka osoba nie pożyje nawet doby. Opiekun miał sporo racji, wkurzając się na brak postępów w śledztwie. Szkoda, że to nie mnie zatrudnił. Na tym etapie pewnie bym już domykała sprawę...

– Zdajesz sobie sprawę, że mówisz te rzeczy na głos?

– Mówię, jak jest.

– Nie możesz mieć pewności, że tobie by się udało...

Spojrzała na mnie pobłaźliwie.

– Och, oczywiście, że mogę.

– Jeśli uważasz, że jesteś sprytniejsza od Gabriela, to znaczy, że nie jesteś wyjątkowo utalentowana, tylko wyjątkowo głupia. Opiekun nie jest zwykłym przestępcą...

– Daj mi dokończyć, zamiast się obrażać, że się znowu poczułeś mentalnie wykastrowany moimi słowami – przerwała mi. – Zgadzam się, że Opiekun nie jest zwykłym przeciwnikiem. Wynajęcie totalnego amatora do odszukania ukochanej żony z pozoru wydaje się głupie. Dlatego zastanawiam się, czy jemu w ogóle zależy na odnalezieniu Sophie. Może on wcale nie chce, żebyś ją odnalazł? Może chce czegoś zupełnie innego?

– Od początku podsyła mi trop Grety.

– Może Opiekun wykorzystuje właśnie ciebie, bo ty ją znasz lepiej niż inni? Podobnie ma się sprawa z Angie i całą rodziną Królów. To, że znasz ich wszystkich, jest właściwie twoim jedynym atutem jako detektywa.

Puściłem mimo uszu zniewagę, bo w jej słowach było sporo racji.

– Przyjrzyj się dyskretnie Grecie i Angie – zasugerowała. – Ale nie rezygnuj z odszukania Sophie. Nawet jeśli nie o nią tu chodzi, to gdy ją znajdziesz, wywiążesz się z umowy, więc teoretycznie Opiekun nie będzie miał powodów, by nas nękać. Teoretycznie.

– A ty co będziesz w tym czasie robiła?

– Spróbuję dobrać się do Gabriela od strony, którą całkowicie pominęliśmy. Powiedziałeś, że po zabójstwie Prochackiej policja dosyć szybko zwinęła się z Osiedla. Nie zostawili tam nikogo ze swoich. Terenu pilnują za to naczესane turbospidem małpoludy. W piwnicy kolejna grupa karków napażra się, aż padnie, bo Judym testuje na nich swoje mikstury. Abdul hurtowo zamawia sprzęt do karczowania lasu. A Nutka i Kakałko mordują dwie osoby w obecności świadka, którego następnie katują i podrzucają pod dom inspektora policji. I to jest tylko jeden dzień z życia Osiedla, stary. Gabriel pozwala sobie na więcej niż ktokolwiek przed nim. Co ci to mówi?

– Że chłop musi mieć dobry dil z kimś wysoko postawionym. Takie układy z psiarnią zawsze były na Osiedlu. Ale zwykle dotyczyły jakiejś drobnej wymiany przysług i informacji. I jedni, i drudzy wiedzieli, gdzie leży granica tego, co im wolno. Nawet Król nie nadużywał swoich znajomości. Psy przymykały oko na niektóre rzeczy, takie jak pobicia, kradzieże, rozboje. Ale na pewno nie zignorowałyby morderstwa popełnionego przez seryjnego mordercę. Sprawa Rzeźnika to zupełnie inny

kaliber. Tym żyje całe miasto, a mimo to żadna parowa nie węszy po Osiedlu.

– Jeśli góra zadecyduje, że Prochacka nie jest ofiarą Rzeźnika, to Aaronowi odbiorą tę sprawę i dostanie ją ktoś inny. Najprawdopodobniej tajemniczy znajomy Gabriela, który nie będzie specjalnie się przykładał do wyjaśnienia tej zbrodni.

– Może spytaj tego swojego dzielnicowego, czy nie wie, kto z jego koleżków może być człowiekiem Opiekuna?

– Spytaj! – prychnęła nagle ze złością. – Myślisz, że to takie proste? Aaron nic mi już nie mówi. Jego zwierzchnicy wiedzą, kim jestem, i on musi się bardzo pilnować, żeby nic od niego nie wyciekło. A ja nie chcę blokować mu kariery.

Pomyślałem, że może i była najlepszym detektywem w całym kosmosie, ale dzięki swojemu fagasowi chyba dawno nie miała okazji, by podtrzymać legendę.

– Nie masz klientów, bo jesteś zaręczona z psem i ludzie przestali ci ufać. I na dodatek straciłaś swoje najlepsze źródło informacji. Za jednym zamachem. Chyba zrobiłaś kiepski interes.

– Moja sprawa, odwal się – powiedziała nieprzyjemnym tonem. – Chyba każde z nas wie, co ma robić, więc idź już, zanim Aaron wróci.

Wstałem z lekkim trudem. Wziąłem ze stołu słoik ketonalu i schowałem do kieszeni. Popatrzyłem na nią. Siedziała na kanapie, paląc papierosa i nie patrząc na mnie. Pomyślałem, że każde nasze spotkanie było jak jazda na rollercoasterze. Najpierw opatrywanie ran, potem dokuczanie i słowne przepychanki, następnie odrobina szczeroci i chwila rozsądnej racjonalnej rozkminy, a na koniec: jeb! I ona znowu obrażona.

– To nara – powiedziałem.

– Nara – odburknęła.

Ruszyłem w kierunku otwartych dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do hallu. Miałem wyjść, ale coś podkusiło mnie, by się odwrócić. Siedziała tam, gdzie ją zostawiłem. Kot również. Nalała sobie jeszcze z karafki. Uniosła szklankę do ust.

– Nie umiesz trafić do wyjścia? – spytała, nie odwracając się.

– Zawsze byłaś materialistką. Rozumiem, że taka fortuna skusiłaby większość podobnych tobie. Ale to policyjna menda! Tak nisko upadłaś! Musi mieć naprawdę dużego kutasa.

W końcu się odwróciła.

– Owszem, ma. Większego niż ty. To chciałeś usłyszeć, żaloszny gnojku? Chcesz prawdy? Jestem z nim, bo go kocham. Już raz musiałam wybierać pomiędzy tobą a nim. Pamiętasz? Jasne, że pamiętasz. I tym razem wybrałabym tak samo. Zapamiętaj to. Może chwyciłeś się jakiegoś złudzenia, bo kilka razy ci pomogłam. Ale robię to tylko dlatego, że łączą nas więzy krwi. Tylko dlatego nadal znoszę twoje chamstwo i bezczelność. Ale nie dłużej niż do zakończenia tej sprawy. Potem stąd wyjedziesz. Uwierz mi, kurwa, że wyjedziesz. Tym razem na dobre.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Ciszę panującą w salonie mąciło jedynie mruczenie kota. Potem rozległ się szcęk zamka w drzwiach wejściowych. Odwróciłem się w ich stronę. Pan domu wszedł do hallu. Omiótł mnie obojętnym spojrzeniem. Skrzywił się lekko, jakby coś mu nieprzyjemnie zapachniało. Może moja obita mordą podobała mu się jeszcze mniej niż nieobita.

Ona wyminęła mnie i podeszła do niego. Kot też przyszedł się przywitać, czy może obejrzeć tę scenę. Przysiadł z boku, zachowując uprzejmą neutralność. Ona wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Inspektor swoim policyjnym okiem od razu zauważył, że jej ręce pokryte są zaschniętą krwią. Uniósł jej dłoń i przyjrzał się.

– To nie moja krew – wyjaśniła. – Profesor dostał wpierdol. Przyszedł do mnie, bo myślał, że mamy z tym coś wspólnego. Wyjaśniłam mu, że to nie w naszym stylu. A teraz wychodzi.

– Jest właśnie tak, jak powiedziała – potwierdziłem.

Wyszedłem, odprowadzany ciężkim spojrzeniem Goldenthala. Mój samochód stał na podjeździe. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Wsiadłem i odjechałem, żywiąc nadzieję, że w pięknym domu, który zostawiałem za sobą, rozpętała się właśnie awantura.

Byłem tak zły, że miałem ochotę spakować się i wyjechać, niech Nutka zrobi z nią, co mu się podoba. Ale potem przypomniałem sobie, że Opiekun

zabił Kojaka. Dlatego muszę tu zostać. Pozwolę, by mi pomogła, ale resztę zrobię po swoim.

„Podczas imprezy lepiej stać z boku, nie sądzisz?”

*Północ w ogrodzie dobra i zła*

REŻ. CLINT EASTWOOD

Po powrocie do domu od razu odszukałem maszynkę do golenia i nożyczki. W łazience ściałem włosy. A potem zgoliłem głowę na trzy milimetry. Pozbyłem się też brody. Przejechałem dłonią po czaszce naznaczonej bliznami. Łysy i z obitą gębą wyglądałem dokładnie na tego, kim w istocie byłem. Koniec udawania. Koniec wyspy na oceanie.

O dwudziestej rozległo się łomotanie do drzwi. Tak dobijać się mógł tylko najgorszy wróg. Otworzyłem i przekonałem się, że w zasadzie miałem rację. Na progu stała ona, odpiędolona jak na balety w Belwederze, w krótkiej fioletowej sukience z dekoltem po pas i w butach na obcasach. Była uczesana w kucyk, wymalowana, wyszminekowana i złana pachnidłami. Oprócz torebki miała przewieszony przez ramię czarny wór zasuwany na zamek.

– Nie mam wiele czasu. Jadę na przyjęcie do komendanta – oznajmiła na wstępie.

– Mówisz serio?

– A ty jedziesz ze mną – powiedziała, wymijając mnie.

Weszła do mojej sypialni i bezceremonialnie rzuciła czarny wór na łóżko.

– Przyniosłaś mi zwłoki?

– Garnitur. Musisz go włożyć.

– To garnitur psa? Nie włożę go.

– A jednak to zrobisz. Te spodnie miał dopiero oddać do skrócenia, więc powinny być dobre.

– Nie włożę na siebie niczego, o co on ocierał się jajami.

– A masz coś odpowiedniego na zabawę u komendanta? – Przyjrzała mi się sceptycznie. Dopiero teraz zauważyła, że wróciłem do starej stylówki. – Dobry fryz, Profesorze, wspaniale współgra z obitym ryjem.

– Ale nie pasuje do tego gównianego wdzianka. – Wskazałem wór. – Dlaczego w ogóle mam iść na przyjęcie do komendanta?

– Ja pierdołę, jak z tobą jest ciężko – jęknęła. Otworzyła szerzej okno i zapaliła brązowego tym razem papierosa. – Ja znam policję i urzędasów, ale ty znasz różnych podejrzanych typów. Będzie okazja, by zobaczyć, jak bardzo te światy się przenikają. Będzie tam zbiórka pieniędzy na jakiś szczytny cel i aukcja zarekwirowanego mienia. Doskonały sposób, żeby wyprać trochę kasiorki albo przekazać hojny datek. Chcę się przekonać, w jaki sposób tam krąży flota. I kto może być umoczony.

– A masz jakieś podejrzenia?

– Tak jak myślałam, uznano, że przypadek Prochackiej nie ma nic wspólnego ze sprawą Rzeźnika – powiedziała, ścisząc głos. – I wiem już, komu przydzielili śledztwo na Osiedlu: inspektorowi Witoldowi Szyszce, pupilkowi komendanta. Aaron był tak wkurwiony, gdy wrócił z tą wiadomością, że w złości wymusnęło mu się, że od dawna podejrzewa tego Szyszka o branie w łapę. Szyszka z pozoru wydaje się nieszkodliwym sybarytą, który lubi dobrze zjeść i elegancko się ubrać. Żony jego kolegów wprost go uwielbiają i nazywają Pączkiem.

Pączek. Byłem pewien, że już słyszałem tę ksywę. A tak, o kundlu wężącym za pączkami wspominał Kakałko podczas mojej pierwszej wizyty u Opiekuna. Więc to naprawdę musiał być ten gliniarz.

– Ten Pączek je wszystkie pierdoli czy co?

– Wprost przeciwnie. – Uśmiechnęła się. – Stary cap woli wywijanie fajfusem niż cynamem.

– To powinien z twoim pedałem sztame trzymać.

– A może ty powinienes zakumplować się z Nutką? Szyszka nie znosi Aarona. Komendant również. A te wszystkie baby nie cierpią mnie, bo podobno wolały byłą żonę Aarona. Tyle że teraz zaczynam się zastanawiać, czy nie chodzi tu o coś więcej niż zwykły afront towarzyski. Możliwe, że chcą nas trzymać jak najdalej od układu. Takie przyjęcie jak to dzisiejsze to



jedyny moment, kiedy mogę obserwować tę całą zgraję bez wzbudzania podejrzeń. Szyszka należy wy badać, ale dyskretnie i bardzo delikatnie...

– Kto ma go badać? – spytałem podejrzliwie.

– Edzio naraił mi dwóch obiecujących aktorów. Mam się tu z nimi spotkać. Szyszka lubi takie młodociane ciotki-klotki. Na któregoś się skusi. Może zawrą dłuższą znajomość. Edward zapewniał, że zwłaszcza przy tym Tadziu stare capy głupieją. Kiedy Pączek poczuje się bezpiecznie, to może się odsłoni przed Tadziem. A Tadziu ma podobno kosztowny gust. Byle czym się nie zadowoli. Możemy się więc dowiedzieć, z jakiego źródła czerpie Pączek. Podsunęłam ten pomysł Aaronowi. Już od dawna chciał mieć u niego wtyczkę.

– I co nam to da?

– Jeśli Aaronowi uda się udowodnić, że Szyszka jest skorumpowany, może mu zaproponować układ. Szyszka nie wytrzymałaby nawet godziny w mamrze. Będzie sypał.

– Ile zdradziłaś Goldenthalowi?

– Nic mu nie musiałam mówić, bo na szczęście nasze interesy są na razie zbieżne. Ale on nie ma pojęcia, od kogo Szyszka bierze w łapę. Na Osiedlu Opiekun jest kimś, ale w Krakowie nie jest popularny. Trzyma się na razie swojego rewiru, a tam nikt się nie zapęcza. Król był kryminalistą bez samokontroli, ale Opiekun z zewnątrz wygląda na zwykłego mieszkańca gorszej dzielnicy. Przecież nikt nie wie, jak on mieszka, co robi, co produkuje i jakich ma ludzi.

– Dlaczego właściwie nie powiesz o wszystkim Goldenthalowi?

– Bo nie wiem, kto jeszcze w tym siedzi. Gdyby Aaron się dowiedział, że jakiś typek ze slamsów grozi mi wypatroszeniem, mógłby zrobić coś głupiego. Dlatego potrzebny jest chociaż jeden rozjebus. Szyszka będzie idealny, bo jest słaby, śliski, pazerny i wygodnicki. Jeśli sypnie Opiekuna, jego ludzi i brudnych gliniarzy, to może uda się przeprowadzić czyściutką akcję.

– Dosyć optymistyczny plan.

– Ale na razie jedyny.

– A jak mu wytłumaczyłaś moją obecność w tej szopce?

– To ci się nie spodoba – powiedziała ostrożnie. – Tylko się nie denerwuj.

- Już się denerwuję.
- Powiedziałam mu, że chcesz się spotkać z ojcem...
- Z jakim ojcem? – spytałem ostro.
- Nooo, moim. I twoim.
- Ten dupek tam będzie?
- Tak, ale nie wie, że ty będziesz, boby nie przyszedł. Załatwiłam mu zaproszenie, lubi takie rauty. I sprzedałam Aaronowi historyjkę, że próbuję was pogodzić.
- Nie zgadzam się.
- Przecież nie naprawdę. Chodzi tylko o to, żeby Aaron nie miał żadnych podejrzeń. Rola brata to jedyna twoja rola, którą jest w stanie tolerować.

Patrząc w lustro łazienkowe, doszedłem do wniosku, że nie podoba mi się ani ten plan, ani moja rola. Ale najbardziej nie podobał mi się ten weselny gajer. Goldenthal był niższy ode mnie o jakieś dziesięć centymetrów, więc spodnie były za krótkie, podobnie jak rękawy marynary. Wszystko najbardziej jednak psuła moja poobijana gęba. W dodatku miałem udawać marnotrawnego syna i dobrego brata. Zapowiadał się prawdziwy popis sztuki kamuflażu!

Usłyszałem pukanie. Poszedłem otworzyć. Za drzwiami stali chłopcy od Edwarda i – niestety – towarzyszyła im Lilianna.

– Zapraszam dalej. – Poprowadziła chłopaków do salonu. – Rozgośćcie się.

No to się rozgościli. Jeden chichotał, wyraźnie podjarany, ale drugi wydawał się bardziej powściągliwy. Weselszym był ów Tadziu, posiadający kosztowny gust, ten, którego już raz spotkałem. Jego mniej radosny kolega burknął, że na imię ma Jeremiasz. Ledwo to zarejestrowałem.

– Co tu robisz? – spytałem Liliannę półgłosem, zerkając w kierunku sypialni, gdzie ona gadała przez telefon. – Zostajesz dziś z wujkiem Edkiem.

– Ani mi się śni! – zawołała, po czym spytała ostro: – Kto tam jest u ciebie?

– Nikt.

– Masz tam znowu jakąś babę!

– Nie mam żadnej baby. To moja siostra. Mówiłem ci o niej. Jest detektywem, a jej narzeczony inspektorem policji. Więc lepiej się stąd zmywaj, bo on tu zaraz będzie.

Kurwa, on tu naprawdę zaraz będzie.

– Aaron zaraz tu będzie – usłyszeliśmy. Weszła do salonu. Jej wzrok od razu spoczął na Liliannie. – A to kto?

– To jego bratanica – wyjaśnił weselszy z aktorów.

– Siostrzenica, idioto – podrzucił drugi.

– A to ciekawe – powiedziała z przekąsem, oglądając dziewczynę od stóp do głów. Lilianna patrzyła na nią z prawdziwym przerażeniem. Mnie się nigdy tak nie bała.

– Nic złego nie zrobiłam – wybuczała w końcu z oczami pełnymi łez.

– O nic cię nie oskarżam, mała, nie płacz. – Odwróciła się do mnie z niesmakiem. – Jesteś nienormalny. Ile to dziecko ma lat?

– Osiemnaście! – Młoda, łkając, spróbowała swojego starego numeru.

– A nie dwanaście przypadkiem? – spytała detektywka drwiąco.

– Słuchaj – odezwałem się w końcu, uznając, że czas przerwać tę farsę – wiem, jak to wygląda. Ale nic jej nie zrobiłem. Przypałała się i nie chce się odczepić. Może jej powiesz prawdę, co, dziecko? Bo inaczej odda cię w ręce policji.

– Nie! – wrzasnęła dziewczynka.

– Ach, mój Boże jedyny! – wykrzyknął Tadziu.

– On mi uratował życie – wyznała dramatycznie Lilianna, a ja pomyślałem, że nieźle się zaczyna. Potem było coraz gorzej. – I zaprosił na chatę. Zaproponował nocleg...

– Wystarczy. Zamknij paszczę – przerwałem młodej. – A ty pozwolisz na słówko?

– Obyś mnie przekonał, stary – powiedziała surowo, gdy weszliśmy do sypialni i zamknęły się za nami drzwi. – Bo jeśli wykorzystasz to dziecko w jakikolwiek sposób, to zrywam naszą umowę. I dopilnuję, żebyś za to beknął...

Czasu było coraz mniej, więc w skrócie wyjaśniłem jej sytuację. Opowiedziałem, czym parała się Lilianna, gdy ją spotkałem. I o tym, jak się do mnie przyczepiła. I o jej strachu przed psiarnią. Słuchała w milczeniu, przyglądając mi się uważnie, jakby szukała najmniejszych oznak kłamstwa.

– Wierzę ci – wydała wyrok. – Ale chyba sam wiesz, że nie wygląda to dobrze.

– Nie dziel się więc tym, co tu widziałaś, ze swoim chłopem.

– Aaron to najmniejszy problem... Ta sprawa śmierdzi z daleka. Spotkałeś ją w tym samym czasie, kiedy Opiekun kazał ci szukać żony...

– Uważasz, że ta gówniara jest podstawiona?

– To takie nieprawdopodobne? Widziałeś, do czego jest zdolny.

– Wydaje się dosyć głupawa.

– Nie jest głupawa. Urobiła cię. Zaczynasz się o nią martwić. Chcesz ją chronić, ale niedługo nie będziesz już wiedział, czy bardziej chcesz być dla niej opiekunem, czy kochankiem. Ta mała to tykająca bomba.

Pod wpływem jej słów zacząłem dostrzegać to, czego uparcie nie chciałem wcześniej zauważyć. Lilianna wspaniale balansowała na granicy dwóch ról: skrzywdzonego dziecka i doświadczonej, zepsutej ulicznicy.

– Może rzeczywiście tylko potrzebowała mety? A może działa na zlecenie Opiekuna? Jakkolwiek by było, trzeba się jej pozbyć bez udziału policji. I najlepiej będzie, jeśli zajmę się tym sama. Znajdę jej rodziców. Ale potrzebny mi jakiś jej dokument.

Przeszliśmy razem do sypialni dziewczynki. Jej różowa torba leżała na łóżku. Wysypałem na pościel zawartość. Wśród różnorakiego badziewia znajdowały się też cztery męskie portfele, które bardzo ją zainteresowały.

– To te, które zajmowała pedofilom – wyjaśniłem.

– Domyślam się – odparła, w skupieniu oglądając po kolei łupy Lilianny. – Hm, dziwne...

– Co jest dziwne?

– Nic, nieważne – odparła szybko i sięgnęła po puchaty portfel Lilianny.

– Kurwa, uwielbiam, jak to robisz! „Dziwne”. „Co?” „Nieważne”.

– Jest i fałszywy dowodzik! – powiedziała, przyglądając się jednemu z dokumentów. Moją wcześniejszą uwagę puściła oczywiście mimo uszu. –

Zabieram to wszystko!

Upchnęła portfele w swojej torbie.

– Przyjadę po nią jutro z samego rana, a teraz trzeba ją ukryć u Eda – oznajmiła, usiłując zasunąć zamek wypchanej torebki.

Byłem przygotowany, że gówniara odstawi jakieś przedstawienie, ale gdy usłyszała, że ma do wyboru Edwarda lub policję, której przedstawiciel zaraz się zjawi, potulnie dała się zaprowadzić na dół. Posmutniała, gdy do niej dotarło, że to koniec naszej zabawy w patologiczny dom. I mnie zrobiło się odrobinę przykro, bo mimo że była irytująca, jej obecność i trajkotanie były dla mnie odskocznią od tych wszystkich strasznych rzeczy, które przynosił każdy kolejny dzień.

Ledwo wróciłem do mieszkania, rozległo się pukanie. Szybko rozejrzeliśmy się, czy nie pozostały jakieś ślady obecności małej. Chłopcy też się rozglądali, chociaż chyba nie mieli pojęcia, czego mają szukać. Ona nakazała im trzymać język za zębami, po czym otworzyła drzwi. Jej narzeczony wyglądał na człowieka mocno zirytowanego. Chociaż właściwie sam nie wiem, czy naprawdę był zły, bo przecież zawsze miał taką krzywą, niezadowoloną gębę, jakby ktoś podrzucił mu pod nos krowie łajno.

– Co tak długo? – warknął.

– Nie słyszeliśmy pukania – wyjaśniłem.

– Nie rozmawiam z tobą, buraku – odparł wyniośle i popatrzył sceptycznie na naszych szpiegów, czających się niepewnie w drzwiach salonu. – To oni?

– Nie, to cwele, którzy u mnie sprzątają – rzuciłem.

– Zabawny ten twój brat – rzucił inspektor do niej, kładąc nacisk na ostatnie słowo. Ona tylko wzruszyła ramionami. – Niech się przebierają i idziemy.

– W co się mamy przebrać? – wyjąkał Tadziu bezradnie. Jeremiasz wyglądał natomiast na obrażonego. Może ta uwaga o cwelach tak go ubodła, a może to, że Goldenthal patrzył na nich jak na gówno w trawie. Poczulem przypływ solidarności z nimi. Nawet jeśli Tadziu miał na sobie podkoszulek z narysowanym krawatem, koszulą i marynarką, a Jeremiasz obcisły sweterek w kolorze różowym, to nie był powód, aby ich znieważać.

– Jest OK – odezwała się ona, podchodząc do aktorów i rozpoczynając prezentację ubiorów, jakby występowała w telewizji śniadaniowej. – Wyglądają naturalnie. Tutaj pseudogarniturek, bardzo zabawny. A ten sweterek to Lacoste, zauważ. Pączek będzie zachwycony.

– To możliwe – zgodził się inspektor obojętnie. – Nie jest specjalnie wybredny. Widziałem go w towarzystwie znacznie gorszych tandeciarzy.

– Słuchaj, bucu, weź się od nich odpiardol – zareagowałem, bo coraz bardziej mnie irytował.

– Ty tak serio do mnie? – spytał, patrząc na mnie z wyższością.

– Jak dam ci w ryj, to będzie wystarczająco serio? – Zrobiłem krok w jego kierunku.

– Przekonaj się, pajacu.

– Jaja sobie robicie? – wtrąciła się, stając między nami. – A zresztą co mnie to obchodzi. Okładajcie się po mordach, jeśli musicie, albo sobie od razu zmierzcie kutasy.

Na to nie miałem ochoty, chociaż rzeczywiście mnie kusilo, żeby mu zasunąć w papę. Chociaż raz, lecz tak od serca. Staliśmy naprzeciwko siebie, a przedpokój wydawał się stanowczo za mały dla nas dwóch. Trwało to zaledwie chwilę, ale miałem wrażenie, że minęła godzina.

Siedziałem z tymi dwiema ciotkami na tylnym siedzeniu samochodu, nadal pełen wątpliwości. Za chwilę miałem z własnej woli wziąć udział w policyjnym raucie. Wstyd i hańba.

– Masz kasę? – spytała narzeczonego, a on bez słowa wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki plik banknotów. Podzieliła go na dwie równe części i podała chłopakom.

– Teraz po pięć stów na łebka – powiedziała. – Za miesiąc dodatkowe trzy tysiące dla tego z was, który zostanie wtyką.

– Żeby nie było nieporozumień – odezwał się znowu Tadziu. – Wystarczy, jak zrobię staremu loda, czy mam mu dać dupy? Czy może to ja mam go puknąć?

– Loda mogę zrobić – dodał Jeremiasz obrażonym tonem. – Ale nic więcej!

– Widzę, że mamy tu prawdziwe gwiazdy! – skwitował inspektor z przekąsem.

– Ucisze swojego psa – rzuciłem do niej – bo na następnych światłach wywlokę go z samochodu i mimo wszystko dam mu w mordę.

– Spróbuj jednak opanować pokusę – odparła zmęczonym głosem. – A ty, Aaron, po co go prowokujesz? Przecież on tylko na to czeka.

– Dobra, dam mu spokój. Tylko niech mi nie wchodzi w drogę.

– Słyszysz? – syknęła, odwracając się do mnie.

– Weź nie gadaj do mnie jak moja stara – warknąłem. – Takim tonem to se możesz upominać swojego frajera, bo widzę, że to lubi.

– Sama widzisz, że chamidło nie potrafi inaczej – skwitował gliniarz.

– No, jak widzę psa, to nie potrafię nie dać w ryj.

– Dobra, chamie, nie gadam z tobą, załatwimy to na miejscu.

Znowu się do mnie odwróciła.

– Proszę cię, odpuść.

– Nie da rady, widzisz, że pies się czuje zagrożony i musi zaznaczyć swoje terytorium.

– To się bijcie, ja nie mam zamiaru tego oglądać. I nie obchodzi mnie wynik tej solówki. Ale jeśli mogę coś doradzić, to nie róbcie tego na przyjęciu.

Zatrzymaliśmy się na światłach. Ona malowała sobie usta, Goldenthal patrzył na nią, a ja przyglądałem się jemu. Ruszyliśmy i na powrót zapadłem w cień na tylnym siedzeniu, uśmiechając się do siebie w ciemnościach. Inspektor miał jeden słaby punkt. I już wiedziałem, co zrobię, gdy wysiadziemy. To będzie go bardziej bolało niż obita gęba.

Chłopcy musieli wejść na imprezę osobno, więc wysadziliśmy ich pod Poczta Główną i pojechaliśmy dalej, ulicą Kopernika, mijając ciche o tej porze szpitale. Inspektor zaparkował niedaleko Ogrodu Botanicznego. Wysiedliśmy. Zza muru dobiegały gwar, muzyka i śmiech, ale ulica była zupełnie pusta. Goldenthal popatrzył na mnie.

– Na co czekasz, kmiocie?

Podszedłem do niego.

– Dobra, idę stąd – oświadczyła ona i ruszyła w kierunku wejścia.

– Skończę z nim i zaraz do ciebie dołączę, kochanie – rzucił do niej inspektor.

– Poczekaj chwilę, skarbie – zawołałem za nią, naśladowując jego ton.

Goldenthal chwycił mnie za koszulę. Chyba go ten „skarb” zdenerwował. Ona odwróciła się i ze zniecierpliwieniem spytała:

– Co znowu?

– Zdecydowałem, że jednak odpuszczę sobie to mordobicie – powiedziałem. – Masz rację, nie ma co niepotrzebnie robić siary.

– Serio? – spytała z niedowierzaniem.

– No, serio, serio. Zadowolona?

– Tak – odparła, patrząc na mnie podejrzliwie. Przeniosła spojrzenie na swojego narzeczonego, który nadal trzymał mnie za fraki. – Aaron, proszę, puść go.

Puścił mnie po chwili wahania.

– No i spoko – podsumowała sytuację. – Chodźmy.

Ruszyła przodem. Zerknąłem na inspektora, który patrzył na mnie złowrogo. Uśmiechnąłem się.

– I co, palancie? – spytałem cicho. – Kto jest teraz pozytywnym bohaterem?

Naraz uśmiechnął się krzywo, powiedział coś bezgłośnie i poszedł za nią. Frajer. Popatrzyłem w ślad za nimi. Co on właściwie powiedział przed chwilą? Odtworzyłem w pamięci ruch jego warg.

„Jesteś trupem”. Tak powiedział. Mój dobry humor prysnął. Słyszałem tę pogrózkę tyle razy w życiu, że od dawna nie robiła już na mnie wrażenia. Dlaczego tym razem było inaczej? Skąd ten niepokój? Przypomniałem sobie wyraz jego twarzy, gdy wypowiadał tę groźbę. I już wiedziałem, co mi się tak bardzo nie spodobało. On mi nie groził. On stwierdzał fakt. Goldenthal z jakiegoś powodu był przekonany, że moje dni są policzone.

Czekała na mnie przy wejściu, trzymając w dłoni zaproszenie.

– Co się stało? Czemu masz taką minę?

– Bo mi tej bijatyki trochę szkoda – odparłem. Nie miałem ochoty dzielić się z nią moimi wrażeniami. Poza tym czy ja jednak trochę nie



przesadzałem? Wydarzenia ostatnich dni chyba zaburzyły moją zdolność do racjonalnej oceny sytuacji.

– Biedaczek – skwitowała i dodała cicho: – Nie myśl, że nie wiem, co tobą kierowało. Mało mnie to jednak obchodzi. Grunt, że nie doszło do rękoczynów. A teraz słuchaj, bo mówię zupełnie serio. Raz ci się z nim udało. Myślę, że ostatni raz. Nie zaczynaj z nim wojny w chwili, gdy już jedną prowadzisz z Opiekunem. Gwarantuję ci, lepiej, żebyś miał Aarona po swojej stronie.

– Ty sobie rób, co chcesz, ja nie bratam się z pałami.

– Nikt nie każe ci się bratać, po prostu nie podkrecaj tego konfliktu między wami.

– Czy jego też o to poprosisz?

Chwilę milczała, jakby się zastanawiała nad doborem słów, i w końcu powiedziała poważnym tonem:

– Ty mu w żaden sposób nie zagrażasz. Nie tylko dlatego, że on ma kupę szmalu, władzę i kontakty. Aaron jest niebezpiecznym, bezwzględnym człowiekiem. Jeśli uzna, że należy cię zabić, to zrobi to i nawet ja go nie powstrzymam. Powiedziałeś mi, że nie wygram z Opiekunem, i ja to przyjąłem do wiadomości. Teraz ty przyjmij, że nie wygrasz z Aaronem.

To nie są sprawy, które człowiek łatwo akceptuje, więc milczałem. Panny witające gości przy bramie zerknęły na nasze zaproszenia i weszliśmy do ogrodu. Ona cały czas gapiała się na mnie, widocznie oczekując jakiejś deklaracji.

– No i co mam ci powiedzieć? – warknąłem. – Wysłuchałem twojej opinii. Tyle. Z kim on tam gada, ten twój psychopata?

– Z komendantem – odparła, rzucając spojrzenie na Goldenthala, który rozmawiał z jakimś odświętnie wystrojonym pokurczem, ledwo trzymającym się na swoich krótkich nóżkach. A więc to był komendant. Nawalony jak pierwszy lepszy lump z osiedlowego skwerku.

Przestała ich obserwować. Była skupiona i czułem, że węszy wokół uważnie jak ogar, który chce złapać ledwo wyczuwalny trop.

– Mnie ostrzegasz, ale sama wcisnęłaś mu kit na temat tego, do czego naprawdę posłużą ci dwaj. I że jesteś na czarnej liście Opiekuna.

– I co z tego? Naskarżysz mu?

– Nie bój się. Nie sprzedam cię. Jesteś mi potrzebna.

– Właśnie. – Uspokoiła się nieco.

– Kurwa, ale kiermasz! – powiedziałem, rozglądając się. Ludzie walczyli o miejsce przy załadowanych żarciem stołach jak świnie o dostęp do koryta. Odchodzący od baru tulili do siebie po pięć drinów. Na scenie drugoligowa szansonistka śpiewała bez przekonania popularny szlagier, a u dołu estrady cztery pijane podstarzałe rury płąsały w kółeczku, zaśmiewając się i usiłując zwrócić na siebie uwagę grupki wąsatych funkcjonariuszy, którzy polewali sobie banie.

Tadziu i Jeremiasz powinni już tu być. Gdzieś w pobliżu kręcił się też ten mój niby-ojciec. Ale akurat jego bardzo nie chciałem spotkać. Nagle ona pomachała do kogoś w tłumie i po chwili przedarła się do nas wysoka, groźnie wyglądająca matrona w średnim wieku, z jadowitym uśmiechem na sukowatej twarzy. Dodatkowych centymetrów dodawał jej olbrzymi kok przypominający turban.

– Jesteś, kochana! – wykrzyknął wysokim głosem babsztyl, trącając ją w ramię. Ten gest miał być, zdaje się, przyjazny, ale jego siła wskazywała na coś wprost przeciwnego. Ona odpowiedziała podobnie, z uśmiechem waląc babę zwiniętą pięścią w odsłonięte ramię. Wyglądało to jak zaczepki bokserów na ringu tuż przed rozpoczęciem decydującej walki.

– Oczywiście, że jestem... kochana! – odparła.

– A pana skądś znam? – spytało babsko, patrząc na mnie z wyraźną odrazą.

– Jestem dobrym znajomym kochanego inspektora Goldenthala i jego przeuroczej narzeczonej – wyjaśniłem, mając nadzieję, że dobrze posługuję się obowiązującym tu stylem.

– Co się panu stało w twarz?

– Efekt ryzyka zawodowego. Bo widzi szanowna pani, podobnie jak ta tutaj moja słynna na cały świat przyjaciółka jestem z zawodu prywatnym detektywem. Razem zresztą chodziliśmy do szkoły dla detektywów. Zrzynała ode mnie na każdym teście. – Roześmiałem się, a panie mi zawtórowały. Poczulem też dyskretne, ale bolesne kopnięcie w kostkę.

– Gdzie ja pana widziałam? – zastanawiała się dalej stara pudernica. – Raczej nie na jednym z twoich przyjęć, złotko, bo nigdy mnie nie

zaprosiłaś. Nawet nie wiem, co się w pięknej willi Goldenthala pozmiało od czasu, kiedy byłam tam ostatnio jako gość jego pierwszej żony... Może widziałam pana na przyjęciu w magistracie?

– Nie sędzę, prędzej na liście gońcym – odpowiedziałem uprzejmie. – Pani wybaczy, ale pójdziemy sobie chyba chlapnąć po jednym głębszym.

Gdy odeszliśmy kawałek od zaskoczonej baby, dostałem surową reprimendę za swój występ, chociaż uważałem, że spisałem się znakomicie.

– Zdajesz sobie sprawę, że Różycka przejrzy teraz na pewno całe archiwum? I wygrzebie twoje stare sprawki.

– Myślisz, że mnie to cokolwiek obchodzi?

– Rozdzielmy się, zanim pogrążysz mnie do reszty.

Odeszła bez słowa i po chwili wtopiła się w otoczenie. Krążyłem wśród tłumu przeraźliwie nudnych ludzi. Festyn toczył się swoim trybem. Wychyliłem kilka bań i dryfowałem przez falujący ocean eleganckich garniturów, z których wyzierały czerwone, zapuchnięte facjaty pijanych typków. Lawirowałem pośród grupek żon w sukienkach ciasno opinających zbyt obfite kształty. Obserwowałem błyszczące, napięte botoksem, umalowane twarze kobiet i jakoś z żadną nie miałem ochoty spólkować. Nawet po nałożeniu takiej babie papierowej torby na głowę. Wieczór był parny. Makijaże zaczynały powoli spływać z dziobów, wokół unosił się zapach wielu spoconych ciał, słabo maskowany sztuczną wonią skisłych dezodorantów i ciężkich perfum. Nie tak powinien pachnieć Ogród Botaniczny.

Poczułem, że się duszę. Zdjąłem marynarkę i cisnąłem na pierwsze lepsze krzesło. Niech sobie jej potem szuka ta policyjna menda. Koszula lepiała mi się do pleców. Czuję, że śmierdę jak reszta tego motłochu. Szedłem tam, gdzie się przeredzało i gdzie chyba widziałem ją, jak znika między drzewami.

Chciałem wyminąć stojącą na drodze grupkę. Rudowłosa, wysoki facet odwrócił się nagle i stanął ze mną oko w oko. Poznałem go od razu. I on mnie poznał. Jej stary. Nasz stary. Naraz cała krew odpłynęła z jego twarzy, która w sekundzie stała się trupio blada. Uśmiech mu stęzał i zniknął. Skóra na policzkach obwisła i zmarszczyła się jak bibuła. Skurczył się, zmałał,

postarzał i skapcaniał. Wpatrywał się we mnie z lękiem bladoniebieskimi oczami. Miała rację, bał się mnie.

Tyle razy myślałem o tej sytuacji i o tym, co zrobię, gdy go w końcu spotkam. Jak mu wygarnę. W niektórych wizjach spuszczałem mu potężny łomot, w innych tylko wymierzałem upokarzające plaszczaki z jednej i drugiej strony. A teraz nie czułem żadnej nienawiści. Byłem tylko trochę zmieszany jego żalną postawą, strachem i oczywistym zawstydzeniem. I pomyślałem, że nie mam dla niego czasu. Że teraz on stoi mi na drodze.

– Przepraszam – powiedziałem, wymijając go.

Szedłem dalej przed siebie, zapomniawszy, czego szukam. Im bardziej zbliżałem się do centralnego punktu ogrodu, tym gęstsze były drzewa, krzewy i zarośla. Dzikie i splątane, chociaż rosły tu przecież z woli człowieka. Spotykałem coraz mniej ludzi. Właściwie byłem tu tylko ja i jakieś parki zatopione w sobie na ławeczkach. Zastygłe w uściskach i zlepione w jedno, w półmroku tworzyły dziwaczne bryły. Cały ogród oddychał i pulsował, wypełniony cichymi westchnieniami, tłumionymi jękami, zduszonym chichotem, szelestem rozdzieranego materiału. Szedłem dalej ledwo widoczną ścieżką tam, gdzie – jak pamiętałem z wycieczki w podstawówce – stała altanka. Usłyszałem kroki i jakaś postać zamajaczyła przede mną. Z ciemności wyłonił się Jeremiasz.

– O, jesteś – ucieszyłem się.

– Tak, bez obawy, obiektem zajmuje się Tadziu. Chyba przypadł temu gostkowi do gustu bardziej niż ja – wyznał chłopak bez zmartwienia.

– Gdzie poszli?

– Do altanki. Na razie, stary – rzucił Jeremiasz na odchodnym.

Poszliśmy każdy w swoją stronę. Moja ścieżka prowadziła na pagórek znajdujący się w głębi ogrodu. Z góry dobiegały jakieś nieprzyzwoite odgłosy. Zastanawiałem się, gdzie też ona polazła. Wspinałem się coraz wyżej, przedzierając się przez krzaki. Chyba zgubiłem ścieżkę. Suche gałęzie trzaskały mi pod stopami. Nagle coś złapało mnie za nogę i pociągnęło w dół. Zachwiałem się i upadłem na miękki mech obok zwałonego drzewa. Popatrzyłem w bok. Siedziała pod przewróconym, grubym pniem, jak jakiś troll.

– Cicho – syknęła.

– Co ty tu robisz?

– Szukałam ich, miałam nadzieję, że coś podsłucham. Dotarłam tu. Byli w trójkę. Na tyle głośno, że się podkradłam. Ale potem Jeremiasz poszedł i zrobiło się ciszej. Bałam się stąd ruszyć.

– Dobra, i co teraz?

– Nic, siedzimy.

Siedzieliśmy w ciszy przerywanej odgłosami z altanki. Na początku było to nawet śmieszne, potem już tylko przeraźliwie nudne. Słyszając jej miarowy oddech, domyśliłem się, że chyba przysnęła, opierając głowę o drzewo. Po jakimś czasie, który wydał mi się wiecznością, w altance skończyło się mlaskanie i stękanie i zaczęła się rozmowa. Po chwili usłyszałem stłumione kroki na ścieżce. Pączek i jego chłoptaş opuścili miłosne gniazdko. Szturchnąłem ją, aby się zbudziła. Zastygliśmy w bezruchu, obserwując schodzące z góry ciemne, niewyraźne postaci. Tadziu nazywał starego Pączulkiem, a ten swojego młodego kochanka Tadziulkiem. Inspektor zachęcał chłoptasia, by poszli nad staw nieco się oporządzić. Wtem z dołu dobiegły jakieś gromkie śmiechy, gwizdy i głosy większej liczby osób. Dwie postaci na ścieżce przystanęły gwałtownie. Były tuż obok nas.

– Idź sam tamtą dróżką – powiedział inspektor półgłosem. – Lepiej, żeby nas razem nie widzieli. Wiesz, jak jest, kochany. Spotkamy się nad stawem za pół godziny.

Inspektor ruszył w dół, a Tadziu ścieżką pomiędzy drzewami w kierunku stawu.

– Tu jesteś, łobuzie! Szukaliśmy cię! – zaskrzeczało z dołu.

– To Różycka – usłyszałem jej szept.

– Gdzie nam się chowasz? – spytała jakaś inna kobieta. – Komendant taki pijaniusieńki, że trzeba go będzie na taczkę załadować.

– Komediant! – rzucił Pączek.

Gruchnęły śmiechy.

– Chodźmy do bufetu. Zaraz będzie aukcja. Karol obiecał mi te norki.

– Upatrzyłam sobie piękną kryształową patereę.

– Z torbami nas te kobity puszczą!

Gdy ich głosy zamieniły się w oddali w niewyraźne szmery, wyszliśmy z naszej kryjówki. Rozprostowałem zdrętwiałe kończyny.

– Chodź, zajrzemy do altanki – zaproponowała.

Poszedłem za nią. Nie wiem, co spodziewała się zobaczyć, ale w altance było zupełnie pusto. Zapikowała jej komórka. Okazało się, że to Tadiusz przysłał esemesa o treści: „Chyba mnie spławił. Co mam robić?”.

– Obawiam się, że nasz agent może mieć rację – powiedziała z niezadowoleniem.

– A to stary zbereźnik. Wykorzystał i rzucił!

– Na razie go nie zdejmujemy – zdecydowała i odpisała: „Siedź i czekaj”. – A my chodźmy. Zobaczmy, co robi ta gruba świnia.

– Poczekaj. Masz na łbie pełno jakichś śmieci – powiedziałem i wyjąłem gałązkę z jej włosów.

– Co wy robicie? – usłyszałem drżący, pełen trwogi głos.

U wejścia do altanki stał stary. Wyglądał, jakby doznał ciężkiego wstrząsu. Było dosyć oczywiste, co sobie pomyślał. Do niej też musiało to dotrzeć.

– Na Boga, tato! Mamy tu robotę! Tyle...

– Ona tylko ma mnie na oku – przerwałem jej. – Czy nie tego chciałeś? Bardzo dobrze się wywiązuje z zadania, które jej powierzyłeś. Może nawet zbyt gorliwie...

– Co to ma znaczyć? – Spojrzał na nią z przestachem. Ale miałem uciechę.

– On tak bredzi, żeby się na tobie odegrać – powiedziała spokojnie.

– Gdybym chciał się odegrać, tobym skrzyknął ekipę i staruszek zostałyby przekopany. A ja sobie tylko robię jaja.

– Posłuchaj, chłopcze, masz prawo się gniewać – wydukał lękliwie ten bałwan – ale ja mam prawo martwić się o moją córkę. Jednak chciałbym ci jakoś wynagrodzić te wszystkie przykrości...

– Kiedy to były same przyjemności. – Puściłem do niego oczko.

– Na pewno przyda ci się nieco gotówki... – Udawał, że nie widzi i nie słyszy.

– Chcesz mnie przekupić i spławić?! To chyba jakaś wasza rodzinna fiksjacja!

– Ile chcesz? – dopytywał się.

– Milion złotych! – wypaliłem.

– Nie mam tyle – odparł głupio.

– Ale to tylko po dwie stowy za każdy zjebany dzień życia w ciągu tych czternastu lat, ty kutwo.

Zapadła cisza. Zrobiło mu się głupio, a mnie przestało to bawić. Nadal nie mogłem pojąć, jak to możliwe, że ten przygłup jest moim ojcem. W końcu ona przerwała ciszę i odezwała się niespodziewanie miłym głosem:

– Skoro już tak sobie rozmawiamy, to może pójdziemy poszukać Aarona i razem się napijemy.

– Nie będę pił z żadnym z nich – warknąłem.

– Możesz udawać – wycedziła do mnie.

– Dobrze, napijmy się – zgodził się stary drżącym głosem. On chyba naprawdę potrzebował solidnej lufy.

Wróciliśmy na bankiet. Było tu teraz jeszcze bardziej tłoczno i koszmarne. Po chwili zauważyła swojego psa i pomachała mu. Zaczęliśmy się przebijać do niego. Zataczający się ludzie napierali ze wszystkich stron. W pewnym momencie tłum przeredził się, a ja stanąłem jak wryty.

– Opiekun.

– Co? – spytała.

– Opiekun tu jest. Stoi tam z jakimiś dziadami.

Wskazałem jej grupę pod drzewem. Gabriel Lezuj, ubrany w biały smoking, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni gawędził z parą w podeszłym wieku. I patrzył prosto na nas. To dziwne, ale wyjęty ze swojego naturalnego środowiska, z Osiedla, tu, w tym ogroju wydawał się tak samo na miejscu jak tam. Gdy śmiał się, poklepując po plecach zmurszałego dziadka, był równie autentyczny jak wtedy, gdy kazał Kakałku

zabić Kalafiora. Powiedział coś do stojących z nim staruszków i cała trójka ruszyła w naszym kierunku.

– Tato – rzuciła szybko, zatrzymując ojca. – Idź do Aarona. My zaraz dołączymy i wtedy się napijemy. Wracam do roboty.

Stary głupiec popatrzył na nią tak, jakby go po raz kolejny rozczarowała, i odszedł bez słowa. A obok nas pojawił się Opiekun.

– Proszę, proszę, proszę. Jaki ten świat mały – odezwał się Gabriel z uśmiechem. – Słynna pani detektyw! Dopiero co oglądałem pani zdjęcia i muszę powiedzieć, że nie oddają nawet w połowie pani urody. Znają państwo...

– Oczywiście, że znamy narzeczoną kochanego inspektora Goldenthala – powiedziała uradowana starowina.

– A oto i mój drogi, drogi przyjaciel Profesor – jowialnie perorował Opiekun.

– Jest pan profesorem? – zdziwił się dziadek, przyglądając się mojej zmasakrowanej gębie. – Gdzie pan wykłada?

– W szkole życia – zażartowałem, a towarzystwo zaśmiało się uprzejmie.

– Byłem pewien, że jest pan zbyt zajęty, by tak beztrwoniście czas – zauważył Gabriel.

– Ja, drogi panie, cały czas jestem w pracy – odparłem, mając nadzieję, że zrozumie, co chcę mu w ten sposób powiedzieć. Że wykonuję powierzone mi zadanie, a nie kręcę na boku jakąś lewą akcję.

Gabriel wyglądał na rozkojarzonego. Nie wiem, czy dotarło do niego chociaż jedno słowo z tego, co powiedziałem. Wpatrywał się natomiast w nią, jakby się nad czymś poważnie zastanawiał.

– Przepraszam, zamyśliłem się – powiedział nagle z uśmiechem. – Pani wybaczy, ale patrzyłem na pani bliznę. Chyba dałoby się ją jakoś wywabić... Tylko czym? Pumeksem? Wybielaczem? Kwasem? Palnikiem? Nie, coś mi się pomyliło. Albo może lepiej ciach!, z drugiej strony, żeby przynajmniej było symetrycznie.

Opiekun zaśmiał się głośno i serdecznie. Babuleńka spojrzała na niego zaskoczona i uśmiechnęła się niepewnie. Gabriel ścisnął ramię jej męża.



– Pożegnaj się na razie. Zaraz zacznie się loteryjka. Chyba kupię szynszyle dla żony. Moja żona lubi naturalne futra. I muszę znaleźć tego nieznośnego chłopaka. Gdzie też on mógł się podziać? Pewnie romansuje. Ten ogród sprzyja zakochanym, nie sądzą państwo? Te altanki, te zakątki. A może pływają łódką po stawie?

Uśmiechnął się do nas i momentalnie zniknął w tłumie. Spojrzeliśmy na siebie.

– Nie, kurwa! – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Wyjęła telefon i wybrała numer Tadzia. Nie odbierał. Zaczęliśmy przeciskać się przez tłum z powrotem w głąb ogrodu. Zablokowała nas fala ludzi. Muzyka ucichła i od sceny doleciał do nas donośny głos konferansjera zapowiadającego licytację.

– Zrób coś z tymi ludźmi! – Uderzyła mnie ze złością w ramię. – Ryj się!

Ryłem się, roztrącając pijanych balangowiczów, nie zważając na ich protesty, piski bab i groźne pomruki ich towarzyszy. Ona rozpychała się łokciami. Trafiała w bok wytworną pańnię, która aż przysiadła. Jej małżonek rzucił się oburzony i zastąpił nam drogę.

– Łokciem? Łokciem? – warczał. – Oszalałaś, kobieto?

– Z drogi, pizdo – syknąłem przez zaciśnięte zęby i pchnąłem go w pierś. Zatoczył się i upadł.

Konferansjer zachęcał nadal, by się zbliżyć do sceny. Tymczasem coraz więcej ludzi się na nas gapiło. Popiskiwali i prychnali, ale przynajmniej schodzili nam z drogi. Przerzedziło się w końcu i mogliśmy już biec. Wpadliśmy między drzewa. I wtedy w głębi ogrodu ktoś zaczął krzyczeć. Jakaś kobieta wrzeszczała, jakby ją obdzierano ze skóry. Konferansjer na scenie zamilkł na chwilę. Przez tłum za naszymi plecami przebiegł pomruk. Ktoś coś wołał. O coś pytał. Od strony stawu nadal dobiegał nieprzerwany krzyk. Teraz można już było rozpoznać poszczególne słowa. Takie jak „pomocy”, „morderstwo” i „trup”. Wbiegłem na polankę. Nieruchoma tafla stawu błyszczała w świetle księżyca. Zobaczyłem kobietę, która z zaciśniętymi pięściami stała przy brzegu, wyprostowana jak śpiewaczka operowa na scenie, i nie przestawała krzyczeć. Towarzyszący jej mężczyzna szarpał ją i próbował odciągnąć od wody. Potem zauważyłem na ziemi ciało szczupłego chłopaka. Biała koszula była z tyłu czerwona od

krwi. W trawie błysnął nóż do steków. Podbiegliśmy do brzegu. Pochyliłem się nad chłopakiem i przewróciłem go na plecy. Tadziu jeszcze żył.

– Kto to zrobił? – spytała gorączkowo umierającego.

Z jego ust wydobyła się tylko różowa błyszcząca bańka krwi, która pękła z lekkim pyknięciem. Chłopak uniósł z trudem rękę. Wskazywał coś za naszymi plecami. Popatrzyłem w tym kierunku. Zbliżał się ku nam tłum ludzi, pewnie setka. Szli w zwartym szyku jak oddział. Dalej ciemniał ogród, a nad nim były tylko rozgwieżdżone niebo i ogromny księżyc w pełni.

Tadziu zaczął odpływać. Uderzyła go w twarz i zaczęła robić usta-usta. Nie przerwała aż do momentu, gdy w odpowiedzi na powtarzające się wśród zebranych gapiów historyczne pytanie: „Czy jest tu jakiś lekarz?”, pojawił się przedstawiciel tego zawodu i odsunął ją delikatnie.

– Niestety – powiedział po dłuższej chwili, gdy skończył macać jego szyję i nadgarstek w poszukiwaniu pulsu.

– Nie, nie, nie – powtarzała cicho. Podniosła się z kolan i stanęła obok mnie. Usta miała czerwone od krwi. Krew ściekała jej po brodzie i kapiała na dekolt. Wyglądała groteskowo, jak malowniczy filmowy wampir. – Nie, kurwa...

Ktoś mnie szturchnął, odwróciłem się i zobaczyłem Jeremiasza, który chciał się przepchać do przodu.

– Chodź, stary. – Chwyciłem go mocno za ramię i nie słuchając protestów, zacząłem odciągać od zbiegowiska nad stawem.

Odwróciłem się jeszcze i zobaczyłem Goldenthala podchodzącego do narzeczonej. Objął ją ramieniem i pocałował w czoło. A ja objąłem Jeremiasza. Bez całowania.

Gdy skończono nas przesłuchiwać, było już po czwartej i zaczynało świtać. Zatailiśmy naturalnie powód, dla którego Tadziu był na tym przyjęciu. Opowiedziałem za to, że widziałem Szyszkę i Tadzia w altance, a ona potwierdziła moją opowieść. Jednocześnie niestety dawaliśmy Pączkowi alibi, bo byliśmy świadkami tego, jak rozstał się z chłopakiem i dołączył do znajomych, którzy dali mu z kolei alibi na dalszą część wieczoru. Był kryty. Psy zawsze będą trzymać ze sobą sztamę, a Szyszka,

nawet jeśli był skorumpowanym gliną i pedałem, wciąż pozostawał jednym z nich.

Ani Opiekun, ani Szyszka nie pobrudzili sobie rąk. Wykonawcą wyroku był zapewne Kakałko. Zaraz po dokonaniu morderstwa musiał uciec przez ogrodzenie, co było – podobnie jak ukradkowe wejście na teren ogrodu – banalnie proste. O wiele bardziej zastanawiało mnie to, w jaki sposób Tadziu został zdemaskowany. I dlaczego Opiekun po raz kolejny za mój błąd ukarał kogoś innego?

„Sunday is gloomy,  
My hours are slumberless  
Dearest the shadows  
I live with are numberless

Little white flowers  
Will never awaken you  
Not where the black coach of  
Sorrow has taken you”.

*Gloomy sunday*  
LÁSZLÓ JAVOR

Dzwony na Dębniakach wyrwały mnie ze snu, przypominając, że jest niedziela i trzeba iść do kościoła. Biły jak pojebane, o jakiejś chorej porze, typu dziewiąta rano, i to non stop przez całe pięć minut. Wiem, że właśnie tyle, bo zirytowany sprawdziłem to na zegarku.

Wstałem i poszedłem do kuchni. Tam zapaliłem papierosa przy oknie.

– Skurwysyny – powiedziałem, nie mając pewności, o kogo mi chodzi. Tym razem chyba o tę czarną hołotę, która przyznała sobie prawo do decydowania, o której mam wstać. – Gdzie był ten wasz Bóg, gdy wczoraj niewinnego pedała nożem dźgali?

Koło południa przyszedł Edward, by mi powiedzieć, że ona odwiedziła go rano i zabrała młodą. Kazała mi przekazać, że jej rodzice wydają się w porządku. Edward nie zadawał zbędnych pytań. Nic go nie dziwiło. Oddał mi laptopa i rzeczy, które Lilianna zostawiła u niego. Nie zapraszałem go, ale sam się wprosił. Usiadł przy stole w kuchni i powiedział, że wie już, co się stało. I że to jego wina, i że to straszne,

wcale nie tylko dlatego, że rozwała mu cały spektakl i teraz straci sponsorów, czyli rodziców chłopaka. Bo może był to bardzo kiepski aktor, ale przecież mógł się podciągnąć. Bez słowa wręczyłem mu piwo.

Trzy godziny później byliśmy już po zgrzewce browarów i butelce stocka, którą Edward przyniósł z dołu. Z braku innych trunków w następnej kolejności zabraliśmy się do rozpracowywania półlitrowej butelki alkoholu domowej roboty, którą znalazłem w głębi kredensu. Był zaskakująco niedobry. Edward odkrył przyczynę podłego smaku, zgłębiając brudną etykietkę.

– To chyba koncentrat! Dzieło jakiegoś Mariana – wybełkotał. – Stary, z tego dopiero powstaje alkohol!

– Ale da się wypić? – spytałem retorycznie.

– Da się! – potwierdził Edward.

– No, to za dobrych chłopaków, co odeszli!

– Za chłopaków!

Wychyliliśmy po bani. Edward czknał. A mnie zebrało się na zwierzenia:

– Ja też miałem przyjaciela, pedała, jak się okazało. Bujał się we mnie od podstawowy, biedny frajer. Łysy był jak ty. W gruncie rzeczy niebrzydki... Oczywiście jak na osiedlowe warunki. Niższy ode mnie, ale nie jakiś karzeł. Na siłkę chodził cztery razy w tygodniu, więc nawet dosyć przykokszone. Rozumiesz, dobrze zbudowany, męski. Ale pedał...

– O, to w Coconie miałby branie – wtrącił Ed z przekonaniem. – Czy to był typ skejta?

– Człowieku, jakiego skejta? – prychnąłem. – Chuligan to był, najgorszy.

– To nawet lepiej. Z pięciu takich znam, co by mu klękneli w kolejce do miecza.

– Nie mów nawet takich rzeczy, bo się rozkleję jak baba. – Westchnąłem, polewając Marianowego trunku. – Zachwycony byłby. Biedny Kojak. Kiedyś na działkach... Pijani byliśmy i naćpani. Bez sensu to było. Tylko mu przykrość zrobiłem. Krzywdziłem go tak całe życie. Mogłem go w tej ostatniej godzinie chociaż pocałować. Mogłem mu powiedzieć: „Kojak, przestań pierdolić i chodź się, chłopie, całować!”.

Edward zaczął ocierać zażawione oczy.

– Co za historia! Ależ wy byście się całowali! Jakby miał się skończyć świat!

– No i się skończył, tyle że bez całowania.

Pół godziny później sąsiad chrapał na kanapie, a ja się zastanawiałem, gdzie podziewa się Lilianna, kiedy potrzebuję wysłać ją do sklepu po jeszcze jedną taką butelkę koncentratu, który nagle zaczął mi smakować. Potem sobie przypomniałem, że to rarytas nie do kupienia, a ja nie mam pojęcia, kim jest Marian. A mała już pewnie dawno z mamusią i tatusiem. Może powinienem zadzwonić do niej i to sprawdzić. Oddać jej te śmieci, które zostawiła. Przyciągnąłem do siebie kartki przyniesione przez Edwarda. Była wśród nich lista podejrzanych, którą zrobiłem dla młodej. Przebiegłem ją wzrokiem i ze zdziwieniem zauważyłem, że ja również się na niej znajduję. Musiała mnie dopisać. Wziąłem do ręki następną kartkę, którą Lilianna podzieliła na pół. Po jednej stronie napisała „dobrzy”, po drugiej „źli”. Ogarnęło mnie pijackie wzruszenie, gdy zobaczyłem, że umieściła mnie w kolumnie dobrych. Za towarzystwo miałem tam jedynie Edwarda. Listę złych rozpoczynali „starzy”, z kilkoma wykrzyknikami. Potem była „głupia siostra”. Poniżej zdążyła jedynie napisać „laski to kłamliwe suk”. Pewnie miało być „suki”. I nic więcej. Z ciekawości wszedłem w historię wyszukiwania w moim laptopie, ale była wykasowana. Może Ed wiedział coś na ten temat, może czymś się z nim podzieliła, ale teraz spał. Też bym sobie pospał.

Nie. Nie to należało zrobić. Należało odszukać Sophie. Gdzie mogła się ukryć ta głupia Zośka? Odnalazłem w laptopie jej zdjęcie i zacząłem mu się przyglądać. Jej uroda rzucała się w oczy. Jeśli chciałyby się ukryć, musiałyby diametralnie zmienić swój wygląd.

Bywają takie momenty, że pijany człowiek zaczyna nagle nadspodziewanie jasno myśleć, jakby procenty na chwilę uwalniały przebłycki geniuszu. Po głowie kołatało mi się nadal wczorajsze: „najciemniej pod latarnią”. To było ryzykowne, pomysłowe i w pewnym sensie zabawne. A jeśli z Sophie było podobnie? Gdzie najpierw zaczął szukać Opiekun? U Greta. Kto był jego głównym podejrzany? Greta. Kto mu najbardziej zagrażał? Greta. I kto miał największy tupet i nie zważał na ryzyko? Greta. Być może Sophie nigdy nie opuściła barki Greta. Po

zakamarkach pamięci pałętały mi się jakieś wątki z książek Agathy Christie, które pochłaniała ona, a ja też przeczytałem kilka, aby zobaczyć, czym się tak ludzie jarają. Było coś z restauracją, kelnerami i służącymi. To ludzie, którzy przemykają obok i nikt ich nie zauważa. Należą do wyposażenia jak stoły, krzesła i talerze. Jeśli z nimi nie gadasz, jeśli tylko snują się jak duchy między stolikami, to nie sposób ich zapamiętać. Wszyscy w dodatku ubrani w jakieś odczłowieczające stroje służbowe.

W pijackim amoku wrzuciłem zdjęcie Sophie do photoshopa. Dokonałem paru zmian. Po chwili jej oszałamiająca uroda znikła. Ze zdjęcia patrzył na mnie zdzirowaty kurwiszon w wielkiej blond peruce. Już ją spotkałem. Miałem ją na wyciągnięcie ręki. Była kelnerką w koszarnej rybiej sukience, to ona przyniosła Grecie i Angie śniadanie. Ależ to musiało je ubawić.

Byłem przekonany, że mam rację. Ale musiałem przejść się tam raz jeszcze, aby zyskać całkowitą pewność. Nadal nie wiedziałem, po co to wszystko. Czemu służyła ta maskarada, po co to igranie z Opiekunem? Czy Greta wykorzystywała tylko naiwność Sophie, czy może współdziałały? Jednego byłem pewien: Greta nie pomogłaby żonie Opiekuna, gdyby nie miała w tym interesu.

Tak bardzo potrzebowałem porozmawiać teraz z Mentorem o Sophie. Czy ktokolwiek poza nim mógł udzielić mi informacji na jej temat? Na Osiedlu nie było chyba nikogo, komu zwierzyłyby się ktoś taki jak Mentor. A jednak Franc coś wiedział. Niewiele, ale wiedział. No tak, tyle że rodzina Franca była na trochę innym poziomie niż reszta osiedlowego motłochu. Jego matka pracowała z moją w firmie zajmującej się księgowością. I była mniej więcej w wieku Mentora. To od niej Franc musiał wiedzieć, że Mentor miał córkę. Tylko czy stara jeszcze żyje? Zdaje się, że kilka lat temu synowie oddali ją do domu opieki. Potrzebowałem jak najszybciej porozmawiać z Francem.

Zadzwoiłem do niej. Odebrała od razu.

– Muszę natychmiast skontaktować się z naszym znajomym z pizzerii. – Miałem nadzieję, że zajarzy, o kim mówię. Ktoś mógł słuchać, a ja mimo wszystko nie chciałem narażać Franca, którego głównym przewinieniem była głupota. – Możesz to załatwić?

– Spróbuję – odparła. – Gdzie ma cię szukać?

Zastanawiałem się chwilę.

– O tej godzinie, o której w piątki chodziliśmy na plac Inwalidów na bansy. Będę czekał tam, gdzie organizowaliśmy najgrubsze melanże. Wiesz, o czym mówię?

– Wiem.

Godzinę później dostałem esemesa o treści „OK”. O szesnastej trzydzieści byłem nadal zbyt nastukany, aby prowadzić samochód. Zły, że tak nie w porę urządziłem sobie popijawę, wyszedłem z mieszkania, zostawiając pogrążonego w zdrowym, pijackim śnie zaślinionego sąsiada. Na dole w sieni zauważyłem rower, który już raz sobie pożyczyłem. Postanowiłem zrobić to znowu.

Podjechałem pod bunkry, mieszczące się w pobliżu kopca. Była szesnasta pięćdziesiąt. Miałem jeszcze dziesięć minut. Chwilę nasłuchiwałem, ale byłem tu chyba zupełnie sam. Bywalcy tej mety, niczym zombie, zaczynają się złączyć o późniejszych godzinach. Wszedłem do środka i oparłem rower o ścianę. Wewnątrz poczułem przyjemny chłód, ale śmierdziało pleśnią, zgnilizną i odpadkami. Wokół walały się śmieci, butelki, puszki i resztki jedzenia. Dalej w głębi leżał brudny, rozpruty materac z wyłazłą żółtą gąbką, a obok niego zużyte strzykawki i zakrwawione kawałki papieru i szmat. Za naszych czasów było tu bardziej elegancko. Albo tak mi się tylko wydawało, bo byłem skupiony na najejbce, jaraniu jointów i wygłupach z moją przyjaciółką. A potem na macaniu jej w jakimś kącie, gdy została już moją dziewczyną. Odchodziliśmy od towarzystwa dalej w głąb bunkra, gdzie nie dosięgał nas blask płonącego na zewnątrz ogniska. Przypierałem ją do ściany, pochylałem się nad nią, całując ją zachłannie, a ona zarzucała mi na szyję chude ręce i pozwalała, bym ścisnął jej piersi pod koszulką.

Dotknąłem chłodnej, wilgotnej ściany, jakbym liczył na to, że odda mi część swoich wspomnień.

Usłyszałem kroki, a potem chrzęst żwiru przy wejściu. Na moment sylwetka Franca przysłoniła słońce. Przyszedł sam.

– O co chodzi? – spytał, podając mi rękę.

– Mam niewiele czasu. Czy to twoja matka opowiedziała ci o Sophie?



Franc zmarszczył brwi i przez moment się zastanawiał.

– Tak. Chyba ona. To musiała być ona, bo kto inny?

– Ona żyje? – spytałem dosyć obcesowo. Ale czy istnieje w ogóle jakiś grzeczny sposób, aby zadać takie pytanie? Jeśli tak, to ja go nie znałem. Franc, jak większość ludzi z Osiedla, na szczęście nie przywiązywał specjalnej wagi do kurtuazji.

– Moja matka? Tak, żyje. Mieszka w domu starców. Nie odwiedzam jej od pół roku, bo to zbyt ryzykowne.

– Muszę się z nią zobaczyć, Franc.

– A co z naszą umową?

– Nadal aktualna – skłamałem, patrząc mu prosto w oczy. – Osiedle będzie twoje, ale muszę z nią porozmawiać, bo inaczej cała akcja pójdzie się jebać. Podaj mi adres.

– No dobra – zgodził się po chwili wahania.

Dziesięć minut później jechałem na rowerze do domu starców, który usytuowany był na obrzeżach miasta, za Ruczajem. Przejechałem przez niewielki las. Za nim ciągnęła się droga gruntowa, przy której stało niewiele zabudowań, w większości jeszcze niewykończonych.

Dom spokojnej starości mieścił się w rozległym parku, za powstającym osiedlem domków jednorodzinnych. Rzeczywiście było tam bardzo spokojnie. Pośrodku parku rozpościerał się rozległy staw, wokół wiły się alejki, przy których stały białe ławki. Zapewne było to urocze miejsce, ale w tym momencie zupełnie mnie to nie interesowało i ledwo zauważałem otoczenie. Wstawiłem rower w stojak przy głównym wejściu do budynku i wszedłem do środka. Pielęgniarka siedząca na recepcji była bardzo miła i udawała, że nie widzi, w jakim stanie jest moja twarz. Ucieszyła się, że ktoś w końcu odwiedził starszą panią, bo od długiego czasu jest bardzo samotna.

– Kiedy ostatnio ktoś tu był?

– Jej synów nie widziałam już ponad pół roku. Nie mam pojęcia dlaczego, bo przedtem wpadali regularnie. Ostatnio była tu chyba taka młoda dziewczyna. Ale to też jakiś czas temu.

– Dziewczyna? – zainteresowałem się. – Pamięta pani może, jak wyglądała?

– To było tak dawno temu. – Pielęgniarka się zamyśliła. – A czemu to pana interesuje?

– Starsza pani odłożyła trochę szmalu na starość i jej synowie martwią się, że mogą zacząć się kręcić wokół niej dalecy krewni. Wie pani, pazerne hieny...

– A pan, przepraszam, kim jest? – spytała, teraz już bardzo podejrzliwym tonem. Dlatego właśnie w tym zawodzie lepiej jest mieć ładną buźkę, odrobinę tylko uszkodzoną, długie blond włosy i firmowe dodatki, a nie budzącą grozę mordę orka z *Władcy Pierścieni*. Całe szczęście, że przygotowałem się na taką ewentualność.

– Występuję w imieniu Franciszka Króla, syna pani Janiny. Tu jest moje upoważnienie – wyjąłem z kieszeni dosyć schludną kartkę i podałem babie. Studiowała pisaninę Franca wnikliwie niczym grafolog. Porównała nawet te kulfony z podpisem, który widniał na jednym z dokumentów, który Franc wypełnił przed laty.

– Zatrzymam to – powiedziała surowo, chowając kartkę. Nie znalazła jednak pretekstu, by do czegoś się przyczepić.

– Proszę bardzo – odparłem, chociaż nie byłem zachwycony, że zostawiam za sobą jakikolwiek papier. – Powie mi teraz pani, jak wyglądała dziewczyna, która odwiedziła panią Król?

– Była dosyć tęga. Może nie tęga, ale duża. I była z dzieckiem, z małą dziewczynką, najwyżej dwuletnią. Pamiętam, bo potem zagadnęłam panią Król, czy to może jej wnuczka. Zaprzeczyła i jakoś tak posmutniała. Powiedziałam, że ładna dziewczynka, a ona na to, że nie wiem, co mówię, że to pomiot szatana. Tak to powiedziała, że mi ciarki po plecach przeszły. Ale tacy już oni czasami są, ci staruszkowie. Musi pan wiedzieć, że pani Janina zrobiła się z wiekiem trochę dewotką. Nie całkiem z nią dobrze, więc niech się pan nie dziwi, jeśli zacznie mówić od rzeczy albo pana obrażać.

Postanowiłem już niczemu się nie dziwić. Angie tu była ze swoją córką. Pewnie zaraz po opuszczeniu domu dziecka. Może to było połączenie pomiędzy Sophie i Gretą, którego szukałem.

Janina siedziała w parku na jednej z białych ławek i w skupieniu robiła coś na drutach. Mała, zasuszona, samotna staruszka.

– Dzień dobry – powiedziałem, podchodząc.

– Dzień dobry – odparła, podnosząc wzrok znad tego, co robiła.

– Pamięta mnie pani?

Przyglądała mi się długo i uważnie czarnymi, pustymi oczami, po chwili skinęła głową.

– Pracowałam z twoją matką. Dobra kobieta, chociaż zeszła na złą drogę.

– Niestety – przytaknałem, gotów się z nią zgadzać we wszystkim, byle tylko udzieliła mi informacji. Mogłem się z nią nawet pomodlić. Albo zadzwonić do Radia Maryja i klepać zdrowaśki. – Mogę usiąść na chwilę?

– Siadaj, dziecko, siadaj. Biedny z ciebie chłopak. Nie zasłużyłeś na to wszystko. Nikt z was nie zasłużył.

– Z nas? Ma pani na myśli Angelinę?

– Tak. – Już całkiem zapomniała o swojej robótce. Jej pomarszczone dłonie opadły na podolek. – Biedna dziewczyna. Była tu u mnie. Ja naprawdę nie wiedziałam. Nie wiedziałam.

– Pytała o Mentora?

– Skąd wiesz? Dziwny z ciebie dzieciak. Wy, bękarty, myślicie chyba podobnie. Jesteście naznaczeni. Ty, Angelina i Zosia. Zrodzeni z grzechu, bez Boga. Gdy Boga nie ma, przy poczęciu asystuje szatan!

– Sophie była bękartem?

– Przecież Władek nigdy się z tą Marylą nie ożenił! A ona zaraz miała innego chłopca.

– Więc Sophie nie nosiła jego nazwiska?

– A skąd. Jaka Sophie? Mała Zosia Zimniak. Raz ją widziałam. Śliczna dziewczynka, urocza. Nie mogłam się napatrzeć, taka ładna była. Spotkałam ich przypadkiem na Rynku. No i wtedy się wyjaśniło, gdzie raz na jakiś czas znikał Władek...

– Nie zabierał jej na Osiedle?

– A co tam ciekawego dla dziecka? Raz może zabrał. Niepotrzebnie. I jak oni na nią patrzyli! Nic dobrego by z tego nie było, chłopcze. A potem

Władek przestał znikać z Osiedla, więc go zapytałam, czy już nie widuje się z córką. Powiedział, że jej matka nie życzy sobie, aby mieli kontakt, bo one mają już inną rodzinę. A Władek ma na Zosię zły wpływ... Władek? Zły wpływ? Wariactwo. No, ale normalna to ona nie była!

– Która z nich?

– Która? Chyba obie, tak coś mi się zdaje.

– Słyszałem, że jej matka umarła. Wie pani może, na co?

– Ona podobno chorowała na nerwy i ta mała po niej to odziedziczyła. Maryla popełniła drugi śmiertelny grzech. Zabiła się. Powiesiła się w tej chałupie, co miała po ciotce. A może otworzyła sobie żyły? Jakby mnie kto pytał, to Władek się wcale tym nie zmartwił. Wreszcie mógł się spotykać z córką. Tyle że wtedy zamknęli ją w wariatkowie. Podobno załamała się po śmierci matki i ten konkubent Maryli uznał, że powinna się leczyć. Gorzej z nią było niż wcześniej.

– Kiedy to było?

– Jakies cztery lata temu. Zosia miała wtedy chyba szesnaście lat. Władek mnie tu czasami odwiedzał, to go wypytywałam. Mówił, że Zosi jest tam źle. Nie lubi siedzieć w zamknięciu. Potem zaczęło jej się polepszać. Mówił, że może ją wypuszczą. Trochę się tym zmartwił, że wcale nie jest na to gotowa. To takie wrażliwe dziecko było, takie ładne. Pokazywał mi zdjęcie, jak wyrosła. Piękna dziewczyna. Pewnie chłopcy teraz za nią szaleją.

– Gdzie ona się wychowała? Mówiła pani o jakimś domu po ciotce?

– W Przegorzałach mieszkały. Ale to nie była ich ciotka, tylko tego konkubenta Maryli. Jak jej było? Stenia Monkelowa. Nie wiem, czy Zosię w końcu wypuścili. Władek przestał mnie odwiedzać. Już nikt mnie nie odwiedza. Ostatnio była Angelina. Dawno temu. Biedna dziewczynka. Ale naprawdę nie wiedziałam. Wiesz, co mi powiedziała na koniec?

– Nie wiem.

– Że zasłużyłam na najgorsze. Że umrę w samotności i zapomnieniu. – W małych ciemnych oczkach staruchy zalśniły łzy. – Ale ja nic nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, co tam się działo. Nie wiedziałam, że to dziecko, które mi pokazała, to owoc strasznego grzechu. Powiedziała, że takich jak ja jest więcej.

A więc to była wendeta Angie, nie Greta. Greta tylko asystowała przy tej zabawie.

– Naprawdę nic pani nie wiedziała?

– Ja... – zmieszała się. – Nie wiem. Nie pamiętam... Byłam chora. Mówiłam do Franka, że może byśmy wzięli tę małą Angelinę do nas. Bo matka mojego męża, babka Angeliny, nie umiała się nią odpowiednio zająć. Umarła w więzieniu. Słyszałeś o tym? Mówią, że jeść nie chciała, pewnie ze zgryzoty umarła. Ją też przecież oskarżyli. Ona tam mieszkała, gotowała im, musiała wiedzieć. Ale ona zawsze tylko powtarzała tej biednej dziewczynie, że ma być grzeczna, cicho siedzieć, słuchać się brata. To się słuchała.

– Dlaczego jej nie zabraliście? – Nie wytrzymałem. Jeśli chodzi o przypadek Angie, wszyscy odsuwali od siebie poczucie winy i rzucali oskarżenia na innych. Nie odstawałem od tego schematu.

– Franio twierdził, że Karol się nie zgodzi. Januszek mówił, że to nie nasza sprawa, że przecież babka jest, że pilnuje. Naprawdę chciałam... Zrobiłam wszystko... Wysyłałam Franka, żeby patrzył, czy z Angeliną wszystko dobrze. Mówił, że tak. Że wszystko dobrze. Prezenty jej posyłałiśmy...

Popatrzyłem na nią z mieszkanką współczucia i niechęci, chociaż nie była ani gorsza, ani lepsza od nas wszystkich.

– Wiesz, ona o ciebie też bardzo pytała – powiedziała nagle starucha.

– Co chciała wiedzieć? – spytałem ostro.

– Wszystko. O tobie i o twojej matce.

– O mojej matce?

– Tak. Była ciekawa, wiedziała, że razem pracowałyśmy.

Byłem naprawdę głupi. Nie wziąłem pod uwagę najbardziej oczywistej osoby, która mogła, nie z własnej winy, co prawda, ale odpowiadać za to, że moja niesmaczna tajemnica ujrzała światło dzienne. Nigdy nie spytałem matki, jak poznała mojego ojca. Nie interesowało mnie to.

Poczułem rosnącą ekscytację. Teraz zrozumiałem, co ją tak bardzo pociągało w tym zawodzie. Chyba właśnie to uczucie, gdy kolejne elementy zaczynają do siebie pasować. Alkohol już prawie całkiem wywietrzył mi z głowy.

– Pytała o mojego ojca?

– Bękarty zawsze interesuje ojciec. Angelina też swojego nie znała.

– Pani znała mojego ojca?

– O tak. Znałam go. Miał na imię Leon. Dobrowolski Leon. Byłam jego księgową. Zwykle do niego chodziłam, ale raz to on przyszedł do naszego biura. Tak poznał twoją matkę. Była bardzo ładna, na Osiedlu nie mogła się opędzić od konkurentów. Największe łobuzy się w niej durzyły jak nastolatki. Jednak ten Leon to był człowiek zupełnie innej klasy niż ta osiedlowa swołocz. Potem przychodził częściej. Wkrótce okazało się, że biedna Danusia spodziewa się dziecka. Z początku była szczęśliwa, bo kochała tego łobuza. Ale okazało się, że on ma już żonę czy narzeczoną, która też jest w ciąży. No, to było oczywiste, którą wybierze. Takie jest życie. – Popatrzyła na mnie smutno, a potem się uśmiechnęła. – Nie jesteś do niego podobny, wiesz? On to nigdy taki poobijany nie chodził. Chociaż chyba zasłużył, prawda? Szatan przychodzi pod różnymi postaciami. A oni wszyscy są tacy sami. Dzikie bestie. Zawsze bardzo elegancki i szarmancki. Bawidamek. Miała pecha, biedna Danusia. Kwiaty jej przynosił, czekoladki. Biżuterię raz nawet kupił. Pewnie dlatego tak się Danusi spodobał. To był ktoś z lepszego świata.

„Jak najmniej się da”.

*Chinatown*

REŻ. ROMAN POLAŃSKI

Zostawiłem Janinę Król na białej ławce pośrodku parku z jej poczuciem winy, samotnością i żalem i wróciłem na Dębniki. Okazało się, że Edward poszedł już do siebie. Odnalezienie w Przegorzałach domu, w którym mieszkała Maryla Zimniak ze swoją córką Zosią, zajęło mi trochę czasu. Sporo dzwonięcia, ściemniania i grzebania w Internecie. Dlatego gdy jechałem samochodem w kierunku Przegorzał, było już po dwudziestej drugiej.

Chwilę błdziłem, aż natrafiłem na boczną drogę, którą łatwo przeoczyć. Była ukryta między polami kukurydzy i prawie całkiem zarośnięta wysoką trawą. Skręciłem w nią i na wszelki wypadek dalej jechałem z wyłączonymi światłami. Słyszałem, jak trawa ociera się o podwozie forda. Wkrótce zobaczyłem położony na uboczu ponury, zniszczony dom. Myślałem, że będzie pusty, ale w maleńkim, chyba piwnicznym oknie paliło się światło. Czyżby Sophie tu jednak wróciła? Może Greta i Angie uznały, że trzymanie jej na barce jest zbyt ryzykowne. Ale tu Opiekun mógł ją odnaleźć równie łatwo jak ja. Na podwórku stał stary van. Zaparkowałem w zagajniku w pewnej odległości od domu, wysiadłem i ruszyłem drogą przez pole. Wiatr szeleścił wśród niewysokiej jeszcze kukurydzy. Jakiś wewnętrzny, osiedlowy instynkt nakazał mi zachowywać się cicho i ostrożnie. Ten sam instynkt podpowiedział, żeby zabrać ze sobą berettę, którą otrzymałem od Kakałka. Czułem się nieco pewniej, mając ją w kieszeni. Niewykluczone, że natknę się tu na Krzysia lub kogoś innego z obstawy Grety. Przeskoczyłem przez wałący się drewniany płot i cicho przebiegłem przez

puste, zaniedbane i zarośnięte trawą podwórko. Dom pogrążony był w ciszy, mimo to byłem pewien, że ktoś jest w środku. Nasłuchiwałem chwilę, aż dotarły do mnie jakieś szmery. Szuranie lub przesuwanie mebli. A potem jakiś jęk czy stęknienie. Przemknąłem cicho wzdłuż popękanej, osypującej się ściany domu do okienka, w którym widziałem światło. Zajrzałem do środka, ale dostrzegłem jedynie kawałek brudnej ściany i zakurzonej podłogi. Podszedłem do drzwi wejściowych. Były zamknięte. Rozpracowanie zamka zajęło mi mniej niż minutę. Otworzyłem stare drzwi najciszej, jak się dało, i wszedłem do sieni. Poczulem charakterystyczny zapach dawno niewietrzonego, zatęchłego starego domu, w którym nikt nie mieszka. A potem inny, słodkawy i mdlący, którego się nie spodziewałem. Bardzo niepokojący. Zapach śmierci i rozkładu.

Znowu usłyszałem szuranie. Dochodziło z piwnicy, w której paliło się światło. Najpierw obszedłem jednak po cichu cały dom, aby się upewnić, że nikt się nie ukrywa w żadnym z pomieszczeń. Wszystkie pokoje były puste. Wróciłem do sieni, gdzie znajdowało się wejście do piwnicy. Ze szczeliny pod drzwiami sączyło się światło. Usłyszałem dobiegające z dołu długie westchnienie. A potem ciężkie kroki kogoś, kto bardzo wolno pisał się w górę schodów. Zatrzymywał się chyba na każdym stopniu. Wyjąłem pistolet, odbezpieczyłem i wycelowałem w piwniczne drzwi. Kolejny jęk, tym razem bardzo blisko. Ten ktoś stał tuż za drzwiami. Zatrzymał się. Nic się nie działo. Czyżby mnie usłyszał? Czekałem w napięciu.

A potem drzwi do piwnicy otworzyły się na oścież. Światło oślepiło mnie na moment. Zmrużyłem oczy, ale wcześniej zdążyłem zobaczyć zgarbioną sylwetkę odcinającą się na tle jasnego wnętrza. Rozpoznałem ją od razu. To nie była Sophie ani nikt z ludzi Grety. Przede mną stał Mentor. Kompletnie zaskoczony.

– To pan – powiedziałem, gdy moje oczy przyzwyczyły się do jasności i upewniłem się, że dobrze widzę.

– Co tu robisz, Łukaszu? – spytał dziwnym głosem.

– Szukam Sophie – odparłem, nie opuszczając broni.

– Tu nie ma Sophie – powiedział i zrobił krok do przodu. Chciał zamknąć drzwi do piwnicy. – Odłóż tę pukawkę, chłopcze. Wyjdźmy, porozmawiajmy na zewnątrz, straszny tu bałagan. Trochę tu chciałem posprzątać.



Wyczułem w jego głosie panikę. Jeszcze raz spróbował zamknąć drzwi, ale przeszkadzał mu ten wielki wór, który wciągnął za sobą z trudem. Co on tam włókł? Spojrzałem na worek, a potem na prowadzące w dół schody za nim. Mimowolnie się cofnąłem. Piwnica wyglądała jak rzeźnia. Brudna, zapyziała, obskurna rzeźnia. To stąd wydobywał się ten odrażający fetor.

Od razu zorientował się, na co patrzę, i rzucił się z rykiem przed siebie. Pchnąłem go. Runął w dół, wypuszczając z rąk plastikowy wór, który otworzył się, spadając po schodach. Starzec upadł na plecy, a zawartość worka obsypała go niczym jakieś ohydne konfetti. Kości, nadgniłe kawałki ciała, włosy, noże, gwoździe, młotki, piły, palniki. A pośrodku on jak szmaciana lalka. Jęknął z bólu. Próbował wstać, ale upadając, musiał uszkodzić sobie nogę. Była wykrzywiona pod nienaturalnym kątem, a gdy za nią złapał i spróbował ją przyciągnąć do siebie, zaczął wyć z bólu. Przewyciężając wstręt i wstrzymując oddech, zszedłem na dół, starając się na nic nie nadepnąć.

– Jesteś Rzeźnikiem.

Spojrzał na mnie, dysząc i krzywiąc się z bólu. A potem zaśmiał się dziwnie, ale równie dobrze mógł to być płacz.

– Bystrzak z ciebie, chłopcze, miałem rację, bystrzak. – Zachichotał.

– To dom Sophie. Widziałeś ją? Była tu?

– Ona tu nie przychodzi. Ma złe wspomnienia.

– Sophie wie, kim jesteś?

Znowu stęknął z bólu, próbując ułożyć się w wygodniejszej pozycji. Odsunął na bok porozrzucane fragmenty ciał zabitych przez siebie kobiet. Na czoło wystąpił mu pot.

– Wiesz, gdzie jest moja Sophie? Znalazłeś ją? – wydyszał.

– Nie.

– Nie szukaj jej. Myślisz, że oni są lepsi ode mnie? Jak sądzisz, co jej zrobi ten Oprawca? Tak go powinni nazywać: Oprawca, a nie Opiekun.

– To dlaczego go popierałeś?

– Popełniłem błąd. Dwa razy. A teraz za to zapłacę.

Na jego twarzy zagościł dziwny wyraz złości i uporu, a zarazem strachu. Oparł się o nogę rzeźnickiego stołu. Nagle stał się smutny i zrezygnowany.

Z trudem łapał oddech. Z jego oczu popłynęły łzy. Starł je wierzchem dłoni. Rozejrzał się i podniósł leżącą najbliżej kość.

– Moja Zosia, moja biedna córeczka – zaczął rozpaczliwie łkać, tuląc do siebie kawałek kości, jakby to było niemowlę. – Lepiej jej było w psychiatryku zostać. Tam była bezpieczna. Moja dziewczynka.

Chłop miał naprawdę niezłą jazdę. Rozejrzałem się po piwnicy. Okienko było zbyt małe, aby się przez nie przecisnął, zresztą chyba i tak nie mógł chodzić. Odwróciłem się i ruszyłem schodami w górę.

– Dokąd idziesz? – spytał z niepokojem. – Nie zostawiaj mnie! Co chcesz zrobić, Łukasz?

– A jak ci się zdaje? Idę zadzwonić do Opiekuna.

– W takim razie lepiej mnie zabij od razu – zawył. – Zabij mnie!

– Nic z tego, jesteś moją przepustką na wolność.

– Poczekaj – powiedział błagalnie.

Stałem już u szczytu schodów. Odwróciłem się jednak i spojrzałem w jego pomarszczoną, bladą, spoconą twarz. Teraz już nie wyglądał jak szaleniec, tylko jak zmęczony życiem starzec. Mówił z trudem, trzęsącym się głosem. I nie przestawał płakać.

– Łukaszku, tak nie uratujesz siostry. Ani siebie. Ani Osady. Wiesz, że na tym się nie skończy. Będziesz musiał podjąć jeszcze wiele trudnych decyzji. To nie będzie wybór pomiędzy dobrem a złem. Będziesz musiał wybrać mniejsze zło. I nie unikniesz zabicia kilku osób. A to i tak dopiero preludium do tego, co szykuje ten szatan! Zaczynaj ode mnie. Zabij mnie. Zabij mnie, proszę! Dla ciebie to nic takiego. Pokażesz Opiekunowi moje ciało i opowiesz, co zrobiłem. Proszę, Łukaszku! Błagam, zrób to. Przepraszam cię za wszystko. Zabij mnie.

– Przykro mi, ale nie – odparłem. – Zresztą wcale mi nie jest przykro.

Nagle zatrzymałem się i spojrzałem na niego uważnie.

– Ty wiesz, co on szykuje, prawda? Wiesz, o co mu naprawdę chodzi?

Starzec prawie niezauważalnie kiwnął głową.

– Więc mi powiedz. Wtedy cię zastrzelę.

Łzy ciekły teraz nieprzerwanym strumieniem po pomarszczonych policzkach mordercy.

– Nie mogę tego zrobić.

– Przecież umierasz, popaprańcu. I nienawidzisz Opiekuna. Nie musisz już być wobec niego lojalny.

– Nie rozumiesz. To zbyt ważne. Ważniejsze niż ja, moja śmierć i cierpienie. Tak musi być. Mam obowiązek pozostać wierny, ale wobec Osady, nie Opiekuna. On jest zły. Ale może czynić dobro, podczas gdy dobry zło wyrządzać będzie. Pewne rzeczy muszą się po prostu wydarzyć i kiedyś to zrozumiesz. Ale jeszcze nie teraz. Do godziny zero zostało sporo czasu. Na razie nikt nie może wiedzieć. Powinieneś uważać, żeby nie dać się zabić przed czasem. Musisz sam zacząć zabijać. To nic trudnego. Zaczynaj ode mnie.

– Co to za brednie? Jeśli chcesz umrzeć szybko, daj mi konkretną informację.

– Nic więcej nie mogę powiedzieć. Wybaczam ci. A ty wybacz mi.

Zanim wyszedłem, zgasilem światło. Poczułem jakąś sadystyczną przyjemność na myśl o tym, że leży tam teraz sam w ciemnościach, wśród szczątków swoich ofiar. Może powinienem zadać mu więcej pytań. O motywę. O to, ile w sumie miał na koncie ofiar. Nie miałem już jednak ochoty z nim gadać. Był Mentorem, jednym z niewielu ludzi na Osiedlu, którzy mogli być wzorem dla takich jak ja. A okazał się tylko kolejnym psychopata. Kto wie, czy nie gorszym od całej reszty. Teraz był moją kartą przetargową.

Zadzwoiłem do Opiekuna. Nie był zaskoczony, powiedział, że jego ludzie przeszukali domek Mentora na Osiedlu. Kuchnia wygląda jak rzeźnia. To tam tłukł i dźgał Prochacką. Od dawna go podejrzewał, więc właściwie znowu niczego wielkiego nie dokonałem. Pierwszy zakończył rozmowę, a ja wiedziałem już, że nie pozostawił mi wyboru innego niż uruchomienie planu B. Nie czekałem na ludzi Opiekuna, tylko czym prędzej odjechałem.

„Wróg mojego wroga... jest moim przyjacielem”.

*Obcy kontra Predator*

REŻ. PAUL W.S. ANDERSON

Rano wsiadłem do samochodu i pojechałem prosto do Komendy Wojewódzkiej Policji. Dziwnie było zjawiać się tu w innej roli niż domniemany sprawca. Poszedłem w kierunku wskazanym przez dyżurnego. Chciałem pogadać z Goldenthalem.

– A niech mnie kule biją, czy aby dobrze widzę!? – usłyszałem za sobą znajomy głos. Z pokoju, który właśnie minąłem, wyskoczył niewielki koleżka. Komisarz Szczepan Chrząszcz. Zawdzięczałem mu zawiasy i jedną krótką odsiadkę. Łączyła nas relacja niemalże rodzinna. W każdym razie ten gliniarz dał mi w życiu więcej dobrych rad niż mój własny ojciec, który udzielił mi właściwie tylko jednej, a ja jej nie posłuchałem.

– Czyżby kochany Profesor wrócił z wakacji na stare śmieci?

– Taaa i zaczynam moją sentymentalną podróż od odwiedzenia mojego drugiego domu.

– Miałem nadzieję, synku, że cię tu więcej nie spotkam.

– I tak jakbyś nie spotkał.

– Wróciłeś na Osiedle?

– Nie całkiem.

– Widziałeś, co się tam teraz dzieje?

– A co się dzieje? – udałem głupiego.

– Właśnie nic. – Chrząszcz rozłożył ręce. – Pomijając oczywiście ostatnią ofiarę Rzeźnika, która okazała się nie być ofiarą Rzeźnika. Tam się,

chłopcze, nic nie dzieje. Spokój. Nowy zarządca nie poszedł w ślady Króla.

– No, nie poszedł – przyznałem.

Gabriel rozpiardolił cały system administratorów. Pewnie mu się zdawało, że był kwintesencją instytucji admina, ale w gruncie rzeczy stanowił jej zaprzeczenie. Żaden z jego poprzedników nie wyrzynał własnych ludzi.

Ale punkt widzenia zależy, rzecz jasna, od punktu siedzenia. Z perspektywy pluszowej kanapy pod dupą rządu Gabriela na Osiedlu jawiły się mieszkańcom centrum jako sielanka. Bo chociaż ten pojeb zabijał każdego, kto mu podpadł, a resztę trzymał za mordę w kleszczach strachu, to syf nie rozlewał się poza granice dzielnicy. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. I tylko to obchodziło resztę Krakowa. Nikt nie liczył naszych trupów. Nikt o nich nie wiedział, nie było więc żadnych trupów. Tylko cisza i spokój.

– Gabriel Lezuj ma u was teczkę? – spytałem.

– No jasne, jak każdy administrator Osiedla.

– A w niej?

– Przecież ci nie powiem.

– Daj spokój. – Uśmiechnąłem się. – Przez wzgląd na starą znajomość.

– Szkoda, że te układy z tobą są zawsze jednostronne. OK, powiem ci, ale tylko dlatego, że nic tam nie ma.

– W teczce?

– Tak. Wasz nowy admin jest czysty jak łąza.

Gdyby biedak wiedział, jak bardzo się myli. A może po prostu nikt nie chciał kopać głębiej. Bo a nuż coś jednak by się znalazło i wtedy trzeba by było ruszyć wygodnickie dupsko i coś z tym zrobić. A kto chciałby sprzątać stajnię Augiasza? Pożegnałem się i poszedłem dalej w kierunku nory Goldenthala.

Wszedłem do pokoju inspektora bez pukania, w cichej nadziei, że przyłapię go na czymś żenującym, na przykład oglądaniu gejowskich pornosów. Niestety, inspektor pogrążony był w papierkowej robocie, potwierdzając krążące o nim plotki, że z zamiłowania jest nie tylko biseksualnym bon vivantem, ale również urzędasem i biurokratą. Pewnie

był w siódmym niebie, gdy sobie tak przeglądał te wszystkie ładnie napisane raporty i uzupełniał tabelki. Gdy wszedłem, podniósł wzrok i znowu skrzywił się tak, jakby wraz ze mną do pokoju dostał się nieprzyjemny fetor.

– Czego chcesz? – powitał mnie z niechęcią.

Usiadłem nieproszony naprzeciwko niego i zacząłem bujać się na krześle.

– Chcę pogadać.

– Potrzebujesz więcej kasy? Mało ci dała? Feta taka droga teraz?

– W hurcie tania. Przychodzę jako przyjaciel. Możemy sobie pomóc spełnić marzenia. Jakie jest twoje? – spytałem.

– Żebyś wypierdalał z powrotem łowić ryby w Pacyfiku. Miasto bez ciebie naprawdę zyskuje.

– Mylisz się, inspektorze. Zostałem straszny burdel po powrocie. Prawdziwy burdel. Bo oto nastał czas karnawału, w którym kompletni degeneraci przyznają sobie władzę i prawo do wszystkiego, a dobrzy ludzie są rzadcy jak sraczka – wyjaśniłem mu. Chyba jakoś tak ujął to Mentor.

– Znowu jesteś naćpany? – Pies skrzywił się z niesmakiem.

– Chciałbym. – Rozłożyłem ręce. – Rozważam to nawet, bo mi się tu, kurwa, bardzo nie podoba. Nie jest kolorowo. Ale chuj z tym, chcę pogadać o Gabrielu Lezaju.

Goldenthal odsunął w końcu swoje ukochane papiery na bok. Ash z *Obcego* miał w sobie chyba więcej życia. Ciekaw byłem, czy jak ją posuwa, to też ma taką pozbawioną wyrazu gębę.

Opowiedziałem mu o zaginięciu Sophie oraz o zadaniu, które zlecił mi Opiekun. I o tym, że ona dostała wyrok. I o wszystkich trupach na koncie Opiekuna i jego bandytów. Pomiąłem tylko wątek Rzeźnika. Niech sobie go szuka w nieskończoność. Nie zdradziłem też inspektorowi, że wiem, gdzie przebywa Sophie.

– Kurwa – warknął Goldenthal, okazując w końcu jakieś ludzkie emocje. – Jesteś tu zaledwie tydzień, a jej już grozi śmierć.

– Tyle że to ona zadarła z Opiekunem, kiedy ja jeszcze łowiłem ryby w Pacyfiku. Kolejny raz wzięła się do zbawiania świata. Życie z tobą musi

być strasznie nudne, skoro sobie szuka takich atrakcji.

Spojrzał na mnie z nieskrywanym obrzydzeniem i zaciskając szczęki, powiedział:

– Tak, na pewno o wiele ciekawiej było uprawiać seks z własnym bratem i w ramach pożegnania zebrać od niego ciężki wpierdol. Ona ci wybaczyła, współczuje ci nawet. – Goldenthal prychnął z pogardą. – A ty to wykorzystujesz, bo jesteś zwykłym pasożytem. Ale koniec z tym. Wynos się z tego kraju, bo jeśli tego nie zrobisz, to nie Opiekun będzie twoim największym problemem. Będziesz żałował, że nie pozwoliła mi cię zabić. Ty jeszcze nie masz pojęcia, biedny idioto, na co mnie stać i co mogę. Chcesz się przekonać? Zostań. Część mnie chce, żebyś został. Uderzyłeś kobietę: jesteś chujem. Uderzyłeś moją kobietę: jesteś trupem.

Irytował mnie sposób, w jaki ten nadęty kutafon robił ze mnie potwora. To nie było trudne, byłem wymarzoną obiektem, przy którym on prezentował się jak rycerz w lśniącej zbroi. Dotarło do mnie, jak bardzo ten dupek obawia się mnie i mojego wpływu. Nie bez satysfakcji pomyślałem, jak często musiałem być tematem ich kłótni. Szczerze wątpiłem w szlachetne i rycerskie pobudki inspektora. Chciał się mnie pozbyć, usunąć z miasta i z kraju, bo mu zagrażałem. Bał się tego, co ją ze mną kiedyś łączyło i nadal w pewnym sensie łączy. Nie chodziło mu o moje zakusy ani o to, czy wciąż mi staje na myśl o niej. Gdyby tylko w tym tkwił problem, mogliby się śmiać wieczorami przy kominku, wspominając biednego, żalostnego Profesora, który nadal buja się we własnej siostrze. Nie, on się bał, że to jej nie przeszło. I że wbrew logice, tabu i obrzydzeniu ciągnie ją do mnie, i w końcu rozum przegra, gdy nadejdzie czas ostatecznej próby. Ten chłop był najzwyczajniej w świecie zazdrosny o swoją laskę. Postanowiłem zachować się dokładnie tak, jak się tego po mnie spodziewał, bo akurat było mi to na rękę.

– Spoko. Wyluzuj, człowieku. Tak jak mówiłem, możemy sobie nawzajem pomóc. Ja chcę wyjechać. Ty chcesz, żebym wyjechał. Mamy zbieżne cele. Sprzedałem ci informacje, odpierdalałem się od twojej laski, więc coś mi się za to należy. Jeśli mam wyjechać i zaszyć się na dobre, to przydałby się sos na rozruch.

Wyjąłem z kieszeni kawałek zapisanego papieru i rzuciłem na jego biurko.

– To numer mojego konta. Te zamorskie dziwki są naprawdę kosztowne. Ale nie jestem jakimś naciągaczem. Sto tysięcy wystarczy.

– Jeszcze dziś dostaniesz całą sumę – powiedział pogardliwie z wyrazem mściwej satysfakcji na twarzy. Pewnie nie mógł się doczekać, kiedy jej udowodni, ile dokładnie jest dla mnie warta.

– Ochronisz ją przed Opiekunem? I resztę jej rodziny? – spytałem. – Mimo wszystko nie chciałbym, żeby coś jej się stało, nawet jeśli sama się w to wpakowała.

– To już nie twoje zmartwienie – odparł wyniośle. Pierdolony lord się znalazł! – Wynoś się. Dla mnie jesteś takim samym zagrożeniem jak ten twój Opiekun.

– Bo popchnąłem laskę na drzwi tak pechowo, że jej szyba pocięła twarz? – Nie mogłem się powstrzymać.

– Najpierw, chuju, złamałeś jej rękę, potem uderzając pięścią w twarz, powaliłeś na ziemię – wycedził. – Na koniec rzuciłeś nią o drzwi.

– Za pierwszym i drugim razem nie chciała słuchać – wyjaśniłem powoli. Co za palant.

– Won! – warknął.

– Już wychodzę. Pamiętaj o kasie – powiedziałem z uśmiechem.

Wstałem i ruszyłem do wyjścia. Tutaj moja misja była zakończona.

Przestałem się uśmiechać zaraz za drzwiami. Przyjemnie było pognębić tego dupka, bo mnie wkurwiał jak mało kto. Nie wątpiłem, że Goldenthal ze swoją kasą i koneksjami zapewni jej bezpieczeństwo, którego ja zapewnić jej nie mogłem. Miałem ją z głowy. Ależ ona się wkurwi, gdy odkryje ten chytry plan. Świadomość, że to on zbierze cięgi, była miłym bonusem. Ciekawe, gdzie inspektor ich umieści? I czy wszystkich razem? Wyobraziłem ich sobie na jakimś odludziu, jak w zamknięciu zaczynają doprowadzać się nawzajem do szału, a głupi stary łązi za nią, błagając, by się przypadkiem nie wygadała w napadzie złości. Trochę jej nawet współczułem. Ale na mnie nadszedł czas.

Przed wyjazdem z kraju chciałem zrobić jeszcze jedną rzecz. Dla własnej satysfakcji. Aby chociaż raz doprowadzić coś do końca, nawet jeśli nie będę się mógł nikomu pochwalić sukcesem.



„Forgive us now for what we’ve done  
It started out as a bit of fun  
Here, take these before we run away  
The keys to the gulag”.

*O children*

NICK CAVE & THE BAD SEEDS  
(SŁOWA: NICK CAVE)

Dzień był słoneczny i upalny, więc na bulwarach było mnóstwo ludzi. Minąłem grubasa ubranego na czarno, zupełnie nieodpowiednio do pogody; pocił się i męczył na ławeczce z widokiem na barkę Grety. Na głowie miał fullcapa, usta przysłaniał mu sumiasty wąs, a jego oczy kryły się za ciemnymi okularami. Wyglądał na kogoś, kto bawi się w tajniaka. No, ale na to nie mogłem już nic poradzić.

Tym razem na barce były wszystkie trzy – manekin, babochłop i starucha. Widocznie korzystały z pięknej pogody. Trzy wiedźmy z Makbeta. Tyle że moment nieodpowiedni, bo to był przecież koniec historii, a nie początek. Znowu słuchały sobie muzyczki. *They’re mopping up the butchers floor, of your broken little hearts*, śpiewał Nick Cave na całą Wisłę. Bardzo odpowiednio. Chociaż nie sądzę, aby ludzie Gabriela posprzątali po Rzeźniku.

*O children*, zaintonował chór dramatycznie, a ja spojrzałem na te potworne dzieci zebrane na pokładzie łodzi.

Greta w sukni z falbanami w czarno-białe pasy, wielkiej jak tort bezowy, piła drinka, ułożona malowniczo na poduchach. Angie, w szerokich, czerwonych dresowych spodniach Nike i białym podkoszulku na ramiączkach, chęptała litrowego browara z wywalonymi na stół girami

w ogromnych adidasach. Jadwiga, grzeczna jak pensjonarka w granatowej spódnicy i szarej bluzce, popijała mrożoną herbatę. Pieprzona rodzina Adamsów.

– Patrzcie, kto przylazł! – zawołała Angie, wskazując mnie kuflem. – Co ci się stało w ryja? Nie dość brzydki był wcześniej?

– Poznaje styl Gabriela – zauważyła Greta. – Odmienny od naszego.

– Po co przyszedłeś? – spytała Jadwiga Boyer. Siedziała w pewnej odległości od tamtych i pomyślałem nawet, że może w ich szajce nastąpił jakiś rozłam. Może starej się nie podoba, że Angie jest bliżej Grety niż ona, która przecież była z Carycą od samego początku i w pewnym sensie jej matkowała.

Usiadłem na kanapie, wyjąłem papierosy i zapaliłem.

– Przeszedłem pogawędzić. Greto, może poprosisz tę kelnerczkę, co ją tu widziałem podczas mojej poprzedniej wizyty, żeby przyniosła mi browara.

Jadwiga i Angie spojrzały w stronę dziobu, czym się od razu zdradziły. Twarz Angie na chwilę wykrzywiła złość. Jadwiga zastygła w oczekiwaniu na rozwój wypadków. Greta popatrzyła na mnie z zainteresowaniem.

– Nie. Raczej niczym cię nie poczęstuję – odezwała się po chwili Caryca.

– Nie spinajcie się tak, kobity. Nie przyszedłem po Sophie.

– Co ty, kurwa, dupcysz? – burknęła Angie.

– Dziś jeszcze nic. Chciałem tylko pogadać, uzupełnić kilka, że tak powiem, dziur. Z czystej ciekawości. Nikt poza mną nie wie, że ukrywacie tu Zośkę, a ja zachowam to dla siebie.

Angie wyszczerzyła paszczę w radosnym uśmiechu.

– Nie ciesz się tak, Angie. Jeśli miałaś jakiś głupi pomysł, to go od razu olej. Mam ze sobą wsparcie. Widzicie tamtego kolegę siedzącego na ławce?

Wskazałem im ubranego na czarno Edwarda w czapeczce z daszkiem, w ciemnych okularach na twarzy. Kręcił sumiastego węża, trzymał przy uchu telefon i patrzył na barękę. Pomachałem mu, a on mi odmachał.

– Jeden głupi ruch i ten facio zmieni temat rozmowy. A ma na linii swojego dobrego znajomego z psiarni.

– Rozjebus – Angie prychnęła z pogardą.

– Samaś jest rozjebus. Sprzedałaś cały dwór Króla i zdradziłaś Osiedle. Nie jesteście moimi ziomalkami. Sypnę was bez żalu, jeśli zaczniecie coś kombinować.

– Czego od nas w takim razie chcesz? – spytała Jadwiga. Babsztyl należał do tych konkretnych kobiet biznesu, które lubią wiedzieć, na czym stoją. Nawet jeśli jest to kupa gnoju.

– Tylko kilku słów wyjaśnienia i dam wam spokój – uspokoiłem ją.

– Niby dlaczego? – burknęła Angie.

– Bo uznałem, że z dwojga złego wolę już was niż Opiekuna, jego oprawców i legion tresowanych małąp.

– Niby czemu mamy ci wierzyć? – spytała Greta.

– Bo gdybym chciał mu zwrócić żonkę i podać was na deser, tobym nie przychodził na pogaduchy, tylko pokraki Gabriela już robiłyby tu z wami straszne rzeczy.

– Nie boisz się, że spotka cię za to kara? – spytała Jadwiga. Nadal była nieufna i ostrożna.

– Nie. Ale do tego wrócę później.

– Nie kupuję tego – odezwała się Greta. – Niby dlaczego miałbyś wybrać naszą stronę?

Rozparłem się wygodnie na kanapie i wyjaśniłem:

– Nie wybieram żadnej strony. Nie jestem dobry. Nie jestem zły. Jestem neutralny. Nie należę do grupy Opiekuna i nie przyłożę ręki do jego akcji, bo mi jego styl i metody nie odpowiadają. Kazał pociąć na kawałki mojego kumpla, aby mnie do siebie przekonać. Nie przekonał. Z wami też nie chcę mieć nic wspólnego, ale wasze motywacje lepiej do mnie przemawiają. Wy kierujecie się chęcią zemsty, a to wielu ludzi uznałoby za wystarczający powód, by usprawiedliwić kilka złych uczynków. Nie mam pojęcia natomiast, co kieruje Opiekunem, i wolę tego nie wiedzieć. A was to nawet rozumiem. Pewnie w bidulu zaczytywałyście się w *Hrabim Monte Christo...*

– W czym, kurwa? – spytała Angie.

– Nieważne. Chcę tylko pogadać i więcej mnie nie zobaczycie. Róbcie, co wam się podoba. – Chyba się w końcu uspokoiły, więc przeniósłem spojrzenie na Angie. – To był dobry plan. Finezyjny i przemyślany.

– No, miałam kupę czasu w bidulu, żeby sobie to ułożyć, a Greta miała kasę.

– Postanowiłaś odegrać się nie tylko na Królu, ale na wszystkich, którzy przyczynili się w jakiś sposób do twojego nieszczęścia. Także na tych, którzy swoim milczeniem przyzwalałi na twoją krzywdę. To nie miała być prostacka zemsta. Każdego potraktowałaś indywidualnie, odpowiednio do rangi przewinień – pochwaliłem ją. Wydawała się bardzo zadowolona, że ktoś docenił jej talent logistyczny. Ta wielopoziomowa zemsta rzeczywiście była swojego rodzaju arcydziełem. – Zaczęłaś od Króla. Wszyscy wiemy, co go spotkało.

Angie uśmiechnęła się z satysfakcją. Z tym sadystycznym uśmiechem na twarzy na moment stała się podobna do swojego brata.

– Potem była twoja babka, która umarła w więzieniu. Podobno ze zgryzoty odmawiała przyjmowania pokarmów, ale kto ją tam wie...

– Babka umarła z wycieńczenia – powiedziała Angie, wciąż z wrednym grymasem na swojej topornej gębie. – Głupia starucha nie była w stanie donieść żarcia do stolika. Zawsze jej się wypierdalało.

Nagle Angie przestała się uśmiechać. Jej twarz stała się szara i ponura, jakby radosne światło zemsty przysłoniła nagle chmura mrocznych wspomnień:

– Nazywała mnie szmatą, bo nosiłam krótką spódnicę. Podobno prowokowałam ich wszystkich. To miałam za swoje. Oni mnie gwałcili, a ona mnie potem pasem za to prała i wrzeszczała, że się puszczam. Śmiali się ze mnie oboje, jak utylałam w ciąży, nazywali tłustą krową. A ja się tylko cieszyłam, bo taka gruba, zaniedbana i brzydka, przestałam go interesować i w końcu dał mi spokój. A pamiętasz, Profesorze, jak pysznie nam gotowała ta wariatka? I jak ten pojeb zmuszał mnie do jedzenia kotletów z winniczków i potrawki z kociąt? Szczał do zupy. Wszystkich tym gównem częstował. Oni tylko podejrzewali, a ja wiedziałam, co tam jest. Ależ to bawiło staruchę. I zdechła z głodu, stara wiedźma.

Powiedziawszy to, Angie na powrót się uspokoiła.

– Ciekawe, nie? – rzuciła do mnie wyzywająco.

– Ironia losu – skwitowałem. – Następnie upiekłaś kilka pieczeni na jednym ogniu. Prochacki bywał często u Króla i nieraz cię gwałcił. Czasami robili to we dwóch. Franc ci nigdy nie pomógł. Tak samo Janusz. Ciotce Janinie też nie odpuściłaś. Bo udawała, że nie ma problemu.

– Bardziej szło mi o Franca niż o tę mendę Prochackiego – włączyła się Angie. – Żeby było jasne, ja mam na Franca wyjebane. Nie jego wina, że się taką cipą urodził. Ja nim tylko gardzę jak ostatnim psem. Chciałam się zabawić. Sprawdzić, czy nadal jest taki osrany ze strachu. Po wyjściu z bidula wróciłam na jakiś tydzień na Osiedle do naszej starej meliny, mojego rodzinnego domku. Pewnego dnia przyszłam do Franca, płacząc, zakrwawiona i pobita. Krzyś dobrze się spisał. Powiedziałam, że Prochacki mnie pobił i zgwałcił za to, że przeze mnie garował prawie rok. A ten dureń Franc w to uwierzył. Widzisz, Profesorze, jak teraz wyglądam. Kawał baby ze mnie – powiedziała z satysfakcją i naprężyła swoje mięśnie. – A Prochacki zmienił się w zapijaczone, przećpane ścierwo. Był zwykle tak porobiony, że nie trafiłby kutasem do własnej łapy! I on miałby kogoś gwałcić? Akcja od kopa waliła grubą ściemą! No, ale Franc chciał wierzyć, że to prawda. Chciał odkupić winy. No i przykozaczył mały Franio pierwszy raz w życiu. Wziął Janusza, który oczywiście szczał po gaciach ze strachu, i jeszcze kilku chłopów. Dobrze wiem których, ale ci nie powiem. To są dobre ziomki akurat. No i zajebali w szóstkę jednego Prochackiego. Moi kuzyni musieli się zaszyć, bo dostali czapę. Dla takich leszczy jak oni chyba nie ma większej kary niż życie w strachu. Z tego wydygania przestali odwiedzać własną starą. Byłam u niej wcześniej, zapowiedziałam jej to.

– Jej jedyną radością były te wizyty. Nie ma nic gorszego dla takiej starowiny, niż umrzeć w samotności i zapomnieniu, rozpamiętując swoje grzechy i winy.

– Niech zdycha – powiedziała Angie twardo.

– A co z Judymem? – spytałem. – Do niego też masz żal? O to, że zrobił ci dwa razy skrobankę? Czy że nie zrobił tego po raz trzeci?

– Właściwie to z nim mam problem – powiedziała Angie i zmarszczyła brwi w skupieniu. – Nie wiem, czy bardziej powinnam mu dziękować, czy może go zajebać. Pierwszy raz mnie skrobał, gdy miałam czternaście lat, drugi raz rok później. To bolało jak sam skurwysyn, więc za trzecim razem

długo ukrywałam brzuch. Gdy się w końcu namyśliłam, to mi oznajmił, że jest za późno. Na pewno znasz jego zajebiste zasady. No i zostałam z bachorem. Więc jeszcze nie wiem, jak postąpić z Judymem. Tak se myślę, że to, czy zasłużył na karę, samo wyjdzie z czasem – zakończyła filozoficznie.

– Obwiniłaś też Mentora, prawda? Do zadań każdego mentora należy doradzanie administratorowi Osiedla. Był jedyną osobą, której rad czasami słuchał Król. Ale jakoś nigdy Królowi nie poradził, aby przestał cię gwałcić.

– Nie wiedziałam, jak się do niego dobrać, żeby najbardziej zabolalo – wyjaśniła Angie. – Ale tu ciotka przyszła mi z pomocą. W końcu się na coś przydała.

– I tak właśnie dowiedziałaś się o istnieniu Sophie. A co było potem?

– Odwiedziłam Zośkę u czubków. Zakoleżankowałyśmy się. Wtedy Greta wpadła na pomysł, że ona wyciągnie ją z tego psychola, chociażby siłą. I podstawimy dziewczę Opiekunowi. Widziałeś, jaka z niej laseczka, nie do podjebania! Nawet wielki Opiekun nie oparł się jej urokowi. Dobra kara dla Mentora, nie? Pozwolił, by mój skurwiały brat znęcał się nade mną, to niech teraz patrzy, jak jego córeczka gnije w betonowym pierdłu w łapach tego szajbusa.

– Czyli chcieliście ją wykorzystać?

– Początkowo tak. Ale gdy jej zaproponowałam, że pomożemy jej wydostać się od świrów, ona się przeraziła. Powiedziała, że może opuścić klinikę, kiedy chce. Tyle że nie chce. I opowiedziała nam o swoim ojcu mordercy, który zabił jej matkę, żeby się do niej dobrać. To on nakręcił tę całą fazę, że Zośka i jej matka są pierdolnięte. Naćpał starą pigułami na sen, otworzył żyły, wpakował do wanny. I tak ją Zośka znalazła. Ona jedna wiedziała, że matka nie walnęłaby samobója. Ale nikt nie uwierzył świrusce. Więc dała się zamknąć u czubków, bo tam czuła się bezpieczna. Tam nie mógł jej dosięgnąć. Sophie to całkiem normalna dziewczucha, która miała przejebane niefart w życiu.

– Więc miałyśmy nowy, szczytny cel – wtrąciła Greta. – Wspólny cel. Zdemaskowanie potwora.

– I co? Nie bała się zamieszkać na Osiedlu? Tak blisko niego? – spytałem.

– Przecież była żoną Opiekuna – odparła Greta. – Była nietykalna. Była na wyciągnięcie łap Mentora, ale nic jej nie mógł zrobić.

– Zośka miała nadzieję, że stary w końcu się czymś zdradzi – dorzuciła Angie. – Chciała, by latami zdychał w zakładzie. Zamknięty z innymi pojebami, tak jak ona wcześniej.

– Czekala prawie trzy miesiące – podjęła wątek Greta. – Tyle że jak sam wiesz, w czasie gdy mieszkała na Osiedlu, Mentor nikogo nie zabił. Przynajmniej nic o tym nie wiadomo.

– Dlaczego nie powiedziała po prostu Gabrielowi, kim jest Mentor? On by to załatwił.

– W końcu powiedziała – odezwała się znowu Greta. – Ale wtedy okazało się, że Opiekun nie tylko doskonale wie, kim jest Mentor, ale jeszcze wykorzystuje jego talenty do własnych celów. Uwielbia otaczać się psychopatami. Mentor był idealnym człowiekiem do czarnej roboty. Nikt nie podejrzewał pocziwego dziadygi. Gabriel znał całą prawdę o Mentorze i trzymał go w szachu. Dlatego Mentor go poparł. To była obustronna korzyść.

A jednak Opiekun pozwolił, bym zdemaskował Mentora. Chciał tego. Może stary zaczął przeginać? Zabicie Prochackiej na pewno było błędem, bo Opiekun ją z jakiegoś powodu lubił. Z wiekiem Mentor był pewnie coraz trudniejszy do okiełznania, więc należało go unieszkodliwić. W dodatku gdzieś na wolności przebywała Sophie, która znała prawdę i wiedziała o tym, do czego Gabriel wykorzystuje psychopatyczne skłonności jej ojca. Należało uprzedzić jej ruch. Ale Gabriel nie mógł go tak po prostu zabić, bo Władysław Kazan był szanowany na Osiedlu. Dlatego czekał, aż ja jako osoba postronna go zdemaskuję. Może nawet liczył na to, że go zabiję z litości.

– Ostatecznie osiągnęłyście zamierzony cel. Angie, możesz odfajkować zemstę na Mentorze – odezwałem się. – Opiekun zrobi to na pewno lepiej niż ja.

– No, mam nadzieję, że dobrze pierdziela oporządzi. Co prawda, nie dokładnie tego chciała Zośka, ale ja jestem zadowolona.

– Jak to się stało, że ona wróciła do was?

– Gdy się pokapowała, że mąż jej nie pomoże wydać starego, bo mu jest ten psychol potrzebny, poschizowała się na maksa. Bała się ich obu. I całego Osiedla – wyjaśniła Angie.

– Więc jej pomogliście? – spytałem sceptycznie. To zupełnie nie było w stylu Greta. Pomagać komuś bezinteresownie i jeszcze się narażać. – Ale dlaczego rozegrałyście to tak blisko swojej kwatery? Przecież to zupełnie bez sensu.

– Sophie to wymyśliła. Znała w mieście tylko nas, ale nie miała jak się z nami skontaktować. My nic nie wiedziałyśmy o ucieczce do chwili, gdy pojawiła się tu na pokładzie. Wtedy nam opowiedziała o wszystkim – odparła Greta. – Musiała uciekać. Ale była pilnowana dzień i noc. Z oka jej nie spuszczała. Nie mogła nawet sama do kibla iść. Zawsze któryś kark czekał pod drzwiami.

– Ja bym chłopca zdzieliła w łeb i tyle – dodała Angie i zamachnęła się pustym litrowym kuflem, żeby pokazać, jak by tego dokonała. Odstawiła z hukiem kufel na stół i wrzasnęła w stronę drzwi prowadzących pod pokład. – Krzysiek!!! Przynieście mi browca! Litrowego! Krzysiek! Słyszysz?

– Dobra, już – dobiegło spod pokładu.

– Tylko ruchy, kurwa, gamoniu! Pić mi się chce! – dodała jeszcze. Pochyliła się do przodu i spojrzała mi w oczy. – Tak ich trzeba traktować. Lokaj ma znać swoje miejsce. Ale ona taka nie jest! Lubiła tego Rycha. On tylko wykonywał rozkazy. Żałowała go. Więc zajmowała Judymowi środek na heftanie. Namówiła Rycha na szamę na tym Rotterdamie. Poczęstowała go ślimorem. Ja to bym, kurna, nawet piguły nie potrzebowała, jakby mie ślimaczysko oślizgłe podstawili. Od kopa bym rzygła! No, ale chuj. Zośka chciała mieć pewność. A jak poleciał chlustać, to się zerwała. Gdy skończył, już jej nie było.

– I co się z nim stało?

– Pewnie się posrał ze strachu i zamelinował gdzieś. – Angie wzruszyła potężnymi ramionami i spojrzała na wejście pod pokład, w którym ukazała się wielka postać Krzycha. Litrowy browar w jego łapsku wyglądał jak zwykła szklanka. – No wreszcie!



Chłop bez słowa postawił kufel przed Angie. Spojrzał na mnie obojętnie i odszedł.

– Nie byłam zachwycona powrotem Zośki – powiedziała Greta – ale co miałam zrobić? Ludzie Opiekuna zaczęli węszyć wokoło. Nie było możliwości, aby ją przetransportować gdzie indziej. Za wielkie ryzyko. Sophie musiała pozostać w ukryciu, na tej barce, czy mi się to podobało, czy nie.

– Ale dla ciebie to tylko problem. Nie kusi cię, żeby się jej dyskretnie pozbyć?

– Żywa ma większą wartość. Zna trochę tajemnic Opiekuna, wie, co się dzieje na Osiedlu. Może się przydać w odpowiednim momencie.

– To dlatego Opiekun tak bardzo chce ją odnaleźć. Ona mu po prostu zagraża – powiedziałem głośno to, co mi przyszło do głowy jakiś czas temu.

– No, przecież nie z miłości! – prychnęła Angie.

Zapadło milczenie. Jakbyśmy wszyscy na coś czekali.

– Doszliśmy do końca listy – stwierdziłem.

– Zapomniałeś o jeszcze jednej osobie, którą Angie musi ukarać, Profesorze – Greta się uśmiechnęła.

No tak, oczywiście, Greta miała rację.

– Jeszcze ja, prawda? – spytałem. – Wygrzebałyście moją tajemnicę.

– To też wyciągnęłam z ciotki. Prawie się zesrałyśmy z Gretą, jak o wszystkośmy dopytały, posprawdzały, dopasowały i do nas dotarło, jakie mamy teraz opcje. Nawet Jadźka popuściła z emocji – cieszyła się Angie. – Tyle że nie wiedziałyśmy, gdzie się szlajasz.

– Czyli to nie wy wysłałyście do mnie tego mejla, żebym nie wracał?

– Jakiego mejla? – spytała Greta. – Ja nic do ciebie nie pisałam. A wy, dziewczyny?

– Mejla? – zdziwiła się Angie. – Ja miałabym pisać do niego mejla?

Jadwiga jedynie pokręciła głową. Być może mówiły prawdę. Nie miały już powodu, by ściemniać.

– To Sophie opowiedziała Opiekunowi o mnie? – zadałem kolejne pytanie.

– Nie musiała. Wszystko wiedział. Bardzo się tobą interesował.

– Czemu?

– Mnie pytasz? Nie mam pojęcia, co w tobie takiego ciekawego. W każdym razie ty, twoja siostra i jej kochaś strasznie go rajcowaliście. Bardzo chciał cię odnaleźć. Sophie słyszała, jak naciskał Mentora. Ale Mentor nie miał pojęcia, gdzie jesteś. Nikt nie miał pojęcia.

Chciał czegoś ode mnie, jeszcze zanim zniknęła Sophie. Chciał, żebym wrócił. I udało mu się do mnie dotrzeć. Jak? I po co? Tego już się chyba nie dowiem.

– Wiedziałyśmy, że prędzej czy później wrócisz, skoro Gabriel czegoś od ciebie chciał. Przygotowywałyśmy sobie gruncik.

Zastanawiało mnie, dlaczego mi o tym tak otwarcie mówią. I dlaczego są takie zadowolone.

– I gdzie ten rewanż? – spytałem.

– On już się dokonał – oznajmiła Greta. – Ty, twoja siostra i ten inspektor. Wszyscy dostaniecie to, na co zasłużyliście. Ty za Angie, a ta pocięta dziwka i jej pedał za moje krzywdy.

– Myślisz, że tak byśmy tu z tobą gadały, gdyby istniała możliwość, że się wywiniesz? – prychnęła Angie. – Moja zemsta się dokonała, frajerze, tylko ty jeszcze o tym nie wiesz. Ale już niedługo się dowiesz.

Cokolwiek planowały, nie miało to już znaczenia. Mnie za kilka godzin tu nie będzie, ale nie zaszkodzi się zabezpieczyć.

– Proponuję układ. Ja nie wydam ani was, ani Sophie Opiekunowi, a wy odpuścicie ostatni punkt wendety.

– Nie rozumiesz. Nic już nie da się zrobić. Za późno. – Greta rozłożyła rękę. – Pytanie tylko, jak szybko chcesz poznać rezultaty?

– Nie chcę ich poznawać – odparłem. Byłem pewien, że blefują. One nic mi do tej pory nie zrobiły. I już nic nie mogły zrobić. Należało je tylko uspokoić. Gdyby się dowiedziały o moim układzie z Goldenthalem i wyjeździe, mogłyby podjąć jakieś nieprzemyślane decyzje. – A w zamian, tak jak powiedziałem, będę was krył przed Gabrielem.

– No, na pewno! Nie układam się z takimi szmaciarzami – prychnęła Angie.

– Poczekaj – odezwała się Greta i zamyśliła się na chwilę, jakby kalkulowała, co jej się najbardziej opłaca. – Dobrze. Zgadzam się.

– I jej też odpuścisz?

– Tak. Dopóki ty będziesz się trzymał swojej części umowy.

– Ocipiałaś?! – wrzasnęła Angie.

– Angie... – Greta odwróciła głowę niczym laleczka Chucky i spojrzała na przyjaciółkę. – Taka jest moja decyzja.

– Obiecałaś! – krzyknęła Angie, rozdymając z wściekłości nozdrza jak byk mający ruszyć do ataku.

– Angie, czasami warto odpuścić – powiedziała Greta, starając się mówić łagodnie, zdobywając się nawet na wąty uśmiech. – Umożliwiłam ci realizację twojego planu, pomogłam ci. Pamiętaj o tym. Czy kiedykolwiek cię zawiodłam?

– Nie – przyznała Angie.

– Więc teraz ty zrób coś dla mnie. Odpuść ten jeden raz. Zostaw go. Poczekaj. Jeśli zasłużył, karma i tak go dopadnie.

– Jaka znowu karma? – burknęła Angie.

– Los – odparła Greta. – Niech los zadecyduje. Tak jak w przypadku Judyma.

Byłem pewien, że Greta nie wierzy w takie bzdury, a powiedziała jedynie to, co mogło trafić do Angie, która desperacko trzymała się przekonania, że na tym świecie możliwa jest jednak jakaś sprawiedliwość. Ja natomiast ostatnio wierzyłem tylko w karmę, za którą stali szukający odwetu ludzie. Dlatego gdy Angie niechętnie skinęła głową, poczułem ulgę. O nic więcej mi nie chodziło.

Szkoda, że tak długo uparcie nie chciałem zaakceptować tego, że jedyną gwarancją spokoju i względnej normalności była moja nieobecność w tym mieście. Przyjazd był błędem, a ten moment ostatnim, w którym mogłem zawrócić, aby nie powiększać jeszcze bardziej chaosu. Bo o przywróceniu ładu nie mogło być już mowy. Schodząc na ląd, rzuciłem ostatnie spojrzenie na wulgarną syrenę na dziobie. Znowu miałem wrażenie, że mnie obserwuje. Do widzenia, Sophie. Szkoda, że nie mieliśmy okazji się poznać.

Pożegnałem się z Edem na Wietora, pod szkołą, tam gdzie zaparkowałem forda. Ostatni raz poleciłem mu, żeby był ostrożny, ale on nie bardzo wierzył, że naprawdę coś mu grozi. Zgodził się jednak spędzić kilka dni w Poznaniu. Prosto z Kazimierza jechał na dworzec. Ja również nie wracałem już na Dębni, bo to by było zbyt ryzykowne.

Siedząc w samochodzie, sprawdziłem swoje konto bankowe. Inspektor Goldenthal zasilił je o sto tysięcy, tak jak obiecał. Za ten hajs kupię sobie kilka lat życia w jakimś zupełnie nowym miejscu. Ktoś porządniejszy ode mnie pewnie w ostatnim momencie uniósłby się honorem, rzucił mu w ryj jego śmierdzący szmal i jeszcze dowalił tekstem typu: „Nic od ciebie nie chcę, idź się jebać, psie”. Tylko po co? Lepiej było uszczknąć dla siebie cokolwiek z tej całej historii. W końcu, jakkolwiek by było, wykonałem swoją robotę. Odnalazłem Sophie, odnalazłem Rzeźnika – i ktoś musiał mi za to zlecenie zapłacić. Byłem pewien, że on jej wyśpiewa, jak tanio ją przehandlowałem, a ona mi tego nie wybaczy. I może tak będzie lepiej. To było rozwiązanie najlepsze z najgorszych.

Poza tym potrzebowałem funduszy, by zabunkrować starą w innym miejscu. Przelałem hajs na jej nowe konto. Właściwie na tym kończyły się moje obowiązki wobec matki, ale coś cały czas nie dawało mi spokoju. Wyjąłem starą nokię i włożyłem do niej kartę. Wybrałem numer.

– Ty mnie wykończysz! – wyjęczała na wstępie.

– Kurwa, dupę ci ratuję, więc raz się powstrzymaj od krytyki.

– Jak ty się do mnie odzywasz? Dwa lata cię nie było, słowa nie napisałeś – lamentowała. – Nie pożegnałeś się, tylko mi przysłałeś tego półdebila. A on mnie wywiózł do tej dziury nad Bałtykiem, chociaż doskonale wiesz, że wolę góry.

– No to, kurwa, masz teraz swoje góry! – wykrzyknąłem. Oszaleję z tą kobietą. – Co masz za oknem, jak nie góry?

– Nawet się nie odezwałeś po powrocie – wróciła do poprzedniego tematu.

Ciekawe czemu? Przecież tak miło się z nią gawędziło.

– Tym razem dziwkę do mnie przysłałeś! Dziwkę! Przez całą Polskę musiałam z nią w przedziale jechać. Gdybyś ty widział, jak ona się

zachowywała, a co gadała! Na mnie też patrzyli, jakbym z nią w jednym interesie siedziała. Po imieniu do mnie mówiła! Ty nie masz serca. Ani szacunku do mnie. Dziwki lepiej traktujesz! Ta stara rura to się ciebie nachwalić nie mogła, jaki to dla niej grzeczny byłeś. A jaki hojny! Prawie mi opowiadać chciała, za coś jej tyle pieniędzy dał.

Zrobiło mi się żal Łucji, której zapłaciłem za dostarczenie matce telefonu i eskortowanie jej do Zakopca. Tam miała ją zostawić. Z koktajlbaru na Krupówkach odebrał ją wynajęty przeze mnie góral i wywiózł do schroniska. Dostała swoje zasrane góry, ale oczywiście znowu niezadowolona.

– Ze wstydu o mało nie umarłam, że ludzie tego słuchają. No to pięknie, pomyślałam sobie. Po prostu pięknie! Mój syn spotyka się z ulicznicą, która mogłaby być jego matką! Pewnie już od niej coś złapałeś.

– Mamo, możesz się na chwilę uciszyć?

– Gdzie ja popełniłam błąd? Powiedz mi?

– O tym właśnie chciałem pogadać, jeśli dasz mi dojść do słowa.

– Znowu masz do mnie jakiś żal? Wiecznie pretensje! Skrzywdzony przez los! Sobie żyły dla ciebie wypruwałam, żebyś na ludzi wyszedł. A ty co? Studia przerwałeś, bo łatwiej kraść i narkotykami handlować? No to się doigrałeś! Tylko dlaczego mam za twoje błędy znowu płacić?

– Powiedz mi, jak to było z moim starym.

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Cud, pierwszy raz w życiu nie miała nic do powiedzenia.

– A po co ci to? – spytała nagle ostro i podejrzliwie. – Co ty znowu kombinujesz?

– A ciekaw jestem.

– Nie ma czego. Popełniłam błąd.

Jak miło. Kochana mamusia.

– No to na chuj mnie urodziłaś? Trzeba było wskrobać.

– Już nie dramatyzuj – powiedziała szorstko, a potem dodała łagodniej: – Błędem było to, że kolejny raz nabrałam się na słodkie słówka bawidamka, który myślał tylko o jednym. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Ty pewnie też.

- No widzisz, trzeba było wyskrobać.
- Nie mów tak. Drugi raz bym tego nie zrobiła.
- Czego? Skrobanki?

– Musiałam, to nie miało sensu. Facet się zmył, a ja zostałam sama – westchnęła. – Potem tego zabiegu żałowałam. Chociaż ten lekarz był bardzo miły. Nie taki jak ten cały Judym, tylko bardzo miły. Nic nie zapłaciłam. Potem dał mi cytrusy, żebym szybciej doszła do siebie. Nie było to nawet takie straszne. Aha, jeszcze czekoladę mi dał, więc to się odbyło całkiem kulturalnie. Ale drugi raz nie mogłam tego zrobić.

Po co ja właściwie do niej dzwoniłam?

- Dobra, mamó. Dzięki, że mnie nie wyskrobałaś za siatkę cytryn.
- To były pomarańcze.
- No świetnie. To uważaj na siebie w tych górach. Nie spadnij z grani, bo byłaby szkoda. Siemka.
- Odwiedzisz mnie, syneczku? – spytała płaczącym tonem, którym zawsze szantażowała mnie emocjonalnie.

No, na pewno! Teraz to „syneczku”.

- Nie, bo wyjeżdżam. Przesłałam ci kasę na nowe konto. Nowe, kapujesz? Więc nie zaglądamy, tak jak ostatnio, na stare i nie świruj, że nie ma hajsu. Bo hajs jest na nowym!
- Nie traktuj mnie, jakbym była niedorozwinięta.
- Dobra. Odezwę się, jak będę mógł.
- Nawet nie opowiedziałeś, co u ciebie słychać!
- Nic nie słychać! Nara.

Rozłączyłem się. Wyjąłem kartę i złamałem. Wsiadłem z samochodu, rzuciłem telefon na ziemię i rozdeptałem. Miałem ochotę warczeć jak pies. Ja pierdolę. Matka jak zwykle wyprowadziła mnie z równowagi. A po chwili poczułem wyrzuty sumienia, że byłem taki niemiły. Nie miała łatwego ani ciekawego życia. A ja też nigdy nie przysporzyłem jej niczego poza kolejnymi zmartwieniami. Nic dziwnego, że była upierdliwa.

Ostatnią rzeczą, którą zrobiłem, był jeszcze jeden telefon z kolejnej komórki na kartę. Wykonałem go już w drodze na lotnisko. Głos Aarona

dobiegał z oddali, jakby siedział ze swoją narzeczoną i jej rodziną w bazie badawczej na biegunie.

– Wyjeżdżam. Są bezpieczni?

– Tak. Dostałeś forszę?

– Tak.

– To wypierdalaj.

Rozłączył się. Rozebrałem aparat na części i wyrzuciłem wszystko na jezdnię. Gdy minąłem Salwator, na moją starą komórkę zadzwoniła ona. Odrzuciłem połączenie i cisnąłem komórkę przez okno. W lusterku zobaczyłem, jak ginie pod kołami jadącego za mną samochodu. Pękła ostatnia nić łącząca mnie z tą całą historią i z moim światem, który tym razem opuszczałem na zawsze.

„My infant spirit would awake  
To the terror of the lone lake”.

*The lake*

ANTONY AND THE JOHNSONS

Jechałem ulicą Księcia Józefa w kierunku Balic. Minąłem pizzerię pełną magicznych wspomnień. Byłem spokojny, może nie zadowolony czy szczęśliwy, ale przynajmniej spokojny. Pierwszy raz od początku tej nieudanej przygody miałem pewność, że postępuję słusznie. Ale było jeszcze za wcześnie, by odetchnąć z ulgą. Odetchnę, gdy postawię stopę na obcej ziemi. Jakiegokolwiek.

Nagle zza zakrętu z naprzeciwka wyjechał rozpędzony ford taurus. Wyglądał jak jej stary grat. Minął mnie i zawrócił tak gwałtownie, że prawie uderzył w nadjeżdżającego mercedesa. Spojrzałem we wsteczne lusterko. Kierowca miał czapkę z daszkiem i duże ciemne okulary. Mimo to poznałem ją.

– Ja pierdolę! Nie no, kurwa! Co to ma być?

Co ona znowu wyprawia? Co tu robi? Uciekła mu? Czy ta idiotka nie mogła chociaż raz spokojnie usiąść i wszystko przeczekać? A może Goldenthal ściemniał i nigdy nie była w żadnej kryjówce? Tyle zdążyłem pomyśleć. Bo sekundę później zajechała mi drogę. Zacząłem gwałtownie hamować. Zatrzymałem się zaledwie kilka centymetrów od tylnego zderzaka jej forda. Wyskoczyła z samochodu, ja uczyniłem to samo.

– Co jest, kurwa? – spytałem. – Co ty tu robisz?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Jedź za mną.

– Na lotnisko?



– Na żadne lotnisko. Aaron cię wystawił Opiekunowi.

– Co?

– Kurwa. – Tupnęła nogą ze złością. Czapka spadła jej z głowy i wysypały się spod niej jasne włosy. Założyła ją z powrotem byle jak. Wskazała drogę przed nami. – Dwa kilometry dalej stoją trzy samochody z Osiedla. Czekają na ciebie. Wiedzą, że nawiałeś. Zajebisty plan. Gratuluję.

– Byłby zajebisty, gdyby nie ta twoja policyjna kurwa.

Złagodniała, ale nie podjęła tematu. Widocznie to nadal nie był ten moment, w którym moglibyśmy wspólnie zacząć napierdalać na Goldentala.

– Jedź za mną – powiedziała z naciskiem.

– Dokąd?

– W bezpieczne miejsce. Kieruj się na Warszawę.

Ten czas spędzony w Krakowie nauczył mnie nieprzywiązywania się do wcześniej ustalonych planów. Bo zmieniały się szybko i trudno było ustalić, kto w danym momencie jest wrogiem, a kto sprzymierzeńcem. Co za kawał fałszywego chuja! Zapłacił mi sto tysięcy, by mieć dla niej dowód, że mnie przekupił i żeby uwierzyła, że wyjechałem. Krętacz i konfident bez zasad, jak wszystkie psy. Raz tylko był szczery – kiedy pod wpływem emocji powiedział, że jestem trupem. Powinienem był zaufać instynktowi. I uwierzyć jej, gdy mówiła, że jest zdolny do wszystkiego. Ale czy naprawdę musiał się posuwać aż tak daleko? Dlaczego nie wystarczyło mu to, że wyjadę? Przecież ona mu tego nie wybaczy. Wystawiając mnie, sabotował własny związek. A przecież na niczym innym mu nie zależało...

Wtedy to do mnie dotarło. Jediną rzeczą, którą ten cyborg cenił wyżej niż swój związek, było jej życie. Opiekun musiał go zaszantażować tak samo jak mnie, tyle że dużo wcześniej. Gabriel po dwóch nieudanych wizytach w jej biurze domyślił się, że ona nie puści pary. Ale jej kochaś to co innego. Zrobiłby dla niej wiele, a już na pewno nie wahałby się poświęcić życia kogoś takiego jak ja. Inspektor był jedyną osobą poza nią, która mogła wiedzieć, gdzie przebywam. To on wywabił mnie z kryjówki. A teraz tylko dopilnował, by Opiekun dostał to, na czym mu zależało. Czy Greta wiedziała o tym wszystkim i dlatego tak łatwo odpuściła?

Czego tak naprawdę chciał ode mnie Opiekun? Pociągnął za tyle sznurków, by mnie sprowadzić do Krakowa. Musiał być naprawdę potężny, skoro jego żądaniom uległ ktoś tak wpływowym jak Goldenthal. Nawet on nie mógł dosięgnąć Gabriela, który miał czystą kartotekę, trzymał w kieszeni wysoko postawionych funkcjonariuszy policji. W urzędzie miasta też miał zapewne oddanych ludzi. Prawie całymi dniami siedział zabunkrowany w swoim pałacu na Osiedlu, które samo w sobie było twierdzą. Możliwe, że jedynym sposobem na usunięcie Opiekuna było zmieszczenie całej dzielnicy z powierzchni ziemi. Ale wcześniej ktoś u władzy musiałby przyznać, że Osiedle jest poważnym problemem zagrażającym całemu miastu. A tego nikt nie chciał zauważyć.

Jechaliśmy obwodnicą, a potem najgorszą krajową drogą na Warszawę. Nudną i niesamowicie monotonna, a do tego pełną korków. Wkrótce teren był coraz bardziej płaski, a trasa jeszcze mniej ciekawa. Chciałem do niej zadzwonić. Moglibyśmy sobie pogadać w trakcie tej jazdy. Ale przecież wyrzuciłem telefon.

W końcu skręciliśmy z głównej drogi. Przejechaliśmy przez jakąś niewielką wiochę. Potem wjechaliśmy w świerkowy las. Po kilku metrach asfalt się skończył i dalej trzeba było się toczyć pełną kolein drogą gruntową. W końcu i ten trakt prawie całkowicie zniknął w wysokiej trawie. Koła buksowały w piaszczystym podłożu. Jechało się coraz trudniej. Jeszcze kilometr i między drzewami zamajaczyła polana. Ford taurus zatrzymał się tam przed niewielką chatką. Zobaczyłem, że ona wysiada. Zaparkowałem obok i również wysiadłem.

– No to jesteście – oznajmiła z zadowoleniem.

– Niby gdzie jesteście? To twój dom?

– Dobrze się czujesz? Myślisz, że ukryłabym się we własnym domu? Albo w domu znajomego? Wynajęłam to na lewe papiery. W necie reklamowali tę budę jako „uroczą chatkę położoną bardzo ustronnie nad brzegiem jeziora. Dla wszystkich pragnących ciszy, spokoju, kontemplacji i obcowania z naturą”.

Gdy tylko powiedziała o tym obcowaniu, zmieszała się i odwróciła. Chyba pomyśleliśmy o tym samym. Byliśmy sami w środku lasu, nad jeziorem. Tak jak sugerowała kelnerka Kasia w swojej malowniczej, chociaż dosyć konwencjonalnej wizji.

– Tu nie ma prądu – oznajmiła, otwierając drzwi.

A do tego bez prądu. Brakowało tylko burzy. I żeby w chacie było jedno wąskie łóżko. O czym ja, kurwa, myślę? Chyba się wykąpię w tym jeziorze, wydaje się odpowiednio chłodne.

Wszedłem za nią do chaty. Drzwi były tak niskie, że musiałem się schylić, przekraczając próg. W środku było tylko jedno pomieszczenie, a w nim szafa, stół, dwa krzesła, dwa złożone leżaki oparte o ścianę, zardzewiały grill. A tak – i dwa połączone ze sobą łóżka. Udała, że tego nie widzi. Zastanawiałem się, kiedy każe mi je rozsunąć i w ogóle kiedy zacznie świrować. Tymczasem jednak otworzyła drzwi po drugiej stronie chaty. Tuż za nimi zaczynało się długie moło otoczone szuwarami. A dalej już tylko jezioro, duże i ciemne, a wokół niego mroczny las. Słońce zniknęło za drzewami. Ostatnie promienie odbijały się w lekko zmarszczonej tafli wody.

– Pięknie tu – pochwaliłem.

– I nikt nas tu nie znajdzie.

– Nawet twój rozjebus?

Popatrzyła na mnie poważnie.

– Przynajmniej na razie. Nie wie, że od dawna podejrzewałam go, że szykuje coś grubego. Co prawda, Opiekun miał w swoim zasięgu wiele możliwości, żeby cię ściągnąć, ale przecież najprościej było użyć Aarona. Gdy powiedziałeś, że Opiekun zagroził, że mnie zabije, zyskałam pewność. Tak samo mógł przecież postąpić wobec Aarona.

– Skąd wiedziałaś o zasadzce?

– Od początku monitoruję ruch na jego kontach bankowych. Gdy przelał ci te sto tysięcy, wiedziałam, że się zaczęło.

– On cię wcale nie ukrył?

– Oczywiście, że nie, bo wiedział, że będę bezpieczna, kiedy on wypełni swoją misję.

– Ale dlaczego czekałaś do ostatniego momentu?

– Gdybym ci powiedziała, co się szykuje, na pewno próbowałbyś go zlikwidować. A tego nie chciałam. Wiem, że to, co zrobił, jest niewybaczalne, ale mówiłam ci, nigdy nie poświęciłabym jego, by ratować

ciebie. Dlatego musiałam dopilnować, by cała odpowiedzialność za niepowodzenie planu spadła na mnie. W ocenie Gabriela Aaron musiał być bez winy. Poza tym zależało mi, żeby Aaron przelał ci kasę. Będzie ci potrzebna. Gdy pieniądze już były na twoim koncie, wykonałam kilka szybkich telefonów, w tym do Edka. Potem dostałam cynk o blokadzie. No i zaczęłam cię gonić, bo nie odbierałeś telefonu, a potem chyba się go pozbyłeś. Całkiem rozsądnie.

Niechętnie, ale musiałem przyznać, że była niezła. I trochę też przerażająca w tej chłodnej kalkulacji, zupełnie pozbawionej sentymentów. Jak Terminator T-800, zaprogramowany, by ratować konkretne osoby precyzyjnie według priorytetów, które zostały im kiedyś nadane, bez oglądania się na ich postęпки. Niestety, nie była jedynym terminatorem w tej historii.

– Aaron nie spocznie, póki nie doprowadzi sprawy do końca. Możliwe, że już się domyślił, że ci pomagam, skoro nie wpadłeś w zasadzkę Opiekuna. Możemy spokojnie założyć, że już wie i rozpoczął poszukiwania. I w końcu mnie znajdzie. Zna mnie równie dobrze jak ja jego. Poza tym ma pieniądze i ludzi do dyspozycji. Daję mu trzy, góra cztery dni.

– Czyli ten twój plan to taki trochę bubel? Prowizorka?

– Żadna prowizorka. Aaron mnie znajdzie, tak jak powiedziałam. A wtedy ciebie już dawno tu nie będzie.

– A gdzie będę? – zainteresowałem się.

– W autokarze, a gdzieżby? Samolot na razie odpada. Autokar daje więcej możliwości i jest bardziej anonimowy. Możesz często zmieniać cel podróży. Nowe papiery będziesz miał jutro. Tym razem ze zwyczajnym imieniem i nazwiskiem. Zapomnij o tych swoich pisarzach i poetach. Byłoby oczywiście szybciej, gdyby moje kontakty nie były również kontaktami Aarona. Znalezienie innego specjalisty zajęło mi trochę czasu, bo musiał to być ktoś, do kogo on nie dotrze tak łatwo. Ale nawet jak już dotrze, to ten typ i tak nic mu nie powie.

– Dlaczego?

– No cóż, nie jestem z tego dumna, ale nie miałam wyboru. – Uśmiechnęła się półgębkiem. – Krug to pieprzony naziol. Totalny oszołom.

Nie będzie gadał z Żydem. Będzie cię krył, bo myśli, że ty również jesteś faszystą. Takie dostał informacje. Wygląd masz odpowiedni.

– Teraz nawet mi trochę żal tego twojego chłopca.

– Nie przesadzaj. Przecież on sobie aresztuje tego Kruga. Nie będzie stratny.

– Ile cię to kosztowało? – spytałem.

– To nie ma znaczenia. Mam kasę – ucięła.

Bardzo chciała już zakończyć ten temat, więc stałem się czujny. Znowu coś kręciła. Wstydziła się czegoś. Ciekawe czego? Czego mogła się wstydzić taka osoba jak ona? Chyba tylko jakiegoś dobrego uczynku. Skąd wzięła hajs? Miałem już dwa fałszywe paszporty. Nie były tanie. A ile mogły kosztować dokumenty robione na gwałt u obcego fałszerza? Dziesięć kafli? Może nawet więcej. Każdy tak duży ruch na koncie spowodowałby zainteresowanie Goldenthala. Domyśliłby się, do czego posłużyła kasa. Przyglądałem się jej, jak zapala papierosa. Na jej rękach pobrzękiwały złote bransoletki. Drobne blizny na prawej ręce były całkowicie odsłonięte. Brakowało tej najgrubszej bransolety, tej, która najbardziej mnie śmieszyła, gdy po powrocie spotkaliśmy się przy garażach. Złapałem ją za przegub.

– I po to nosisz na sobie ten sklep jubilerski?

– Aha – przyznała z ociąganiem. – Po pierwsze, dla szyku, po drugie, na wypadek gdybym nagle musiała zniknąć, mogąc zabrać tylko to, co mam na sobie. Złoto to w miarę pewna inwestycja i zawsze można je po cichu sprzedać.

– Oddam ci – powiedziałem, puszcżając jej rękę. Za długo ją trzymałem.

– Z kasy, którą dał ci Aaron? Dziękuję, nie. Chociaż właściwie jak tak o tym pomyślę, to byłoby to nawet zabawne.

– Doszedłem do wniosku, że jednak nie chcę jego kasy.

– Nie bądź głupi. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Zrobiłeś to, co musiałeś.

– Daruj sobie. Ile?

– Nie chcę tych jebanych pieniędzy. Jasne?

– A ja nie chcę darmowych przysług.

– Jeśli chcesz mi się odwdzięczyć, to rozsuń łóżka – powiedziała obojętnym tonem. – A ja idę po rzeczy.

Rozsunąłem te łóżka tak, jak chciała. A ona wniosła do chaty wielką skrzynię z żarciem i kolorową torbę podróżną. Rzuciła ją na wyrko stojące pod oknem.

– Moje!

Tak więc mnie zostawało to drugie. Głęboko zapadnięte pośrodku, jakby spał na nim ktoś z naprawdę imponującym zadem. I chyba przeznaczone dla karłów. No, ale nie powinienem narzekać.

– Idę sobie popływać – oznajmiła.

Przeszła po pomoście i zatrzymała się na samym końcu. Na moment zamarła w bezruchu. Wyszedłem przed chatkę i oparłem się o drewnianą ścianę, śledząc jej poczynania. Powoli obejrzała się za siebie, jak bohater horroru, który obawia się, że za jego plecami czai się potwór. Gdy mnie zobaczyła, zawahała się. Wiedziałem, że chce, abym sobie poszedł. Ale nie mogłem się ruszyć. Stałem i patrzyłem, ciekaw, co teraz zrobi.

– Będziesz tak stał? – spytała w końcu.

– Nie. Mogę podejść.

– Zostań tam, gdzie jesteś – powiedziała ostrzegawczym tonem.

Ale ja miałem ochotę zrobić na przekór. Zacząłem iść w jej kierunku, jak jakiś jebany zombie. Jak ten potwór, którego się obawiała. W panice, jakby naprawdę coś jej groziło, zerwała z siebie podkoszulek. Rozpięła spodenki i zsunęła je. Pod spodem miała dwuczęściowy czarny kostium. Wyskoczyła z szortów. Potknęła się o nie, zaplątała i wpadła do wody. Stałem na końcu pomostu i zacząłem się śmiać, bo to było naprawdę komiczne. Już dawno nie widziałem czegoś równie zabawnego. Wypłynęła, parskając i odgarniając włosy, które przykleiły jej się do twarzy.

– Uderzyłam się, debilu.

– Nie wiedziałem, że zaczniesz tak panikować. Przypominam, że to ty mnie tu wywiozłaś. Jeśli się mnie boisz, mogę spać w samochodzie. Będzie tam chyba zresztą wygodniej niż na tym madejowym łożu.

– Że niby ciebie się boję? – prychnęła. – No, mega się boję, stary, patrz, jak spierdalam.

Odwróciła się i zaczęła kraulem płynąć na drugi brzeg. Pręła tak, jakby ścigała się z niewidzialnymi rywalami.

– Siebie się boisz, zboczona dziewucho! Nikogo innego! – zawołałem za nią i zaśmiałem się. W sumie nie wiem czemu, bo to nie było wcale śmieszne.

Odbiła w bok i zniknęła mi z oczu gdzieś w szuwarach. Teraz pewnie będzie się tam czaić, nie wiadomo jak długo. A niech sobie siedzi nawet do rana. Dziwadło ludzkie.

Też postanowiłem popływać. Nie chcąc przeginać pały, przebrałem się w chatce. Potem wziąłem rozbieg i skoczyłem z pomostu do wody. Wylądowałem w mule. Wypłynąłem na powierzchnię. Muł zdawał się wylewać z każdego otworu mojego ciała. Niespodziewanie wyłoniła się z szuwarów jak wodnik i powiedziała z satysfakcją:

– Zapomniałam cię uprzedzić, że tu jest dosyć płytko.

I znowu odpłynęła majestatycznie. Tym razem żabką. Pływaliśmy z pół godziny, nie wchodząc sobie w drogę. Pierwszy raz od dawna moja głowa była pusta. Myśli swobodnie przez nią przepływały, jakby czas stanął w miejscu, a wszelkie problemy się oddaliły. Stały się tak malutkie, że z perspektywy jeziora prawie niewidoczne.

W końcu zrobiło się prawie całkiem ciemno. Płynąłem do pomostu. Na brzegu widziałem chatkę z rozwartymi drzwiami i czarnymi jak smoła oknami. Usłyszałem plusk. Płynęła za mną. Podciągnąłem się i wszedłem na wciąż rozgrzane słońcem, popękane deski pomostu. Pochyliłem się i podałem jej rękę. Zawahała się, niezdeterminowana, ale podała mi swoją. Miała taką maleńką dłoń. Wyciągnąłem ją z wody jedną ręką, zupełnie bez wysiłku i postawiłem na pomoście. Lekko dyszała, ociekała wodą, a pasma włosów kleiły się jej do mokrej skóry. Staliśmy tak w bezruchu, patrząc na siebie w gęstniejącym mroku. A jednak się bała. W końcu odwróciłem się i poszedłem do chaty. Bo to było trochę za dużo. Po chwili cicho weszła za mną. Wygrzebała z torby ręcznik i owinęła się nim. Wyjęła też jakieś ubrania i chciała wyjść, pewnie się przebrać, ale zatrzymałem ją.

– Ja wyjdę.

– Jak chcesz.

Wyszedłem. Poszedłem w głąb lasu. Przebrałem się w suche rzeczy. Chwilę laziłem bez celu. Nie potrafiłem zignorować tego, co przed chwilą widziałem i czułem. W mojej głowie pojawiła się absurdalna chęć, by zacząć uciekać przez las jak najdalej od tej pieprzonej chatki-kopulatki. Wyobraziłem sobie, że biegnę między drzewami jak kompletny wariat, może nawet w podskokach.

– Ja pierdolę – powiedziałem głośno. Odpowiedziało mi wątłe echo. Ten las był jakiś lewy. Taki warszawski. W krakowskim echo odpowiedziałyby mocnym głosem. Tu pewnie piasek tłumił dźwięki.

– Co ty tam tak długo robisz? – usłyszałem jej daleki głos.

– Sram, kurwa! – odkrzyknąłem, starając się, aby zabrzmiało to odpowiednio opryskliwie. Chciałem trochę odczarować tę żenującą scenkę, która zdarzyła się na pomoście.

– To nie przeszkadzam! – odkrzyknęła. Odetchnąłem z ulgą, ale okazało się, że na tym nie koniec. Po chwili zawołała znowu: – Robię takie niby-żarcie. Ale nie spodziewaj się cudów. W sałacie z biedry są chyba robaki. A krewetki nie pachną najlepiej. Może dam je rybom? Myślisz, że ryby jedzą krewetki?

Rozłożyłem ręce. Co to niby miało być? Co z nią było nie tak? Za grosz wyczucia! Gdybym siedział na kłopie, też by tak się darła? Nic więcej jednak nie powiedziała. W lesie znowu zapanowała cisza. Co będzie, jak wrócę? Wszystko się zacznie od nowa. Na bank miała tam jakieś alko. Obalimy butelczynę wody i co? Zrobię coś głupiego. Czułem narastające, całkiem niezdrowe podniecenie. A może by sobie tak zjechać na ręcznym? Będzie potem mniejsze ciśnienie. Wyjąłem kutasa i zacząłem. Czułem się jak idiota, brandzlując się pośrodku lasu, niczym zboczony amator fauny i flory. Przypomniała mi się gęsia skórka na jej ciele i sutki sterczące pod kostiumem. Nawet nie próbowała się zasłaniać. Może nawet robiła to specjalnie? Ona chyba jednak była trochę takim zboczkiem. Chciała tego, mała rozpustnica. A może by w takim razie po prostu spróbować? Najwyżej da mi w ryj. Nie. Chyba mi odbiło. Poruszałem ręką coraz szybciej. Bardzo starałem się nie myśleć o tym, jakby to było, gdyby zamiast mojej łapy była tu jej mała rączka... Może ci wszyscy ludzie odnoszący się do mnie z taką



odrazą mieli rację? Chyba rzeczywiście powinienem się leczyć. Bo normalne to na pewno nie było.

– Dalej tam siedzisz? – niespodziewanie znowu usłyszałem jej głos. Tym razem jakby bliżej. – Co ty tam robisz?

– Gówno!

– Dalej?

– Gówno w sensie: odwalże się! – odkrzyknąłem, starając się, by mój głos brzmiał normalnie. Ale chyba przypominał głos dyszącego do słuchawki zbrojeńca.

– Dobrze się czujesz? Jesteś sam? – zadała idiotyczne pytanie.

Po głosie poznałem, że była już całkiem niedaleko. Miałem wrażenie, że nadchodzi z lewej, ale mogłem się mylić. Rozglądałem się niespokojnie. Czuję się osaczony. Byłem w piekle onanistów. Już prawie słyszałem kroki na leśnym poszyciu. A jej drobna delikatna mała dłoń, miła i ciepła, stawała się coraz bardziej realna. Musiało mnie dzielić od niej zaledwie kilka drzew i krzaków. Spojrzałem w górę. Chmura przysłaniająca księżyc mknęła po niebie zdumiewająco szybko.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła.

– Konia, kurwa, walę – odpowiedziałem w końcu. – Więc albo przyjdź tu i dokończ za mnie, albo spierdalaj.

Zapadła cisza.

– Serio? – spytała z niedowierzaniem. Musiała być tuż przede mną. Wtedy gdzieś za mną trzasnęła gałązka.

– Mam ci pokazać? – spytałem ze złością, próbując ją namierzyć.

– Nie!

Za późno. Chmura odpłynęła, a księżyc w pełni rozświetlił las niczym reflektor scenę. Edward byłby zachwycony. Staliśmy na przeciwko siebie. Ona z pogrzebaczem w ręku, ja z własnym kutasem. To była bardzo głupia sytuacja.

– Ty naprawdę... – bąknęła. – Przepraszam.

I pognęła z powrotem przez chaszczę w kierunku chaty. W samą porę.

Księżyc na powrót skrył się za chmurami. Pieprzony zdrajca!

Usiadłem sobie na chwilę. Najgorsze było to, że musiałem tam wrócić i stawić czoło sromocie. Wstałem i ruszyłem w kierunku polany. Chciałem to już mieć za sobą. Chata spowita była kłębamii szarego dymu, a ze środka dobywał się gryzący smród spalenizny. Wszedłem. Stała przy pomoście nad płonącym grillem. W rękach trzymała tackę z jakimiś czarnymi kutasami.

– Spaliłam kiełby – mruknęła, nie patrząc na mnie. – Teraz mamy do jedzenia wafle ryżowe, żelki i wodę do popicia.

Oczywiście miałem rację co do wody. Ona była chyba kompletnie pozbawiona wyobraźni.

– Trzeba było pilnować, zamiast mnie szpiegować.

– Przepraszam – powiedziała zmieszana w kierunku grilla. Weszła na pomost i zaczęła po kolei wrzucać kiełbasy do jeziora. – Pomyślałam, że może oni jednak się pojawili jakimś cudem. Wiem, że to niemożliwe. Ale miałeś taki dziwny głos...

– Taki mam, gdy mi ktoś przeszkadza w waleniu konia. Teraz już wiesz. Serio chcesz o tym gadać?

– Nie, nie bardzo. W ogóle.

Wziąłem ze stołu zero siódemkę, którą przywiozła. I plastikowe kubki. Najlepiej będzie się napić i zapomnieć.

– Pijesz? – spytałem.

Odwróciła się i w końcu spojrzała na mnie.

– A dlaczego miałabym nie pić?

– Nie wiem. Tak spytałem.

Zapowiadał się miły wieczór i fascynująca dyskusja. Nalałem po pełnym kubku wódki. Z ciężkim sercem wpatrywałem się w przezroczysty płyn. W głowie miałem pustkę.

– Wiesz, że mogę to wypić naraz? – rzuciłem, aby przerwać milczenie.

– Imponujące. Chciałabym to zobaczyć.

Po co ja to powiedziałem? No, ale dobra, co było robić. Wypiłem. O mało się nie porzygałem. Podała mi szybko muszyniankę.

– Ale ty jesteś głupi – stwierdziła.

A jednak nastrój się poprawił. Usiedliśmy sobie na leżakach na molo. Zapaliliśmy i powoli zaczęliśmy rozpracowywać butelkę. Piliśmy

wymyślony niegdyś przeze mnie drink o nazwie „wódka z muszynianką” (bierzesz szklanke, napełniasz ją do połowy wódką, do połowy muszynianką i gotowe). Nie rozmawialiśmy ani o śledztwie, ani o przeszłości, ani o terażniejszości, tylko o jakichś nic nieznaczących neutralnych głupotach, z których ani jednej następnego dnia nie pamiętałem. No i flaszka pękła. Wysączyliśmy alko co do kropelki. Byłem trochę pijany, ale ona bardziej. Znowu zrobiło się niezręcznie, gdy nagle nie było już nic konkretnego do roboty, czym można było zająć ręce.

– Idę spać – oznajmiła.

Wygramoliła się spod koca, w który była owinięta. Wstała z trudem i nieco chwiejnym krokiem weszła do chaty. Chwilę siedziałem, kontemplując księżyc i gwiazdy. W końcu doszedłem do wniosku, że ani księżyc, ani gwiazdy mnie nie interesują. Wstałem i poszedłem za nią. Zamknąłem drzwi. I co zrobiłem potem? Potem położyłem się obok niej na tym wąskim łóżku, które skrzyknęło złowrogo. Leżała tyłem do mnie.

– Won! – wymruczała w poduszkę. Ale się nie odsunęła.

Byłem tak blisko niej, że czułem i słyszałem, jak mocno bije jej serce. Dotknąłem jej włosów, a potem pleców. Miała na sobie podkoszulek na ramiączkach i nic pod spodem.

– Głuchy jesteś?

Jakieś niemrawe były te protesty. Były częścią tej gry. Gdyby naprawdę chciała, abym ją zostawił, rozegrałaby to całkiem inaczej. Na pewno bardzo boleśnie. Chociaż pewnie tak jak ja teraz tłumaczy się co drugi gwałciciel. Przysunąłem się jeszcze bliżej.

– Czy ja dobrze czuję? – znowu wymruczała w poduszkę. – Mam nadzieję, że to ten, kurwa, pistolecik, który dał ci Kakałko, a nie to, co myślę. Idź sobie.

Nadal się jednak nie odsuwała. Leżała nieruchomo. Odgarnąłem włosy z jej twarzy i powiedziałem cicho do ucha:

– Ty hipokrytko. Mam sprawdzić, co naprawdę o tym wszystkim sądzisz?

Przeniosłem dłoń na jej biodro, potem na brzuch i w dół, aż dotarłem do spodenek. Chciałem wsunąć w nie rękę, ale złapała mnie, gdy byłem w połowie drogi, i w końcu odwróciła się do mnie.

– Zwariowałeś?

Wtedy ją pocałowałem. Rozchyliła usta i rozluźniła uchwyt, który blokował mi dostęp do jej majtek. Więc wepchnąłem rękę dalej. A potem jeszcze głębiej, w nią.

– Pieprzona hipokrytka – powiedziałem cicho w jej usta. Rozchyliła usta i zupełnie przestała się opierać, a ja przestałem myśleć.

– Nie! – krzyknęła nagle i odepchnęła mnie mocno. Potem uderzyła mnie jeszcze dwa razy na oślep. Usiadła gwałtownie i pochyliła się, chwytając się za głowę. – Nie! Nie! Nie dotykaj mnie. Tak nie można. Nie dotykaj mnie!

– Nie dotykam cię – powiedziałem automatycznie.

– Potworność – wyszeptała.

Wtedy ocknąłem się z tego dziwnego stanu. Ta chatka, ten las, to jezioro – całe to miejsce rzuciło na nas urok. Uwierzaliśmy, że możemy na chwilę bezkarnie zanurzyć się w niewinnej przeszłości. Znowu bawić się w dom. Bo wszystko mogło zostać między nami. Byliśmy tu przecież tylko we dwoje. Nie było nikogo, kto by nas potępiał i oceniał.

Poza nami.

Również usiadłem. Dłoń, którą wyjąłem z jej majtek, była wilgotna, a mój kutas nadal stał. I było mi głupio z obu tych powodów. Poczulem niesmak i wstyd. A równocześnie zaczęła we mnie gwałtownie narastać coraz większa złość. Chciałem coś rozpierdolić, zniszczyć, zmiażdżyć. I zaraz potem poczułem strach. W tej gęstej ciemności zapyziałej chatki, pośrodku mrocznego lasu, groza nabrała monstrualnych rozmiarów. Jakby tu, między nami, skumulowało się to, co najstraszniejsze. Koszmar wszystkich piwnic Fritzla, rodzeństwa zamkniętego na poddaszu, niemowląt zapeklowanych w beczkach, ludzi i owadów. Trwaliśmy w bezruchu. W ciszy słyszałem jej płytki oddech. Widziałem zarys drobnej pochylonej sylwetki. Wydawała się samotna i opuszczona, jak dziecko postawione za karę do kąta. Chciałem ją chociaż poklepać po plecach, ale wiedziałem, że tego akurat nie mogę zrobić. Nic nie mogłem dla niej zrobić. Dlatego ostatnim uczuciem, które wypełniło mnie od środka i już nie opuściło, był przytłaczający smutek. W końcu poruszyła się w ciemności i westchnęła. Powoli wyprostowała się i odwróciła do mnie.

– Przepraszam, jeśli wysyłałam jakieś sygnały, które cię zmyliły. Nie chciałam, żeby do tego doszło. Pomijając wszystko inne, już po prostu nic do ciebie nie czuję. Od dawna. Jeśli ty coś do mnie czujesz, to musisz sobie z tym jakoś poradzić. Przykro mi.

– Ja do ciebie też już nic nie czuję.

– Nie kocham cię – dodała dla jasności ostrym tonem.

– Ja też cię nie kocham – odparłam.

Znowu zapadła cisza, aż nagle ona powiedziała odkrywczo, prawie radosnym głosem:

– Najebaliśmy się!

– Właśnie.

– Chodźmy spać.

– Dobry pomysł. To ja już sobie pójdę.

– Nie musisz. Po prostu nic więcej nie rób.

Położyłam się, ona również. A potem niespodziewanie przyłgnęła do mnie. I co to niby miało być? Naprawdę nie rozumiem kobiet. Chciałbym, aby ktoś mi wytłumaczył takie na przykład zachowanie jak to.

– Chce mi się pić – powiedziałem.

– Koło łóżka jest szklanka z wodą.

Sięgnąłem po nią z trudem, bo cały czas była przyklejona do mojego boku. Gorąca jak poduszka elektryczna. Wymacałem szklankę. Wypiłem duszkiem. Byłem pewien, że nie zasnę. Ale zasnąłem.



CZEŚĆ  
TRZECIA

---

**KONIEC**





# 24

---

„This is the end  
Beautiful friend  
This is the end  
My only friend, the end

It hurts to set you free  
But you'll never follow me  
The end of laughter and soft lies  
The end of nights we tried to die

This is the end”.

*The end*

THE DOORS (SŁOWA: JIM MORRISON)

Obudziłem się nagle i przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Najpierw myślałem, że w mojej chacie nad oceanem. Potem, że na działkach. Ale w końcu wszystko sobie przypomniałem.

Miejsce obok mnie było puste, a materac zimny. Słyszałem szum lasu, odgłosy ptaków i plusk wody uderzającej o pomost. Nic więcej. Od razu pojąłem, że zostałem sam. Jej nieobecność była równie namacalna jak pustka, która zostaje po umarłej osobie. Widoczna jak lej po bombie. Byłem pewien, że nie poszła pływać ani nie pojechała po zakupy, nie spacerowała po lesie. Ona odeszła.

Zerwałem się z łóżka i od razu zobaczyłem leżący na stole list. A obok niego telefon komórkowy. Wziąłem do ręki kartkę i przeczytałem:

„Muszę wracać do Aarona. Spróbuję go przyblokować. To ci da kilka dodatkowych godzin. Potem przyczaję się na jakiś czas. Twoje dokumenty

są już gotowe. Numer Kruga jest zapisany w telefonie. On da ci dalsze instrukcje. Gdy odbierzesz papiery, będziesz już zdany tylko na siebie. Wsiądź do autokaru i wyjedź z Polski. Pamiętaj, aby często zmieniać środki transportu. Tym razem nie będę cię szukać. Nie znam twojego nowego nazwiska i nie chcę go znać. Powodzenia”.

Tyle. Przeczytałem ten list kilka razy, jakbym się chciał upewnić, czy przypadkiem pomiędzy wierszami nie ukryła jakiejś informacji. Bo baby czasem lubią coś ukryć między wierszami. Niestety, list był jedynie zdawkowym instruktażem i krótkim, a na dodatek dosyć nieprzyjemnym pożegnaniem. Była dwunasta w południe, musiała odjechać wiele godzin temu. Jak mogłem się nie obudzić? Mój wzrok padł na szklanekę przy łóżku. Oczywiście. Zaplanowała to już wczoraj. Wyraźniej nie mogła dać mi odczuć, co o tym wszystkim myśli. I bardzo dobrze.

Zadzwoiłem do naziola i ustawiłem się z nim. Spakowałem swoje graty. Nie chciałem tu zostawać ani chwili dłużej, jakby ten teren był skażony. Zamknąłem chatkę i wsiadłem do samochodu. Gdy jechałem leśną drogą, naszły mnie wątpliwości. Ona zawsze cierpiała na syndrom rycerza w lśniącej zbroi, wywołujący u niej ciągłą potrzebę ratowania chłopów bez względu na ryzyko. Tym razem, dzięki swoim machinacjom, udało jej się uratować i mnie, i najprawdopodobniej Goldenthala. Tyle że udaremniając nasze plany, automatycznie wystawiła się na odstrzał. Ani ja, ani on nie wykonaliśmy zadań, które zlecił nam Opiekun. A przecież ceną było jej życie. Co za walnięta laska! Wziąłem tę komórkę, którą mi zostawiła, i wystukałem jej numer. Tak jak się spodziewałem, miała wyłączony telefon. Trudno, jej wybór. Nie miałem chorej potrzeby narażania się po raz kolejny tylko po to, aby ona zaraz wpakowała się z zapalem w kolejne szambo. A jedyne, na co cierpiałem, to syndrom Piotrusia Pana. A więc chuj z odpowiedzialnością, przygody czekają!

A jak przygoda, to tylko w Krakowie! Nie pojechałem do Warszawy. Nie stałem się zbiegłym neonazistą. Zawróciłem w stronę grodu króla Kraka. Czuję, że tym razem robię coś naprawdę głupiego.

Dwie i pół godziny później byłem znowu na Osiedlu. Nie kryłem się ze swoim przyjazdem. Wjechałem sobie ot, tak, jak na własne podwórko. Nie

miałem żadnego planu, ale jak pokazały ostatnie zdarzenia, planowanie w moim przypadku nie miało sensu. Bo potem i tak robiłem wszystko zupełnie odwrotnie. Poza tym nie było żadnej możliwości, by podejść niepostrzeżenie do wieżowca. Wsiadłem więc z samochodu zaledwie kilkanaście metrów od Betonowego Pałacu i szedłem środkiem chodnika w kierunku ponurej monstrualnej bryły, której cień zdawał się obejmować całe Osiedle. Stojący przy wejściu strażnicy popatrzyli na mnie niespecjalnie zaskoczeni. A potem wyciągnęli broń. Nie kojarzyłem tych koksów. Nie wyglądali na naćpanych i przesadnie agresywnych. Nie wyglądali też jednak przyjaźnie.

– Chcę się widzieć z Opiekunem – oznajmiłem.

– Stój – nakazał jeden z nich.

Drugi wyjął komórkę, wcisnął klawisz i wystękał coś niezrozumiałego, bacznie mnie przy tym obserwując. Czekaliśmy w ciszy. Obserwowałem białe obłoczki przemykające za betonowym kolosem. Parę minut później drzwi się otworzyły i na progu ukazał się Opiekun. Za nim podskakiwał Kakałko w wielkich, wielobarwnych, błyszczących spodniach dresowych i czarnym podkoszulku. Z tyłu człapał wymięty Pan Dobra Nutka.

– Dobra, gdzie ona jest? – spytałem.

– Dlaczego sądzisz, że ona tu jest? – zainteresował się Opiekun.

– Bo ją znam.

– To prawda, znasz – przytaknął Opiekun, przyglądając mi się badawczo. – I masz rację, gościmy ją. Twoja siostra tu jest, bo nie miała innego wyboru. Ale dlaczego ty tu jesteś? Co ja mam o tym sądzić?

– Pewnie chce ją uratować – podsunął Kakałko. – To wszystko jest takie romantyczne, że się chyba zaraz zesram kakaowymi łzami.

– Jeśliby była taka opcja, to chętnie bym ją stąd zabrał – zaproponowałem.

– Takiej opcji nie ma – odparł Opiekun. – Ale są inne. Wejdz z nami. Zaraz się przekonasz.

– Chcę ją zobaczyć.

– Cierpliwości, chłopcze. Jeszcze nie wszystko gotowe.

Bardzo nie spodobało mi się to zdanie.

– Jeśli tylko będziesz się stosował do instrukcji, wszystko może się dla ciebie potoczyć nadspodziewanie dobrze. Będziemy tu mieli takie drobne przyjątko. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Zostawili mnie w samych gaciach w pustym, ciemnym, śmierdzącym pleśnią piwnicznym pomieszczeniu. Lochy wieżowca były bardzo rozległe. W założeniu miały służyć jako schron. Legenda głosiła, że te korytarze ciągną się kilometrami, a najstarsze sięgają czasów średniowiecza i świetności Osady. Być może gdzieś tutaj znajduje się droga ewakuacji prowadząca daleko za Osiedle. Byli tacy, którzy twierdzili nawet, że podziemia mają kilka poziomów i można nimi dojść do każdej dzielnicy Krakowa. Podobno dawno temu funkcjonowała kilkuosobowa kolejka, którą można było się przemieszczać z jednego krańca miasta na drugi. Te pogłoski ewoluowały z czasem w skrajnie absurdalne historie. Jak ta, że lochy mają dla miasta znaczenie strategiczne i specjalne stowarzyszenie od wieków pilnuje, aby nikt nie odkrył sekretów, jakie się kryją pod ziemią. Wyznawcy teorii spiskowych byli przekonani, że to jest prawdziwy powód, dlaczego Kraków nadal nie ma metra i dlaczego tak ciężko załatwia się pozwolenia na cokolwiek w Wydziale Architektury i Urbanistyki. Wśród urzędników tego wydziału jest ponoć najwięcej członków tajnego stowarzyszenia. To oni tak dogłębnie badają każdy wniosek o budowę bądź przebudowę. Sprawdzają, czy prace nie naruszą podziemnego labiryntu. Współpracują z innymi wydziałami. Kilka lat temu, by ukrócić krążące legendy, rzucili krakowianom ochłap w postaci podziemnego Rynku.

Wszystko to brzmiało jak bzdury, ale na przykład Kojak zawsze w to wierzył. Miał wujka, którego w rodzinie nazywano Szalony Zbyszko. Zbyszko mieszkał na Podgórzu i zajmował się tylko jednym – badaniem przypadków odmowy zgody na budowę. Umarł na zawał, ale Kojak wierzył, że za jego śmierć odpowiadają tajniacy z urzędu miasta.

Te opowieści powróciły do mnie, gdy siedziałem w zamknięciu. Dałbym teraz wiele, by okazały się prawdziwe i istniała szansa ucieczki inną drogą niż ta prowadząca przez Osiedle. Pomieszczenie, w którym mnie trzymali, było wytłumione. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Było tu tak ciemno, że nie widziałem własnej dłoni, nawet gdy ją trzymałem tuż przy twarzy. Ostrożnie obszedłem swoją celę, przytrzymując się ściany, która

okazała się chropowata, wilgotna i zimna. Dotarłem do zamkniętych drzwi pozbawionych klamki. Przesuwałem się dalej. Chciałem policzyć, ile kątów ma ten loch, i rozszyfrować jego kształt, ale pogubiłem się w obliczeniach. Wydawał mi się ogromny. Zakręcał i wił się. Gdzie się podziały te cholerne drzwi? Niespodziewanie znowu do nich dotarłem. Ale czy to te same? Nie miało to i tak znaczenia, bo były zamknięte. Podałem się i usiadłem na ziemi. Mogłem tylko czekać. Całkowita ciemność, cisza, bezczynność i brak jakichkolwiek bodźców sprawiły, że straciłem rachubę czasu. Możliwe nawet, że zasnąłem na moment na brudnym klepisku. A może na dłużej? Może przespałem noc albo dobę? To pomieszczenie zaczynało doprowadzać mnie do szału. On robił to specjalnie. Białe tortury. Coś zupełnie nowego w tym rejonie. Nie mogłem zebrać myśli. Byłem tu sam? A może był tu ktoś jeszcze? Może chodził za mną i mnie obserwował? Widział mnie, a ja jego nie. Cisza coraz natarczywiej brzęczała mi w uszach, stawała się ogłuszająca. Zatkaną uszy, ale to nie pomogło. Poczulem delikatny podmuch zimnego powietrza na karku. Teraz wyraźnie usłyszałem za sobą szmery. I ciężki oddech. Zerwałem się i odwróciłem. Coś poruszało się w ciemnościach. Zadudniły powolne kroki. Ktoś zbliżał się do mnie. Rzuciłem się do przodu, by zaatakować, ale złapałem jedynie powietrze. Upadłem na ziemię i odwróciłem się na plecy. Leżałem w bezruchu, a kroki stopniowo się oddalały. Szmer cichł. To było tylko bicie mojego serca i puls w skroniach, i mój świszczący oddech. Nikogo poza mną tu nie było. Byłem zupełnie sam. To uczucie osamotnienia stało się tak obezwładniające, że zapragnąłem, aby ta wyimaginowana istota, która jeszcze przed chwilą czaiła się w mroku i przerażała, wróciła teraz i dotrzymała mi towarzystwa. Chyba zaczynałem wariować.

Wiedziałem, że jeśli poddam się tej paranoi, to on mnie złamie. Zacząłem analizować swoją sytuację, by mieć jakiegokolwiek zajęcie. Czego ten sadysta właściwie ode mnie chciał? Czy byłem mu do czegoś potrzebny? A może to o nią chodziło? Miałem dziwne wrażenie, że wszystko to jest jakby znajome i w pewien sposób oczywiste. Że od dawna mam w ręku wszystkie elementy układanki.

W końcu szczęknęły zamki. Ocknąłem się i spojrzałem w kierunku otwierających się drzwi. Zamigotała jarzeniówka i loch wypełnił się zimnym światłem. Oczy zapiekły, zmrużyłem je i dopiero po chwili

zauważyłem, że cela jest niewielka, zupełnie pusta i ma kształt sześcianu. Do środka wszedł Judym w towarzystwie dwóch goryli. Pieprzony dorek w rękę trzymał spodek. Zbliżył się do mnie z uśmiechem.

– Cześć, Profesorze. Pewnie się nudziłeś przez te dwie godziny, ale od tej chwili gwarantuję ci, że będzie już tylko coraz bardziej interesująco.

To były tylko dwie godziny? Dwie godziny wystarczyły, żebym uwierzył we własne przywidzenia. Judym obserwował mnie z zawodowym zainteresowaniem, a mnie przyszło do głowy, że może są tu kamery. Może obserwował, jak zaczyna mi odbijać.

– Opiekun chce mieć pewność, że nie będziesz stanowił zagrożenia. Poza tym to wzmocni twoje doznania – odezwał się ponownie Judym.

Spojrzałem na talerzyk. Leżał na nim dorodny kwas. Wpatrywałem się w malutki kawałek papieru z kolorowym rysunkiem. Judym był tak podekscytowany, że domyśliłem się, że to jakiś kolejny jego wyrób własny. Nawet ćwiartka tego, co znajdowało się na spodeczku, mogła wyeliminować w człowieku trzeźwe myślenie na połowę doby.

– Zjedz to. Przecież lubisz – zachęcał lekarz.

– Skończysz marnie, zobaczysz.

– Być może, ale ty będziesz pierwszy. Nie wyjdiesz stąd, dopóki tego nie połkniesz.

Mówił do mnie, jakby był matką, ja dzieckiem, a kwas – talerzem gorącej zupy.

– Nie wiem, czy chcę wychodzić – powiedziałem. – Wiesz co, ty pseudolekarzu, ja tu jednak zostanę. W dupę se wsadź tego kwasu, ty, kurwa, nieudana parodio chirurga, z twoją przysięgą hipokryty.

– Przed kim ty się popisujesz, powiedz mi? No, zjedz.

– Nie, kurwa. Powiedziałem. Idź sobie coś wyskrobać.

– Nie chcesz sprawdzić, co u siostry? Czy jest w jednym kawałku?

Popatrzyłem na niego sceptycznie.

– Nie wierzę ci.

– A co mam zrobić, abyś mi uwierzył? Hm? Mam ci tu przynieść jej palec? Czy błękitne oczko?

Magda miała rację. Judym w niczym się nie różnił od całej reszty. Podobało mu się wykonywanie poleceń dyktatora. Lubił być zły.

– Czekał, czekał – powiedział nagle. – Opiekun przewidział twoją reakcję. Nie masz wrażenia, że wszyscy poza tobą zawsze wiedzą, jak się zachowasz w danym momencie? Dzieciak z ciebie. No więc patrz, co ja tu mam.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej wypchaną czymś kopertę. Całe szczęście nie wyglądało na to, aby w środku znajdowały się palec lub oko. Otworzył kopertę i wyjął z niej garść jasnych włosów. Podsunął mi pod twarz. Właśnie ten zapach czułem w nocy, kiedy się do niej dobieierałem. Jakiegoś owocowego szamponu.

– No więc idziesz czy mam ci ją tu po kawałku przynosić?

Popatrzyłem na niego z wściekłością.

– Dobra, dawaj tego kwasu, skurwysynu.

– Poczekaj, musimy się zabezpieczyć, żebyś tego nie wypluł. – Wyjął z kieszeni plastikową kapsułkę. Schował do niej kwasu i podał mi. Jeden z typów z jego obstawy podał mi butelkę wody.

– Do buzi i połykamy – rozkazał Judym.

Zrobiłem, co kazał, a on potem jeszcze obejrzał mój otwór gębowy, by się upewnić, że naprawdę połknąłem i nie wypluję po chwili kapsułki bokiem jak kot.

– I nie próbuj wymiotować – pogroził mi. – Za jakiś czas przekonasz się, że to dobry towar. Z przepisu lekarza. Hi, hi, hi. No, to myślę, że teraz możesz już zobaczyć swoją siostrę.

Poprowadzili mnie długimi, ponurymi, słabo oświetlonymi korytarzami, które kilka razy rozwidlały się i skręcały w różne strony. Nie miałem pojęcia, gdzie dokładnie jesteśmy ani gdzie znajduje się wyjście na powierzchnię. Zatrzymaliśmy się w końcu przy podwójnych drzwiach, zza których dobiegały jakieś głosy i śmiechy. Otworzyły się nagle z hukiem. Któryś kark z mojej obstawy wepchnął mnie do środka. Weszli za mną. Usłyszałem głuchy łoskot, gdy wrota za moimi plecami zamknęły się na powrót.

Znajdowałem się w pomieszczeniu sporych rozmiarów. W środku panował półmrok. W cieniu pod ścianami stało kilkunastu bandytów. Jedyna lampa w pomieszczeniu zwisała z wysokiego sufitu i oświetlała środek sali, jakby to była arena. W jej centralnym punkcie, w rześnym żółtawym świetle tkwiła ona. Ręce miała w górze, przymocowane do grubego łańcucha zwisającego z sufitu. Bose stopy były związane grubym sznurem, usta zakneblowane jakąś szmatą. Toczyła wściekłym spojrzeniem po zebranych. Na mnie była chyba tak samo zła jak na tamtych. Drugą centralną postacią tej sceny był Opiekun. On także stał w jasnym kręgu, a jego biały garnitur zdawał się wydzielać własne światło. Gabriel uniósł dłoń, by uspokoić zebranych. Zapadła cisza. Wszyscy oczekiwali w napięciu.

– Podejź tu, Profesorze – odezwał się Opiekun.

Nie ruszyłem się, więc któryś gar chwycił mnie mocno za kark i pchnął w stronę admira. Zbliżyłem się do jasnego kręgu, ale pozostałem w cieniu. Nie bardzo miałem ochotę występować publicznie w samych gaciach. Opiekun przyglądał mi się z uwagą.

– Dałem ci Rzeźnika – odezwałem się.

– To bardzo ładnie, ale to tak, jakbym cię poprosił o przygotowanie obiadu, a ty ugotowałeś tylko kompot. Miałeś mi zwrócić coś, co było mi najdroższe na świecie. Nie zrobiłeś tego. Teraz ja ci coś zabiorę.

Skinął w stronę tłumu, z którego wyłonił się Pan Dobra Nutka. Wszedł w krąg światła niczym aktor na scenę. Rozległy się szmery i pomruki, gdy Nutka wolnym krokiem zbliżał się do niej. I nagle szybkim ruchem wyjął skalpel z kieszeni. Przysunął do jej twarzy. Koniec ostrza znajdował się centymetr od jej oka. Szajbus nie uśmiechał się, ale wyglądał prawie radośnie. Ona tymczasem bezskutecznie usiłowała odsunąć się jak najdalej od ostrza.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – spytał mnie Opiekun, a potem nagle zaczął odliczać. – Raz, dwa, trzy. Czas minął.

Nutka odsunął skalpel od jej oka i zaczął rozcinać nim jej podkoszulek.

– Czekał – odezwałem się. – Mogę to naprawić. Sophie żyje.

– Nie próbuj grać na zwłokę – ostrzegł Gabriel. – Im bardziej będziesz kombinował, tym bardziej odczuje to twoja siostra.



– Mówię prawdę. Sophie żyje. I wiem, gdzie jest.

Nagle z tłumu wyłonił się Judym. W rękę trzymał broń. Wycelował ją we mnie. Tłum zafalował. Coś na chwilę połączyło nas wszystkich. Mnie, ją, Nutkę i resztę tych bandytów. Wszyscy byliśmy tak samo zaskoczeni tym niespodziewanym wyskokiem Judyma. Tylko Opiekun patrzył zupełnie obojętnie na swojego nadwornego lekarza.

– Co to, kurwa? – Nutka odezwał się pierwszy. Nic dziwnego. Judym najwyraźniej psuł mu wystąpienie, do którego Nutka od dawna się przygotowywał.

– Ani słowa więcej – powiedział do mnie lekarz drżącym głosem i wystrzelił, ale sekundę wcześniej spomiędzy grupy karków wyskoczył Kakałko i zdążył mu podbić rękę. Kula trafiła w sufit. Posypał się tynk i gruz. Chłopy odsunęły się pod ściany. Kakałko wyjął zaskoczonemu Judymowi broń z ręki.

– Dziękujemy, Kakałko. Proszę, aby więcej nam nie przerywano – zażądał Opiekun.

– Słyszycie? Doktorowi odbiło. – Kakałko zwrócił się do najbliższych stojących gnomów. – Trzymajcie tego wariata.

Dwóch kafarów rzuciło się natychmiast na Judyma, ale okazało się, że jeden w zupełności wystarczy. Judym padł na kolana, a mięśniak wykręcił mu rękę do tyłu.

– Proszę, nie mów im – wyszeptał w moim kierunku. – Proszę...

– Co on tam mamrocze? – spytał Opiekun.

– Nie chce, żeby Profesor powiedział, gdzie jest Sophie – powtórzył Kakałko bardzo głośno i zachichotał.

– Proszę. Błagam. Zaklinam cię.

Popatrzyłem na Judyma. Potem na nią. Nutka tymczasem powrócił do przerwanej zajęcia i teraz powoli, w ogromnym skupieniu rozcinał jej szorty. Potem zerwał je jednym szarpnięciem niczym magik. Rozległy się niepewne rechoty. Cała uwaga zebranych na powrót skupiała się na czynnościach wykonywanych przez Nutkę.

– Błagam cię – szeptał doktor.

Nutka przejechał nożem po jej brzuchu, aż do czarnego sznurka od stroju kąpielowego. Podważył go i przeciął. Chwycił za jedno z ramiączek kostiumu, pociągnął i również zerwał jednym ruchem. Góra od bikini rozpadła się na kilka części i wylądowała u jej stóp. Jebany magik! Rozległy się pełne uznania brawa. Oczy Nutki płonęły, a na jego szare policzki wpełzł szkarłatny rumieniec. Patrzył na nią jak artysta patrzy na tworzywo, z którego powstaje właśnie coś wielkiego. Miała na sobie już tylko majtki od kostiumu. Długie włosy częściowo zasłaniały jej piersi. Jeden z typów podszedł i chwycił garść kosmyków, a potem uniósł je do góry. Rozległy się śmiechy i pogwizdywania.

– Zjeżdżaj, durniu – warknął do dowcipnisia Nutka. Mimo że Nutka wyglądał przy tym wielkoludzie jak przedszkolak, potężny chłop wycofał się potulnie na swoje miejsce.

– Dalej, Nutka, obetnij dziwce te kudły, bo cycków nie widać – zaczęli prosić inni.

Nie wiem, na co jeszcze czekałem. Zagapiłem się na tę scenę jak tamci. Ale przynajmniej z pyska nie spływała mi struga śliny, jak co poniektórym zebranych tutaj rozochoconym małpom.

– Zostaw ją, złamasie – powiedziałem do Nutki.

– Taaak. W końcu ją zostawię. Gdy skończę – odparł oprawca, patrząc na mnie.

Teraz zwróciłem się prosto do Gabriela.

– Każ mu ją zostawić w tym momencie. Jeśli ta pokraka jeszcze raz ją tknie, nie powiem ani słowa. Niech się od niej odsunie i odłoży ten swój nóż. Dopiero wtedy dowiesz się, gdzie jest Sophie.

– Może on tak bredzi od tego kwasu? – zauważył Kakałko.

– Za wcześnie – odparł Opiekun, patrząc przy tym na mnie znowu tak, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Znowu nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ta cała sytuacja coś mi przypomina. Niestety, skojarzenie cały czas mi się wymykało.

– Nutka, zostaw ją na razie. Odsuń się i odłóż nóż – rozkazał Gabriel.

Nutka niechętnie wykonał polecenie. Kakałko tymczasem odepchnął osiłka, który trzymał Judyma i teraz obejmował doktora, kołysząc go jak do snu.

– Będzie dobrze, doktorku – szeptał śpiewnie. – Zwariowałeś. Ale będzie dobrze.

– No więc gdzie jest Sophie? – spytał spokojnie Opiekun.

– Tak jak myślałeś od początku. Jest u Grety na łajbie, przebrana za kelnerkę syrenę. A jeśli nie, to schowała się w środku tej figury na dziobie. Dlatego jej nie znalazłeś, gdy przeszukiwałeś łódź.

Judym jęknął. A ja miałem nadzieję, że Greta nie ukryła Sophie gdzie indziej, bo więcej asów w rękawie nie miałem. Nie miałem nawet rękawa.

– Ty, ty i ty. – Opiekun wskazał kilku swoich ludzi. – Pojedźcie na barkę. Jeśli moja żona tam jest, dacie mi znać od razu. Jeśli nie, ta biedna dziewczyna zapłaci za głupotę Profesora.

Po tych słowach Gabriel wyszedł, zabierając swoje dwa pieski salonowe, żołnierzy i Judyma, któremu być może nawet bym współczuł, gdyby nie był takim ludzkim ścierwem. Pomieszczenie opustoszało. Zostawiono z nami dwóch uzbrojonych w glocki osiemnastki strażników. Teraz mogliśmy tylko czekać. Przeniosłem wzrok z drzwi na większego kafara, potem na mniejszego i na nią. A potem znowu na drzwi. Ona zamknęła oczy. Nie miałem pojęcia, ile godzin spędziła w tej pozycji. Musiało jej być strasznie niewygodnie, na pewno bolały ją wyciągnięte w górę ręce i stopy ciasno skrępowane powrozem.

Mniejszy z rozdziawioną gębą gapił się na nią, dłubiąc niespiesznie w perkatym nosie. Wytarł paluch o portki i z powrotem wpakował w kinol. Kręcił nim długo i wytrwale, jakby czegoś szukał. Może kóz nie mógł się doliczyć. Drugi jednak prędko zaczął się nudzić. Podszedł do mnie rozbujanym krokiem i zagadnął zaczepnie:

– Wiesz, jak cię niektórzy tu nazywają, Profesorku? Ostatnim człowiekiem Króla.

– Nigdy nie byłem człowiekiem Króla.

– Ale melanzować to z nim lubieś. Fetę siupać. Winniczki wpierdalać. Król to jednak był gość z fantazją. Pamiętasz, jaka była jedna z jego najulubieńszych zabaw?

Wiedziałem, do czego zmierza, i bardzo mi się to nie podobało. Nie zareagowałem, licząc, że to go zniechęci.

– Jasne, że pamiętasz. – Zaśmiał się, a potem odwrócił się do mniejszego. – Ale ty, Młody, pewnie tylko słyszałeś o parkach?

– Tyś mi to, Wituś, opowiadał. Faza! – podjarał się Młody. Przerwał nawet dłubanie. – Król lubił czasami zapolować na zakochaną parkę. Zgarniał ich ze spaceru, sprzed sklepu, z ławeczki. Brał do siebie na chatę albo załatwiał sprawę na miejscu. Zawsze dawał im kilka opcji.

– Właściwie tylko dupie – sprostował Wituś. – Mogła se wybrać, kto ją zaraz publicznie wydupczy. Król? Któryś z jego ziomali? Czy może jej własny gach? Pamiętasz, kogo zawsze wybierały, Profesorze?

Zignorowałem pytanie.

– Swoich frajerów – zarechotał Wituś. – Brałeś w tym udział?

– Nie.

– A chciałbyś?

– Nie.

– Akurat. Łap okazję. Coś mi się zdaje, że z własnej woli to ona ci już raczej nie da!

– Do powrotu Opiekuna macie się od nas odpiardolić – przerwałem mu.

– Opiekun mówił tylko o Nutce i patroszeniu. Nie wolno nam jej wypatroszyć, ale nic nie mówił, że nie możemy się z nią trochę powygłupiać. Więc nie pierdol, tylko rusz dupę, Profesorze, i wyjmuj fujarę.

– Spierdalaj, chory człowieku.

– Chcemy zobaczyć, jak posuwasz swoją siostrę! – rozgniewał się Wituś. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nawet za Króla!

– Ja też nie – powiedział Młody z nadzieją.

– I nie zobaczysz, kurdupłu. Chcesz hardkoru, to idź wydupczyć swoją starą.

– Mam to zrobić za ciebie? – spytał Wituś.

– Tylko, kurwa, spróbuj. – Poderwałem się.

Obaj momentalnie wycelowali we mnie swoje pukawki, odbezpieczając je.

– Czekaaj – odezwał się Wituś. – Zobaczmy, co ta dziwka ma do powiedzenia.

Zerwał jej knebel z ust. Oblizła spierzchnięte wargi.

– Co, dupeczko? Kogo wybierasz?

– Zdupcaj, cuchnący ryju – warknęła.

– Jaka pyskata! Młody, jazda, gacie w dół i do roboty!

Zrobiłem krok do przodu, ale Wituś znowu wycelował we mnie glocka.

Młody podekscytowany rozpiął spodnie i wyjął z poszarzałych slipów bardzo małego ptaszka. Chyba we wzwodzie. Parsknąłem śmiechem. Ona też zaczęła się śmiać, huśtając się na boki na swoich łańcuchach.

– A masz do tego lupę, kozi bobku?

Młody podszedł do niej i spoliczkował ją mocno z jednej i drugiej strony.

Z nosa popłynęły jej dwie strużki krwi.

– Nie mogę tak – powiedział Młody i popatrzył na swoją faję, która skurczyła się do wielkości fistaszka.

Rozgoryczony odszedł do kąta i tam przez chwilę rozpaczliwie się masturbował.

– Nic z tego, nie męcz już tego maleństwa... – zawołała i oblizła krew z ust. Teraz już myślałem tylko o tym, aby się wreszcie zamknęła dla własnego dobra. Ale wpadła w amok i nie zamierzała milczeć. – Co ty tak płaczesz w tym kącie, złamasie? Żałosne, brzydkie gnomy. Na co się gapisz, świński ryju? Teraz ty mi pokażesz swojego sflaczałego fiutka? No dalej, bardzo jestem ciekawa.

– Zamknij się, dziwko. – Większy uniósł gnata, w sensie broń, a nie swojego człona, i podszedł do niej. Przyłożył jej lufę do skroni i odbezpieczył. Chyba się nie przejęła, bo wycodziła w jego kierunku:

– No, wyjmuj go! Spuszczaj te brudne gacie.

To nie był atak hysterii, ona miała jakiś plan, żebym tylko odgadł jaki. Zastanawiałem się też, ile minęło czasu, odkąd zjadłem tego kwasa. I czy był tak mocny, jak myślałem? Może gdyby ten większy cieć zajął się gwałtem, to mógłbym go zająć od tyłu... Ale w rogu stał ten drugi koczokodan. Wprawdzie nadal był zajęty swoim zdechłym fajfusem, ale on również miał giwerę. Wituś odjął tymczasem glocka od jej skroni i schował w tylnej kieszeni spodni.

– Dobrze. Zaraz ci pokażę, szmato.

– Pokaż mi! – zawołała. – Pokaż mi tego pokurcza, żebym się mogła pośmiać.

Rozpiął rozporek i spuścił portki razem ze spranymi majtkami. Stał tyłem do mnie, tuż przed nią, więc nie widziałem, co tam ma.

– I co, kurwa? Co, kurwa! – ryknął na nią. – Nie jest ci teraz do śmiechu!

– Nic specjalnego – skwitowała obojętnie. – Poza tym schowaj już tę paróweczkę, bo jednak wybieram Profesora.

– Jak to?! – ryknął Wituś.

– Tak to. Takie są zasady. Nie ja je ustalałam, tylko wasz Król.

Duży nadal stał ze spuszczoneymi gaciami. Odwrócił się do mnie, podciągając je niechętnie.

– Słyszałeś, co powiedziała suka – wysyczał przez zęby z niezadowoloną miną – Chce, żebyś ją wydupczył. Do roboty.

Podszedłem do niej. Nic nie mogłem poradzić na to, że jakaś część mnie jarała się tą sytuacją. Widziałem, że ona cała drży, ale nie ze strachu, no i na pewno nie z podniecenia, tylko z jakiegoś wewnętrznego napięcia i skupienia. Zrozumiałem, że chce mi coś powiedzieć. Pochyliłem się nad nią, jakbym chciał ją pocałować.

– Włóż mi rękę do majtek – powiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

Wahałem się nie dłużej niż trzy sekundy. Zrobiłem to, o co prosiła.

– Głębiej.

Wsunąłem rękę głębiej i wymacałem coś twardego, schowanego w wewnętrznej części jej kostiumu. Płaski, podłużny przedmiot mógł mieć nie więcej niż pięć centymetrów długości. Był wykonany z lekkiego metalu. Zobaczyłem, jak cień uśmiechu przemyka przez jej twarz. Trzymałem w ręku bardzo cienki, właściwie miniaturowy nóż sprężynowy. Ciekaw byłem, jakie jeszcze niespodzianki kryła w różnych zakamarkach swojego ciała.

– Zabij ich – wyszeptała, prawie nie poruszając wargami.

– Co on, kurwa, wyprawia? – zawołał Wituś. – Palcówkę jej robi? Czy im się wydaje, że to jest jakaś randka?

Wyjąłem rękę, ukrywając w niej sprężynowiec. Kciuk położyłem na spuście zwalnającym ostrze i odwróciłem się do strażnika:

– Jak mam to zrobić, skoro ma związane nogi? Rozetnij jej te sznurki.

Duży podszedł do nas, a młody przysunął się blisko, ponownie żywo zainteresowany. Całe szczęście schował już swojego wysuszonego korniszona do zapyziałych slipów. Z wypiekami na pryszczatej gębie wpatrywał się w odsłonięte cycki. I znowu dłubał w kichawie. Gdy tylko Wituś się pochylił, uwolniłem wąskie ostrze i błyskawicznie wbiłem mu je w podstawę czaszki, po samą rękojęść. Wyrwałem nóż. Duży zatoczył się w jej kierunku. Strumień krwi wystrzelił na jej nagą klatkę piersiową. Nogi ugięły się wolno pod potężnym chłopem, a on zachwiał się i upadł z łoskotem, zalewając podłogę juchą.

Młody uniósł broń. Zaskoczony i spanikowany manipulował palcem po lewej stronie zamka, zapominając, że odblokował glocka wcześniej. Teraz przesunął przełącznik w przeciwną stronę. Zamiast uruchomić ogień pojedynczy, zabezpieczył broń.

Wykorzystałem te cenne sekundy, by do niego doskoczyć. Wyprowadziłem cios lewą ręką. Moja pięść wylądowała na jego rozdziawionej gębie, gruchocząc żółte zęby. Młody zatoczył się, charcząc. Był ogłupiały ze strachu, ale nadal ścisnął w ręce pistolet. Rzuciłem się na niego i runęliśmy na ziemię. Całym ciałem przygwoździłem go do betonowej podłogi. Złapałem za dłoń zaciśniętą na glocku i zacząłem walić nią w twarde podłoże. Prawą ręką, w której trzymałem zakrwawiony nóż, usiłowałem dosięgnąć jego szyi. Złapał mnie za nadgarstek, próbując odciągnąć. Kolanem wbiłem się w jego krocze, miażdżąc małego fajfusa. Młody zaczął się drzeć.

– Ucisz go, bo się zlezą! – zażądała. – Kończ to!

Wepchnąłem kolano z całej siły między jego nogi, rozgniatając klejnoty, aż oczy młodego wylazły na wierzch i zaszyły łzami. Jego uchwyt zelżał, a ja mogłem dokończyć robotę, podrzynając mu gardło. Krew siknęła jak z fontanny na mnie, na nią i na wszystkie strony.

– Pośpiesz się – powiedziała. – Oni mogą wrócić w każdym momencie.

Zacząłem przecinać linę, którą miała związane stopy. Widziałem dokładnie włochatą, mięsistą strukturę powrozu. Kolory wyostrzyły się. Faktura nabrała głębi. Niedobrze. Kwas zaczął się wczesywać. Nie chciałem jednak teraz jej straszyć. Ciąłem szybciej. Może zdążymy, zanim

całkowicie mi odpierdoli. Rozpiąłem jej ręce przymocowane do łańcucha. Opuszczając je powoli, sycząc z bólu.

– Nie czuję rąk – powiedziała.

Próbowałem poruszać jej dłońmi, aby wróciło krążenie, ale dalej były bezwładne jak u szmacianej lalki.

– Przykro mi. Nie ma na to czasu.

Rozejrzała się szybko po pomieszczeniu i rzuciła do mnie:

– Daj pasek tego mniejszego i mi go zapnij.

Zapiąłem pas wokół jej bioder.

– Teraz włóż mi za pasek glocka tego konusa. Mam nadzieję, że gdy będzie potrzebny, będę już mogła ruszyć tymi cholernymi rękami.

– Na razie staraj się nie przewrócić.

Wsadziłem jej broń za pas. Sam wziąłem pistolet drugiego kafara. Oddział gotowy do wymarszu. Popatrzyłem na jej białe stopy. I na resztę. Cała była zbryzgana krwią. Pozlepiane posoką włosy zakrywały częściowo jej nagie piersi. Miała na sobie tylko różowe majtki i pasek swojego oprawcy z zatkniętym zań pistoletem. I dwie bezużyteczne ręce. Ja w samych gaciach, również pokryty krwią, pewnie wyglądałem tak samo mądrze. Parsknąłem śmiechem. Kwas dobijał się do mózgu coraz mocniej.

– Chcesz coś powiedzieć? – warknęła.

– Chodź. – Chwyciłem ją za bezwładną rękę.

Korytarz za drzwiami był ciemny, ale przed moimi oczami jarzył się świetlistymi pikselami. Szliśmy po omacku, trzymając się za ręce jak Jaś i Małgosia uciekający przez las, jak najdalej od chatki Baby Jagi. Zdawało mi się, że podłoga pod stopami zaczyna falować. Moje stopy zapadały się w niej, jakbym szedł po materacu wodnym albo miękkim, leśnym poszyciu. Nie wiedziałem już, kto kogo prowadzi. Na końcu korytarza były kolejne drzwi. Otworzyłem je ostrożnie, trzymając w pogotowiu broń. Nikogo. Słabo oświetlony korytarz ciągnął się i nikał gdzieś w półmroku, bardzo, bardzo daleko. Ściany pokrywało kolorowe graffiti przedstawiające jakieś stwory. Wszystko ruszało się i pulsowało, wylaziło ze ścian i wyciągało po nas chwytny łapska. A to dopiero początek. Nie mogłem tego dłużej przed nią ukrywać. Przystanąłem.



– Czekaj. Muszę ci coś powiedzieć.

Zatrzymała się zirytowana, niespokojnie się rozglądając. Jej twarz tymczasem w moich oczach przechodziła różne etapy ewolucji kubizmu.

– Zanim mnie do ciebie zabrali, kazali mi coś zrobić...

– Co? – spytała, przypatrując mi się z rosnącym niepokojem. I wtedy to zobaczyła. – Twoje źrenice. Co ci dali?

– Kwasa. Dopiero zaczął wchodzić, ale już jest bardzo grubo. Dlatego ruszaj tymi rękami, bo będą ci potrzebne. Przygotuj się na to, że zaraz mogę stać się bezużyteczny, albo wręcz utrudnić ci ucieczkę. W takim wypadku mnie zostaw.

– Tak, tak, oczywiście. Przestań pierdolić. Po prostu mnie nie zastrzel.

– Nie mogę ci tego obiecać.

– Musimy iść.

Szliśmy dalej. Co chwilę zerkała na mnie z niepokojem, a ja za wszelką cenę starałem się zachowywać normalnie i nie pokazywać, co działo się w mojej głowie i przed moimi oczami. Ale nie da się walczyć z kwasem. Po prostu się nie da. Doszliśmy do następnych drzwi, wypukłych, miękkich i pulsujących.

– Przygotuj broń – powiedziała, z trudem wyciągając zdrtwiałą dłonią swój pistolet zza pasa. Patrzyłem na nią z rozdziawioną paszczą i szeroko rozwartymi oczami. Włosy wokół jej głowy wiły się jak oślizgłe węże z zakrwawionymi łbami. Chwyciłem jednego tuż przy syczącej na mnie szkarłatnej głowie.

– Au! Zostaw. – Wyrwała mi węża. – Wyciągaj broń. Weź się w garść. Za tymi drzwiami są bardzo źli ludzie. Musimy ich pozabijać. Rozumiesz?

– Pozabijać – powtórzyłem z namysłem, zastanawiając się, co to właściwie znaczy.

Wyjęła pistolet, który schowałem w gaciach, i podała mi. Był gorący i roztopiał się w ręce. Szturchnąłem ją i pokazałem jej, jaki mam kłopot.

– Mój się roztopia.

– Nie roztopia się.

– Jest z plasteliny.

– Nie jest. Pamiętasz, jak się odbezpiecza? Czekał, zrobię to za ciebie, tylko się nie postrzel. – Zabrała mi broń. – W magazynku jest tylko dziewiętnaście naboju, więc nie bądź rozrzutny. Po kulce na typa. Tu masz celownik. Tu muszkę. Ogarniasz to?

– On i tak nie działa.

– Dobrze. Zamieńmy się.

Podawała mi swoją broń i wyrwała moją z ręki. Skąd tyle agresji?

– Ten jest OK? – spytała.

– Tak, ten jest w porządku. Nie, czekał. Też się roztopia. – Wydało mi się to bardzo zabawne. Zacząłem chichotać. Zatkła mi usta dłonią. Polizałem ją.

– Przestań! Cicho bądź. Nie śmieć się.

Przestałem się śmiać, bo trochę się jej bałem, i tych gadów, które jej pilnowały. Zauważyłem też, że cała jest w czerwone plamy.

– Czemu masz takie plamy?

– To krew.

– Nic ci nie jest?

– Nie moja, palancie. Co ja mam teraz z tobą zrobić? Przecież to potrwa jeszcze z dziesięć godzin. – W jej głosie pobrzmiwała panika, która wywołała u mnie niepokój.

– Coś jest nie tak? – spytałem.

– Nie, nie przejmuj się. – Popatrzyła niepewnie na drzwi przed nami. – Nie możemy tu tak siedzieć. Chodź, postrzelamy sobie.

– Dobra. – Oglądałem z zainteresowaniem tę rzecz, która przestała się już rozpuszczać w moich dłoniach. Za chuja nie mogłem rozgryźć, o co w niej chodzi. Co to było? Aha! Tu był celownik. I muszka. Kula w łeb i do piachu.

Wyrwała mi brutalnie zabawkę.

– Celujesz sobie w głowę – powiedziała z przerażeniem. – Zmiana planów. Idziesz za mną.

Otworzyła drzwi. W pomieszczeniu stały stare pralki i uśmiechały się do nas sympatycznie swoimi wielkimi, radosnymi gębami.

– Jakie one miłe! – ucieszyłem się.

– Tu nie ma przejścia. – Znowu miała w głosie tę panikę, która źle na mnie działała. – Trzeba było na samym początku pójść w drugą stronę. Wracamy. Mam przykre podejrzenie, że czeka nas tam niemiła niespodzianka.

Nie zrozumiałem z tego ani słowa. Mówiła w jakimś obcym języku.

– Idź za mną i rób, co mówię.

– Dobra – odparłem i zachichotałem.

– Przynajmniej ci wesoło – skwitowała z nutką zazdrości.

Znowu te korytarze. Chciałem się zatrzymać przy każdym kolorowym stworze wyłazającym ze ściany, ale mi nie pozwoliła. Bardzo serio traktowała tę zabawę. Szła przede mną, trzymając rewolwery w dziwnie powykręcanych, zwisających do ziemi rękach. Zauważyłem, że jest dosyć skąpo ubrana. Chyba nie zdawała sobie z tego sprawy, bo szła zadowolona. Patrzyłem na jej tyłeczek, jak się poruszał. Jakby żył własnym życiem. Złapałem ją za pośladek. Podskoczyła.

– Przestań! To nie jest śmieszne.

– Chciałem coś sprawdzić.

– Dobra, na pewno ma to teraz dla ciebie jakiś sens, ale nie mamy czasu.

– Nie rozumiem, co do mnie mówisz. „Myślę – jesteśmy w szczerzym zaułku. Gdzie zmarli ludzie pogubili kości...”

W ciemnym korytarzu było nieprzyjemnie. W ciemności coś się czaiło. Widziałem ich, jak stali wzdłuż obu ścian. Było ich wielu. Nie chciałem wiedzieć, kim byli. Chciałem znowu potrzymać ją za tyłek, wtedy poczułbym się bezpiecznie. Doszliśmy do następnych drzwi.

– Co to za hałas? – spytałem.

– Wiatr pod drzwiami.

Skąd znała odzew? Nie mogła wiedzieć, nie mogła. Chwyciłem ją za ramię i nachyliłem się do jej ucha:

– „Co to za hałas znowu? Co ten wiatr wyrabia?”

– Nic, zamknij się – odpowiedziała szeptem, wyszarpując ramię.

– „O czym ty myślisz? Co ty myślisz? Co? Ja nigdy nie wiem, o czym myślisz” – powtarzałem cudze słowa, bo brakowało mi własnych. – „Ty nic nie wiesz? Nic nie widzisz? Nie pamiętasz. Nic?”

– Pamiętam.

– Mówisz językami. Cały czas mnie okłamywałaś. Znasz T.S. Elliota. Tennysona też musiałaś znać. Kogo jeszcze? Ezra Pound! Znasz? Joyce! Znasz *Finneganów tren*?

– Kurwa, zamknij się. Ty masz chyba w głowie *Finneganów tren*! Weź się w garść, do kurwy nędzy!

Zaraz za progiem dostała pięścią w twarz. Zatoczyła się, obróciła wokół własnej osi, odzyskując równowagę. Rzuciła się do przodu i zaczęła strzelać do hordy potworów. Nie pozwolili jej tego robić zbyt długo. Udało jej się położyć zaledwie dwóch, gdy wielki mięsny stwór złapał ją wpół, a drugi wyrwał jej obie zabawki. „Dziewczynę wśród przekleństw gwałcili”, przypomniałem sobie. Któryś z małpoludów chwycił ją za włosy i rzucił nią o ścianę jak szmacianą lalką. Osunęła się bezwładnie na ziemię. Dziwoląg nie powinien był tego robić. To mnie zdenerwowało. Uderzyłem go z całej siły w brzuch wielki jak balon, potem w masywną szczękę. Upadł, ale zbliżali się następni. Tyle że nie było tak jak w filmie. Nie robili tego po kolei. Żaden nie czekał ze swoimi ciosami, aż drugi skończy. Runęli na mnie wszyscy naraz jak lawina mięsa. Zacząłem tracić grunt. Usłyszałem jej krzyk i zobaczyłem, że rzuciła się jednemu ze stworów na plecy i wbiła mu palce w oczodoły. Z prawego oka trysnęła krew. Monstrum usiłowało ją zrzucić z siebie, wyło z bólu i miotało się jak wściekły szerszeń.

– Ale sucz żywotna! – Ktoś się zaśmiał.

– Kończcie to – usłyszałem głos Gabriela.

Zobaczyłem w oddali zamazany znajomy kontur. Coraz bliżej, coraz wyraźniej. To Pan Dobra Nutka podchodził tanecznym krokiem z bejsbolem w ręku. Był tuż za nią. Popatrzył mi prosto w oczy. Potem wziął zamach i przyłożył jej kijem w plecy. Puściła kafara i upadła na ziemię, gdzie zaczęła się wić, usiłując złapać oddech. Nie wiem, kiedy to się stało, bo zapomniałem o bólu i o tym, co ze mną robili, ale uświadomiłem sobie, że też leżę na ziemi, przygwożdżony skłębioną masą oślizgłych ciał. A więc Sophie nie było. Przegraliśmy. Kakałko stanął nad nią i odwrócił ją na plecy. Leżała z otwartymi oczami, z trudem łapiąc oddech. Włosy rozrzucone wokół jej głowy wyglądały jak aureola. Ciało

miała nagie, zakrwawione i brudne. Chyba umierała. Kakałko złapał ją za włosy i uniósł jej głowę. W drugiej ręce błysnął nóż.

– A teraz popatrz – powiedział do mnie i nagle wrzasnął: – Odłóż tego bejsbola, ciulu! Chcę, żeby patrzył.

Ale wtedy zapadła ciemność.

„Pleased to meet you  
Hope you guessed my name, oh yeah  
But what's confusing you  
Is just the nature of my game”.

*Sympathy for the devil*  
THE ROLLING STONES  
(SŁOWA: MICK JAGGER, KEITH RICHARDS)

Stałem przed willą. Kadr był taki sam jak za każdym razem, dzięki temu zauważyłem wszystkie różnice i szczegóły, sugerujące upływ lat. Czas nie obszedł się łaskawie z tym miejscem. A może źle to zapamiętałem. Byłem rozczarowany jak człowiek, który powrócił do mitycznej krainy z dziecięcych lat i naraz widzi, że nic nie jest takie, jak zapamiętał. Wszystko jest boleśnie zwykłe. A on jest obcy, jakby nigdy go tu nie było. Ze wstydem musi pogodzić się z tym, że nic tu na niego nie czekało przez te wszystkie lata.

Spróbowałem wejść do willi, ale tym razem była zamknięta, a ja instynktownie czułem, że nikogo w niej nie ma. Nikt już tu nie mieszkał. Obszedłem dom dookoła. Po drugiej stronie nie było oceanu. Był tylko pusty basen. Na jego brudnym, błotnistym dnie, wśród zeschniętych liści siedział inny czarny kot i miauczał. W szarej kałuży zobaczyłem swoją twarz, a na niej znaki sugerujące, że upływ czasu dotknął również mnie. I dla mnie te lata nie były łaskawe. Byłem tak samo rozczarowujący jak ten dom. Przebyłem tysiące kilometrów na darmo. Spóźniłem się wiele lat.

Kot przegonił łapą moje oblicze.

Obudziłem się. Leżałem na starej rozkładanej wersalce. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani która jest godzina. Nie czułem już działania kwasa, więc musiało minąć sporo czasu. Całe ciało bolało mnie tak, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Byłem sam w jakimś pustym mieszkaniu, którego okna bardzo dokładnie zabito deskami. Chyba wciąż przebywałem w tym samym Betonowym Pałacu.

Znowu zasnąłem. Śniło mi się, że ktoś robi mi zastrzyk, a potem zwinne, wprawne dłonie badają całe moje ciało, kawałek po kawałku. Macają żebra i dokładnie sprawdzają każdy centymetr twarzy.

– Miał szczęście, że tak szybko został znokautowany. Inaczej pewnie już by nie żył. Nie ma złamań.

– Nad miškami nie da się zapanować, gdy są ukirane i poczują szal bitewny. Masz jeszcze sprawdzić, czy da się uratować oko Wadima.

– Najpierw pójdę sprawdzić, co z dziewczyną. Jej stan jest o wiele gorszy. Wyglądała jak połamana kukiełka.

– Zakontaktowała już?

– Nie. Jeśli odzyska przytomność, to się okaże, czy ten psychol nie złamał jej kręgosłupa.

– Kurwa, ciszej. Usłyszają cię.

– Nie mam siły. Nie mogę. Mam dosyć. Rozrywają. Na strzępy.

– Ej, kurna, Madzia, bierz się do kupy. No już, już. Madzia.

– Już dobrze, przepraszam, Abdul. Widziałam Judyma. Boję się.

– Rób swoje i tyła. Kurcza, nie becz, Madzia. Nie wolno.

Obudził mnie dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Otworzyłem oczy. Nadal leżałem na wersalce w opuszczonym mieszkaniu. Trzasnęły wejściowe drzwi i usłyszałem głosy w przedpokoju. Do pokoju weszło dwóch lekko poobijanych typów. Uśmiechali się.

– Czas na kąpiel, synku – powiedział pierwszy.

– Gdzie ona jest? – spytałem.

– Czas na kąpiel – powtórzył drugi.

Poszedłem za nimi do jakiejś obskurnej zbiorowej więziennej łazienki z kilkoma prysznicami bez kabin. Brzydkie bordowe kafelki na krzywej

podłódze były popękane, brudne i mokre. Ze zgniłozółtych ścian spadały wielkie płaty starej farby i tynku. Większość sufitu pokrywał rozległy, zielonkawy, puchaty grzyb.

– Rozbieraj się – usłyszałem.

Wykonałem polecenie w nadziei, że może w końcu się czegoś dowiem. Zarechotali, gdy stanąłem nagi, a potem jeden z nich chwycił szlauch i skierował na moją twarz strumień lodowatej wody. Na moment straciłem oddech. Zwiększyli ciśnienie i sadysta opuścił szlauch na wysokość mojego krocza. Ból był tak obezwładniający, jakby ktoś mi podłączył jaja do prądu. Zamroczony, zwinąłem się na popękanych płytkach, osłaniając jaja i kutasa przed kolejnym atakiem. Strasznie ich to bawiło. Zanosili się niepohamowanym śmiechem. Wyrwali sobie wąż, zatykali otwór palcami i odtykali, potrząsali szlauchem, jakby to była butelka dom pérignon albo cristala. Chciałem ich zabić. Ale w tym momencie całkiem niedaleko usłyszałem wrzask i pisk. Bardzo znajomy. A więc żyła. Moi kąpielowi naraz zmarkotnieli. Strumień wody też jakby osłabł.

– My to, kurwa, zawsze mamy pecha! Te chuje dostały facetkę do umycia, a my musimy patrzeć, jak temu ciulowi z zimna kurczy się faja. Co za los!

A mnie w tym momencie nie obchodziło nic poza tym, że najwyraźniej to jeszcze nie był finał. Przypomniałem sobie o przyjęciu, które planował Gabriel. A może już się odbyło?

Po kąpeli zaprowadzili mnie gołego z powrotem do pokoju. Na wersalce leżał ohydny pastelowy gajer. Gacie białe, marynara seledynowa, a do tego błękitna koszula. I jakieś pedalskie beżowe kierpce, których własnemu dziadkowi nie śmiałybym proponować. Miami Vice z wiejskiego bazarku.

– Ubierz się, fujaro.

No to się ubrałem. To przebranie było szkaradne, gorsze niż to zdjęte z psa. Uwłaczało mi to i pewnie miało uwłaczać, ale zmilczałem.

– Kurwa, jaki Alvaro. – Jeden z dręczycieli parsknął śmiechem. – Plantator kokainy spod Radomia.

– Alvaro, stróż w Boże Ciało. No to idziemy do bufetu.

Wyszliśmy na korytarz. Z mieszkania obok też wyszło dwóch kafarów, a wraz z nimi ona, wściekła, z mokrymi, splątanymi włosami, za to



w butach na obcasach i czerwonej sukience z głębokim dekoltem na plecach. Zauważyłem, że przynajmniej nie ma nowych śladów pobicia. Tylko jej plecy przecinała gruba i nabrzmiąca szkarłatna pręga, ślad po uderzeniu bejsbolem. Uśmiechnęła się blado. Jeden z jej strażników podszedł do mnie. Rozpoznałem Dżordasza, tę cyrkową małpę napędzaną eliksirem Judyma, z którą się stałem pod blokiem tamtego dnia, gdy zginął Kojak. Dżordasz podstawił mi pod nos swój gruby, włochaty palec z obgryzionym brudnym paznokciem.

– Wiesz, gdzie go dopiero co ładowałem, ciotofrajerze? Trochę zabawiliśmy się z twoją panną...

Odwróciłem się i przyjebałem mu w ryj. Zatoczył się na ścianę. Ona złapała mnie za rękę i zagroziła drogę. Trzech pozostałych otoczyło nas.

– Nie. – Zgromiła mnie wzrokiem. – On ściemnia. Nikt mi nic nie zrobił.

– Ruszajcie się, nie róbcie zgromadzenia, bo szefu z bankietem czeka – odezwał się do nas jeden z kafarów, chyba ktoś w rodzaju przywódcy tego małego oddziału. – A ty, Dżordasz, idź se kufę otrzyj, bałwanie, bo ci jucha aż na śliniak sikła.

– Jebany cwel! – piszczał Dżordasz.

– Idźże, kurwo głupia! – ryknął na niego dowódca i go odepchnął. – Po coś mu takie bajki z dupy wyssane podkręcał? Nie dziwota, żeś pucki zebrał. Mówił Opiekun, zostawić ich w spokoju, nie gwałcić, świnki nie ruchać, nie macać, nie lizać, nic nie wtykać w nic.

Któryś z nich nas szturchnął i poszliśmy dalej, a przywódca zbliżył do mnie swoją niekształną głowę i powiedział tonem, który chyba miał być pocieszający:

– Nie bój nic, Profesorze, nie ruszylimy twojej foczki. A tego palucha to se Dżordasz w dupsko wsadzał. Chwytasz, jaki amator czekolady się znalazł?

– Świetnie, dzięki za cynk. Dobrze, że nie wachałem w takim razie.

Karki ryknęły śmiechem, waląc się po klatkach.

Pojechaliśmy windą w górę. Weszliśmy do jasnego loftu, w którym byłem już dwa razy. Teraz na skórzanej kanapie siedziało tylko dwóch osiłków. Przyglądali się nam z zainteresowaniem. Małpia eskorta poprowadziła nas na balkon. Wskazali szerokie metalowe schody

prowadzące na dach. Wszedłem pierwszy. Ona tuż za mną. Stanęliśmy na dachu Betonowego Pałacu.

Byliśmy na przyjęciu.

W ostrych promieniach popołudniowego słońca, na tle niebieskiego bezchmurnego nieba zgromadzeni tam wyglądali, jakby pozwolali do zdjęcia, albo nawet do obrazu jakiegoś renesansowego malarza. Siedzieli przy długim stole nakrytym białym obrusem, który łopotał na wietrze. Stół był bogato zastawiony porcelanowymi nakryciami, kryształowymi kieliszkami, mięsivem i owocami ułożonymi w kunsztowne kompozycje. W wiadrach z lodem chłodziły się szampany, wódka i butelki białego wina. Po drugiej stronie stołu, w samym środku, siedział Gabriel w marynarce, koszuli i krawacie. Ubranie raziło oczy swoją perfekcyjną bielą. Po jego lewej stronie zobaczyłem Sophie w jasnej sukience. Była tak samo piękna jak na zdjęciu, ale równocześnie tak sztywna i bez wyrazu, jakby ją ekshumowali, by pozowała z resztą dworu do tego zbiorowego portretu. Po prawej stronie Opiekuna garbił się szarawy Pan Dobra Nutka. Oślizgły jak Gollum, zamarł nad krojonym befsztykiem, wlepiając w nas swoje gadzie ślepie. Tyłem do nas siedział Kakałko. Gdy weszliśmy na dach, odwrócił się i pomachał nam. Miał na sobie błyszczący dres w kolorze majtkowego różu.

A na samym końcu stołu, na krześle odsuniętym nieco dalej od reszty, spoczywał Kojak! Przezroczyście jak duch, słaby i chory, ale żywy.

– Niespodzianka! – wrzasnął Kakałko, wskazując Kojaka. – Cud!

Patrzyliśmy na siebie z Kojakiem. Jego szkliste spojrzenie nie wyrażało radości, tylko jakieś nieludzkie wręcz cierpienie. Powinienem poczuć ulgę, ale byłem zbyt przytłoczony i zmęczony. Nadal miał na sobie to samo ubranie, w którym widziałem go po raz ostatni. Podkoszulek i spodnie sztywne od krwi. Był nieogolony i brudny. Z bladej, zielonkawej twarzy spływał mu strugami pot. Ciało trzęsło się jak w febrze. Te bydlaki trzymały go w tym stanie od pięciu dni. Musiał dostać zakażenia. Zacisnąłem zęby, żeby nie zacząć wrzeszczeć.

– Musisz mi wybaczyć, Profesorze, tę małą maskaradę – wyjaśnił łagodnie Opiekun – ale za bardzo się na powrót zakumplowaliście. Kojak odrywał cię od obowiązków chyba w równym stopniu co twoja siostra!

– Pedaly! – ryknął Kakałko.

– Najpierw rzeczywiście chcieliśmy go zabić, aby cię nieco rozruszać, ale to nie byłoby dobre, bo Kojak ma na Osiedlu matkę, kumpli i jakieś tam jednak poważanie. Co innego ten matoł Kalafior, który był sam jeden na świecie, jak ta sierota obrzygana.

– Po co go zabiliście?

– Oj, no po co? – Gabriel rozłożył ręce. – Tak cię wciągnęło przygotowane przez nas przedstawienie, że nawet nie sprawdziłeś, czy twój przyjaciel rzeczywiście wyzionął ducha. Kakałko wie, jak cię, by unieruchomić, ale nie zabić.

– Ociupineczkę jednak za mocno go pochlastałem – przyznał Kakałko. – No i trochu mu się tam jadzi, dlatego taki markotny siedzi, bez humoru.

– Widzisz, Profesorze, że ja ci naprawdę źle nie życzę. Nie odebrałem ci niczego, co ma dla ciebie jakąś wartość. Przynajmniej na razie. Czy ty to widzisz?

– Widzę – powiedziałem niechętnie.

W pewnym sensie było tak, jak mówił. Zastanawiało mnie jednak, czemu miał służyć ten gest łaski. W innych przypadkach nie okazywał litości. Może bardziej niż samo zabijanie bawiła go gra w kotka i myszkę. Albo planował dokonanie na nas jakiegoś bardziej spektakularnego mordy.

– Dobra, zabierzcie go już, bo odbiera apetyt. – Opiekun skinął na dwóch ludzi, którzy chwycili Kojaka pod ramiona i unieśli. Był tak słaby, że nie mógł ustać sam na nogach.

– Ale cuchnie – oznajmił jeden z podtrzymujących. – Jak trup w oborze.

– Zaprowadźcie go do gabinetu. Myślę, że teraz Magda może się już nim zająć. Mam nadzieję, że nie jest za późno. Niech ktoś jej pomoże go umyć. Może Abdul? Tak, Abdul chętnie Madzi pomoże. Niech ktoś go zmieni na warcie.

Gdy wyprowadzili półżywego biedaka, ochłonąłem i mogłem rozejrzeć się uważniej wokół. Pozostałe miejsca przy stole, poza dwoma pustymi krzesłami obok Kakałka, zajmowały zbiry Gabriela. Miny chłopiska miały dosyć niepewne. Może dlatego, że kazano im się ubrać w jakieś jasne ciuchy, aby się ładnie komponowali z resztą towarzystwa. A może dlatego, że pierwszy raz w życiu ujrzeli obok swoich talerzy noże i widelce.

Dopiero po chwili zauważyłem ciało Judyma, porzucone tuż przy murze ogradzającym dach. Leżało w niedbałej pozie z rozrzuconymi rękami, w kałuży krwi, która już zdążyła wsiąknąć w beton. Czułem, że Opiekun mi się przygląda. Przeniosłem spojrzenie na niego. Miałem rację, obserwował mnie, pozwalał się rozeznać, nie ponaglał. Czekał, aż zarejestruję każdy szczegół. Uśmiechał się zachęcająco i tajemniczo, jakbyśmy bawili się w ciepło–zimno. Było ciepło. Przesunął się odrobinę w bok, jak dorosły ukradkiem podpowiadający dziecku podczas nowej gry. Ciepło, ciepło. Za nim. Spojrzałem tam. Gorąco.

Są obrazy, które trudno zaakceptować. Może dlatego dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że patrzę na coś znacznie gorszego niż trup doktora. Za Gabrielem, w pewnej odległości od stołu klęczał Mentor, pilnowany przez dwóch ludzi. Głowę miał opuszczoną. Był rozebrany od pasa w górę. Z jego zapadniętej, starczej klatki ktoś zdarł wielki płat skóry. Mentor miał rację. Już mnie nie obchodziło, kim był i co zrobił. Po prostu żałowałem, że nie zastrzeliłem go wtedy, gdy mnie o to prosił.

– Siadajcie, siadajcie, jest dla was miejsce – odezwał się Opiekun, przyjaznym gestem zachęcając nas, abyśmy podeszli.

Któryś z chamów pchnął nas w kierunku stołu. Usiedliśmy obok Kakałka, naprzeciwko Gabriela.

– Jak widzisz, Profesorze, odzyskałem Sophie. – Opiekun wytwornym gestem wskazał żonę. – Caryca nie żyje. Boyer nie żyje. Ich zbir nie żyje. Oszczędziłem jednak Angie i jej dziecko. Jestem ci bardzo wdzięczny. W dowód tej wdzięczności chciałem was tu dziś ugościć najlepiej, jak potrafię.

– Ma gest, nie? – powiedział Kakałko z zachwytem.

Pan Dobra Nutka tylko prychnął niezadowolony.

– Nutka trochę się boczy – wyjaśnił Opiekun. – Wiązał duże nadzieje z tą tu ślicznotką, która ci towarzyszy. Nawet ukaranie Judyma go nie rozchmurzyło. Ale może jak skończy z Mentorem, poczuje się nieco lepiej. Znowu będzie Panem Dobrą Nutką, jakiego wszyscy znamy i kochamy.

Teraz już naprawdę nie byłem pewien, czy aby nadal nie jestem naćpany. Nutka ze złością znęcał się nad swoim kawałkiem mięsa, a Opiekun głądził dalej.

– Kochani, moja propozycja jest taka. Pogódźmy się. Przyznajmy otwarcie, że z jednej i drugiej strony padły krzywdzące słowa. Wszyscy popełniliśmy czyny, które nie powinny się zdarzyć. Ja trochę przesadziłem, każąc moim urwisom podziurawić twojego najlepszego przyjaciela Kojaka, drogi Profesorze. A Nutka nie powinien być tak mocno bić twojej siostry kijem bejsbolowym ani zdejmować z niej publicznie ubrania.

Nutka znowu zaczął coś burczeć pod nosem. Coś o tym bejsbolu i gdzie by go wsadził. Gabriel nie zwracał na niego uwagi, tylko kontynuował.

– Przyznasz jednak, Profesorze, że i ty nie zachowałeś się w porządku. Byłeś leniwy, gnuśny i opieszwały. Ciągłe coś kombinowałeś na boku. Jak nie flircik z siostrą, to uwodzenie Kojaka. Do tego zabiliście dwóch moich ludzi, którzy wam nic nie zawinili. Jednak koniec końców to dzięki tobie odzyskałem moją kochaną Sophie. – Tu uniósł jej dłoń do ust i ucałował. Gdy ją puścił, upadła ciężko na stół. Sophie patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Trudno było odgadnąć, co się dzieje w jej głowie. – Dzięki tobie jest też dziś z nami Mentor, w zupełnie nowej roli. Tak więc nie przedłużając już, wybaczam wam, a i wy mi wybaczcie i źle o mnie nie myślcie.

Kakałko zaczął entuzjastycznie bić brawo, ale Opiekun pokazał mu dłoń, aby przestał.

– Kakałko, nie wygłupiaj się. Nie ma potrzeby. A teraz proszę, częstujcie się, jedzcie, moi kochani. To moje popisowe steki. Sam je dzisiaj grillowałem. Wy też wsuwajcie, chłopcy. Nie tak, Marcin, matołku. Nie łyżką. Nożem i widelcem.

Spojrzała na mnie niepewnie. Założę się, że myślała o tym samym co ja: z jakiego mięsa są te steki, które piętczą się na półmisku przed nami? Wszyscy oprócz nas zajęli się żarciem.

– Kurewsko dobre mięso – mlasnął jeden z gnomów. – Soczyste skurwysyny!

– Szefie, oni nie jedzą – poskarżył Kakałko, wskazując nas palcem.

– Co się stało? Czemu nie jecie? – zaniepokoił się Opiekun.

– Szefie, hi, hi, hi, oni chyba się boją, że coś z tym mięsem jest nie tak.

– Mięsko jest najwyższego gatunku i bardzo świeżutkie – zachęcał Gabriel.

To „świeżutkie” zabrzmiało jakoś wyjątkowo oblesnie w jego ustach. A „mięsko” – wręcz obscenicznie.

– Szefuńciu, oni chyba myślą, że to jest ludzina.

– Ludzina?

– Ludzina, szefie. Mięso z ludzi. Ludzina. Myślą, że może to jest na przykład Kalafior!

– Kalafior? Przecież kalafior to nie mięso, tylko niesmaczne warzywo. – Nagle Opiekun klepnął się w czoło. – A, ten Kalafior! Ale biednego Kalafiora nie ma z nami już od pięciu dni! Byłby do tego czasu bardzo nieświeży. A tu, patrzcie, kruchutkie i soczyste. Mniem, mniem – zachęcał Opiekun.

Zauważyłem, że ona gapi się na Opiekuna z niedowierzaniem tak samo jak ja. Kakałko nagle ryknął do nas:

– Pojebało kakało?! Żartujemy sobie z was, smutasy! Myślicie, że myjemy ludzi? Wy serio myślicie, że ja albo Opiekun czy Nutka moglibyśmy zjeść człowieka?

– Szczerze mówiąc, tak – odezwałem się w końcu, chociaż pewnie powinienem milczeć. – Tak właśnie myślę.

Opiekun i Kakałko zaczęli się śmiać. Spojrzałem na nią pytająco, a ona bezradnie wzruszyła ramionami. Ta błazenada nie mogła się skończyć niczym dobrym. To była cisza przed rzezią. Nagle Nutka zerwał się od stołu, podszedł szybko do Mentora i zaczął ciąć jego klatkę piersiową swoim nożem do steków. Starzec zawył przeraźliwie. Śmiech zamarł. Opiekun odwrócił się, by popatrzeć, co tam robi Nutka. A Nutka ciął z pasją. Mentor wrzeszczał jak potępieniec.

– Uciszcie go – zażądał Gabriel.

– Dosyć! – Huknąłem, waląc pięścią w stół. – Wystarczy.

Położyła swoją dłoń na mojej zaciśniętej pięści. Jej skóra była ciepła, sucha i przyjemna. Ale jej gest mnie zirytował. Poczulem się jak dziecko, któremu rodzic daje delikatny sygnał, że zachowuje się nieodpowiednio na eleganckim przyjęciu. Chciałem, żeby mnie poparła, żeby też coś powiedziała, ale nie pisnęła ani słowa. Tylko jej dłoń trzymała moją coraz mocniej. Odwróciłem się do niej i napotkałem twarde spojrzenie. Przymknęła na moment powieki i minimalnie pokręciła głową. Wtedy

pojąłem, że w przeciwieństwie do mnie ona dawno zrozumiała, że przegraliśmy, ale mimo to gra jakimś cudem toczy się dalej. Pewnie uważała, że jedyne, co możemy teraz zrobić, to spróbować uratować własną skórę. Była gotowa pertraktować z tymi ludźmi, którzy bez wątpienia byli kompletnymi szaleńcami.

– Każ mu przestać – zwróciłem się do rozpartego swobodnie Opiekuna.

Gabriel spojrział na mnie zaskoczony.

– Jesteś pewien, głupku, że nie wolisz zamknąć gęby? – wycodził Pan Dobra Nutka, odwracając się. – Bierz przykład ze zdziry, bo ma więcej rozumu niż ty.

– On jedynie uspokaja swoje sumienie – wyjaśnił Kakałko. Odkroił kawałek steku i włożył go sobie do ust. Przeżuwając, mówił dalej, wycelowawszy we mnie widelec. – Bo jest w tym momencie bezradnym misiem.

– Nie gadaj z pełną gębą – rzuciłem do Kakałka i ponownie zwróciłem się do Opiekuna, który przypatrywał mi się teraz znowu z tym swoim nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Złapał go pan, on jest chory, niech go pan po prostu każe zabić.

– Chłopcze – powiedział w końcu Gabriel łagodnie – nawet jakbym chciał, to mam związane ręce. Mentor skalał własne gniazdo. Musi ponieść karę. Czy wiesz, co by się stało, jakby rozeszła się wieść o tym, że ten dziadyga nie zapłacił za swoje czyny?

– To pan ustala zasady i pan może je zmieniać.

Poczułem, że jeszcze kilka moich słów i ona zmiążdży mi rękę. Opiekun wpatrywał się we mnie. W końcu powiedział wolno i dobitnie:

– Tak, mogę. Tyle że nie chcę. Jeszcze tego nie pojąłeś?

– No, nie pojął – zawtórował Kakałko, kręcąc głową nad swoim stekiem.

– Dobrze, powiem ci, synu, aby nie było niedomówień. Żebyś w końcu zrozumiał, że nic nie wskórasz, i nareszcie się zamknął. I przestał zachowywać jak impertynencki chłoptaş. – Gabriel Lezuj pochylił się do przodu i popatrzył mi w oczy. – Wiesz, dlaczego to robię? Nie wiesz. No więc proszę, zapytaj mnie.

Wcale nie miałem ochoty grać w tę jego grę i powtarzać teksty, które dla mnie przygotował. Ale wszyscy czekali w napięciu, gapiąc się na mnie.

I nie wątpiłem, że lepiej będzie zrobić to, czego on oczekuje. W końcu więc powiedziałem cicho, z zaciśniętą szczęką:

– Dlaczego pan to robi?

– Bo mogę – powiedział stanowczo, z lekkim uśmiechem.

Na tarasie zapadła cisza. Było słycać tylko szum wiatru i zgrzytanie noża o talerz, gdy Kakałko odkrawał kolejny kawałek steku. Podniósł wzrok i rozejrzał się.

– Ups. – Uniósł ramiona do góry i zachichotał. Delikatnie odłożył sztucce i położył sobie palec na ustach. – Ciii.

Teraz Opiekun odchylił się i znowu rozparł wygodnie na krześle. Przeniósł wzrok ze mnie na nią.

– I powiedz mi, dlaczego nie miałbym teraz kazać któremuś z chłopaków, żeby zrzucił twoją siostrę z dachu?

– Może dlatego, że Goldenthal wybije was co do jednego, jeśli jej się coś stanie.

– Goldenthal to niezły zawodnik – zgodził się Opiekun. – Pokazał, do czego jest zdolny. Nie wygrasz z nim, Profesorze.

– I chuj. – Kakałko machnął ręką. – Ja mówię, zrzucić dziwkę z dachu! Zrzu-cić dziwkę! Zrzu-cić dziwkę! Z da-chu! Z da-chuj! – Rzucił w nią winogronem. Trafił za dekolt czerwonej sukienki.

– A nie lepiej ją wcześniej przyszykować nieco do lotu? – spytał z nadzieją Nutka i powrócił do stołu, obracając między palcami zakrwawiony nóż.

– Mój narzeczony ma pieniądze, dużo pieniędzy – odezwała się w końcu spokojnym głosem. – Zapłaci wam za mnie i za Profesora.

– Jesteś pewna, gołabczko, że wykupi również jego, a nie skorzysta z kolejnej okazji, by się go w końcu raz na zawsze pozbyć? – spytał łagodnie Opiekun.

– To chyba nie wasz problem. A ja zaryzykuję.

– Rozsądna z ciebie dziewczyna. Ale nie będzie żadnych negocjacji. Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Jednak spodobałaś mi się. Dlatego spełnię twoje jedno życzenie. Tylko niech to nie będzie żadne „puść nas wolno”



albo „daruj Mentorowi życie”, bo uznaję, że się pomyliłem co do ciebie, i wieczór okaże się bardzo nieudany.

– Zabij go szybko! – powiedziała, wskazując Mentora.

Gabriel wypuścił wolno powietrze. Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego rozczarowania.

– Mogłem się spodziewać, że nie będzie to nic oryginalnego. Ale słowo się rzekło. Ja dotrzymuję słowa i chcę, abyś to zapamiętała.

Ponownie uniósł do ust dłoń żony i pocałował. Nie puszczając jej, zwrócił się do Pana Dobrej Nutki.

– Daj mi swój nóż.

Nutka przestał się bawić i podał go Opiekunowi. Ten wcisnął nóż w dłoń żony.

– Masz, kochanie. Skończ to.

– Oho, ho! – wykrzyknął Kakałko, podskakując na krześle z uciechy. – Tego się nie spodziewałem. To chyba nie będzie czysta robota.

Pan Dobra Nutka oblizwał wargi. Oczy błyszczały mu z podniecenia. Opiekun pomógł Sophie wstać, a ona na drżących nogach szła w kierunku swojego klęczącego na ziemi, udręczonego ojca. Nóż wysunął się z jej dłoni i z brzękiem upadł na beton. Dziewczyna podniosła go, trzęsąc się coraz bardziej.

– Przecież ona sobie nie poradzi – powiedziałem.

– Dawaj, Sophie – zachęcał Kakałko, klaszcząc. – Skończ męczarnię dziada.

– Zosiu, zrób to – wybełkotał Mentor. – Błagam.

Odchylił głowę do tyłu i zakrwawioną dłonią wskazał punkt tuż pod uchem.

– Tu. Zrób to, nie bój się.

Sophie podeszła i zbliżyła nóż do miejsca, które wskazał jej ojciec.

– Wyżej! – krzyknął Nutka.

– Nie podpowiadaj – skarcił go Kakałko.

Ręka Sophie drżała i była tak niepewna, że przy pierwszej próbie ponownie upuściła nóż. Przy drugiej wykonała lekkie nacięcie, wzdrygając

się, gdy nóż przebił pierwszą warstwę skóry. Mentor zawył jak zwierzę i gwałtownie zapłakał.

– To może potrwać – skwitował Kakałko. Odsunął talerz z niedojedzonym stekiem, rozparł się na krześle i sięgnął po papierosy. Zapalił.

Rzuciłem spojrzenie na rozchyłoną kieszeń bluzy Kakałka. W środku coś błysnęło. Kieszeń była wypchana, jej zawartość wyraźnie ciążyła, naciągając materiał. Kakałko był praworęczny. To musiał być jego kieszonkowy smith & wesson. Wysunąłem swoją rękę z jej dłoni. Wyszarpnąłem broń z kieszeni pedała i zerwałem się. Przerzuciłem rewolwer do prawej dłoni. Odbezpieczyłem i oddałem jeden strzał. Pośrodku czoła Mentora ziała teraz dziura, przez którą na wylot widać było obryzgany krwią komin.

Przez dwie czy trzy sekundy nie działo się nic. Potem ciało Mentora bezwładnie runęło na bok. Sophie upadła zemdlona, upuszczając nóż. Troglodyta, który stał za Mentorem, oberwał chyba przy okazji, bo ścisnął sobie teraz potężne łapsko drugim, wielkim jak bochen. Ryczał przy tym jak ranny tur. Kakałko bił brawo i śmiał się do rozpuku. Nutka znowu zrobił się smutny. Przewróciłem krzesło i cofnąłem się w kierunku schodów prowadzących z dachu w dół na taras. Dłoń, w której trzymałem rewolwer, miałem nadal wyciągniętą przed siebie. Teraz skierowałem wylot lufy w Opiekuna, mierząc mu w głowę. On jednak tylko się uśmiechnął i powiedział:

– To był efektowny strzał. Ale to, co robisz teraz, nie jest rozsądne. Kakałko, ile zostało naboji?

– Dwa – oznajmił Kakałko, pokazując to na palcach. Na kciuku i palcu wskazującym, który wycelował we mnie, a potem w nią. – Dwa. Bach! Bach!

– Dwa – powtórzył Gabriel. – Jeśli więc nie planujesz zastrzelić swojej siostry, a następnie siebie, to lepiej będzie oddać broń właścicielowi.

Wahałem się. W końcu odezwałem się dosyć swobodnie, nawet z lekkim uśmiechem:

– Stary miał być zabity szybko – wyjaśniłem. – A to nie odbyłoby się szybko.

– Rozumiem. Mój błąd. Mój błąd – przyznał Gabriel. – Obietnic należy dotrzymywać. Postąpiłeś słusznie.

Wolno opuściłem rękę. Wróciłem do stołu i położyłem na nim rewolwer. Kusilo mnie, aby zastrzelić chociaż Opiekuna i Nutkę. Kakałka udusiłbym własnymi rękami, chociaż pewnie po odpaleniu Gabriela pożyłbym jeszcze jakieś dwie sekundy, a ona pofrunęłaby z dachu. Jeśli miałaby szczęście.

– Idźcie już – powiedział nagle Opiekun zmęczonym głosem.

– Jak to?! – wrzasnął Nutka, podrywając się. – Chce ich pan puścić?!

– Ucisz się – powiedział spokojnie Opiekun i skrzywił się, jakby wrzask mu nagle przeszkadzał i w ogóle cała impreza strasznie go zmęczyła i znudziła.

– Ale czemu? – wyjąkał Nutka. Miał głos dziecka, któremu rodzice znowu oznajmili, że zabawa skończona i pora lulu.

– Czemu, czemu!?! – zirytował się Gabriel. – Profesor ostatecznie wykonał swoją pracę. Nie był to może jakiś specjalnie powalający popis umiejętności śledczych i błyskotliwej dedukcji, ale liczą się efekty.

Czy to jakaś nowa gra? Pułapka? Zabawa?

– Co tak siedzicie? Możecie iść – powiedział Opiekun. – A ty, Nutka, odprowadź ich.

Szybko wstałem, na wypadek gdyby zmienił zdanie, ona zrobiła to samo. Puściłem ją przodem i ruszyliśmy w kierunku zejścia z dachu. Nasz pochód zamykał wciąż obrażony Pan Dobra Nutka.

Opuściliśmy dach. Przeszliśmy przez marmurową salę. Promienie zachodzącego słońca barwiły błyszczącą podłogę różnymi odcieniami czerwieni. Wyszliśmy na pusty i cichy korytarz. Winda już na nas czekała.

– I co, warto było? – spytał psychol, gdy wsiedliśmy. – Hej, ciulu, pytam cię o coś. Warto było wracać?

Pytanie było tak głupie, że nie chciało mi się na nie odpowiadać.

– Myślisz, że jesteś bezpieczny, bo pan Gabriel cię puścił? W każdej chwili może zmienić zdanie.

Korciło mnie, aby rozwalić mu łeb. By tłuc nim o ścianę windy, aż zostanie z niego krwawa miazga. Wiedziałem, że ona myśli o tym samym.

Ale winda już się zatrzymała i stojący za drzwiami kolejny koks otworzył je na oścież. W jednej dłoni trzymał glocka siedemnastkę, a w drugiej telefon.

– Słyszałem, że koniec fajerwerków. – Wskazał bronią na trzymanego przez siebie iPhone'a, który w jego monstrualnej łapie wyglądał jak zabaweczka z kiosku. – Szefu kazał mi sprawdzić, czy cię aby nie zaciukali podczas jazdy.

– Chyba w końcu pojęli, że to nie ich plac zabaw – skomentował Nutka.

Oprych uśmiechnął się i schował glocka za pasek gaci, a komórkę podniósł do ucha.

– Nutka w jednym kawałku, szefie. Co mam robić?

Schował iPhone'a do kieszeni.

– Szefu każe ci wracać na górę – powiedział do Nutki. – Podobno trzeba posprzątać.

Nutka obliznął się ze smakiem. Kochał każdy aspekt swojej roboty. Wszedł do windy i odjechał bez pożegnania. Osilek wskazał nam drzwi wejściowe i puścił nas przodem. Na zewnątrz było parno i duszno. Tam, na szczycie wieżowca, nie czuło się, jak gęste i lepkie jest wiosenne powietrze. Teraz wieczorny upał, przepojony wonią przekwitającego bzu, gnijących owoców i roztopiającego się asfaltu, przygniótł nas swoim ciężarem.

– Tam masz swój samochód, Profesorze.

Mój ford stał sobie na chodniku, tam gdzie go zostawiłem, niczym tratwa na pełnym morzu. Jedyne znane i bezpieczne miejsce tego świata. Podeszliśmy do niego w milczeniu. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się od brudnej szyby samochodu, oślepiając nas swoim blaskiem. Wsiedliśmy. Przekręciłem kluczyk, ford odpalił i odjechałem spod Betonowego Pałacu.

„Lubiłem od czasu do czasu przekonać się jak «zły» może być zły scenariusz. Tutaj zanosilo się na absolutny rekord”.

*Bulwar Zachodzącego Słońca*

REŻ. BILLY WILDER

Dopiero gdy wyjechałem poza obręb dzielnicy, poczułem ulgę. Nie trwała jednak długo. Czy jeszcze kiedykolwiek poczujemy się bezpieczni? Popatrzyłem na nią. Jak mogła się czuć po tym wszystkim? Włosy nadal miała wilgotne, skołtunione i gdzieniegdzie pozlepiane krwią. Trudno było cokolwiek wyczytać z zaciętego wyrazu jej twarzy. Chciałem zapytać, czy wszystko w porządku, ale po co, skoro wiadomo, że nic nie było w porządku. Poczula mój wzrok na sobie i odwróciła głowę w moim kierunku.

– Chcesz jechać do domu? – spytałem.

– Jedźmy do ciebie. Muszę się porządnie umyć. Aaron nie może mnie zobaczyć w takim stanie.

– Jak chcesz.

– Masz szlugi?

– Sprawdź w schowku.

Otworzyła schowek i zaczęła w nim gwałtownie grzebać.

– Nie ma.

– W domu mam.

– Muszę zapalić.

– Ja też. W domu mam ze dwie paczki. Zaraz zapalimy. Mam też browary.

– I co jeszcze? Pizzę? I film wideo? – przedrzeźniała mnie.

– O co ci chodzi? – spytałem. Chyba bardzo chciała się pokłócić.

– O gówno – warknęła wściekła. – Nie gadaj do mnie, jakbym wymagała opieki. To ty popłynąłeś tam na dachu, nie ja. Po co w ogóle wracałeś na Osiedle? Miałeś wszystko nagrane z Krugiem. A ja miałam swój plan.

– Jaki plan?

– Sraki. Oddać mu pieprzoną żonkę, nad którą się ulitowałeś. Oraz Gretę, Angie, staruchę i tego ich kafara. A także dzieciaka dresiary, żeby sobie wychował jak swoje. Dobiłabym targu, gdybyś się nie pojawił, debilu. Dopiero wtedy mnie związali. Potrafisz tylko burdel robić. Więc nie zachowuj się teraz jak pieprzony bohater!

– Co z tobą jest nie tak?

– Co ze mną jest nie tak? Proszę cię! – Prychnęła z pogardą. – Chcę się umyć i zapalić. I jechać do domu, gdzie czeka na mnie Aaron. Jeśli myślisz, że zostaliśmy przyjaciółmi, bo przez chwilę znowu byliśmy po jednej stronie, to znaczy, że obejrzałeś o jeden gówniany film przygodowy za dużo! – Z furią ciskała się na fotelu.

Gwałtownie zjechałem na pobocze. Jakiś samochód wyminął nas, trąbiąc agresywnie. Zahamowałem ostro na środku chodnika. Ona nie była przypięta pasami, więc rzuciło ją do przodu. Odwróciła się do mnie, jeszcze bardziej wściekła. Rozczochrana jak wiedźma, z wykrzywioną twarzą i zaciśniętymi pięściami nie wyglądała na osobę trzeźwo myślącą. Chwyliłem ją za ręce, żeby mi nie przywaliła.

– Stwarzasz zagrożenie, uspokój się,

– Zabieraj łapy – wycedziła przez zęby.

– Uspokój się – powtórzyłem stanowczo.

– Żałosny frajer.

– Zakłamana suka.

Wypuściła powietrze. Wszystko wróciło do normy. Uwolniłem jej dłoń. Po chwili ponownie włączyłem się do ruchu. Pewnie tak było jej łatwiej, a ja musiałem jej na to pozwolić. Przed chwilą znowu widziałem w jej oczach strach. Ten sam co wtedy nad jeziorem, gdy wyciągnąłem ją z wody. Ale teraz już na powrót była bezpieczna w swojej skorupie.

Zatrzymaliśmy się pod domem. W milczeniu weszliśmy do sieni i w milczeniu wspięliśmy się po schodach. Wygrzebałem klucze i otworzyłem drzwi. Weszła pierwsza i od razu poszła do kuchni. Na stole leżała napoczęta paczka szluczków. Chwyciła ją zachłannie, wyjęła papierosa, szybko włożyła do ust i zapaliła, łapczywie się zaciągając. Potem opadła na krzesło. Sięgnąłem do lodówki i wyjąłem dwie butelki piwa Perła.

– Perła – burknęła. – Jak wykwinie.

Wypiła jednak połowę duszkiem. Zrobiłem to samo.

– Chcesz zadzwonić? – spytałem.

– Tak, za chwilę.

Zgasiła niedopałek w popielniczce i od razu zapaliła następnego.

– Tego mi było trzeba – powiedziała bardziej do siebie niż do mnie.

– Idziesz do tej łazienki? – spytałem.

– Za chwilę. – Nagle przestało jej się spieszyć.

– To ja pójdę.

Wszedłem pod prysznic. Gdy pod nim stałem, zmywając z siebie resztki brudu i zaskorupiałej krwi, poczułem, jak ogarnia mnie niepokój. Czy w określonych momentach można zrobić coś powszechnie uznawanego za złe tylko dlatego, że w danej chwili wydaje się to słuszne i usprawiedliwione? Chciałem, by ktoś przyszedł i udzielił mi życiowej rady. Jakaś mądra kwiaciarka z Rynku albo doświadczony szkolny woźny. Nikt oczywiście się nie pojawił, bo niby jak, skoro byłem pod prysznicem, jak zawsze zdany tylko na siebie i własny osąd. Nikt nigdy nie powiedział mi, jak żyć. Ani kwiaciarka, ani własna matka. Ani mój ojciec, skurwysyn. Wychowało mnie Osiedle, tyle że przestałem tam pasować. Tu też zresztą nie pasowałem. Dom był tam, gdzie mnie nie było.

Gdy wszedłem do kuchni, stała odwrócona i patrzyła przez okno. Widziałem napiętą linię jej barków. Sukienka, którą kazał jej włożyć Gabriel, miała głębokie wycięcie na plecach, przez które widać było podbiegły krwią ślad po uderzeniu bejsbolem. Podeszedłem do niej i położyłem dłonie na jej odkrytych szczupłych ramionach. Nie odsunęła się. Przejechałem wierzchem dłoni wzdłuż jej kręgosłupa, po tych purpurowych wybroczynach. Zadrżała, ale nadal nie ruszyła się i nic nie

powiedziała. Chwyciłem materiał sukienki i rozdarłem, obnażając całkowicie jej plecy. Odwróciłem ją do siebie i przyciągnąłem. Pochyliłem się nad nią. Bez butów sięgała mi zaledwie do klatki piersiowej. Była taka mała i drobna. Nie protestowała, gdy ją pocałowałem. Zamknęła oczy, może nie chciała na mnie patrzeć. Złapała jednak brzeg ręcznika, którym byłem owinięty, i pociągnęła. Pozwoliłem, by opadł na podłogę. Uniosłem ją, a ona opłótła mnie nogami. Nie przestając jej całować, zaniósłem ją do sypialni. Zdarłem z niej strzępy sukienki, obnażając piersi, brzuch, uda. Zasłoniła ręką oczy. Udawała, że jej tu nie ma. Gdy zerwałem jej majtki, spięła się. Poczulem opór, gdy spróbowałem rozsunąć jej nogi. Nagle odsunęła ramię, które zasłaniało jej oczy, i spojrzała na mnie. Przez chwilę wyglądała tak jak wtedy, gdy miała siedemnaście lat i właśnie miałem ją rozdziewiczyć. Widziałem, że się boi. Teraz też się bała. Wtedy mówiłem jej, że ją kocham. Teraz nie było nic, co mógłbym jej powiedzieć.

Chciała walczyć? Trudno. Włożyłem dłoń pomiędzy jej uda i przesunąłem w górę, równocześnie wpychając kolano między jej nogi. Nie miałyby ze mną szans. W końcu się poddała. Wsunąłem w nią palce, a ona zacisnęła dłoń na moim członku. Patrzyliśmy sobie w oczy. Ona już bez lęku, tylko z jakąś pogardliwą, mściwą satysfakcją. Chwyciłem ją za gardło. Wydawała się coraz bardziej zadowolona. Jakby tego właśnie oczekiwała. Przygniotłem ją ciężarem swojego ciała i wszedłem w nią jednym ruchem. Tak jak chciałem to zrobić od dawna. I było to właśnie tak wspańiałe i równocześnie tak przerażające, jak sobie to wyobrażałem.

Odszukałem jej dłoń i chwyciłem. Splotliśmy palce w mocnym uścisku. Niespodziewanie uderzyła mnie w twarz otwartą dłonią. Policzek był celny i mocny. Palił jak diabli. Oddałem jej, ale o wiele słabiej. Nie wiedziałem, czy to część gry, czy jednak nie. Nie obchodziło mnie to. I tak nie mieliśmy słowa klucza, które mogłoby to przerwać.

Nie było odwrotu. Można już było tylko brnąć dalej i dalej. Drogą, której nikomu nie życzę. Do miejsca, w którym nie istniały już żadne znajome punkty odniesienia, normy, zasady i granice poza tymi, które sami ustalimy. Pocałowałem ją, a ona mnie. Jakbyśmy zjadali sobie twarze. Nadal trzymaliśmy się za ręce. Równocześnie paznokcie jej prawej dłoni orały moje plecy. Chciałem ją pieprzyć na różne sposoby. Tak jak tego wcześniej



nie robiliśmy. Ale nie mieliśmy tyle czasu. Mieliśmy tylko sekundy. Chwila rozkoszy wobec wieczności w piekle.

Opadłem na kołdrę obok niej. Puściła moją rękę. Serce waliło mi jak po dragach. Słuchałem, jak ona oddycha coraz spokojniej. Dotknąłem jej dłoni, ale cofnęła swoją. W końcu uniosła się wolno i usiadła na brzegu łóżka tyłem do mnie. Długie włosy spływały w skołtunionych splotach prawie do pośladków. Wstała i jak manekin ruszyła w kierunku drzwi, nie patrząc na mnie.

– Idę się umyć. Aaron się niepokoi, jak widzi mnie w takim stanie – powtórzyła po raz kolejny. – Martwi się, gdy się w coś mieszam. Martwi się, gdy dostaję po ryju. Nie lubi...

Nie usłyszałem, czego nie lubi, bo zamknęła się w łazience. Po chwili dobiegł mnie szum wody. Ja też miałem ochotę jeszcze raz się opłukać.

Przyszła do kuchni ubrana w mój podkoszulek, który zdjęła z suszarki. Sięgał jej do połowy uda. Usiadła przy stole. Woda z mokrych włosów kapiała na blat i podłogę. Wyjąłem z lodówki kolejne dwa browary, otworzyłem i podałem jej jeden. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, w milczeniu popijając zimne piwo. Nie patrzyła na mnie.

– I co teraz? – spytałem w końcu.

– Nic. Zupełnie nic. – Wzruszyła ramionami, nie podnosząc wzroku. – W idealnym świecie wrócilibyśmy tam i rozpierdolilibyśmy cały ten beton w perzynę. Uratowalibyśmy Sophie. I wszystkich niewinnych dresiarzy. Ale to nie jest idealny świat. Dlatego nie zrobimy nic.

Nie o to pytałem, ale niech jej będzie. Nie chciała odpowiadać, to nie. Gapiała się w stół, skubiąc etykietkę piwa. Pociągnęła łyk. Sięgnęła po papierosa i zapaliła. Zachowywała się tak, jakby mnie tu nie było. Mogłaby mieć na tyle delikatności, by zacząć wypierać to, co zrobiliśmy, dopiero gdy mnie już nie będzie w pobliżu. Kusilo mnie, aby powiedzieć coś, co wprawi ją w jeszcze większe zakłopotanie. Rzucić, że dobry ten seks był i trzeba to będzie kiedyś powtórzyć. Parsknąłem śmiechem. Drgnęła i w końcu spojrzała na mnie, ale tak jak na przygłupa. Włosy zamoczyły podkoszulek i pod materiałem wyraźnie odznaczyły się jej sutki.

– Przestań – warknęła.

Podniosłem wzrok. Jej policzki płonęły.

– A co ja robię?

– Nie udawaj debila. Przestań się gapić.

– A, o to ci chodzi. Ale to musisz się zdecydować. Nie możesz być równocześnie miss mokrego podkoszulka i świętoszką.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w napięciu. Upiłem kilka łyków i w końcu powiedziałem:

– Nie zwalisz tego na mnie. Razem to zrobiliśmy. Chciałaś tego, więc nie bądź teraz hipokrytką.

Spuściła wzrok, jakby bojąc się tego, co zaraz mogę powiedzieć. Była zażenowana. Wstyd to straszna rzecz. Ludzie robią głupie rzeczy ze strachu, by ich niesmaczne sekreciki nie wyszły na jaw, a obnażeni, stają się zupełnie bezbronni i łatwo ich zniszczyć. To Kojak pierwszy napomknął o potędze wstydu pod koniec tej jazdy w Jabolowej Chatce. Coś jakby zaskoczyło w mojej głowie. Kojak miał rację. Zrobiłem kulkę z kawałka piwnej etykiety i rzuciłem w nią. Popatrzyła podejrzliwie zza kotary splątanych, wilgotnych włosów.

– Co znowu?

– Nie bój się. Chyba odkryłem metodę Opiekuna – odparłem i zobaczyłem ulgę na jej twarzy. Odpowiadała jej zmiana tematu, więc kontynuowałem. – Od pierwszego spotkania manipulował mną, operując głównie uczuciem wstydu. Wzbudzał go u mnie i upokarzał mnie. W pierwszych słowach powiedział, że jestem taki sam jak wszyscy. Potem Kakałko zaoferował, że zrobi mi loda. Równocześnie obraził i zlekceważył Kojaka, aby mi pokazać, że mój przyjaciel jest jeszcze niżej w hierarchii niż ja. Kakałko wiedział, że Kojak jest pedałem, i chciał mu pokazać, że odrzucą go nawet tacy jak on. Na powrót ustalił między mną a Kojakiem taką hierarchię, jaka była zawsze. Znowu uwierzyłem, że jestem od niego lepszy. A on mi zazdrościł nie wiadomo czego. I rosła w nim frustracja. Następnie Opiekun wrzucił mnie do jednego wora z Królem. Przypomniał, jak cię pobiłem. Pokazał mi twoje gołe zdjęcia. Nastraszył, że wszyscy się dowiedzą. Te słowa wytrychy, których używali on i cała reszta. „Twoja siostra” powiedział chyba z dwadzieścia razy. Nutka dorzucił: „siostrójebca”. Zrobili ze mnie zboczeńca, pedała, onanistę, frajera,

osiedlowego męta i biedaka. Cały czas się ze mnie śmiali. I z nas. I z tego, co nas łączyło. Gabriel nie przedstawił tego, co nas spotkało, jako coś strasznego czy smutnego, tylko jako żalosne, niesmaczne, brudne, odrażające. To mnie osłabiło. Mógł zacząć wprowadzać swoje manipulacje i pogrożki. Tylko że z czasem jego metoda działała coraz słabiej, bo ten temat, maglowany w kółko od każdej strony, powoli przestawał robić na mnie wrażenie. Po naszej rozmowie w Massolicie pomyślałem, że chyba trzeba się z tym pogodzić. Skoro i tak wszyscy wiedzą, nie da się już udawać. W końcu odwróciłem sytuację. I ja kogoś tą historią zawstydziłem. Tę laskę, z którą byłem na randce. A potem zawstydziłem ciebie. I świetnie się bawiłem. Opiekun wiedział, że nie będzie mógł w nieskończoność ogrywać tego kazirodczego numeru. Dlatego wyskoczył z kolejną akcją, która miała mi uświadomić, jaki ze mnie obleśny gość. Wykorzystał homoseksualizm Kojaka, żeby i ze mnie zrobić pedała.

– To bardzo interesujące, tyle że jakie to ma teraz znaczenie? Już po sprawie.

– Wprost przeciwnie. Przecież ustaliliśmy, że Sophie była tylko przykrywką. Owszem, puścił nas, bo w zasadzie wywiązałem się z umowy, więc mógł tak postąpić, nie narażając się, że zostanie posądzony o pobłażliwość. Ale on wcale z nami nie skończył. To było tylko preludium.

– Do czego?

– Nie wiem. Ale to wszystko, co się rozegrało w pałacu, wydało mi się od początku w jakiś sposób znajome.

– A bo to pierwszy kwas w twoim życiu? – zakpiła.

– Daruj sobie. Białe tortury, eksperymentalny kwas, żołnierze naćpani nie wiadomo czym, inscenizacja na pseudoscenie, kolejne zadania, pułapki, przeszkody, zwroty akcji, próby złamania, upokorzenia. Wyobraź sobie adekwatną sytuację, z tą różnicą, że nikt nie zginął. Wszystko kończy się wspólnym posiłkiem, a Opiekun ogłasza, że udało mi się wykonać zadanie. Co ci to przypomina?

– Szkolenie wojskowe? – spytała, odrobinę bardziej zainteresowana.

– Zaczęło się prawie od razu po moim powrocie do Krakowa. To wszystko były próby, eksperymenty, testy.

– Ale ludzie ginęli na serio. Wpierdol też był na serio.

– Tak. Dlatego to jest przerażające. Jeśli to był tylko trening albo test, to czego możemy się spodziewać w przyszłości?

– Wojny?

– Nie mam pojęcia, ale wszystko wskazuje na to, że ten psychopata ma jakiś większy plan. Mentor to potwierdził. Nadal jesteśmy mu do czegoś potrzebni. Dlatego nas nie zabił.

Dziesięć minut później pojawił się Goldenthal. Do mnie się nie odezwał, nawet na mnie nie popatrzył. Przyniósł jej jakieś ubrania, więc poszła do łazienki, żeby się przebrać. On został w przedpokoju, a ja nie ruszyłem się z kuchni. Widziałem, że patrzy w kierunku otwartych drzwi sypialni. Swoim policyjnym okiem rejestrował skotłowaną pościel, a na niej ślady krwi. I strzępy czerwonej sukienki na podłodze. Gdy wyszła z łazienki, przeszył ją wzrokiem. Przez chwilę patrzyli na siebie, a ja obserwowałem ich, popijając piwo. Ona skapitulowała pierwsza i odwróciła wzrok. Łyknąłem browara. Nie czułem się winny. On sprzedał mnie Opiekunowi, ja przeleciałem jego przyszłą żonę. W moim odczuciu byliśmy właściwie kwita. Jeśli jednak zdecyduje się dać mi w ryj, również będzie to miało sens.

– Idziemy? – spytała.

– Tak. Idziemy – odparł.

– To cześć – rzuciła do mnie już w drzwiach.

– Nara – odpowiedziałem.

Po chwili poszedłem zamknąć za nimi. Miałem właśnie przesunąć zasuwę, gdy drzwi się otworzyły. Cofnąłem się instynktownie, a one z hukiem uderzyły o ścianę. Goldenthal zrobił krok w moim kierunku. Przyjąłem cios w szczękę. Nie uchyliłem się. Ten strzał mi się należał jak psu buda. To, że nie zrobiłem nic, by go uniknąć, nie odsunąłem się, nie uniosłem ręki, a potem nawet nie próbowałem mu oddać, wkurwiło go chyba jeszcze bardziej. Uniosłem dłoń do twarzy i sprawdziłem szczękę. Była cała. Spojrzałem na swoją dłoń, na palcach miałem trochę krwi z pękniętej wargi.

– Teraz jest OK? – spytałem.

Chyba nie było OK, bo zrobił jeszcze jeden krok w moim kierunku. Był ode mnie niższy, ale miał mocną budowę. Kawał przybyczonego skurwysyna, który uprawia różne modne sporty, a od czasu do czasu zdarza mu się też spuścić komuś łomot. Tym razem naprawdę nie miałem ochoty się z nim bić, bo to by było po prostu głupie. Przecież nie miałem zamiaru ciągnąć tej patologii. I ona też nie miała takiego zamiaru.

– Słuchaj, śmieciu – wycedził przez zęby. – Dobrze ci radzę, wypierdalaj stąd nareszcie. To miasto nigdy nie będzie twoje ani ona nie będzie twoja.

Trudno trzymać się swoich postanowień i udawać neutralną Szwajcarię, gdy pies ujada i warczy na ciebie, jakby dostał wścieklizny. Pchnąłem go lekko w pierś, odsuwając od siebie.

– A skąd pomysł, że ja ją chcę, paranoiku? Jesteś zazdrosny, bo ją rozdziewiczyłem w innym stuleciu? Nic z tym nie zrobisz. Weź się ogarnij, czubku. Nie przeczę, że to nadal pierwszorzędną dupa, ale od dawna nic dla mnie nie znaczy. Więc moja propozycja jest taka: wypierdalaj z mojego mieszkania. Zabierz ją do swojego pałacu. Tylko mi, kurwa, nie próbuj znowu grozić, bo się zrobi rzeźnia.

– Coś ci powiem, prostaku – zaczął spokojnie.

– No, co mi powiesz? – Naprawdę byłem ciekaw, co ma mi do powiedzenia. Lecz nagle poczułem niepokój. Przez moją głowę przemknęła myśl: gdzie ona jest? Co robi? Czeka na schodach? Nie. Pewnie zeszła na dół i kopci peta na chodniku, cała podkurwiona, że musi czekać. Takie lalunie jak ona nigdy nie muszą na nic czekać. Goldenthal tymczasem przewiercał mnie wzrokiem, miał nieruchomą gębę robota. Drugi raz jednak uderzyło mnie to samo co wtedy, gdy jechaliśmy do Ogrodu Botanicznego: ten dupek naprawdę ją kochał na swój pokręcony sposób. I był w stanie zrobić wiele, by ją chronić, nawet wbrew jej woli.

– Jesteś jej bratem i muszę z tym żyć – powiedział, znowu z naciskiem na słowo „brat”. – Pomogłeś mi kiedyś, i z tym też muszę żyć. Ale poza tym jesteś zdegenerowanym, odrażającym ludzkim ścierwem bez zasad, które się podnieca pieprzeniem własnej siostry. Wykorzystałeś jej chwilę słabości. Wiem, ile będzie ją to teraz kosztowało, chociaż nic po sobie nie pokaże. Gdy ty będziesz się brandzłował na pamięciówce, ona się będzie zadręczać poczuciem winy. Tego właśnie dokonałeś, śmieciu.

– Mówimy o tej samej osobie?

– Odpierdol się od niej. Tylko tyle, a pozwolę ci żyć. Jeśli nie, to cię zniszczę, i doskonale wiesz, że to nie jest błąd. Nawet jeśli miałyby mi tego nie wybaczyć.

– Wierzę ci, jesteś psychopatą – wycedziłem. – Ale czy jesteś również głuchy? Nic od niej nie chcę. Nie chcę jej posuwać ani z nią gadać. Pieprzyliśmy się, bo taki akurat był sprzyjający ku temu klimat. I wierz mi, że ona tego chciała. Była totalnie napalona, gorąca i mokra. Więc zrobiłem tylko to, na co miała ochotę. To samo zrobiłbym z każdą inną tak samo chętną laską, jeśli byłaby równie atrakcyjną dupeczką jak twoja narzeczona.

Jego chwila słabości minęła i żadne obelżywe słowa na temat jego ukochanej nie mogły wyrwać go z emocjonalnego stuporu.

– A do tego jesteś żalonym kłamcą – podsumował.

Czułem, że mi nie wierzy. Ale nic więcej nie mogłem zrobić. Nie miało już znaczenia, co jeszcze powiem.

Odwrócił się i wyszedł. Zamknąłem za nim i dotknąłem swojej po raz kolejny obitej gęby. Zerknąłem w lustro. Jeden uszczerbek więcej w moim stanie nie robił już różnicy. Wszedłem do salonu. Na stole leżała moja koszulka, którą z siebie zdjęła. Wziąłem ją do ręki i podszedłem do okna. Spojrzałem w dół, na ulicę. Kończyła właśnie palić szluga. Pewnie już drugiego. Goldenthal zbliżył się do niej. Rozzłościła się. Uśmiechnąłem się. Tak jak myślałem, czekanie nie przypadło jej do gustu. Ruszyli w kierunku lexusa. Objął jej szczupłą talię władczy gestem. Szkoda, że jej nie obsikał, aby lepiej zaznaczyć terytorium. Położyła dłoń na klamce i na moment się zawahała. Patrzyłem na jej odsłonięte plecy i przypomniałem sobie zdanie z *Yattamana*, serialu anime, który oglądałem jako dziecko: „Prawdziwe damy nie oglądają się za siebie”. Nie była damą.

- „– Pańskiego przyjaciela wniosło do domu trzech ludzi.  
– Tak, wiem: dwaj znajomi i kierowca.  
– Kierowca nie ruszył się z miejsca. Biedak był w strasznym szoku.  
– Trzech ludzi...”

*Trzeci człowiek*

REŻ. CAROL REED

Przez kilka pierwszych dni czułem się tylko potwornie obolały i zmęczony, więc spałem. Budziłem się w środku dnia lub w nocy, żeby się wysikać, wypić piwo, zapalić, zjeść coś z lodówki. A potem stwierdzałem, że mogę iść z powrotem spać. Nie rozsuwałem zasłon, nocne i dzienne zlały się w jedno niekończące się późne popołudnie. Jednak któregoś wieczoru przebudziłem się i odkryłem ze zdziwieniem, że gęba przestała mnie boleć. Opuchlizna zeszła, strupy poodpadały. Mogłem się pokazać ludziom. Na początek pokazałem się w monopolowym. Kupiłem czteropak kasztelana i mrożoną pizzę.

Po powrocie do domu uznałem, że czas pooglądać telewizję. Skakałem po kanałach, aż trafiłem na *Trzeciego człowieka* Carola Reeda z Orsonem Wellesem, który nie cierpiał wtedy jeszcze na depresję i nie pożerał codziennie pięciu kurczaków i wiadra lodów. Dobrze mi się oglądało. Scena na kole młyńskim nadal robiła wrażenie. Zegar z kukułką i twist na koniec. *Trzeci człowiek*. Happy end nie był możliwy. Anna Schmidt oddalała się samotnie alejką, nie oglądając się za siebie. Pojawiły się napisy, a ja nie mogłem odegnąć wrażenia, że coś przeoczyłem.

Następnego dnia rano obudziłem się, uświadamiając sobie, że jest poniedziałek. Przypomniałem sobie, że w poniedziałki kajakarze biwakują na barce Beautiful Rotterdam. Co mi szkodzi rzucić okiem na tych

amatorów, pomyślałem. Przynajmniej miałem jakiś cel wycieczki. O czternastej wzięłem z sieni rower, który zacząłem już uważać za swój, i pojechałem bulwarami na Kazimierz. Trzymałem się górnej ścieżki. Stanąłem przy kamiennym wale. Oparłem rower o mur, spojrzałem w dół na bulwary i na barkę Rotterdam. Była czternasta dwadzieścia pięć. Kelnereczka miała rację – od strony Wawelu do łajby zbliżali się kajakarze. Naliczyłem siedem łódek. Na pokład wyszła Kaśka. Miałem nadzieję, że mnie nie zauważy, bo jeszcze mogłaby sobie pomyśleć, że ją obserwuję, ponieważ się w niej zabujałem. Ona patrzyła jednak na włączających na pokład kajakarzy. Śmiesznie to wyglądało. Jakby łódź z każdej strony oblażło robactwo. Kasia stanęła za barem, a kajakarze otoczyli ją zwartą grupą, śmiejąc się i przekrzykując. Ich kajaki przyłączone do barki przypominały pijawki.

Stojąca kawałek dalej łódź Grety była opuszczona i wymarła jak statek widmo. Tylko syrena nadal patrzyła radośnie w przestrzeń. Znowu spojrzałem na Beautiful Rotterdam. Kajakarze połączyli stoliki. Skupili się bliżej dziobu, koło baru. Na rufie nie stały stoliki, bo była zabudowana.

Chmury zasnuły niebo i zerwał się wiatr. Zaczęło kropić. Kajakarze patrzyli w górę i wystawiali łapy, by się upewnić, czy naprawdę pada, ale nie ruszyli się z miejsca. Natomiast wały zaczęły się wyludniać. Sophie zniknęła w kwietniu. W kwietniu nad Wisłą na pewno spacerowało znacznie mniej ludzi niż teraz. Był chłodny dzień. Sophie poradziła Rychowi, aby założył czapkę, bo na pokładzie wiało.

Rozejrzałem się. Na horyzoncie nie widać było ani jednej łodzi. Spacerowicze poznikali. Kajakarze pili piwo na dziobie. Kasia podała ostatni kufel i uciekła pod pokład.

Zaczęło do mnie docierać, jak naprawdę to zrobili. Najważniejszy był czas. I precyzja. Jedyna szansa. To był *master shot*, bez możliwości powtórki. Ślimak, oliwa, sracz. Miałem rację, te rzeczy miały znaczenie, ale nie takie, jakie im przypisywałem. Podobnie było z syreną i zmianą wyglądu. Można zmienić swój wygląd, ale równie dobrze można wykorzystać swoje podobieństwo do kogoś innego.

By cały plan zadziałał, potrzebny był jednak trzeci człowiek. W wersji, jaką przedstawiły mi Greta i Angie, nie pojawił się nikt taki. Domyśliłem się, dlaczego mi o nim nie powiedziały. Wiedziałem, kto nim był.



Potrzebowałem jednak jakiegoś namacalnego dowodu. Inaczej nikt by mi nie uwierzył.

Tydzień później dostałem potwierdzenie, którego potrzebowałem. Znalazłem w skrzynce pocztowej dużą, cienką kopertę. Otworzyłem ją w mieszkaniu. W środku znajdowało się zdjęcie, a na nim przyklejona żółta karteczka z wiadomością:

„Było wśród rzeczy Judyma. Nie wiem, co o tym myśleć. Ale to chyba wszystko zmienia, prawda?”.

Nikt się nie podpisał, pewnie ze strachu, ale autorką musiała być Magda. Spojrzałem na fotografię. Od razu rozpoznałem „piaskownicę”, na którą patrzyłem już tyle razy. Ten sam zielony stolik z Ikei. Ale nic więcej się nie zgadzało z poprzednimi wersjami. Na stoliku leżały tylko trzy lalki Barbie. Ich tułowia pozbawione były głów. Jedno z plastikowych ciał było całkowicie rozczłonkowane. Drugie było dziwnie zniekształcone, roztopione, jakby ktoś je podpalił. Trzecie wydawało się nienaruszone, poza tym, że tak jak pozostałe dwa nie miało głowy. Głowy leżały porozrzucane wokół. Ta na pierwszym planie miała dziury zamiast oczu. Odwróciłem zdjęcie. SL, luty.

Odsunąłem od siebie fotografię. Podeszedłem do lodówki i wyjąłem z zamrażalnika wódkę. Nalałem sobie. Bez muszynianki. Wypiłem. Nalałem jeszcze raz. Zapaliłem papierosa.

Biedna, piękna, nieszczęsna, przerażona, chora Sophie. Delikatna i wrażliwa dziewczyna. Taka urocza, słodka i śliczna. Ludzie nie mogli się napatrzeć. Tak o niej wszyscy mówili. Łącznie z Opiekunem. Tylko Jogiemu się nie spodobała.

Zdjęcie piaskownicy pochodziło z lutego. A w lutym Rzeźnik miał na swoim koncie dopiero dwie ofiary. Teraz daty morderstw nabierały nowego sensu. Po wyjściu ze szpitala udało jej się zabić dwie kobiety. Potem ugrzęzła na trzy miesiące na Osiedlu, nie mając możliwości folgowania swoim popędom. Ale mogła planować. Stąd w piaskownicy trzy martwe lalki, a nie dwie. W kwietniu uciekła. Niedługo potem znaleziono trzecią ofiarę.

Mentor wiedział. Od zawsze. Dlatego umieścił ją w zakładzie. Dlatego nie chciał, by została żoną Opiekuna. Nie bał się o nią, tylko jej i tego, co może zrobić ludziom wokół. Ludziom, których czujność uśpiła swoją urodą i których współczucie budziła swoim nieszczęsnym losem. Pilnowana przez ochroniarzy, pod czujnym okiem ojca była jednak nieszkodliwa. Pewnie uznał w końcu, że jej małżeństwo z Opiekunem to nie najgorsze wyjście. Gdy uciekła, wiedział, że to będzie jej koniec. Znowu zacznie zabijać. I w końcu policja wpadnie na jej trop. Gorzej, jeśli Gabriel będzie od nich szybszy. Lub wykorzysta swoje policyjne znajomości, aby ją od nich przejąć i samemu wymierzyć karę. Mentor musiał odnaleźć córkę jako pierwszy. Zanim Opiekun odkryje, kim jest jego żona. Sophie igrała z ogniem. Zabicie Prochackiej było otwartą kpiną z autorytetu admira Osiedla. Odpowiedzialność spadła na Mentora. To mogła być robota Sophie albo desperacki krok Mentora, by odsunąć podejrzenia od córki. Co on robił w jej starym domu, gdy go nakryłem? Usiłował zacierać za nią ślady? Czy wrabiał samego siebie? Ostatecznie wziął na siebie całą winę, a ja mu w tym pomogłem.

Przypomniało mi się, jak Sophie drżały ręce, gdy mordowała ojca. Gdy powoli nacinała skórę na jego szyi. Nie drżała z przerażenia, tylko z uciechy. Ona chciała, by ta zabawa trwała jak najdłużej.

Po raz piąty od przyjazdu do Krakowa pojawiłem się na Osiedlu. Tym razem jako wolny człowiek. Nikt przy wejściu do wieżowca nie mierzył do mnie z broni, nikt też nie obrzucał mnie wyzwiskami. Pozwolono mi pojechać na górę i spotkać się z Sophie. Wszedłem do loftu. Żona Opiekuna leżała w białym szlafroku, wyciągnięta na jednej z wielkich, białych kanap. Jedną nogę położyła wysoko na oparciu. Oglądała dokument wyświetlany z rzutnika na ścianę naprzeciwko wejścia na taras i gładziła się po nagim udzie. Kakałko mówił, że lubiła filmy dokumentalne. Ten był o Andrieju Czikatile. Wyobraziłem sobie inne dokumenty, o których wspominał pedał – wojenne i przyrodnicze. Makabryczne obrazy Holocaustu, filmy o masowych mordach, o rozszarpujących się na strzępy zwierzętach, o szwadronach śmierci Taylora zjadających żołnierzy ONZ, o tysiącach rąk obciętych w diamentowej wojnie, o dzieciach umierających powoli z głodu.

Wpatrywała się w upiorną gębę radzieckiego mordercy jak zahipnotyzowana. Nie odwróciła się, gdy wszedłem, nie popatrzyła na mnie nawet wtedy, gdy stanąłem obok. Sam zatrzymałem film.

– Ej! – upomniała mnie.

– Cześć – odezwałem się

– Cześć. – Odwróciła głowę. Wolno opuściła nogę z oparcia i usiadła. Zapewne celowo pokazała mi przy okazji, że nie ma na sobie majtek. Uśmiechnęła się, poprawiając krótki szlafrok. Patrzyła na mnie, nie przestając się uśmiechać. A za nią, w tle, śmiał się obłąkańczo Rzeźnik z Rostowa.

– To dziwne – powiedziałem, siadając naprzeciwko niej. – Odcisnęłaś na moim życiu piętno, a nigdy nie zamieniłem z tobą nawet słowa.

Cały czas się uśmiechała. Była naprawdę piękna. Szlafrok opadł z jej lewego ramienia.

– Nie gniewam się, że mnie zwróciłeś mężowi – powiedziała zmysłowym, niskim głosem. – Nic dziwnego, że wybrałaś swoją siostrę. Słyszałam, jak bardzo jest ci bliska. Ładniutka z niej blondyneczka. Chociaż może jakbyś mnie wcześniej poznał osobiście... może byłoby inaczej. Może nie wybrałbyś jej. Może pozwoliłbyś nawet, by Nutka trochę nad nią popracował...

Przypomniało mi się irracjonalne zachowanie Judyma. I innych. Być może miała rację.

– Zwłaszcza że dla niej zawsze będziesz dopiero na drugim miejscu. Prawda, kotku? – Przechyliła wdzięcznie głowę na bok i rozsunęła nieco nogi.

– To nieistotne. Istotne jest to, że znowu tu jesteś.

– Myślisz, że będę próbowała uciekać? Zmieniłam zdanie. Dobrze mi tutaj.

– To mnie nie dziwi, masz tu dużo możliwości. – Wyjąłem z kieszeni kartkę złożoną na czworo.

– Co tam masz? – spytała.

– Za chwilę ci pokażę.

– Pokaż mi teraz! – zażądała ostro. Zaciśnęła pięści. Jej emocje zmieniały się bardzo gwałtownie.

– Chwileczkę. – Uśmiechnąłem się, przekładając kartkę w palcach. – Zawsze dostajesz to, czego chcesz?

– Niestety, nie – powiedziała ze złością. – Tak by się mogło zdawać. Zależy, na kogo trafię. Ludzie albo pragną robić wszystko, co im każę, albo chcą mnie zniewolić, zamknąć i pojąć. – Oblizła się jak jaszczurka i wlepiała we mnie oczy tak ciemne, jakby nie miała źrenic. – Co ty byś wolał? Co chciałbyś ze mną zrobić, bobasku? Ha, ha, ha. Myślę, że robiłbyś dla mnie różne głupie rzeczy. Nie mówię od razu, że straszne. Po prostu takie, że potem czułbyś się jak szmata.

– Nie wydaje mi się – odparłem pobłaźliwie, bo wiedziałem, że to ją wkurzy. Wcale nie byłem jednak pewien, czy nie miała racji.

– Tak właśnie by było! – wrzasnęła, po czym znowu rzuciła niespokojne spojrzenie na trzymaną przeze mnie kartkę. – Co tam masz? Pokaż mi to natychmiast!

– To? Ależ proszę bardzo. – Podałem jej kartkę.

Rozłożyła ją szybko i wpatrywała się teraz w swoją piaskownicę.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytałem.

– Dlaczego ułożyłam te figurki? – zapytała z uśmiechem. – Z nudów. Byłam ciekawa, co robi ten biedaczek doktorek. A on uznał, że żyję w strachu przed Rzeźnikiem. – Parsknęła śmiechem.

– Pomógł ci w ucieczce?

– Och, nie. Nie byłam go pewna. To mięczak. W dodatku pewnie chciałby uciec razem ze mną. Nie. Ale pożyczał mi swój telefon, dzięki niemu mogłam porozumiewać się z Krzysiem.

– Z kafarem Grety?

– Tak. Ten wielki matoł godził się na wszystko. One nim pomiatały. Ja byłam milutka. Bezbronna. Chciał mnie chronić. Nie pozwalałam mu na wiele. Ot, tyle, żeby jego apetyt rósł. Żebym miała pewność, że zrobi dla mnie każdą głupią rzecz. Dziewczynom nie ufałam. Chociaż ta Angie też miała na mnie wielką ochotę. Ale nie chciała zranić swojej gotyckiej laleczki. Jakby tamtą cokolwiek to obchodziło. No, w każdym razie

wolałam, żeby widziały we mnie niewiniątko. Krzyś był bardziej przydatnym współnikiem.

– Bo musieliście się pozbyć Rycha, tak? Rycha nie obejmował twój plan.

– Ten dureń mógł się okazać nieco kłopotliwy z czasem – przyznała.

– Krzych zabił go od razu na barce, a potem zajął jego miejsce – przedstawiłem jej swoją koncepcję zdarzeń. – Te wszystkie osiłki są do siebie bardzo podobne. Obsługa restauracji się nie zorientowała. Kelnerka widziała Rycha jedynie przez moment. W czapce i kapturze. Wszystko mieliście dobrze zaplanowane i zsynchronizowane. Krzychu zacumował pod barką. Łódkę podciągnął i umieścił pomiędzy atrapami szalup ratunkowych. Wszedł przez okno i czekał w kiblu. Gdy kelnerka zaniósła wam zamówienie i cała obsługa poszła jeść, zszedł na dół rozlać olej, żeby ich czymś dodatkowo zająć. Wrócił do kibla. Po chwili wpadł tam Rychu, aby wymiotować. Dodałaś mu środek wymiotny do jedzenia. Krzychu go zajeł i ukrył w kabinie. Wyszedł na pokład, gdzie odegraliście przed kelnerką scenę ze ślimakiem. Gdy Krzysiek biegł, symulując mdłości, zasłaniał sobie gębę, udając, że powstrzymuje rzyganie. Kelnerka została wezwana do starcia plamy. Zapłaciłaś i zesłałaś pod pokład. W kiblu czekaliście na ten właściwy moment. Do barki przybyli kajakarze, robiąc zamieszanie. Kelnerka wyszła na pokład. Mieliście zaledwie kilka minut, w czasie gdy kajakarze byli zajęci kupowaniem piwa. Wynieśliście ciało Rycha do sali głównej. Krzyś odczepił łódź ukrytą między atrapami szalup. Ty pierwsza weszłaś przez okno do szalupy. On opuścił ciało i sam wyszedł. To było ryzykowne, ale na rzece było pusto, a kajakarze robili zamieszanie. Gdyby ktoś was nawet zobaczył, wziąłby was za członków klubu.

Sophie ziewnęła, znudzona, i rzuciła obojętnie:

– Nie jesteś więc całkiem durny.

– Tylko po co aż takie zamieszanie?

– Żeby uzyskać ten spektakularny efekt zniknięcia! Czary-mary!

– Czyj był ten pomysł?

– Mój – pochwaliła się.

Czułem w tym jakiś fałsz. To nie był jej modus operandi. Ona była psychopatką działającą pod wpływem chwili. Może i była pomysłowa

w doborze tortur i sposobów zabijania, ale czy chciałoby jej się wymyślać skomplikowany plan ucieczki, podczas której pada tylko jeden nieciekawy trup? I to nawet nie ona zabija.

– Chcesz wiedzieć, co zrobiliśmy z Rychem? – Pochyliła się w moim kierunku i nagle wrzasnęła: – Zjadłam go! Pożarłam! Am! Am! Am! – Kłapnęła zębami, a potem warcząc, zaczęła udawać, że rozszarpuje zębami mięso.

Odsunąłem się, a ona wybuchnęła głośnym śmiechem. Dosłownie zanosila się od niekontrolowanego rechotu. W końcu przestała i spojrzała na mnie, parskając.

– Tylko się nie poszczaj ze strachu, mazgaju. Zjadłam tylko kawałek, z ciekawości, jak smakuje taki półdebel na surowo. Nic specjalnego, powiem ci. Reszta spoczywa w Wiśle. Trochę się tam nudziłam, bo te gówniary bały się mnie wypuszczać, aby mnie ludzie mojego męża nie zobaczyli. Na szczęście Krzysio pomagał mi się wymykać, kiedy tylko chciałam. Mogłam grasować do woli. Więc nie było źle. Tu też nie jest źle. Jakie to ma w gruncie rzeczy znaczenie, gdzie jestem?

– Na pewno ma znaczenie dla ludzi w twoim otoczeniu.

– Tak, dla nich ma – ucieszyła się jak dziecko.

– Na przykład dla twojego ojca.

– Zdenerwował się, gdy zabiłam matkę. Bardzo się zdenerwował. Tym razem był naprawdę zagniewany. Niegrzeczna Zosia. Brzydko zrobiła.

– Dlaczego zabiłaś matkę?

– A, wkurzała mnie. Męcząca była. Sama podsunęła mi pomysł, biadoląc, że żyły sobie dla mnie wypruwa... Byłam zbuntowaną nastolatką. – Zachichotała. – Nie rozumiała tego. O wszystko miała pretensje. Wiesz, jak jest.

To dziwne, ale w pewnym sensie rzeczywiście wiedziałem. Jakby to wyczuła, bo wycelowała we mnie palec:

– Na pewno sam nieraz chciałeś to zrobić. Słyszałam, że twoja stara to była niezła kurwa. Każdy ją miał.

– Wróćmy do twojej matki. – Nie dałem się sprowokować.

– Myślałam, że w końcu będę mieć spokój. Okazało się, że ojciec wcale nie jest lepszy. Za karę zamknął mnie w wariatkowie. Może bał się, że będzie następny. Ale się zdziwił, gdy mnie zobaczył u boku Opiekuna!

– Chciałaś go ukarać? Za to, że cię zamknął?

– Ukarać? – Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, szeroko otwierając swoje piękne oczy. – Nie. Ty nadal nic nie rozumiesz. Może dlatego, że nie zadałeś jeszcze pytania, które nurtuje cię najbardziej. To, które postawił też mój mąż. Dlaczego to robię?

– Dlaczego to robisz?

– Sprawia mi to przyjemność! Uwielbiam patrzeć na cierpienie! – Klasnęła w dłonie uszczęśliwiona. – Udało mi się dotrzeć do granicy tego, co człowiek jest w stanie znieść. I przekroczyć tę granicę. Za nią cierpienie nabiera nowego wymiaru. Nauczyłam się za każdym razem, z każdą kolejną ofiarą przesuwając granicę odrobinę dalej. Niekiedy wielokrotnie w obrębie jednego przypadku. Człowiek odradza się za moją sprawą. Łamiąc go, czynię go silnym. Wywyższam ponad innych. Gdyby mi odebrać takiego człowieka w trakcie eksperymentu i umieścić z powrotem w społeczeństwie, nie odnalazłby się w nim, jako istota o wyższym stanie świadomości. Chcesz wiedzieć, jak udaje mi się formować tych nowych ludzi?

– Nie interesuje mnie to – odparłem.

– Daj spokój, głuptasku – powiedziała przymilnie. – Każdy chce to wiedzieć... Trzeba nauczyć się odpowiednio dawkować ofiarom doznania. Porcja cierpienia, a potem odrobina litości, czułości i dobra. Trzeba poczekać, aż ofiara się uspokoi i znowu zacznie ci ufać. Trzeba jej na chwilę przywrócić nadzieję, że wszystko będzie dobrze. A gdy już poczuje się na powrót bezpiecznie, wtedy skrzywdzić ponownie. Czytałeś na pewno o moich eksperymentach. Wiesz, jak długo pracowałam nad tymi kobietami. Nawet ślepe, okaleczone, pozbawione członków, dalej miały nadzieję! Aż do swojego ostatniego tchnienia moi ludzie pragnęli żyć. Właśnie to udało mi się osiągnąć.

Poczułem odrazę. Taką, jakiej nie czułem nawet do Nutki. On był w swoim szaleństwie równocześnie żaloszny i skrzywdzony, co czyniło go w jakimś stopniu ludzkim. Sophie była przerażająca, kompletnie obłąkana

i na wskroś zła. Patrzyłem na nią i już nie widziałem jej urody i wdzięku. Była obrzydliwa i odrażająca, wstrętniejsza niż jakakolwiek inna bestia na tym zdegenerowanym, chorym świecie. Każdego dnia myślałem, że widziałem już wszystko, że z niczym gorszym się już nie zetknę. Tymczasem siedziałem naprzeciwko potwora, jakiego dotąd nie znałem, obmierzłego monstrum. I nie mogłem wykluczyć możliwości, że ten świat zamieszkują jeszcze gorsze i mroczniejsze poczwary.

– Wydaje ci się, że o cierpieniu wiesz wszystko, bo jako dzieciak dymałeś swoją siostrę i raz w napadzie szału ją pobiłeś? Do dziś torturujesz się tym wspomnieniem, co? – spytała maskara, szczerząc z zadowoleniem kły. Potem zarżała i wykrzyknęła: – Boże jedyny, jakie to słabe! Co za pierdo-lo-ne nu-dy! Pewnie wałkujesz ten temat w kółko. Może nawet razem się w tym grzebiecie. Dłubiecie w tej starej ranie, co? Nie pozwolicie, żeby strupek zaschnął i odpadł. Założę się, że znowu ją wydupczyłeś. Potrafię to sobie nawet wyobrazić, cóż to musiało być za żalosne widowisko!

Wskoczyła na kanapę, chwyciła się oparcia i zaczęła wykonywać ruchy frykcyjne, odrzuciwszy głowę do tyłu.

– Żeby mi tylko kutas nie opadł! – wykrzykiwała jękliwym głosem, posuwając kanapę. – To, co robimy, jest złe, złe, złe! Jestem złym człowiekiem. A ty jesteś bezwstydną rozpustnicą! Muszę cię ukarać. Zrobię ci bolesną turbopalcówkę na początek!

Może powinienem był jej przerwać, ale nie mogłem przestać patrzeć. To było żenujące i fascynujące zarazem. Rozkręcała się, chyba lubiła mieć publiczność. Zaczęła dźgać skórzane oparcie palcem wskazującym, warcząc jak wściekły pies.

– Masz, szmato, lubisz to? Lubisz? Osiedlowy styl, kurwa, jebać szmatę!

Przerwała dźganie, by na przemian bić i dusić kanapę, równocześnie cały czas ją gwałcić. Nagle przestała i odwróciła się do mnie zdyszana. Popatrzyła mi prosto w oczy z obleśnym uśmieszkiem lubieżnego dziada. A potem usiadła zupełnie spokojnie i spytała z zainteresowaniem:

– Tak było? Bolała ją szparka? Płakała potem? Pewnie beczeliście oboje. Zgadłam? Przeleciałeś swoją siostrę! Wielkie mi halo! Straszne nieszczęście! Ty mięczaku! Ty zasmarkana cioto! Ty jeszcze nic nie wiesz o cierpieniu! Ale myślę, że już niedługo dowiesz się o nim czegoś nowego.



Zobaczysz, jelonku Bambi, że mam rację i że tę granicę można przesuwac w nieskończoność.

– Jesteś kompletnie szalona – stwierdziłem spokojnie.

– I co? Zabijesz mnie, ofermo? – spytała drwiąco.

– Nie, najdroższa – odezwał się Opiekun. Nie miałem pojęcia, kiedy się zjawił i jak długo słuchał. Stał za moimi plecami. Może cały czas gdzieś tu był. – Należysz do mnie. Dlatego ja cię zabiję.

– Ale dlaczego? Gabrielu, oszalałeś? – spytała zdziwiona.

– Przecież znasz odpowiedź na to pytanie, moja ukochana kruszynko. Bo ci się należy. Bo już nadeszła twoja pora.

Zerwała się z gniewem, by coś powiedzieć. Gdy rozwarła usta, rozległ się huk. Siła wystrzału wbiła ją w kanapę. Jej ciało drgnęło i od razu znieruchomiało. Popatrzyłem na czarną dziurę pośrodku jej czoła. Taką samą, jaką zrobiłem jej ojcu. Temu biedakowi, który próbował uchronić ją przed zemstą Opiekuna.

Oderwałem wzrok od martwej kobiety i przeniosłem go na Gabriela Lezuję, który opuścił już broń. O strzale przypominały tylko smużka dymu unosząca się z wylotu lufy i zapach prochu w powietrzu. Gabriel stał na tle otwartych drzwi na taras, poniżej rozciągały się rozświetlone słońcem, błyszczące dachy miasta. W oddali znowu widać było Tatry, bardzo wyraziste, z białymi czapami śniegu. Dym z lufy spowijał Opiekuna świetlistą mgiełką. W swojej nieskazitelnej bieli wyglądał jak duch albo anioł. Tuż za nim stała jego straż przyboczna: Kakałko wyprostowany jak struna, w srebrnym dresie błyszczącym w słońcu niczym zbroja, i przypominający nocną zmore, ciemnoszary Pan Dobra Nutka o szczerzym pysku, patrzący łakomie na martwe ciało kobiety.

Gabriel Lezuj spojrzał na mnie z tym swoim dobrotliwym, zagadkowym uśmiechem. Jakby cały czas trzymał coś dla mnie w zanadrzu, ale czekał, aż sam zgadnę, o co chodzi. Patrzyliśmy na siebie, a mnie uderzyło, że ja go już gdzieś widziałem. I to jego uważne spojrzenie badacza, sadysty, doktora Mengele. To nie było przyjemne wspomnienie.

– Dziękuję ci – powiedział spokojnie. – Bardzo dobrze się spisałeś. Doskonale to wszystko do siebie dopasowałeś. Pierwszy raz jestem z ciebie naprawdę zadowolony. Do zobaczenia.

Bez słowa skierowałem się do wyjścia. Dręczyło mnie pytanie, czy to na pewno było właśnie to mniejsze zło, o którym mówił Mentor.



CZEŚĆ  
CZWARTA

---

**Początek**



„Look at me  
I just can't believe  
What they've done to me  
We could never get free  
I just wanna be  
I just wanna dream”.

*Get free*  
MAJOR LAZER

– ...są momenty, kiedy po prostu nie można stać z boku i przyglądać się, jak tuż obok giną ludzie. Nasi przyjaciele. Moim obowiązkiem było wspomóc policję. Dlatego zorganizowałem szeroko zakrojone poszukiwania zwyrodnialca. Wiem, co się mówi o Osiedlu i jego mieszkańcach. W dzisiejszych czasach łatwo przyczepiać etykiety. Trudniej się ich pozbyć. Mam nadzieję, że teraz reszta Krakowa zobaczyła to, co ja widzę na co dzień. Dzielnice, w której mieszkają prawi, odważni obywatele.

– Kto rozgryzł tożsamość Rzeźnika?

– Jeden z moich najbliższych współpracowników. Bardzo odważny młody człowiek. Nie zawahał się nawet wtedy, gdy już odkrył straszną prawdę.

– To była pańska żona.

– Tak.

– Poza ofiarami, o których było wiadomo od początku, Zofia Lezuj zabiła troje ludzi na jednej z rzecznych barek. Wśród tych osób była córka zamordowanego dwa lata temu Waldemara Lindera, czyli słynnego Hrabiego, który kierował jedną z krakowskich organizacji przestępczych.

Zofia Lezuj zamordowała także swoją matkę i ojca. Podobno jej ofiar może być znacznie więcej. Jak się pan z tym czuje?

– Nie chcę o tym rozmawiać. To jest po prostu niewyobrażalne. Przepraszam... Dopiero co złożyłem zeznania.

– Przewiduje pan jakieś problemy? Podobno mogą paść zarzuty świadomego niepoinformowania organów ścigania o przestępstwie.

– Nie miałem pojęcia, co robi Sophie. Te zbrodnie popełniła, zanim została moją żoną. I potem, gdy ode mnie uciekła, by związać się z gangiem Grety Linder. Jestem spokojny o wynik śledztwa...

Dwa tygodnie później, dzięki profesjonalnej opiece Magdy, Kojak opuścił pseudoszpital i jeszcze tego samego wieczoru piliśmy browary i jaraliśmy tłustego jointa w mojej kuchni. Nie żadne tam podlane trucizną świństwo z kolekcji Judyma, tylko dobry skun dla ludzi od Rożeny, sprawdzonego dilera ze Śródmieścia.

– Mocny pacan – pochwalił Kojak, zaciągając się ze smakiem. – Rożena trzyma poziom od lat.

– Sam hoduje. Ma, chłopie, krzoki wysokie jak drzewa. Gada do nich. Komplementy, rozumiesz, prawi. Chwali, mówi, jaki jest z nich dumny, i podobno od tego dobrze rosną. Raz wyjechał i matkę zostawił z nimi na pół miecha. Wraca, a tu krzaczki bidne, zmarniałe, skarłałe. Podobno stara, doglądając ich, wyzywała je od piekielnych chwastów i diabelskich badyli.

– Pierniczysz!

– Rożena przysięgał, że tak było. Na życie matki.

– Ach, Rożena! Oby mu się darzyło – pobłogosławił Kojak i podał mi lolka.

Żaden z nas nie miał ochoty rozmawiać o Osiedlu, Opiekunie, Sophie i wszystkim, co nas spotkało w Betonowym Pałacu. Chcieliśmy chociaż przez chwilę poudawać, że świat jest zupełnie zwyczajnym miejscem. A my borykamy się z codziennymi problemami, które trapią zwykłych ludzi.

– Zamierzasz tu mieszkać? – spytał Kojak, rozglądając się.

– A bo ja wiem? – powiedziałem na wdechu i zaciągnąłem się jointem. – Może jakiś czas, dopóki czegoś nie wymyślę.

– Ona tu przychodzi?

Pokręciłem głową. Nie powiedziałem mu o akcji, ale pewnie się domyślił.

– To była jednorazowa współpraca, wspólny interes.

– No tak, no tak, interes – pokiwał głową. – Jasna sprawa.

Wcale nie chciał być złośliwy czy ironiczny, ale i tak zabrzmiało to jak szydera. Nie podobało mi się to drażnienie, więc go zaatakowałem:

– A ty co? Może już czas skończyć z tym użalaniem się nad sobą i przyznać, że lubisz chłopów? To nie jest rok dziewięćdziesiąty szósty. To nie czasy Króla, który kazałby cię wykastrować. Kakałko chodzi sobie w świetle dziennym jak ten paw.

– Porównujesz mnie do tego psychopaty?

– No dobra, nie musisz przecież mieszkać na Osiedlu. Gdzie indziej szybko poznasz różnych takich jak ty. Może znajdzie se jakiegoś starszego, bogatego ciociuwujka. Będzie ci kupował ładne rzeczy i zabierał na zagraniczne wycieczki. Oni ponoć fantazjują o takich łysych chuliganach z rzeźnickimi facjatami. Na szelest kreszu staje im jak po viagrze.

– Widzę, że sponsoring masz ogarnięty ze szczegółami, ubogi studenciku. Sypał wujko talarami na podręczniki?

– A idź! Talary to ja wtedy tylko w farmaceutyki inwestowałem. A flotę miałem z zakontraktowanych akcji, a nie z dawania dupy. No to gadaj, jakie chłopcy ci się podobają?

– Męskie porządne chłopiska, z którymi można się browara napić, skuna zajarać, na ustawkę iść, jebać Wisłę i policję. Lubię takich, co na siłkę chodzą, normalnie gadają i normalnie się ubierają. I nie noszą tych głupich hipsterskich fryzur. I nie słuchają Madonny ani Shakiry, tylko dobrego ulicznego rapu.

– No dobra. Wszystko jasne. Rajcują cię heterocy.

– Wiem, kto mi się podoba! – olśniło go nagle.

Już się bałem, że mnie wymieni, tymczasem Kojak wyznał:

– Goldenthal.

– Ten pies? – Poczulem złość i ukłucie zazdrości, co mnie po chwili bardzo rozbawiło.



Zaczęliśmy się śmiać. Po chwili Kojak westchnął.

– Ale masz rację. Moja stara też biadoli, żebym się wyniósł na Kazimierz. Chyba jej się zdaje, że to znakomite miejsce dla takich jak ja. Zresztą po tym, co mi zrobił Opiekun, nie chcę już mieszkać na Osiedlu.

– Ani ja – przyznałem.

Nastrój się skiepczył, jakby nam właśnie zesłała faza po dobrej pigule i znowu zaczęliśmy zauważać syf wokół nas. Kojak poruszył temat, którego unikaliśmy, i już nie dało się udawać, że to nas nie dotyczy.

– Czego on właściwie od ciebie chciał? Bo chyba nie chodziło tylko o to, aby nas rozdzielić. I dlaczego właściwie cię nie zabił? To do niego niepodobne.

– Żeby okazać wspaniałomyślność?

– Niby czemu? Jeśli cię oszczędził, to tylko dlatego, że nadal grasz jakąś rolę w jego teatrzyku. A to by znaczyło, że Opiekun wcale ze mną nie skończył. I to nie jest zwykła wizyta towarzyska. Jesteś jego posłańcem, stary. Coś wiesz.

– Co wiem? – Kojak się zdziwił.

– Po co ty właściwie wróciłeś do domu Mentora? – spytałem.

Kojak niespodziewanie się ożywił.

– A, coś mi przyszło do łba – powiedział niby lekceważąco, ale wyczułem, że jest z siebie bardzo zadowolony. – Byłem na ciebie zły, więc postanowiłem sam to obczaić. Pamiętasz pustą ramkę z biurka? To była jedyna ramka w całej tej dziupli. A więc zdjęcie, które w niej było, musiało mieć dla dziada sporą wartość. Jeśli to Mentor wyjął zdjęcie, bo chciał je ukryć, to możliwe, że żał mu je było zniszczyć, więc tylko je schował. Pomyślałem o książkach. I o tym, jak sobie chowałem te porno fotki w powieściach. Wróciłem tam i przejrzałem wszystkie te książki. Kurzu się nawdychałem, ale znalazłem to.

Sięgnął do swojego plecaka i wyjął stare wydanie *W stronę Swanna*. Książka miała rozlatującą się płócienną okładkę i pożółkłe strony. Spomiędzy nich Kojak wyjął zdjęcie i podał mi je.

– Ale nie wiem, jakie to może mieć znaczenie. – Wzruszył ramionami. – Mentor z małą Sophie i pewnie jej matką. To przecież żadna tajemnica.

Spojrzałem na zdjęcie. Trzy osoby siedzące w kawiarnianym ogródku na Rynku Głównym. Mentor, Maryla i Sophie. Zosia mogła mieć jakieś siedem lat. Była śliczna i nic nie wskazywało na to, że jej ulubionym zajęciem stanie się w przyszłości kawałkowanie ludzi. Śmiała się radośnie, wyciągając rączkę w stronę obiektywu. Na zdjęciu nie było nikogo więcej. Za grupą pozującą do fotki widać było tylko bramę i szybę wystawową.

Dlaczego ta fotografia była taka ważna? Wpatrywałem się uważnie w każdy szczegół. Na stoliku stały cztery puchary lodowe. Czwarty musiał więc należeć do człowieka, który trzymał aparat. Przyjrzałem się uważniej szybie wystawowej w tle.

Niewyraźne odbicie przedstawiało człowieka, któremu połowę twarzy przysłał aparat z dużym obiektywem. Nie był ubrany na biało, mimo to rozpoznałem go. Gabriel Lezuj. To on był opiekunem Sophie i tajemniczym facetem Maryli, o którym wspominała Janina Król. Znał Mentora od dawna i znał Sophie od dziecka. I zamordował ich oboje.

Pokazałem Kojakowi moje odkrycie.

– Nie zauważyłeś go?

– Nie przyglądałem się tak uważnie – tłumaczył się Kojak. – Skitrałem fotę w Jabolowej Chatce i poszedłem do siebie. Następnego dnia mnie zabili. Dopiero dziś, jak mnie Magda wypuściła z izolatki, polazłem na działki i zabrałem zdjęcie.

Gabriel chciał, abym zobaczył to zdjęcie, inaczej by go nie wypuścił. Ta fotografia jest jedynym do tej pory śladem wskazującym na to, że Opiekun miał jakąkolwiek przeszłość. Tylko po co mi ta informacja? Za każdym razem, gdy już myślałem, że to koniec, ta sprawa znowu mi się narzucała jak natrętna dziwka. Schowałem zdjęcie do książki, którą odłożyłem na półkę.

– Myślę, że on wiedział, kim jest jego żona – powiedziałem. – Zawsze wiedział. Pasowała do jego kolekcji psychopatów. Dzięki niej pozbył się kilku zawadzających mu osób. A potem gdy nie była już potrzebna, sam ją zabił. Możliwe też, że nie potrafił jej kontrolować tak jak reszty podwładnych. I nie chciał ryzykować. Gabriel oczekuje posłuszeństwa.

– Na pewno łatwiej sterować tymi ćpunami, które mnie wkopały.

– Jakimi ćpunami? – spytałem.

– Tymi półludźmi z działek, którzy za strzał ścierwa Judyma sprzedaliby własną matkę. Patrolują ogródki. Widzieli nas, gdy szliśmy do Mentora i potem w chatce. Obczaili też, że wróciłem przeszukać dom starego.

– To był ten wieczór, kiedy zamordowano Prochacką – przypomniałem sobie.

– No wiem.

– A Prochacka została zabita w chacie Mentora – przywołałem kolejne mętne wspomnienie. – Tak wykazało późniejsze niby-śledztwo.

– Nic o tym nie wiem. – Kojak wzruszył ramionami. – Przecież leżałem w lochu, obszczany i z gorączką. Myślisz, że mnie tam informowano na bieżąco o tym, co się dzieje?

– Rzekomo zaszlachtowano ją w kuchni Mentora dokładnie w tym samym czasie, kiedy ty tam byłeś – wyjaśniłem mu.

– No to jasne, że Gabrielowi nie chodziło tylko o zdjęcie. Nie chciał, żebym ci zdradził, co tam widziałem.

– A co widziałeś?

– Nic. Nikogo tam nie było. Nikt nie mordował Prochackiej w kuchni. Sophie musiała zajeść ją gdzie indziej.

– Może to właśnie była jedna z tych niekontrolowanych akcji Zośki, którą przypieczętowała swój los.

Przypomniały mi się ostatnie słowa Mentora, gdy stwierdził, że wszystko musi dziać się w odpowiedniej kolejności. Może Prochacka musiała zginąć, by uruchomić lawinę. Mentor. Judym. Greta i jej ludzie. I w końcu Sophie. Prochacka była pionkiem do zbiccia. Greta wrogiem. A Mentor, Judym i Sophie okazali się słabymi ogniwami, które ja zdemaskowałem.

Stałem się katalizatorem zdarzeń, detektywem, narzędziem. To był test. Krwawe podchody, w których trakcie zdobywałem kolejne sprawności. Gabriel na pewno wiedział, że Judym nie jest godny zaufania, tylko zadufany w sobie, i że startuje do jego żony psychopatki. Opiekun pozwalał mu żyć, bo były mu potrzebne jego wynalazki. To nie Greta i Angie podstawily Sophie Opiekunowi, tylko on ją u nich ulokował. Gdy rozwikłałem zagadkę barki, Sophie pozbyła się załogi. Gabriel znowu nie pobrudził sobie rąk. Sophie świetnie się bawiła, nie wiedziała tylko, że i jej czas nadejdzie.

Była tak jak reszta elementem skomplikowanej łańcuchówki, którą Gabriel przygotował dla mnie. Kolejne wznoszone dekoracje upadały, niepotrzebne i zużyte. Kolejni aktorzy byli usuwani, a na ich miejsce pojawiali się inni. „Stary kamień na nowe budowle, stare belki na nowy ogień. Stary ogień na popiół, a popiół do ziemi”.

W jakim celu to wszystko? Może chciał mnie zatrudnić na stałe, ale wcześniej musiał przetestować. A jednak nie odezwał się więcej. Uznał, że się nie nadaję? Albo jedynie usypia moją czujność, by potem uderzyć mocniej. Czy tym zdjęciem próbuje mnie na nowo wciągnąć w swoją grę? Czy została jakaś scena, w której miałem zagrać? Sophie powiedziała, że jeszcze się przekonam, czym jest cierpienie.

Dosyć. Nigdy się od niego nie uwolnię, jeśli będę się torturował takimi pytaniami. Osobiście pielęgnowałem swoją paranoję. Opiekun nie musiał mnie dręczyć, sam robiłem to doskonale. Będę wolny, jak sam w to znowu uwierzę, a nie jak on da mi sygnał.

– Co teraz? – spytał Kojak, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Nic. Nie mam zamiaru już w niczym grzebać – powiedziałem, aby uspokoić przyjaciela. – Od tej pory planuję robić jedynie to, co niezbędne do przetrwania. Jeść, pić, dupczyć i jarać.

„I wear this crown of thorns  
upon my liar’s chair  
full of broken thoughts  
I cannot repair  
beneath the stains of time  
the feelings disappear  
you are someone else  
I am still right here

if I could start again  
a million miles away  
I would keep myself  
I would find a way”.

*Hurt*

TRENT REZNOR

Jakiś czas później, gdy wszystko już dawno ucichło, a ja nareszcie mogłem robić to, co lubiłem najbardziej – czyli nic, przydarzyła mi się pewnego popołudnia dziwna rzecz. Wracałem właśnie z całkiem udanej randki z pewną ładną, a do tego zdrową dziewczyną. Czułem się równie pusty jak moje jaja, z których wypompowałem chyba wszystko, przy zręcznej pomocy panny Violetty. To nie była mroczna pustka, ponura jak opuszczona pieczara, tylko całkiem przyjemna, beztroska lekkość człowieka, który wie, że jeszcze długo, długo nie będzie musiał nic robić. Udałem się na obchód. Dym, Bomba, Zwis, Śledź – i tak dalej.

Opiekun od tak dawna nie przypominał o swoim istnieniu, że zacząłem wierzyć, że to naprawdę koniec. Przeprowadził mnie przez piekło, ale ostatecznie oszczędził wszystkich, na których mi w jakikolwiek sposób

zależało. Ją, Angie i jej dziecko, Eda, Kojaka, moją starą, Liliannę. Rozmyślałem nad tym, a nogi same niosły mnie w stronę Plant. Chciałem odpocząć.

Zorientowałem się, że jestem w pobliżu ulicy Gertrudy, tu, gdzie po raz pierwszy spotkałem Liliannę. Usiadłem na ławce – i nagle dotarło do mnie, że zupełnie pominąłem ten wątek. Zapomniałem o niej, bo wydawała mi się niezwiązana z całą tą historią. Ale skoro uznałem w końcu, że nic nie dzieje się przypadkiem i bez przyczyny, to niby dlaczego spotkanie tej dziewczynki miało być wyjątkiem? Dosyć. Obiecywałem sobie, że z tym skończę i przestanę doszukiwać się w każdym zdarzeniu drugiego, trzeciego i czwartego dna. Czasami cygaro jest tylko cygarem. A małaletnia dziwka – małaletnią dziwką.

Niestety, było za późno. Teraz nadbiegająca alejką Lilianna wydała mi się mało autentyczna, a goniący ją pedofil wręcz absurdalny. Dlaczego nigdy nie zadałem sobie pytania, jakim sposobem ona tak szybko odnalazła mnie w tej knajpie na Bożego Ciała? Czemu uciekła z domu, w którym podobno wszystko było w porządku? Co właściwie robiła całymi dniami, gdy mnie nie było? Wybrałem numer Edwarda. Odebrał po drugim dzwonku, nieco zdyszany.

– Chcesz te bilety na *Pięknych chłopców*, którym tłumaczyłem *Žižka*? – spytał.

– Tak, chcę – odparłem, wiedząc, że tylko tak zdołam go skłonić do rozmowy na interesujący mnie temat. – Powiedz mi, czy pamiętasz, jak opiekowałeś się Lilianną?

– Kim? A, twoją bratanicą? Pewnie. Sympatyczna dziewczynka.

– Tak, tak. I cały czas była z tobą?

– No raczej. Inteligentne dziecko.

– Co robiliście?

– Dawałem jej do czytania moją sztukę. – Naraz Edward stał się czujny. – Czyżby się poskarżyła, że pozwoliłem jej czytać *Ostatnie tango w darkroomie*? Słuchaj, miałem próbę. Musiałem ją czymś zająć. Siedziała na zapleczu i grzecznie czytała.

– Cały czas? Ani razu nie wyszła?

– No cóż, wyszła na fajkę. Nie gniewaj się na nią, pamiętasz chyba jeszcze te czasy, kiedy się popalało po bramach z kumplami. Trzeba było kopcić, żeby przetrwać w grupie...

– W jakiej grupie?

– Tych koleżanek nie widziałem – odparł odrobinę zakłopotany. – Mówiła, że idzie do nich tylko na chwilę. Nie było jej góra dwadzieścia minut.

– Ed, gdzie właściwie mieści się ten twój teatr? – wycedziłem.

– Rany, tyle razy ci mówiłem. Obok Cocona, na Gazowej.

– Przy Wiśle.

– No a gdzie?

Poczułem, jak serce zaczyna mi napierdalać jak oszalałe. „Fałszywe suki”, napisała Lilianna. Czy to o Grecie i Angie? Stanowiłem ostatni punkt na liście osób, na których chciała zemścić się Angie. Zapomniałem o tym, bo Greta zgodziła się odpuścić, jeśli nie wydam Sophie Opiekunowi. Ale Greta nie żyje. Sophie również. Nawet jeśli to wszystko było z góry ustalone i zaplanowane przez Gabriela, to ja się do tego przyczyniłem, realizując jego zamierzenia. Nie dotrzymałem umowy. A Angie nadal żyła. Tak samo Lilianna. Bo Opiekun na to pozwolił.

– Jesteś tam? – spytał Ed.

Gdy się odezwałem, z trudem rozpoznałem własny głos:

– Ed, kim ona jest? Lilianna. Kim ona jest?

– Dobrze się czujesz, stary? Przecież wiesz. To twoja siostrzenica.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, gdy zbliżałem się do białej willi. Drzewa rzucały długie cienie. Drzwi były lekko uchylone, więc wszedłem. W środku panowała cisza. Szedłem przez wykładany białym marmurem hall i kolejne pograżone w półmroku wnętrza. Zasłony i rolety były pozaciągane, jakby nikt tu już nie mieszkał. Wszedłem do pustego salonu z czerwonymi kanapami i w końcu dotarłem do przeszklonej ściany i rozsuniętych drzwi tarasowych. Stała na samym końcu kamiennego tarasu. Wpatrywała się w szklistą, spokojną tafłę błękitnej wody wypełniającej basen, w której odbijały się krwawo ostatnie promienie słońca, płonącego

między drzewami ogrodu. Długie, jasne włosy miała rozpuszczone. Krótkie wystrzępione spodenki wisały na niej, a opalone nogi były długie i smukłe. Tenisówki natomiast miała brudne.

Coś było nie tak. Coś się nie zgadzało. Tak wyglądała w szkole, nie teraz. To nie była ona!

W momencie gdy to do mnie dotarło, poczułem szarpnięcie za ramię. Odwróciłem się i tym razem to naprawdę była ona. Spojrzałem jeszcze raz w stronę basenu, bo już nie byłem pewien, co jest prawdą, a co wytworem mojej zniekształconej nie wiadomo czym wyobraźni.

– Chodź do kuchni – usłyszałem jej szept.

Nie ruszyłem się jednak z miejsca. A ona znowu szarpnęła mnie za rękę. Tym razem mocniej.

– Proszę cię, nie stój tak – wysyczała i rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku swojego sobowtóra przy basenie.

Ta druga musiała nas usłyszeć, bo nagle się odwróciła.

– O, cześć – powiedziała Lilianna radośnie. – Co tu robisz?

– Nie wiem – odparłem. Poczułem niesamowite zmęczenie.

– Ruszysz się wreszcie? – Jej głos znowu przeszedł w szept.

Odwróciłem się plecami do dziecka i poszedłem za nią do kuchni. Kuchnia była tak samo ogromna jak reszta pomieszczeń w tym domu. Pośrodku stał wielki stół. Nie, to nie stół, to się chyba nazywało „wyspa”. Okrążyła ją i stanęła po drugiej stronie. Czternaście lat temu chciała ze mną uciec za ocean, na samotną wyspę, gdzie moglibyśmy być, kim byśmy chcieli. Teraz oddzielała nas wyspa pośrodku kuchni.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nie odzywała się, czekając widocznie, aż ja to zrobię. Jakby wierzyła jeszcze w to, że wszystko będzie dobrze.

Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć? Niebieskie oczy Lilianny w odcieniu jaśniejszym niż jej, ale ciemniejszym niż mój. Jasne włosy o delikatnie rudym połysku. To po kochanym dziadku. Ciemna karnacja, to po niej. Nos, zapowiadało się, że niestety po mnie. I ta jej bezczelność, nonszalancja, pogarda dla wszystkiego, co jej nie interesowało, chamskie odzywki, pyskowanie, kpina z autorytetów i ignorancja noszona dumnie



niczym tarcza. Te kłamstwa, które tak gładko wypływały z jej ust. Wszystko, co tak dobrze znałem. Nasze wątpliwej jakości podarki.

– To dlatego zniknęłaś prawie na rok i pojawiłaś się dopiero w połowie czwartej klasy? – odezwałem się w końcu.

– Między innymi.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chciałam to zrobić w dniu naszego, hm... rozstania. Miałam ci wtedy do zakomunikowania dwie rzeczy. Po pierwsze, że jesteśmy rodzeństwem. Po drugie, że jestem w ciąży. – Parsknęła nerwowym śmiechem. – No, ale nie dałeś mi wyjawić tej drugiej nowiny.

Gdy ją biłem, była w ciąży. Pchnąłem ją, złamałem jej rękę, uderzyłem pięścią, a na koniec rzuciłem nią w szklane drzwi. Na moment zatęskniłem za czasami, gdy obwiniałem się jedynie o skatowanie dziewczyny, a nie o skatowanie ciężarnej.

Znowu ją zobaczyłem, jak leży wśród odłamków szyby i trzyma się rękami za zakrwawioną twarz. I na pewno już wie, że jej życie również rozpierdoliło się właśnie na drobne kawałki. I gdy w końcu wstanie, będzie zupełnie inną osobą z całkiem nowymi problemami.

Spojrzałem na nią i w pierwszej chwili chciałem znowu przeprosić. Ale wydało mi się to żalosne i absurdalne. Czasami po prostu brakuje odpowiednich słów. Takich naprawdę mocnych, które znaczą coś więcej. Przeznaczonych tylko na specjalne okazje.

– Co było potem? – spytałem.

– Po tym, jak zareagowałeś na wieść, że mamy tego samego ojca, uznałam, że może lepiej nic więcej nie powiem. – Uśmiechnęła się krzywo. – Mimo wszystko chciałam żyć. Wtedy bałam się ciebie. A potem już tylko cię nienawidziłam.

– A jeszcze później?

– A jaki miałoby to sens? Urodziłam, a oni od razu ją zabrali. Nie chciałam jej oglądać. Wiedziłam tylko, że to dziewczynka. Chciałam wymazać to z pamięci. Przekreślić całe poprzednie życie. Bo nic z mojej przeszłości nie mogło już być dla mnie punktem odniesienia. Dotyczyło innej dziewczyny, z którą nie chciałam mieć nic wspólnego. Gardziłam nią. W trakcie porodu też urodziłam się na nowo. To był początek mojego

nowego życia. I prawie udało mi się zapomnieć o jej istnieniu. Aż do momentu, gdy zobaczyłam ją u ciebie. Domyśliłam się, kim jest. Jest bardzo do ciebie podobna. Dotarło do mnie, co to może oznaczać. Nie miałam tylko pewności, kto za tym stoi. Opiekun czy Greta.

– Opiekun?

– Możliwe. Ale to Greta i Angie zaaranżowały ten koszmar.

Greta miała rację, gdy rozmawialiśmy po raz ostatni. Tego nie dało się zatrzymać. Lilianna już od dawna była w moim życiu. W moim domu. W moim łóżku! A Greta mściła się nadal z za grobu.

– Greta dobrze znała twój pociąg do małoletnich panienek. Miałeś w Liliannie zobaczyć dziwkę i złodziejkę. Liczyły na to, że dzięki temu pozbędziesz się reszty skrupułów, bo jesteś samolubnym draniem, który bez wahania puknie puszczałką nastolatkę – wyrzucała z siebie kolejne nieprzyjemne zdania. Każde bolesne i raniące. – Miałeś ją rozdziewiczyć. Żeby powtórzyła się historia. Zrobiłeś to kiedyś swojej siostrze, teraz miałeś to zrobić swojej córce.

Naszej córce, dotarło do mnie po raz kolejny.

– Greta się przeliczyła. Lilianna poniosła porażkę i w przeciwieństwie do Carycy szybko zrozumiała, że nic z tego nie będzie.

Gapilem się na wyspę. Nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy. Nie potrafiłem też odeprzeć natrętnego obrazu z tamtej pierwszej nocy. Rzeczywisty koszmar, który wdarł się w mój plugawy sen o siostrze i był jego kontynuacją na jawie. Znacznie brudniejszą i mroczniejszą.

– Widziałam zdjęcie – powiedziała po chwili. Doskonale wiedziała, co mnie dręczy. Co mam teraz w głowie. – Lilianna mi je niestety pokazała i opowiedziała o wszystkim z niepotrzebnymi szczegółami. Ale wiem, że ty jej nic nie zrobiłeś.

– Ale skąd one się o tym dowiedziały?

– Nie mam pojęcia – przyznała niechętnie i na moment z jej twarzy zniknęła irytująca pewność siebie, a zamiast niej pojawił się niepokój. Po krótkiej chwili podjęła wątek, mówiąc głosem twardym i z naciskiem, jakby sama chciała zapewnić siebie, że niczego nie przeoczyła, że to nie ona popełniła błąd. – Nie istnieje żadna dokumentacja dotycząca porodu i adopcji. Urodziłam ją w pokątnej klinice, gdzie nikt nie pyta o dowód

osobisty i książeczkę NFZ, a ojciec, zgodnie z moim życzeniem, od razu umieścił dziecko w oknie życia.

– A twoja matka?

– Nie wiedziała nawet, że jestem w ciąży. Ojciec załatwił sobie kontrakt w Wiedniu, a ja pojechałam z nim. Wróciliśmy w grudniu, żebym urodziła w Polsce. A zaraz potem pojechaliśmy z powrotem do Wiednia. I tam wróciłam do normalnego stanu.

Mówiła o tym tak obojętnie, jakby opowiadała o jednej ze swoich kryminalnych spraw. Była nawet w pewien sposób zadowolona i dumna, że tak świetnie całą akcję zaplanowali, że udało im się wszystkich wyprowadzić w pole. Chyba jednak się myliła.

– Ona nie może się dowiedzieć – powiedziałem, uświadamiając sobie wszystkie możliwe scenariusze i potworne konsekwencje.

– Nigdy – przytaknęła.

Patrzyliśmy na siebie, stojąc po dwóch stronach wyspy. Wspólny cel. Przynajmniej miałem taką nadzieję. Kwestia Gabriela, która zeszła na boczny tor, powróciła do mnie. Wszystko się łączy. Jedno wypływa z drugiego. Nie da się odciąć od przeszłości tak, jak ona chciała to zrobić. Można próbować, ale zawsze są jacyś inni, którzy posiadają klucz do tego, co się zdarzyło. Wszystko, co nastąpi w przyszłości, będzie wynikiem starych decyzji.

Wokół pociemniało. Dziś zmierzch zapadał wyjątkowo szybko. Widziałem, jak jej twarz staje się coraz mniej wyraźna w półmroku. Z oddali dobiegł cichy pomruk. A zaraz potem w okno uderzył podmuch wiatru.

– Nigdy nie żałowałaś, że ją oddałaś?

– Nie, nie interesuje mnie to, co było. Nie buduję hipotez na temat tego, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdyby w nim zmienić taki lub inny czynnik.

– Co ona tu robi, swoją drogą? – spytałem.

– Przyszła. Odwiedziła mnie – odparła.

Czekałem na jakieś dalsze wyjaśnienia, ale ona milczała, patrząc na mnie z tym swoim zawodowym, obojętnym wyrazem twarzy.

Pomyślałem, że może całe to rozsądne gadanie było tylko przedstawieniem odegranym dla mnie, aby mnie uspokoić i stworzyć wrażenie totalnej kontroli nad sytuacją. A może ona chciała swoje dziecko z powrotem? Przecież zdarzało się, że matki zmieniały zdanie i odbierały swoje dzieci. Może tak właśnie było w tym wypadku? Tyle że zmieniła zdanie po czternastu latach. Najprawdopodobniej się myliłem, ale nie mogłem dłużej przyjmować jej zdroworozsądkowych deklaracji za pewnik.

– Chodź – powiedziała, przerywając ciszę. – Trzeba ją znaleźć i odwieźć do domu. Już czas.

# EPILOG

Wychodzimy z kuchni. Zapada zmierzch, idziemy przez wielki mroczny salon. W ciemności, kilka kroków przede mną wyróżnia się jej jasna postać. Gdy tak idzie zdecydowanym krokiem, nie oglądając się, czuję, że ona ma jakiś cel i plan. Nieruchome meble, wielkie i kanciaste wyglądają jak bloki skalne. Marmurowa podłoga lśni szarym blaskiem. Dalej są rozsunięte na całą szerokość drzwi na taras. Mglistą zasłonę wzdyma silny wiatr znad rzeki. Unosi ją i odsłania gęstniejącą na zewnątrz ciemność. Kontur czarnej jednolitej masy drzew odcina się od granatowego nieba. Nie ma dziś na nim gwiazd, jedynie blady i cienki jak zeschnięta skórka chleba księżyc. Ona wychodzi na kamienny taras. I wchodzi dalej w głąb, w ciemność. Wygląda jak duch. Idę po jej śladach. Staję obok niej przy basenie. Pod naszymi stopami rozciąga się otchłań. Zmącona tafla wody występuje z brzegów. Czuję krople na twarzy. Mają elektryczny smak. Gęsta, czarna ropa rozbija się o betonowy brzeg. Fala zawraca. Odpływa w dal. Ona rozgląda się, szuka. Wiatr targa jej włosami na wszystkie strony. Dziecka nie ma.

– Będzie burza – krzyczy do mnie, chociaż stoi tak blisko.

Próbuję nasłuchiwać. Wokół tylko szum wichury i niespokojny szelest drzew. Dalekie, ledwo słyszalne odgłosy miasta. Ale one szybko zanikają w huku zbliżającej się nawałnicy. Nierzeczywiste miasto rozpada się.

Ciemność rozdziera oślepiający błysk. Granatowe niebo pęka na pół. W nienaturalnym stroboskopowym świetle przez sekundę widzę wszystko wyraźnie. Wpatrzona w gęstwinę z błękitną twarzą, w czymś lśniącym, srebrnym jak zbroja. Wtedy niebo zamyka się na powrót. I znowu wokół nas jest tylko ciemność.

Nad nami przetacza się głuchy pomruk. Sterta bloków skalnych stacza się z olbrzymiej góry. A zaraz potem przez huk przedziera się nieludzki wrzask. Tam gdzieś w gęstwinie. Zrywam się. Wtedy ona łapie mnie za rękę. Powstrzymuje przed krokiem w smolistą toń. Dziki złowrogi wrzask przechodzi w pełne trwogi miauczenie. Przez trawnik galopuje maleńki czarny cień. Biegnie jak oszalały. Mija nas. Jak pocisk przebija zasłonę i znika w środku.

– To tylko kot – mówi. W ciemności widzę, że ją to bawi. – Przestraszył się.

I wtedy słyszymy chichot, który jednak zaraz zostaje wchłonięty przez kolejny gwałtowny podmuch. Wrzask kota. Wiatr. Letnia burza. Chlorowana woda w basenie. Tylko dekoracje. Mimo to jestem pewien, że groza jest rzeczywista i namacalna. Jak dotyk jej dłoni, która nadal trzyma moją.

– Musimy ją znaleźć.

– Dobrze, Julio.

Dziękuję:

Łukaszowi za czytanie, czepianie się, liczne uwagi i te dziwaczne pytania. A także za wyrozumiałość w ostatniej fazie pisania, kiedy byłam nie do zniesienia.

Oparowi za kilka historyjek – rzeczy typu wóda z muszynianką i inne wynalazki.

Igorowi za napis na ścianie i parę innych motywów.

Edziowi, za to, że dał się wypożyczyć i wykorzystać, dzięki czemu ponownie powołałam do życia jedną z moich najukochańszych postaci. Jeśli w jakimś momencie przesadziłam, to wiedz, że to wszystko z sympatii.

Joannie za Kakałko i Dżordasza. Obiecuję ci, Joanno, melanż, jakiego świat nie widział. Pamiętaj, że w mojej nowej Melerni zawsze będą na ciebie czekały ciepły kąpiel, chrupki duszki, piwo Perła i pęto lisieckiej.

Drobnikowi, za to, że mnie przygarnął, ale jeszcze bardziej za to, że zawsze jest gotów wysłuchać mojego głędzenia bez oceniania.

Ewie M., za to, że mnie poznała z Panem Dobrą Nutką.

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

**PROLOG. PACYFIK**

**CZĘŚĆ PIERWSZA. POCZĄTEK**

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15



## **CZĘŚĆ DRUGA. POCZĄTEK KOŃCA**

16

17

18

19

20

21

22

23

## **CZĘŚĆ TRZECIA. KONIEC**

24

25

26

27

## **CZĘŚĆ CZWARTA. POCZĄTEK**

28

29

**EPILOG**

Podziękowania